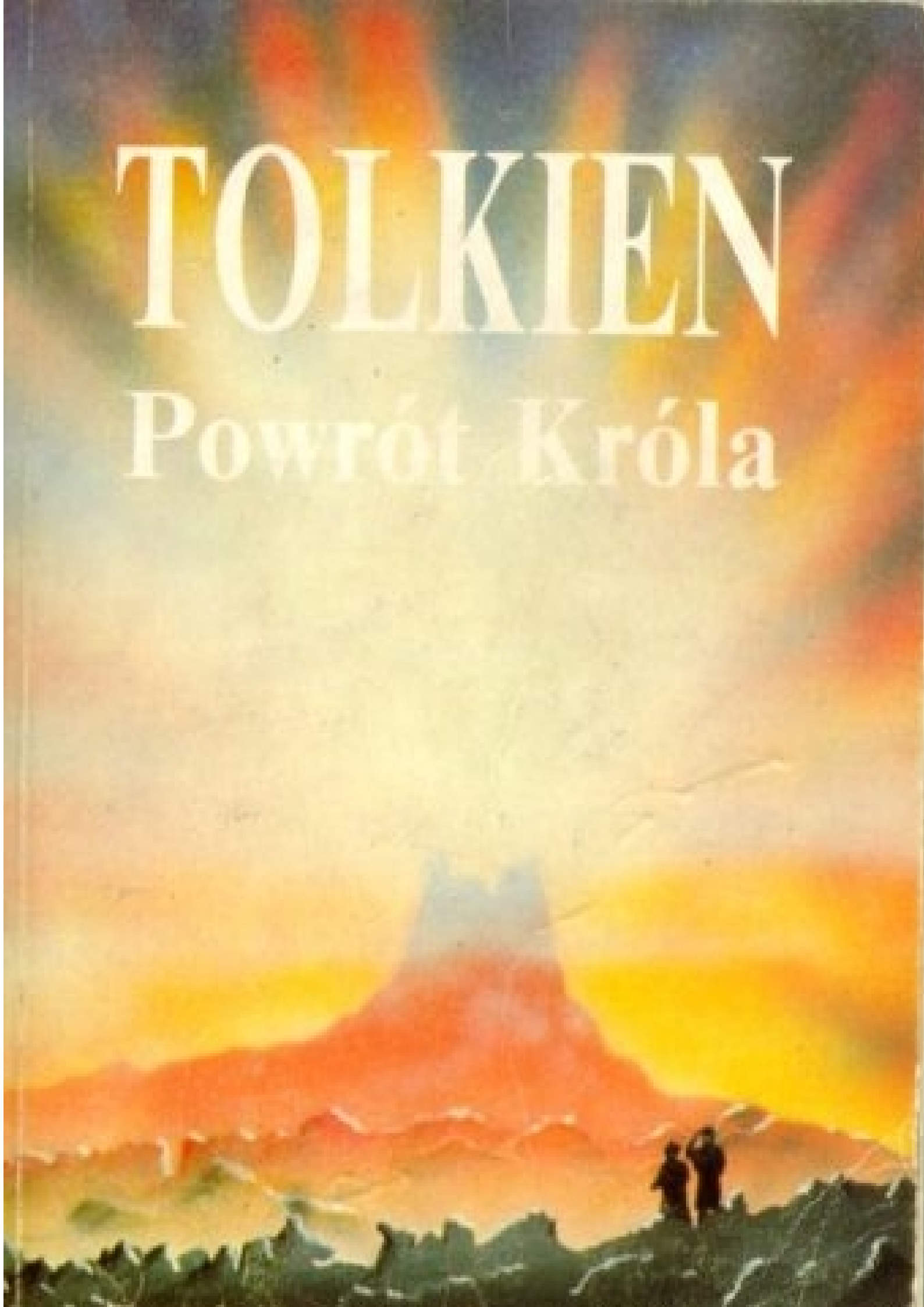


TOLKIEN

Powrót Króla

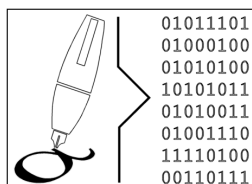


J. R. R. TOLKIEN

POWRÓT KRÓLA

**TRZECI TOM
WŁADCY PIERŚCIENI**

Przekład: Maria Skibniewska



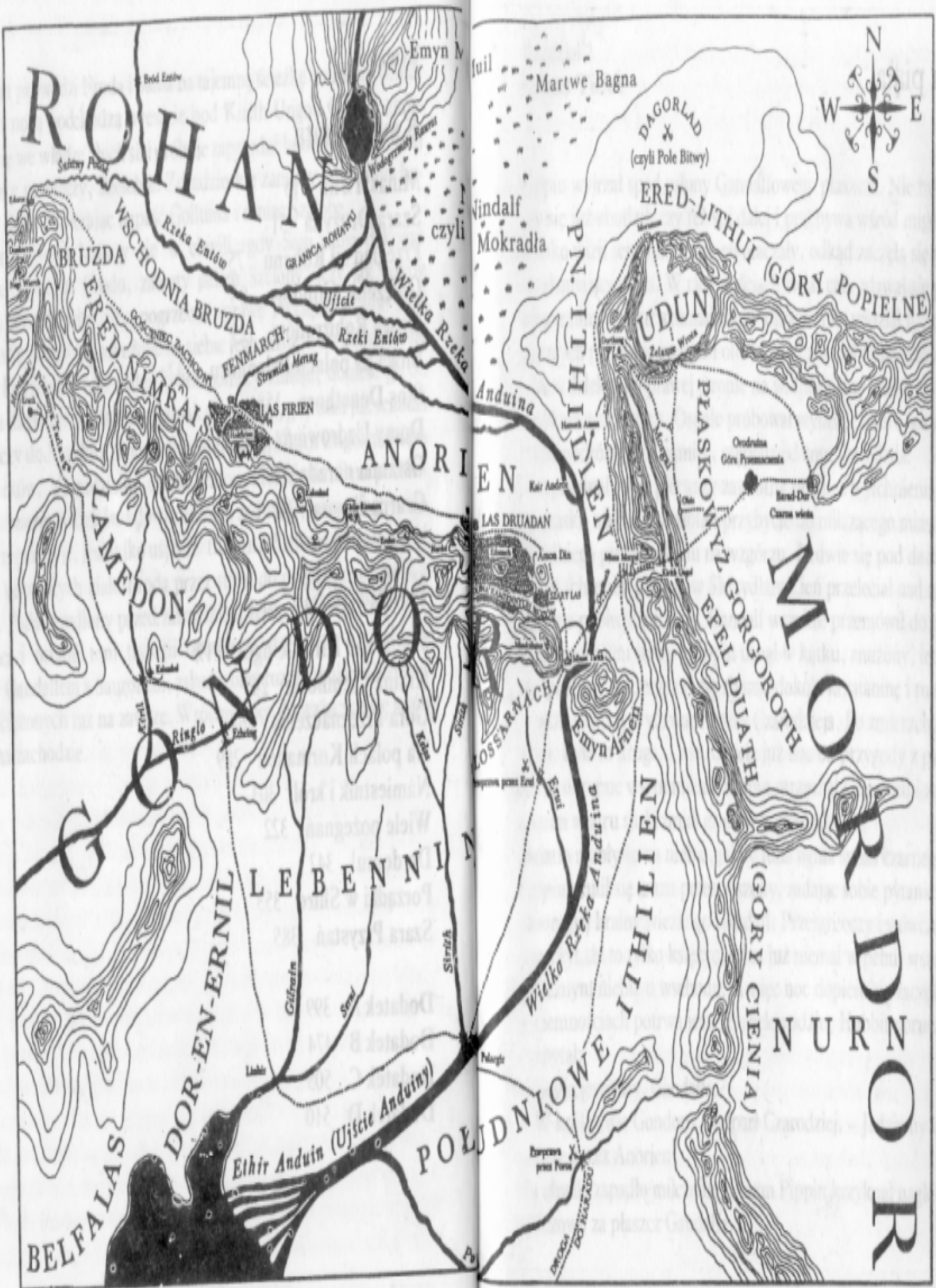
Tytuł oryginału:

The Return of the King: being the third part of The Lord of the Rings.

Data wydania polskiego: 1990 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1955 r.

Trzy pierścienie dla królów elfów pod otwartym niebem,
Siedem dla władców krasnali w ich kamiennych pałacach,
Dziewięć dla śmiertelników, ludzi śmierci podległych,
Jeden dla Władcy Ciemności na czarnym tronie
W Krainie Mordor, gdzie zaległy cienie,
Jeden, by wszystkimi rządzić, Jeden, by wszystkie odnaleźć,
Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności zwięzać
W Krainie Mordor, gdzie zaległy cienie.



skala
0 10 20 30 40 50 60
miles

Synopsis

Oto trzeci tom „Władcy Pierścieni”.

W tomie pierwszym, zatytułowanym „Wyprawa”, opowiedzieliśmy, jak Gandalf Szary odkrył, że Pierścień, który znalazł się w posiadaniu hobbita Froda Bagginsa, jest ni mniej, ni więcej tylko Jedynym Pierścieniem, rządzącym wszystkimi Pierścieniami Władzy. Opisaliśmy też, jak Frodo i jego towarzysze z cichego ojczyzno Shire’u musieli uciekać przed grozą Czarnych Jeźdźców Mordoru i jak w końcu z pomocą Aragorna, Strażnika z Eriadoru, dotarli mimo straszliwych niebezpieczeństw do domu Elronda w Rivendell.

Tam odbyła się Wielka Narada i uchwalono podjąć próbę zniszczenia złowrogiego klejnotu, a Frodo został wybrany na powiernika Pierścienia. Potem wyznaczono uczestników wyprawy, którzy mieli pomóc Frodowi w trudnym zadaniu; musiał bowiem przedostać się do Mordoru, kraju Nieprzyjaciela, i na Górę Ognia, jedyne w świecie miejsca, gdzie Pierścień mógł być unicestwiony. Do Drużyny należał Aragorn, a także Boromir, syn Władcy Gondoru, przedstawiciel Dużych Ludzi; Legolas, syn króla elfów z Mrocznej Puszczy — reprezentant elfów; Gimli, syn Gloina spod Samotnej Góry — krasnolud; Frodo wraz ze swym sługą Samem i dwaj jego młodzi krewniacy, Meriadok i Peregrin — czterej hobbiti; wreszcie czarodziej Gandalf Szary.

Drużyna przemykając się chyłkiem zawędrowała z Rivendell daleko na północ, a gdy nie udało się wśród zawiei śnieżnej przebyć górskiej przełęczy Karadhrasu, Gandalf poprowadził towarzyszy do ukrytej bramy olbrzymich Lochów Morii, by spróbować drogi pod górami. Niestety w walce ze złowrogim potworem podziemnego świata Gandalf wpadł w czarną przepaść. Z kolei na czele wyprawy stanął Aragorn, który już ujawnił się jako spadkobierca starożytnych królów Zachodu; Aragorn wywiódł Drużynę przez wschodnie wrota Morii i Krainę Elfów, Lorien, nad Wielką Rzekę Anduinę. Z jej nurtem spłynęli aż nad wodogrzmoty Rauros. Wszyscy uczestnicy wyprawy wówczas już wiedzieli, że są śledzeni przez szpiegów i że Gollum, szkaradny stwór, który ongi był właścicielem Pierścienia, idzie trop w trop za nimi.

Wybiła godzina decyzji: czy skrócić na wschód do Mordoru, czy też wraz z Boromirem pospieszyć do Minas Tirith, stolicy Gondoru, by dopomóc ludziom

w nadciągającej wojnie, czy też rozdzielić się na dwie grupy. Gdy stało się jasne, że powiernik Pierścienia za nic nie zrezygnuje z dalszej beznadziejnej wędrówki di nieprzyjacielskiego kraju, Boromir spróbował mu wydrzeć Pierścień przemocą. Pierwsza część kończy się upadkiem Boromira opętanego złym czarem, ucieczką i zniknięciem Froda oraz jego wiernego giermka Sama, rozproszeniem pozostałych członków Drużyny zaatakowanych przez orków z plemion służących bądź samemu Czarnemu Władcy Mordoru, bądź też zdrajcy Sarumanowi z Isengardu. Zdawało się, że sprawa Pierścienia jest raz na zawsze przegrana.

W drugim tomie — „Dwie Wieże” — złożonym z dwóch ksiąg, trzeciej i czwartej, dowiadujemy się o dalszych losach rozbitej Drużyny. Księga trzecia opowiada o skrusze i śmierci Boromira, którego ciało przyjaciele złożyli w łodzi i oddali w opiekę rzece; o niewoli Meriadoka i Peregrina, których okrutni orkowie pędzili przez stepy Rohanu w stronę Isengardu, podczas gdy przyjaciele — Aragorn, Legolas i Gimli — starali się odnaleźć i ocalić porwanych hobbitów.

W tym momencie pojawiają się jeźdźcy Rohanu. Oddział konny pod wodzą Eomera otacza orków i rozbija ich w puch na pograniczu puszczy Fangorn; hobbitci uciekają do lasu i tam spotykają enta Drzewca, tajemniczego władcę Fangornu. U jego boku są świadkami wzburzenia leśnego ludu i marszu entów na Isengard.

Tymczasem Aragorn z dwoma towarzyszami spotyka Eomera powracającego po bitwie. Eomer użycza wędrowcom koni, aby mogli prędzej dotrzeć do lasu. Próżno szukają tam zaginionych hobbitów, lecz niespodzianie zjawia się Gandalf, który wyrwał się z krainy śmierci i jest teraz Białym Jeźdźcem, chociaż ukrytym jeszcze pod szarym płaszczem. Razem udają się na dwór króla Rohanu, Theodena. Gandalf uzdrawia sędziwego króla i wyzwala go od złego doradcy, Smoczego Języka, który okazuje się tajnym sprzymierzeńcem Sarumana. Z królem i jego wojskiem ruszają na wojnę przeciw potęgze Isengardu i biorą udział w rozpaczliwej, lecz ostatecznie zwycięskiej bitwie o Rogaty Gród. Potem Gandalf wiedzie ich do Isengardu, gdzie zastają warownię w gruzach, zburzoną przez entów, a Sarumana i Smoczego Języka obłożonych w niezdobytej Wieży Orthank.

Podczas rokowań u stóp wieży Saruman nie skruszony stawia opór, Gandalf wyklucza go więc z Białej Rady czarodziejów i łamie jego różdżkę, po czym zostawia go pod strażą entów. Smoczy Język ciska z okna wieży kamień, chcąc ugodzić Gandalfa, lecz pocisk chybia celu; Peregrin podnosi tajemniczą kulę, która jest, jak się okazuje, jednym z trzech palantirów Numenoru — kryształów jasnowidzenia. Później tej samej nocy Peregrin ulegając czarodziejskiej sile kryształu wykrada go, a kiedy się w niego wpatruje, mimo woli nawiązuje łączność z Sauronem. Księga trzecia kończy się w chwili przelotu nad stepami Rohanu Nazgula, skrzydlatego Upiora Pierścienia zwiastującego bliską już grozę wojny. Gandalf oddaje palantir Aragornowi, a Peregrina bierze na swoje siodło jadąc do Minas Tirith.

Księga czwarta zawiera historię Froda i Sama, zabłąkanych wśród nagich skał

Emyn Muil. Dwaj hobbitci przedostają się wreszcie przez góry, lecz dogania ich Smeagol — Gollum. Frodo obłaskawia Golluma i niemal zwycięża jego złośliwość, tak że stwór staje się przewodnikiem wędrowców przez Martwe Bagna i spustoszony kraj w drodze do Morannonu, Czarnych Wrót Mordoru na północy.

Nie sposób jednak przez tę bramę przejść, Frodo więc za radą Golluma postanawia spróbować tajemnej ścieżki, znanej rzekomo przewodnikowi, a pnącej się za zachodni mur Mordoru nieco dalej na południe wśród Gór Cienia. W drodze natykają się na zwiadowców armii Gondoru, którymi dowodzi Faramir, brat Boromira. Faramir zgaduje cel wyprawy, lecz opiera się pokusie, której uległ Boromir, i pomaga hobbitom, gdy chcą pospieszyć ku przełęczy Kirith Ungol, strzeżonej przez ukrytą w lochu potworną pajęczycę. Faramir jednak ostrzega Froda, że na tej ścieżce, o której Gollum nie powiedział im wszystkiego, co sam wie, grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. U rozstajnych dróg przed wstąpieniem na ścieżkę do złowrogiego grodu Minas Morgul ogarniają hobbitów wielkie ciemności płynące z Mordoru i zalegające całą okolicę. Pod osłoną ciemności Sauron wysyła z warowni pierwsze swoje pułki, z królem Upiorów na czele. Wojna o Pierścień już się zaczęła.

Gollum prowadzi Froda i Sama na tajemną ścieżkę omijającą Minas Morgul i nocą podchodzą wreszcie pod Kirith Ungol. Gollum znów dostaje się we władzę złych sił i próbuje zaprzedać hobbitów potwornej strażniczce przełęczy, Szelobie. Zdradzieckie zamiary udaremnia bohater Sam, odpierając napaść Golluma i raniąc Szelobę.

Czwarta księga kończy się w chwili, gdy Sam musi dokonać trudnego wyboru. Frodo, zatruty jadem Szeloby, leży jak gdyby martwy. Trzeba więc albo pogrzebać sprawę Pierścienia, albo Sam opuściwszy swego pana weźmie na siebie jego misję. Sam decyduje się przejąć Pierścień i bez nadziei, bez pomocy nikąd, donieść go do Szczelin Zagłady. W ostatnim jednak momencie, gdy Sam już schodzi z przełęczy do Mordoru, spod wieży wieńczącej Kirith Ungol nadciąga patrol orków. Niewidzialny dzięki czarom Pierścienia, sam podsłuchuje rozmowę żołdaków i dowiaduje się, że Frodo, wbrew jego przypuszczeniom żyje, jest tylko uśpiony trucizną. Sam nie może dogonić orków, unoszących ciało Froda przez tunel do podziemnego wejścia forticy. Pada zemdlony przed zatrzaśniętą żelazną bramą.

Trzeci i ostatni tom trylogii opowie o rozgrywce strategicznej między Gandalfem a Sauronem, zakończonej rozpędzeniem Ciemności, zwyciężonych raz na zawsze. Wróćmy więc do ważących się losów bitwy na zachodzie.

KSIEGA V

ROZDZIAŁ I

Minas Tirith

Pippin wyrzął spod osłony Gandalfowego płaszcza. Nie był pewny, czy się już zbudził, czy też śpi dalej i przebywa wśród migocących szybko wizji sennych, które go otaczały, odkąd zaczęła się ta oszałamiająca jazda. W ciemnościach świat cały zdawał się pędzić wraz z nim, a wiatr szumiał mu w uszach. Nie widział nic prócz sunących po niebie gwiazd i olbrzymich gór południa majających gdzieś daleko, po prawej stronie na widnokręgu, i także umykających wstecz. Ospale próbował wyliczyć czas i poszczególne etapy podróży, lecz pamięć, otępiała od snu, zawodziła. Przypomniat sobie pierwszy zawrotny pęd bez wytchnienia, a potem o brzasku nikły blask złota i przybycie do milczącego miasta i wielkiego pustego domu na wzgórzu. Ledwie się pod dach tego domu schronili, gdy znów Skrzydlaty Cień przeleciał nad nimi, a ludzie pobledli z trwogi. Gandalf wszakże przemówił do hobbita paru łagodnymi słowy i Pippin usnął w kątku, znużony, lecz niespokojny, jak przez mgłę słysząc dokoła krzątanie i rozmowy, a także rozkazy wydawane przez Czarodzieja. Po zmierzchu ruszyli dalej. Była to druga... nie, trzecia już noc od przygody z palantirem. Na to okropne wspomnienie Pippin otrząsnął się ze snu i zadrżał, a szum wiatru rozbrzmiał groźnymi głosami.

Światło rozbłysło na niebie, jakby łuna ognia spoza czarnego wału. Pippin skulił się zrazu przestraszony, zadając sobie pytanie, do jakiej złowrogiej krainy wiezie go Gandalf. Przetarł oczy i wówczas zobaczył, że to tylko księżyc, teraz już niemal w pełni, wstaje na mrocznym niebie u wschodu. A więc noc dopiero się zaczęła, jazda w ciemnościach potrwa jeszcze wiele godzin. Hobbit poruszył się i zapytał:

— Gdzie jesteśmy, Gandalfie?

— W królestwie Gondoru — odparł Czarodziej. — Jedziemy wciąż jeszcze przez Anorien.

Na chwilę zapadło milczenie. Potem Pippin krzyknął nagle i chwycił kurczowo za płaszcz Gandalfa.

— Co to jest?! — zawołał. — Spójrz! Płomień, czerwony płomień! Czy w tym kraju są smoki? Patrz, drugi!

Zamiast odpowiedzieć hobbitowi, Gandalf krzyknął głośno do swego wierzchowca:

— Naprzód, Gryfie! Trzeba się spieszyć. Czas nagli. Patrz! W Gondorze zapalono wojenne sygnały, wzywają pomocy. Wojna już wybuchła. Patrz, płoną ogniska na Amon Din, na Eilenach, zapalają się coraz dalej na zachodzie! Rozbłyska Nardol, Erelas, Min-Rimmon, Kalenhad, a także Halifirien na granicy Rohanu.

Lecz Gryf zwolnił biegu i poszedł w stępa, a potem zadął łeb i zarżał. Z ciemności odpowiedział mu rzenie innych koni, zagrzemiał tętent kopyt, trzej jeźdźcy niby widma przemknęli pędem w poświacie księżyca i zniknęli na zachodzie. Dopiero wtedy Gryf zebrał się w sobie i skoczył naprzód, a noc jak burza huczała wokół pędzącego rumaka.

Pippin znów poczuł się senny i niezbyt uważnie słuchał, co Gandalf opowiada mu o zwyczajach Gondoru. Wszędzie tu na szczytach najwyższych gór wzdłuż granic rozległego kraju były przygotowane stosy i czuwały posterunki z wypoczętymi końmi, by na rozkaz władcy w każdej chwili móc rozpalić wici i rozesłać gońców na północ do Rohanu i na południe do Belfalas.

— Od dawna już nie zapalano tych sygnałów — mówił Gandalf. — Za starożytnych czasów Gondoru nie było to potrzebne, bo królowie zachodu mieli siedem palantirów! — Na te słowa Pippin wzdrygnął się niespokojnie, więc Czarodziej szybko dodał: — Śpij, nie bój się niczego. Nie podążasz jak Frodo do Mordoru, lecz do Minas Tirith, tam zaś będziesz bezpieczny o tyle, o ile w dzisiejszych czasach można być gdziekolwiek bezpiecznym. Jeśli Gondor upadnie albo też Pierścień dostanie się w ręce Nieprzyjaciela, wtedy nawet Shire nie zapewni spokojnego schronienia.

— Ładnieś mnie pocieszył — mruknął Pippin, lecz mimo to senność ogarnęła go znowu. Zanim pogrążył się w głębokim śnie, mignęły mu w oczach białe szczyty wynurzone jak pływające wyspy z morza chmur i świecące blaskiem zachodzącego księżyca. Zdążył pomyśleć o przyjacielu pytając sam siebie, czy Frodo już dotarł do Mordoru i czy żyje. Nie wiedział, że Frodo z daleka patrzył na ten sam księżyc zniżający się nad Gondorem przed świtem nowego dnia.

Obudził Pippina gwar licznych głosów. A więc przeminęła znów jedna doba, dzień w ukryciu i noc w podróży. Szarzało już, zbliżał się chłodny brzask, zimne szare mgły spowijały świat. Gryf parował, zgrzany po galopie, lecz szyję trzymał dumnie podniesioną i nie zdradzał zmęczenia. Dokoła stali rośli ludzie w grubych płaszczach, a za nimi majaczył we mgle kamienny mur. Zdawał się częściowo zburzony, lecz mimo wczesnej pory krzątali się przy nim robotnicy, słychać było stuk młotów, szczęk kielni, skrzyp kół. Tu i ówdzie przez mgłę przebłyskiwały niki światła pochodni i latarni. Gandalf pertraktował z ludźmi, którzy mu zastąpili drogę, a przysłuchując się Pippin stwierdził, że mowa właśnie o nim.

— Ciebie, Mithrandirze, znamy — powiedział przywódca ludzi — zresztą ty znasz hasło Siedmiu Bram, wolno ci więc jechać dalej. O twoim towarzyszu wszakże nic nam nie wiadomo. Co to za jeden? Karzeł z gór północy? Nie chcemy w dzisiejszych czasach mieć w swoim kraju obcych gości, chyba że są to mężczyźni i zbrojni wojownicy, na których pomocy i wierności możemy polegać.

— Poręczę za niego przed tronem Denethora — odparł Gandalf. — A co do męstwa, nie trzeba go mierzyć wzrostem. Mój towarzysz ma za sobą więcej bitew i niebezpiecznych przygód niż ty, Ingoldzie, chociaż jesteś od niego dwakroć wyższy. Przybywa prosto ze zdobytego Isengardu, o którego upadku przywozimy wam nowinę; jest bardzo utrudzony, gdyby nie to, zaraz bym go obudził. Nazywa się Peregrin; to mąż wielkiej waleczności.

— Mąż? — z powątpiewaniem rzekł Ingold, a inni zaśmiali się drwiąco.

— Mąż! — krzyknął Pippin, nagle trzeźwiejąc ze snu. — Mąż! Nic podobnego! Jestem hobbitem, nie człowiekiem i nie wojownikiem, chociaż zdarzało mi się wojować, gdy innej rady nie było. Nie dajcie się Gandalfowi zbałamucić!

— Niejeden zasłużony w bojach nie umiałby pięknie się przedstawić — powiedział Ingold. — Cóż to znaczy: hobbit?

— Niziołek — odparł Gandalf, a spostrzegając wrażenie, jakie ta nazwa wywarła na ludziach, wyjaśnił: — Nie, nie ten, lecz jego współplemieniec.

— I towarzysz jego wyprawy — dodał Pippin. — Był też z nami Boromir, wasz rodak; on to mnie ocalił wśród śniegów północy, a potem zginął w mojej obronie stawiając czoło przewadze napastników.

— Bądź cicho! — przerwał mu Gandalf. — Tę żałobną wieść wypada najpierw oznajmić jego ojcu.

— Już się jej domyślamy — odparł Ingold — bo dziwne znaki przestrzegały nas ostatnimi czasy. Skoro tak, jedźcie nie zwlekając do grodu. Władca Minas Tirith zechce pewnie co prędzej wysłuchać tego, kto mu przynosi ostatnie pożegnanie od syna, niechby to był człowiek czy też...

— Hobbit — rzekł Pippin. — Niewielkie usługi mogę oddać waszemu Władcy, lecz przez pamięć dzielnego Boromira zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Bądźcie zdrowi — powiedział Ingold. Ludzie rozstąpili się przed Gryfem, który wszedł zaraz w wąską bramę otwartą w murach. — Obyś wsparł Denethora dobrą radą w godzinie ciężkiej dla niego i dla nas wszystkich, Mithrandirze! — zawołał Ingold. — Szkoda, że znów przynosisz wieści o żałobie i niebezpieczeństwie, jak to jest podobno twoim zwyczajem.

— Rzadko się bowiem zjawiam i tylko wtedy, gdy potrzebna jest moja pomoc — odparł Gandalf. — Jeśli chcesz mojej rady, to sądzę, że za późno bierzecie się do naprawy murów wokół Pelennoru. Przeciwnie burzy, która się zbliża, najlepszą obroną będzie wam własna odwaga, a także nadzieja, którą wam przynoszę. Nie same tylko złe wieści wiozę! Zaniechajcie kielni, pora ostrzyć miecze!

— Te roboty skończymy dziś przed wieczorem — rzekł Ingold. — Naprawiamy już ostatnią część muru, najmniej zresztą narażoną, bo zwróconą w stronę sprzymierzonego z nami Rohanu. Czy wiesz coś o Rohańczykach? Czy stawia się na wezwanie? Jak sądzisz?

— Tak jest, przyjdą. Ale stoczyli już wiele bitew na waszym zapleczu. Ta droga, podobnie jak wszystkie inne, dziś już nie prowadzi w bezpieczne strony. Czuwajcie! Gdyby nie Gandalf, kruk złych wieści, zobaczylibyście ciągnące od Anorien zastępy Nieprzyjaciela zamiast jeźdźców Rohanu. Nie wiem na pewno, czy tak się mimo wszystko nie stanie. Żegnajcie i pamiętajcie, że trzeba mieć oczy otwarte!

Gandalf wjechał więc w szeroki pas ziemi za Rammas Echor — tak Gondorczycy nazwali zewnętrzny mur, wzniesiony niemałym trudem, gdy Ithilien znalazło się w zasięgu wrogiego cienia. Mur ten miał ponad dziesięć staj długości i odbiegając od stóp gór wracał ku nim zatoczywszy szeroki krąg wokół pól Pellennoru; piękne, żyzne podgrodzie rozpościerało się na wydłużonych zboczach i terasach, które opadały ku głębokiej dolinie Anduiny. W najdalej na północ-wschód wysuniętym punkcie mur odległy był od Wielkich Wrót stolicy o cztery staje; w tym miejscu szczególnie wysoki i potężny, górował na urwistej skarpie ponad pasmem nadrzecznej równiny; tu bowiem na podmurowanej grobli biegła od brodów i mostów Osgiliathu droga przechodząca między warownymi wieżami przez strzeżoną bramę. Na południo-zachodzie odległość między murem a miastem wynosiła najmniej, bo tylko jedną staję; tam Anduina, opływając szerokim zakolem góry Emyrn Arnen w południowym Ithilien, skręcała ostro na zachód, a zewnętrzny mur piętrzył się tuż nad jej brzegiem, gdzie ciągnęły się bulwary i przystań Harlond dla łodzi przybywających pod prąd Rzeki z południowych prowincji. Podegrodzie było bogate w pola uprawne i sady, koło domów stały szopy i spichrze, owczarnie i obory; liczne potoki, perląc się, spływały z gór do Anduiny. Niewielu wszakże pasterzy i rolników żyło na tym obszarze, większość ludności Gondoru skupiała się w siedmiu kręgach stolicy lub w wysoko położonych dolinach na podgórzu, w Lossarnach czy też dalej na południe w pięknej krainie Lebennin, nad jej pięciu bystrzymi strumieniami. Dzielne plemię osiadło między górami a Morzem. Uważano ich za Gondorczyków, lecz mieli w żyłach krew mieszaną, byli przeważnie krępej budowy i smagłej cery; wywodzili się od dawno zapomnianego ludu, który żył w cieniu gór za Czarnych Lat, przed nastaniem królów. Dalej jeszcze, w lennej krainie Belfalas mieszkał w zamku Dol Amroth nad Morzem książę Imrahil, potomek wielkiego rodu, a całe jego plemię rosnących ludzi miało oczy szarozielone jak morskie fale.

Gandalf jechał czas jakiś, aż niebo rozwidniło się zupełnie, Pippin zaś, wybity wreszcie ze snu, rozglądał się wkoło. Po lewej ręce widział tylko jezioro mgieł wzbijających się ku złowrogim ceniom wschodu, po prawej natomiast spiętrzony od zachodu łańcuch górski urywał się nagle, jak gdyby kształtująca ten teren po-

teżna Rzeka przerwała olbrzymią zaporę i wyłobiła szeroką dolinę, która miała się stać później polem bitew i kością niezgody. Tam zaś, gdzie Białe Góry, Ered Nimrais, kończyły się, ujrzał Pippin wedle zapowiedzi Gandalfa ciemną bryłę góry Mindolluiny, fioletowe cienie w głębi wysoko położonych wąwozów i strzelistą ścianę bielejącą w blasku wstającego dnia. Na wysuniętym ramieniu tej góry stało miasto, strzeżone przez siedem kręgów kamiennych murów, tak stare i potężne, że zdawało się nie zbudowane, lecz wyrzeźbione przez olbrzymów w kośćcu ziemi.

Pippin patrzył z podziwem, gdy nagle szare mury zbieleły i zarumieniły się od porannej zorzy, słońce wychyliło nad cienie wschodu i wiązka promieni objęła gród. Hobbit krzyknął z zachwyty, bo wieża Ektheliona, wystzelająca pośród ostatniego i najwyższego obrębu murów, rozbiły na tle nieba jak iglica z pereł i srebra, smukła, piękna, kształtna, uwieńczona szczytem iskrzącym się jak kryształ. Z blanków powiały białe chorągwie trzepocząc na rannym wietrze, a z wysoka i z daleka dobiegł głos dźwięczny jakby srebrnych trąb.

Tak Gandalf i Peregrin o wschodzie słońca wjechali pod Wielkie Wrota Gondoru i żelazne drzwi otwały się przed Gryfem.

— Mithrandir! Mithrandir! — zawołali ludzie. — A więc burza jest naprawdę już blisko.

— Burza nadciąga — odparł Gandalf. — Przylatuję na jej skrzydłach. Muszę stanąć przed waszym władcą Denethorem, póki trwa jego namiestnictwo. Cokolwiek bowiem się zdarzy, zbliża się koniec Gondoru takiego, jaki znaliście dotychczas. Nie zatrzymujcie mnie!

Ludzie na rozkaz posłusznie odstąpili od niego i nie zadawali więcej pytań, chociaż ze zdziwieniem przyglądali się hobbitowi siedzącemu przed nim na siodle, a także wspaniałemu wierzchowcowi. Mieszkańcy grodu nie używali bowiem koni i rzadko widywano je na ulicach, chyba że niosły gońców Denethora. Toteż ludzie mówili między sobą:

— To z pewnością koń ze sławnych stajen króla Rohanu. Może Rohirrimowie wkrótce przybędą na pomoc.

Gryf tymczasem dumnie stapał po długiej, krętej drodze pod górę.

Gród Minas Tirith rozsiadł się na siedmiu poziomach, z których każdy wrzywał się w zbocze góry i otoczony był murem, w każdym zaś murze była brama. Pierwsza, Wielkie Wrota, otwierała się w dolnym kręgu murów od wschodu, następna odsunięta była nieco na południe, trzecia — na północ, i tak dalej, aż po szczyt, tak że brukowana droga wspinająca się ku twierdzy przecinała stok zygzakiem to w tę, to w drugą stronę. Ilekroć zaś znalazła się nad Wielkimi Wrotami, wchodziła w sklepiony tunel, przebijający olbrzymi filar skalny, którego potężny, wystający blok dzielił wszystkie kręgi grodu z wyjątkiem pierwszego. Częściowo ukształtowała tak górę sama przyroda, częściowo praca i przemysłność ludzi sprzed wieków, dość że na tyłach rozległego dziedzińca za Wrotami piętrzył się bastion kamienny, ostrą niby kil statku krawędzią zwrócony ku wschodowi.

Wznosił się aż do najwyższego kręgu, gdzie wieńczyła go obmurowana galeria; obrońcy twierdzy mogli więc jak załoga olbrzymiego okrętu z bocianiego gniazda spoglądać z wysoka na Wrota, leżące o siedemset stóp niżej. Wejście do twierdzy również otwierało się od wschodu, lecz było wgłębione w rdzeń skały; stąd długi, oświetlony latarniami skłon prowadził pod Siódmą Bramę. Za nią dopiero znajdował się Najwyższy Dziedziniec i Plac Wodotrysku u stóp Białej Wieży. Wieża ta, piękna i wyniosła, mierzyła pięćdziesiąt sążni od podstawy do szczytu, z którego flaga Namiestników powiewała na wysokości tysiąca stóp ponad równiną. Była to doprawdy potężna warownia, nie do zdobycia dla największej nawet nieprzyjacielskiej armii, jeśli w murach znaleźli się ludzie zdolni do noszenia broni; napastnicy mogliby wtargnąć łatwiej od tyłu, wspinając się po niższych od tej strony zboczach Mindolluiny, aż na wąskie ramię, które łączyła Górę Straży z głównym masywem. Lecz ramię to, wzniesione do wysokości piątego muru, zagradzały mocne szańce wsparte o urwistą, przewieszoną nad nim ścianę skalną. Tutaj w sklepionych grobowcach spoczywali dawni królowie i władcy, na zawsze milczący między górą a wieżą.

Pippin z coraz większym podziwem patrzył na ogromne kamienne miasto; nawet we śnie nie widział dotąd nic równie wielkiego i wspaniałego. Ten gród był od Isengardu nie tylko rozleglejszy i potężniejszy, lecz znacznie piękniejszy. Niestety, wszystkie oznaki wskazywały, że podupadał z roku na rok, i żyła w nim już teraz ledwie połowa ludzi, których by mógł wygodnie pomieścić. Na każdej ulicy jeźdźcy mijali wielkie domy i dziedzińce, a nad łukami bram Pippin spostrzegał rzeźbione pięknie litery dziwnego i starodawnego pisma; domyślał się, że to nazwiska dostojnych mężów i rodów, zamieszkujących tu niegdyś; teraz siedziby ich stały opuszczone, na bruku wspaniałych dziedzińców nie dźwięczały niczyje kroki, głos żaden nie rozbrzmiewał w salach, ani jedna twarz nie ukazywała się w drzwiach czy też w pustych oknach. Wreszcie znaleźli się przed Siódmą Bramą, a ciepłe słońce, to samo, które lśniło za Rzeką, gdy Frodo wędrował dolinkami Ithilien, błyszczało tu na gładkich ścianach, na mocno osadzonych w skale filarach i na ogromnym sklepieniu, którego zwornik wyrzeźbiony był na kształt ukoronowanej, królewskiej głowy. Gandalf zeskoczył z siodła, bo koni nie wpuszczano do wnętrza twierdzy, a Gryf, zachęcony łagodnym szeptem swego pana, pozwolił się odprowadzić na bok.

Strażnicy u bramy mieli czarne płaszcze, a hełmy niezwykle, bardzo wysokie, nisko zachodzące na policzki i ciasno obejmujące twarze; hełmy te, ozdobione nad skronią białym skrzydłem mewy, błyszczały jak srebrne płomienie, były bowiem wykute ze szczerego mithrilu i stanowiły dziedzictwo z dni dawnej chwały. Na czarnych pancerzach widniało wyhaftowane białym jak śnieg jedwabiem kwitnące drzewo, a nad nim srebrna korona i gwiazdy. Był to tradycyjny strój potomków

Elendila i nikt go już nie nosił w Gondorze prócz strażników twierdzy pilnujących wstępu na Plac Wodotrysku, gdzie ongi rośło Białe Drzewo.

Wieść o przybyciu gości musiał ich zapewne wyprzedzić, bo otwarto bramę natychmiast, o nic nie pytając. Gandalf szybkim krokiem wszedł na wybrukowany białymi płytami dziedziniec. Urocza fontanna tryskała tu w blasku porannego słońca; otaczała ją świeża zieleń, lecz pośrodku, schylone nad basenem, stało Martwe Drzewo, a krople smutnie spadały z jego nagich, połamanych gałęzi z powrotem w czystą wodę.

Pippin zerknął na nie, spiesząc za Gandalfem. Wydało mu się ponure i zdziwił się, że zostawiono uschnięte drzewo w tak porządnie utrzymanym otoczeniu.

„Siedem gwiazd, siedem kamieni i jedno białe drzewo”.

Przypomniał sobie te słowa, wyszeptane kiedyś przez Gandalfa. Lecz już stał u drzwi wielkiej sali pod jaśniejącą wieżą; w ślad za Czarodziejem minął roślących, milczących odźwiernych i znalazł się w chłodnym, cieniastym, dzwoniącym echem wnętrzu kamiennego domu. W długim, pustym, wyłożonym płytami korytarzu Gandalf po cichu przemówił do Pippina:

— Rozważaj każde słowo, mości Peregrinie! Nie miejsce to i nie pora na hobbitkie gadulstwo. Theoden to dobrotliwy staruszek. Denethor jest z innej zgola gliny, dumny i przebiegły, znacznie też wspanialszego rodu i możniejszy, chociaż nie tytułują go królem. Będzie przede wszystkim zwracał się do ciebie i zada ci mnóstwo pytań, skoro możesz mu wiele powiedzieć o jego synu Boromirze. Kochał go bardzo, może za bardzo; tym bardziej, że wcale do siebie nie byli podobni. Lecz zapewne użyje osłony miłości, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co chce, licząc, że łatwiej się tego dowie od ciebie niż ode mnie. Nie mów nic ponad to, co konieczne, a zwłaszcza nie wspominaj o misji Froda. Ja sam to wyjaśnię we właściwej chwili. Jeśli się da, nie mów też nic o Aragornie.

— Dlaczego? Co zawinił Obieżyświat? — szepnął Pippin. — Chciał przecież także przyjść tutaj, prawda? I niechybnie wkrótce zjawi się we własnej osobie.

— Może, może — odparł Gandalf. — Jeśli się jednak zjawi, nadejdzie pewnie inną drogą, niż myślimy, inną, niż myśli sam Denethor. Tak będzie lepiej. W każdym razie nie my zapowiemy jego przybycie. Gandalf zatrzymał się przed wysokimi drzwiami z polerowanego metalu.

— Widzisz, mój Pippinie, brak mi czasu na wykład z historii Gondoru, chociaż wielka szkoda, żeś się czegoś więcej nie nauczył za młodu, zamiast plądrować ptasie gniazda po drzewach i wagarować w lasach Shire’u. Posłuchaj jednak mojej rady. Nie byłoby mądrze przynosząc potężnemu władcy wieść o śmierci spadkobiercy opowiadać szeroko o bliskim nadejściu kogoś, kto — jeśli przyjdzie — ma prawo zażądać tronu. Zrozumiałeś?

— Tronu? — powtórzył oszołomiony Pippin.

— Tak jest — rzekł Gandalf. — Jeżeli dotychczas wędrowałeś po świecie z zatkanymi uszami i uśpionym umysłem, obudź się wreszcie!

I zapukał do drzwi.

Drzwi się otwarły, lecz nikogo za nimi nie było. Pippin ujrzał ogromną salę. Światło docierało do niej przez okna, głęboko wcięte w grube mury dwóch bocznych naw, odgradzonych od środkowej rzędami wysmukłych kolumn podpierających strop. Kolumny z litego czarnego marmuru rozkwitały u szczytów kapitelami wyrzeźbionymi w dziwne postacie zwierząt i liście osobliwego kształtu. Wysoko w górze ogromne sklepienie połyskiwało w półmroku matowym złotem, inkrustowanym w różnobarwny deseń. W tej długiej, uroczystej sali nie było zasłon ani dywanów, żadnych tkanin ani drewnianych sprzętów, tylko pomiędzy kolumnami mnóstwo milczących posągów wykutych w zimnym kamieniu.

Pippin nagle przypomniał sobie wyciosane w skale Argonath pomniki i z trwożną czcią spojrzął w perspektywę tego szpaleru dawno zmarłych królów. W głębi, wzniesiony na kilku stopniach stał wysoki tron pod baldachimem z marmuru rzeźbionym na kształt ukoronowanego hełmu. Za nim na ścianie mozaika z drogocennych kamieni przedstawiała kwitnące drzewo. Tron był pusty. U podnóża wzniesienia, na najniższym stopniu, szerokim i wysokim, umieszczono kamienny fotel, czarny i gładki, a na nim siedział stary człowiek ze spuszczoneymi oczyma. W ręku trzymał białą różdżkę opatrzoną złotą gałką. Nie podniósł wzroku. Dwaj przybysze z wolna szli ku niemu, aż stanęli o trzy kroki przed kamiennym fotelem. Wówczas Gandalf przemówił:

— Witaj, Władco i Namiestniku Minas Tirith, Denethorze, synu Ektheliona! Przynoszę ci radę i wieści w tej ciężkiej godzinie.

Dopiero wtedy stary człowiek dźwignął głowę. Pippin zobaczył rzeźbioną pięknie twarz, dumne rysy, cerę koloru kości słoniowej, długi, orli nos pomiędzy ciemnymi, głęboko osadzonymi oczyma. Wydała mu się bardziej podobna do Aragorna niż do Boromira.

— Godzina jest zaprawdę ciężka — rzekł starzec — a ty masz zwyczaj zjawiać się w takich właśnie chwilach, Mithrandirze. Lecz chociaż wszystkie znaki zwiastują nam, że wkrótce los Gondoru się przesili, mniej ciąży mojemu sercu ta sprawa niżli własne nieszczęście. Powiedziano mi, żeś przywiózł kogoś, kto był świadkiem zgonu mojego syna. Czy to ten twój towarzysz?

— Tak jest — odparł Gandalf. — Jeden z dwóch świadków. Drugi został u boku Theodena, króla Rohanu, i niebawem zapewne też przybędzie. Są to, jak widzisz, niziolki, lecz żaden z nich nie jest tym, o którym mówi przepowiednia.

— Bądź co bądź niziolki — posępnie stwierdził Denethor — a niezbyt miła jest dla mnie ta nazwa, odkąd złowieszcze słowa zakłóciły spokój tego dworu i popchnęły mojego syna do szaleńczej wyprawy, w której znalazł śmierć. Mój Boromir! Jakże nam go dzisiaj brak! To Faramir powinien był iść zamiast niego.

— I poszedłby chętnie — rzekł Gandalf. — Nie bądź niesprawiedliwy w swo-

im żalu. Boromir domagał się tej misji dla siebie i za nic nie zgadzał się, by go ktoś inny zastąpił. Miał charakter władczy, zagarniał to, czego pragnął. Długo wędrowałem w jego towarzystwie i dobrze go poznałem. Ale mówisz o jego śmierci. Więc ta wiadomość doszła do ciebie wcześniej niż my?

— Doszło do moich rąk to — powiedział Denethor i odkładając różdżkę podniósł ze swych kolan przedmiot, w który się wpatrywał, gdy goście zbliżali się do tronu. W każdej ręce trzymał połowę dużego, pękniętego na dwoje, bawolego rogu, okutego srebrem.

— To róg, który Boromir nosił zawsze przy sobie! — wykrzyknął Pippin.

— Tak jest — rzekł Denethor. — W swoim czasie i ja go nosiłem, jak wszyscy pierworodni synowie w moim rodzie od zamierzchłych czasów, jeszcze sprzed upadku królów, od czasów, gdy Vorondil, ojciec Mardila, polował na białe bawoły Arawa na dalekich stepach Rhun. Trzydzieści dni temu usłyszałem znad północnego pogranicza ściszony głos tego rogu, potem zaś Rzeka przyniosła mi go, lecz złamany; nigdy już więcej nie zagra. — Denethor umilkł i zapadła pociągająca cisza. Nagle zwrócił czarne oczy na Pippina. — Co powiesz na to, niziolku?

— Trzydzieści dni temu... — wyjąkał Pippin. — Tak, to się zgadza. Stałem przy nim, gdy zadał w róg. Lecz pomoc nie nadeszła. Tylko nowe bandy orków.

— A więc byłeś przy tym — rzekł Denethor patrząc pilnie w twarz hobbita. — Opowiedz mi wszystko. Dlaczego pomoc nie nadeszła? Jakim sposobem ty ocalałeś, a poległ Boromir, mąż tak wielkiej siły, mając tylko garść orków przeciw sobie?

Pippin zaczerwienił się i zapomniał o strachu.

— Najsilniejszy mąż zginąć może od jednej strzały — odparł — a Boromira przeszył cały rój strzał. Gdy go ostatni raz widziałem, osunął się pod drzewo i wyciągał ze swojego boku czarnopióry grot. Co do mnie, omdlałem w tym momencie i wzięto mnie do niewoli. Później już nie widziałem Boromira i nic więcej o nim nie słyszałem. Ale czuję jego pamięć, bo to był mężny człowiek. Umarł, żeby nas ocalić, mnie i mego współplemieńca Meriadoka; żołdacy czarnego Władcy porwali nas obu i powlekli w lasy. Chociaż nie zdołał nas obronić, nie umniejsza to mojej wdzięczności.

Pippin spojrział Denethorowi prosto w oczy, bo zbudziła się w nim jakaś dziwna duma i zranił go ton wzgardy czy podejrzenia w zimnym głosie starca.

— Wiem, że tak możnemu władcy ludzi nie na wiele się przydadzą usługi hobbita, niziolka z dalekiego północnego kraju, lecz to, na co mnie stać, ofiarowuję ci na spłatę mego długu.

I odrzucając z ramion szary płaszcz Pippin dobył mieczyka, by złożyć go u nóg Denethora.

Nikły uśmiech, jak chłodny błysk słońca w zimowy wieczór, przemknął po starczej twarzy; Denethor spuścił jednak głowę i wyciągnął rękę odkładając na bok szczątki Boromirowego rogu.

— Podaj mi swój oręż! — rzekł. Pippin podniósł mieczyk i podał władcy rękojeścią do przodu.

— Skąd go masz? — spytał Denethor. — Wiele, wiele lat przetrwała ta stal. To niewątpliwie ostrze wykute przez nasze plemię na północy w niepamiętnej przeszłości.

— Broń ta pochodzi z Kurhanów, które wznoszą się na pograniczu mojego kraju — odparł Pippin. — Lecz dziś mieszkają tam jedynie złośliwe upiory i wołałbym o nich nie mówić więcej.

— Dziwne legendy krążą o was — rzekł Denethor. — Raz jeszcze sprawdza się przysłowie, że nie należy sądzić człowieka — lub niziołka — po pozorach. Przyjmuję twoje usługi. Niełatwo cię bowiem nastraszyć słowami i umiesz przemawiać dworną mową, chociaż brzmi ona niezwykle w uszach ludów południa. Nadchodzą czasy, gdy potrzebni nam będą pomocnicy rycerskich obyczajów, mali czy wielcy. Przysięgnij mi teraz wierność.

— Ujmij rękojeść miecza — pouczył hobbita Gandalf — i powtarzaj za Denethorem przysięgę, jeśli nie zmieniłeś postanowienia.

— Nie zmieniłem — rzekł Pippin.

Starzec położył mieczyk na swych kolanach i zaczął recytować formułę przysięgi, Pippin zaś, z ręką na gardzie, powtarzał z wolna słowo po słowie.

— Ślubuję wierność i służbę Gondorowi i Namiestnikowi władającemu tym królestwem. Jemu posłuszny, będę usta otwierał lub zamykał, czynił lub wstrzymywał się od czynów, pójdę, gdzie mi rozkaże, lub wrócę na jego wezwanie, służyć mu będę w biedzie lub w dostatku, w czas pokoju lub wojny, życiem lub śmiercią, od tej chwili, aż dopóki mój pan mnie nie zwolni lub śmierć nie zabierze, lub świat się nie skończy. Tak rzekłem ja, Peregrin, syn Paladina, niziołek z Shire'u.

— Przyjąłem te słowa, ja, Denethor, syn Ektheliona, Władca Gondoru, Namiestnik wielkiego króla, i nie zapomnę ich ani też nie omieszkam wynagrodzić sprawiedliwie: wierność miłością, męstwa cziłą, wiarołomstwa pomstą.

Po czym Pippin otrzymał z powrotem swój mieczyk i wsunął go do pochwy.

— A teraz — rzekł Denethor — daję ci pierwszy rozkaz: mów i nie przemilczaj prawdy. Opowiedz mi całą historię, przypomnij sobie wszystko, co wiesz o moim synu Boromirze. Siądź i zaczynaj!

Mówiąc to uderzył w mały srebrny gong stojący obok jego podnóżka i natychmiast zjawili się słudzy. Pippin zrozumiał, że stali od początku w niszach po obu stronach drzwi, gdzie ani on, ani Gandalf nie mogli ich widzieć.

— Przynieście wino, jadło i krzesła dla gości — rzekł Denethor — i pilnujcie, by nikt nam nie przeszkodził w ciągu następnej godziny.

— Tyle tylko czasu mogę wam poświęcić — dodał zwracając się do Gandalfa — bo wiele spraw ciąży na mojej głowie. Może nawet ważniejszych, lecz mniej dla mnie pilnych. Ale jeśli się da, porozmawiamy znowu dziś wieczorem.

— Mam nadzieję, że wcześniej jeszcze — odparł Gandalf. — Spieszyłem bowiem z wiatrem na wyścigi z odległego o sto pięćdziesiąt staj Isengardu nie tylko po to, by ci przywieźć jednego małego wojaka, choćby najdawniejszych obyczajów. Czy nie ma dla ciebie wagi wiadomość, że Theoden stoczył wielką bitwę, że Isengard padł i że złamałem różdżkę Sarumana?

— Nowiny bardzo ważne, lecz wiedziałem o tym bez ciebie, dość by powziąć własne plany ku obronie od groźby ze wschodu.

Denethor zwrócił ciemne oczy na Gandalfa, a Pippin nagle spostrzegł między nimi dwoma jakieś podobieństwo i wyczuł napięcie dwóch sił, jak gdyby tłący się lont łączył dwie pary oczu i lada chwila mógł buchnąć płomieniem.

Denethor nawet bardziej wyglądał na czarodzieja niż Gandalf, więcej miał w sobie majestatu, urody i siły. Zdawał się starszy. Lecz inny jakiś zmysł na przekór wzrokowi upewnił Peregrina, że Gandalf posiada większą moc, głębszą mądrość i majestat wspanialszy, chociaż ukryty. Na pewno też był starszy. „Ile on może mieć lat?” — myślał Pippin i dziwił się, że nigdy dotychczas nie zadał sobie tego pytania. Drzewiec mruczał coś o czarodziejach, lecz słuchając go hobbit nie pamiętał, że to dotyczy również Gandalfa. Kim jest naprawdę Gandalf? W jakiej odległej przeszłości, w jakim kraju przyszedł na świat? Kiedy go opuści? Pippin ocknął się z zadumy. Denethor i Gandalf wciąż patrzyli sobie w oczy, jakby nawzajem czytając swe myśli. Lecz Denethor pierwszy odwrócił twarz.

— Tak — powiedział. — Krysztály jasnowidzenia podobno zaginęły, mimo to władcy Gondoru mają wzrok bystrzejszy niż pospolici ludzie i wiele nowin dociera do nich. Ale teraz proszę, siadźcie.

Słudzy przynieśli fotel i niskie krzeselko, podali na tacy srebrny dzban, kubki i białe ciasto. Pippin usiadł, lecz nie mógł oderwać oczu od starego władcy. Czy mu się zdawało, czy też rzeczywiście mówiąc o krysztalach Denethor z nagłym błyskiem w oczach spojrzał na niego.

— Opowiedz swoją historię, mój wasalu — rzekł Denethor na pół żartobliwie, a na pół drwiąco. — Cenne są dla mnie słowa tego, kto przyjaźnił się z moim synem.

Pippin na zawsze zapamiętał tę godzinę spędzoną w ogromnej sali pod przenikliwym spojrzeniem Władcy Gondoru, w ogniu coraz to nowych podchwytliwych pytań, z Gandalfem u boku przysłuchującym się czujnie i powściągającym — hobbit wyczuwał to nieomylnie — gniewną niecierpliwość. Kiedy minął wyznaczony czas i Denethor znów zadzwonił w gong, Pippin był bardzo znużony.

„Jest chyba niewiele po dziewiątej — myślał. — Mógłbym teraz zjeść trzy śniadania za jednym zamachem”.

— Zaprowadźcie dostojnego Mithrandira do przygotowanego dlań domu — powiedział Denethor do sług. — Jego towarzysz może, jeśli sobie życzy, zamiesz-

kać tymczasem razem z nim. Ale wiedźcie, że zaprzysiągł mi służbę; nazywa się Peregrin, syn Paladina; trzeba go wtajemniczyć w pomniejsze hasła. Zawiadomcie dowódców, że mają się stawić tutaj u mnie możliwie zaraz po wybiciu trzeciej godziny. Ty, czcigodny Mithrandirze, przyjdź również, jeśli i kiedy ci się spodoba. O każdej porze masz do mnie wstęp wolny, z wyjątkiem krótkich godzin mego snu. Ochłoń z gniewu, który w tobie wzbudziło szaleństwo starca, i wróć, by mnie wesprzeć radą i pociechą.

— Szaleństwo? — powtórzył Gandalf. — O, nie! Prędzej umrzesz, niż stracisz rozum, dostojny panie. Umiesz nawet żałoby użyć jako płaszcza. Czy sądzisz, że nie zrozumiałem, dlaczego przez godzinę wypytywałeś tego, który wie mniej, chociaż ja siedziałem obok?

— Jeśli zrozumiałeś, możesz być zadowolony — odparł Denethor. — Szaleństwem byłaby duma, która by wzgardziła pomocą i radą w potrzebie; lecz ty udzielasz tych darów wedle własnych zamysłów. Władca Gondoru nie będzie nigdy narzędziem cudzych planów, choćby najszlachetniejszych. W jego bowiem oczach żaden cel na tym świecie nie może górować nad sprawą Gondoru. A Gondorem ja rządę, nikt inny, chyba że wrócą królowie.

— Chyba że wrócą królowie? — powtórzył Gandalf. — Słusznie, czcigodny Namiestniku, twoim obowiązkiem jest zachować królestwo na ten przypadek, którego dziś już mało kto się spodziewa. I w tym zadaniu użyczę ci wszelkiej pomocy, jaką zechcesz ode mnie przyjąć. Ale powiem jasno: nie rządę żadnym królestwem, Gondorem ani innym państwem, wielkim czy małym. Obchodzi mnie wszakże każde dobro zagrożone niebezpieczeństwem na tym dzisiejszym świecie. W moim sumieniu nie uznaję, że nie spełniłem obowiązku, choćby Gondor zginął, jeśli przetrwa tę noc coś innego, co może jutro rozkwitnąć i przynieść owoce. Ja bowiem także jestem namiestnikiem. Czyś o tym nie wiedział?

I rzekłszy to odwrócił się, a Pippin biegł za nim do wyjścia usiłując dotrzymać mu kroku.

Gandalf nie spojrzał na hobbita ani się nie odezwał do niego przez całą drogę. Przewodnik wprowadził ich od drzwi sali przez Plac Wodotrysku na uliczkę między wysokie kamienne budynki. Skręcali parę razy, nim wreszcie zatrzymali się przed domem w pobliżu muru strzegącego twierdzy od północnej strony, opodal ramienia, które łączyło gród z głównym masywem góry. Weszli po szerokich rzeźbionych schodach na piętro, gdzie znaleźli się w pięknym pokoju, jasnym i przestronnym, ozdobionym zasłonami z gładkiej, lśniącej, złocistej tkaniny. Sprzętów było tu niewiele, nic prócz stolika, dwóch krzeseł i ławy, ale po obu stronach w nie zasłoniętych alkowach przygotowano łóżka z porządną pościelą, a także miski i dzbany z wodą do mycia. Trzy wysokie, wąskie okna otwierały widok na północ, ponad szeroką pętlą Anduiny, wciąż jeszcze osnutej mgłą, ku odległym wzgórzom Emyn Muil i wodogrzmotom Rauros. Pippin musiał wleźć na ławę i wychylić się poprzez szeroki kamienny parapet, by wyjrzeć na świat.

— Czy gniewasz się na mnie, Gandalfie? — spytał, gdy przewodnik pozostawił ich samych i zamknął drzwi. — Zrobiłem, co mogłem.

— Bez wątpienia! — odparł Gandalf wybuchając nagle śmiechem; podszedł do Pippina, objął go ramieniem i także popatrzał przez okno. Pippin zerknął na twarz Czarodzieja górującą tuż nad jego głową, trochę zaskoczony, bo śmiech zabrzmiał beztrosko i wesoło. A jednak porysowana zmarszczkami twarz Gandalfa wydała mu się w pierwszej chwili zakłopotana i smutna; dopiero po dłuższej obserwacji dostrzegł pod tą maską wyraz wielkiej radości, ukryte źródło wesela, tak bogate, że mogłoby śmiechem wypełnić całe królestwo, gdyby trysnęło swobodnie.

— Niewątpliwie zrobiłeś, co mogłeś — rzekł Czarodziej. — Mam nadzieję, że nieprędko po raz drugi znajdziesz się w równie trudnym położeniu, między dwoma tak groźnymi starcami. Mimo wszystko Władca Gondoru dowiedział się od ciebie więcej, niż przypuszczasz, Pippinie. Nie zdołałeś ukryć przed nim, że nie Boromir przewodził Drużynie po wyjściu z Morii i że był wśród was ktoś niezwykle dostojny, kto wkrótce przybędzie do Minas Tirith, i że ten ktoś ma u boku legendarny miecz. Ludzie w Gondorze myślą wiele o starych legendach, a Denethor, odkąd Boromir ruszył na wyprawę, nieraz rozważał słowa wyroczni i zastanawiał się, co miała znaczyć „zguba Isildura”.

To człowiek niepospolity wśród ludzi tych czasów, Pippinie; kimkolwiek byli jego przodkowie, niemal najczystsza krew Westernesse płynie w żyłach Denethora, tak jak i w żyłach jego młodszego syna, Faramira; Boromir, którego ojciec najbardziej kochał, był jednak inny. Denethor sięga wzrokiem daleko. Jeśli wyteży wolę, może wyczytać wiele z tego, co inni myślą, nawet jeśli przebywają w odległym kraju. Niełatwo go oszukać i niebezpiecznie byłoby tego próbować.

Pamiętaj o tym, Pippinie. Zaprzysiągłeś mu bowiem służbę. Nie wiem, skąd ci ten pomysł przyszedł do głowy czy może do serca. Ale dobrze postąpiłeś. Nie przeszkodziłem ci w tym, bo zimny rozsądek nie powinien nigdy hamować szlachetnych porywów. Nie tylko wprawiłeś go w dobry humor, ale wzruszyłeś jego serce. Zyskałeś zaś przynajmniej swobodę poruszania się do woli po Minas Tirith — gdy nie będziesz na służbie. Medal ma bowiem drugą stronę. Oddałeś się pod rozkazy Denethora; on o tym nie zapomni. Bądź nadal ostrożny!

Gandalf umilkł i westchnął.

— No tak, ale nie trzeba zbyt wiele myśleć o jutrze. Przede wszystkim dlatego, że każdy następny dzień przez długi czas jeszcze będzie przynosił gorsze troski niż poprzedni. A ja nie będę ci mógł teraz w niczym pomóc. Szachownica jest zastawiona, figury już poszły w ruch; jedną z nich bardzo chciałbym odnaleźć, a mianowicie Faramira, który jest obecnie spadkobiercą Denethora. Nie sądzę, by przebywał w stolicy, ale nie miałem czasu na zasięgnięcie języka. Muszę już iść, Pippinie. Muszę wziąć udział w naradzie dowódców i dowiedzieć się z niej jak najwięcej. Teraz jednak kolej na ruch przeciwnika, który lada chwila otworzy

wielką grę. A pionki zagrają w niej role nie mniejsze niż figury, Peregrinie, synu Paladina, żołnierzu Gondoru. Wyostrz swój miecz!

Gandalf podszedł do drzwi, lecz odwrócił się od progu raz jeszcze.

— Spieszę się, Pippinie — rzekł. — Oddaj mi pewną przysługę, gdy wyjdiesz na miasto. Zrób to, zanim położysz się na spoczynek, jeśli nie jesteś zanadto zmęczony. Odszukaj Gryfa i sprawdź, jak go zaopatrzono. Tutejsi ludzie są dobrzy dla zwierząt, bo to zacne i rozumne plemię, ale nie umieją obchodzić się z końmi tak jak Rohirrimowie.

Z tym słowy Gandalf wyszedł, a w tejże chwili z wieży fortecznej rozległ się głos dzwonu, czysty i dźwięczny. Trzy uderzenia srebrzyście rozbrzmiały w powietrzu i umilkły: wybiła godzina trzecia po wschodzie słońca.

Pippin wkrótce potem zbiegł ze schodów i rozejrzał się po ulicy. Słońce świeciło jasne i ciepłe, wieże i wysokie domy rzucały wydłużone, ostre cienie w stronę zachodu. W górze pod błękitem szczyt Mindolluiny wznosił kołpak i okryte śnieżnym płaszczem ramiona. Wszystkimi ulicami grodu zbrojni mężowie dążyli w różnych kierunkach, jakby z wybiciem trzeciej godziny spieszyli zmienić straże i objąć posterunki.

— W Shire liczylibyśmy godzinę dziewiątą — stwierdził głośno sam do siebie Pippin. — Pora smacznego śniadania i otwarcia okna na blask wiosennego słońca. Ach, jak chętnie bym zjadł śniadanie! Ciekawe, czy ci ludzie tutaj w ogóle znają ten zwyczaj; może u nich już dawno po śniadaniu? Kiedy też podają obiad i gdzie?

W tym momencie zobaczył mężczyznę w czarno-białej odzieży zbliżającego się wąską uliczką od ośrodka twierdzy. Pippin czuł się samotny, postanowił więc zagadnąć nieznanego, gdy ten będzie go mijał; okazało się to jednak niepotrzebne, bo mężczyzna podszedł wprost do niego.

— Ty jesteś niziołek Peregrin? — spytał. — Powiedziano mi, że złożyłeś przysięgę na służbę władcy tego grodu. Witaj! — Wyciągnął rękę, którą Pippin uściśnął. — Nazywam się Beregond, syn Baranora. Mam wolne przedpołudnie, więc zlecono mi wyuczyć cię haseł i wyjaśnić przynajmniej część tego, co z pewnością chciałbyś wiedzieć. Ja ze swej strony też spodziewam się nauczyć od ciebie niejednego. Nigdy bowiem jeszcze nie widzieliśmy w tym kraju niziołka, a choć doszły nas różne słuchy o waszym plemieniu, stare historie, które się u nas zachowały, nic prawie o was nie mówią. Co więcej, jesteś przyjacielem Mithrandira. Czy znasz go dobrze?

— Jak by ci rzec? — odparł Pippin. — Nasłuchałem się o nim wiele przez całe moje krótkie życie, ostatnio zaś odbyłem długą podróż w jego towarzystwie. Ale w tej księdze czytać by można długo, a ja nie mogę się chwalić, że poznałem z niej więcej niż jedną, może dwie kartki. Myślę jednak, że mało kto zna go lepiej. Na przykład w naszej kompanii tylko Aragorn znał go naprawdę.

— Aragorn? — spytał Beregond. — Co to za jeden?

— Hm. . . — zająknął się Pippin. — Człowiek, który z nami wędrował. Zdaje się, że teraz bawi w Rohanie.

— Ty również, jak mi mówiono, byłeś w Rohanie. Chętnie bym cię o ten kraj także wypytywał, bo znaczną część tej nikłej nadziei, jaka nam została, w nim właśnie pokładamy. Ale zaniedbuję swe obowiązki, przede wszystkim bowiem miałem odpowiadać na twoje pytania. Czegóż pragniesz się dowiedzieć, Peregrinie?

— Jeśli wolno. . . hm. . . najpierw chciałbym zadać pytanie dość dla mnie w tej chwili palące, w sprawie śniadania i rzeczy temu podobnych. Mówiąc prościej, ciekaw jestem, w jakich porach jada się u was, a także gdzie mieści się sala jadalna, jeśli w ogóle istnieje. A gospody? Rozglądałem się jadąc pod górę, lecz nic w tym rodzaju nie dostrzegłem, chociaż dobrze krzepiła mnie nadzieja na łyk dobrego piwa, który spodziewałem się dostać w tej siedzibie mądrych i uprzejmych ludzi.

Beregond popatrzał na niego z powagą.

— Stary wojak z ciebie, jak widzę — rzekł. — Powiadają, że żołnierze na wyprawie wojennej zawsze rozglądają się pilnie za okazją do jadła i napitku; nie wiem, czy to prawda, bo sam niewiele po świecie podróżowałem. A więc nic jeszcze dzisiaj w ustach nie miałeś?

— Żeby nie skłamać, muszę przyznać, że miałem — odparł Pippin — ale tylko kubek wina i kawałek ciasta, z łaski waszego władcy, który mnie przy tym poczęstunku tak wyżyłował pytaniami, że mi się jeszcze bardziej jeść zachciało.

Beregond śmiał się serdecznie.

— Jest u nas gadka, że mali ludzie największych przy stole prześcigają. Wiedz, że nie gorsze jadłeś śniadanie niż reszta załogi w grodzie, chociaż bardziej zaśczytne. Żyjemy w warowni, w wieży strażniczej i w stanie wojennego pogotowia. Wstajemy wcześniej niż słońce, przegryzamy byle czym o brzasku i obejmujemy służbę wraz ze świtem. Ale nie rozpaczaj! — Zaśmiał się znowu, widząc, jak Pippinowi mina zrzedła. — Ci, którzy wykonują ciężkie prace, posilają się dodatkowo w ciągu przedpołudnia. Potem jemy śniadanie w południe lub później, jak komu obowiązki pozwolą; a po zachodzie słońca zbieramy się na główny posiłek i zabawiamy się wtedy, o tyle, o ile jeszcze w tych czasach zabawić się można. A teraz chodźmy! Oprowadzę cię po grodzie, postaramy się o jakiś prowiant i zjemy na murach, ciesząc się pięknym porankiem.

— Zaraz, zaraz! — odparł rumieniąc się Pippin. — Łakomstwo czy też głód, jeśli zechcesz łaskawie tak to nazwać, wymazało z mej pamięci ważniejszą sprawę. Gandalf — Mithrandir — jak wy go nazywacie — polecił mi, bym odwiedził jego wierzchowca, Gryfa, wspaniałego rumaka z Rohanu, perłę królewskiej stadniny, którego mimo to król Theoden podarował Mithrandirowi za jego zasługi. Zdaje mi się, że nowy właściciel kocha to zwierzę serdeczniej niż niejednego

człowieka, jeśli więc chcecie go sobie zjednać, potraktujcie Gryfa z wszelkimi honorami, w miarę możliwości lepiej nawet niż hobbita. . .

— Hobbita? — przerwał mu Beregond.

— Tak my siebie nazywamy — wyjaśnił Pippin.

— Cieszę się, żeś mnie tej nazwy nauczył — rzekł Beregond — bo teraz mogę powiedzieć, że obcy akcent nie szpeci pięknej wymowy, a hobbitci to plemię bardzo wymowne. Chodźmy! Zapoznasz mnie z tym szlachetnym koniem. Lubię zwierzęta, niestety rzadko je widuję w naszym kamiennym grodzie; wychowałem się gdzie indziej, w dolinie pod górami, a rodzina moja pochodzi z Ithilien. Bądź wszakże spokojny! Złożymy Gryfowi krótką wizytę, tyle tylko, ile grzeczność wymaga, potem zaś pospieszymy do spiżarni.

Pippin zastał Gryfa w porządnej stajni i dobrze opatrzonego. W szóstym bowiem kręgu poza murami warowni było kilka stajen, gdzie trzymano ręce wierzchowce w pobliżu kwatery gońców Namiestnika; gońcy czuwali, gotowi zawsze do drogi na rozkaz Denethora lub któregoś z najwyższych dowódców. Tego jednak ranka wszyscy ci ludzie ich konie byli poza grodem na służbie. Gryf na widok Pippina zarżał i zwrócił ku niemu łeb.

— Dzień dobry! — powiedział Pippin. — Gandalf przyjdzie, jak tylko będzie miał chwilę wolną. Jest zajęty, ale przysyła ci pozdrowienia oraz mnie, żebym sprawdził, czy ci czego nie brakuje i czyś już odpoczął po trudach.

Gryf zadzierał łeb i grzebał nogą, lecz pozwolił Beregondowi pogłaskać się lekko po karku.

— Wygląda, jakby rwał się do wyścigu, a nie jakby właśnie przybył z dalekiej drogi — rzekł Beregond. — Silny i dumny koń. A gdzie siodło i uzda? Należałby mu się strój bogaty i piękny.

— Nie ma dość bogatego i pięknego rzędu dla takiego konia — odparł Pippin. — Nie zniósłby też wędzidła. Jeśli zgodzi się nieść jeźdźca, niczego więcej nie trzeba; jeśli nie zechce, nie zmusisz go wędzidłem, ostrogą ani biczem. Do widzenia, Gryfie. Bądź cierpliwy. Bitwa już blisko.

Rumak zadarł łeb i zarżał tak potężnie, że mury stajni zatrzęsły się, a Beregond i Pippin zatkali uszy. Sprawdzili jeszcze, czy w żłobie jest dość obroku, i wreszcie pożegnali Gryfa.

— A teraz poszukajmy obroku dla siebie — rzekł Beregond prowadząc Pippina z powrotem do twierdzy, pod bramę w północnym murze ogromnej wieży. Stąd zeszli po długich schodach w szeroki chłodny korytarz oświetlony latarniami. Po obu jego stronach widniały szeregi drzwi, a jedno z nich było właśnie otwarte.

— Tu mieszczą się składy i spiżarnie mojego oddziału — powiedział Beregond. — Witaj, Targonie! — zawołał przez uchylone drzwi. — Wcześniej jeszcze, ale przyprowadziłem gościa, którego Denethor przyjął dziś do służby. Przybywa

z daleka, wypościł się w drodze, ranek spędził na ciężkiej pracy i jest głodny. Daj nam, co tam masz pod ręką.

Dostali chleb, masło, ser i jabłka z resztek zimowego zapasu, pomarszczone, lecz zdrowe i słodkie, a także skórzany bukłak z młodym piwem oraz drewniane talerze i kubki. Wszystko to zapakowali do łożynowego koszyka i wyszli znowu na słoneczny świat. Beregond zaprowadził teraz Pippina na wschodni kraniec wielkiego, wysuniętego niby ramię muru, gdzie była wnęka strzelnicza, a pod jej parapetem kamienna ława. Otwierał się stąd szeroki widok na okolicę zalaną światłem poranka.

Zjedli i wypili, a potem gawędzili trochę o Gondorze, o tutejszym życiu i obyczajach, a także trochę o dalekiej ojczyźnie Pippina i o dziwnych krajach, które w swych wędrówkach poznał. Beregond bimbał w powietrzu krótkimi nogami siedząc na kamiennej ławie lub wlaził na nią i wspinał się na palce, aby wyjrzieć na kraj rozpostarty u stóp fortecy.

— Nie chcę taić przed tobą, zacny Pippinie — rzekł wreszcie — że wśród nas wyglądasz jak dziecko, nie jesteś większy niż nasi chłopcy w dziewiątym roku życia; a mimo to zaznałeś tylu niebezpieczeństw i widziałeś takie różne cuda, że niewielu siwych i brodatych starców mogłoby się podobnymi przygodami pochwalić. Myślałem, że dla kaprysu nasz władca chce wziąć sobie szlachetnie urodzonego paza, jak podobno mieli dawni królowie w zwyczaju. Widzę jednak, że się myliłem i przepraszam cię za tę omyłkę.

— Wybaczam ci — odparł Pippin — tym bardziej żeś się niewiele pomylił. W mojej ojczyźnie uchodziłbym za wyrostka, cztery lata brakuje mi jeszcze do pełnoletności, jak ją w Shire liczą. Lecz nie mówmy wciąż o mnie. Rozejrzyjmy się razem po okolicy i objaśnij mi łaskawie, co stąd widać.

Słońce stało już dość wysoko na niebie, mgła z nizin podniosła się w górę, a resztki jej płynęły nad głowami jak białe strzepy obłoku przynaglanego od wschodu wiatrem, który wzmógł się teraz i łopotał w białych flagach i sztandarach na wieży. W dole, na dnie doliny, o jakieś pięć staj w linii prostej od wylotu strzelnicy, połyskiwały szare wody Wielkiej Rzeki, która płynąc od północo-zachodu zataczała szeroki łuk na południe i z powrotem na zachód, by zginać w omglonym blasku, kryjącym odległe o kilkadziesiąt staj Morze. Pippin obejmował wzrokiem cały obszar Pelennoru, usiany w dali mnóstwem zagród wiejskich; widział niskie murki, stodoły i obory, lecz nigdzie nie dostrzegał bydła ani zwierząt domowych. Drogi i ścieżki gęstą siecią przecinały zieleń pól i ruch na nich panował ożywiony; sznury wozów ciągnęły ku Wielkiej Bramie lub spod niej w głąb kraju. Od czasu do czasu u Bramy zjawiał się jeździec, zeskakiwał z siodła i spieszył do grodu. najbardziej uczęszczany zdawał się główny gościniec prowadzący na południe, przecinający rzekę skróconym szlakiem u podnóża gór i ginący szybko z oczu. Gościniec był szeroki, porządnie wybrukowany, a jego wschodnim skrajem pod wysokim murem biegła Zielona Ścieżka dla konnych. Tędy jeźdźcy

pędzili w obu kierunkach, lecz duże kryte budami wozy, tłumnie zapełniające bity szlak, kierowały się wszystkie na południe. Przyjrząwszy się uważniej Pippin stwierdził, że ruch odbywa się w wielkim porządku, wozy toczą się trzema kolumnami; w pierwszej sunęły najszybsze wozy, ciągnięte przez konie, w drugiej — wielkie furgony okryte różnobarwnymi budami, zaprzężone w powolne woły; w trzeciej, na zachodnim skraju, ludzie popychali lekkie, małe wózki.

— Ta droga prowadzi do dolin Tumladen i Lossarnach, a także do wiosek górskich, dalej zaś do Lebennin — powiedział Beregond. — Wozami odjeżdżają ostatni już wyprawiani dla bezpieczeństwa z grodu starcy i dzieci, a z nimi kobiety, niezbędne jako ich opiekunki. Do południa muszą wszyscy znaleźć się poza Bramą i oswobodzić drogę na długości jednej staj; taki jest rozkaz. Smutna konieczność! — westchnął. — Wielu z tych, którzy dziś się rozstali, nigdy już się z sobą w życiu nie spotka. Zawsze była za mało dzieci w naszym mieście, teraz nie ma ich już wcale, z wyjątkiem garstki chłopców, którzy nie zgodzili się opuścić grodu i dla których znajdzie się jakieś zadanie. Między nimi został mój syn.

Na chwilę zaległo milczenie. Pippin z niepokojem spoglądał na wschód, jakby w obawie, że lada chwila ujrzy tysiączne bandy orków nacierające stamtąd na zielone pola.

— A co tam widać? — spytał wskazując coś pośrodku wielkiego łuku Anduiny. — Drugi gród chyba?

— Był to niegdyś najwspanialszy gród Gondoru, a tam, gdzie się znajdujemy, była jedynie jego twierdza — odparł Beregond. — Dziś po obu stronach Rzeki piętrzą się tylko ruiny Osgiliathu, zdobytego i spalonego przez Nieprzyjaciela wiele lat temu. W czasach młodości Denethora odbiliśmy te ruiny, nie zamierzając zresztą wskrzeszać miasta; utrzymaliśmy tam jednak wysuniętą placówkę i odbudowaliśmy most, po którym nasze wojska mogły się przeprawiać. Ale potem z Minas Morgul wysłano Okrutnych Jeźdźców.

— Czarnych Jeźdźców — rzekł Pippin, a jego oczy rozszerzyły się i pociemniały od rozbudzonej na nowo dawnej grozy.

— Tak — przyznał Beregond. — Widzę, że wiesz o nich coś niecoś, chociaż nic nie wspominałeś o tym w swoich opowieściach.

— Wiem o nich różne rzeczy — odszepnął Pippin — ale nie chcę mówić tego tutaj, tak blisko... tak blisko... — Urwał, podniósł wzrok ku drugiemu brzegowi Rzeki i wydawało mu się, że nie widzi tam nic prócz ogromnego, złowrogiego cienia. Może był to majaczący na widnokręgu łańcuch gór, których poszarpane szczyty z odległości przeszło dwudziestu staj rozplywały się niejako we mgle. Pippin jednak miał wrażenie, że mrok rośnie w jego oczach, gęstnieje powoli, wzbierając, by zalać słoneczną krainę.

— Tak blisko Mordoru? — spokojnie skończył za niego Beregond. — Tak, tam leży Mordor. Rzadko wymieniamy tę nazwę, lecz od dawna widzimy wciąż ten cień nad naszą granicą; niekiedy wydaje się bledszy i bardziej odległy, nie-

kiedy przybliży się i ciemnieje. teraz rośnie i zagęszcza się coraz bardziej, a wraz z nim rośnie nasz niepokój i strach. Niespełna rok temu Okrutni Jeźdźcy znów zawładnęli przeprawą przez Rzekę. Wielu naszych najdzielniejszych rycerzy poległo wówczas w boju. Boromir odparł nieprzyjaciela przynajmniej z zachodniego brzegu i utrzymaliśmy po dziś dzień bliższą połowę Osgiliathu. Na razie. czeka nas bowiem lada chwila nowa bitwa na tym polu. Będzie to może najważniejsza bitwa wojny która rozegra się wkrótce.

— Kiedy? — spytał Pippin. — Skąd wiecie? Widziałem tej nocy rozpalone wici i pędzących gońców. Gandalf wyjaśnił mi, że to są sygnały rozpoczętej już wojny. Spieszył tu, jakby każda chwila rozstrzygała o życiu lub śmierci. Dziś jednak nie widzę tu gorączkowego pośpiechu.

— Tylko dlatego, że wszystko już gotowe — rzekł Beregon. — nabieramy tchu przed wielkim skokiem.

— Czemuż więc ogniska na wzgórzach płonęły tej nocy?

— Za późno wzywać na pomoc, gdy już się jest osaczonym — odparł Beregon. — Nie znam jednak zamysłów władcy i jego wodzów. Mają oni różne sposoby zdobywania wieści. Nasz Denethor nie jest zwykłym człowiekiem, wzrok jego sięga daleko. Powiadają, że gdy nocą w swojej komnacie na wieży skupia myśl — odgaduje przyszłość; czyta nawet w myślach Nieprzyjaciela, zmagając się z jego wolą. Dlatego właśnie postarzał się i wyniszczył przedwcześnie. Nie wiem, ile jest w tym prawdy, ale wiem, że dowódca mój, Faramir, przebywa daleko za Anduiną na niebezpiecznej wyprawie; może to on nadsyła Namiestnikowi nowiny.

Powiem ci jednak szczerze, Pippinie, czego się domyślam: wici kazano rozpalić z powodu wieści, jakie wczoraj z wieczora nadeszły z Lebennin. W pobliżu ujścia Anduiny zgromadziła się wielka flota, a załoga rekrutuje się z korsarzy, Umbarczyków z południa. Od dawna rozbójnicy ci przestali bać się potęgi Gondoru i zawarli sojusz z Nieprzyjacielem, teraz zaś gotują się zadać nam cios, by wesprzeć jego sprawę. Napaść ich zwiąże znaczną część sił Lebennin i Belfalasu, na których pomoc liczyliśmy, bo tamtejsze plemiona są liczne i dzielne. Z tym większym niepokojem zwracamy oczy na północ, ku Rohanowi, i tym bardziej raduje nas wieść o zwycięstwie, którą nam przynosicie.

A jednak... — Beregon urwał i wstał, by się rozejrzeć na trzy strony świata. — A jednak wydarzenia, które się rozegrały w Isengardzie, powinny przestrzec nas, że już się wokół nas zamyka wielka sieć, że zaczyna się wielka gra. To już nie utarczki na przeprawach i rabunkowe najazdy. To wielka, z dawna zaplanowana wojna, w której my — cokolwiek by nam duma podszeptwała — jesteśmy tylko jednym z pionków. Zwiadowcy donoszą, że wszędzie wszczął się ruch: daleko na wschodzie poza Morzem Wewnętrznym, na północy w Mrocznej Puszczy i poza nią, na południu w Haradzie. wszystkie królestwa stoją wobec rozstrzygającej próby, oprą się lub runą, a wtedy wpadną pod władzę Ciemności.

Jednakże, mój Peregrinie, przypadł nam zaszczyt, że nas pierwszych i z największą siłą atakuje zawsze nienawiść Czarnego Władcy, nienawiść zrodzona w głębi wieków za głębiną Morza. Na ten kraj spadnie najcięższe uderzenie młota. Dlatego właśnie Mithrandir dążył tu z takim pośpiechem. Jeśli my się załamamy, któż się ostoi? Czy dostrzegasz, Peregrinie, chociaż iskłę nadziei, że zdołamy się obronić?

Pippin nie odpowiedział. Patrzył na grube mury, na wieże i dumne proporce, na słońce wzniesione wysoko na niebie, a potem spojrział na zbierający się u wschodu mrok i pomyślał o chciwych palcach Cienia, o bandach orków czających się w lasach i wśród gór, o zdradzie Isengardu, o szpiegujących ptakach, o Czarnych Jeźdźcach zapędzających się aż na ścieżki Shire'u — i o skrzydlatych posłańcach strachu, o Nazgulach. Dreszcz go przejął, nadzieja przygasła w sercu. I w tym momencie słońce na chwilę zaćmiło się, jakby je zasłonił cień przelatującego czarnego skrzydła. Pippinowi wydało się, że słyszy niemal nieuchwytny dla ucha, daleki, z wysoka dolatujący krzyk, stłumiony, lecz mrozący krew w żyłach, okrutny i zimny. Poblądł i skulił się pod ścianą.

— Co to było? — spytał Beregond. — czyś ty także coś wyczuł?

— Tak — szepnął Pippin. — To zwiastun naszej klęski, Cień Przeznaczenia, Okrutny Jeździec cwałujący w powietrzu.

— tak, Cień Przeznaczenia — rzekł Beregond. — Boję się, że Minas Tirith padnie. Nadciąga noc. Mam wrażenie, jakby krew we mnie zastygła.

Czas jakiś siedzieli spuściwszy głowy, bez słowa. Potem Pippin nagle podniósł wzrok: słońce świeciło znowu, flagi powiewały na wietrze. Otrząsnął się z przygnębienia.

— Przeleciał — rzekł. — Nie, nie straciłem jeszcze nadziei. Gandalf runął w przepaść, lecz powrócił i jest z nami. Ostoimy się, choćby na jednej tylko nodze, a w najgorszym razie przetrwamy na klęczkach.

— Dobrze mówisz! — zawołał Beregond; wstał i zaczął przechadzać się tam i sam. — Każda rzecz na świecie osiąga kres w swoim czasie, lecz Gondor nie zginie jeszcze teraz. Nawet jeśli zuchwały Nieprzyjaciół wdrze się na mury, ścieląc pod nimi zwały trupów. mamy inne twierdze, są też tajemne drogi ucieczki w góry. nadzieja i pamięć przetrwają w jakiejś ukrytej dolince, gdzie trawa zieleni się świeżością.

— Bądź co bądź, wolałbym, żeby już było po wszystkim, wóz albo przewóz — powiedział Pippin. — Nie jestem wojakiem, nie lubię myśleć o wojnie. A nie ma chyba nic gorszego niż oczekiwanie na bliską bitwę, której nie sposób uniknąć. Jakże się dłuży ten dzień dzisiaj. Lżej byłoby mi na duszy, gdybyśmy nie musieli stać z założonymi rękoma, lecz zamiast czekać, uderzyli pierwsi. Jeśli się nie mylę, Rohan też by się nie ruszył, gdyby nie Gandalf.

— Otóż to, dotknąłeś naszej ukrytej rany — rzekł Beregond. — Może jednak wszystko się zmieni, gdy powróci Faramir. On ma odwagę, ma więcej odwagi, niż

ludzie sądzą; w naszych bowiem czasach ludziom trudno uwierzyć, że taki mędrzec, uczony badacz starych ksiąg i pieśni, jak Faramir, może być zdolnym do szybkich, śmiałych decyzji w polu. Faramir jest takim wodzem. Mniej zuchwały i porywczy niż Boromir, dorównuje mu wszakże męstwem. Cóż jednak może zrobić? Nie sposób zaatakować gór tamtego... tamtego królestwa. Za krótkie mamy ramię, nie możemy uderzyć, póki Nieprzyjaciół nie stanie na naszej ziemi. Ale wówczas trzeba będzie mieć ciężką rękę.

To mówiąc Beregond położył dłoń na rękojeści miecza. Pippin spojrzał na niego; był wysoki, dumny, szlachetny jak wszyscy ludzie spotykani w tym kraju; na myśl o bitwie oczy mu się iskrzyły.

„Niestety moja ręka nie więcej waży niż piórko — pomyślał hobbit. — jak to mówił Gandalf? Pionek? Może, ale ustawiony na niewłaściwym polu szachownicy”.

Rozmawiali tak z sobą, póki słońce nie dosięgło zenitu i nie odezwały się nagle dzwony ogłaszające południe. Ruch powstał w grodzie, wszyscy bowiem z wyjątkiem wartowników spieszyli na obiad.

— Pójdiesz ze mną? — spytał Beregond. — Mógłbyś dzisiaj przyłączyć się do naszego stołu; nie wiem, w której kompanii masz służyć; kto wie, czy Namiestnik nie zatrzyma cię przy sobie do szczególnych poruczeń. Moi towarzysze z pewnością przyjmą cię mile. Warto też, byś poznał tu jak najwięcej ludzi, póki jeszcze mamy trochę wolnego czasu.

— Chętnie pójdę z tobą — odparł Pippin. — Prawdę rzekłszy czuję się nieco osamotniony. Najbliższy mój przyjaciel został w Rohanie, nie mam z kim pogawędzić i pożartować. czy nie mógłbym dostać się do twojej kompanii na służbę? Czy ty nią dowodzisz? W takim razie zechcesz mnie chyba przyjąć albo przynajmniej poprzeć moją prośbę?

— Nie, nie! — zaśmiał się Beregond. — Nie jestem dowódcą. Nie mam wysokiej rangi, nie piastuję żadnych urzędów ani godności, jestem prostym żołnierzem w Trzeciej Kompanii twierdzy. Ale wiedz, Peregrinie, że być prostym żołnierzem gwardii strzegącej tej wieży to nie lada zaszczyt w naszym grodzie; cały kraj patrzy na takich ludzi ze czcią.

— W głowie mi się to wszystko nie mieści — rzekł Pippin. — Zaprowadź mnie najpierw na naszą kwaterę, a jeśli nie zastaniemy tam Gandalfa, pójdę z tobą, gdzie zechcesz, i będę twoim gościem.

Nie zastali Gandalfa ani żadnych od niego poleceń, Pippin poszedł więc z Beregondem na obiad i zawarł znajomość z Trzecią Kompanią. Doznał tam przyjęcia, które pochlebiło nie tylko jemu, lecz również Beregondowi, wprowadzającemu tak pożądanego gościa. W grodzie bowiem rozeszły się już pogłoski o przyjacielu Mithrandira i o długiej rozmowie, jaką z nim Namiestnik stoczył w czterech ścianach swego dworu. Opowiadano w mieście, że książę niziołków przybył z północy, by ofiarować Gondorowi usługi i pięć tysięcy zbrojnych. Ktoś puścił nawet

plotkę, że gdy nadjadą Rohirrimowie, każdy z nich na siodle przywiezie jednego niziołka, wprowadzie małego wzrostu, lecz dzielnego żołnierza. Pippin, choć z żalem, musiał rozwiać te złudne nadzieje, lecz tytuł księcia przylgnął do niego na dobre; w pojęciu bowiem Gondorczyków musiał być co najmniej księciem, skoro przyjaźnił się z Boromirem i został z honorami potraktowany przez Denethora. Dziękowali mu więc za przybycie, chłonęli z zapartym tchem każde słowo jego opowiadań o nieznanym krajach, karmiąc przy tym gościa i pojąc obficie. Jeśli mu czegoś do szczęścia brakowało, to tylko swobody, musiał bowiem pamiętać o doradzanej przez Gandalfa ostrożności i nie pozwalał sobie rozpuścić języka, jak by to chętnie zrobił w zaufanym hobbitkim towarzystwie.

Wreszcie Beregond wstał.

— Czas się pożegnać, Peregrinie — rzekł. — Teraz bowiem na mnie, a jak się zdaje na całą kompanię również, kolej objąć służbę aż do zachodu słońca. Jeśli dokucza ci samotność, może chciałbyś mieć wesołego przewodnika. Syn mój chętnie pokaże ci miasto. To dobry chłopiec. Jeśli spodoba ci się tam myśl, zejdź w najniższy krąg i spytaj o drogę do Starej Gospody przy ulicy Kelerdain, czyli Latarników. Zastaniesz tam mojego syna wraz z wszystkimi chłopcami, którzy nie opuścili miasta. Myślę, że ciekawych rzeczy napatrzysz się przy Wielkiej Bramie, zanim ją dzisiaj na noc zamkną.

Beregond wyszedł, a wkrótce rozeszła się też reszta kompanii. Dzień wciąż był pogodny, chociaż nieco mglisty i jak na tę porę roku niezwykle gorący, nawet w tym południowym kraju. Pippina trochę sen morzył, lecz w pustych pokojach czuł się nieswojo, postanowił zatem wyjść i zwiedzić miasto. Zaniósł Gryfowi parę zaoszczędzonych smacznych kąsków, które rumak przyjął wdzięcznie, chociaż na niczym mu w gościnie nie zbywało. Opuściwszy stajnię hobbit skierował się krętymi ulicami w dół. Ludzie pilnie mu się przyglądali. Kłaniali się z powagą, bardzo grzecznie, zwyczajem Gondoru pochylając głowy i krzyżując ręce na piersi, lecz za jego plecami wymieniali różne uwagi, a niejeden stojąc na progu lub w oknie przywoływał z wnętrza resztę domowników, by także zobaczyli księcia niziołków, przybyłego wraz z Mithrandirem. Większość ludzi używała tu języka różnego od Wspólnej Mowy, ale Pippin wkrótce oswoił się z nim przynajmniej na tyle, że odróżniał nadawany mu tytuł: Ernil i Feriannath, przekonując się w ten sposób, że pogłoska o rzekomym jego dostojństwie już obiegła miasto.

Idąc tak pod sklepionymi krużgankami przez piękne aleje i place znalazł się w końcu w najniższym i największym kręgu grodu; wskazano mu ulicę Latarników, szeroką drogę wiodącą do Wielkiej Bramy, a przy niej Starą Gospodę, duży budynek z szarego kamienia, na którym czas odcisnął swoje piętno; dwa skrzydła, zwrócone bokiem do ulicy, obejmowały z dwóch stron wąski trawnik, w głębi zaś błyszczał mnóstwem okien dom z wspartym na kolumnach podcieniem, ciągną-

cym się wzdłuż całej fasady i schodami zbiegającymi wprost na murawę. Wśród kolumn bawili się chłopcy. Pippin dotychczas nie widział w Minas Tirith dzieci, z tym większą więc ciekawością przystanął, aby się im przyjrzeć. W pewnej chwili jeden z chłopców zauważył go i z głośnym okrzykiem puścił się pędem przez trawnik ku ulicy. Inni pobiegli za przywódcą. Stanęli gromadą naprzeciw Pippina mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

— Witamy! — powiedział pierwszy chłopak. — Skąd przybywasz? Bo jesteś nietutejszy.

— Byłem nietutejszy — odparł Pippin — aż do dzisiaj, teraz jednak zostałem żołnierzem Gondoru.

— Patrzcie państwo! — zawołał chłopiec. — Wszyscy jesteśmy żołnierzami Gondoru. Ile masz lat i jak się nazywasz? Bo ja mam dziesięć lat i mało mi już brakuje wzrostu do pięciu stóp. Jestem wyższy od ciebie. Co prawda mój ojciec służy w gwardii i należy do najroślejszych w swojej kompanii. A co robi twój ojciec?

— na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć? — spytał Pippin. — Zaczę od końca. Ojciec mój gospodaruje nad Białym Źródłem, pod Tukonem, w Shire. Kończę lat dwadzieścia dziewięć, biję cię więc w tym punkcie. Mierzę natomiast tylko cztery stopy i nie spodziewam się już urosnąć, chyba wszecz.

— Dwadzieścia dziewięć! — gwizdnął z podziwu chłopiec. — Stary chłop! Jesteś w wieku mojego wuja, Jorlasa. Mimo to — dodał dufnie — mógłbym postawić cię na głowie albo położyć na łopatki.

— Mógłbyś, gdybym ci pozwolił — odparł Pippin ze śmiechem. — Pewnie też ja mógłbym ci się odwzajemnić; znamy różne chwytaki walki zapaśniczej w naszym kraiku. Wiedz też, że w mojej ojczyźnie uchodzę za wyjątkowo rosnącego i silnego; nigdy jeszcze nikomu nie udało się postawić mnie na głowie. Jeśli byś ty chciał spróbować tej sztuki, gotów bym cię zabić, gdyby inne sposoby zawiodły. Jak będziesz starszy, przekonasz się, że nie trzeba nikogo sądzić z pozorów; wzięłeś mnie za obcego chłopca i niedojdę, za łatwą ofiarę, ale muszę cię ostrzec: mylisz się, jestem niziołkiem, silnym, odważnym i złym niziołkiem.

To mówiąc Pippin zrobił tak srogą minę, że chłopiec cofnął się o krok, zaraz jednak znów podszedł bliżej z zaciśniętymi pięściami i wojowniczym błyskiem w oczach.

— Nie! — zaśmiał się Pippin. — Nie trzeba wierzyć we wszystko, co obcy opowiadają o sobie! Nie jestem wcale zabijaką! Ale byłoby grzeczniej, gdybyś wyzywając do walki przedstawił się najpierw.

Chłopak wyprostował się dumnie.

— Jestem Bergil, syn Beregonda, żołnierza gwardii — oświadczył.

— Domyślałem się tego — rzekł Pippin — boś bardzo podobny do ojca. Znam go i właśnie on mnie tutaj do ciebie przysłał.

— Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś? — odparł Bergil i nagle spochmurniał. — Chyba ojciec nie rozmyślił się i nie chce mnie wyprawić z miasta razem z dziewczętami? Nie, to niemożliwe, ostatnie wozy już odjechały.

— Polecenie, które przynoszę od ojca, nie jest aż tak przykre, chociaż może nie będzie ci miłe — rzekł Pippin. — Ojciec twój radzi, żebyś zamiast kłaść mnie na łopatki, oprowadził mnie po mieście i pocieszył trochę w samotności. Odwdzięczę ci się opowieścią o różnych dalekich krajach.

Bergil klasnął w ręce i roześmiał się z ulgą.

— Świetnie! — wykrzyknął. — Zgoda! Zamierzaliśmy właśnie wybrać się pod Bramę i popatrzeć. Pójdziemy zaraz.

— A cóż tam dzieje się ciekawego?

— Spodziewamy się, że przed zachodem słońca nadciągną Południowym Gościńcem wodzowie z zaprzyjaźnionych ościennych krajów. Chodź z nami, zobaczysz.

Bergil okazał się miłym kompanem, najmilszym, jakim Pippina los obdarzył od rozłąki z Meriadokiem; wkrótce obaj śmiali się i gawędzili wesoło, idąc ulicami i nie zważając na zaciekawione spojrzenia, którymi ich obrzucano. Niebawem znaleźli się w tłumie ludzi dążących ku Wielkiej Bramie. Tu Pippin zyskał sobie szacunek Bergila, gdy bowiem przedstawił się i wymówił hasło, strażnicy zasalutowali i przepuścili go natychmiast, a co ważniejsze, pozwolili również przejść jego towarzyszowi.

— To się udało! — stwierdził Bergil. — nas, chłopców, nie wypuszczają teraz za Bramę bez opieki dorosłego mężczyzny. Stąd będziemy widzieli lepiej.

Za Bramą wzdłuż drogi i wokół brukowanego placu, gdzie zbiegały się wszystkie drogi prowadzące do Minas Tirith, ludzie cisnęli się gęstym szpalerem. Wszystkie oczy zwrócone były w stronę południa i wkrótce rozległy się szepty:

— tam, tam, już się podnosi tuman pyłu! Idą!

Pippin i Bergil przecisnęli się do pierwszego szeregu i czekali wraz z innymi. Z oddali dobiegł głos rogów, a zgiełk powitalnych okrzyków zbliżał się jak wzbierająca wichura. Potem trąbka zagrała przeciągle i krzyk rozległ się tuż koło ich uszu.

— Forlong! Forlong!

Słyszac te powtarzające się wołania, Pippin zapytał swego przewodnika:

— O czym oni mówią?

— Forlong przybył! — odparł Bergil. — Stary Forlong Gruby, władca Lossarnach, krainy, gdzie mieszkają moi dziadkowie. Hura! Forlong jedzie, zacny stary Forlong!

Pierwszy jechał na ogromnym, grubokościstym koniu barczysty, opasły mężczyzna, stary już, z brodą siwą, ale w zbroi, w czarnym hełmie na głowie i z długą,

ciężką włócznią u siodła. za nim w obłoku pyłu maszerowali dumnie wojownicy dobrze uzbrojeni, z potężnymi wojennymi toporami w rękach; twarze mieli posępne, byli niższego wzrostu i smaglejszej cery niż ludzie, których Pippin dotychczas spotykał w Gondorze.

— Forlong! — krzyczał tłum. — Wierne serce, wierny przyjaciel! Forlong!

Kiedy jednak oddział przeszedł, odezwały się szepty:

— Tylko ta garstka! Cóż znaczą dwie setki toporników! Spodziewaliśmy się dziesięćkroć liczniejszych posiłków. Oto skutek wieści o gromadzeniu się korsarskiej floty opodal ujścia Anduiny. Nasi sojusznicy mogli nam użyczyć ledwie dziesiątej części swoich sił. No, trudno, każdy żołnierz się przyda.

Za tym pierwszym nadciągały inne oddziały, a wszystkie, pozdrawiane okrzykami, przekraczały Bramę; ludzie z ościennych krajów szli bronić stolicy Gondoru w godzinie niebezpieczeństwa, lecz wszystkie kraje nadesłały posiłki mniej liczne, niż oczekiwano i niż wymagała ciężka potrzeba. Syn władcy doliny Ringlo, Dervorin, prowadził trzy setki pieszych. Z wyżyny Morthrondu, z wielkiej Doliny Czarnego Korzenia, smukły Duinhir, z synami Duilinem i Derufinem, wiódł pięciuset łuczników. Z Anfalas, z odległego Długiego Wybrzeża przymaszerowali rozciągniętą kolumną myśliwcy, pasterze, ludzie z wiosek, lecz z wyjątkiem przybocznej straży władcy Golasgila nędznie odziani i uzbrojeni. Z Lamedonu przysłała garstka zawziętych górali, bez wodza. Z Ethiru ponad setka rybaków, tylu, ilu można było zwolnić ze służby na wojennych statkach. Hirluin Piękny z Pinnath Gelin, z Zielonych Gór, przywiódł trzystu dzielnych wojaków w zielonych mundurach. Ostatni zjawił się najdumniejszy książę Dol Amrothu, Imrahil, krewny Namiestnika, pod złocistymi chorągwiami, na których błyszczały godła jego rodu: Okręt i Srebrny Łabędź, z poczem rycerzy w pełnych zbrojach, na siwych koniach; za nimi z pieśnią na ustach szło siedmiuset pieszych, a wszyscy wysokiego wzrostu jak ich książę, siwoocy i ciemnowłosi.

Na tym się skończyło, naliczono razem nie więcej niż trzy tysiące żołnierzy. nie było już na co czekać. Gwar i tupot nóg przebrzmiał oddalając się ku miastu, aż ucichł zupełnie. Tłum stał jeszcze chwilę w milczeniu. Kurz wisiał w powietrzu, bo wiatr ustał i wieczór był duszny. Zbliżała się godzina zamknięcia Bramy, czerwona tarcza słońca skryła się za górę Mindolluinę. Cień zapadł nad grodem. Pippin podniósł wzrok i wydało mu się, że niebo ma kolor popiołu, jakby ogromna chmura pyłu i dymu rozpostarła się w górze przyćmiewając światło dzienne. Tylko na zachodzie gasnące słońce rozjarzyło opary płomienną czerwienią i Mindolluina rysowała się czarną bryłą na przydymionym, iskrzącym się jeszcze tu i ówdzie tle.

— Tak więc kończy się piękny dzień pożoga! — szepnął Pippin zapominając o chłopcu, który stał przy nim.

— Dla mnie też źle się skończy, jeśli nie wrócę przed wieczornym dzwonieniem — odparł Bergil. — Chodźmy! Już trąbią na zamknięcie Bramy.

Trzymając się za ręce wrócili do grodu i ostatni przekroczyli Bramę, zanim ją zamknięto, a gdy weszli na ulicę Latarników, odezwał się z wież uroczysty głos dzwonów. W oknach zabłyśły światła, z domów i kwater żołnierskich rozmieszczonych pod murami rozległy się śpiewy.

— Na razie żegnaj — powiedział Bergil. — Pozdrów ode mnie ojca i podziękuj w moim imieniu za przysłanie tak miłego towarzysza. Mam nadzieję, że wkrótce znów mnie odwiedzisz. Niemal wolałbym, żeby nie doszło do wojny, bo moglibyśmy we dwóch bawić się wspaniale. Pojechalibyśmy na przykład do Los-sarnach, do moich dziadków; pięknie tam jest wiosną, kiedy w lasach i na łąkach pełno kwiatów. Ale kto wie, może kiedyś znajdziemy się tam razem. Nikt przecież nie pokona naszego władcy, a mój ojciec jest bardzo dzielnym żołnierzem. Żegnaj i do zobaczenia!

Rozstali się i Pippin pospieszył do twierdzy. Droga wydała mu się daleka, bo był zgrzany i bardzo głodny. Noc zapadała szybko. Ani jedna gwiazda nie wypłynęła na niebo. Hobbit spóźnił się na wspólną wieczerzę, lecz Beregond powitał go z radością, zrobił mu miejsce przy stole obok siebie i wypytywał o syna. Po wieczerzy Pippin gawędził chwilę z kompanią, lecz pożegnał ją dość przedko, ponieważ ogarnął go dziwny niepokój i pragnął co rychlej spotkać się znów z Gandalfem.

— Czy trafisz sam do swojej kwatery? — spytał Beregond zatrzymując się na progu małej sali pod północną ścianą twierdzy, gdzie spędzili wieczór. — Noc dzisiaj ciemna, tym ciemniejsza, że nakazano przyćmić światła w mieście, a nie zapalać ich w ogóle po zewnętrznej stronie murów. Mam też dla ciebie nowinę: jutro wczesnym rankiem zostaniesz wezwany do Denethora. Obawiam się, że Namiestnik nie przydzieli cię do Trzeciej Kompanii. Mimo to spotkamy się chyba jeszcze. Do widzenia, śpij spokojnie!

Na kwaterze panowały ciemności, ledwie rozproszone światłem stojącej na stole małej latarni. Gandalfa nie było. Pippin czuł się coraz bardziej przygnębiony. Wspiął się na ławkę i usiłował wyrzeć przez okno, lecz miał wrażenie, że patrzy w kałużę atramentu. Zlazł więc, zamknął okiennice i położył się do łóżka. Czas jakiś nasłuchiwał, tęskniąc do powrotu Gandalfa, potem zapadł w niespokojny sen.

W nocy obudziło go światło. Przez szparę w kotarze osłaniającej alkowę zobaczył Gandalfa przechadzającego się tam i sam po pokoju. Na stole płonęły świece i leżały zwoje pergaminu. czarodziej westchnął i szepnął:

— Kiedyż wreszcie powróci Faramir!

— Hej, Gandalfie! — zawołał Pippin wytykając głowę za kotarę. — Myśla-

łem, żeś o mnie całkiem zapomniał. Cieszę się, że cię w końcu widzę. Dzień bez ciebie dłużył mi się bardzo.

— Noc za to będzie krótka — odparł Gandalf. — Wróciłem, bo muszę namyślić się w spokoju i samotności. Śpij, póki możesz wylegiwać się w łóżku. O świcie zaprowadzę cię znowu do Denethora. A raczej nie o świcie, lecz gdy przyjdzie wezwanie. Zapadły już Ciemności. Nie będzie świtu.

ROZDZIAŁ II

Szara Drużyna

Gandalf odjechał, a tętent kopyt Gryfa ucichł wśród nocy, gdy Merry wrócił do Aragorna. Niósł tylko lekkie zawiniątko, stracił bowiem worek podróżny w Parth Galen i nie miał nic, prócz kilku najniezbędniejszych rzeczy pozbieranych wśród ruin Isengardu. Hasufel już czekał osiodłany. Legolas i Gimli stali obok ze swoim wierzchowcem.

— A więc zostało nas czterech — rzekł Aragorn. — Pojedziemy dalej razem. Nie sami wszakże, jak przedtem myślałem. Król chce wyruszyć nie zwlekając. Gdy przeleciał nad nami Skrzydlaty Cień, Theoden zmienił plany i postanowił wracać pod osłoną nocy do swoich górskich gniazd.

— A z nich dokąd? — spytał Legolas.

— Tego nie wiem jeszcze — odparł Aragorn. — Król podąży do Edoras, tam bowiem za cztery dni ma się odbyć na jego rozkaz wielki przegląd sił. Myślę, że skoro nadejdą wieści o wojnie, jeźdźcy Rohanu ruszą na pomoc do Minas Tirith. Jeśli o mnie chodzi i o tych, którzy zechcą dalej trzymać się ze mną. . .

— Ja pierwszy! — krzyknął Legolas.

— A Gimli drugi! — zawołał krasnolud.

— Otóż jeśli chodzi o mnie, nic jeszcze nie wiem — ciągnął dalej Aragorn. — Muszę także spieszyć do Minas Tirith, lecz nie widzę przed sobą drogi. Zbliża się z dawna dojrzewająca godzina.

— Weźcie i mnie — odezwał się Merry — nie na wiele się przydałem do tej pory, ale nie chcę być odstawiony w kącie niby tobolek, który odbiera się z przechowalni dopiero wtedy, gdy już jest po wszystkim. Rohirrimowie pewnie teraz nie mieliby ochoty taszczyć mnie z sobą. Co prawda król wspomniał, że gdy wróci do domu, pragnie mnie mieć u swego boku, żebym mu opowiedział o naszym Shire.

— Tak — rzekł Aragorn. — Myślę, że twoja droga wiedzie u boku króla. Nie spodziewaj się jednak u jej celu samych radości. Dużo wody upłynie, zanim Theoden znów zasiądzie spokojnie w Meduseld. Wiele nadziei zwarzy ta sroga wiosna.

Wkrótce byli gotowi do drogi wszyscy: dwadzieścia cztery konie, a na jed-

nym z nich Gimli siedział za Legolasem, na drugim — Merry przed Aragornem w siodle. Pomknęli wśród nocy. Nie ujechali wszakże daleko za bród na Isenie, gdy jeździec zamykający pochód dopadł galopem pierwszego szeregu meldując królowi:

— Miłościwy panie, jacyś jeźdźcy gonią nas. Już podczas przeprawy przez rzekę wydawało mi się, że ich słyszę. Teraz jestem pewny. Dopędzają nas, jadą ostro.

Theoden natychmiast wstrzymał pochód. Rohirrimowie zawrócili końmi i chwycili za włócznie. Aragorn zeskoczył z siodła, zsadził Meriadoka na ziemię i dobywszy miecza stanął tuż przy królewskim strzemieniu. Eomer ze swoim giermkim cwałem wrócił do tylnej straży. Merry czuł się bardziej niż kiedykolwiek niepotrzebnym tobołkiem i zastanawiał się gorączkowo, jak się powinien zachować w razie bitwy. Cóż by się z nim stało, gdyby nieliczna królewska eskorta uległa nieprzyjacielskiej przewadze, on zaś zdołałby umknąć w ciemnościach? Jak poradziłby sobie sam na pustkowiach Rohanu, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje wśród bezbrzeżnych stepów?

„Źle ze mną” — pomyślał. Wyciągnął mieczyk i zacisnął pasa.

Przez chwilę chmura przesłoniła zniżający się już księżyc, który teraz wypłynął i zaświecił jasno. Wszyscy już słyszeli narastający grzmot końskich kopyt, a w tym momencie ujrzeni pędzące ścieżką od strony brodu ciemne postacie. Ostrza włóczyń połyskiwały w księżycowym blasku. Liczbę napastników trudno było ustalić, zdawało się jednak, że jest ich co najmniej tylu, ilu obrońców ma król w swojej świcie. Gdy zbliżyli się na pięćdziesiąt kroków, Eomer krzyknął gromkim głosem:

— Stój! Stój! Kto jedzie przez pola Rohanu?

Tamci osadzili wierzchowce w miejscu. Zapadła cisza, a potem Rohirrimowie w świetle księżyca dostrzegli, że jeden z jeźdźców zeskakuje z konia i wolno podchodzi ku nim. Wyciągnął białą w mroku rękę, otwartą dłonią do góry, na znak pokojowych zamiarów, lecz ludzie królewscy nie zniżyli włóczyń. Nieznajomy zatrzymał się o dziesięć kroków przed nimi. Widzieli smukłą, wyprostowaną sylwetkę. Potem usłyszeli dźwięczny głos.

— Pola Rohanu? Pola Rohanu, powiadasz. Dobra to dla nas nowina. Z daleka jedziemy i pilno nam właśnie do tego kraju.

— To Rohan — odpowiedział Eomer. — Weszliście w jego granice, gdy przeprawiliście się brodem przez rzekę. Ale to jest ziemia króla Theodena. Nikt nie śmie jej deptać bez królewskiego zezwolenia. Coście za jedni? Dlaczego tak spieszycie?

— Jestem Halbarad Dunadan, Strażnik Północy! — krzyknął tamten. — Szukamy Aragorna, syna Arathorna, a doszły nas wieści, że przebywa w Rohanie.

— Znaleźliście go! — zawołał Aragorn. Rzucił uzdę Meriadokowi, podbiegł do Halbarada i padł mu w ramiona.

— Halbarad! Wszystkiego raczej się spodziewałem niż tej radości!

Merry odetchnął. Obawiał się, że to ostatni podstęp Sarumana, by zaskoczyć króla w szczerym polu, z garstką ledwie ludzi u boku; przysłoby wtedy hobbitowi pewnie polec w obronie majestatu, ale, jak się okazało, jeszcze ta godzina nie wybiła. Wsunął więc mieczyk do pochwy.

— Wszystko w porządku — oznajmił Aragorn powracając do orszaku. — To moi krewniacy z dalekiego kraju, gdzie dotąd mieszkałem. Ale dlaczego tu przybywają i w jakiej sile, powie nam sam Halbarad.

— Wybrało się ze mną trzydziestu — rzekł Halbarad. — Tylu, ilu z naszego rodu dało się skrzyknąć naprędce; ale przyłączyli się potem bracia Elladan i Elrohir, pragnąc wziąć udział w wojnie. Spieszyliśmy co tchu i ruszyliśmy natychmiast po otrzymaniu twojego wezwania.

— Ależ ja was nie wzywałem! — rzekł Aragorn. — Chyba tylko w głębi serca. Myśli moje często zwracały się ku wam, a już najbardziej uporczywie tej ostatniej nocy, nie wysłałem jednak do was gońca. Nie pora wszakże o tym rozprawiać. Spotkaliście nas w podróży pilnej i niebezpiecznej. Jedźcie razem z nami, jeśli król zezwoli.

Theoden przyjął propozycję z radością.

— Dobrze się stało — rzekł. — Jeśli twoi krewniacy podobni są do ciebie, Aragornie, trzydziestu takich rycerzy to potęga, której nie da się ocenić wedle pogłównia.

Ruszono więc w dalszą drogę razem; Aragorn czas jakiś jechał wśród Dunedainów, a gdy już wymienili najważniejsze wiadomości z północy i południa, Elrohir odezwał się do niego:

— Ojciec kazał ci powtórzyć te słowa: „Dni są policzone. Jeśli się spieszysz, pamiętaj o Ścieżce Umarłych”.

— Zawsze dni zdawały mi się za krótkie, by wypełnić moje zadanie — odparł Aragorn. — Bardzo jednak musiałbym się spieszyć, żeby wybrać tę ścieżkę.

— Wkrótce rzecz się wyjaśni — powiedział Elrohir. — Teraz, w otwartym polu, nie mówmy lepiej o tym.

Aragorn zwrócił się do Halbarada:

— Co to wiesz z sobą, krewniaku? — spytał widząc, że Strażnik zamiast włóczni ma długie drzewce, jak gdyby chorągiew, lecz zwiniętą i szczelnie okrytą czarnym suknem, mocno ściągniętym rzemieniami.

— Wiozę podarek dla ciebie od Pani z Rivendell — odparł Halbarad. — Przygotowała go w tajemnicy i wiele godzin pracowała nad nim. Przysłała ci również te słowa: „Dni są już policzone. Zbliży się spełnienie naszej nadziei lub kres wszelkiej nadziei świata. Dlatego ślę ci ten dar, robotę własnych mych rąk. Bądź zdrow, Kamieniu Elfów!”

— Wiem, co to jest — rzekł Aragorn — ale proszę cię, zatrzymaj ten dar przez krótki czas przy sobie.

Odwrócił się i spojrzął w stronę północy, gdzie świeciły wielkie gwiazdy, a potem zamyślił się i od tej chwili milczał aż do końca nocnej jazdy.

Noc przemijała, niebo szarzało na wschodzie, gdy wreszcie wyjechali z Zielonej Roztoki i znaleźli się znów w Rogatym Grodzie. Tu mieli wytchnąć, prześpać się trochę i naradzić.

Merry spał długo, aż w końcu Legolas i Gimli obudzili go.

— Słońce już wysoko — rzekł elf. — Wszyscy dawno są na nogach. Wstawaj, leniuchu, nie trać okazji i obejrzyj warownię.

— Przed trzema dniami toczyła się tu bitwa — powiedział Gimli — a my z Legolasem stanęliśmy do zawodów, wygrałem, chociaż miałem tylko o jednego orka więcej w swoim rachunku. Chodź, opowiemy ci jak to było. A jakie tu są groty, jakie cudowne groty! Czy moglibyśmy je zwiedzić, jak myślisz, Legolasie?

— Nie, na to nie ma czasu — odparł elf. — W pośpiechu nie docenia się cudów. Dałem ci słowo, że kiedyś tutaj wrócę z tobą, jeśli nastaną dni pokoju i wolności. Teraz jednak południe już blisko, a w południe zjemy obiad i zaraz potem ruszymy, jak słyszałem, dalej.

Merry wstał ziewając. Kilka godzin snu nie zadowoliło go wcale, był zmęczony i trochę niespokojny. Brakowało mu Pippina, czuł się piątym kołem u wozu, podczas gdy wszystkich towarzyszy zaprzętały plany doniosłego przedsięwzięcia, którego celu i wagi hobbit nie pojmował.

— Gdzie jest Aragorn? — spytał.

— W górnej komnacie grodu — odparł Legolas. — O ile mi wiadomo, nie spał ani nie odpoczywał wcale. Poszedł na górę przed paru godzinami mówiąc, że musi zebrać myśli; tylko jego krewniak Halbarad dotrzymuje mu towarzystwa. Czuję, że nękają go jakieś wątpliwości czy może troski!

— Dziwni ludzie ci jego pobratymcy — powiedział Legolas. — Postawę mają tak wspaniałą, że jeźdźcy Rohanu wyglądają przy nich niemal na młodzieniaszków, a twarze surowe, zniszczone niby skała od wichrów i słoty, podobnie jak Aragorn, i przeważnie milczą.

— Ale podobnie jak Aragorn, jeśli się odzywają, mówią bardzo dwornie — rzekł Legolas. — Czy zwróciłeś uwagę na braci Elladana i Elrohira? Ci noszą jaśniejsze płaszcze, a piękni są i pogodni jak książęta elfów. Nic w tym zresztą dziwnego, to przecież synowie Elronda z Rivendell.

— Dlaczego oni także przybyli tutaj? Może wiesz, Legolasie? — spytał Merry. Był już ubrany i zarzucił na ramiona swój szary płaszcz. Wszyscy trzej poszli w stronę rozwalonej bramy grodu.

— Słyszałeś, że stawili się na wezwanie — rzekł Gimli. — Powiadają, że w Rivendell otrzymano wiadomość: „Aragorn potrzebuje wsparcia swoich krewniaków. Niech Dunedainowie pospieszą do Rohanu”. Skąd jednak ta wieść nade-

szała, nie wiadomo na pewno. Ja myślę, że przysłał ją Gandalf.

— Nie, raczej Galadriela — powiedział Legolas. Czyż nie zapowiadała przez usta Gandalfa przybycia Szarej Drużyny z północy?

— Masz słuszość — przyznał Gimli. — Piękna Pani ze Złotego Lasu! Galadriela umie czytać w sercach i zgaduje ich pragnienia. Szkoda, że my też nie wezwaliśmy tajemnie naszych współplemieńców, Legolasie!

Legolas stał przed bramą i wpatrywał się bystrzymi oczyma w dal, na północ i na wschód; piękną twarz powlókł mu teraz cień smutku. — Myślę, że nie przyszliby i tak — odparł. — Po cóż mieliby spieszyć na spotkanie wojny, skoro wojna już wkracza w ich własne granice.

Długą chwilę rozmawiali, przechadzając się, o różnych momentach pamiętnej bitwy, a potem zeszli spod rozbitej bramy i minawszy usypane wzdłuż drogi mogiły poległych wspięli się na Helmowy szaniec i spojrzeli z góry na Zieloną Roztokę. Kopiec Śmierci już wznosił się pośród równiny, czarny, ogromny, kamienisty, a wokół trawa szerniała, stradowana ciężkimi stopami Huornów.

Dunlendingowie i inni ludzie pracowali naprawiając zburzone wały, usuwając szkody na polach i w zewnętrznych murach obronnych. Mimo tej krzątaniny dziwny spokój panował w okolicy, jakby zmęczona dolina odpoczywała po straszliwej burzy. Trzej przyjaciele wkrótce musieli wracać na obiad do sali zamkowej.

Król już tam był, a gdy weszli, zawołał Meriadoka i wyznaczył mu miejsce obok siebie.

— Inaczej to sobie planowałem — rzekł — bo nie jest tutaj tak pięknie, jak w moim pałacu w Edoras, a przy tym brakuje twego przyjaciela, którego pragnąłbym również mieć przy sobie. Ale nieprędko pewnie będziemy mogli zasiąść razem za stołem w Meduseld. Nawet gdy tam wrócę, nie pora będzie na ucztę. Tymczasem więc tutaj jedzmy, pijmy i rozmawiajmy, póki czas pozwala. Potem zaś pojedziesz ze mną.

— Doprawdy? — wykrzyknął Merry zaskoczony i uradowany. — To wspaniale! — Nigdy chyba nie był równie wdzięczny za łaskawe słowo. — Obawiam się, że tylko zawadzam w tej wyprawie — wyjąkał — ale chciałbym się przydać i gotów bym wszystko zrobić, wszystko!

— Nie wątpię — rzekł król. — Kazałem przygotować dla ciebie dzielnego górskiego kucyka. Nie da się on prześcignąć dużym koniom na drogach, które nas czekają. Pojadę bowiem stąd góorskimi ścieżkami, nie zaś przez równinę, tak że po drodze do Edoras zawadzimy o Dunharrow, gdzie czeka n mnie Eowina. Jeśli chcesz, będziesz moim giermkim. Czy znajdzie się w tutejszej warowni zbroja stosowna dla mego przybocznego giermka, Eomerze?

— Zbrojownia tu skromna — odparł Eomer — ale może się dobrać lekki hełm; zbroi ani miecza nie mamy na jego miarę.

— Miecz mam — oświadczył Merry zsuwając się ze stołka i dobywając z czarnej pochwy małe, błyszczące ostrze. W nagłym porywie czułości do dostojnego starca przykląkł na jedno kolano i ucałował królewską rękę. — Królu Theodenie! — zawołał. — Czy pozwolisz bym na twoich kolanach złożył miecz Meriadoka z Shire'u? Czy przyjmiesz moje usługi?

— Szczerym sercem przyjmuję — odparł król i kładąc długie, starcze dłonie na ciemnej czuprynie hobbita pobłogosławił go uroczyście. — Wstań, Meriadoku, rycerzu Rohanu, domowniku królewskiego dworu w Meduseld! — rzekł. — Weź swój miecz i niech ci służy szczęśliwie i sławnie.

— Będiesz mi ojcem, miłościwy królu — powiedział Meriadok.

— Przez krótki już tylko czas — odparł Theoden.

Tak rozmawiali przy stole, aż wreszcie Eomer powiedział:

— Królu, zbliża się godzina, którą wyznaczyłeś. Czy mam rozkazać, by zagrały rogi? Gdzie się podziewa Aragorn? Miejsce jego jest puste, nie jadł nic.

— Przygotujmy się do odjazdu — odrzekł Theoden — ale uprzedźcie zaraz Aragorna, że wkrótce pora wyruszać.

Król ze swą świtą i z Meriadokiem u boku zszedł spod bramy grodu na błonia, gdzie zgromadzili się jeźdźcy. Wielu już siedziało na koniach. Zastęp był liczny, bo król zostawiał w grodzie tylko niezbędną, szczupłą załogę, wszyscy inni ciągnęli do Edoras na wielki przegląd sił zbrojnych. Tysiąc włóczników odmaszerowało już nocą, lecz około pięciuset miało towarzyszyć królowi, w większości ludzie z pól i dolin Zachodniej Bruzdy.

Strażnicy trzymali się nieco na uboczu, w porządnym szyku, milczący, uzbrojeni we włócznie, łuki i miecze. Ubrani byli w ciemnoszare płaszcze, z kapturami naciągniętymi na hełmy. Konie, mocne i szlachetnej krwi, sierść jednak miały szorstką i nie wypielęgnowaną; jeden z pustym siodłem czekał na jeźdźcę — wierzchowiec Aragorna, Roheryn, którego strażnicy przywiedli z północy. W rynsztunku ludzi ani też w rzędach końskich nie lśniły drogie kamienie, złoto czy inne ozdoby; Dunedainowie nie mieli godeł ani oznak, z wyjątkiem srebrnej klamry w kształcie promienistej gwiazdy spinającej płaszcz na lewym ramieniu.

Król dosiadł Śnieżnogrzywego, a Merry wskoczył na grzbiet kucyka, który się wabił Stybba. W tej samej chwili od strony bramy ukazał się Eomer, a z nim Aragorn i Halbarad, z długim drzewcem omotanym czarną płachtą w rękę, oraz dwaj wysmukli rycerze, którzy zdawali się ani starzy, ani młodzi. Synowie Elronda tak byli do siebie podobni, że mało kto ich odróżniał; obaj mieli ciemne włosy, siwe oczy i piękne rysy elfów, ubrani zaś byli jednakowo, w lśniące kolczugi pod srebrzystoszarymi płaszczami. Za nimi szli Legolas i Gimli. Merry jednak nie mógł oczu oderwać od Aragorna zdumiewając się zmianą, jaka w nim zaszła, jak gdyby w ciągu jednej nocy przybyło mu wiele lat. Twarz miał posępną, zszarzałą i znużoną.

— Dręczy mnie rozterka, królu — rzekł przystając obok królewskiego wierz-

chowca. — Otrzymałem dziwną radę i widzę przed sobą nowe niebezpieczeństwa. Długo biłem się z myślami i muszę niestety zmienić poprzednie plany. Powiedz mi, królu Theodenie, jak długo potrwa marsz stąd do Dunharrow?

— Od południa upłynęła już godzina — odpowiedział za króla Eomer. — Dojedziemy do warowni przed wieczorem trzeciego dnia. Będzie wtedy pierwsza noc po pełni księżyca, a następnego dnia zbiorą się wezwane przez króla do Edoras wojska. Nic się w tym planie przyspieszyć nie da, jeśli mamy zgromadzić wszystkie siły Rohanu.

Aragorn chwilę milczał.

— Trzy dni — szepnął wreszcie — zanim się rozpocznie przegląd sił. Rozumiem jednak, że nie można tych terminów skrócić. — Podniósł wzrok i łatwo było zgadnąć, że powziął jakąś decyzję, bo twarz mu się rozjaśniła. — Wobec tego, za twoim, królu, pozwoleniem, muszę wytyczyć sobie i swoim pobratymcom inne plany. Pojedziemy własną drogą i już nie będziemy się dłużej kryli. Skończył się dla mnie czas działania w ukryciu. Pospieszę na wschód najkrótszą drogą, Ścieżką Umarłych.

— Ścieżką Umarłych! — powtórzył Theoden i zadrżał. — Dlaczego o niej wspominasz? — Eomer odwrócił się i spojrzał Aragornowi w oczy; Merry miał wrażenie, że twarze stojących w pobliżu rycerzy, którzy dosłyszeli te słowa, pobladły nagle. — Jeśli rzeczywiście istnieje ta ścieżka — ciągnął Theoden — jej brama jest w Dunharrow, ale nikt z żyjących tą drogą nie przejdzie.

— Niestety! Aragornie, przyjacielu, miałem nadzieję, że ramie przy ramieniu wyruszymy na wojnę — odezwał się Eomer — lecz skoro wybrałeś Ścieżkę Umarłych, musimy się rozstać i mało jest prawdopodobne, byśmy kiedykolwiek znów spotkali się na słonecznym świecie.

— Mimo to poszukam tej drogi — odparł Aragorn. — Lecz nie wątpię, że w boju znajdziemy się, Eomerze, znów razem, choćby cała potęga Mordoru stała między nami.

— Zrób wedle swojej woli, Aragornie — powiedział Theoden. — Może twój los każe ci właśnie obierać ścieżki, na które inni nie wazą się wstąpić. Rozłąka z tobą zasmuca mnie i uszczupla moje siły. Teraz jednak czas ruszać góorskimi drogami, nie ma czasu do stracenia. Bądź zdrow, Aragornie.

— Bądź zdrow, królu Theodenie. Jedź po nową sławę. Bądź zdrow, Merry. Zostawiam cię w dobrych rękach, nie mogłem spodziewać się dla ciebie tak pomyślnej odmiany, gdy ścigaliśmy bandę orków aż pod las Fangorn. Legolas i Gimli będą nadal wędrować ze mną, ale nie zapomnimy o tobie.

— Do widzenia! — powiedział Merry. Nie mógł wykszusić nic więcej. Czuł się bardzo mały, wszystkie te posępne słowa brzmiały dla niego zagadkowo i przygnębiały go. Bardziej niż kiedykolwiek tęsknił za niewyczerpanym humorem wesołego Pippina. Jeźdźcy byli już gotowi, konie zniecierpliwione tańczyły w miejscu. Hobbit także już czekał niecierpliwie, żeby wreszcie skończyła się scena po-

żegnania.

Z kolei Theoden dał rozkaz Eomerowi; ten podniósł rękę i krzyknął głośno. Oddział ruszył. Wyjechali jarem i dalej przez Zieloną Roztokę, a potem skręcili ostro ku wschodowi na ścieżkę, która na odcinku mniej więcej mili biegła wzdłuż podnóży górskiego łańcucha, następnie zaś zataczała łuk ku południowi i znikwała wśród gór. Aragorn z szafca patrzył za oddalającym się królewskim pocztem. Kiedy oddział zginął mu z oczu, zwrócił się do Halbarada.

— Pożegnałem trzech przyjaciół, których wszystkich kocham, a najmniejszego z nich nie mniej niż wielkich — rzekł. — Nie wie on, ku jakiemu losowi podąży, lecz gdyby wiedział, nie cofnąłby się na pewno.

— Ludek z Shire’u jest mały wzrostem, ale wielkie ma zalety — powiedział Halbarad. — Nic prawie nie wie o długich latach naszych trudów na straży jego granicy, nie żal mi jednak, że się dla niego trudziłem.

— Losy nasze są teraz związane — odparł Aragorn — a mimo to trzeba się było dzisiaj rozstać. Teraz muszę coś zjeść naprędce i nie zwlekając ruszymy także. Chodź, Legolasie. Chodź, Gimli. Chcę z wami porozmawiać.

Razem wrócili do fortecy, lecz przy stole Aragorn długo milczał, a dwaj przyjaciele nie odzywali się czekając, by przemówił pierwszy. W końcu Legolas przerwał milczenie.

— Mów! — powiedział do Aragorna. — Zrzuć z serca, co na nim ciąży, otrząśnij się ze smutku. Co się stało przez tych kilka godzin, które upłynęły od szarego brzasku, odkąd wróciliśmy do tej posępnej twierdzy?

— Stoczyłem walkę cięższą dla mnie niż wielka bitwa o Rogaty Gród — odparł Aragorn. — Zajrzałem w kryształ Orthanku.

— Zajrzałeś w ten przeklęty zaczarowany kryształ! — krzyknął Gimli z trwogą i zdumieniem. — Czy to znaczy, że widziałeś... Jego? Nawet Gandalf bał się tego spotkania.

— Zapominasz, z kim mówisz — surowo odparł Aragorn i oczy mu rozbłyły. — czyż u bram Edoras nie rozgłosiłem przysługującego mi tytułu? Nie, mój Gimli — ciągnął łagodniejszym już tonem; twarz mu się rozpuściła, lecz wyglądał jak ktoś, kto wiele nocy spędził bezsenność na ciężkiej pracy. — Nie, moi przyjaciele, jestem prawowitym panem tego kryształu, mam zarówno prawo, jak i siłę, by go użyć. Tak przynajmniej sądziłem. Co do prawa, nie można go podać w wątpliwość. Ale siły zaledwie starczyło na tę próbę.

Odetchnął głęboko.

— Była to straszna walka i zmęczenie po niej jeszcze nie minęło. Nie odezwałem się do Tamtego ani słowem i w końcu zmusiłem kryształ do posłuszeństwa mojej woli. Już to samo będzie dla Nieprzyjaciela przykrą porażką. Poza tym — zobaczył mnie. Tak, Gimli, zobaczył mnie, ale w innej postaci, niż ty mnie widzisz

w tej chwili. Jeśli to wyjdzie mu na pożytek, zrobiłem błąd. Myślę jednak, że nie. Wiadomość, że żyję dotychczas i chodzę po ziemi, jest dla niego bolesnym ciosem. Nie wiedział bowiem o tym do dziś. Nie zapomniał wszakże Isildura i miecza Elendila. Teraz, w rozstrzygającej godzinie, gdy przystępuje do urzeczywistnienia wielkiego planu, ukazał mu się spadkobierca Isildura i jego miecz; pokazałem mu bowiem ostrze przekute na nowo do walki z nim. Nie jest tak potężny, by nie znał lęku; nie, jego także nękają wątpliwości.

— Ale władza potężnym państwem — rzekł Gimli — i teraz pewnie tym szybciej uderzy.

— Pospieszne ciosy zwykle chybiają celu — odparł Aragorn. — Musimy naciskać wroga, już nie pora czekać biernie na jego pierwszy ruch. Wiedźcie też, przyjaciele, że patrząc w kryształ dowiedziałem się wielu rzeczy. Dostrzegłem poważne niebezpieczeństwo grożące Gondorowi z nieoczekiwanej strony, od południa; dzieje się tam coś, co odciągnie znaczną część sił od obrony Minas Tirith. Jeżeli nie zażegnamy tej groźby, lękam się, że gród upadnie, zanim upłynie dzień dni

— A więc musi upaść — powiedział Gimli. — jakiej bowiem pomocy możemy mu udzielić z takiej odległości? Jak moglibyśmy zdążyć na czas?

— Nie mogę wysłać posiłków, a więc muszę iść sam — odparł Aragorn. — Jest tylko jedna droga przez góry, która zaprowadzi nas do nadbrzeżnych krain, zanim los Minas Tirith będzie przesądzony: Ścieżka Umarłych.

— Ścieżka Umarłych — powtórzył Gimli. — Okropna nazwa. Zauważyłem też, że Rohirrimowie bardzo jej nie lubią. Czy żywi mogą użyć tej drogi i nie zginąć na niej? A nawet jeśli przejdziemy, cóż znaczy nas trzech przeciw potędze Mordoru?

— Nikt z żywych nie zapuszczał się na tę ścieżkę, odkąd Rohirrimowie osiedli w tym kraju — powiedział Aragorn. — jest bowiem dla nich zamknięta. Lecz w czarnej godzinie spadkobierca Isildura może jej użyć, jeśli mu starczy odwagi. Słuchajcie. Oto, jaką radę przynieśli mi synowie Elronda z Rivendell od swego ojca, najznakomitszego mędrca uczonego w księgach dziejów: „Niech Aragorn pamięta o słowach wróżby i o Ścieżce Umarłych”.

— Jak brzmią słowa wróżby? — spytał Legolas.

— Wieszczek Malbeth za czasów Arvedui, ostatniego króla na Fornoście, przepowiedział tak:

Nad krajem wielki zaległ Cień,
Na zachód czarnym skrzydłem sięga,
Drżą mury wieży; ku monarchów grobom
Nadciąga zguba. Budzą się umarli.
Bije godzina dla wiarołomców,
Aby stanęli znów u Głazu Erech,

Gdzie im głos rogu echo gór przyniesie.
Czyj to róg zagra? Kto rzuci wezwanie
I lud z pomroki wskrzesi zapomniany?
Potomek tego, komu przysięgli,
Z północy przyjdzie w wyrocznej godzinie,
I drzwi przekroczy na Ścieżce Umarłych.

— Tajemnicza ścieżka, ale dla mnie równie tajemnicze są te wiersze — rzekł Gimli.

— Jeżeli je mimo to trochę rozumiesz, proszę cię, chodź ze mną tą ścieżką, którą obrałem — powiedział Aragorn. — Nie wstępuję na nią chętnie, zmusza mnie do tego konieczność. Ty jednak, jeżeli pójdziesz, musisz to zrobić z własnej dobrej woli, inaczej nie zgodzę się wziąć cię ze sobą; wiedz, że czeka cię zarówno wiele trudu, jak strachu, a może coś jeszcze gorszego.

— Pójdę z tobą nawet Ścieżką Umarłych i wszędzie, gdzie poprowadzisz — rzekł Gimli.

— Ja także pójdę z tobą — powiedział Legolas — elf bowiem nie lęka się Umarłych.

— Mam nadzieję, że lud zapomniany nie zapomniał sztuki wojennej — dodał Gimli. — W przeciwnym razie daremnie byśmy go trudzili.

— Przekonamy się, gdy staniemy na Erech, jeżeli w ogóle tam dojdziemy — odparł Aragorn. — Przysięga, którą złamali, obowiązywała ich do walki z Sauronem, muszą więc walczyć, aby jej dopełnić. Na Erech stoi Czarny Głaz, przywieziony, jak mówią, przez Isildura z Numenoru. Ustawiono go na szczycie i tu król Gór przysięgł Isildurowi służbę w zaraniu królestwa Gondoru. Kiedy Sauron powrócił i odzyskał potęgę, Isildur wezwał lud Gór do wypełnienia zobowiązań przysięgi. Górale wszakże odmówili, ponieważ ongi, za Czarnych Lat, hołdowali Sauronowi. Wówczas Isildur powiedział królowi Gór: „Będziesz ostatnim królem swego plemienia. Jeśli Numenor okaże się potężniejszy od Czarnego Władcy, niechaj na lud twój spadnie ta klątwa: oby nigdy nie zaznał spoczynku, póki nie uczyni zadość przysiędze. Wojna bowiem potrwa przez niezliczone wieki, a nim się zakończy, będziecie raz jeszcze wezwani do walki”. Górale uciekli przed gniewem Isildura i nie ośmielili się wziąć udziału w wojnie po stronie Saurona. Kryli się po tajemnych zakątkach górskich, unikając spotkań z innymi plemionami i wycofując się coraz wyżej, między nagie szczytu, aż wyginęli z czasem. Ale groza Umarłych, co nie zaznali spoczynku, przetrwała na Erech i wszędzie, gdzie kiedyś żył ten lud. Tam więc muszę iść, skoro spośród żyjących nikt mi nie może pomóc.

Aragorn wstał.

— W drogę! — zawołał dobywając miecza, który błysnął w półmroku zamkowej sali. — Do Głazu na Erech! Szukam Ścieżki Umarłych. Kto gotów, za mną!

Legolas i Gimli bez słowa wstali także i wyszli za Aragornem z sali. Na błoni czekali milczący i nieruchomi zakapturzeni Strażnicy. Legolas i Gimli dosiedli konia. Aragorn skoczył na grzbiet Roheryna. Halbarad podniósł wielki róg, a głos jego rozległ się echem w Helmowym Jarze. Ludzie z załogi twierdzy patrzyli z podziwem, jak oddział Aragorna ruszył z miejsca galopem i niby burza przemknął przez Zieloną Roztokę.

Podczas gdy Theoden posuwał się z wolna góorskimi drózkami, Szara Drużyna szybko przebyła równinę i nazajutrz po południu stanęła w Edoras; odpoczywała tu krótko i zaraz pociągnęła dalej w górę doliny, by dotrzeć tegoż wieczora do Dunharrow.

Eowina powitała ich z radością, ciesząc się z takich gości, bo nie spotkała w życiu wspanialszych rycerzy niż Dunedainowie i piękni synowie Elronda, lecz najczęściej wzrok jej zatrzymywał się na twarzy Aragorna. Posadziła go po swej prawej ręce przy stole i rozmawiali z sobą wiele; dowiedziała się wszystkich szczegółów wydarzeń, które się rozegrały od chwili wyjazdu Theodena, a które знаła dotąd jedynie ze skąpo nadsyłanych wieści; oczy jej błyszczały, gdy słuchała o bitwie w Helmowym Jarze, o rozgromieniu napastników i o wyprawie, którą król podjął na czele swych rycerzy. W końcu powiedziała jednak:

— Zmęczeni jesteście, zacni panowie, powinniście teraz odpocząć; naprędce przygotowaliśmy dla was posłania niezbyt wygodne, ale jutro postaramy się dla miłych gości o lepsze kwatery.

— Nie troszcz się o nas, pani — odparł Aragorn. — Wystarczy, jeśli pozwolisz nam przespać tę noc i posilić się jutro rano. Pilna sprawa zmusza mnie do wielkiego pośpiechu, skoro świt wyruszymy stąd dalej.

Eowina uśmiechnęła się do niego mówiąc:

— Bardzo to łaskawie z twojej strony, że zechciałeś trudzić się nakładając tyle mil, żeby przywieźć Eowinie wieści i pocieszyć biedną wygnankę.

— Nie ma w świecie mężczyzny, który by taki trud uważał za stracony — odparł Aragorn — lecz nie przybyłbym tutaj, gdyby nie to, że droga, którą wypadło mi obrać, prowadzi przez Dunharrow.

Widać było, że nie w smak poszła jej ta odpowiedź.

— W takim razie zabłądziłeś, panie. Z Harrowdale nie ma drogi ani na wschód, ani na południe; będziesz musiał zawrócić tą samą, która cię tu przywiodła.

— Nie, nie zabłądziłem. Znam tę ziemię, po której chodziłem, zanim ty, o pani, urodziłaś się ku jej ozdobie. Jest droga z tej doliny i tę drogę wybrałem. Jutro pojedę Ścieżką Umarłych.

Spojrzała na niego jakby obuchem rażona i pobladła bardzo; długi czas nie odzywała się, a wszyscy wkoło milczeli także.

— Czy śmierci szukasz, Aragornie? — spytała wreszcie. — Nic bowiem innego nie znajdziesz na tej ścieżce. Umarli nie pozwalają przejść nikomu z żyjących.

— Mnie jednak może przepuszczać — powiedział Aragorn. — Bądź co bądź postanowiłem zaryzykować. Innej drogi dla mnie nie ma.

— Ależ to szaleństwo! — zawołała. — Są z tobą sławni i mężni rycerze, których nie w cień śmierci godzi się prowadzić, lecz na pole walki, gdzie bardziej są potrzebni. Błagam cię, zostań. Pojedziesz do Edoras wraz z moim bratem. Twoja obecność pokrzepi serca i doda nam wszystkim nadziei.

— Nie popełniam szaleństwa — odparł Aragorn — bo wstępuję na ścieżkę, na którą zostałem wezwany. Lecz ci, którzy idą ze mną, robią to z własnej, nieprzymuszonej woli. Oni więc, jeśli chcą, mogą zostać i wyruszyć z Rohirrimami na wojnę. Ja pójdę swoją drogą choćby sam, jeśli tak się stanie.

Na tym skończyła się rozmowa i reszta wieczery upłynęła w milczeniu, lecz Eowina nie odrywała oczu od Aragorna w jawnym wzburzeniu i rozterce. Wreszcie wszyscy wstali od stołu, skłonili się przed panią domu, podziękowali za gościnność i rozeszli się na spoczynek.

Gdy wszakże Aragorn zbliżał się do namiotu, gdzie miał nocować wraz z Legolasem i Gimlim, którzy wcześniej już tam się udali, usłyszał głos Eowiny. Biegła za nim wołając go po imieniu. Odwrócił się i zobaczył w ciemności blask białej sukni i rozognionych oczu.

— Aragornie, dlaczego chcesz iść drogą śmierci? — spytała.

— Muszę — odparł. — Inaczej nie ma nadziei, bym spełnił swoje zadanie w walce z Sauronem. Nie wybieram ścieżek niebezpieczeństwa, Eowino. Gdybym mógł iść tam, gdzie zostało moje serce, poszedłbym na daleką północ i przebywałbym dziś w pięknej Dolinie Rivendell.

Przez chwilę Eowina nie odzywała się, jakby rozważając, co miały znaczyć te słowa. Nagle położyła rękę na jego ramieniu.

— Jesteś surowy i stanowczy — powiedziała. — Tacy zdobywają sławę. — Umilkła, potem jednak podjęła znowu: — Jeśli musisz tamtą drogą iść, pozwól mi przyłączyć się do twojej świty. Zbrzydło mi już to czajenie się w górskich kryjówkach, chcę stawić czoło niebezpieczeństwu w otwartej walce.

— Masz obowiązek zostać ze swoim ludem — odparł.

— Wciąż tylko słyszę o swoich obowiązkach! — krzyknęła. — Czyż nie jestem córką rodu Eorla, której przystoi walka i zbroja bardziej niż niańczenie niedołęgów i pieluchy? Dość już długo czekałam i uginałam kolana. Teraz, gdy wreszcie mocno stoję na nogach, czy mi nie wolno rozporządzić swoim życiem tak, jak sama chcę?

— Innej kobiecie przyniosłaby zaszczyt taka wola — odparł. — Ty jednak wzięłaś na siebie pieczę i władzę nad ludem, póki nie wróci król. Gdyby nie wybrano ciebie, któryś z marszałków lub dowódców znalazłby się na twoim miejscu i nie ważyłby się opuścić posterunku, choćby mu zbrzydło podjęte zadanie.

— Czy zawsze na mnie spadać będzie wybór? — spytała z goryczą. — Czy zawsze mam zostawać w domu, gdy jeźdźcy ruszają w pole, pilnować gospodarstwa, gdy oni zdobywają sławę, czekać na ich powrót przygotowując dla nich jadło i kwatery?

— Wkrótce może nadejdzie taki dzień, że nie wróci żaden z tych, co ruszyli w pole — powiedział Aragorn. — Wtedy potrzebne będzie męstwo bez sławy, bo nikt nie zapamięta czynów dokonanych w ostatniej obronie naszych domów. Ale brak chwały nie ujmie tym czynom męstwa.

— Piękne słowa, lecz naprawdę znaczą tylko tyle: jesteś kobietą, siedź w domu — odpowiedziała Eowina. — Kiedy mężowie polegną na polu chwały, będzie ci wolno podpalić dom, na nic im już nie potrzebny, i spłonąć z nim razem. Ale jam z rodu Eorla, a nie dziewczka służebna. Umieć dosiadać konia i władać mieczem, nie boję się trudu ani śmierci.

— A czego się boisz, Eowino? — zapytał.

— Klatki — odpowiedziała. — Czekania za kratami, aż zmęczenie i starość każą się z nimi pogodzić, aż wszelka nadzieja wielkich czynów nie tylko przepadnie, lecz straci powab.

— I mimo to radziłaś mi, żebym się wyrzekł obranej drogi, ponieważ jest niebezpieczna?

— Innym można dawać takie rady — odparła. — Nie namawiam cię jednak, żebyś uciekał przed niebezpieczeństwem, lecz żebyś stanął do bitwy, w której możesz mieczem zasłużyć na zwycięstwo i sławę. Ścierpieć nie mogę, gdy wyrzuca się na marne rzecz cenną i doskonałą.

— ja także bym tego nie ścierpiał — rzekł Aragorn. — Toteż powiadam ci, Eowino: zostań! Nie masz obowiązku do spełnienia na południu.

— Jeźdźcy, którzy ci towarzyszą, także nie mają tego obowiązku. Jadą, ponieważ nie chcą rozstać się z tobą, ponieważ cię kochają.

Odwróciła się i znikła wśród nocy.

Gdy niebo pojaśniało, chociaż słońce jeszcze nie wyrzało znad wysokiej krawędzi gór na wschodzie, Aragorn kazał przygotować się do odjazdu. Drużyna już dosiadła koni, on zaś właśnie miał skoczyć na siodło, kiedy nadeszła Eowina, żeby ich pożegnać. Miała na sobie strój jeźdźcy i miecz u pasa. W ręku trzymała puchar, z którego upiła łyk wina życząc swym gościom szczęśliwej drogi, po czym podała go Aragornowi, a ten wychylił kielich mówiąc:

— Żegnaj, księżniczko Rohanu. Piję za pomyślność twego rodu, twoją i całego plemienia. Powtórz swojemu bratu te słowa: na drugim brzegu ciemności spotkamy się znowu!

Gimlemu i Legolasowi, stojącym tuż obok, zdawało się, że Eowina jest bliska, i wzruszył ich jej smutek tym bardziej, że zazwyczaj była tak dumna i dzielna.

Spytała jednak tylko:

— Więc jedziesz, Aragornie?

— Jadę, księżniczko.

— I nie pozwolisz mi jechać w swojej świcie, jakem cię prosiła?

— Nie, księżniczko. Nie mogę ci na to pozwolić bez wiedzy twego ojca i brata, którzy nie zjawią się tutaj wcześniej niż jutro wieczorem. Ja zaś nie mam teraz ani godziny, ani chwili do stracenia. Bądź zdrowa!

Wtedy padła na kolana mówiąc:

— Błagam cię, Aragornie!

— Nie, księżniczko! — odparł i ujawszy Eowinę za ręce podniósł ją, ucałował jej dłoń, skoczył na siodło i ruszył nie oglądając się już za siebie. Tylko ci, którzy najlepiej go znali i byli najbliżej, rozumieli, jak bardzo cierpiał.

Lecz Eowina stała niby posąg kamienny, opuściwszy ramiona, i zaciskając pięści patrzyła za odjeżdżającymi, póki nie skryli się w cieniu pod czarną ścianą Dwimorbergu, Nawiedzanej Góry, w której otwierała się Brama Umarłych. Kiedy znikli jej z oczu, zawróciła i potykając się jak ślepiec poszła ku domowi. Nikt jednak z jej ludu niw widział tego pożegnania, bo wszyscy pochowali się wystraszeni i nie chcieli wyjść ze swych kątów, póki dzień nie rozjaśni się na dobre i nie opuszczą Dunharrow obcy, nieulękli goście.

Ten i ów mówił:

— To nasienie elfów. Niechże jadą tam, gdzie ich miejsce, w jakieś ciemne krainy, i nigdy do nas nie wracają. I bez nich dość mamy biedy.

Jechali w szarym półmroku, bo słońce jeszcze nie podniosło się nad wysoki czarny grzbiet Nawiedzanej Góry spiętrzonej przed nimi. Dreszcz ich przeszedł, gdy między dwoma rzędami starych głązów zbliżali się do Dimholt. Tu pod czarnymi drzewami, których posępny cień nawet Legolas znoślił z trudem, odszukali jamę otwartą u korzeni góry, a pośrodku ścieżki ujrzeni samotny olbrzymi głąz sterczący groźnie jak palec ostrzegający przed zgubą.

— Krew marznie mi w żyłach — powiedział Gimli, inni wszakże milczeli, a głos krasnoluda zabrzmiał głucho, jakby się zapadł w wilgotną ściółkę świerkowych igieł pod ich stopami. Konie wzdragały się przejść obok złowróżbnego kamienia, więc jeźdźcy zsiadli i poprowadzili wierzchowce za uzdę. Tak zesзли w głąb jamy i stanęli przed nagą ścianą skalną, w której Czarne Wrota ziały jak paszcza nocy. Wryte na ogromnym łuku sklepienia znaki i cyfry tak się zatężyły zbiegiem lat, że były już nieczytelne, lecz groza je spowijała niby czarny obłok.

Drużyna zatrzymała się i pewnie nie było w tej gromadzie ani jednego serca, które by nie zadrżało z trwogi, prócz serca Legolasa, bo elfy nie boją się ludzkich upiórów.

— To straszne Czarne Wrota — powiedział Halbarad — czuję, że za nimi czai się moja śmierć. Mimo to wejść w nie, ale konie wejść nie zechcą.

— Musimy wejść, a więc konie muszą pójść z nami — odparł Aragorn. — Jeśli bowiem uda nam się przebrnąć przez ciemności, będziemy mieli jeszcze wiele staj drogi przed sobą, a każda chwila zwłoki przybliżałaby tryumf Saurona. Za mną!

Wszedł pierwszy, a taka była potęga jego woli w tej godzinie, że wszyscy Dunedainowie poszli za nim, a ich wierzchowce dały się im wprowadzić. Konie Strażników tak bowiem kochały swoich panów, że gotowe były przewyciężyć nawet grozę tych Czarnych Wrót, gdy wyczuwały spokój w sercach ludzi. Lecz Arod, koń z Rohanu, nie chciał przekroczyć progu ciemności i stanął, zlany potem i dygocący z przerażenia tak, że budził litość. Wówczas Legolas zasłonił mu rękoma oczy i zanucił kilka słów, które łagodnie zadźwięczały w mroku; koń poddał się i poszedł z nim razem. Gimli został sam. Kolana uginały się pod nim i zły był na siebie.

— Niesłychana rzecz — powiedział. — Elf wchodzi do podziemi, a krasnolud wzdraga się wejść!

Z tymi słowy skoczył naprzód. Ale zdawało mu się, że wlecze przez próg nogi ciężkie jak z ołowiu, i ogarnęły go ciemności tak nieprzeniknione, że nawet on, Gimli, syn Gloina, który bez trwogi przemierzał najgłębsze lochy świata — jakby oślepl nagle.

Aragorn zaopatrzył się w Dunharrow w łuczywa i teraz idąc na czele trzymał jedno z nich wzniesione nad głową; drugie niósł Elladan, który szedł ostatni za grupą Strażników; Gimli potykając się usiłował go dopędzić. Nie widział nic prócz dymiących płomieni pochodni, lecz kiedy Drużyna stanęła na chwilę, miał wrażenie, że otacza go ze wszystkich stron szmer nieustannego szeptu, ściszony gwar słów w języku, którego nigdy jeszcze nie słyszał w życiu.

Nikt ich nie napastował, żadne przeszkody nie hamowały marszu, a mimo to strach rosnący z każdą chwilą ogarniał krasnoluda; przede wszystkim wiedział, że nie ma z tej drogi powrotu, bo czuł za swymi plecami tłum niewidzialnej armii prącej w ciemnościach naprzód trop w trop za Drużyną.

Tak szli czas jakiś, aż wreszcie Gimli ujrzał widok, którego nigdy później nie mógł wspomnieć bez zgrozy. Ścieżka, o ile się orientował, była od początku dość szeroka, lecz w pewnej chwili ściany z obu stron jakby się rozstały i Drużyna wydostała się niespodzianie na rozległą pustą przestrzeń. Strach niemal obezwładnił krasnoluda. Daleko po lewej ręce coś zaśniło w ciemnościach w świetle łuczywa, z którym zbliżał się tam właśnie Aragorn. Najwidoczniej chciał zbadać ów lśniący przedmiot.

— Że też on się nie boi — mruknął krasnolud. — W każdej innej pieczarze Gimli, syn Gloina, pierwszy pobiegłby za przebłyśkiem złota. Ale nie tutaj! Niechby zostało tu w spokoju!

Mimo wszystko podsunął się bliżej i zobaczył, że Aragorn kłęczy, Elladan zaś przyświeca mu dwiema pochodniami. Przed nimi widniał szkielet ogromnego mężczyzny, w kolczudze, obok niego zaś broń, nie zniszczona, bo w jaskini było niezwykle sucho, a zmarły miał zbroję i oręż połączoną, pas złoty wysadzany granatami i bogato zdobiony złotem hełm wciśnięty na trupa czaszkę; leżał twarzą do ziemi. Upadł pod odsuniętą w głąb ścianą. Wpatrując się Gimli dostrzegł w tej ścianie zamknięte kamienne drzwi; palce trupa czepiały się zarysowanej w ich szczeliny, a wyszczerbiony miecz, porzucony u jego boku, świadczył, że rycerz w śmiertelnej rozpaczy próbował wyrąbać sobie przejście w skale.

Aragorn nie dotknął szkieletu, ale długo przyglądał mu się w milczeniu, potem zaś wstał i westchnął głęboko.

— Temu nieborakowi kwiaty simbeline nie zakwitną do końca świata! — szepnął. — Dziewięć Kurhanów i siedem mogił zieleni się o tej porze pod słońcem, on jednak przeleżał długie lata pod drzwiami, których nie zdołał otworzyć. Dokąd prowadzą? Dlaczego chciał przez nie przejść? Nikt nigdy się nie dowie.

— To nie moja sprawa! — krzyknął, odwracając się ku rozszeptanym ciemnościom podziemi. — Zachowajcie swoje skarby i swoje tajemnice zrodzone w Czarnych Latach! Ja nie żądam niczego prócz pośpiechu. Dajcie nam przejść i przybywajcie, wzywam was pod Głaz na Erech.

Nikt mu nie odpowiedział, chyba że odpowiedzią była głucha cisza, bardziej jeszcze przerażająca niż poprzednie szept; potem mroźny podmuch wionął podziemiem, płomienie łuczywa zachybotwały się, zgasty i nie dały się już na nowo zapalić. Z tego, co się działo przez następną godzinę, Gimli niewiele zapamiętał. Drużyna parła naprzód, on jednak wciąż biegł ostatni, gnany lękiem przed czającą się grozą, wciąż pod wrażeniem, że niewidzialny tłum następuje mu niemal na pięty; słyszał za swymi plecami szelest, jakby widmowe kroki niezliczonych stóp. Potykał się, osuwał na czworaki jak zwierzę, myśląc w trwodze, że nie znieśie dłużej tej męczarni, że jeśli nie nastąpi wkrótce jej koniec, oszalały ze strachu zawróci i ucieknie prosto w ramiona ścigającej go zmory.

Nagle usłyszał szmer wody, twardy i czysty dźwięk jak odgłos kamienia spadającego w senną czarną studnię. Rozwidniło się i Drużyna niespodzianie przekroczyła drugą bramę, sklepioną wysokim i szerokim łukiem; obok nich płynął potok, a pod nimi rysowała się ścieżka stromo opadająca pomiędzy ścianami urwiska spiętrzonego ostrymi jak noże szczytami aż pod niebo. Wąwóz był tak głęboki i wąski, że niebo zdawało się ciemne i błyszczały na nim maleńkie gwiazdy. A przecież — jak się później Gimli dowiedział — brakowało jeszcze dwóch godzin do zachodu słońca i do wieczora tego dnia, w którym wyruszyli z Dunharrow; w tym jednak momencie uwierzyłby, gdyby mu powiedziano, że to zmierzch dnia w wiele lat później lub nad innym światem.

Jeźdźcy znów dosiedli koni, Gimli wraz z Legolasem wspólnego wierzchowca. Jechali dwójkami, a tymczasem wieczór zapadł i otoczył ich ciemno-szafirowym zmrokiem. Strach ścigał ich wciąż. Kiedy Legolas odwrócił się mówiąc coś do krasnoluda i spojrzał wstecz, Gimli dostrzegł dziwny blask w jasnych oczach elfa. Za nimi cwałował Elladan, ostatni z Drużyny, lecz nie ostatni z wędrowców spieszących tą drogą ku nizinom.

— Umarli ciągną za nami — rzekł Legolas. — Widzę sylwetki ludzi i koni, widzę sztandary białe jak strzępy obłoków, włócznie jak nagi zimowy las we mgle. Umarli ciągną za nami.

— Tak jest — potwierdził Elladan. — Usłuchali wezwania.

Wychnęli wreszcie z wąwozu, a stało się to tak nagle, jakby przez szczelinę w murze wypadli na otwartą przestrzeń. Przed nimi leżała górna część wielkiej doliny, a płynący obok potok z zimnym pluskiem spadał z jej progów w dół...

— W jakim miejscu Śródziemia jesteście teraz? — spytał Gimli.

— Zjechaliśmy wąwozem od źródła Morthondy, długiej i zimnej rzeki, która daleko stąd wpada do Morza obmywającego skały Dol Amrothu. Nie będziesz już musiał pytać, bo sam rozumiesz, dlaczego ludzie nazwali ją Czarnym Korzeniem.

Dolina Morthondy tworzyła szerokie zakole sięgając aż pod urwistą południową ścianę gór. Strome stoki porastała trawa, zdawały się jednak szare o tej porze, bo słońce już zaszło i daleko w dole w oknach siedzib ludzkich migotały światelka. Dolina była żyzna i miała wielu mieszkańców.

W pewnej chwili Aragorn nie odwracając się zawołał tak donośnie, że wszyscy go usłyszeli:

— Przyjaciele, zapomnijcie o zmęczeniu! Naprzód! Naprzód! Trzeba nam stanąć przy Głazie na Erech, zanim ten dzień się skończy, a droga jeszcze daleka.

Nie oglądając się więc na nic mknęli przez górskie hale, aż trafili na most przerzucony nad wezbranym potokiem, a stąd na drogę prowadzącą ku nizinom.

W domach wiosek, które mijali, światła gasły, drzwi się zatrzaśkiwały, a ludzie, jeśli byli w polu, uciekali przed nimi z krzykiem, spłoszeni jak ścigane sarny. W gęstniejącym mroku coraz rozlegały się te same okrzyki:

— Król Umarłych! Król Umarłych najechał naszą krainę!

Gdzieś w dole dzwony uderzyły na trwogę; nie było człowieka, który by na widok Aragorna nie umykał w popłochu. Ale Szara Drużyna pędziła niby gromada myśliwych za zwierzyną, aż wreszcie konie znużone zaczęły potykać się i ustawać. Tuż przed północą, wśród ciemności równie czarnych, jak pod ziemią w górskich pieczarach, znaleźli się na Szczycie Erech.

Z dawna groza Umarłych panowała nad tym wzgórzem i nad pustką okolicz-

nych pól. Na szczycie bowiem stał Czarny Głaz, utoczony na kształt olbrzymiej kuli, której wierzchołek sięgał na wysokość rosnącego mężczyzny, chociaż do połowy zagrzebana była w ziemi. Wyglądała niesamowicie, jak gdyby spadła tutaj z nieba; niektórzy nawet twierdzili, że tak właśnie było, lecz inni, pamiętający jeszcze stare dzieje Westernesse, powiadali, że przywieziono ów Głaz z ruin Numenoru i że to Isildur po wylądowaniu na tym wybrzeżu kazał go tutaj ustawić. Ludzie z doliny nie śmieli do niego się zbliżyć ani osiedlać się w jego bliskim sąsiedztwie, mówiąc, że na tym miejscu wyznaczają sobie spotkania cienie ludzkie, by w dniach trwogi cisnąć się wokół Głazu toczyć szeptem narady.

Do tego to Głazu dotarła Drużyna i przy nim zatrzymała się wśród głuchej nocy. Elrohir podał srebrny róg Aragornowi, który podniósł go do ust i zagrał; stojący wokół wydało się, że słyszą odzew wielu innych rogów, jakby echo z głębi odległych pieczar. Innych głosów nie słyszeli, mimo to czuli obecność wielkiej armii zgromadzonej wokół wzgórza; mroźny wiatr niby tchnienie upiorów ciągnął od szczytów. Aragorn zsiadł z konia i stojąc tuż przy Głazie krzyknął donośnie:

— Wiarołomcy, po coście tu przyszli?

Z ciemności, jak gdyby z bardzo daleka nadeszła odpowiedź:

— Aby dopełnić przysięgi i odzyskać spokój.

Wówczas Aragorn rzekł:

— Wybiła dla was wreszcie ta godzina. Jadę do Pelargiru nad Anduinę, wy zaś pojedziecie za mną. I dopiero gdy cały ten kraj zostanie oczyszczony ze sług Saurona, uznam, że dotrzyмалиście przysięgi; wtedy odejdziecie, by na zawsze odnaleźć spokój. Jam jest Elessar, spadkobierca Isildura z Gondoru.

To rzekłszy kazał Halbaradowi rozwinąć wielką chorągiew, którą przywiózł z Rivendell. O dziwo, była cała czarna, jeśli zaś na niej wyszyto jakieś znaki czy słowa, nikt ich nie mógł w ciemności dostrzec. Potem zaległa cisza, której przez długie godziny nocy nie zmącił nawet szept ani westchnienie. Drużyna rozbiła obóz przy Głazie, lecz niewiele zaznała snu, bo zgroza osaczających wzgórza Widmowych Zastępów nie pozwalała zmrużyć oczu.

Gdy zajaśniał świt, błądy i zimny, Aragorn zerwał się i powiodł Drużynę w dalszą drogę, marszem tak forsownym i nużącym, że nawet dla zahartowanych wędrowców niesłychanym; sam tylko Aragorn jakby nie znał zmęczenia i jego wola wszystkich podtrzymywała. Nikt z ludzi śmiertelnych nie zniósłby takich trudów prócz Dunedainów z północy i dwóch ich towarzyszy: elfa Legolasa i krasnoluda Gimlego.

Przesmykiem Tarlanga wydostali się do Lamedonu, a Zastęp Cieni wciąż pędził ich tropem, przed nimi zaś biegła trwoga, aż wreszcie dotarli do Kalembel, grodu położonego nad rzeką Kiril, skąd ujrzeli słońce zachodzące krwawo za Pinath Gelin, które zostawili daleko za sobą. Miasta i brody na rzece zastali opustoszałe, bo większość mężczyzn ruszyła na wojnę, reszta zaś ludności zbiegła w góry na wieść, że zbliża się Król Umarłych. Następnego dnia brzask nie roz-

jaśnił nieba, Szarą Drużynę ogarnęły ciemności Mordoru tak, że zniknęła sprzed oczu ludzkich. Ale Umarli ciągnęli wciąż trop w trop.

ROZDZIAŁ III

Przegląd sił Rohanu

Wszystkie drogi zbiegały się w jedną, zmierzając ku wschodowi na spotkanie bliskiej już wojny i napaści złowrogiego Cienia. W tej samej chwili, gdy Pippin patrzył na księcia Dol Amrothu wjeżdżającego w łopocie sztandarów przez Wielką Bramę grodu, król Rohanu wyprowadził swój poczet jeźdźców spośród gór. Dzień chylił się ku wieczorowi. W ostatnich promieniach słońca wydłużone spiczaste cienie jeźdźców kładły się przed nimi na ziemię. Pod szumiące świerki, które porastały strome górskie zbocza, zakradł się już zmrok. Król jechał teraz wolno po całym dniu marszu. Ścieżka właśnie okrążyła ogromne, nagie ramie skalne, zanurzając się w cień i łagodny poszum drzew. Długa kolumna jeźdźców krętą ścieżką zjeżdżała wciąż w dół. Kiedy wreszcie znaleźli się u wylotu wąwozu, wieczór już panował na nizinie. Słońce zniknęło. Zmierzch przesłonił wodospady.

Przez cały dzień widzieli pod swymi stopami bystry potok spływający z wysokiej przełęczy, która została za nimi, wrzynający się wąskim korytem między porośnięte lasem zbocza; tu, w dole, potok przelewał się przez kamienną bramę w szerszą dolinę. Jeźdźcy posuwając się teraz wzdłuż jego brzegu ujrzeli nagle Harrowdale i usłyszeli głośny szum wody wśród ciszy wieczoru. Tędy bowiem biały Śnieżny Potok zgarniając z obu stron mniejsze strumienie mknął pieniąc się po kamieniach ku Edoras, ku zielonym wzgórzom i równinom. Daleko na prawo u przyczółka wielkiej doliny majaczył potężny Nagi Wierch, spiętrzony na szerokim cokole spowitym w chmury; tylko poszarpany szczyt ubielony wiecznym śniegiem lśnił ponad światem, okryty od wschodu niebieskim cieniem, od zachodu zaś migocący czerwonym odbłaskiem chylącego się słońca.

Merry z podziwem przyglądał się nieznanej krainie, o której nasłuchiwał się wiele podczas długiej podróży. Był to świat bez nieba, gdzie oko poprzez mętne topiele mglistego powietrza błędziło tylko wśród coraz wyżej wznoszących się zboczy i groźnych przepaści, osnutych białym oparem. Hobbit siedział długą chwilę rozmarzony, wsłuchując się w szum wody, w szepty ciemnych drzew, w trzask kamieni, w ogromną ciszę przyczajoną jakby w oczekiwaniu pod tymi wszystki-

mi głosami. Kochał góry, a raczej kochał ich obraz ukazujący się na marginesach opowieści przyniesionych z dalekich stron, teraz jednak przytłaczał go nad miarę wielki ciężar Śródziemia i Merry zatęsknił, by odciąć się od tych ogromów czterema ścianami i zasiąść w zacisznym pokoju przy kominku.

Był zmęczony, bo chociaż posuwali się z wolna, rzadko bardzo popasali. Przez trzy długie dni godzina po godzinie trząsł się na siodle, to wspinając się pod górę, to zjeżdżając w dół, przez przełęcze, przez doliny, w bród przez niezliczone potoki. Czasem, gdy ścieżka rozszerzała się, jechał obok króla, nie spostrzegając uśmiechów, z jakimi inni jeźdźcy przyglądali się dziwnej parze: hobbitowi na małym, kudłatym, siwym kucyku i Władcy Rohanu na ogromnym białym koniu. Gawędził wtedy z Theodenem, opowiadając mu o swojej ojczyźnie i zwyczajach mieszkańców Shire'u albo słuchając opowieści o Riddermarchii i jej dawnych bohaterach. Najczęściej jednak, zwłaszcza ostatniego dnia, trzymał się samotnie tuż za królem milcząc i starając się zrozumieć powolną dźwięczną mowę Rohanu, którą posługiwali się wokół niego ludzie. Miał wrażenie, że jest w tym języku wiele słów znajomych, jakkolwiek brzmiących w ustach Rohirrimów soczyściej i mocniej niż w Shire; nie mógł jednak powiązać tych wyrazów w zdania. Niekiedy któryś z jeźdźców śpiewał czystym głosem jakąś wzruszającą pieśń, a wówczas serce hobbita biło żywiej, mimo że nie rozumiał treści.

Bądź co bądź czuł się osamotniony, a teraz, pod koniec podróży, bardziej jeszcze niż na początku. Zastanawiał się, gdzie pośród tego dziwnego świata obraca się Pippin, co dzieje się z Aragornem, Legolasem i Gimlim. W pewnej chwili mróz przejął mu serce, gdy nagle stanął mu w pamięci Frodo i Sam. „Zapomniałem o nich! — powiedział do siebie z wyrzutem. — A przecież oni dwaj ważniejsi są od nas wszystkich. Wyruszyłem z domu, żeby im pomóc, a teraz są gdzieś daleko, o setki mil ode mnie, jeśli w ogóle jeszcze żyją”. I na tę myśl zadrżał.

— Wreszcie Harrowdale przed nami! — rzekł Eomer. — Jesteśmy niemal u celu.

Zatrzymali się; ścieżka opadała wąskim jarem stromo w dół. W omglonej dali ledwie mały wycinek wielkiej doliny ukazywał się jak gdyby przez wysokie okno; nad rzeką mrugało jedno jedyne światelko.

— Na dziś podróż się kończy — rzekł Theoden — ale przede mną droga jeszcze daleka. Zeszłej nocy księżyc był w pełni, jutro o świcie ruszę więc do Edoras na wielki zlot wojowników Marchii.

— Jeśli jednak posłuchasz mojej rady, królu — powiedział zniżając głos Eomer — wrócisz po przeglądzie znowu tutaj, by przeczekać, aż wojna się rozstrzygnie zwycięstwem albo klęską.

Theoden uśmiechnął się na to.

— Nie, mój synu — bo pozwól, że tak będę cię teraz nazywał — nie sącz ospałych słówek Smoczego Języka w moje starcze uszy! — Wyprostował się w siodle i obejrzał szeregi rozciągniętej za nim kolumny jeźdźców, ginącej dalej w mroku.

— Zdaje mi się, że lata całe przeżyłem w ciągu tych dni, które upłynęły, odkąd wyruszyłem na zachód, lecz nigdy już nie będę wspierał się ciężko na lasce. Jeżeli wojnę przegramy, cóż mi pomoże kryć się wśród gór? Jeśli zaś wygramy, któż by się martwił, choćbym zginął strawiwszy dla zwycięstwa resztkę sił? Na razie wszakże nie będziemy o tym rozprawiali. Tę noc spędzę w Warowni Dunharrow. Przynajmniej ten jeden wieczór pozostał nam jeszcze. Naprzód!

W gęstniejącym zmierzchu zagłębili się w dolinę. Śnieżny Potok płynął tu pod zachodnimi jej ścianami; ścieżka wkrótce doprowadziła jeźdźców do brodu, gdzie płytko rozlana woda pluskała głośno wśród kamieni. Bród był strzeżony. Gdy oddział zbliżył się, spod skał, gdzie kryli się w cieniu, wyskoczyli zbrojni ludzie, lecz poznając króla zakrzyknęli z radością:

— Król Theoden! Król Theoden! Król Marchii wrócił!

Potem któryś z nich zadał w róg. Echo poszło po dolinie. Inne rogi odpowiadały na apel i na drugim brzegu rozbrzysły światła. Nagle z góry, jakby z ukrytej wśród szczytów kotliny, zabrzmiały trąby; głosy ich połączone w zgodny chór rozlegały się donośnie, odbite od kamiennych ścian.

Tak król Marchii wrócił zwycięsko z wyprawy na zachód do Warowni Dunharrow u podnóży Białych Gór. Zastał tu zgromadzoną już resztę wojowników ze swego plemienia, bo na wieść o jego pochodzie dowódcy pospieszyli na spotkanie króla do brodu przynosząc zleczone przez Gandalfa rady. Przewodził im Dunhern, wódz ludu zamieszkującego Harrowdale.

— Trzy dni temu o świcie Gryf przygnał jak wiatr z zachodu do Edoras — mówił Dunhern. — Gandalf, ku wielkiej naszej radości, przywiózł nowinę o twoim, królu, zwycięstwie. Przywiózł także twój rozkaz, by przyspieszyć zlot zbrojnych jeźdźców w stolicy. Potem wszakże zjawił się Skrzydlaty Cień.

— Skrzydlaty Cień? — powiedział Theoden. — Widzieliśmy go także, lecz w ciemną noc, przed rozstaniem z Gandalfem.

— Być może, królu — odparł Dunhern. — Lecz ten sam Cień lub może drugi, zupełnie do tamtego podobny, złowroga ciemna chmura w postaci olbrzymiego ptaka przeleciała dziś rano nad Edoras, a na wszystkich ludzi padła wielka trwoga. Nurkując bowiem nad pałacem Meduseld zniżył się tak, że niemal musnął szczyt dachu, i wydał okrzyk, od którego serca w nas zamarły. Wówczas to Gandalf poradził nam nie gromadzić się na przegląd w otwartym polu, lecz spotkać cię, królu, tutaj, w dolinie pod górami. Zalecał też nie zapalać ognisk i światel, prócz najniezbędniejszych. Tak też robiliśmy. Gandalf przemawiał bowiem bardzo stanowczo. Ufamy, że nie sprzeciwia się to twoim królewskim zamiarom. W Harrowdale nie zauważono żadnych złowróbnych znaków.

— Dobrze zrobiliście — rzekł Theoden. — Pojadę teraz do Warowni i tam przed udaniem się na spoczynek chcę naradzić się z marszałkami i dowódcami.

Niech więc wszyscy stawiają się jak najrychlej.

Droga prowadziła na wschód w poprzek doliny, która w tym miejscu miała nieco ponad pół mili szerokości. Wkoło ciągnęła się równina, łąka porośnięta szorstką trawą, szarą w zapadającym zmroku, lecz w dali, u drugiego krańca doliny Merry dostrzegł surową ścianę, ostatnią wysuniętą straż olbrzymich korzeni Nagiego Wierchu, w której rzeka przebiła sobie wyłom przed niezliczonymi wiekami. Wszędzie, gdzie teren był bardziej wyrównany, roiło się od ludzi. Niektórzy cisnęli się na skraju drogi witając z radosnymi okrzykami króla i jeźdźców wracających z zachodu. Za tym jednak szpalerem ciągnęły się jak okiem sięgnąć regularne rzędy namiotów i szałasów, szeregi uwiązanych przy palikach koni, stosy broni, pęki włócznie zatknięte w ziemię i zjeżone niby gąszcz młodego lasu. Całe to wielkie zgromadzenie tonęło w mroku, lecz mimo nocnego chłodu wiejącego od gór nigdzie nie błyszczały latarnie ani też nie rozpalono ognisk. Wartownicy otuleni w grube płaszcze przechadzali się tam i sam wokół obozowiska.

Merry zastanawiał się, ilu też jeźdźców pomieściła dolina. W mroku nie mógł ocenić dokładnie liczby, miał jednak wrażenie, że jest tu ogromna, wielotysięczna armia. Rozglądał się ciekawie na wszystkie strony i ani się spostrzegł, gdy oddział królewski dotarł pod nawisłe groźnie urwisko u wschodniej ściany doliny; ścieżka nagle zaczęła pięć się stromo pod górę, Merry zaś podniósłszy wzrok osłupiał z podziwu. Takiej drogi nigdy jeszcze w życiu nie spotkał; musiało to być dzieło potężnych ludzkich rąk z czasów dawniejszych niż najdawniejsze pieśni. Droga wijąc się jak wąż wrzynała się w nagą skałę. Stroma jak schody skręcała to w jedną, to w drugą stronę, wstępując coraz wyżej. Mogły po niej iść konie, mogły nawet powoli wjeżdżać wozy, lecz jeśli obrońcy czuwali na górze, nieprzyjacieli nie zdołałby jej pokonać, chyba lotem ptaka. U każdego zakrętu sterczał wielki kamień, wyrzeźbiony na podobieństwo ludzkiej postaci, z grubo ciosanymi kończynami; jakby olbrzym kamienny przycupnął krzyżując potężne, niezdarne uda i splótłszy krótkie, tępe ręce na tłustym brzuchu. Wielu z nich czas zatarł oblicza pozostawiając tylko ciemne jamy oczu, które smutnie patrzyły na jadących drogą podróżnych. Jeźdźcy prawie ich nie widzieli, nazywali ich Pukelami i nie zwracali na nich uwagi, stracili bowiem od dawna odstraszącą moc; Merry jednak przyglądał im się z podziwem i niemal z litością, tak żałośnie wydali mu się wśród zmierzchu.

Kiedy po chwili obejrzał się za siebie, stwierdził, że jest już o paręset stóp ponad doliną, lecz wciąż jeszcze, choć z dala, dostrzega w mroku krętą kolumnę jeźdźców przeprawiających się przez brody i ciągnących ku przygotowanemu dla nich obozowisku. Tylko król z przyboczną gwardią jechał w górę do Warowni.

Wreszcie poczet królewski dotarł na ostrą grań, skąd droga, wrzynając się między ściany skalne, wiodła krótkim zboczem na rozległą platformę. Ludzie zwali ją

Firienfeld, a była to zielona hala porośła trawą i wrzosem, górująca nad głębokim korytem Śnieżnego Potoku, wsparta o zbocza ogromnych gór, które ją osłaniały; od południa piętrzył się nad nią Nagi Wierch, od północy zaś zębaty jak piła grzbiet Dwimorbergu, Nawiedzanej Góry, wystrzelającej ponad zalesione ciemnymi świerkami stoki. Dwa szeregi sterczących pionowo, bezkształtnych głazów dzieliły płaszczyznę na pół, niknąc w oddali w mroku i w cieniu drzew. Kto by się odważył iść tą drogą, zaprowadziłaby go wkrótce do czarnego lasu Dimholt pod Nawiedzaną Górą, przed ostrzegawczy kamienny słup i ziejącą ciemną paszczę zakazanych drzew.

Tak wyglądała Warownia Dunharrow, działo dawno zapomnianego plemienia. Zaginęło w niepamięci nawet jego imię, nie zachowane w żadnej pieśni ani legendzie. Nikt też nie wiedział, jakiemu celowi służyło pierwotnie to obronne miejsce, czy było tu ongi miasto, czy może tajemna świątynia, czy też grobowiec króla. Ludzie trudzili się ociosując tu skały za Czarnych Lat, zanim pierwszy statek przybił do zachodnich wybrzeży, zanim Dunedainowie założyli państwo Gondoru; nie zostało po dawnych mieszkańców innych śladów prócz kamiennych posągów wytrwale strzegących każdego zakrętu drogi.

Merry przyglądał się szpalerowi kamieni; były czarne i poszczerbione zębem czasu, niektóre pochyliły się, inne padły na ziemię, jeszcze inne popękały i rozsypały się w gruzy. Wyglądały jak rzędy starych drapieżnych zębów. Zastanawiając się, jakie mogło być ich przeznaczenie, hobbit miał nadzieję, że król nie zamierza jechać wytyczonym przez nie szlakiem dalej w noc. Nagle spostrzegł po obu stronach kamiennej drogi zgrupowane namioty i szałas, wszystkie jednak odsunięte nieco od drzew i skupione raczej w pobliżu krawędzi urwiska. Większa ich część znajdowała się na prawo od drogi, tam bowiem Firienfeld rozpościerało się szerzej; na lewo rozbity był mniejszy obóz, pośród którego wznosił się wysoki namiot. Z tej właśnie strony na spotkanie skręcających z drogi przybyszów wyjechał jeździec.

Jeździec okazał się kobietą, jak Merry stwierdził podjeżdżając bliżej; w mroku lśniły długie warkocze, chociaż głowę okrywał rycerski hełm, a pierś zbroja, u pasa zaś zwisał miecz.

— Witaj, Władco Marchii! — krzyknęła. — Serce moje raduje się z twojego powrotu.

— Witaj, Eowino! — odparł Theoden. — Wszystko w porządku?

— W porządku — odpowiedziała, lecz Merry miał wrażenie, że głos kłamie słowom i że młoda pani jest spłakana, jeśli można posądzać o łzy kobietę o tak mężnym obliczu. — Wszystko dobrze. Ciężka to była wyprawa dla ludzi odezwanych z nienacka od rodzinnych domów. Doszło do sprzeczek i narzekania, bo przecież dawno już wojna nie wypędzała nas z naszych zielonych pól. Teraz jednak panuje zgoda i porządek, jak widzisz. Mieszkanie dla ciebie przygotowane, doszły mnie bowiem wieści, że wracasz, i oczekiwałam cię właśnie o tej godzinie.

— A więc Aragorn dojechał pomyślnie — rzekł Eomer. — Czy jest może jeszcze tutaj?

— Nie, już go nie ma — odparła Eowina odwracając twarz i patrząc na góry, ciemniejące od wschodu i południa.

— Dokąd pojechał? — spytał Eomer.

— Nie wiem — odparła. — Przybył późnym wieczorem i ruszył dalej wczoraj o świcie, zanim słońce wyjrzało zza szczytów.

— Widzę, że jesteś zmartwiona, moja córko — rzekł Theoden. — Co się stało? Powiedz, czy mówił ci o tej ścieżce? — Wskazał Nawiedzaną Górę mającą u końca kamiennej drogi, która już ginęła w mroku. — czy wspomniał o Ścieżce Umarłych?

— Tak, królu — odparła Eowina. — Przekroczył próg ciemności, z których nikt nigdy jeszcze nie powrócił. Nie mogłam go od tego powstrzymać. Poszedł tam.

— A więc rozstały się nasze drogi — powiedział Eomer. — Aragorn zginął. Musimy dalej jechać bez niego i z mniejszą nadzieją w sercu.

Posuwali się z wolna przez niskie wrzosek i trawę, nie rozmawiając już więcej, aż znaleźli się przed namiotem królewskim. Wszystko było na przyjęcie gości gotowe, a Merry przekonał się, że nie zapomniano nawet o nim. Tuż obok królewskiej siedziby wzniesiono namiocik, z którego hobbit, siedząc samotnie, obserwował ludzi wchodzących do wielkiego namiotu i wychodzących z niego po otrzymaniu od króla rozkazów. Noc zapadła, gwiazdy uwieńczyły ledwie widoczne szczyty górskie na zachodzie, lecz na wschodzie niebo było czarne i puste. Szpaler kamieni ginął sprzed oczu, za nim jednak majaczyła czarniejsza niż ciemność nocy ogromna i zwalista bryła Nawiedzonej Góry.

— Ścieżka Umarłych — mruknął do siebie Merry. — Ścieżka Umarłych? Co to znaczy? Wszyscy mnie porzucili. Wszyscy poszli na spotkanie groźnego losu: Gandalf i Pippin na wschód, na wojnę, Sam i Frodo do Mordoru, a Legolas z Gimlim na Ścieżkę Umarłych. Ale teraz pewnie przyjdzie wkrótce kolej i na mnie. Ciekawe, o czym oni tak dokoła tu rozprawiają i co król zamierza robić. Bo oczywiście wypadnie mi pójść tam, dokąd on pójdzie.

Wśród tych posępnych rozmyślań nagle przypomniał sobie, że jest okropnie głodny, wstał więc, żeby rozejrzeć się po dziwnym obozowisku, czy nie znajdzie się w nim nikt, kto by podzielał jego apetyt. W tej samej jednak chwili zagrała trąbka i przed namiocikiem stanął goniec wzywając Theodenowego giermka do służby przy królewskim stole.

Pośrodku namiotu odgrodzono haftowanymi zasłonami niewielką przestrzeń i wysłano ją skórą. Tam przy małym stole zasiadł Theoden z Eowiną, Eomerem i Dunhernem, wodzem ludzi z Harrowdale. Merry stanął za krzesłem króla, aby

mu służyć, lecz po chwili starzec ocknąwszy się z zadumy zwrócił się do niego z uśmiechem:

— Nie, mości Meriadoku — rzekł — nie będziesz tak stał. Możesz siedzieć obok mnie zawsze, dopóki jesteśmy w granicach mego królestwa, i masz rozveselać mnie opowieściami.

Zrobiono hobbitowi miejsce po lewej ręce króla, nikt jednak nie prosił go o opowieści. Mało rozmawiano w ogóle, wszyscy jedli i pili w milczeniu, aż w końcu zbierając się na odwagę Merry zadał pytanie, które dręczyło go od dawna.

— Miłościwy panie, dwakroć już przy mnie wspomniano o Ścieżce Umarłych — rzekł. — Co to za szlak? Gdzie jest Obieżyświat, czyli chciałem powiedzieć dostojny Aragorn? Dokąd się udał?

Król westchnął, nikt jednak nie kwapił się z odpowiedzią, dopiero po dłuższej chwili odezwał się Eomer:

— Nie wiemy i bardzo jesteśmy stroskani. A co do Ścieżki Umarłych, to ty sam, Meriadoku, postawiłeś już na niej pierwsze kroki. Nie, nie chcę cię przerażać złą wróżbą! Po prostu droga, którą wspinaliśmy się tutaj, prowadzi dalej pod Drzwi, otwierające się w lesie Dimholt. Co jednak za nimi się znajduje, nikt nie wie.

— Nikt nie wie — rzekł Theoden — lecz stare legendy, rzadko dziś opowiadane, mówią o tym coś niecoś. Jeśli nie kłamią te pradawne opowieści, które w rodzie Eorla przekazywano z ojca na syna, za drzwiami pod Nawiedzaną Górą istnieje tajemna ścieżka prowadząca pod ziemię ku nieznanemu celowi. Nie znalazł się śmiałek, który by odważył się zbadać jej sekrety, od czasu gdy Baldor, syn Brega, przekroczył owe drzwi, by nigdy nie wrócić pomiędzy żyjących. Podczas uczty, którą Brego wyprawił z okazji uroczystego otwarcia pałacu Meduseld, Baldor rozgrzany winem złożył pochopnie przysięgę, że wyjaśni tajemnicę tej drogi. Tak stało się, iż nigdy nie zasiadł na tronie, przeznaczonym mu z prawa dziedzictwa. Ludzie mówią, że ścieżki tej strzeże plemię Umarłych z czasów Czarnych Lat i że ci strażnicy nie dopuszczają nikogo z żyjących do swojej tajemnej siedziby, lecz sami niekiedy pokazują się w postaci cieni przemykających spod drzwi wzdłuż kamiennej drogi. Mieszkańcy Harrowdale zamykają wtedy na trzy spusty drzwi swych domów, zasłaniają okna i drżą ze strachu. Ale Umarli rzadko wychodzą z podziemi, zdarza się to tylko w czasach wielkiego niepokoju i śmiertelnego zagrożenia.

— Mówią jednak w Harrowdale — powiedziała Eowina ścisząc głos — że niedawno w bezksiężycową noc widziano przeciągające tędy wielkie wojska w dziwnych zbrojach. Skąd ta armia przybyła, nie wiadomo, lecz dążyła kamienną drogą pod górę i zniknęła w jej wnętrzu, jakby spiesząc na umówione spotkanie.

— Dlaczego więc Aragorn obrał tę drogę? — spytał Merry. — Czy nikt nie może tego wyjaśnić?

— Jeśli tobie, jako przyjacielowi, nic o tym nie powiedział — odparł Eomer — nikt z ludzi żyjących nie wie, czym się kierował i do czego zmierzał.

— Wydał mi się bardzo zmieniony od owego dnia, gdy go pierwszy raz ujrzałam w królewskim pałacu — powiedziała Eowina — bardziej posępny i starszy. Można by myśleć, że go coś urzekło, jak bywa z ludźmi, których wzywają Umarli.

— Może go wezwali — odparł Theoden. — Serce mi mówi, że już go więcej w życiu nie zobaczę. Ale to mąż królewskiej krwi, powołany do wielkich przeznaczeń. Tym się pociesz, córko, bo widzę, że zasmuca cię jego los i potrzebujesz pociechy. Legendy mówią, że kiedy potomkowie Eorla po przybyciu z północy przeprawili się przez Śnieżny Potok szukając obronnych miejsc i schronów na dni grozy, Brego ze swoim synem Baldorem wspiał się po skalnych schodach do tej Warowni i tędy doszedł do Drzwi Umarłych. W progu siedział starzec, którego lat nie da się zliczyć wedle naszej rachuby czasu; był wysoki, królewskiej postawy, lecz zmurszały jak odwieczny głaz. Toteż w pierwszej chwili wzięli go za stary kamień, bo nie poruszał się i nie odzywał, dopóki nie spróbowali wyminąć go i wejść do pieczary. Wtedy z jego piersi jak spod ziemi dobył się głos i ku ich zdumieniu przemówił w języku zachodnich plemion: „Droga jest zamknięta”.

Zatrzymali się więc, spojrzeli na niego uważniej i dopiero wówczas zrozumieli, że to żywy człowiek. On jednak nie patrzył na nich. „Droga jest zamknięta — powtórzył. — Zbudowali ją ci, którzy dziś są umarli, oni też jej strzegą, póki się czas nie dopełni. Droga jest zamknięta”.

„A kiedy czas się dopełni?” — spytał Baldor. Nie usłyszał jednak odpowiedzi. W tym bowiem momencie starzec padł martwy, twarzą ku ziemi. Nigdy nikt w naszym plemieniu nie zdobył więcej wiadomości o dawnych mieszkańcach tych gór. Kto wie, może dziś właśnie wybiła zapowiedziana godzina i zamknięta droga otworzy się przed Aragornem.

— Jakże jednak inaczej przekonać się, czy już czas się dopełnił, jeśli nie próbując przekroczyć progu? — rzekł Eomer. — Nie, ja nie zrobiłbym tego, choćby mnie ścigała cała armia Mordoru, choćbym był sam i nie miał innej drogi ucieczki. Wielkie to nieszczęście, że na wezwanie Umarłych odpowiedział mąż tak wspaniałego męstwa, tak potrzebny w ciężkiej naszej godzinie. Czyż nie dość złych istot nawiedziło świat, by szukać ich jeszcze pod ziemią? Wojna przecież wybuchnie lada dzień.

Umilkł, bo w tym momencie z dworu dobiegł gwar: ktoś wywoływał imię Theodena, a wartownik przed namiotem bronił wstępu.

Dowódca straży rozchylił zasłonę.

— Konny wysłaniec Gondoru, miłościwy panie — zameldował. — Prosi, żeby mógł bez zwłoki stanąć przed tobą.

— Wprowadzić go! — rzekł Theoden.

Wszedł smukły mężczyzna. Merry omal nie krzyknął głośno, bo w pierwszej chwili wydało mu się, że to Boromir wskrzeszony powrócił z zaświatów. Potem przyjrząwszy się lepiej stwierdził, że nie jest to Boromir, lecz ktoś tak do niego podobny jak bliski krewny: wysoki, z siwymi oczyma, dumnej postawy. Miał na sobie strój jeźdźca i ciemnozielony płaszcz zarzucony na kolczugę pięknej roboty. Hełm nad czołem zdobiła mała srebrna gwiazda. W ręku trzymał strzałę, opatrzoną czarnym piórem i stalowym ostrzem, pomalowanym na końcu czerwoną farbą. Przykląkł na jedno kolano pokazując Theodenowi strzałę.

— Pozdrawiam cię, Władco Rohirrimów, przyjacielu Gondoru — rzekł. — Nazywam się Hirgon, jestem gońcem Denethora, który przysłał ci ten znak wojny. Gondor pilnie potrzebuje pomocy. Rohirrimowie wspierali nas nieraz, dziś jednak pan nasz, Denethor, wzywa ich, aby przybyli w jak największej sile i jak najspieszniej, inaczej bowiem Gondor zginie.

— Czerwona Strzała! — powiedział Theoden biorąc z rąk gońca strzałę. Widać było po nim, że z dawna oczekiwał tego znaku, a mimo to nie mógł obronić się od zgrozy, gdy go ujrzał. Ręka mu drżała. — Nigdy jeszcze za moich dni nie zjawiała się w Marchii Czerwona Strzała! A więc do tego już doszło! Na jakie posiłki, na jaki pośpiech z mojej strony liczyć może Denethor?

— To już sam wiesz najlepiej, miłościwy królu — odparł Hirgon. — Lecz wkrótce może się zdarzyć, że Minas Tirith będzie ze wszech stron otoczona, jeśli więc nie rozporządzasz taką potęgą, by przebić się przez pierścień wielu oblegających gród armii, władca nasz, Denethor, polecił mi oznajmić, że w takim przypadku wedle jego mniemania lepiej byłoby, aby siły zbrojne Rohanu znalazły się w obrębie fortecznych murów, nie zaś poza nimi.

— Lecz władca wasz z pewnością wie, że Rohirrimowie przywykli raczej bić się konno i w otwartym polu, a także to, że plemię nasze żyje w rozproszeniu i trzeba czasu, żeby zgromadzić wszystkich jeźdźców. Czy mylę się, Hirgonie, sądząc że Władca Minas Tirith więcej wie, niż powiedział w swoim wezwaniu? Sam chyba widzisz, że my już toczyliśmy wojnę i że nie zastałeś nas całkowicie nieprzygotowanych. Był u nas Gandalf Szary, a dziś właśnie zebraliśmy się tutaj na przegląd sił przed wyruszeniem do boju na wschód.

— Nie mogę ci odpowiedzieć, królu, na pytanie, co nasz władca wie o tych sprawach i czego się domyśla — odparł Hirgon. — To wszakże pewne, że jesteśmy w rozpaczliwym położeniu. Mój władca nie przysłał rozkazów, lecz prosi, abys wspomniał na dawną przyjaźń i na z dawna wiążące cię przysięgi i uczynił wszystko, co w twojej mocy, zarówno dla naszego, jak i dla własnego dobra. Doszły nas wieści, że wielu królów ze wschodu ciągnie ze swoimi zastępami, by oddać się na służbę Mordorowi. Od północy do północy Dagorladu wszędzie już toczą się utarczki i słychać zgiełk wojenny. Na południu ruszyli się Haradrimowie i strach padł na całe zaprzyjaźnione z nami nadbrzeżne plemiona, tak że niewiele od nich możemy oczekiwać posiłków. Pospieszaj, królu! Nie gdzie indziej bowiem, lecz

pod murami Minas Tirith rozstrzygnie się los dzisiejszego świata, a jeśli tam nie powstrzymamy fali, zaleje ona wkrótce piękne stepy Rohanu i nawet ta Warownia wśród gór nie będzie bezpiecznym schronieniem.

— Straszne przynosisz wieści, lecz nie wszystkie one są dla nas niespodzianką — rzekł Theoden. — Powiedz Denethorowi, że nawet gdyby Rohan nie czuł się sam zagrożony i tak przyszedłby mu z pomocą. Lecz ponieśliśmy srogie straty w bitwie ze zdrajcą Sarumanem i musimy pamiętać zarówno o naszych północnych, jak i wschodnich granicach; przypominają nam o tym nowiny przez Denethora nadesłane. Może się też zdarzyć wobec wielkiej potęgi, jaką teraz Władca Ciemności rozporządza, że nas okrąży, zanim dotrzemy do waszego grodu, i że natrze przeważającymi siłami zza rzeki nie dopuszczając do Królewskiej Bramy.

Ale dość na dziś tych słów rozwagi. Pójdziemy wam na pomoc. Jutro ma się odbyć przegląd broni. Potem wydam rozkazy i wyruszymy w drogę. Myślałem, że będę mógł wysłać stepem na postrach wrogowi dziesięć tysięcy włóczni. Teraz niestety widzę, że będzie ich mniej; nie śmiem bowiem zostawić moich warowni bez obrony. Sześć tysięcy wszakże poprowadzę pod Minas Tirith. To powiedz Denethorowi, że w ciężkiej godzinie król Marchii sam spieszy do Gondoru, choć pewnie żywy nie wróci z tej wyprawy. Ale to daleka droga, przy tym ludzie i konie muszą dojść na miejsce w pełni sił do walki. Od jutrzejszego ranka upłynie tydzień, zanim usłyszycie bojowy okrzyk synów Eorla nadciągających z północy.

— Tydzień! — powiedział Hirgon. — Musimy się z tym pogodzić, skoro inaczej być nie może. Ale kto wie, czy przybywając za siedem dni nie ujrzycie już tylko zburzonych murów, jeśli nie zjawi się wcześniej jakaś inna pomoc z nieoczekiwanej strony. Nawet jednak w najgorszym razie dobrze się stanie, że zakłócicie orkom i Dzikim Ludziom ich tryumfalną ucztę wśród ruin Białej Wieży.

— Tyle przynajmniej zrobimy na pewno — rzekł Theoden. — Teraz wybacz, jestem znużony po niedawnej bitwie i długim marszu, muszę odpocząć. Zostań tutaj na te jedną noc. Jutro zobaczysz przegląd sił Rohanu i napatrzwszy się im odjedziesz z lżejszym sercem i tym żwawiej po wypoczynku. Ranek nieraz przynosi radę, a noc często odmienia myśli.

Król podniósł się i wszyscy wstali ze swoich miejsc.

— Rozejdźcie się i śpijcie dobrze — powiedział król. — Ciebie, mój Meriadoku, nie będę już dziś potrzebował. Bądź jednak gotów na wezwanie o wschodzie słońca.

— Będę gotów — odparł Merry — choćbyś mi, królu, kazał za sobą jechać Ścieżką Umarłych.

— Nie wymawiaj tych złowróżbnych słów! — rzekł król. — Niejedną bowiem ścieżkę można by takim mianem nazwać. Nie powiedziałem też wcale, że wezmę

cię z sobą w dalszą drogę. Dobranoc!

— **N**ie chcę zostać i czekać, aż przypomną sobie o mnie po wszystkim — rzekł Merry. — Nie chcę zostać, nie chcę!

I tak powtarzając wciąż w kółko ten protest usnął wreszcie pod swoim namiotem. Zbudził go jakiś człowiek potrząsając za ramiona.

— Wstawaj, wstawaj, mości niziołku! — krzyczał. Merry w końcu ocknął się z głębokiego snu i zerwał z posłania. Stwierdził, że jest jeszcze bardzo ciemno.

— Co się stało? — zapytał.

— Król cię wzywa.

— Słońce przecież nie wzeszło jeszcze.

— Nie i nie wszędzie dzisiaj. Wygląda na to, że nigdy go już nie zobaczymy zza tej chmury. Ale czas nie zatrzymał się, chociaż zagubił słońce. Pospiesz się, żywo!

Chwytając szybko płaszcz Merry wyrzwał z namiotu. Świat był mroczny. Nawet powietrze zdawało się jakieś bure, wszystko wokoło czarne i szare, a żaden kształt nie rzucał na ziemię cienia; cisza panowała zupełna. Nie widać było zarysów chmury, tylko gdzieś w dali rozpostarty szeroko na wschodzie mrok wysuwał przed siebie jak gdyby łapczywe palce, między którymi przeświecała odrobina światła. Wprost nad głową hobbita zawisł ciężki strop bezkształtnych ciemności, a światło zamiast się potęgować przygasało z każdą chwilą.

Na polanie dostrzegł mnóstwo ludzi, a wszyscy patrzyli w górę i coś mruczełi z cicha; twarze mieli smutne i zszarzałe, niektórzy wyraźnie drżeli z lęku. Ze ściśniętym sercem szedł Merry do króla. Hirgon, goniec z Gondoru, wyprzedził hobbita, a towarzyszył mu drugi człowiek, podobny do niego z rysów i ubioru, lecz niższy i tęższy. Gdy Merry wchodził do królewskiego namiotu, Gondorczyk rozmawiał z Theodenem.

— Ciemność przyszła z Mordoru — mówił. — Nadciągnęła wczoraj o zachodzie słońca. Ze wzgórz Wschodniej Bruzdy twojego królestwa widziałem, jak się podnosi i pełźnie po niebie. Teraz ogromna chmura zawisła nad całą krainą pomiędzy nami a Górą Cienia i coraz bardziej się rozrasta. Wojna już się zaczęła.

Przez chwilę król milczał. Wreszcie przemówił:

— A więc stało się! Już wybuchła ta Wielka Bitwa naszych czasów, która przyniesie kres wielu rzeczy. Bądź co bądź nie pora już ukrywać się dłużej. Pojedziemy najprostsza drogą, otwarcie, ile sił w koniach. Przegląd zacznie się natychmiast, nie będziemy czekali na maruderów. Czy macie w Minas Tirith przygotowane zapasy? Jeśli bowiem mamy ruszyć spiesznym marszem, nie możemy obciążać się niczym, weźmiemy tyle tylko wody i chleba, żeby przeżyć do pierw-

szej bitwy.

— Mamy wielkie zapasy z dawna przygotowane — odparł Hirgon. — Jedźcie bez juków i pospieszajcie.

— Zawołaj, Eomerze, trębaczy — powiedział Theoden. — Niech jeźdźcy staną w ordynku.

Eomer wyszedł i niemal zaraz potem w Warowni rozległa się pobudka, a w dolinie odpowiadały na nią głosy trąbek; nie zabrzmiały jednak teraz w uszach Meriadoka tak czysto i śmiało jak poprzedniego wieczora. W ciężkim powietrzu grały głucho i ochryple, złowieszczo i jękliwie.

Król zwrócił się do hobbita:

— Jadę na wojnę, mój Meriadoku — rzekł. — Ruszam za chwilę w drogę. Zwalniam cię ze służby, chociaż nie cofam ci przyjaźni. Zostaniesz tutaj i jeżeli zechcesz, będziesz służył księżniczce Eowinie, która w moim zastępstwie sprawować ma rządy nad naszym ludem.

— Ale... ale... królu — wyjąkał Merry — ofiarowałem ci przecież mój miecz... Nie chcę rozstać się z tobą w ten sposób, królu Theodenie. Wszyscy moi przyjaciele wezmą udział w tej walce, wstydzilibym się zostać na tyłach.

— Jedziemy na dużych i śmigłych koniach — powiedział Theoden — a ty, chociaż serce masz dzielne, nie możesz osiąść takiego wierzchowca.

— Więc mnie przywiąż do siodła albo powieś na strzemieniu. Zrób, co chcesz, byleś mnie wziął z sobą — odparł Merry. — Droga daleka, ale ja muszę ją przebyć. Jeśli nie konno, to piechotą, choćbym miał nogi zedrzeć i przyjść o parę tygodni za późno.

Theoden uśmiechnął się na to.

— Wolałbym wziąć cię na siodło Śnieżnogrzywego wraz z sobą, niż pozwolić na coś podobnego. W każdym razie pojedziesz ze mną do Edoras i zobaczysz Meduseld. Tamtędy bowiem wiedzie nasza droga. Do Edoras doniesie cię twój Stybba, wielki bieg zaczniesz dopiero potem, na równinie.

— Chodź ze mną, Meriadoku — odezwała się wstając Eowina. — Pokaże ci zbroję, którą kazałam dla ciebie przygotować.

Wyszli więc we dwoje.

— O jedno tylko prosił mnie Aragorn — powiedziała Eowina prowadząc hobbita między namiotami. — O to, żebym cię uzbroiła do bitwy. Obiecałam mu zrobić wszystko, co w mojej mocy. Serce mi mówi, że będzie ci potrzebna zbroja, zanim ta wojna się skończy.

Stanęli przed szafasem pośród stanowisk królewskiej gwardii. Zbrojmistrz wyniósł z wnętrza mały hełm, okrągłą tarczę i inne części bojowego rynsztunku.

— Nie znalazła się u nas kolczuga na twoją miarę — powiedziała Eowina — i nie było czasu, żeby wykuć dla ciebie nową; jest za to mocna kurtka ze skóry, pas i nóż. Miecz masz własny.

Merry skłonił się, a księżniczka pokazała mu tarczę, podobną do tej, którą dostał Gimli, i naznaczoną godłem Białego Konia.

— Weź to wszystko — powiedziała — i niech ci służy szczęśliwie. Bądź zdrow, Meriadoku. Myślę, że jeszcze spotkamy się w życiu.

Tak więc w gęstniejącym mroku król Marchii gotował się do wyruszenia na czele swoich jeźdźców ku wschodowi. Serca ludziom ciążyły, niejeden kulił się z trwogi przed ciemnością. Ale był to lud mężny, wierny swemu królowi, toteż niewiele słyszało się płaczu i szemrania, nawet w obozowisku Warowni, gdzie schronili się uchodźcy z Edoras, kobiety, dzieci i starcy. Złowrogi los zawisł nad nimi, stawiali mu jednak czoło bez skarg.

Dwie godziny przemknęły szybko i król już siedział na swoim siwym koniu lśniącym w półmroku. Zdawał się dumny i wielki, chociaż spod wysokiego hełmu włosy spływały mu na ramiona białe jak śnieg. Ten i ów, spoglądając na niego z podziwem, nabierał otuchy widząc, że król jest nieugięty i nieustraszony.

Na rozległej płaszczyźnie za huczącym potokiem ustawiły się w porządku zastępy wojska, około pięciu i pół tysiąca jeźdźców w pełnym uzbrojeniu, dalej zaś kilkuset luzaków z zapasowymi końmi, lekko objuczonymi. Zagrała jedna tylko trąbka. Król podniósł rękę i armia Marchii w głuchej ciszy ruszyła z miejsca. Najpierw jechało dwunastu przybocznych królewskich gwardzistów, doborowi, najślawniejsi jeźdźcy; potem sam król z Eomerem u boku. Pożegnał się z Eowiną na górze, w Warowni, i pamięć tej chwili bolała go jeszcze, ale już zwracał myśl ku drodze, która leżała przed nim. Tuż za królem człapał na kucyku Merry wśród dwóch gońców Gondoru, a za nimi znów dwunastu królewskich gwardzistów. Jechali zrazu między długim podwójnym szpalerem żołnierzy, czekających z surowymi, niewzruszonymi twarzami. Dopiero gdy dosięgli niemal końca wyciągniętych szeregów, jeden z ludzi spojrzał uważnie i przenikliwie na hobbita. Odwzajemniając spojrzenie Merry zobaczył młodego, jak mu się wydało, jeźdźcę, mniejszego i szczuplejszego niż inni. Dostrzegł błysk jasnoszarych oczu i zadrżał, bo nagle zrozumiał, że to jest twarz człowieka, który rusza w drogę bez nadziei, szukając śmierci.

Zjeżdżali w dół drogą wzdłuż Śnieżnego Potoku rwącego kamienistym łożyskiem, przez wioski Podskale i Przysięczce, gdzie z uchylonych drzwi ciemnych chat patrzyły na nich smutne kobiety; bez grania rogów, bez muzyki i bez śpiewu zaczynała się ta pamiętna wyprawa na wschód, którą potem przez wiele pokoleń sławić miała pieśń Rohanu:

Z mroków Dunharrow, przez poranek szary
jechał syn Thengla wraz z drużyną swą:
do Edoras przybył, do zasnutych mgłą

starożytnych siedzib Rohanu strażników;
pożłociste bramy w ciemnej stały mgle.
Pożegnał już był swój rodzinny dom,
tron i lud swój wolny, miejsca uświęcone,
gdzie długo, aż światła pobladły, świętował.
Naprzód jechał król, strach pozostał za nim,
los nieznany przed nim. Wierność z sobą wziął;
złożone przysięgi wypełnił do cna.
Naprzód jechał Theoden. Pięć nocy i dni
na wschód, wciąż na wschód prą Eorlingowie
przez Bruzdy, przez Bagna i lasy
w sześć tysięcy włóczni, aż do Sunlending,
do Mundburga mocy pod Mindolluiną,
miasta królów Morza w Królestwie Południa,
które obległ wróg i ogniem otoczył.
Los tak ich tam gnał. Ciemność niosła ich,
i konie, i jeźdźców; końskich kopyt stuk
tonął w ciszy: tyle powiada nam pieśń.

Król wjeżdżał do Edoras w samo południe, lecz mrok coraz ciemniejszy zalegał nad światem. Theoden zatrzymał się w stolicy krótko i wzmocnił swój zastęp o kilka dziesiątków jeźdźców, którzy nie zdążyli stawić się na przegląd wojsk. Posiliwszy się gotów był do dalszej drogi, zechciał jednak przedtem łaskawie pożegnać swego giermka. Merry raz jeszcze spróbował ubłagać króla, żeby mu pozwolił towarzyszyć sobie w wyprawie.

— Czeka nas droga, której na takim wierzchowcu, jak Stybba, nie zdołałbyś przebyć — odparł Theoden. — Cóż byś zresztą robił w bitwie, którą mamy stoczyć na polach Gondoru, mój dzielny Meriadoku, mimo że nosisz miecz i że serce masz wielkie w małym ciele?

— Nikt tego z góry nie wie, co zrobi w bitwie — rzekł Merry. — Ale po co, miłośniwy panie, przyjąłeś mnie na giermka, jeśli nie po to, żebym był zawsze u twego boku? Nie chcę, żeby kiedyś w pieśni wspomniano o mnie tylko jako o tym, który stale zostawał w domu.

— Powierzono mi cię w opiekę — odpowiedział Theoden — i zdano twój los na moją wolę. Żaden z mych jeźdźców nie może wziąć dodatkowego ciężaru na siodło. Gdyby bitwa rozgrywała się tutaj, u naszych bram, kto wie, czy nie dokonałbyś czynów, godnych uwiecznienia w pieśniach; ale od Mundburga, stolicy Denethora, dzieli nas przeszło sto staj. To moje ostatnie słowo, Meriadoku.

Merry skłonił się i odszedł zrozpaczony, by jeszcze przyjrzeć się ustawionym w szeregach jeźdźcom. Kompanie przygotowywały się do wymarszu, ludzie ściśkali popręgi, opatrywali siodła, poklepywali konie; ten i ów niespokojnie zerkał

na nisko nawisłe chmury. nagle jeden z jeźdźców chyłkiem przysunął się do hobbita.

— Gdzie nie brak chęci, tam sposób zawsze się znajdzie — szepnął mu do ucha. — Dlatego na twojej drodze ja się znalazłem. — Merry spojrzał mu w twarz i poznał młodego rycerza, który rano zwrócił jego uwagę. — Chcesz jechać tam, dokąd wybiera się Władca Marchii, czytam to z twoich oczu.

— Tak — przyznał Merry.

— A więc pojedziesz ze mną — rzekł młody jeździec. — Wezmę cię przed siebie na siodło i ukryję pod płaszczem, póki nie będziemy daleko stąd, na stepie, wśród bardziej jeszcze nieprzeniknionych ciemności. Takiej dobrej woli, jaką ty masz, nie wolno się sprzeciwiać. Nie mów nic nikomu i chodź za mną.

— Dziękuję ci, dziękuję z całego serca — powiedział Merry. — Nie znam jednak twojego imienia.

— Nie znasz? — z cicha odparł jeździec. — Możesz mnie nazywać Dernhelmem.

Tak stało się, że gdy król wyruszał w dalszy pochód, na siodle przed Dernhelmem jechał z nim hobbit Meriadok, a rosły siwy wierzchowiec Windfoła nie czuł nawet dodatkowego ciężaru; Dernhelm bowiem, chociaż zwinny i zgrabnej budowy, ważył mniej niż większość rycerzy.

Cwałowali wśród mroków. na noc rozbili obóz w gęstwie wierzb opodal ujścia Śnieżnego Potoku do Rzeki Entów, o dwanaście staj na wschód od Edoras. O świcie ruszyli dalej przez Bruzdę, a potem przez Bagna, gdzie po ich prawej ręce wielkie lasy dębowe pięły się na podnóża gór w cieniu Halifirien, wznoszącej się na pograniczu Gondoru, po lewej zaś mgły zasnuwały trzęsawiska ciągnące się nad dolnym biegiem Rzeki. W drodze doszły ich pogłoski o wojnie na północy. Samotni jeźdźcy pędzący co koń wyskoczy zatrzymywali się, by królowi meldować o napaści na wschodnie granice, o bandzie orków, która wtargnęła na płaskowyż Rohanu.

— Naprzód! Naprzód! — wołał Eomer. — nie czas już oglądać się na boki. Moczary nadrzeczne muszą strzec naszych flanków. Nam nie wolno tracić ani chwili. Naprzód!

Król Theoden porzucił więc własne królestwo, oddalał się od niego mila za milą, pod długiej drodze wijącej się na wschód, i mijał w pochodzie kolejne wzgórza ognistych wici: Kalenhad, Min-Rimmon, Erelas, Nardol. Ale ogniska na szczytach już wygasły. Kraj wokół był szary i cichy, tylko w miarę jak się posuwali, cień gęstniał, a nadzieja słabła we wszystkich sercach.

ROZDZIAŁ IV

Oblężenie Gondoru

Pippina obudził Gandalf. W izbie paliły się świece, bo przez okna sączył się ledwie mętny półmrok. Powietrze było parne jak przed burzą.

— Która godzina? — spytał ziewając Pippin.

— Minęła druga — odparł Gandalf. — Pora, żebyś wstał i ubrał się przyzwocie. Wzywa cię władca grodu; zaczniesz się uczyć swoich nowych obowiązków.

— A czy władca da mi śniadanie?

— Nie, ale ja ci tu przygotowałem coś do przegryzienia. To musi ci wystarczyć do południa. Wydano rozkaz oszczędzania prowiantów.

Pippin markotnie spojrział na skąpą kromkę chleba i zupełnie — jego zdaniem — niedostateczną porcję masła, przygotowane obok kubka cienkiego mleka.

— Ach, po cóż mnie tu przywiozłeś! — westchnął.

— Dobrze wiesz, po co — odparł Gandalf. — Żeby cię ustrzec od gorszych tarapatów. A jeśli ci się tutaj nie podoba, nie zapominaj, że sam sobie napytałeś biedy.

Pippin ucichł od razu.

Wkrótce potem znów siedł wraz z Gandalfem przez zimne korytarze do drzwi Sali Wieżowej. Denethor siedział tam w szarym półmroku „jak stary, cierpliwy pająk” — pomyślał Pippin; można by uwierzyć, że nie ruszył się z tego miejsca od wczoraj. Wskazał Gandalfowi krzesło, ale na stojącego przed nim Pippina przez dłuższą chwilę nie zwracał jakby uwagi. Wreszcie zwrócił się do niego mówiąc:

— No, mości Peregrinie, mam nadzieję, że dzień wczorajszy spędziłeś pożytecznie i przyjemnie? Obawiam się tylko, że wikt w naszym mieście jest nieco za skromny jak na twoje upodobania.

Pippin doznał niemiłego wrażenia, że władca grodu jakimś sposobem zna wszystkie jego słowa i uczynki, a nawet zgaduje myśli. Nic nie odpowiedział.

— Co chcesz robić w mojej służbie?

— Myślałem, miłościwy panie, że ty wyznaczysz mi obowiązki.

— Tak też zrobię, ale najpierw muszę się dowiedzieć, do czego się nadajesz — odparł Denethor. — A dowiem się tego wcześniej, jeżeli zatrzymam cię przy sobie. Właśnie mój przyboczny giermek pałacowy poprosił o zwolnienie, żeby przyłączyć się do załogi na murach, wezmę więc ciebie tymczasem na jego miejsce. Będiesz mi usługiwał, chodził na posyłki i zabawiał mnie rozmową, jeżeli wojna i narady pozostawią na to czas wolny. Czy umiesz śpiewać?

— Owszem — odrzekł Pippin. — To znaczy, że umiałem śpiewać dość dobrze w swoim kółku, ale my, w Shire, nie znamy pieśni stosownych do wielkich pałaców ani też na ciężkie czasy, miłościwy panie. Większość naszych piosenek mówi o rzeczach zabawnych, z których można się pośmiać, albo o jedzeniu i piciu.

— Czemuż by takie pieśni miały być niestosowne na moim dworze i w dzisiejszych czasach? Żyliśmy tak długo pod grozą Cienia, że tym chętniej posłuchamy echa z kraju, który tych trosk nie zaznał. Może wtedy lepiej zrozumiemy, że czuwaliśmy tutaj nie na próżno, chociaż ci, którzy z tego korzystali, nie wiedzieli, komu swoje szczęście zawdzięczają.

Pippin zmarkotniał. Nie zachwyciła go myśl o śpiewaniu Władcy Minas Tirith piosenek z Shire'u, a zwłaszcza piosenek żartobliwych, które umiał najlepiej; wydawały mu się zanadto prostackie na tak uroczystą okazję. Na razie jednak ciężka próba została mu oszczędzona. Denethor nie zażądał śpiewu. Zwrócił się do Gandalfa wypytując o Rohirrimów, o ich zamiary i o stanowisko Eomera, królewskiego siostrzeńca. Pippin nie mógł się nadziwić, że Denethor, który z pewnością od wielu lat nie wydalął się poza granice państwa, tyle ma wiadomości o narodzie mieszkającym tak daleko od jego stolicy.

W pewnej chwili władca skinął na hobbita i znów go odprawił.

— Idź do zbrojowni w Twierdzy — rzekł. — Dostaniesz tam ubiór i broń jak wszyscy, którzy pełnią służbę w Wieży. Zastaniesz te rzeczy przygotowane. Wczoraj dałem odpowiednie rozkazy. Przebierz się i wracaj do mnie.

Wszystko było rzeczywiście gotowe i wkrótce Pippin ujrzał się w niezwyklej stroju — całym z czerni i srebra. Mała kolczuga, z pierścieni, jak się zdawało, stalowych, była czarna jak agat; wysoki hełm zdobiły z obu stron małe skrzydła kruce, nad czołem zaś srebrna gwiazda wpisana w koło. Zbroję przykrywała krótka czarna kurtka z wyhaftowanym na piersi srebrnym godłem Drzewa. Stare ubranie hobbita zwinięto i odłożono do magazynów, pozwolono mu tylko zatrzymać szary płaszcz, dar z Lorien, chociaż miał go używać jedynie poza służbą. Pippin oczywiście tego nie wiedział, ale wyglądał w tym stroju doprawdy jak Ernil i Feriannath, książę niziołków, jak go w Gondorze przezywano; czuł się jednak bardzo nieswojo. Ponury mrok działał na niego przygnębiająco. Przez cały dzień było ciemno i chmurno. Od bezsłonecznego świtu do wieczora cień gęstniał coraz bardziej, a wszystkie serca w grodzie ścisnęły się od złych przeczuc. Od Kraju Ciemności górą pełzła z wolna na zachód ogromna chmura, która pochłaniała światło i po-

suwała się wraz z wichrem wojny; w dole jednak powietrze było jeszcze ciche i spokojne, jak gdyby cała Dolina Anduiny czekała na nadejście niszczycielskiej burzy.

Około jedenastej, nareszcie zwolniony na chwilę ze służby, Pippin wyszedł na poszukiwanie kęsa strawy i kropli napoju, by rozpogodzić serce i skrócić czas nieznośnego oczekiwania. W żołnierskiej kantine spotkał znów Beregonda, który powrócił właśnie z Pelennoru, gdzie go wysłano z rozkazami do wież strażniczych czuwających na Wielkiej Grobli. We dwóch więc wyszli na mury, bo Pippin czuł się wśród ścian jak w więzieniu i duszno mu było nawet pod wysokimi stropami Wieży. Siedli znów w niszy otwartej ku wschodowi, na tym samym miejscu, gdzie posilali się i gawędzili poprzedniego dnia.

Miało się ku zachodowi, lecz całun cieni rozpostarł się daleko i słońce w ostatniej chwili, już zanurzając się w Morzu, zdołało przed nocą przemycić kilka pożegnalnych promieni, tych właśnie, które Frodo ujrzał złocące głowę obalonego króla u Rozstaja Dróg. Na pola Pelennoru jednak, okryte cieniem Mindolluiny, nie sięgnął nawet ten przelotny blask; pozostały brunatne i posępne.

Pippin miał wrażenie, że lata upłynęły od tej chwili, gdy siedział tutaj po raz pierwszy, w jakiejś odległej na pół zapomnianej epoce, gdy był jeszcze hobbitem, lekkomyślnym wędrowcem, którego serce ledwie po wierzchu musnęły wszystkie przebyte niebezpieczeństwa. Teraz stał się małym żołnierzem w grodzie przygotowującym się do odparcia straszliwej napaści, nosił dumny, lecz ponury strój strażników Wieży.

W innym czasie i na innym miejscu Pippin może by się bawił nowym przebraniem, lecz rozumiał, że tu nie w zabawie bierze udział, że jest naprawdę w służbie posępnego władcy i związał się ze sprawami śmiertelnej powagi. Kolczuga uwierała go, hełm ciążył na głowie. Płaszcz położył obok na kamiennej ławie. Odwrócił zmęczony wzrok od ciemniejących na dole pól, ziewnął i westchnął.

— Zmęczył cię dzisiejszy dzień? — spytał Beregond.

— Bardzo! — odparł Pippin. — Zmęczyło mnie próżniactwo i oczekiwanie. Obijałem pięty o zamknięte drzwi komnaty mojego pana, podczas gdy on przez długie godziny toczył narady z Gandalfem, z księciem i innymi dostojnymi osobami. Wiedz też, Beregondzie, że nie przywykłem z pustym brzuchem usługiwać ludziom, kiedy jedzą. To jest dla hobbita za ciężka próba. Ty zapewne uważasz, że powinienem sobie wyżej cenić ten zaszczyt. Ale co po takich zaszczytach? Więcej powiem, co po jadle i napitkach pod grozą tego nadpełzającego cienia? Co to za cień? Powietrze samo zdaje się gęste i bure. czy macie często takie ponure mgły, kiedy wiatr wieje od wschodu?

— Nie — odrzekł Beregond. — To nie jest zwykła niepogoda. To złośliwy podstęp Tamtego, który znad Góry Ognia śle jakieś trucizny i dymy, żeby za-

mroczyć serca i rozумы. Bardzo skutecznie zresztą. Chciałbym, żeby już wrócił Faramir. On nie poddałby się lękowi. Ale kto wie, czy Faramir zdoła w ogóle powrócić zza Rzeki pośród tych Ciemności?

— Tak, Gandalf także jest zaniepokojony — rzekł Pippin. — Zdaje mi się, że nieobecność Faramira odczuł jako dotkliwy zawód. Gdzie się podziewa Gandalf? Opuścił naradę u władcy przez południowym posiłkiem, i to bardzo, jak widziałem, chmurną miną. Może ma złe przeczucia albo dostał niepomyślne wiadomości?

Nagle rozmowa urwała się, obaj oniemieli, zastygli nasłuchując. Pippin przypnął na kamieniach zaciskając pięściami uszy, lecz Beregond, który mówiąc o Faramirze podszedł do parapetu i wyglądał zza niego ku wschodowi, pozostał w tej postawie, wpatrzony wyteżonym wzrokiem przed siebie. Pippin znał przerażający krzyk, który przed chwilą rozdarł im uszy; słyszał go ongi w Marish, w kraju Shire, lecz głos od tamtego dnia spotężniał, nabrzmiał bardziej jeszcze nienawiścią, przeszywał serca i sączył w nie jad rozpacz.

Wreszcie Beregond otrząsnął się i z trudem znowu przemówił:

— Nadlecieli! Zdobądź się na odwagę i spójrz! Zobaczysz okrutne potwory.

Pippin niechętnie wdrapał się na kamienną ławę i wyjrzał zza muru. U jego stóp majaczyły w mroku pola Pelennoru ginące na linii Wielkiej Rzeki, którą odgadywał raczej, niż dostrzegał w oddali. lecz na pośredniej wysokości, pomiędzy szczytem Mindolluiny a równiną, krążyły szybko, niby cienie nocy, olbrzymie, podobne do ptaków stwory, odrażające jak sępy, lecz większe niż orły, a bezlitosne jak sama śmierć. To przybliżały się zuchwale niemal na odległość strzały z łuku, to oddalały zataczając szersze kręgi.

— Czarni Jeźdźcy — szepnął Pippin. — Czarni Jeźdźcy w powietrzu! Ale spójrz, Beregondzie! — krzyknął nagle. — Oni czegoś szukają! Spójrz, jak kołują i zniżają lot wciąż nad jednym miejscem. Czy widzisz? Tam coś rusza się na ziemi. Drobne, ciemne figurki... Tak, to ludzie na koniach! Czterech, pięciu konnych. Ach, nie mogę na to patrzeć! Gandalfie! Gandalfie, ratuj!

Po raz drugi rozległ się okropny, przeciągły okrzyk, a Pippin odskoczył od parapetu i skulił się za murem dysząc jak ścigane zwierzę. Nikły, stłumiony przez tamten straszliwy głos, przebił się z dołu sygnał trąbki zakończony długą, wysoką nutą.

— Faramir! Nasz Faramir! To jego sygnał! — krzyknął Beregond. — On się nie uląkł. Ale jakże utoruje sobie drogę do Bramy, jeśli te piekielne ptaki mają inną broń prócz strachu! Patrz! Nasi jeźdźcy nie cofnęli się, dotrą do Bramy... Nie! Konie uciekają spłoszone. Patrz! Jeźdźcy zeskoczyli z siodeł, biegną pieszo ku Bramie. Jeden został na koniu, ale i on spieszy za innymi. To kapitan. Jego słuchają zwierzęta i ludzie. Ach! Potwór zniża się, godzi w niego! Ratunku! ratunku! Czy nikt nie przyjdzie mu z pomocą? Faramir!

I Beregond z tym imieniem na ustach pobiegł po murze, zniknął w ciemności.

Zawstydzony, że bał się o własną skórę, gdy Beregonď przede wszystkim myślał o ukochanym dowódcy, Pippin podniósł się i znów wyrzwał zza parapetu. W tej samej chwili od północy mignęła mu jakby biała i srebrna gwiazdka pośród ciemnych pól. Mknęła jak strzała i zbliżając się rosła zmierzając w trop za czterema ludźmi w stronę Bramy. Pippinowi zdawało się, że gwiazdka promieniuje bladym światłem i że czarne cienie ustępują przed nią, a gdy już znalazła się blisko, posłyszał niby echo odbite od murów potężne wołanie.

— Gandalf! — krzyknął Pippin. — Gandalf! On zawsze się zjawia w najczarniejszej godzinie. Naprzód, naprzód, Białe Jeźdźce! Gandalf! Gandalf! — wykrzykiwał gorączkowo jak widzowie podczas wielkich wyścigów zagrzewający głosem zawodnika, który wcale ich zachęty nie potrzebuje.

Teraz już czarne, krążące w powietrzu cienie dostrzegły także nowego przeciwnika. Jeden skręcił i zniżył się nad nim, lecz w tym okamgnieniu Białe Jeździec podniósł rękę i Pippinowi wydało się, że strzeliła z niej w górę wiązka jasnych promieni. Nazgul z przeciągłym jęklwym okrzykiem poszybował chwiejnie wstecz, a czterej inni zawahali się, potem zaś, szybkimi spiralami wzbijając się wyżej, odlecieli na wschód i zniknęli w nawisłej na widnokręgu czarnej chmurze. Przez chwilę nad Pelennorem mrok trochę pojaśniał.

Pippin patrzył, jak konny rycerz spotkał się z Białym Jeźdźcem, jak obaj zatrzymali się czekając na pieszych. Z grodu biegli teraz ku nim ludzie. Wkrótce zewnętrzny mur przesłonił ich tak, że hobbit nie widział już nikogo, wiedział jednak, że weszli pod Bramę i zgadywał, że udadzą się prosto do Wieży i do Namiestnika. Zbiegł więc szybko z murów podążając ku Bramie twierdzy. Znalazł się w tłumie, wszyscy bowiem, którzy z murów obserwowali wyścig i szczęśliwy jego wynik, spieszyli witać ocalonych.

Wieść o całym zdarzeniu rozeszła się w lot po mieście i na ulicach, wiodących od zewnętrznych jego kręgów ku górze, zgromadzili się ludzie wiwatując i wykrzykując imiona Faramira i Mithrandira. Wreszcie Pippin zobaczył pochodnie i na czele cisnącego się tłumu dwóch jeźdźców posuwających się stępa; jeden, cały w bieli, nie jaśniał już blaskiem, blady zdawał się w półmroku, jakby walka wyczerpała lub stłumiła jego ogień; drugi, w ciemnej odzieży, jechał z głową pochyloną na piersi. Zsiedli z koni, które zaraz stajenni wzięli pod opiekę, i ruszyli pieszo ku posterunkom strzegącym wejścia do Cytadeli. Gandalf szedł pewnym krokiem; szary płaszcz odrzucił z ramion, w oczach tlił mu się jeszcze żar. Drugi przybysz, w zielonym płaszczu, szedł powoli, chwiejąc się trochę na nogach, jak gdyby bardzo znużony albo ranny.

Pippin przecisnął się do pierwszego szeregu wiwatujących i w świetle latarni pod sklepieniem Bramy spojrzał z bliska w bladą twarz Faramira. Z wrażenie aż mu dech zaparło. Była to bowiem twarz człowieka, który przeżył okropny strach czy może ból, i opanował je wielkim wysiłkiem. Dumny i poważny stał przez chwilę rozmawiając z wartownikiem; Pippin przyglądał mu się i dostrzegł teraz

niezwykle jego podobieństwo do Boromira, którego hobbit od pierwszej chwili bardzo lubił, podziwiając jego trochę wielkopańską, choć dobrotliwą postawę. lecz Faramir zbudził w nim niespodzianie jakieś nie znane dotychczas uczucie. Ten rycerz Gondoru miał w sobie dziwne dostojeństwo; takie jakie niekiedy objawiało się w Aragornie, nie tak może wzniosłe, ale też mniej nieobliczalne i niedostępne; był to jeden z tych królów ludzkich, urodzonych w tej późnej epoce, lecz tchnęła od niego zarazem mądrość i smutek starszych braci ludzkiego rodu — elfów. Pippin zrozumiał, dlaczego Beregonď wymawiał imię Faramira z taką miłością. Za tym dowódcą chętnie szli żołnierze, za nim nawet hobbit poszedłby bez wahania, choćby w cień czarnych skrzydeł.

— Faramir! — krzyknął Pippin wraz z innymi. — Faramir!

Faramir dosłyszał ten głos odmienny w chórze Gondorczyków, odwrócił się i spojrzawszy z góry na Pippina zdziwił się bardzo.

— A ty skąd się tutaj wziąłeś? — zapytał. — Niziołek w barwach wieżowej straży! Skąd?

W tej chwili Gandalf podszedł do niego i wyjaśnił:

— Przybył wraz ze mną z ojczyzny niziołków — rzekł. — Ja go tu przywiodłem. Ale nie marudźmy dłużej. Wiele mamy do omówienia i zrobienia, a ty jesteś zmęczony. Niziołek pójdzie zresztą z nami. Musi, jeśli bowiem pamięta nie gorzej ode mnie o swoich nowych obowiązkach, wie, że powinien stawić się do służby przy swoim panu. Chodź, Pippinie!

Wreszcie więc dotarli do osobistej komnaty władcy grodu. Przed kominem, na którym tlił się żar, ustawiono głębokie fotele; podano wino, ale Pippin, stojąc za plecami Denethora, nawet nie spojrzał na nie i nie pamiętał już o zmęczeniu, tak ciekawie słuchał, co mówiono.

Faramir zjadł kromkę białego chleba, wypił łyk wina i usiadł na niskim fotelu po lewej ręce swego ojca. Po drugiej stronie, trochę na uboczu, zajął miejsce na rzeźbionym krześle Gandalf; z początku zdawał się drzemać. Faramir bowiem zaczął od relacji ze swej wyprawy, na którą go posłał władca przed dziesięciu dniami; przekazywał wiadomości z Ithilien, mówił o ruchach Nieprzyjaciela i jego sprzymierzeńców, o walce stoczonej na gościńcu, o rozbiciu oddziału ludzi z Haradu, którzy z sobą sprowadzili straszliwe bestie olifanty; słowem, było to jedno z tych sprawozdań, które władca zapewne nieraz już słyszał z ust swoich wysłanników, opowieść o pogranicznych utarczkach, tak częstych, że już się im nie dziwiono i nie przywiązywano do nich większej wagi.

Nagle Faramir spojrzał na Pippina.

— Teraz zaczyna się dziwna część mojej relacji — rzekł. — Albowiem ten giermek nie jest pierwszym niziołkiem, który z północnych legend zawędrował w nasze południowe kraje.

Gandalf ocknął się, wyprostował i mocno zacisnął ręce na poręczach krzesła. Nie rzekł jednak nic i wzrokiem nakazał Pippinowi milczenie. Denethor spojrział na nich obu i skinął głową na znak, że wiele z tych nowin znał, zanim mu je oznajmiono. Wszyscy więc milczeli, a Faramir z wolna snuł swą opowieść, nie spuszczać niemal oczu z twarzy Gandalfa, chyba po to, by zerknąć od czasu do czasu na Pippina, jak gdyby chciał odświeżyć w pamięci obraz niziołków spotkanych za Wielką Rzeką.

Gdy mówił o spotkaniu z Frodem i jego wiernym sługą, a potem o wydarzeniach w Henneth Annun, Pippin zauważył, że ręce Gandalfa, zaciśnięte na poręczach fotela, drżą. Wydawały się teraz białe, bardzo stare, i hobbit z nagłym dreszczem przerażenia zrozumiał, że Gandalf — nawet Gandalf! — jest zakłopotany, może nawet przestraszony. W pokoju było duszno i cicho. Wreszcie, gdy Faramir opowiedział, jak rozstał się z wędrowcami, którzy postanowili iść na przełęcz Kirith Ungol, głos mu się załamał, rycerz potrząsnął głową i westchnął. Gandalf poderwał się z miejsca.

— Kirith Ungol? Dolina Morgulu? — zawołał. — Kiedy to było, Faramirze? Powiedz dokładnie, kiedy się z nimi pożegnałeś? Kiedy mogli dotrzeć do tej przeklętej doliny?

— Rozstaliśmy się rankiem dwa dni temu — odparł Faramir. — Jeśli szli wprost na południe, mieli stamtąd do Doliny Morgulduiny piętnaście staj, a potem jeszcze pięć na wschód do przeklętej wieży. Nawet najśpieszniejszym marszem nie mogli więc dojść wcześniej niż dziś, a może do tej pory jeszcze nie doszli. Rozumiem, czego się lękasz. Ale ciemności nie są skutkiem ich wyprawy. Zaczęły się bowiem gromadzić wczoraj wieczorem i całe Ithilien ogarnęły w ciągu ostatniej nocy. Jasne jest dla mnie, że Nieprzyjaciół z dawna planował napaść na nas i wyznaczył godzinę ataku, zanim jeszcze wypuściłem tych wędrowców spod mojej straży.

Gandalf przemierzał nerwowo komnatę.

— Rankiem przed dwoma dniami, blisko trzy dni marszu! Jak daleko stąd do miejsca, w którym się rozstaliście?

— Około dwudziestu pięciu staj lotem ptaka — odparł Faramir. — Nie mogłem przybyć wcześniej. Wczoraj zatrzymałem oddział na Kair Andros, na długiej wyspie pośród rzeki, gdzie trzymamy stały posterunek. Konie zostawiliśmy na drugim brzegu. Gdy nadciągnęły ciemności, wiedziałem, że trzeba się spieszyć, więc nie czekając na resztę ruszyłem z trzema jeźdźcami, którzy mieli wierzchowce pod ręką. Oddziałowi kazałem iść na południe, aby wzmocnić załogę broniącą Brodu pod Osgiliath. Mam nadzieję, że nie popełniłem błędu? — spytał patrząc na ojca.

— Dlaczego pytasz?! — krzyknął Denethor z nagłym błyskiem w oczach. — Ty jesteś dowódcą, tobie podlega oddział. A może chcesz usłyszeć mój sąd o wszystkich innych swoich poczynaniach? W mojej obecności zachowujesz się

pokornie, ale od dawna ani razu nie zawróciłeś z własnej drogi, żeby mnie pytać o radę. Przed chwilą mówiłeś tak zręcznie, jak zwykle. Widziałem jednak, żeś wpijał oczy w twarz Mithrandira, szukając w niej potwierdzenia, czy dobrze przedstawiasz sprawę, czyś nie za wiele powiedział. Od dawna Mithrandir panuje nad twoim sercem. Tak, synu, ojciec jest stary, lecz wiek nie zaćmił jego umysłu. Wzrok i słuch mam bystry jak za młodu. Nic z tego, czegoś nie dopowiedział lub co pominąłeś milczeniem, nie uszło mojej uwagi. Znam rozwiązanie wielu zagadek. Biada mi, biada, że stracił Boromira!

— W czym cię nie zadowolilem, ojcze? — spytał spokojnie Faramir. — Boję, że nie mogłem zasięgnąć twojej rady, nim musiałem wziąć na swoje barki brzemień tak wielkiej odpowiedzialności.

— Czy zmieniłbyś swoje zdanie pod moim wpływem? — odparł Denethor. — Z pewnością postąpiłbyś i tak wedle własnego rozumu. Znam cię na wylot. Zawsze chcesz wydać się wielkoduszny i wspaniałomyślny jak dawni królowie, łaskawy i łagodny. Może to przystoi potomkowi wielkiego rodu, władającemu w czasach pokoju. Ale w godzinie rozpaczliwego niebezpieczeństwa łagodność często przypłaca się życiem.

— Gotów jestem zapłacić — rzekł Faramir.

— Gotów jesteś?! — krzyknął Denethor. — Ale nie twoje tylko życie postawiłeś na kartę, Faramirze! Także życie swego ojca i całego plemienia, którego masz obowiązek bronić dziś, skoro zabrakło Boromira.

— Żałujesz, ojcze, że nie mnie spotkał los Boromira? — spytał Faramir.

— Tak! — odparł Denethor. — Ponieważ Boromir był mi wiernym synem, a nie wychowankiem czarodzieja. On pamiętałby, w jakiej ciężkiej potrzebie znalazł się ojciec, i nie roztrwonilby skarbu, który mu przypadek dał w ręce. Przyniósłby ten wspaniały dar ojcu.

Na chwilę Faramir dał się ponieść wzburzeniu.

— Zechciej przypomnieć sobie, ojcze, dlaczego nie mój brat, lecz ja właśnie znalazłem się w Ithilien. Rozstrzygnęła o tym twoja wola. Władca grodu sam wybrał Boromira na wysłannika w tamtej misji.

— Nie poruszaj goryczy w tym pucharze, który sam sobie przyrządziłem — rzekł Denethor. — Czyż nie czuję smaku jej w ustach od wielu nocy lękając się, że najgorsza trucizna czeka mnie jeszcze w mętach na dnie? I dziś sprawdzają się moje obawy. Czemuż się tak stało! Czemuż nie dostałem tego skarbu w swoje ręce!

— Pociesz się — odezwał się Gandalf — bo w żadnym przypadku Boromir nie przyniósłby ci tego skarbu. Zginął, zginął szlachetną śmiercią, niech śpi w pokoju. Ale ty się łudzisz, Denethorze. Gdyby Boromir sięgnął po ten skarb i posiadał go, zatraciłby się na zawsze. Zatrzymałby skarb dla siebie i gdyby z nim tutaj wrócił, nie poznałbyś własnego syna.

Denethor zachował twarz zimną i zaciętą:

— Tobie nie udało się Boromira nagiąć do swej woli, prawda, Mithrandirze? — odparł z cicha. — Ale ja, rodzony jego ojciec, powiadam ci, że Boromir oddałby mi na pewno ów skarb. Może jesteś mądry, ale mimo całej swojej chytrkości nie zjadłeś wszystkich rozumów. Są rady i sposoby inne niż sieci intryg snute przez czarodziejów i niż pochopne zuchwalstwa głupców. Wiem o tych sprawach więcej, niż ci się wydaje.

— Cóż zatem wiesz? — spytał Gandalf.

— Dość, żeby rozumieć, iż dwóch błędów należało się wystrzegać. Posługiwać się owym skarbem jest niebezpiecznie. Ale w tej groźnej godzinie posłać go pod opieką głupiego niziolka do kraju Nieprzyjaciela, jak to zrobiłeś ty, Mithrandirze, do spółki z moim synem — to szaleństwo.

— A jak postąpiłby mądry Denethor?

— Nie popełniłby ani pierwszego, ani drugiego z tych błędów. Ale przede wszystkim z pewnością nie dałby się żadnym argumentem skłonić do tego ryzykownego kroku, któremu szalenieć tylko może rokować jakieś szanse powodzenia, a który tym się skończy, że Nieprzyjaciel odzyska swoją zgubę, to zaś oznaczać będzie naszą ostateczną klęskę. Ten skarb należało zatrzymać wśród nas, ukryć jak najgłębiej i jak najtajniej. Nie użyć go, chyba w najbardziej rozpaczliwej potrzebie, ale zabezpieczyć tak, żeby Nieprzyjaciel nie mógł go wydrzeć, chyba po zwycięstwie druzgocącym wszystko; wtedy jednak nic by nas już to nie obchodziło, ponieważ nie zostalibyśmy żywi na świecie.

— Myślisz, jak władcy Gondoru przystoi, o swoim tylko kraju — rzekł Gandalf. — Ale są inne plemiona, inni ludzie i świat się nie kończy na dniu dzisiejszym. Co do mnie, lituję się nawet nad niewolnikami Tamtego.

— A dokąd zwrócić się inni ludzie o pomoc, jeśli Gondor upadnie? — spytał Denethor. — Gdybym miał tę rzecz teraz ukrytą w głębokich lochach mojej fortecy, nie drżelibyśmy z lęku przed cieniem, nie balibyśmy się najgorszego, moglibyśmy naradzić się w spokoju. Jeżeli nie ufasz, że wyszedłbym z tej próby zwycięsko, nie znasz mnie, Gandalfie.

— Mimo wszystko nie ufam ci, Denethorze — odparł Gandalf. — Gdyby nie to, przysłałbym skarb tutaj na przechowanie oszczędzając sobie i innym wielu trudów. Słyszac zaś, co dziś mówisz, tym mniej mogę ci ufać, podobnie jak nie mogłem ufać Boromirowi. Ale nie unosi się gniewem! W tej sprawie sobie samemu także nie ufam, odmówiłem przyjęcia tego skarbu, chociaż mi go dobrowolnie ofiarowywano. Jesteś silny, Denethorze, i wiem, że władasz sobą w pewnych sprawach. Gdybyś jednak dostał ów skarb, on by tobą zawładnął. Choćbyś go zagrzebał pod korzeniami Mindolluiny, paliłby twoje serce, spalałby je w miarę, jak narastałyby okrutne zdarzenia, które nas czekają już wkrótce.

Na moment oczy Denethora rozbliły znowu, gdy władca zwrócił twarz ku Gandalfowi, i Pippin wyczuł znów napięte, zmagające się z sobą siły dwóch starców, lecz tym razem spojrzenia jak sztylety godziły w siebie i skrzyły się ogniem

gniewu. Pippin drżał oczekując jakiegoś strasznego ciosu. Nagle jednak Denethor przygasł i twarz mu zlodowaciała znowu. Wzruszył ramionami.

— Gdybym go dostał! Gdybyś ty go zatrzymał! — powiedział. — Gdyby... Próżne słowa. Odszedł do kraju ciemności, i tylko czas może nam objawić, jaki los czeka jego i nas. Czas już niedługi. W te dni, które nam zostały, niechże wszyscy walczący, chociaż różnymi sposobami, z wspólnym Nieprzyjacielem mają nadzieję, póki jeszcze mieć ją wolno, a gdy nadzieja zgaśnie, niech starczy im męstwa, żeby umrzeć jak wolni ludzie. — Zwrócił się do Faramira. — Co sądzisz o załodze w Osgiliath?

— Nie jest dość silna — odparł Faramir. — Posłałem oddział z Ithilien, żeby ją wzmocnić, jak już mówiłem.

— Te posiłki nie wystarczą, moim zdaniem — rzekł Denethor. — Osgiliath musi wytrzymać pierwszy impet napaści. Trzeba by tam najdzielniejszego dowódcy.

— I tam, i w wielu innych miejscach — powiedział z westchnieniem Faramir. — Niestety, brak mego brata, którego ja też serdecznie kochałem! — Wstał. — Czy wolno mi pożegnać cię, ojcze?

To mówiąc zachwiał się i musiał szukać oparcia o krzesło.

— Jesteś, jak widzę, bardzo znużony — rzekł Denethor. — Za szybko jechałeś, za daleko się zapuściłeś pod grozą Cienia i złych potęg powietrza.

— Nie mówmy teraz o tym — powiedział Faramir.

— Jak sobie życzysz — odparł Denethor. — Idź, odpocznij, póki można. Jutro czeka cię dzień cięższy jeszcze niż dzisiejszy.

Wszyscy pożegnali Władcę i odeszli, by odpocząć, korzystając z ostatnich chwil ciszy przed bitwą. Na dworze noc była czarna i bezgwiezdna, kiedy Gandalf z Pippinem, który przyświecał Czarodziejowi łuczywem, wracali na swoją kwaterę. Nie rozmawiali, póki nie znaleźli się za zamkniętymi drzwiami. Wtedy dopiero hobbit chwycił Gandalfa za rękę.

— Powiedz mi — prosił — czy jest bodaj iskra nadziei? Chodzi mi o Froda, a przynajmniej najbardziej o Froda.

Gandalf położył dłoń na jego głowie.

— Od początku nie było wiele nadziei — powiedział. — Tylko szaleniec mógł rokować szansę powodzenia całemu przedsięwzięciu — jak nam przed chwilą powiedziano. Ale kiedy usłyszałem o Kirith Ungol... — Urwał i podeszedł do okna, jakby chcąc wzrokiem przebić noc czarniejszą na wschodzie. — Kirith Ungol — szepnął. — Dlaczego obrał tę drogę? — Odwrócił się do hobbita. — Wiedz, Pippinie, że na dźwięk tej nazwy serce omal nie zamarło we mnie. A jednak mówię ci prawdę, że w wieściach przyniesionych przez Faramira upatruję pewną nadzieję. Wynika z nich bowiem jasno, że Nieprzyjaciół rozpoczął pierwsze wojenne kro-

ki, gdy Frodo jeszcze chodził wolny po świecie. A więc Oko przez kilka dni na pewno będzie zwrócone w innym kierunku, poza granice Kraju Ciemności. Wyczuwam jednak z daleka niepokój i pośpiech Nieprzyjaciela. Zaczął rozgrywkę wcześniej, niż zamierzał. Musiało się zdarzyć coś, co go przynagliło.

Przez chwilę Gandalf rozmyślał w milczeniu.

— Może — szepnął. — Może nawet twój szaleńczy wybryk pomógł w tym trochę, Pippinie. Zastanówmy się: jakieś pięć dni temu odkrył zapewne, że rozgromiliśmy Sarumana i zabrali z Orthanku kryształ. Ale cóż z tego? Nie bardzo moglibyśmy się nim posługiwać bez wiedzy Nieprzyjaciela. A może... Może Aragorn? Jego dzień się przybliża. On jest silny i surowy, śmiały i stanowczy, zdolny do powzięcia własnej decyzji i zaryzykowania w potrzebie najwyższej stawki. To wydaje się prawdopodobne. Aragorn mógł zajrzeć w kryształ i ukazać się Nieprzyjacielowi, aby mu rzucić wyzwanie. Ciekawe! Ano, nie dowiemy się prawdy, dopóki nie przybędą jeźdźcy Rohanu... jeśli nie przybędą za późno! Czekają nas złe dni. Śpijmy dziś, skoro jeszcze można.

— Ale... — zaczął Pippin.

— O co chodzi? Na dziś wypraszam sobie więcej „ale”.

— Ale Gollum! — powiedział Pippin. — Jakże to możliwe, że Frodo i Sam wędrują razem z Gollumem, a nawet za jego przewodem? Wyczułem, że droga, którą obrali, przeraża Faramira nie mniej niż ciebie. Co na niej grozi?

— Tego ci nie mogę dzisiaj wytłumaczyć — odparł Gandalf — ale serce moje z dawna przeczuwało, że Frodo spotka się z Gollumem, zanim dopełni swojej misji. Na szczęście albo na zgubę. O Kirith Ungol na razie nie chcę nic mówić. Boję się zdrady ze strony tego nieszczonego stwora. Tak jednak musi być. Pamiętajmy, że często zdrajca sam siebie zdradza i mimo woli oddaje usługi dobrej sprawie. Bywa tak, bywa. Dobranoc, Pippinie!

Nazajutrz poranek był szary jak zmierzch, a w sercach ludzkich otucha, na krótko ożywiona dzięki powrotowi Faramira, znów zamarła. Skrzydlatych Cieni nie ujrano tego dnia nad grodem, lecz raz po raz z wysoka dochodził uszu mieszkańców nikły okrzyk, i każdy, kto go usłyszał, kulił się na chwilę z przerażenia, a co słabsi duchem jęczeli i płakali.

Faramir znów opuścił stolicę. „Nie dają mu wytchnąć — szemrali ludzie. — Władca zbyt wiele wymaga od swego syna; obciąża go podwójnymi obowiązkami, skoro drugi syn zginął”. Wszyscy też wypatrywali od północy przybycia sojuszników pytając: „Gdzie są jeźdźcy Rohanu?”

Faramir nie wyjechał z własnej ochoty. Władca grodu zazwyczaj narzucał swoją wolę Radzie, a w owych dniach mniej niż kiedykolwiek skłonny był ulegać cudzemu zdaniu. Wczesnym rankiem zwołał Radę. Podczas niej wszyscy dowódcy stwierdzili zgodnie, że wobec zagrożenia od południa siły ich są niedostateczne i nie mogą ze swej strony podjąć żadnych kroków wojennych, dopóki nie przybędą jeźdźcy Rohanu. Na razie trzeba tylko obsadzić mury wojskiem i czekać.

— Mimo wszystko — rzekł Denethor — nie wolno lekkomyślnie opuszczać zewnętrznych placówek obronnych, murów Rammas z tak wielkim nakładem pracy pobudowanych. Nieprzyjaciół musi drogo zapłacić za przekroczenie Rzeki. Nie może zaś tego dokonać w większej sile, zdolnej zagrozić naszemu grodowi, ani od północy w Kair Andros, gdzie chronią przeprawy bagna, ani też od południa w okolicy Lebennin, gdzie Rzeką jest bardzo szeroka i potrzebowałby wielkiej floty, aby ją przebyć. Uderzy z pewnością całym impetem na Osgiliath, jak niegdyś, kiedy Boromir zagroził mu skutecznie drogę.

— To była tylko próba — powiedział Faramir. — Teraz gdyby nawet przeprawa kosztowała Nieprzyjaciela dziesięćkroć więcej niż nas, i tak byłby to dla nas opłakany rachunek. On bowiem mniej ucierpi na stracie całej armii niż my na stracie jednej kompanii. A ci, których pozostawimy na tak daleko wysuniętych placówkach, będą mieli odwrót odcięty, gdy nieprzyjacielskie wojska wedrą się w głąb granic.

— Co stanie się z Kair Andros? — spytał książę. — Te strażnice koniecznie trzeba utrzymać, jeśli chcemy obronić Osgiliath. Nie zapominajmy o niebezpieczeństwie grożącym od lewego skrzydła. Rohirrimowie może nadejdą, a może nie. Faramir powiadomił nas, jak wielką potęgą zgromadziła się za Czarną Bramą. Niejedna armia stamtąd wyruszy i nie w jednym tylko miejscu spróbuje zapewne przekroczyć Rzekę.

— na wojnie nie obędzie się bez wielkiego ryzyka — odparł Denethor. — W Kair Andros mamy załogę, większych posiłków nie możemy posłać na tak odległą placówkę. Ale nie oddam linii Rzeki ani Pelennoru bez walki, chyba żeby zabrakło dowódcy, gotowego spełnić mężnie rozkaz swego Władcy.

Na te słowa umilkli wszyscy. Po długiej chwili odezwał się Faramir:

— Nie sprzeciwie się twojej woli, ojczu. Skoro los zabrał Boromira, pójdę, gdzie rozkażesz, i zrobię, co w mojej mocy, aby go zastąpić. Czy taka jest twoja decyzja?

— Tak — powiedział Denethor.

— A więc żegnaj, ojczu — rzekł Faramir. — Jeżeli wrócę, może wtedy zechcesz mnie sądzić łaskawiej.

— To będzie zależało od tego, z czym powrócisz — odparł Denethor.

Ostatni rozmawiał z Faramirem Gandalf, zanim syn Namiestnika wyruszył na wschód.

— Nie szukaj pochopnie i w rozgoryczeniu śmierci — powiedział. — Będziesz potrzebny tutaj do innych zadań niż wojenne. Ojciec kocha cię, Faramirze, i z pewnością o tym sobie przypomni w ostatniej chwili. Bywaj zdrow!

Tak więc Faramir znów odjechał biorąc z sobą garstkę żołnierzy, których można było ująć załogę stolicy i którzy chcieli w tej wyprawie wziąć udział. Z murów Gondoru ludzie spoglądali ku zburzonej twierdzy Osgiliath usiłując odgadnąć, co się tam dzieje, i nic nie widząc w pomroce. Inni patrzyli wciąż ku północy licząc

staje dzielące ich gród od Rohanu i jeźdźców Theodena. „Czy przybędzie? Czy nie zapomniał o dawnym przymierzu?” — pytali z niepokojem.

— Tak, przybędzie — odpowiadał Gandalf. — Nawet gdyby miał przybyć za późno. Ale zastanówcie się: Czerwona Strzała mogła dojść do jego rąk w najlepszym razie przed dwoma dniami, a droga z Edoras daleka.

Nowin doczekali się dopiero w nocy. Od brodów na rzece przyznał konny wysłaniec z wieścią, że z Minas Morgul wyszła wielka armia i ciągnie na Osgiliath; są w niej pułki okrutnych roślących ludzi z południa, Haradrimów.

— Dowiedzieliśmy się — mówił wysłaniec — że dowodzi nimi znowu Czarny Wódz, a imię jego szerzy postrach na wybrzeżach Rzeki.

Tymi złowieszczymi słowy zakończył się trzeci dzień pobytu Pippina w Minas Tirith. Mało kto zasnął tej nocy w grodzie, wszyscy bowiem rozumieli, że nadzieja jest znikoma i że nawet Faramir nie utrzyma długo brodów na Anduinie.

Nazajutrz, chociaż ciemności osiągnęły już swoją pełnię i nie mogły się bardziej jeszcze pogłębiać, ciążyły coraz dotkliwszym brzemieniem w sercach ludzkich, przejętych trwogą. Znowu nadeszły złe nowiny. Nieprzyjaciół przekroczył Anduinę. Faramir cofał się ku murom Pelennoru ściągając swe oddziały do Strażnic na Grobli, ale napastnik rozporządzał dziesięćkroć większymi siłami niż obrońcy.

— Jeśli Faramir przedrze się przez pola Pelennoru, Nieprzyjaciół będzie mu następował na pięty — mówił goniec. — Przeprawa kosztowała go drogo, nie tak jednak drogo, jak się spodziewaliśmy. Plan napaści był doskonale obmyślony. Teraz dopiero wydało się, że od dawna we wschodnim Osgiliath budowano potężną flotę i przygotowano mnóstwo łodzi. Przepłynęli Rzekę całym mrowiem. Ale zgubą naszą jest Czarny Wódz. Mało kto chce mu stawiać czoło, a wielu ucieka na sam dźwięk jego imienia. Właśni jego podwładni drżą przed nim, każdy gotów poderżnąć sobie gardło na jedno jego słowo.

— Bardziej tam jestem potrzebny niż tutaj — oświadczył Gandalf i natychmiast skoczył na Gryfa. Jak błyskawica mignął na polach i znikł z oczu. A Pippin przez całą noc samotny czuwał na murach wyżejając wzrok w stronę wschodu.

Znowu ozwały się dzwony oznajmiające świt nowego dnia, jak na urągowsko, bo ciemności nie ustąpiły; w tej samej chwili Pippin dostrzegł w oddali ognie rozbłyskujące to tu, to tam na majaczącej niewyraźnie linii zewnętrznych murów Pelennoru. Wartownicy krzyknęli głośno, wszyscy żołnierze grodu stanęli w pogotowiu bojowym. Czerwone płomienie mnożyły się na widnokręgu i poprzez

duszne powietrze już dochodziły głuche grzmoty wybuchów.

— Zdobyli mury! — wołali ludzie. — Wysadzają je w powietrze, by otworzyć wyłomy! Nadchodzą!

— Gdzie Faramir?! — krzyknął z rozpaczą Beregond. — Nie mówcie mi, że zginął!

Pierwsze dokładniejsze wiadomości przywiózł Gandalf. Wraz z kilku jeźdźcami zjawił się przed południem eskortując kolumnę krytych budami wozów. Na wozach przywieziono rannych, niedobitków straszliwej walki stoczonej w Strażnicach na Grobli. Gandalf udał się natychmiast do Denethora. Władca siedział w komnacie na szczycie Białej Wieży, nad wielką salą, a Pippin stał u jego boku; patrząc przez mętne okna to na północ, to na południe, to na wschód Denethor wytężał swe ciemne oczy, usiłując przebić złowrogie ciemności otaczające gród ze wszystkich stron. Najczęściej zwracał wzrok ku północy i nasłuchiwał, jak gdyby jego uszy znały jakąś starodawną sztukę i umiały złowić z daleka tętent kopyt na równinie.

— Czy Faramir wrócił? — spytał.

— Nie — odrzekł Gandalf. — Ale żył jeszcze, kiedym się z nim rozstawał. Postanowił zostać z tylną strażą, aby odwrót przez pola Pelennoru nie zmienił się w paniczną ucieczkę. Może uda mu się utrzymać żołnierzy dostatecznie długo w karności, nie jestem tego jednak pewien. Ma przeciw sobie druzgocącą przewagę. Pojawił się bowiem ktoś, kogo najbardziej lękałem się ujrzyć na czele nieprzyjacielskich wojsk.

— Czy... czy to sam Władca Ciemności?! — krzyknął Pippin, z przerażenia zapominając, gdzie jest i co mu wolno.

Denethor zaśmiał się z goryczą.

— Nie, jeszcze nie, mości Peregrinie! On zjawi się dopiero po zwycięstwie, żeby nade mną tryumfować. Do walki używa innych, swoich narzędzi. Ta postępują wszyscy wielce władcy, jeśli mają rozum, wiedzą o tym, niziołku. Gdyby nie to, czyż ja siedziałbym w swojej Wieży i rozmyślał, i wypatrywał, i czekał, poświęcając nawet własnych synów? Wszakże sam umiem jeszcze władać orężem!

Wstał i odrzucił długi czarny płaszcz, pod którym ukazała się zbroja i zawieszony u pasa miecz o wielkiej gardzie, ukryty w czarno-srebrnej pochwie.

— W takim odzieniu chadzam i sypiam od wielu lat — powiedział — aby z wiekiem ciało nie zmiękło i nie straciło hartu.

— Mimo to w tej chwili zewnętrzne mury twojego kraju zdobył w imieniu Władcy Barad-Duru najokrutniejszy z jego wodzów — rzekł Gandalf — ten, który niegdyś był królem Angmaru, Czarnoksiężnikiem, Upiorem Pierścienia, a teraz jest dowódcą Nazgulów, biczem postrachu w ręku Saurona, Cieniem Rozpaczy.

— W takim razie masz wreszcie, Mithrandirze, godnego siebie przeciwnika — odparł Denethor. — Co do mnie, to od dawna wiedziałem, kto jest naczelnym

wodzem sił Czarnej Wieży. Czy wróciłeś tylko po to, żeby mnie o tym powiadomić? Czy też może wycofałeś się ze starcia, ponieważ zostałeś już pokonany?

Pippin zadrżał, bojąc się, że Gandalf pod wpływem zniewagi wpadnie w gniew, lecz obawy hobbita okazały się płonne.

— Mogłoby się to stać — odparł łagodnie Gandalf — ale nie doszło jeszcze do próby sił między nami. Jeżeli jednak wierzyć starym przepowiedniom, ten mój przeciwnik nie zginie z ręki mężczyzny, ale jaki spotka go los, tego żaden z mędrców nie wie. W każdym razie Wódz Rozpaczy nie wysuwa się na czoło w walce. Trzyma się raczej zasady, o której wspomniałeś, Denethorze, i z zaplecza kieruje swoimi podwładnymi zagrzewając ich do morderczego marszu naprzód.

Powróciłem tu przede wszystkim po to, żeby ochraniać w drodze transport rannych, których można jeszcze uratować. Wyłomy poczynione w zewnętrznych szańcach są szerokie i liczne, wkrótce armia Morgulu wtargnie przez nie w wielu miejscach naraz. Chciałem ci też jedną jeszcze dać radę, Denethorze. Lada godzina bitwa rozegra się na tych polach. Trzeba przygotować zbrojną wycieczkę za mury grodu. Najlepiej oddział konny. W konnicy nasza cała nadzieja, bo to jedyna broń, na której Nieprzyjacielowi zbywa.

— My jej także nie mamy wiele. Teraz już liczę chwile do zjawienia się jeźdźców Rohanu — rzekł Denethor.

— Wcześniej zapewne doczekamy się innych gości — odparł Gandalf. — Uchodźcy z Kair Andros już są w grodzie. Wyspa zdobyta. Inna armia wymaszerowała z Czarnej Bramy i okrążyła nas od północo-wschodu.

— Zarzucano ci, Mithrandirze, jakobyś lubił przynosić złe wieści — powiedział Denethor — lecz ta nie jest dla mnie nowiną. Znam ją od wczorajszego wieczora. Co do zbrojnej wycieczki, już o niej pomyślałem. A teraz zejdźmy na dół.

Czas płynął. Wkrótce strażnicy z murów zobaczyli wycofujące się ku grodowi załogi pogranicznych placówek. Najpierw pojawiły się bezładne drobne grupy znużonych, a często też rannych żołnierzy; wielu z nich biegło w panice, jak gdyby ich ścigano. W oddali na wschodzie migotały płomienie; potem zaczęły się rozpełzać coraz szerzej i bliżej po równinie. Paliły się domy i spichrze. Wreszcie z wielu punktów rozbiegły się szybkie, małe strużki ognia, znacząc się czerwienią w szarym zmroku, dążąc wszystkie na linię szerokiego gościńca, który od bramy grodu prowadził do Osgiliath.

— Nieprzyjacieli! — szeptał ludzie. — Grobla zdobyta. Wdzierają się przez jej wyłomy w głąb kraju. Niosą, jak się zdaje, żagwie. Gdzie podziewają się nasi?

Wedle zegarów był wczesny wieczór, lecz ściemniło się tak, że nawet najbystrzejsze oczy nie mogły wiele dostrzec z tego, co się rozgrywało na przedpolach, prócz linii ognia, które rozszerzały się i przysuwały coraz szybciej. W końcu

w odległości niespełna mili od grodu pojawił się dość znaczny oddział, maszerując w porządku, nie biegnący, trzymający się w zwartej grupie. Obserwatorzy na murach krzyknęli bez tchu:

— Faramir! To Faramir z pewnością ich prowadzi! Jego słuchają ludzie i zwierzęta. Faramir mimo wszystko opanuje sytuację.

Główna kolumna cofających się wojsk znalazła się już o niespełna ćwierć mili od murów. Z ciemności wyłonił się w galopie mały konny oddział, resztką straży tylnej. Raz jeszcze jeźdźcy zawrócili półkolem i stawili czoło nadciągającej ognistej linii. Nagle wzbił się w niebo zgiew dzikich okrzyków. Zjawiała się nieprzyjacielska konnica. Linie ognia zwały się w wezbrany potok, szereg za szeregiem parli naprzód orkowie z zapalonymi żagwiami, dzicy południowcy pod czerwonymi chorągwiami wykrzykujący coś w swoim chrapliwym języku, a cały ten tłum rósł w oczach i już wyprzedzał oddział Gondorczyków w odwrocie. I w tym momencie z przenikliwym wrzaskiem spadły nań spod nieba Skrzydlate Cienie; Nazgule nurkowały nad polem szerząc śmierć.

Odwrót zamienił się w panikę. Szeregi załamały się, ludzie w obłędzie rozbiegli się na wszystkie strony, rzucając broń, z okrzykiem strachu padając na ziemię.

Wtedy z wyżyn twierdzy zagrała trąbka. Denethor wreszcie wysłał oddział zbrojnych na odsiecz. Żołnierze od dawna czekali na sygnał ukryci pod Bramą lub w cieniu zewnętrznego kręgu murów. Zebrano tu wszystkich konnych, jacy byli w grodzie. Skoczyli naprzód, sformowali się w szyku, pomknęli galopem i natarli z głośnym okrzykiem. Z murów odpowiedział im krzyk współplemieńców; na czele bowiem rycerzy spod znaku Łabędzia cwałował książę Dol Amrothu, a nad nim powiewała błękitna chorągiew.

— Amroth z Gondorem! — wołali ludzie. — Amroth z Faramirem!

Jak grom runęli na obu skrzydłach okrążających oddział w odwrocie. Lecz jeden jeździec wszystkich innych wyprzedził, szybszy niż wiatr w stepie: niósł go Gryf. Blask bił od Gandalfa, błyskawice strzelały w górę z podniesionej ręki. Nazgule z wrzaskiem odleciały na wschód, bo wódz ich nie przybył jeszcze, żeby się zmierzyć z białym ogniem swego wroga. Bandy Morgulu, zaprzątnięte wałką, zaskoczone znienacka, rozpierzchnęły się jak iskry rozniesione przez wichurę. Oddziały Gondorczyków wiwatując głośno rzuciły się z kolei w pościg za nimi. Zwierzyna przeobraziła się w myśliwych. Odwrot zamienił się w krwawe zwycięstwo. Trupy orków i ludzi zasłaly pole, nad którym z porzuconych żagwi wiły się słupy cuchnącego dymu. Jeźdźcy z księciem na czele gnali za pierzchającym nieprzyjacielem. Denethor jednak nie pozwolił im zapędzić się daleko. Wprawdzie napaść była na razie powstrzymana i odparta, lecz od wschody ciągnęły nowe i potężne siły. Raz jeszcze zagrała trąbka, tym razem wzywając do powrotu. Jeźdźcy Gondoru wstrzymali konie. Za ich osłoną oddziały ze straconych pogranicznych placówek sformowały szeregi. Teraz maszerowali w stronę grodu pewnym krokiem. Dosięgli Bramy i przeszli przez nią dumnie. Z dumą też patrzyli na nich

ludzie z grodu, sławiąc ich męstwo okrzykami, lecz serca ścisłał smutek. Szeregi bowiem powracających były bardzo przerzedzone. Faramir stracił jedną trzecią swego wojska. I gdzież był Faramir?

Przybył ostatni. Wszyscy jego żołnierze już się znaleźli za Bramą. Nadjechali też konni, a na końcu pod błękitną chorągwią księżę Dol Amrothu; obejmował przed sobą na siodle ciało swego krewniaka, Faramira, syna Denethora, zebrane z pobojowiska.

— Faramir! Faramir! — z płaczem wołali zgromadzeni na ulicach ludzie. Nie mógł im odpowiedzieć. Tłum odprowadzał go krętymi drogami aż pod Wieżę, dom jego ojca. W momencie kiedy Nazgule rozpierzchły się przed Białym Jeźdźcem, mordercza strzała z góry dosięgła Faramira, który właśnie staczał pojedynek z olbrzymim jeźdźcem Haradu. Syn Denethora padł na ziemię. Tylko szarża konnicy Dol Amrothu ocaliła go od dzikich południowców, którzy niechybnie dobili-by ранego. Księżę Imrahil wniósł Faramira do Białej Wieży.

— Syn twój wrócił, Denethorze — oznajmił. — Dokonał czynów godnych bohatera.

I opowiedział o wszystkim, co na własne oczy widział. Denethor wstał, spojrział w twarz swego syna i nie wyrzekł ani słowa. Wreszcie kazał złożyć Faramira na posłaniu w swojej komnacie i odprawił wszystkich. Sam zaś udał się do tajemnej izby pod szczytem Wieży; ktokolwiek w tym czasie podniósł wzrok ku górze, mógł obserwować nagle światło błyszczące i mrugające przez chwilę w wąskich oknach, a potem rozbłysk i ciemność. Kiedy Denethor zeszedł i usiadł milcząc przy wezglowiu Faramira, poszarzała twarz ojca zdawała się wyraźniej naznaczona piętnem śmierci niż twarz syna.

Miało być teraz obleżone, zamknięte w pierścieniu wrogich wojsk. Zewnętrzne szanse pękły. Cały Pelennor znalazł się w ręku napastnika. Ostatnie wieści, jakie dotarły spoza murów, przyniesiły przed zamknięciem Bramy uciekinierzy, którzy przybyli drogą z północy. Była to garstka żołnierzy ocalałych z pogromu placówki, strzegącej miejsca, gdzie szlaki z Anorien i Rohanu wychodziły na przedpola grodu. Prowadził ich Ingold, ten sam, który ledwie pięć dni temu, gdy jeszcze słońce świeciło i ranek darzył nadzieją, przepuścił przez zewnętrzną Bramę Gandalfa i Pippina.

— O Rohirrimach ani słychu — powiedział. — Teraz już nie można ich oczekiwać. A nawet gdyby przybyli, na nic to się już nie zda. Wyprzedziło ich inne wojsko, które, jak nam mówiono, przeprawiło się przez rzekę koło Kair Andros. Potężna armia, są w niej pułki orków z godłem Oka, a prócz nich zastępy ludzi nie znanego dotychczas plemienia. Niewysocy, ale krzepcy i okrutni, brody noszą jak krasnoludy i uzbrojeni są w ciężkie topory. Przybyli pono z jakiegoś dzikiego kraju daleko na Wschodzie. Ci panują nad szlakami północnymi, a wielu przeszło

też do Anorien. Rohirrimowie nie mogą przybyć.

Zamknięto Bramę. Przez całą noc strażnicy na murach słyszeli, jak na polach mrowią się nieprzyjacielskie wojska, pałac zboża i drzewa, nie szczędząc nikogo, żywych ani umarłych. W ciemnościach trudno było odgadnąć, ilu napastników już przeprawiło się na ten brzeg Anduiny, lecz rankiem, a raczej w bledszej nieco pomroce za dnia, przekonano się, że strach nocny niewiele wyolbrzymił groźną prawdę. Na równinie aż czarno było od maszerujących oddziałów, a jak wzrokiem sięgnąć otaczało miasto mrowie czarnych lub ciemnoczerwonych namiotów, niby potworne grzyby, co wyrosły w ciągu jednej nocy na polach.

Pracowici jak mrówki orkowie krzatali się, kopali w olbrzymim kręgu głębokie rowy, na strzał z łuku odległe od murów grodu; gdy rowy były gotowe, zapalono w nich ognie, nie wiadomo jaką sztuką czy diabelskim czarem, bo nie gromadzono ani nie dorzucano drew czy też innego paliwa. Przez cały dzień nie ustawała robota, a ludzie z Minas Tirith przyglądali się jej bezsilnie, nie mogąc w niczym przeszkodzić. Kiedy wszystkie rowy osiągnęły wyznaczoną długość, nadjechały ogromne kryte wozy. Wkrótce nowe oddziały nieprzyjacielskie zaczęły się spieszenie krzątać ustawiając pod osłoną okopów wielkie maszyny do miotania pocisków. W grodzie nie było maszyn równie potężnych, zdolnych sięgnąć pociskiem tak daleko i zahamować złowrogie przygotowania.

Z początku ludzie śmieli się i nie bardzo bali się tych dziwnych wynalazków. Główny bowiem mur twierdzy był wysoki i gruby na podziw, zbudowany jeszcze za dawnych czasów, nim ludzie z Numenoru zatracili na wygnaniu pierwotne swoje siły i umiejętności. Zewnętrzna ściana, twarda i czarna jak Wieża Orthanku, mogła się oprzeć stali i płomieniom; żeby ją rozbić trzeba by wstrząsnąć chyba fundamentem ziemi, na której stała.

— Nie! — mówili Gondorczy. — Nawet gdyby Bezimienny we własnej osobie przyszedł tu, nie wdarłby się przez nasze mury, póki my żyjemy.

Ten i ów jednak odpowiadał:

— Póki my żyjemy? A czy pożyjemy długo? Nieprzyjaciel rozporządza bronią, która już niejedną najpotężniejszą twierdzę przywiodła do upadku, odkąd świat istnieje: głód. Wszystkie drogi odcięte. Rohan nie przyjdzie z odsieczą.

Maszyny nie trwały jednak pocisków na niezwyciężoną ścianę. Atakiem na największego wroga Władcy Mordoru nie kierował przecież prosty zbój ani też dziki ork, lecz umysł mądry w swej złośliwości. Gdy wśród wielu okrzyków, skrzypienia lin i bloków ustawiono wreszcie potężne katapulty, zaczęły one zaraz miotać kule bardzo wysoko, tak że przelatywały tuż nad blankami i spadały z hukiem na pierwszy krąg grodu; wiele z nich dzięki jakiemuś tajemnemu wynalazkowi wybuchało ogniem jeszcze przed upadkiem.

Wkrótce niebezpieczeństwo pożarów zagroziło miastu i wszyscy wolni od in-

nych pilnych obowiązków mieli pełne ręce roboty, gasząc płomienie wytryskujące wciąż w nowych punktach grodu. Potem wśród cięższych bomb sychnął się grad pocisków mniej zabójczych, ale bardziej jeszcze przerażających. Ulice i zaułki za murami usłały dziwne niewielkie kule, które nie buchały ogniem. Gdy jednak ludzie nadbiegli, by zbadać nowe, nieznane niebezpieczeństwo, rozległy się jęki i głośny płacz: Nieprzyjaciół ciskał na miasto głowy poległych w walkach pod Osgiliath, na granicznym murze i na przedpolach grodu. Straszny to był widok; wiele głów rozrąbanych okrutnie, zmiażdżonych i bezkształtnych, wiele jednak zachowało rozpoznawalne rysy i twarze świadczące o przedśmiertnej męce; wszystkie nosiły wypalone złowrogie piętno: Oko bez powiek. Niejednokrotnie w tych skalanych i zbezczeszczonych szczątkach poznawano twarze przyjaciół, którzy niedawno jeszcze chodzili dumni i zbrojni po mieście, uprawiali okoliczne pola albo przyjeżdżali tu w dni świąteczne na zabawy z zielonych dolin pośród gór.

Ludzie w bezsilnym gniewie wygrażali pięścią okrutnemu wrogowi, oblegającemu czarnym mrowiem Bramę. Tamci nie słyszeli przekleństw albo ich nie rozumieli, nie znając języka zachodu, porozumiewając się wrzaskliwie ochrypłymi głosami jak dzikie zwierzęta lub drapieżne ptaki żerujące na padlinie. Wkrótce też w Minas Tirith mało kto miał jeszcze dość odwagi, by pokazać się na murach i wyzywać napastników. Władca Czarnej Wieży posiadał bowiem broń zwyciężającą szybciej niż głód: strach i rozpacz. Pojawiły się znów Nazgule, a że Władca Ciemności wzrósł w siły i potęgę, głosy skrzydlatych potworów, które wyrażały tylko jego wolę i złośliwość, także nabrzmiały większą jeszcze złością i grozą. Nazgule krążyły wciąż nad miastem niby sępy w oczekiwaniu uczty z ciał skazanych na śmierć ludzi. Latały poza zasięgiem wzroku i strzał, stale jednak obecne, a zabójczy ich krzyk rozdzierał powietrze. Nikt się z nim nie mógł oswoić, każdy następny krzyk przerażał bardziej jeszcze niż poprzedni. Wreszcie nawet najodważniejsi padali na ziemię, gdy nad nimi przelatywał niewidoczny morderca, albo też stawali osłupiali wypuszczając z bezwładnych rąk oręż, a w zamroczonych głowach gasła myśl o walce, ustępując miejsca myślom o kryjówce, pokornym pełzaniu, o śmierci.

Przez cały ten ponury dzień Faramir leżał na pościeli w komnacie Białej Wieży, mającąc w straszliwej gorączce; ktoś powiedział: „Umiera” — i wkrótce wszędzie na murach i na ulicach z ust do ust podawano sobie tę wieść: „Umiera”. Ojciec siedział, wpatrzony w niego bez słowa, nie troszcząc się już o obronę grodu. Gorszych godzin nie przeżył Pippin nawet w pazurach dzikich Uruk-hai. Obowiązek nakazywał mu usługiwać władcy, który jak gdyby o nim zapomniał, więc hobbit stał u drzwi nie oświetlonej komnaty, starając się w miarę swych sił panować nad strachem. Zdawało mu się, gdy patrzył na Denethora, że w jego

oczach władca starzeje się z każdą chwilą, jakby pękła sprężyna jego dumnej woli i zaćmiła się jasność surowego umysłu. Zapewne dręczył go żal i wyrzuty sumienia. Hobbit dostrzegł bowiem łzy spływające po tej tak zawsze zimnej twarzy, i przeraziły go one bardziej niż poprzednie wybuchy gniewu.

— Nie płacz, panie — wyszeptał. — Może jeszcze wyzdrowieje. Czy prosiłeś o radę Gandalfa?

— Nie próbuj mnie pocieszać imieniem Czarodzieja — odparł Denethor. — Szaleńcza nadzieja zawiodła. Nieprzyjaciół dostał w swe ręce skarb, władza jego wzrasta; czyta nawet nasze myśli, a wszystko, co podejmujemy, obraca się na naszą zgubę. Wysłałem syna bez dobrego słowa, bez błogosławieństwa, naraziłem go niepotrzebnie; oto leży przede mną, a w jego żyłach płynie trucizna. Nie, nie, jakiegokolwiek będą losy tej wojny, mój ród wygasa, kończy się dynastia namiestników. Samozwańcy będą odtąd rządzili resztką królewskiego plemienia, kryjącego się pośród gór, dopóki ostatni Gondorczyk nie zostanie wytropiony.

Coraz to pod drzwiami Wieży przybiegał ktoś, domagając się z krzykiem, by władca wyszedł i wydał rozkazy.

— Nie wyjdę — odpowiadał Denethor. — Muszę czuwać przy moim synu. Może przemówi przed śmiercią. A śmierć jest już blisko. Słuchajcie, kogo chcecie, choćby Szarego Szaleńca, jakiegokolwiek jego nadzieja zawiodła. Ja tutaj zostanę.

Tak więc Gandalf objął dowództwo w rozpaczliwej obronie stolicy Gondoru. Gdziekolwiek się pojawiał, ludziom serca rosły i zapominali o grozie Skrzydlatych Cieni. Niezmordowanie stary czarodziej przemierzał wciąż drogę z Cytadeli do Bramy, z północy na południe wzdłuż murów grodu, a z nim razem księżę Dol Amrothu w swej błyszczącej zbroi. On bowiem i jego rycerze wytrwali w dumnej postawie szczerych potomków Numenoru. Ludzie na jego widok szeptali: „Prawdę mówią stare legendy, krew elfów płynie w żyłach tego plemienia; przecież lud Nimrodel długo przemieszkował ongi w ich kraju”. I często ktoś wśród zmroku zaczynał nucić strofki o Nimrodel albo inne pieśni z zamierzchłej przeszłości Doliny Wielkiej Rzeki.

Ale kiedy ci dwaj odchodzili, cień znów ogarniał ludzi, serca stygły, męstwo Gondoru rozsypywało się w proch. Tak z wolna mijał mroczny dzień trwogi i nastawała ciemna noc rozpacz. Pożary już nieposkromione szalały w najniższym kręgu grodu, załoga pierwszego muru była w wielu miejscach odcięta bez możliwości odwrotu. Co prawda niewielu żołnierzy wytrzymało wiernie na tych posterunkach, większość zbiegła za Drugą Bramę.

Tymczasem na zapleczu bitwy przez Rzekę przerzucono zbudowane pośpiesznie mosty i w ciągu całego dnia napływały zza niej nowe nieprzyjaciół-

skie wojska oraz sprzęt wojenny. Wreszcie około północy rozpoczął się szturm na miasto. Przednie straże wysunęły się przed zasieki ognia, w których pozostawiono liczne, chytrze obmyślane przejścia. Żołdacy Mordoru szli naprzód zuchwale, bezładną kupą zbliżyli się na odległość strzały. Na murach jednak niewielu zostało obrońców, zdolnych wyrządzić w ich szeregach poważniejsze szkody, chociaż napastnicy w świetle płomieni stanowili łatwy cel, a Gondor niegdyś szczycił się mistrzostwem swoich łuczników. Widząc, że duch już w oblężonym grodzie podupadł, niewidzialny wódz rzucił do walki główne swoje siły. Olbrzymie wieże oblężnicze zbudowane w Osgiliath toczyły się w ciemnościach ku murom.

Znów gońcy zakołatali do drzwi Białej Wieży, i to tak natarczywie, że Pippin wpuścił ich do komnaty. Denethor powoli odwrócił wzrok od twarzy Faramira i w milczeniu spojrzał na natrętów.

— Pierwszy krąg miasta płonie — mówili. — Jakie są twoje rozkazy? Jesteś przecież władcą i Namiestnikiem. Nie wszyscy chcą iść pod komendę Mithrandira. Ludzie uciekają z murów pozostawiając je bez obrony.

— Dlaczego? Dlaczego ci głupcy uciekają? — odpowiedział Denethor. — Skoro musimy spłonąć, czyż nie lepiej spłonąć od razu? Wracajcie w ogień. A ja? Ja zbuduję sobie własny stos. Wstąpię na stos. Nie będzie grobowców Denethora i Faramira. Nie chcę grobowców ani długiego snu zabalsamowanej śmierci. My dwaj spłoniemy jak pogańscy królowie z dawnych czasów, przed pojawieniem się pierwszych okrętów z zachodu. Zachód ginie. Wracajcie w ogień.

Wysłańcy bez ukłonu i bez odpowiedzi uciekli.

Denethor wstał, wypuścił z uścisku rozgorączkowaną dłoń Faramira, którą dotychczas wciąż trzymał w swych rękach.

— On już płonie, już płonie — rzekł ze smutkiem. — Dom jego już się wali. — Podszedł bliżej do Pippina i spojrzał na niego z góry. — Żegnaj! — powiedział. — Żegnaj, Peregrinie, synu Paladina. Krótka trwała twoja służba u mnie i już dobiega końca. Zwalniam cię od tej chwili na tę niewielką resztkę życia, jaka ci zostaje. Idź umrzeć śmiercią, która wyda ci się najlepsza. Idź, z kim chcesz, choćby z tym przyjacielem, którego szaleństwo masz przypłacić życiem. Przyślij mi tutaj pachółków, a sam odejdziesz. Żegnaj.

— Nie, nie żegnam się z tobą, mój panie — odparł Pippin przyklękając. Lecz nagle ocknęła się w nim hobbitcka czupurność; wyprostował się i spojrzał prosto w oczy Staremu Władczy. — Odejdę teraz — rzekł — ponieważ chcę koniecznie porozumieć się z Gandalfem. Nie jest on szaleńcem, a ja nie chcę myśleć o śmierci, póki on nie straci nadziei na życie. Nie będę się też czuł zwolniony z mego słowa i od służby, dopóki ty, panie, żyjesz. A jeśli nieprzyjaciele wtargną do tej Wieży, mam nadzieję, że będę u twego boku i może okaże się godny tej zbroi, którą z twojej łaski otrzymałem.

— Zrób, jak ci się podoba, mości niziołku — rzekł Denethor — ale wiedz, że moje życie jest już złamane. Zawołaj tu sługi.

I z tymi słowy wrócił do wezgłowia Faramira.

Pippin wybiegł i zawołał sługi pałacowe, sześciu pacholców krzepkich i do-
rodnych, którzy mimo to zadrżeli słysząc wezwanie. Denethor wszakże łagodnym
tonem polecił im okryć Faramira ciepłymi derkami i wynieść go wraz z łóżem.
Spełnili rozkaz, dźwignęli łóżo i wynieśli z komnaty. Stąpali ostrożnie, by pogrą-
żony w gorączce chory jak najmniej odczuł wstrząsy; za nim zgarbiony i wsparty
na lasce szedł Denethor, na końcu zaś Pippin. Niby orszak pogrzebowy wyszli
z Białej Wieży w ciemną noc, pod nawisłe ciężkie chmury rozświetlane od dołu
czerwonymi migocącymi skrami. Z wolna minęli Najwyższy Dziedziniec, gdzie
na skinienie Denethora przystanęli pod Martwym Drzewem. Z niższych kręgów
grodu dochodził zgiełk wojenny, tu jednak panowała taka cisza, że słychać była
smutny szelest kropel spadających z uschłych gałęzi do czarnego jeziora. Po-
tem wyszli za bramę Cytadeli, odprowadzani zdumionym i zrozpaczonym wzro-
kiem wartownika. Skręcili na zachód i wreszcie dotarli do drzwi w wewnętrznej
ścianie szóstego muru. Zwano je Fen Hollen i otwierano jedynie podczas pogrze-
bów; wolno było tedy przechodzić tylko władcy i ludziom noszącym odznakę
służby grobowej, utrzymującej w porządku Domy Umarłych. Za drzwiami kryła
się ścieżka zstępująca ślimakiem w dół ku wąskiemu skrawkowi łąki, na której
w cieniu urwistej ściany Mindolluiny stały grobowce zmarłych królów oraz kró-
lewskich Namiestników.

Odźwierny, siedzący przed małym domkiem przy drodze, na widok nadcho-
dzących zerwał się wystraszony, z latarnią wzniesioną w rękę. Na rozkaz władcy
otworzył drzwi, które odchyliły się bezszelestnie. Przeszli przez nie wzięwszy od
odźwiernego latarnię. Na stromej drodze między starymi murami było ciemno,
tylko snop światła rzucany przez rozkołysaną latarnię wydobywał z mroku po
obu stronach filarki długich rzeźbionych balustrad. Schodzili wciąż w dół, a po-
wolne ich kroki rozlegały się echem w tym kamiennym korytarzu, aż w końcu
znaleźli się w Rath Dinen — ulicy Milczenia — między bielejącymi niewyraźnie
kopułami, pustymi pałacami i posągami z dawna umarłych ludzi. Weszli do Domu
Namiestników i tu postawili łóżko z rannym Faramirem na podłodze.

Rozglądając się z niepokojem wkoło, Pippin ujrzał dużą sklepioną komnatę,
ozdobioną jak gdyby draperiami ogromnych cieni, które mała latarka rzucała na
obite kirem ściany. W mroku rozróżnił szeregi rzeźbionych marmurowych stołów,
a na każdym z nich postać spoczywającą jakby we śnie, z rękoma skrzyżowanymi
na piersi, z głową opartą na kamiennej poduszce. Lecz jeden wielki stół, najbli-
ższy, był pusty. Tam na rozkaz Denethora złożono Faramira; ojciec wyciągnął się
obok niego, a słudzy nakryli obu jednym całunem i stanęli chyląc głowy jak za-

łobnicy nad łóżem śmierci. Denethor ściszone głosem powiedział:

— Tu będziemy czekać. Nie przysyłajcie mistrzów balsamowania. Przynieście drzewo wysuszone dobrze, podłóżcie kłody wokół nas i pod tym stołem, oblejcie wszystko oliwą. A kiedy dam znak, wrzucicie w stos zapaloną żagiew. Tak wam rozkazuję. Nic już teraz nie mówcie do mnie. Żegnajcie!

— Przepraszam, miłościwy panie, ale teraz muszę cię opuścić! — zawołał Pippin, zawrócił na pięcie i w panice umknął z tego domu śmierci. „Biedny Faramir! — myślał. — Trzeba co prędzej odnaleźć Gandalfa. Biedny Faramir! Prawdopodobnie bardziej przydałyby mu się lekarstwa niż łyzy. Och, gdzie szukać Gandalfa? Pewnie tam, gdzie najgoręcej kipi walka. Nie będzie może miał czasu do stracenia dla umierających albo obłąkanych”.

W drzwiach zagadnął jednego z pachołków, którego zostawiono tutaj na straży.

— Twój pan nie wie, co czyni — powiedział. — Zwlekajcie z wykonaniem jego rozkazów. Nie podpalajcie stosu, dopóki Faramir żyje. Nie róbcie nic, czekajcie, aż przyjdzie Gandalf.

— kto rządzi w Minas Tirith? Nasz pan, Denethor, czy ten szary Włóczęga? — odparł sługa.

— jak się zdaje, Szary Włóczęga i nikt poza nim — odpowiedział Pippin i puścił się ile sił w nogach z powrotem krętą drogą pod górę, minął zdumionego odźwiernego, wypadł za wrota i pędził dalej, dalej, aż znalazł się wreszcie w pobliżu bramy twierdzy. Wartownik krzyknął na niego i Pippin poznał głos Beregonda.

— Dokąd tak pędzisz, mości Peregrinie?

— Szukam Mithrandira! — odkrzyknął Pippin.

— Zapewne władca wysłał cię w pilnych sprawach i nie chciałbym ci w wykonaniu jego zleceń przeszkadzać — rzekł Beregond — lecz jeśli możesz, powiedz mi pokrótce, co się właściwie dzieje? Dokąd udał się Namiestnik? Dopiero co objąłem wartę, ale słyszałem, że poszedł ku Zamkniętej Furcie, a słudzy nieśli przed nim Faramira.

— Tak — odparł Pippin. — Poszedł na ulicę Milczenia.

Beregond zwiesił głowę na piersi, by ukryć łzy.

— Mówili ludzie, że umiera — westchnął. — A więc naprawdę umarł!

— Nie! — zaprzeczył Pippin. — Jeszcze nie! I myślę, że nawet teraz można by go od śmierci ocalić. Ale władca grodu poddał się, Beregondzie, zanim wróg zdobył jego gród. Popadł w niebezpieczny obłąd. — Szybko opowiedział Beregondowi o dziwnych słowach i postępkach Denethora. — Muszę natychmiast odnaleźć Gandalfa — zakończył.

— W takim razie musisz iść w najgorętszy wir bitwy.

— Wiem. Denethor zwolnił mnie ze służby. Tymczasem, Beregondzie, błagam cię, zrób co w twojej mocy, żeby nie dopuścić do spełnienia tych okropności.

— Władca nie pozwala tym, którzy noszą barwy czarne i srebrne, opuszczać posterunków pod żadnym pozorem, chyba jego osobisty rozkaz.

— A więc wybieraj między wiernością rozkazom a życiem Faramira — powiedział Pippin. — A poza tym jestem przekonany, że w tej chwili nie mamy już do czynienia z władcą, lecz z obłąkanym starcem. Ale na mnie czas. Wrócę, gdy będę mógł.

Pobiegł w dół w stronę zewnętrznych kręgów miasta. Spotykał ludzi uciekających z płonących dzielnic, a niektórzy na widok jego barw odwracali się krzyżąc obelgi, lecz hobbit nie zważał na nic. Wreszcie minął Drugą Bramę, za którą spomiędzy murów wszędzie buchały płomienie. Mimo to panowała niesamowita cisza. Nie dochodził tu zgiełk bitwy ani krzyki walczących, ani szczęk broni. Nagle rozległ się okropny wrzask, ziemia zadrżała od potężnego wstrząsu, dał się słyszeć głęboki, grzmiący łoskot. Przewyciężając strach, który go ogarnął i niemal rzucił dygocącego ze zgrozy na kolana, Pippin wypadł zza zakrętu na duży otwarty plac tuż za Bramą grodu. Stał jak wryty. Odnalazł Gandalfa, lecz cofnął się skulony w cień muru.

Od późnego wieczora nieprzerwanie trwał szturm na miasto. Grzmiąły werble. Od północy i od południa Nieprzyjaciół rzucał coraz to nowe pułki do walki pod mury. Olbrzymie bestie Haradu, mumakile, niby ruchome domy w czerwonym blasku migotliwych płomieni przesuwali się pomiędzy wieżami oblężniczymi i miotającymi ogień machinami. Wódz Mordoru nie dbał o to, jak walczą jego podwładni i ilu ich zginie. Wysłał ich do boju tylko po to, by wypróbować siły obrońców i rozproszyć je na całej długości murów. Główne natarcie przygotowywał na Bramę grodu. Była potężna, wykuta ze stali i żelaza, broniona przez wieże i bastiony z niewzruszonego kamienia, lecz stanowiła klucz, najsłabszy punkt w nieprzeniknionym kręgu murów.

Werble odezwały się głośniejsze. Płomienie wystrzeliły w górę. Ciężkie maszyny ruszyły przez pole; między nimi ogromny taran, niby pień olbrzymiego drzewa długi na sto stóp, kołysał się na łańcuchach. Od dawna wykuwano go z żelaza w posępnych kuźniach Mordoru; potworna głowica odlana była z czarnej stali na kształt wilczego łba szczerzącego zęby, a na niej wypisane były złowieszcze runiczne zaklęcia. Zwano ten taran Grond, na pamiątkę legendarnego Młota pradawnych podziemnych krajów. Ciągnęły go olbrzymie mumakile, otaczały go tłumy orków, a na końcu szlitrolle z gór, siłacze, którzy umieli się nim posługiwać.

Młot pełznął naprzód. Ogień go się nie miał. Ogromne bestie ciągnące taran wpadały niekiedy w szal i tratowały stłoczonych wokół orków szerząc wśród nich śmierć, lecz nikt się tym nie wzruszał; odsuwano tylko z drogi trupy i zaraz miejsce pomordowanych zajmowali nowi żołdacy.

Młot pełznął naprzód. Werble dudniły dzikim rytmem. Nad zwałami trupów zjawiała się straszliwa postać: wysoki jeździec z twarzą ukrytą w kapturze, spowity czarnym płaszczem. Z wolna, miażdżąc pod kopytami wierzchowca ciała poległych, zbliżał się nie zważając na niebezpieczeństwo strzał. Zatrzymał konia i podniósł długi, blady miecz. Strach poraził wszystkich, zarówno napastników, jak obrońców; ludziom na murach ręce zwisły bezwładnie, ani jedna strzała nie śmignęła w powietrzu. Na chwilę zaległa głucha cisza.

Werble wciąż grały. Z potężnym rozmachem ręce olbrzymów pchnęły naprzód żelazny Młot. Dosięgnął Bramy. Zakołysał się, uderzył. Głęboki huk przetoczył się nad miastem jak grzmot w chmurach. Ale żelazne drzwi i stalowe filary wytrzymały cios. Wtedy Czarny Wódz stanął w strzemionach i straszliwym głosem krzyknął w jakimś zapomnianym języku słowa władcze i groźne, zakłęcie burzące serca i kamienie.

Trzykroć powtarzał okrzyk. Trzykroć wielki taran uderzał w Bramę. I nagle za trzecim ciosem Brama Gondoru pękła. Jakby ją rozpruło niewidzialne zaczarowane ostrze, w oślepiających iskrach błyskawicy rozpadła się w bezładny stos żelastwa.

Wjechał do grodu Wódz Nazgulów. Olbrzymią czarną sylwetką na tle łuny pożarów górował nad wszystkim, urastał do symbolu grozy i rozpacz. Pod sklepieniem murów, których nigdy jeszcze nie przekroczył Nieprzyjaciół, wjechał do grodu Wódz Nazgulów, a kto żyw, umknął albo padł na twarz.

Z jednym wyjątkiem. Na pustym placu za Bramą czekał Gandalf na swoim Gryfie; spośród wolnych koni na całej ziemi tylko Gryf nie ugiął się przed strachem, niewzruszony, spokojny, jak kamienny posąg rumaka z Rath Dinen.

— Nie wejdiesz! — powiedział Gandalf, a czarny olbrzymi cień zatrzymał się w miejscu. — Wracaj do swojej otchłani. Wracaj tam! Rozwiej się w nicość, która czeka ciebie i twojego pana. Precz stąd!

Czarny Jeździec zrzucił kaptur i oto ukazała się królewska korona; nie było jednak pod nią widzialnej głowy. Między koroną a ramionami, okrytymi szerokim czarnym płaszczem, świeciły czerwone płomienie. Z niewidzialnych ust dobył się śmiech mrozący krew w żyłach.

— Stary głupcze! — wyrzekł upiór. — Stary głupcze! Dziś wybiła moja godzina. Czy nie poznajesz śmierci, kiedy patrzysz w jej oblicze? Daremne są twoje zaklęcia. Umrzesz w tej chwili.

Podniósł swój długi miecz, płomienie przebiegły po klindze. Gandalf nie drgnął. W tym samym momencie gdzieś daleko, na którymś podwórku wiejskim zapiał kogut. Przenikliwie, donośnie, ptak nie wiedzący nic o czarach pozdrawiał nowy dzień, który wysoko ponad mrokami śmierci wstawał wraz ze świtem na niebie. Jak gdyby w odpowiedzi z daleka odezwały się inne głosy: granie rogów.

Echo rozniosło ich muzykę po ciemnych zboczach Mindolluiny. Sławne rycerskie rogi północy grały pobudkę do boju. Rohan wreszcie przybył z odsieczą.

ROZDZIAŁ V

Droga Rohirrimów

W ciemnościach, leżąc na ziemi i okryty derką, Merry nic nie widział, ale chociaż noc była parna i bezwietrzna, wszędzie dokoła niewidoczne drzewa wzdychały z cicha. Merry podniósł głowę. Wciąż słyszał ten sam dźwięk, jak gdyby nagle dudnienie bębnow dochodzące z zalesionych podgórzy i stoków górskich. Dudnienie to milkło nagle, to odzywało się znowu w innym miejscu, raz bliżej, raz dalej. Hobbit zadał sobie pytanie, czy wartownicy również słyszą te dziwne odgłosy.

Nie widział ich, ale wiedział, że wszędzie wokół obozują Rohirrimowie. Czuł w ciemności zapach koni, słyszał, jak przestępują z nogi na nogę albo uderzają kopytem o miękką iglastą ściółkę. Jeźdźcy rozbili biwak w sosnowym borze pod wzgórzem ognistych wici zwanym Eilenach, wystrzelającym nad długim grzbieciem lasu Druadan, który opodał gościńca ciągnął się do wschodniego Anorien.

Mimo zmęczenia Merry nie mógł spać. Wędrował na konskim grzbiecie od czterech dni, a pogłębiający się mrok przytłaczał go coraz bardziej. Hobbit zaczął już nawet dziwić się sam sobie, dlaczego tak się upierał, żeby wziąć udział w tej wyprawie, skoro wszystko, nawet królewski rozkaz, upoważniało go do pozostania w Edoras. Zastanawiał się, czy stary król wie o jego nieposłuszeństwie i czy bardzo się gniewa. Może wcale nie? Wydawało się, że istnieje jakieś ciche porozumienie między Dernhelmem a dowódcą eoredu, Elfhelmem, który, podobnie jak wszyscy inni Rohirrimowie, jak gdyby nie widział i nie słyszał hobbita. Traktowali go, jakby był dodatkowym workiem przytroczonym do siodła Dernhelma. W Dernhelmie nie znalazł Merry pocieszyciela, bo młody jeździec okazał się bardzo mało mówny. Hobbit czuł się mały, nikomu niepotrzebny i osamotniony. W powietrzu wisiał niepokój, dokoła czaiło się bliskie już niebezpieczeństwo. Niespełna dzień marszu dzielił teraz Rohirrimów od zewnętrznych murów Minas Tirith, opasujących szeroki krąg podgrodzia. Wysłano naprzód zwiadowców. Niektórzy w ogóle nie wrócili, inni przynieśli wieści, że dalsza droga jest odcięta. O trzy mile na zachód od Amon Din rozbiła po obu jej stronach obóz nieprzyjacielska armia, silne patrole zapuszczają się wzdłuż drogi w głąb kraju, dochodząc

na odległość nie większą niż trzy staje pod biwak Rohanu. Po górach i lasach okolicznych grasują orkowie. Król i Eomer naradzali się do późna w noc.

Merry tęsknił za towarzyszem, z którym by mógł pogadać, i wiele myślał o Pippinie. Ale te myśli jeszcze potęgowały jego niepokój. Biedny Pippin, zamknięty w wielkim kamiennym mieście, samotny i przerażony. Merry żałował, że nie jest dużym jeźdźcem, jak Eomer, bo wówczas zadałby w róg, dałby przyjacielowi jakiś sygnał i galopem pomknąłby na jego ratunek. Usiał nasłuchując głosu bębnow, które teraz dudniły gdzieś bliżej. W tej samej chwili tuż obok niego odezwały się przyciszone głosy ludzkie i zamajaczyła na pół osłonięta latarka posuwająca się wśród drzew. Obozujący w pobliżu ludzie zaczęli krzątać się niepewnie po ciemku. Jakaś wysoka postać wychylna z mroku, potknęła się o leżącego hobbita, mruknęła coś o przeklętych korzeniach, o które człowiek nogi może połamać. Merry poznał głos Elfhelma, dowódcy szwadronu, z którym wędrował.

— Nie jestem korzeniem, poruczniku, ani workiem — powiedział — tylko posiniaczonym hobbitem. Należy mi się dla zadośćuczynienia przynajmniej informacja, co się właściwie święci.

— Nikt tego dokładnie nie wie w tych diabelskich ciemnościach — odparł oficer. — Dostałem jednak rozkaz, abyśmy byli w pogotowiu, bo w każdej chwili można się spodziewać wymarszu.

— Czy nieprzyjaciel się zbliża? — spytał zaalarmowany Merry. — Co to za bębny tak grają? Już myślałem, że mnie słuch łudzi, bo nikt prócz mnie na to bębnienie nie zwraca uwagi.

— Nie, nie — uspokoił go Elfhelm. — Nieprzyjaciel jest na drodze, nie wśród gór. Słyszysz bębny Wosów, Dzikich Leśnych Ludzi, oni w ten sposób porozumiewają się między sobą na odległość. Podobno zamieszkują jeszcze lasy Druadan. To już tylko szczątek prastarego plemienia, niewielu ich jest i żyją w ukryciu, dzicy i czujni — jak leśne zwierzęta. Nie biorą udziału w wojnach przeciw Gondorowi lub Marchii. Teraz zaniepokoiły ich ciemności i nadejście w te strony band orków; boją się powrotu Czarnych Lat, który wydaje się dość prawdopodobny. Dziękujmy losowi, że nie na nas polują, mają bowiem zatrute strzały, a jak chodzą słuchy, myśliwcy z nich są niezrównani. Ale ofiarowali swoje usługi Theodenowi. Właśnie w tej chwili ich przywódcę prowadzą na rozmowę z królem. O, tam idą ze światłami. Tyle wiem, nic ponadto. Zbierz się do kupy, mości worku. Teraz muszę się zająć wypełnieniem królewskich rozkazów.

Elfhelm zniknął w ciemności. Merry niezbyt był podniesiony na duchu opowiadaniem o zatrutych strzałach i Dzikich Ludziach, lecz niezależnie od tego nękał go szczególny niepokój. Oczekiwanie przewlekało się nieznośnie. Hobbit niecierpliwił się, bardzo chciał wreszcie wiedzieć, co najbliższa przyszłość mu gotuje. Wstał i markotnie powlókł się za światełkiem ostatniej latarki, zanim zniknęła

pośród drzew.

Wyszedł na polanę, gdzie pod wielkim drzewem ustawiono mały namiot króla. Z konara zwisała duża, nakryta od góry latarnia, rzucając na trawę krąg bladego światła. Tam siedział Theoden z Eomerem, przed nim zaś na ziemi przycupnął dziwny, krępy człowiek, obrośnięty jak stary głaz, z rzadką brodą zjeżoną niby suchy mech na masywnej szczęce. Nogi miał krótkie, ramiona grube, mięsiste i toporne, odziany zaś był jedynie w spódniczkę z traw okrywającą biodra. Merry miał wrażenie, że go już gdzieś w życiu widział, i nagle przypomniał sobie figurki Pukelów w Dunharrow. Oto miał teraz przed oczyma jakby ożywiony tamten posążek lub może istotę w prostej linii pochodzącą od tych, które posłużyły za wzór rzeźbiarzowi w zamierzchłej przeszłości. Gdy Merry przemyskał bliżej, panowało właśnie milczenie, po chwili jednak Dzikie Leśne Człowiek przemówił, jakby odpowiadając na zadane pytanie. Głos miał gruby i gardłowy, lecz ku zdumieniu hobbita posługiwał się Wspólną Mową, jakkolwiek trochę zająkliwe i mieszając od czasu do czasu jakieś barbarzyńskie wyrazy.

— Nie, ojcie jeźdźców — mówił. — Nie prowadzimy wojny. Polujemy tylko. Zabijamy w lesie gorguny, nienawidzimy orków. Wy także nienawidzicie gorgunów. Pomagamy, jak możemy. Dzicy Ludzie mają bystre oczy, czujne uszy; znają wszystkie ścieżki. Dzicy Ludzie byli tu wcześniej niż kamienne domy, zanim Duzi Ludzie przytynęli zza Wielkiej Wody.

— Nam trzeba pomocy w bitwie — odparł Eomer. — Jaką może nam dać twój lud?

— Możemy dostarczać wieści — powiedział Dzikie Człowiek. — Wypatrujemy ze szczytów gór. Wspinamy się wysoko i spoglądamy w doliny. Kamienne miasto jest otoczone. Dokoła niego ogień, a teraz widać już także płomienie w samym mieście. Chcecie tam dojechać? Musicie się spieszyć. Ale gorguny i ludzie stamtąd — machnął krótkim, sękatym ramieniem w stronę wschodu — obsadzili gościniec. Jest ich dużo, więcej niż waszych jeźdźców.

— Skąd to wiesz? — zapytał Eomer.

Ani płaska twarz starca, ani jego ciemne oczy nie zmieniły wyrazu, lecz w głosie zabrzmiała uraza:

— Dzicy Ludzie są dzicy i wolni, ale nie są dziećmi — odparł. — Ja wśród nich jestem wielkim naczelnikiem, nazywają mnie Ghan-buri-Ghan. Umiem liczyć różne rzeczy: gwiazdy na niebie, liście na drzewach i ludzi w ciemności. Was jest dziesięć i pięć razy po dwadzieścia dwudziestek. Tamtych dużo więcej. Wielka bitwa. Kto wygra? A wokół murów kamiennego miasta zebrało się też dużo wojska.

— Niestety, mądrze mówi ten człowiek — powiedział Theoden. — Zwiadowcy donieśli, że Nieprzyjaciół zrobił wykopy i palisady w poprzek drogi. Nie

będziemy mogli zaskoczyć przeciwników i zgnieść impetem natarcia.

— Mimo to trzeba się spieszyć — rzekł Eomer. — Mundburg płonie.

— Pozwólcie, żeby Ghan-buri-Ghan dokończył — odezwał się Dziki Człowiek. — On zna niejedną drogę. Poprowadzi was na taką, na której nie ma wilczych dołów, po której nie chodzą gorguny, a tylko Dzicy Ludzie i zwierzęta. Za czasów, gdy ludzie z kamiennych domów byli silniejsi, pobudowali dużo różnych ścieżek. Ćwiartowali skały tak, jak myśliwy ubitego zwierza. Dzicy Ludzie myślą, że się żywili kamieniami. Jeździli przez Druadan do Rimmonu wielkimi wozami. Teraz już nie jeżdżą. Zapomnieli o tej drodze, ale Dzicy Ludzie pamiętają o niej. Biegnie ona nad górą i za górą w trawie, pośród drzew, za Rimmonem w dół ku Din i zawraca znów do Szlaku Jeźdźców. Dzicy Ludzie pokażą wam tę drogę. Pozabijacie gorguny, rozpędzicie te brzydkie ciemności jasnymi mieczami, a Dzicy Ludzie będą mogli znowu spać spokojnie w dzikim lesie.

Eomer wymienił z królem kilka zdań w języku Rohanu. Wreszcie Theoden zwrócił się do Dzikiego Człowieka.

— Przyjmujemy twoją propozycję — powiedział. — Wprawdzie zostawimy w ten sposób za swoimi plecami poważne siły nieprzyjacielskie, ale to już nie ma znaczenia. Jeśli Kamienne Miasto upadnie, i tak nie będzie dla nas odwrotu. Jeśli zaś ocaleje, bandy orków znajdą się w potrzasku. Okaż się wiernym, Ghan-buri-Ghanie, a przyrzekam ci moją sowitą nagrodę i przyjaźń Marchii na wieki.

— Umarli nie mogą być przyjaciółmi żywych ani obdarzać ich podarkami — odrzekł Dziki Człowiek. — Lecz jeśli będziesz żywy po przeminięciu ciemności, zostaw Dzikich Ludzi w spokoju w lasach i nie poluj na nich jak na zwierzynę. Ghan-buri-Ghan nie zwabi cię w pułapkę. Sam pójdzie razem z Ojcem Jeźdźców, a gdyby prowadził źle, możesz go zabić.

— A więc umowa zawarta! — powiedział Theoden.

— Ile trzeba czasu, żeby wyminąć nieprzyjaciół i powrócić na szlak? — spytał Eomer. — Będziemy musieli jechać stępą, skoro będziesz szedł przed nami. A droga z pewnością jest wąska.

— Dzicy Ludzie chodzą szybko. Droga w Dolinie Kamiennych Wozów jest dość szeroka, by mogło nią jechać czterech konnych obok siebie — odparł Ghan i wskazał w stronę południa. — Ale na początku i na końcu bardzo wąska. Dzicy Ludzie, jeśli stąd wyjdą o świcie, są w Din o południu.

— Można więc spodziewać się, że czoło pochodu dojdzie w siedem godzin — rzekł Eomer. — Dla całego wojska trzeba jednak liczyć około dziesięciu godzin. Mogą też być jakieś nieprzewidziane przeszkody, a że kolumna będzie bardzo rozciągnięta, musimy mieć sporo czasu na sformowanie szyku, gdy wyjdziemy z gór. Która jest teraz godzina?

— Któż to zgadnie? — powiedział Theoden. — Teraz noc trwa całą dobę.

— Jest ciemno, ale już nie noc — stwierdził Ghan. — Kiedy słońce wschodzi, czujemy je, chociaż się ukrywa. Już się wznosi nad Wschodnie Góry. Wysoko na

niebie dzień się właśnie zaczyna.

— Skoro tak, trzeba ruszać nie zwlekając — rzekł Eomer. — Wątpię jednak, czy nawet przy największym pośpiechu zdążymy jeszcze dziś przyjść Gondorowi z pomocą.

Merry nie czekał dłużej, wymknął się i zaczął przygotowywać do wymarszu. A więc kończył się ostatni popas przed bitwą. Hobbit nie miał nadziei, by wielu z nich ją przeżyło, lecz myśl o Pippinie i o płonącym grodzie Minas Tirith tak go pochłaniała, że zapomniał o własnym strachu.

Wszystko tego dnia poszło gładko, nie widzieli też ani nie słyszeli nieprzyjaciół czyhających w zasadzce na drodze. Dzicy Ludzie rozstawili dla osłony doświadczonych myśliwców wzdłuż szlaku, którym miał ciągnąć oddział, aby żaden ork ani też inny szpieg nie zauważył ruchu w górach. Mrok gęstniał w miarę, jak przybliżał się do oblężonego miasta, jeźdźcy sunęli długą kolumną niby cienie ludzi i koni. Na czele każdego szwadronu szedł przewodnik, Leśny Człowiek, a stary Ghan trzymał się u boku króla. Z początku posuwali się wolniej, niż przewidywali, bo jeźdźcy musieli zsiąść z koni i prowadzić je za uzdy wyszukując przejść w gęstwinie na stoku wznoszącym się nad miejscem biwaku i potem schodząc w dół, ku ukrytej Dolinie Kamiennych Wozów. Późnym popołudniem czoło pochodu dotarło do szarych zarośli za wschodnim zboczem Amon Din, maskującym szeroką wyrwę w łańcuchu gór, które ciągnęły się z zachodu na wschód od Nardol do Din. Przez tę wyrwę zapomniana stara droga kołowa zbiegała ku niżej położonemu głównemu szlakowi dla konnych, łączącemu gród z prowincją Anorien; od wielu pokoleń ludzkich miejsce to było zaniedbane, wyrosły więc gęsto drzewa, potworzyły się zapadliska i wyboje, liście niezliczonych jesieni usłały grubą warstwą ziemię. Lecz właśnie ta gęstwina dawała jeźdźcom ostatnią szansę ukrycia się przed wystąpieniem do otwartej walki, dalej bowiem ciągnął się szlak konny i rozpościerała się równina Anduiny, a od wschodu i południa wznosiły się nagie skaliste stoki, gdyż tu góry skupiały się i piętrzyły bastion za bastionem ku rozłożystemu ramionom i potężnemu masywowi Mindolluiny.

Czoło pochodu zatrzymało się czekając, by wszystkie szwadrony nadeszły z głębi doliny i rozstawiły w porządku pod szarymi drzewami. Król wezwał dowódców na odprawę. Eomer rozesłał zwiadowców, żeby przepatrzyli szlak, ale stary Ghan kręcił na to głową.

— Nie ma po co wysyłać jeźdźców — rzekł. — Dzicy Ludzie już wypatrzyli wszystko, co można dostrzec w tej ciemności. Przyjdą tu wkrótce, żeby zdać mi sprawę.

Dowódcy zebrali się wokół króla, a w tym samym momencie spośród drzew wychynęło ostrożnie kilka stworów, tak podobnych do Ghana, że Merry'emu trudno je było od niego odróżnić. Zaszepotali coś do swego naczelnika w dziwnym,

chrapliwym języku. Ghan zwrócił się do króla:

— Dzicy Ludzie mówią wiele różnych rzeczy — powiedział. — Po pierwsze: bądźcie ostrożni! O niespełna godzinę marszu stąd w obozowisku za Dinem jest jeszcze dużo nieprzyjacielskich żołnierzy. — Wskazał w kierunku czarnego szczytu. — Ale nie ma nikogo pomiędzy nami a nowymi murami Kamiennych Ludzi; tam jest wielki ruch. Mury są obalone. Gorguny zabijają je za pomocą podziemnych piorunów i drągów z czarnego żelaza. Na nic nie zważają, nie oglądają się za siebie. Myślą, że ich przyjaciele dobrze pilnują wszystkich dróg!

To mówiąc stary Ghan wydawał z gardła dziwne bulgocące głosy, zapewne oznaczające śmiech.

— Dobra nowina! — zawołał Eomer. — Mimo mroków znowu nam świta nadzieja. Podstępny wroga na przekór jego zamiarom wyjdą nam na użytek. Nawet te przeklęte ciemności posłużyły nam za osłonę. A burząc w niszczycielskim zapale mury Gondoru orkowie usunęli przeszkodę, której się najbardziej obawiałem. Mogliby nas długo przetrzymać za zewnętrznymi murami. Teraz przedostaniemy się przez nie bez trudu... jeśli zdołamy się do nich przebić.

— Raz jeszcze dziękuję ci, Ghan-buri-Ghanie, dzielny człowieku z lasów — rzekł Theoden — za dobre wieści i przewodnictwo.

— Zabijcie gorgunów! Zabijcie orków! Niczym innym nie ucieszycie Dzikich Ludzi — odparł Ghan. — Rozpędźcie złą pogodę i ciemności jasnymi mieczami!

— Po to właśnie przybyliśmy tutaj z daleka — powiedział król — i spróbujemy tego dokonać. Czy nam się uda, jutro dopiero pokaże.

Ghan-buri-Ghan skulił się i swoim twardym czołem dotknął ziemi na znak pożegnania. Potem wstał i już miał ochotę się oddalić, gdy nagle zatrzymał się i podniósł głowę jak leśne zwierzę węsząc ze zdziwieniem jakiś osobliwy zapach. Oczy mu rozbłyły.

— Wiatr się zmienia! — krzyknął. Z tymi słowami Ghan i jego współplemieńcy zniknęli w okamgnieniu w cieniu drzew i żaden z jeźdźców Rohanu w życiu już ich nie spotkał. Wkrótce potem daleko na wschodzie znowu odezwało się nikłe dudnienie bębnow. Lecz w niczyjej głowie nie powstała myśl, że Dzicy Ludzie mogliby okazać się zdrajcami, chociaż tak dziwaczni i brzydacy z pozoru.

— teraz już nie potrzeba nam przewodników — rzekł Elfhelm — są bowiem między nami jeźdźcy, którzy nieraz za dni pokoju odbywali drogę do Mundburga. Na przykład ja sam. Gdy znajdziemy się na szlaku w miejscu, gdzie skręca on ku południowi, będziemy mieli jeszcze siedem staj do zewnętrznych murów podgrodzia. Po obu stronach drogi ciągną się bujne łąki. Na tym odcinku konni posłańcy Gondoru osiągają zwykle najlepsze tempo. My też możemy tam puścić się galopem nie czyniąc hałasu.

— Wówczas będziemy musieli najbardziej wystrzegać się zasadzek i być w pełni sił — powiedział Eomer. — Moim zdaniem powinniśmy tutaj odpocząć i ruszyć nocą obliczając tak, by rozpocząć bój na polach pod grodem z pierwszym

brzaskiem dnia, chociaż zapewne niewiele on da nam światła, lub też w każdej chwili na znak dany przez króla.

Król przychylił się do tej rady i dowódcy się rozeszli. Po chwili jednak Elfhelm wrócił.

— Zwiadowcy nic godnego uwagi nie spostrzegli poza granicą szarego lasu — oznajmił królowi — prócz dwóch trupów ludzkich i dwóch końskich.

— jak to sobie tłumaczyć? — spytał Eomer.

— Zabici to dwaj gońcy Gondoru, jednym z nich był zapewne Hirgon. Tak przypuszczam, bo w rękę ścisnął jeszcze Czerwoną Strzałę, ale głowę odrąbali mu zbóje. Można też wnosić z różnych oznak, że gońcy polegli uciekając na zachód. Myślę, że wracając po spełnieniu poselstwa zastali nieprzyjaciół już na zewnętrznym murze lub też nań właśnie nacierających; musiało to się dziać wieczorem dwa dni temu, jeśli użyli rozstawnych koni, jak to mają w zwyczaju. Niemożliwe, żeby dotarli do grodu i zawrócili stamtąd.

— A więc Denethor nie doczekał się wiadomości, że Rohan rusza mu z odsieczą — rzekł Theoden — i nie może pokrzepiać się nadzieją na pomoc z naszej strony.

— Dwakroć daje, kto w porę daje — powiedział Eomer — ale też lepiej późno niż nigdy. Kto wie, czy tym razem stare przysłowie nie okaże się bardziej niż kiedykolwiek prawdziwe.

Byla noc. Jeźdźcy Rohanu mknęli bezszelestnie w trawie po obu stronach drogi. Właśnie tu szlak, okrążając wysunięte podnóże Mindolluiny, skręcał na południe. W oddali, na wprost przed nimi, czerwona łuna świeciła pod czarnym niebem, a na jej tle rysowały się ciemne zbocza ogromnej góry. Zbliżali się do zewnętrznych murów opasujących Pelennor, ale dzień jeszcze nie świtał.

Król jechał w czołowym oddziale, otoczony przez straż przyboczną. Następnie ciągnął eored Elfhelma; Merry zauważył, że Dernhelm opuścił swoje miejsce w szeregach i pod osłoną ciemności wysuwa się stale ku przodowi, aż wreszcie wmieszał się pomiędzy straż królewskiego pocztu. W pewnej chwili czoło pochod zatrzymało się nagle. Merry usłyszał prowadzoną ścisłym głosem rozmowę. To wysłani naprzód zwiadowcy, którzy dotarli niemal pod same mury, powrócili z wiadomościami. Zdawali sprawę królowi.

— Widać wielkie pożary — mówił jeden. — Miasto całe zdaje się objęte płomieniami, a pola wokół roją się od nieprzyjacielskich wojsk. Wszystkie siły, jak można przypuszczać, ściągnęli do oblężenia. Przy zewnętrznych murach zostało niewielu żołnierzy, a ci, zajęci burzeniem, na nic poza tym nie zważają.

— Pamiętasz, miłośniwy panie, słowa Dzikiego Człowieka? — zapytał drugi goniec. — Ja w czasach pokojowych mieszkam na otwartej wyżynie, nazywam się Widfara i umiem z powietrza łowić wiadomości. Wiatr się zmienia. Tchnie-

nie ciągnie od południa, jest w nim zapach Morza, nikły, ale nieomylny. Ranek przyniesie zmiany. Ponad dymami zobaczymy świt, gdy przejdziemy za mury.

— Jeśli to prawda, bądź błogosławiony za taką nowinę do końca swoich dni, Widfaro! — odparł król. Odwrócił się do skupionych najbliżej ludzi z przybocznej straży i przemówił tak donośnie, że usłyszało go wielu jeźdźców z pierwszego eoredu: — Teraz bije nasza godzina, jeźdźcy Marchii, synowie Eorla! Przed wami Nieprzyjaciół, za wami daleko wasze rodzinne domy. Pamiętajcie, że chociaż walczyć będziecie na obcym polu, sława, którą się okryjecie, do was będzie należała na wieki. Złożyliście przysięgę, dzisiaj ją wypełnimy wszyscy, wierni swemu władcy, krajowi i sojuszowi przyjaźni.

Jeźdźcy uderzyli włóczniami o tarcze.

— Eomerze, synu mój! Ty poprowadzisz pierwszy eored — rzekł Theoden — który uderzy pod królewskim sztandarem pośrodku; Elfhelm zaraz po przebyciu muru powiedzie swoich na prawe skrzydło. Grimbald na lewe. Następne eoredy pójdą śladem trzech pierwszych, jak im się uda. Nacierajcie wszędzie, gdzie skupia się Nieprzyjaciół. Ścisłych planów teraz nie będziemy robić, nie wiedząc, co dzieje się na polach Pelennoru. Naprzód i nie lękajcie się ciemności.

Oddział czołowy ruszył, jak mógł najspieszniej, było bowiem wciąż bardzo ciemno, mimo przepowiedni Widfary. Merry siedział na koniu za Dernhelmem, jedną ręką trzymając się mocno siodła, drugą usiłując rozluźnić miecz w pochwie. Gorzko w tej chwili odczuwał prawdę królewskich słów: „W takiej bitwie, coś byś zdziałał, Meriadoku?” „Tylko tyle — myślał zrozpaczony hobbit — że przeszkadzam jeźdźcowi, a w najlepszym razie mogę mieć nadzieję, że utrzymam się na koniu i nie dam się stratować na miazgę pod kopytami w galopie”.

Nie więcej niż stają dzieliła ich od linii, na której dawniej ciągnęły się zewnętrzne mury. Toteż osiągnęli je prędko, aż za prędko jak na życzenie Meriadoka. Buchnął dziki wrzask, tu i ówdzie wywiązała się potyczka, ale trwało to wszystko bardzo krótko. Garstkę orków, zaprzątniętych swoją niszczycielską robotą i zaskoczonych zniemacka, rozniesiono i wybito niemal błyskawicznie. Nad gruzami północnej bramy murów Pelennoru król zatrzymał się przez chwilę. Pierwszy eored osłonił go od tyłu i otoczył z dwóch stron. Dernhelm nie dostępował króla, chociaż oddział Elfhelma skrzył w prawo. Jeźdźcy pod wodzą Grimbolda zawrócili w lewo i przeszli przez szeroki wyłom otwarty nieco dalej na wschód.

Merry wyrzwał spoza pleców Dernhelma. Daleko, o jakieś dziesięć mil stąd, widać było ogromny pożar, lecz między nim a królewskim wojskiem płonęły wszędzie linie ognia wygięte w kształt półksiężyca, a najbliższa znajdowała się

nie dalej niż o staję. Hobbit niewiele poza tym mógł dostrzec na ciemnej równinie i jak dotąd nie widział nadziei poranka ani też nie czuł powiewu wiatru, z tej czy innej strony.

W ciszy jeźdźcy Rohanu wtargnęli na pola Gondoru, sunąc naprzód z wolna, lecz wytrwale niby wezbrana fala przyływu, gdy raz przerwie tamy, które ludziom zdawały się niewyciężone. Umysł i wola Czarnego Wodza skupiły się wyłącznie na walce o gród; dotychczas nie dosięgło ich żadne ostrzeżenie o nie spodziance, która mogła pokrzyżować jego zamiary.

Po jakimś czasie król poprowadził swój oddział nieco ku wschodowi, aby się znaleźć między ogniem oblężenia a zewnętrznym polem. Wciąż jeszcze posuwali się bez zaczepki i Theoden nie dawał rozkazu natarcia. Wreszcie znów się zatrzymał. Gród był już bliżej. W powietrzu czuło się swąd spalenizny i przyczajony cień śmierci. Konie się niepokoiły. Król jednak siedział na swym wierzchowcu nieporuszony i patrzył na agonię Minas Tirith, jakby nagle poraził go zły urok zgrozy czy może lęku. Zdawało się, że zmalał, przytłoczony wiekiem. Merry też poddał się grozie i wątpieniu. Serce w jego piersi zwolniło tętno. Miał wrażenie, że czas zatrzymał się i zawahał. Przybyli za późno! Za późno to gorzej niż nigdy. Może Theoden zapłacze, skłoni sędziwą głowę, zawróci i wyśliźnie się, żeby szukać schronienia w górach.

Nagle Merry wyczuł zmianę, tym razem bez wątpliwości. Wiatr dmuchał mu prosto w twarz. Dzień się rozwidniał. Daleko, bardzo daleko na południu można było rozróżnić chmury, majaczące niewyraźnie odległe szare kształty, skłębione, podnoszące się ku górze; za nimi jaśniał poranek.

Lecz w tym momencie trysnęło światło, jakby błyskawica strzeliła z ziemi pod grodem. Przez krótką wstrząsającą chwilę miasto ukazało się w olśniewającym blasku, czarne i białe, z wieżą na szczycie niby roziskrzona iglica; potem zasłona ciemności zapadła z powrotem, a ciężki grzmot przetoczył się nad polami. Zgarbiona sylwetka króla wyprostowała się nagle. Zdawała się znów wysmukła i dumna. Theoden stanął w strzemionach i głosem jasnym, jakiego nigdy chyba żaden z obecnych nie słyszał dotąd z ust śmiertelnika, zakrzyknął:

Zbudźcie się, jeźdźcy Theodena!
Srogi was czeka bój, ogień i rzeź!
Niejedna włócznia wypadnie z rąk,
Niejedna pęknie tarcza,
Czerwonym błyskiem miecz
Rozjaśni dzień przed świtem.
Naprzód, naprzód, do Gondoru!

Chwycił z rąk chorążego Guthlafa wielki róg i zadał weń tak potężnie, że róg pękł na dwoje. Natychmiast wszystkie rogi podjęły muzykę i pieśń Rohanu rozległa się nad polami jak burza, echo zaś grzmotem odbiło ją wśród gór.

Naprzód, naprzód, do Gondoru!

Król krzyknął coś Śnieżnogrzywemu i koń skoczył naprzód. Za nim trzepotała na wietrze chorągiew, godło białego konia na zielonym polu, lecz król ją wyprzedził. Za nim mknęli rycerze przyboczni, lecz ich także wyprzedził król. Eomer spiał swego wierzchowca ostrogą, biały ogon koński na hełmie rozwał się w pędzie, cały pierwszy eored gnał w grzmocie podków jak spieniona fala z szumem atakująca brzeg, lecz króla nikt nie prześcignął. Zdawał się urzeczony, a może w jego żyłach zakipiała bojowa furia praojców, bo dawał się ponosić Śnieżnogrzywemu, a wyglądał jak dawny bóg, jak Orome Wielki walczący w wojnie Valarów w owych dalekich czasach, gdy świat był jeszcze młody. Odsłonięta złota tarcza błyszczała odbiciem słońca i trawa jaśniała świeżą zielenią pod białymi nogami królewskiego rumaka. Bo oto wstał ranek i wiatr dmuchnął od Morza. Ciemności rozpiechły się, jęk przebiegł przez zastępy Mordoru, zdjęci przerażeniem wojownicy Czarnego Wodza uciekali i ginęli pod kopytami rozjątrzonych bitwą koni. Z szeregów Rohanu buchnęła chóralna pieśń; śpiewali zadając śmierć, bo radość bitwy przepełniała ich serca, a piękny i groźny głos pieśni dosięgnął uszu obrońców oblężonego miasta.

ROZDZIAŁ VI

Bitwa na polach Pelennoru

Ale napaścią na Gondor nie kierował prostak, herszt orków, ani też zwykły zbójca. Ciemności ustąpiły za wcześnie, przed terminem, który im wyznaczył ich władca. Szczęście zawiodło go na chwilę, świat obrócił się przeciw niemu, zwycięstwo wymykało się w momencie, gdy go już niemal dosięgał ręką. Miał jednak długie ramię. Dowodził armią, rozporządzał wielką potęgą. Król Upiorów Pierścienia, Wódz Nazgulów władał niejedną bronią. Opuścił Bramę i zniknął.

Król Marchii Theoden dotarł do drogi, biegnącej spod Bramy ku Rzece, i zwrócił się w stronę miasta, odległego już tylko o niespełna milę. Wstrzymał nieco wierzchowca rozglądając się za nowym przeciwnikiem, a wtedy wreszcie dopędzili go jego rycerze; między nimi był też Dernhelm. Dalej na przodzie, a bliżej murów grodu, jeźdźcy Elfhelma szaleli wśród machin oblężniczych rąbiąc, siekąc, zapędzając nieprzyjacielskich żołdaków w ziejące ogniem rowy. Cała prawie północna połać Pelennoru była oczyszczona z wroga, obóz nieprzyjacielski płonął, orkowie uciekali ku Rzece jak zwierzyna ścigana przez myśliwców; wszędzie tam Rohirrimowie panowali nad polem bitwy. Lecz nie rozbili jeszcze oblężenia, nie zdobyli Bramy. Pod nią zostały znaczne siły przeciwnika, a na drugiej połowie pola zgromadziły się nie tknięte jeszcze, niezliczone zastępy Mordoru. Na południe od drogi skupił się trzon armii Haradrimów, ich konnica otaczała chorągiew dowódcy. Ten dostrzegł w jasnym już teraz świetle dziennym sztandar króla, powiewający w tej chwili z dala od głównego wiru walki pośród garstki jeźdźców. Wódz Haradrimów zapłonął wściekłym gniewem, krzyknął, rozwinął swoją chorągiew, Czarne Węże na krwawym szkarłacie, i runął do ataku na sztandar Białego Konia i zieleni, a za nim gnał tłum Haradrimów; wzniesione w górę krzywe ich szable migotały niby rój gwiazd.

Theoden zobaczył go, a nie chcąc czekać biernie na napaść, pomknął na spotkanie przeciwnika. Starli się ze straszliwym impetem. Lecz biała furia rycerzy północy rozgorzała goręcej, lepiej też znali wojenne rzemiosło, bieglej i bardziej zabójczo władali długimi włóczniami. Mniej ich było, lecz rąbali sobie drogę przez tłum Haradrimów niby przesiekę w lesie. W najgęstszym bitewnym wirze

przecisnął się Theoden, syn Thengla. Włócznia jego śmignęła w powietrzu godząc w nieprzyjacielskiego dowódcę. Błyskawicznie dobył miecza i jednym ciosem rozszczylił drzewce chorągwi wraz z ciałem chorążego; Czarny Wąż opadł na ziemię. Resztką rozgromionej konnicy Haradrimów umknęła w popłochu.

Lecz nagle w tym momencie tryumfu złota tarcza króla przygasła. Jasny poranek zniknął z nieba. Przesłonił go znowu mrok. Konie zarżały stając dęba. Ludzie spadali z siodła.

— Do mnie! Do mnie! — krzyknął Theoden. — Naprzód, dzieci Eorla! Nie lękajcie się ciemności!

Ale oszalały ze strachu Śnieżnogrzywy wspiął się na zadnie nogi, jakby walcząc z powietrzem, i z głośnym rżeniem zwał się na bok, przeszyty czarną strzałą. Król runął wraz z koniem, przygnieciony jego ciężarem.

Czarny cień zniżył się jak chmura oderwana od stropu nieba. Nie, to nie była chmura. Dziwna skrzydlata poczwara, jeśli ptak — to większy niż wszystkie znane ptaki świata i nagi, nie upierzony; skrzydła miał wielkie, z grubej błony rozpiętej między zrogowaciałymi palcami. Stwór, być może, z dawnego świata, z gatunku, który przetrwał w zakątku niezbadanych, zimnych gór pod księżycem dłużej niż jego epoka i w jakimś ohydny gnieździe na szczytach wyhodował to ostatnie zapóźniona potomstwo, zwyrodniałe i złowieszcze. Czarny Władca wziął je pod swoją opiekę, wykarmił ochłapami mięsa, aż potwór wyrósł ponad miarę wszelkich innych latających istot. Wtedy Czarny Władca podarował go swemu słudze jako wierzchowca. Skrzydlaty stwór spuścił się na ziemię, zwinął błoniaste skrzydła, wydał z siebie okropny chrapliwy wrzask i usiadł na ciele Śnieżnogrzywego wpijając w nie szpony i wyginając w dół długą, nagą szyję.

Dosiadał go jeździec w czarnym płaszczu, olbrzymi i groźny, w stalowej koronie, lecz między jej obręczą a zapięciem płaszcza ziała pustka, pośród której świeciły tylko morderczym blaskiem oczy. Wódz Nazgulów! Gdy rozwiały się ciemności, zniknął z pola, aby przywołał swego wierzchowca powrócić i znów szerzyć śmierć, zmienić nadzieję w rozpacz, zwycięstwo w pogrom. W rękę trzymał wielką czarną buławę.

Lecz Theoden nie był przez wszystkich opuszczony. Wprawdzie przybocznicy albo polegli przy nim, albo nie zdołali opanować oszalałych koni, które ponosiły ich dalej w pole, jeden wszakże pozostał przy królu: młody Dernhelm, nieustraszonej w swojej wierności, płakał nad leżącym starcem, którego snadź kochał jak ojca. Przez cały czas walki Merry siedząc za Dernhelmem nie doznał żadnego szwanku, dopóki nie nadciągnęły ponownie Ciemności, wtedy bowiem Windfola w panice stając dęba zrzucił obu jeźdźców i uciekł. Merry czołgał się teraz na czworakach jak oszołomiony zwierzak, oślepy i bezwładny ze zgrozy.

„Giermek królewski! Giermek królewski! — powtarzał sobie w duchu. — Mu-

sisz wytrwać przy królu. Sam powiedziałeś, że będziesz go czcił jak rodzzonego ojca”.

Lecz wola nie odpowiadała głosowi serca, a całe ciało dygotało ze strachu. Merry nie śmiał otworzyć oczu i spojrzeć. W pewnej chwili wydało mu się, że słyszy głos Dernhelma, lecz bardzo dziwny, podobny do głosu innej, spotkanej kiedyś osoby.

— Precz stąd, odmieńcze, wodzu sępów. Zostaw umarłych w spokoju.

Lodowaty głos odpowiedział:

— Nie wtrącaj się między Nazgula a jego łup. Ukarze cię gorzej niż śmiercią. Zabierze cię do kraju rozpacz, na dno ciemności, gdzie staniesz się bezcielesnym upiorem, gdzie Oko bez powiek przejrzy na wylot każdą twoją myśl.

Szczękniętą wyciągany z pochwy miecz.

— Możesz grozić, czym chcesz, ale ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci w spełnieniu groźby przeszkodzić.

— Przeszkodzić? Mnie? Głupcze! Żadnemu najwaleczniejszemu nawet mężowi świata nie uda się nigdy i w niczym mi przeszkodzić.

Wtedy Merry usłyszał coś, czego najmniej się w tej groźnej chwili spodziewał: śmiech. Dernhelm śmiał się, a jego czysty głos dźwięczał jak stal.

— Ale ja nie jestem żadnym z mężów tego świata! Masz przed sobą kobietę. Jestem Eowina, córka Eomunda. Bronisz mi dostępu do mojego króla i zarazem ukochanego wuja. Idź precz, chyba żeś pewny swej nieśmiertelności. Czymkolwiek bowiem jesteś, żywą istotą czy też chodzącym trupem, miecz mój spadnie na ciebie, jeżeli tkniesz króla.

Skrzydlaty potwór krzyknął, lecz Upiór Pierścienia nic nie odpowiedział, umilkł, jakby nagle ogarnęły go wątpliwości. Zdumienie i ciekawość pomogły hobbitowi przezwyciężyć na chwilę strach. Otworzył oczy, czarna zasłona lęku już mu nie przesłaniała widoku. O parę kroków przed nim siedziała olbrzymia poczwara, a nad nią niby cień rozpacz górował Wódz Nazgulów. Nieco w lewo, twarzą do nich zwrócona stała ta, którą Merry do niedawna nazywał Dernhelmem. Nie krył już jej twarzy hełm, jasne włosy uwolnione spływały na ramiona lśniąca bładym złotem. Szare jak morze oczy spoglądały surowo i gniewnie, a mimo to łzy spływały z nich na policzki. W ręku trzymała miecz, wzniesioną tarczą osłaniała się od okropnego spojrzenia wroga.

To była Eowina i Dernhelm zarazem, Merry bowiem w przebiegłym wspomnieniu ujrzał twarz, która zwróciła jego uwagę przy wyjeździe z Dunharrow, twarz młodego rycerza, ruszającego na spotkanie śmierci, bez nadziei w sercu. Wraz z podziwem ocknęła się w hobbitcie litość i właściwe temu plemieniu nieskore męstwo. Zacisnął pięści. Nie mógł pozwolić, by ta piękna, zrozpaczona księżniczka zginęła. Przynajmniej nie dopuści, by zginęła sama i bez obrony.

Twarz wroga była od niego odwrócona, pomimo to Merry nie śmiał poruszyć się, żeby nie ściągnąć na siebie morderczego spojrzenia tych okropnych oczu.

Z wolna zaczął czołgać się w trawie. Lecz Czarny Wódz, z wahaniem i złością wpatrzony w kobietę, która mu stawiała czoło, nie zważał na hobbita bardziej niż na robaka pełzającego w błocie.

Nagle ohydny smród wionął powietrzem; to skrzydlaty potwór zatrzepotał skrzydłami, poderwał się w górę i błyskawicznie rzucił się na Eowinę, z przeraźliwym wrzaskiem godząc w nią dziobem i szponami.

Eowina nie drgnęła nawet: księżniczka Rohirrimów, córka królów, smukła, lecz silna jak stal, piękna, lecz groźna. Zadała cios z rozmachem, potężny i celny. Miecz przeciął wyciągniętą szyję potwora, odrąbana głowa jak kamień spadła na ziemię. Eowina odskoczyła wstecz przed walącym się olbrzymim cielskiem, które z rozpostartymi skrzydłami runęło w trawę. W tym samy momencie rozwiął się cień. Światło zalało postać księżniczki, a jasne jej włosy rozbłysły w rannym słońcu.

Lecz znad ścierwa zabitego wierzchowca dźwignął się Czarny Jeździec, straszny, olbrzymi, górujący nad smukłą przeciwniczką. Z okrzykiem nabrzmiałym taką nienawiścią, że sam dźwięk jego głosu rozdzierał uszy i zatruchiwał serca, podniósł ciężką buławę i uderzył. Tarcza Eowiny rozsypała się w kawałki, strzaśkane ramię opadło bezsilnie. Księżniczka osunęła się na kolana. Upiór schylił się nad nią, przesłonił ją jak chmura; oczy pały mu ogniem. Znow podniósł buławę, tym razem, żeby dobić ofiarę.

Nagle zachwiał się z jękiem bólu, cios chybił, koniec buławy zarył w ziemi. To Merry, zaszedłszy z tyłu, śmignął mieczykiem i przebijając czarny płaszcz przeciął nie chronione kolczugą ścięgno pod kolanem.

— Eowino! Eowino! — krzyknął Merry.

Eowina dźwignęła się z trudem i ostatkiem sił rąbnęła mieczem między płaszcz a koronę, nad schylonymi ku niej potężnymi ramionami. Miecz syjąc skry rozpadł się w drzazgi. Korona z brzękiem potoczyła się po ziemi. Eowina padła twarzą naprzód na trupa przeciwnika. O dziwo! Płaszcz i kolczuga kryły pustkę. Leżały jak łachman w trawie, a w górze nad polem rozległ się krzyk, przechodzący w jęk coraz cichszy, oddalający się z wiatrem, w głos bezcielesny i wąły, który zamierał, ginął, by nigdy już więcej nie odezwać się nad światem.

Meriadok stał pośrodku zasłanego trupami pobojuwiska mrużąc oczy jak sowa w blasku dnia, bo łzy oślepiły go zupełnie. Przez mgłę widział piękną głowę Eowiny, znieruchomiałej, wyciągniętej w trawie, a tuż obok oblicze króla Theodena poległego w chwale. Śnieżnogrzywy w drgawkach agonii zsunął się z ciała swego pana, którego zabił mimo woli.

Merry schylił się i podniósł królewską rękę, żeby na niej złożyć pocałunek, wtedy jednak Theoden otworzył oczy; patrzyły przytomnie, a głos zabrzmiał spokojnie, chociaż słabo, gdy król przemówił:

— Żegnaj, zacny hobbicie. Moje ciało — zdruzgotane. Odchodzę do ojców. Lecz nawet w ich dostojnym towarzystwie nie będę się teraz musiał wstydzić.

Powaliłem czarnego węża. Po mrocznym ranku wstał dzień jasny i zaświeciło złote słońce.

Merry nie mógł mówić, płakał znów gorzko.

— Przebacz mi, królu — wyjąkał wreszcie — że złamałem twój zakaz, chociaż nie mogę ci oddać innych usług, prócz tych łez na pożegnanie.

Sędziwy król odpowiedział uśmiechem.

— Nie martw się, hobbitcie. Przebaczam ci nieposłuszeństwo. Szczerego serca nikt nie odtrąci. Obyś żył długo i szczęśliwie, a kiedy w czasach pokoju siądziesz ćmiąc fajkę przy kominku, wspomnij o mnie! Ja bowiem nie będę mógł już dotrzymać obietnicy i w Meduseld nauczyć się od ciebie sztuki fajkowego ziele. — Przymknął powieki, Merry zaś schylił się nad nim. Po chwili król odezwał się znowu: — Gdzie jest Eomer? Ciemność zasnuwa mi oczy, a chciałbym go ujrzyć jeszcze przed śmiercią. On ma być po mnie królem. Przekaż też słowa pożegnania Eowinie. Wzdrygała się rozstać ze mną. . . Teraz już nigdy nie zobaczę tej, którą kochałem bardziej niż rodzoną córkę.

— Królu, królu — zaczął urywanym głosem Merry. — Eowina. . .

Lecz w tym momencie rozległa się wrzawa, jakby dokoła wszystkie rogi i trąby zagrały naraz. Merry rozejrzał się po polu. Zapomniał o wojnie, o całym świecie; zdawało mu się, że od chwili gdy król ruszył do swego ostatniego boju, minęło wiele godzin, w rzeczywistości jednak cały dramat rozegrał się w ciągu kilku minut. Teraz hobbit zrozumiał, że grozi im niebezpieczeństwo, bo mogą znaleźć się w sercu bitwy, która rozgorzeje lada chwila z nową siłą.

Wróg rzucił do walki świeże pułki sprowadzone pospiesznie drogą znad Rzeki; spod murów grodu zbliżały się zastępy Morgulu, od południa ciągnęła piechota Haradu, poprzedzana przez konnicę, za nią zaś widać było z daleka ogromne grzbiety mumakilów, dźwigających wieże oblężnicze. Od północy natomiast biała kita na hełmie Eomera powiewała na czele Rohirrimów, sformowanych znów w szyku bojowym, a z grodu wyszli na pole wszyscy zdolni jeszcze do broni mężczyźni, którym przewodził Srebrny Łabędź Dol Amrothu i którzy zdołali odeprzeć napastników spod Bramy. Przez głowę hobbita przemknęła myśl: „Gdzie jest Gandalf? Czy nie ma go tutaj? On może umiałby ocalić króla i Eowinę”. W tym samym momencie nadjechał w galopie Eomer, a z nim garstka niedobitków świty, przybocznych rycerzy króla, którzy zdołali wreszcie opanować spłoszone wierzchowce. Patrzyli teraz zdumieni na cielsko ubitej poczwary; konie nie chciały podejść do niej bliżej. Eomer zeskoczył z siodła, a ból i żal odmalowały się na jego twarzy, gdy zobaczył króla i stanął w milczeniu nad jego bezwładnym ciałem.

Jeden z rycerzy wyjął królewską chorągiew z zaciśniętej dłoni poległego chorążego Guthlafa i podniósł ją w górę. Theoden z wolna otworzył oczy. Widząc wzniesione godło dał znak, by je oddano Eomerowi.

— Witaj, królu Marchii — powiedział. — Ruszaj teraz po zwycięstwo! Pożegnaj ode mnie Eowinę!

Z tym słowy skonał nie wiedząc, że Eowina leży tuż obok. Otaczający go ludzie płakali wołając: „Król Theoden! Nasz Król Theoden!” Wtedy przemówił do nich Eomer:

Nie wylewajcie próżnych łez. Odszedł mążny
I chlubną poległ śmiercią. Nad jego kurhanem
Niech zapłaczą kobiety. Nas dziś wzywa bój!

Lecz sam mówiąc to płakał.

— Niechaj giermkowie królewscy zostaną tutaj — rzekł — i wyniosą ze czcigzwałki króla z pola, które lada chwila ogarnąć może znowu bitwa. Są też inni polegli ze swity Theodena.

Spojrzał na leżące wkoło trupy, poznając i nazywając po imieniu towarzyszy broni. Nagle ujrzał swoją siostrę Eowinę leżącą opodal. Stanął bez tchu jak człowiek, który w pół krzyku oniemiał trafiony strzałą prosto w serce; śmiertelna bladeść powlekła jego oblicze, a gniew zmroził mu krew w żyłach tak, że długo nie mógł dobyć słowa z gardła. Jakby szał nim zawładnął.

— Eowino! Eowino! — krzyknął wreszcie. — Eowino, skąd się tutaj wzięłaś? Czy to obłąd, czy zły czar mam moje oczy? Śmierci, śmierci, śmierci! Śmierci, zabierz nas wszystkich!

I bez namysłu, nie czekając, aż zbliży się oddział wysłany z grodu, skoczył na konia, pognął sam przeciw całej nieprzyjacielskiej armii dmąc w róg i głośnym okrzykiem wzywając swoich do natarcia. Nad polem rozbrzmiał jego czysty donośny głos:

— Śmierci! Naprzód, po śmierć, po koniec świata!

Wojsko ruszyło za nim. Rohirrimowie już teraz nie śpiewali idąc do walki. Tylko złowieszczy okrzyk: „Śmierci!” towarzyszył tętentowi kopyt, gdy fala jeźdźców mijając poległego króla runęła na spotkanie nieprzyjaciół ku południowemu krańcowi pola.

A hobbit Meriadok wciąż jeszcze stał ślepy od łez na tym samym miejscu; nikt do niego nie odezwał się, nikt chyba nawet go nie zauważył. Otarł oczy, schylił się, żeby podnieść zieloną tarczę — dar Eowiny — i zarzucić ją sobie na plecy. Potem rozejrzał się za mieczykiem, który zgubił, w chwili bowiem gdy zadawał cios Czarnemu Wodzowi, ramię nagle mu ścierpło i odtąd mógł posługiwać się jedynie lewą ręką. Znalazł swój oręż, lecz ze zdumieniem ujrzał, że ostrze dymi niby sucha gałąź wyjęta z płomieni, patrzył na nie, jak gięło się i kurczyło, aż całe je strawił ogień.

Taki był koniec miecza wykutego ongi przez ludzi z Westnesse i znalezionego przez hobbita pod Kurhanem. Lecz dumny z jego losu byłby płatnerz, który

go przed wiekami wykuwał cierpliwie w Królestwie Północnym, gdy Dunedainowie byli młodym plemieniem, a najzawziętym ich wrogiem było straszliwe królestwo Angmar i jego król, Czarnoksiężnik. Żaden inny oręż, chociaż w mocniejszych rękach, nie zadał wrogowi równie dotkliwej rany, rozdzierając upiorne ciało, niszcząc zły urok, który niewidzialne ścięgna łączył ze źródłem woli.

Ryccerze z włóczni nakrytych płaszczami sporządzili naprędce nosze i dźwignęli króla niosąc go w stronę grodu, podczas gdy inni nieśli za nim ostrożnie Eowinę. Nie mogli jednak zabrać wszystkich poległych z królewskiej świty, siedmiu bowiem gwardzistów padło obok swego pana, a między nimi Deorwin, dowódca gwardii. Tych więc złożyli Rohirrimowie z dala od trupów nieprzyjacielskich i od zabitej skrzydlatej bestii i zatknęli wokół nich włócznie. Później wrócili na to miejsce i spalili ścierwo poczwary, dla Śnieżnogrzywego wszakże wykopali grób i naznaczyli go kamieniem, na którym w dwóch językach — Marchii i Gondoru — wyryto napis:

Śnieżnogrzywy, koń lotny i wiernego serca
Z wyroków losu pana własnego morderca.

Zielona i bujna trawa wyrosła na mogile Śnieżnogrzywego, lecz na zawsze czarna i jałowa pozostała ziemia w miejscu, gdzie spalono skrzydlatą bestię.

Powoli włókł się smutny Merry obok noszy, nie zważając wcale na toczącą się jeszcze bitwę. Był znużony, zbolały, drżał jak w febrze. Wiatr od Morza przyniósł rzęsy deszcz i zdawało się, że cały świat płacze po Theodenie i Eowinie, gasząc pożary w grodzie potokami szarych łez. Jak przez mgłę zobaczył hobbit zbliżające się pierwsze szeregi obrońców Gondoru. Imrahil, książę Dol Amrothu, zatrzymał konia na widok smutnego orszaku.

— Kogo niesiecie, przyjaciele z Rohanu? — zapytał.

— Króla Theodena — odpowiedzieli. — Król Theoden poległ. Ale król Eomer walczy, poznać go po białej kicie na hełmie.

Książę zsiadł z konia, ukląkł przy noszach, oddając hołd zmarłemu królowi i jego bohaterskiej śmierci, i zapłakał. Potem wstał, a widząc na drugich noszach Eowinę zdumiał się bardzo.

— Przecież to kobieta — rzekł. — Czy kobiety Rohirrimów także chwyciły za oręż w naszej obronie?

— Nie, tylko ta jedna — odpowiedzieli Rohirrimowie. — Księżniczka Eowina, siostra Eomera. Nie wiedzieliśmy, że była między nami, dopóki nie znaleźliśmy jej na pobojowisku, i opłakujemy ją gorzko.

Piękność jej twarzy, chociaż bladej i zimnej, wzruszyła księcia, pochylił się, by z bliska przyjrzeć się księżniczce, i dotknął jej ręki.

— Przyjaciele! — krzyknął. — Czy nie ma między wami lekarzy? Księżniczka jest ranna, może śmiertelnie, ale jeszcze żyje!

Zsunął z ramienia polerowany naramiennik i przytknął go do zimnych warg Eowiny; lekka, prawie niedostrzegalna mgiełka oddechu przyćmiła blask metalu.

— Nie ma chwili do stracenia — powiedział wyprawiając konnego gońca z powrotem do grodu z wieścią, że ranna potrzebuje pilnie pomocy. Sam jednak skłonił się raz jeszcze poległemu królowi i rannej księżniczce, pożegnał Rohirrimów, wskoczył na siodło i pomknął na czele swoich do bitwy.

Bitwa rozgorzała teraz wściekła na polach Pelennoru, szczęk oręża wzbijał się ku niebu wraz z krzykiem ludzi i rżeniem koni. Grały rogi i trąby, ryczały mumakile pędzone do boju. Pod południowym murem grodu piechota Gondoru natarła na skupione tu jeszcze znaczne siły Morgulu. Jeźdźcy wszakże pognali ku wschodniej stronie pola, na pomoc Eomerowi: Hurin Smukły, Strażnik Kluczy i ksiązę Lossarnach, Hirluin z Zielonych Wzgórz i piękny ksiązę Imrahil w otoczeniu swoich żołnierzy.

W samą porę zjawiała się ta pomoc dla Rohirrimów, szala bowiem przeważała na stronę Nieprzyjaciela, a zapal bojowy Eomera obrócił się przeciw niemu. Furia pierwszego natarcia zmiażdżyła pierwsze nieprzyjacielskie szeregi, jeźdźcy Rohanu szerokimi klinami wbili się w głąb tłumu południowców, zrzucając z siodła konnych, tratując pieszych. Tam wszakże, gdzie były mumakile, konie iść nie chciały, stawały dęba i uskakiwały na boki; olbrzymie zwierzęta, nie atakowane, górowały nad bitwą niby fortece, a Haradrimowie skupili się wokół nich. Jeśli od początku Rohirrimowie mieli przeciw sobie trzykrotną liczebną przewagę samych tylko Haradrimów, teraz stosunek sił jeszcze się pogorszył na ich niekorzyść, nowie bowiem zastępy wroga ściągały od strony Osgiliathu. Zebrano je na zapleczu, aby na ostatku rzucić na zdobyty gród, który miały splądrować i złupić; czekały tylko na rozkaz swego wodza. Wódz zginął, lecz teraz Gothmog, dowódca wojsk Morgulu, poprowadził ich w wir bitwy; szli za nim ludzie ze wschodu zbrojni w topory, Wariagowie z Khandu, południowcy w szkarłatnej odzieży i wojownicy z Dalekiego Haradu, podobni do trollów, błyskający białkami oczu i czerwienią języków w czarnych twarzach. Część tej armii okrążyła Rohirrimów od tyłu, część stanęła na wschodnim skrzydle, by powstrzymać oddziały Gondoru i nie dopuścić do ich połączenia z jeźdźcami Rohanu.

W tym samym momencie, gdy na polu zarysowała się tak groźna dla obrońców sytuacja i zwątpienie zakradło się znów do serc, krzyk rozległ się w grodzie, bo wtedy właśnie, późnym przedpołudniem, wiatr dmuchnął silniej, unosząc deszcz ku północy, słońce błysnęło i w jego blasku wartownicy murów dostrzegli

w oddali nowe niebezpieczeństwo, niweczące reszkę nadziei.

Anduina, zataczająca łuk od Haradu, widoczna była z miasta na dość znacznym odcinku swego biegu i bystre oczy dostrzegły płynące po niej statki. Wytężając wzrok strażnicy krzyknęli z rozpacz, bo na tle lśniącej wstęgi Rzeki ukazała im się sunąca z wiatrem groźna flotylla: galery wojenne pchane wielu parami wiosł i okręty o czarnych żaglach wydętych bryzą.

— Korsarze z Umbaru! — wołali ludzie. — Korsarze z Umbaru! Patrzcie! Korsarze z Umbaru przybywają. A więc Belfalas padł, Ethir i Lebennin w ręku wroga. Korsarze ciągną tutaj. To ostatni cios, jesteśmy zgubieni.

Ten i ów — bez rozkazu, bo w grodzie zabrakło dowódcy — biegł do dzwonów i uderzał na alarm; inni chwyciwszy trąby zagrali sygnał do odwrotu.

— Na mury! — krzyczeli. — Wracajcie na mury! Wracajcie do grodu, zanim was do szczytu rozgromią.

Ale paniczny krzyk rozwiewał się z wiatrem, który gnał ku miastu obce okręty.

Rohirrimom zresztą ostrzeżenie nie było potrzebne. Aż za dobrze sami widzieli czarne żagle. Eomer bowiem zapędził się tak, że dzieliła go od Harlondy niespełna mila, na której między nim a przystanią skupiły się nieprzyjacielskie siły odparte z przedpola miasta, podczas gdy inne zaroły się za plecami Rohirrimów odcinając ich od oddziału księcia Imrahila. Teraz Eomer spojrzał na Rzekę i nadzieja zgasła w jego sercu; przeklinał wiatr, dotychczas błogosławiony. Natomiast w żołdaków Mordoru nowy duch wstąpił i z furją, z tryumfalnym wrzaskiem natarli na jeźdźców. Eomer ochłonął już z oszołomienia, myślał trzeźwo i jasno. Kazał zadać w rogi i zwołać ludzi, by każdy, kto tylko zdoła, stanął przy sztandarze królewskim. Postanowił bowiem tutaj wzniesć z tarcz ostatni mur obronny i bić się, póki tchu w piersi, stoczyć walkę godną legendy i pieśni, chociażby nikt nie miał pozostać na tych ziemiach, kto by zachował pamięć o ostatnim królu Marchii. Wjechał na zielony pagórek, tu zatknął trzepoczący na wietrze sztandar z godłem Białego Konia.

Po zwątpieniach i mroku przedświt
Pieśnią i nagim mieczem powitałem słońce.
Walczyłem do kresu nadziei, w żałobie serca,
Noc zajdzie w krwawej łunie nad ostatnią klęską.

Ale ze śmiechem wygłaszał tę strofę pieśni. Znów bowiem porwał go zapal wojenny; oszczędziły go dotychczas miecze i dzidy, był młody i przewodził dzielnemu plemieniu. Wyzywając pieśnią niebezpieczeństwo spojrzał na czarne okręty i podniósł miecz. Nagle zobaczył coś, co zdumiało go i napełniło radością. Podrzucił miecz w blask słońca, chwycił zręcznie nie przerywając śpiewu. Wszystkie oczy zwróciły się w ślad za jego spojrzeniem. W tym momencie na głównym maszcie pierwszego statku, skręcającego właśnie ku przystani w Harlondzie, wiatr rozwiał flagę. Kwitło w niej Białe Drzewo Gondoru, lecz otaczało

je Siedem Gwiazd i w górze nad nim błyszczała korona — godło Elendila, królewskie godło, którego tu nikt nie widział od niepamiętnych lat. Gwizdy skrzyły się w słońcu, bo Arwena, córka Elronda, wyszyła ten sztandar drogimi kamieniami; korona z mithrilu i złota jaśniała w blasku dnia. Aragorn, syn Arathorna, Elesar, spadkobierca Isildura, przebył Ścieżkę Umarłych i teraz z wiatrem od Morza zbliżał się do Gondoru. Wesołość Rohirrimów wybuchnęła w śmiechu i szczęku oręża, a radość miasta rozśpiewała się fanfarami trąb i muzyką dzwonów. Ale żołdacy Mordoru zdjęci trwogą nie mogli pojąć, jaki czar sprawił, że na okrętach ich sprzymierzeńców zjawili się wrogowie, i drżąc zrozumieli, że los odwrócił się przeciw nim i że muszą zginąć.

Rycerze Dol Amrothu pędzili teraz przed sobą na wschód rozbite zastępy trolów, Wariagów i orków, którzy nie znoszą blasku słońca. Eomer ze swoimi jeźdźcami pomknął w stronę południa, a Nieprzyjaciół, znalazłszy się niejako między młotem a kowadłem, uciekał w popłochu. Bo już ze statków na nabrzeża Harlondy wysypywał się zbrojny oddział i jak burza parł na północ. W pierwszych szeregach biegli Legolas i Gimli z toporkiem w ręku, Dunedainowie, Strażnicy Północy, o krzepkich rękach, a za nimi dzielny lud z Lebennin i Lamedon i z innych lennych krajów południa. Prowadził ich wszystkich Aragorn, wznosząc w ręku Płomień Zachodu, Anduril, miecz ognisty, przekuty na nowo stary Narsil, nie mniej niż ongi groźny. Na czole Aragorna świeciła Gwiazda Elendila.

Tak się stało, że spotkali się wśród bitwy Eomer i Aragorn; wsparci na mieczach spojrzeli sobie w oczy z radością.

— A więc spotkaliśmy się znów, chociaż nas rozdzieliły wszystkie zastępy Mordoru — rzekł Aragorn. — Czyż nie obiecałem ci tego, wówczas, w Rogatym Grodzie?

— Tak! — odparł Eomer — ale nadzieja często zawodzi, nie wiedziałem, że umiesz przepowiadać przyszłość. Podwójnym błogosławieństwem jest pomoc, gdy zjawia się nieoczekiwana. Nigdy chyba dwaj przyjaciele nie radowali się tak bardzo ze spotkania! — Uścisnęli sobie ręce, po czym Eomer dodał: — Nigdy też chyba nie spotkali się tak bardzo w porę. Przybyłeś w ostatniej chwili. Ponieśliśmy ciężkie straty.

— A więc pomścimy je, zanim mi o nich opowiesz — odparł Aragorn i ramię przy ramieniu ruszyli obaj do bitwy.

Sroga jeszcze czekała ich walka i wiele trudów, południowcy bowiem byli plemieniem bitnym i dzielnym, a rozpacz dodawała im męstwa, wojownicy zaś z krain wschodu przeszli dobrą szkołę wojenną w Mordorze i żaden z nich nie myślał się poddawać. Wszędzie więc na rozległym polu, na zgłiszczach zagród i spichrzów, na pagórkach, pod murami skupiały się gromady nieprzyjaciół, gotowych walczyć do ostatka, i bitwa przeciągała się do wieczora.

Wreszcie słońce skryło się za Mindolluinę rozlewając na niebie ogromną łunę, tak że wzgórza i szczyty gór zarumieniły się krwawym odbłaskiem. Rzeka zdawała się płonąć, a trawa nabrała odcienia rudej czerwieni. Wraz z zachodem słońca skończyła się wielka bitwa pod Minas Tirith i ani jeden nieprzyjaciół nie został żywy w kręgu zewnętrznych murów Pelennoru. Wybito ich co do nogi, a ci, którzy zbiegli, mieli niemal wszyscy wyginąć z ran lub utonąć w spienionych nurtach Rzeki. Ledwie garstka niedobitków wróciła do Morgulu lub Mordoru, a do Haradu dotarła tylko legenda o strasznej zemście i potędze napadniętego Gondoru.

Aragorn, Eomer i Imrahil razem wracali ku Bramie grodu, tak zmęczeni, że niezdolni zarówno do radości, jak do smutku. Wszyscy trzej wyszli z bitwy nie draśnięci nawet, bo sprzyjało im szczęście, chroniła moc ramienia i niezawodny oręż; mało kto ośmielał się stawiać im czoło lub bodaj spojrzeć w twarz, rozognione gniewem. Lecz wielu innych rycerzy poległo na polu chwały albo odniosło ciężkie rany. Forlong walcząc samotnie po utracie konia padł od ciosów topora; Duilin z Morthondu i brat jego stratowani zostali na śmierć, gdy prowadzili do ataku na mumakile łuczników, którzy z bliska puszczały strzały w ślepie bestii. Nigdy nie miał wrócić do ojczystego Pinnath Gelin piękny Hirluin ani też Grimbald do swego domu w Grimslade, ani krzepki Strażnik Halbarad do swego rodzinnego kraju na dalekiej północy. Niemało poległo bojowników sławnych i bezimiennych, dowódców i żołnierzy. Była to wielka bitwa i nikt jeszcze nie opowiedział całej jej historii. W wiele lat później śpiewak z Rohanu tak mówił o tym w swej pieśni o wzgórzach Mundburga:

Słyszeliśmy o brzęcących rogach pośród wzgórz,
mieczach połyskujących w Królestwie Południa.
Rumaki popędziły jak poranny wiatr
do Stoninglandu. Rozgorzała wojna.
I zginął Theoden, potężny Thengling,
pan zbrojnych zastępów, do złotych pałaców,
zielonych łąk północy nie powrócił nigdy.
Harding i Guthlaf, Dundern i Deorwin,
dzielny Grimbald, Herefara, Herubrand i Horn,
i Fastred walczyli i polegli tam,
w kraju dalekim: w grobowcach Mundburga
spoczywają pospołu z panami Gondoru,
swymi sprzymierzeńcami. Szlachetny Hirluin
do nadmorskich wzgórz ani Forlong stary
do kwitnących dolin Arnachu już nigdy

nie powrócą w tryumfie; ani smukli łucznicy,
Derufin i Duilin, nie wrócą do czarnych
jezior Morthondu ukrytych wśród gór.
Śmierć rankiem i kiedy już kończył się dzień
panów brała i sługi. Od dawna już śpią
pod trawą Gondoru, gdzie brzeg Wielkiej Rzeki,
teraz szarej jak łązy, srebrem połyskliwej.
Wtedy były czerwone jej pienne wody:
krwią barwione gorzały w zachodzącym słońcu;
niby wici płonęły góry o wieczorze;
czerwień rosą spadała na Rammas Echor.

ROZDZIAŁ VII

Stos Denethora

Kiedy posępny cień cofnął się sprzed Bramy, Gandalf przez długą jeszcze chwilę trwał nieruchomo pośród dziedzińca. Pippin natomiast zerwał się błyskawicznie i wyprostował, jak gdyby ktoś zdjął nieznośne brzemie z jego ramion; stał nasłuchując grania rogów i radość rozpierała mu serce. Zawsze odtąd, nawet po latach, łzy napływały mu do oczu na dźwięk odzywającego się w oddali rogu. Teraz jednak przypomniał sobie nagle, z jaką wieścią spieszył do Gandalfa. Podbiegł więc do niego w momencie, gdy Czarodziej, który właśnie ocknął się z zadumy i szepnął coś Gryfowi nad uchem, zamierzał właśnie wyjechać poza Bramę.

— Gandalfie! Gandalfie! — krzyknął Pippin.

Gryf przystanął w miejscu.

— A ty co tutaj robisz? — spytał Gandalf. — O ile wiem, wedle praw grodu, tym, którzy noszą srebrno-czarne barwy, nie wolno opuszczać Cytadeli bez specjalnego pozwolenia.

— Denethor zwolnił mnie ze służby — odparł Pippin. — Odprawił mnie, Gandalfie, drżę z przerażenia. Tam, na górze, mogą się stać okropne rzeczy. Denethor popadł w obłęd, jak mi się wydaje. Boję się, że chce zabić nie tylko siebie, ale także Faramira. Czy nie mógłbyś temu przeszkodzić?

Gandalf patrzył przed siebie, w wylot otwartej Bramy. Z pola już dobiegał wzmożony zgiełk bitwy. Czarodziej zacisnął pięści.

— Muszę iść tam, gdzie toczy się bitwa — powiedział. — Czarny Jeździec krąży wolny po polu, może ściągnąć na nas zgubę. Nie mam teraz czasu na nic innego.

— Ale co będzie z Faramirem? — krzyknął Pippin. — On żyje! Denethor gotów go spalić żywcem, jeśli nikt go nie powstrzyma.

— Spalić żywcem? — powtórzył Gandalf. — O czym ty mówisz? Wy tłumacz mi, ale prędko!

— Denethor wszedł do grobowca i zabrał z sobą Faramira. Mówi, że i tak wszyscy spłonimy, więc nie chce dłużej na to czekać; kazał zbudować stos i zamierza na nim spłonąć razem z Faramirem. Posłał pachołków po drzewo i oliwę.

Ostrzegłem Beregonda, ale nie jestem pewny, czy on ośmieli się opuścić postunek, bo właśnie stoi u drzwi Wieży na warcie. Zresztą cóż Beregond może tu pomóc? — Pippin jednym tchem wyrecytował swoją opowieść, a na zakończenie wyciągnął błagalnie ramiona i drżącymi palcami dotknął kolan Gandalfa. — Czy nie możesz ocalić Faramira?

— Może bym mógł — odparł Gandalf — lecz jeśli nim się zajmę, obawiam się, że tymczasem poginą inni. No tak, pójdę z tobą, skoro Faramirowi nikt prócz mnie pomóc nie może. Ale wynikną z tego nieuchronnie rzeczy złe i smutne. Nieprzyjaciół swoim jadłem dosięga w samo serce grodu, jego to bowiem wola działa w tej okrutnej sprawie.

Skoro raz powziął decyzję, szybko ją w czyn zamienił. Podniósł Pippina z ziemi, wziął przed siebie na konia, jednym słowem dał Gryfowi znak, by zawrócić do grodu. Pięli się spieszenie stromymi ulicami Minas Tirith, których bruk dzwonił pod kopytami rumaka, a z pola dolatywał coraz głośniejszy zgiełk bitwy. Zewsząd biegli ludzie, zbudzeni z rozpaczy i drętwoty, chwytając za broń i nawołując jedni drugich:

— Rohan przybył z odsieczą!

Dowódcy wykrzykiwali rozkazy, oddziały ustawiały się w szyku i ciągnęły w dół ku Bramie. W drodze spotkał Gandalf księcia Imrahila, który go zagadnął:

— Dokąd spieszysz, Mithrandirze? Rohirrimowie walczą na polach Gondoru! Teraz trzeba skupić wszystkie nasze siły.

— Wiem, każde ręce teraz będą potrzebne — odparł Gandalf. — Toteż wrócę na pole, gdy tylko będę mógł. Ale teraz mam do Denethora sprawę, która nie cierpi zwłoki. Obejmij dowództwo w nieobecności Namiestnika.

Jechali dalej, a im byli bliżej Cytadeli, tym wyraźniej czuli na twarzach powiew wiatru i dostrzegali blask poranka na rozjaśniającym się u wschodu niebie. Niewiele jednak dodawało im to nadziei, nie wiedzieli bowiem, co zastaną na górze i czy nie zjawia się na ratunek poniewczasie.

— Ciemności przemijają — powiedział Gandalf — ale nad miastem jeszcze ciąży mrok.

U drzwi Cytadeli nie było warty.

— A więc Beregond poszedł do Denethora — stwierdził trochę pocieszony Pippin.

Skręcili spod Wieży i pospieszyli drogą ku Zamkniętej Furcie. Stała otworem, odźwierny leżał przed jej progiem zabity; nie miał klucza w ręku.

— To także robota Nieprzyjaciela — rzekł Gandalf. — Nic go tak nie cieszy, jak bratobójcza walka, niezgoda posiana między wierne serca, które nie mogą rozeznąć drogi obowiązku. — Zsiadł z konia, polecił Gryfowi wrócić do stajni. — Powinniśmy obaj, przyjacielu, od dawna być na polu bitwy — rzekł do niego — lecz wstrzymują mnie inne sprawy. Przybiegnij szybko, gdy cię zawołam!

Przeszli Furtę i zbiegli krętą ścieżką w dół. Rozwidniło się, smukłe kolumny i rzeźbione posągi po obu stronach zdawały się sunąć obok niech jak szare zjawy.

Nagle ciszę zakłóciły krzyki i szczęk broni, dochodzące z dołu — zgiełk, jakiego nigdy od dnia zbudowania grodu nie słyszało to uświęcone miejsce. Wreszcie znaleźli się na ulicy Milczenia, przed Domem Namiestników majaczącym w półmroku pod ogromną kopułą.

— Wstrzymajcie się! — krzyknął Gandalf. — Wstrzymajcie się, szaleńcy!

Albowiem w progu pachołkowie Denethora z mieczami i żagwiami w rękach nacierali na Beregonda, który sam jeden w swoich srebrno-czarnych barwach gwardii stał na najwyższym stopniu schodów pod sklepionym gankiem i broił przystępu do drzwi. Dwóch ludzi już padło od jego miecza, plamiąc krwią świętość grobowca, inni miotali przekleństwa, nazywając Beregonda wyrzutkiem i zdrajcą, zbuntowanym przeciw własnemu panu.

Podbiegając Gandalf i Pippin usłyszeli z wnętrza Domu Umarłych głos Denethora nawołujący do pośpiechu:

— Prędziej! Prędziej! Róbcie, co wam rozkazałem. Zabijcie tego zdrajcę albo też sam go ukarzę.

Drzwi, które Beregond usiłował podeprzeć lewą ręką, otworzyły się nagle i w progu ukazał się Władca grodu, wspaniały i groźny. Oczy skrzyły mu się gorączkowo, obnażony miecz wznosił się do ciosu.

Lecz Gandalf jednym susem znalazł się na schodach. Słudzy rozstąpili się przed nim osłaniając oczy, bo Czarodziej wdarł się między nich jak lśnienie białej błyskawicy w ciemności, cały rozplomieniony gniewem. Podniósł ramię i w tym samym okamgnieniu miecz zawahał się w ręku Denethora, wysunął się z bezsilnej dłoni starca i padł na posadzkę mrocznej sieni. Denethor jakby oślepiiony cofnął się przed Gandalfem.

— Co tu się dzieje, Denethorze? — spytał Czarodziej. — Dom Umarłych nie jest miejscem dla żywych. Dlaczego twoi słudzy biją się pośród grobów, gdy pod Bramą grodu toczy się rozstrzygająca walka? Czyżby Nieprzyjaciel dotarł aż tu, na ulicę Milczenia?

— Odkąd to Władca Gondoru obowiązany jest zdawać ci sprawę ze swoich zarządzeń? — spytał Denethor. — Czy już nie wolno mi rozkazywać własnym pachołkom?

— Wolno ci, Denethorze — odparł Gandalf — ale wolno też ludziom przeciwstawić się twoim rozkazom, jeśli są szaleńcze i złe. Gdzie jest twój syn, Faramir?

— Tu, we wnętrzu Domu Namiestników — powiedział Denethor. — Płonie, już płonie! Już podłożyli ogień pod jego ciało. Wkrótce spłoniemy wszyscy. Zachód ginie. Chcę odejść stąd w wielkim ognistym całopaleniu, niech wszystko skończy się w ogniu, w popiele, w słupie dymu, który odleci z wiatrem.

Gandalf widząc, że Władcę szal opętał, zląkł się, czy starzec nie wprowadził już w czyn swoich okrutnych zamiarów, rzucił się więc naprzód, a za nim pobie-

gli Pippin i Beregon. Denethor cofnął się tymczasem i stanął przy marmurowym stole w wielkiej sali. Faramir leżał tam, pogrążony w gorączkowym śnie, lecz żywy jeszcze. Pod jego pościelą i dokoła niego piętrzył się stos z suchego drewna oblanego oliwą, którą przesycona była także odzież Faramira i okrywająca go płachta. Stos był gotów, ale nie zapalono go jeszcze. W tym momencie Gandalf okazał siłę, która w nim tkwiła, podobnie jak blask czarodziejskiej mocy, ukryta pod szarym płaszczem. Skoczył na spiętrzone kłody, chwycił rannego na ręce, zeskoczył na podłogę i pędem puścił się wraz ze swym cennym brzemieniem do wyjścia. Faramir jęknął i przez sen wymienił imię swego ojca.

Denethor jakby się nagle ocknął z osłupienia; oczy mu przygasły, spłynęły z nich łzy.

— Nie odbierajcie mi syna! On mnie woła! — powiedział.

— Tak — odparł Gandalf. — Syn cię woła, lecz jeszcze nie możesz się do niego zbliżyć. Faramir stoi na progu śmierci, ale, być może, nie przekroczy go, może uda się go uzdrowić. Ty zaś powinienes teraz być na polu bitwy pod Bramą twojego grodu, gdzie może czeka cię śmierć. Sam o tym wiesz w głębi serca.

— Faramir już się nie obudzi — odparł Denethor — a walka jest daremna. Dlaczego miałbym pragnąć przedłużenia życia? Dlaczego nie mielibyśmy umrzeć razem?

— Ani tobie, ani żadnemu władcy na ziemi nie przysługuj prawo wyznaczenia godziny własnej śmierci — rzekł Gandalf. — Tylko pogańscy królowie w czasach Ciemności sami sobie zadawali śmierć, zaślepieni pychą i rozpaczą, zabijając też swoich najbliższych, aby lżej im było rozstać się z tym światem.

Wyniósł Faramira z Domu Umarłych, złożył go na tym samym łóżu, na którym go tu przyniesiono, a które stało w sieni. Denethor szedł za Czarodziejem, zatrzymał się jednak w progu i drżąc wpatrywał się z wyrazem tęsknoty w twarz syna. Wszyscy umilkli i znieruchomieli w obliczu widocznej udręki starca, który stał długą chwilę niezdecydowany.

— Pójdź z nami, Denethorze — powiedział wreszcie Gandalf. — Obaj jesteśmy w grodzie potrzebni. Możesz jeszcze wiele dokonać.

Nagle Denethor wybuchnął śmiechem. Wyprostował się znów dumnie, szybko wbiegł do sali i chwycił ze stołu poduszkę, na której przedtem opierał głowę. Wracając do drzwi odłonił powłóczkę: był pod nią ukryty palantir! Starzec podniósł go w górę i świadkom tej sceny wydało się, że kryształowa kula w ich oczach rozżarza się wewnętrznym płomieniem, rzucając czerwony odbłask na wychudłą twarz Namiestnika, na rysy jakby wyrzeźbione w kamieniu, ostro podkreślone cieniami, szlachetne, dumne i groźne. Oczy mu znów się roziskrzyły.

— Pycha i rozpacz! — krzyknął. — Czy myślisz, że na Białej Wieży oczy były ślepe? Nie, widziały więcej, niż ty z całą swoją mądrością dostrzegasz, Szary Głupcze! Twoja nadzieja polega na niewiedzy. Idź, próbuj uzdrawiać umarłych. Idź i walcz! Wszystko daremne! Na krótko, na jeden dzień może zatryumfujesz

na polu bitwy. Ale przeciw potędze, która rozrosła się w Czarnej Wieży, nic nie wskórasz. Tylko jeden palec tej potęgi sięgnął po nasz gród. Cały wschód rusza na podbój. Ten wiatr, który złudził cię nadzieją, pędzi po Anduinie flotę czarnych żagli. Zachód ginie. Pora, by wszyscy, którzy nie chcą być niewolnikami, odeszli ze świata.

— Gdybyśmy słuchali takich rad, rzeczywiście oddalibyśmy zwycięstwo Nieprzyjacielowi — powiedział Gandalf.

— A więc łudź się dalej nadzieją! — zaśmiał się Denethor. — Czyż nie znam cię, Mithrandirze? Masz nadzieję, że obejmiesz po mnie władzę, że staniesz za tronami wszystkich władców północy, południa i zachodu. Czytam w twoich myślach, przeniknąłem twoje plany. Wiem, żeś temu niziołkowi kazał przemilczeć prawdę. Żeś go wprowadził do mnie jako swojego szpiega. Mimo to z rozmów z nim dowiedziałem się imion i zamiarów wszystkich twoich sojuszników. Tak! Jedną ręką chciałeś mnie pchnąć przeciw Mordorowi, bym ci posłużył za tarczę, drugą zaś ściągałeś tutaj owego Strażnika Północy, aby zajął moje miejsce. Ale powiadam ci, Gandalfie Mithrandirze, nie będę w twoim ręku narzędziem! Jestem Namiestnikiem rodu Anariona. Nie dam się poniżyć do roli zgrzybiałego szambelana na dworze byle przybłądy. Nawet gdyby udowodnił swoje prawa, jest tylko dalekim potomkiem Isildura. Nie skłonie głowy przed ostatnim z rodu od dawna wyzutego z władzy i godności.

— Jakże byś więc chciał ułożyć sprawę, Denethorze, gdybyś mógł przeprowadzić swoją wolę? — zapytał Gandalf.

— Chciałbym, aby wszystko pozostało tak, jak było za dni mego życia aż po dziś — odparł Denethor — i za dni moich pradziadów; chciałbym w pokoju władać grodem i przekazać rządy synowi, który by miał własną wolę, a nie ulegał podszeptom czarodzieja. Jeśli tego mi los odmawia, niech raczej wszystko przepadnie, nie chcę życia poniżonego, miłości podzielonej, czci uszczuplonej.

— W moim przeświadczeniu Namiestnik, który wiernie zwraca władzę prawowitemu królowi, nie traci miłości ani czci — rzekł Gandalf. — W każdym zaś razie nie powinienes swego syna pozbawiać prawa wyboru, gdy jeszcze nie zgasła nadzieja, że może uniknąć śmierci.

Ale na te słowa płomień gniewu znów się rozjarzył w oczach Denethora; wsunąwszy sobie kryształ pod ramię, starzec dobył sztyletu i podszedł do noszy. Beregon jednak uprzedził go błyskawicznym skokiem i zasłonił Faramira własnym ciałem.

— A więc to tak! — krzyknął Denethor. — Już mi ukradłeś połowę synowskiego serca. Teraz okradasz mnie także z miłości moich sług, aby ci pomogli obrabować mnie nawet ze szczątków mego syna. W jednym przynajmniej nie zdołasz mi przeszkodzić, umrę tak, jak postanowiłem. Do mnie! — zawołał na usługi. — Do mnie! Czy sami tylko zaprzańcy zostali między wami?

Dwóch pachołków wbiegło po schodach na rozkaz swego Władcy. Denethor

wyrwał jednemu z nich żagiew i uskoczył w głąb domu. Nim Gandalf zdążył go powstrzymać, cisnął płonąca żagiew na stos, który natychmiast gwałtownie zajął się ogniem.

Denethor wskoczył na stół; stojąc tak w ognistym wieńcu podniósł swoje namiestnikowskie berło i złamał je na kolanie. Rzucił je w ogień, a sam położył się na stole, oburącz przyciskając palantir do piersi. Wieść głosi, że odtąd ktokolwiek spojrział w kryształ, jeśli nie miał dość potężnej woli, by go do swoich celów nakłonić, widział w nim tylko dwie starcze dłonie trawione żarem płomieni.

Gandalf w bólu i zgrozie odwrócił twarz i zamknął drzwi. Chwilę stał zamyślony i milczący w progu; z wnętrza grobowego domu słychać było szum rozszałego ognia. Potem Denethor krzyknął wielkim głosem jeden jedyny raz i umilkł na zawsze. Nikt ze śmiertelnych nie ujrzał go już nigdy.

— Tak zginął Denethor, syn Ektheliona — rzekł Gandalf. Zwrócił się do Beregonda i do pachołków, osłupiałych z przerażenia. — I z nim razem skończyły się dni Gondoru, takiego, jaki znaliście całe swoje życie. Wszystko bowiem, dobre czy złe, kiedyś się kończy. Byliśmy tu świadkami wielu niecných czynów, ale wyzbądźcie się wrogich uczuć, które was dzielą, bo wszystko to stało się za sprawą Nieprzyjaciela i on to posłużył się wami do własnych celów. Wpadliście w sieci sprzecznych obowiązków, lecz nie wasze ręce tę sieć usnuły. Pamiętajcie, wierni słudzy Denethora, ślepi w swym posłuszeństwie, że gdyby nie zdrada Beregonda — Faramir, dowódca straży Białej Wieży, już byłby tylko garstką popiołu. Zabierzcie z tego nieszczęsnego miejsca ciała waszych zabitych towarzyszy. My zaś poniesiemy Faramira, Namiestnika Gondoru, tam, gdzie będzie mógł spać spokojnie lub umrzeć, jeśli tak los każe.

Gandalf i Beregond dźwignęli nosze i ruszyli w stronę Domów Uzdrawień. Pippin szedł za nimi z głową zwieszoną na piersi. Ale pachołkowie Denethora jakby w ziemię wrosli zapatrzeni w Dom Umarłych; Gandalf był już u wylotu ulicy Milczenia, gdy rozległ się głośny łoskot. Oglądając się za siebie zobaczyli, że kopuła Domu Namiestników pękła i kłęby dymu wydobywają się z niej ku niebu; zapadała się ze straszliwym rumorem walących się kamieni, lecz na gruzach wciąż jeszcze pełgały żywe płomienie. Dopiero wtedy pachołkowie zdjęci strachem uciekli w ślad za Czarodziejem ku furcie.

Kiedy przed nią stanęli, Beregond z gorzkim żalem spojrział na martwego odźwiernego.

— Ten swój uczynek będę opłakiwał do śmierci — powiedział — ale szał mnie ogarnął, czas nagił, on zaś nie chciał słuchać moich błagań i wyciągnął miecz. — Kluczem, wyrwanym przedtem z rąk wartownika, zamknął furkę. — Teraz klucz ten należeć będzie do Faramira — powiedział.

— Pod nieobecność Namiestnika władzę pełni tymczasem książę Dol Am-

rothu — rzekł Gandalf. — Skoro go nie ma tutaj, pozwolę sobie rozstrzygnąć tę sprawę. Proszę cię, Beregondzie, zachowaj ten klucz i strzeż go, dopóki w mieście nie zapanuje na nowo porządek.

Wreszcie znaleźli się w górnych kręgach grodu i w blasku dnia szli dalej ku Domom Uzdrawień; były to piękne domy przeznaczone w czasach pokoju dla ciężko chorych, teraz jednak przygotowane dla rannych z pola bitwy. Stały w pobliżu Bramy Cytadeli, w szóstym kręgu, opodal południowego muru, otoczone ogrodem i łąką usianą drzewami, w jedynym zielonym zakątku grodu. Krzątało się tu kilka kobiet, którym pozwolono zostać w Minas Tirith, ponieważ byli biegli w sztuce leczniczej i wyćwiczone w posługach dla chorych.

Gandalf ze swymi towarzyszami właśnie wchodził przez główne wejście do ogrodu, gdy z pola pod Bramą wzbił się przeraźliwy głośny krzyk, przemknął z wiatrem nad ich głowami i zamarł w oddali. Głos brzmiał tak okropnie, że na chwilę stanęli oszołomieni, lecz gdy przeminał, wstąpiła nagle w ich serca otucha, jakiej nie było w nich od dnia, kiedy ciemności nadciągnęły od wschodu. Wydawało im się, że dzień rozwidnił się nagle i że słońce przebiło się spoza chmur.

Lecz twarz Gandalfa zachował wyraz powagi i smutku: Czarodziej polecił Beregondowi i Pippinowi wnieść Faramira do Domu Uzdrawień, sam zaś wybiegł na najbliższy mur. Stał tam jak biały posąg i w świeżym blasku słonecznym wyjrzał na pole. Objął wzrokiem wszystko, co się tam rozgrywało, i dostrzegł Eomera, który jadąc do walki zatrzymał się przy poległych i rannych. Gandalf z westchnieniem owinął się znów szarym płaszczem i zbiegł z muru. Beregon i Pippin wychodząc z Domu Uzdrawień zastali go zadumanego przy wejściu. Patrzyli nań pytająco, lecz Czarodziej długą chwilę milczał. Wreszcie przemówił:

— Przyjaciele moi i wy wszyscy, obywatele tego grodu i mieszkańcy zachodnich krajów! Zdarzyło się dziś wiele rzeczy bolesnych i wiele chlubnych. Czy powinniśmy płakać, czy też się radować? Stało się coś, czego w najśmielszych nadziejach nie mogliśmy się spodziewać, zginął bowiem Wódz wrogiej armii; słyszeliśmy echo jego ostatniego rozpaczliwego krzyku. Lecz tryumf ten przypłacony został ciężką żałobą i wielką stratą. Mogłem jej zapobiec, gdyby nie szaleństwo Denethora. Aż tak daleko w głąb naszego obozu sięgnęła władza Nieprzyjaciela! Dziś dopiero zrozumiałem w pełni, jakim sposobem zdołał swoją wolę narzucić tu, w samym sercu grodu. Namiestnicy przypuszczali, że nikt nie zna ich sekretu, ja jednak od dawna wiedziałem, że w Białej Wieży, podobnie jak w Orthanku, przechował się jeden z Siedmiu Kryształów. Za dni swej mądrości Denethor nie ważył się nim posługiwać ani wyzywać Saurona, zdając sobie sprawę z granicy własnych sił. Lecz rozum starca osłabł. Gdy niebezpieczeństwo zagroziło bezpośrednio jego królestwu, spojrzął w kryształ i dał się oszukać; po wyprawieniu Boromira na północ robił to zapewne coraz częściej. Był zbyt wielkoduszny, aby

się poddać woli Władcy Ciemności, lecz widział w kryształach tylko to, co tamten mu dojrzeć pozwolił. Zdobywał dzięki temu bez wątpienia wiadomości nieraz pożyteczne, jednakże wizje ogromnej potęgi Mordoru, które mu wciąż podsuwano, rozjątrzyły w jego sercu rozpacz, aż w końcu zaćmiły jego umysł.

— Teraz wyjaśnia się zagadka, nad którą się głowiłem — powiedział Pippin, drżąc na samo wspomnienie przeżytych okropności. — Denethor wyszedł na czas pewien z komnaty, w której leżał Faramir, i dopiero po powrocie wydał mi się odmieniony, zgrzybiały i złamany.

— Wkrótce potem jak wniesiono Faramira do Wieży, ludzie zauważyli dziwne światło w najwyższym jej oknie — odezwał się Beregond. — Widywaliśmy co prawda takie światła nieraz i od dawna w grodzie krążyły pogłoski, że Namiestnik zмага się myślą z Nieprzyjacielem.

— Niestety, były to trafne przypuszczenia — rzekł Gandalf. — Tą drogą wola Saurona wdarła się do Minas Tirith. Dlatego też ja zamiast być w polu, tu musiałem pozostać. I teraz jeszcze odejść stąd nie mogę, bo wkrótce oprócz Faramira będę miał innych rannych i chorych pod opieką. Pójdę na ich spotkanie. Zobaczyłem z murów widok bardzo dla mego serca bolesny, kto wie, czy nie czekają nas dotkliwsze jeszcze troski. Chodź ze mną, Pippinie. A ty, Beregondzie, powinieś wrócić do Cytadeli i zdać dowódcy sprawę z wszystkiego, co zaszło. Obawiam się, że uzna za swój obowiązek wykluczyć cię z gwardii. Powiedz mu jednak, że — jeśli zechce się liczyć z moim zdaniem — radzę mu odesłać cię do Domów Uzdrawień, abyś służył tam swojemu choremu Władcy i znalazł się przy nim, gdy ocknie się ze snu — jeśli w ogóle kiedyś się ocknie. Tobie bowiem zawdzięcza, że nie spłonął żywcem. Idź, Beregondzie. Co do mnie, powrócę tu niebawem.

Z tym słowy ruszył ku niższym kręgom grodu w towarzystwie Pippina. Szli przez miasto, gdy zaczął padać rzęsy deszcz gasząc wszystkie pożary, tak że tylko ogromne kłęby dymu wzbijały się wszędzie przed nimi wśród ulic.

ROZDZIAŁ VIII

Domy Uzdrowień

Zmęczenie i łzy przesłaniały mgłą oczy Meriadoka, kiedy się zbliżał do zburzonej Bramy Minas Tirith. Hobbit prawie nie widział ruin i trupów zalegających pole. Powietrze gęste było od ognia, dymu i zaduchu, wiele bowiem machin wojennych spłonęło lub zawaliło się w huczące płomieniami rowy, gdzie spadł też niejeden trup ludzki lub zwierzęcy. Tu i ówdzie leżały ogromne martwe cielska południowych mumakilów na pół zwęglone albo zmiażdżone kamiennymi pociskami, z oczyma wyklutymi przez celne strzały łuczników z Morthondu; wszędzie w dolnych dzielnicach grodu cuchnęło spalenizną.

Ludzie już krzżeli się na przedpolach oczyszczając drogę przez pobojuwisko, a z Bramy wyniesiono nosze. Złożono Eowinę ostrożnie na miękkich poduszkach, zwłoki zaś króla okryto wspianiałym złocistym całunem; otoczyli je Rohirrimowie z zapalonymi pochodniami w rękę i blade w słonecznym blasku płomyki chwiały się na wietrze.

Tak wkroczyli do grodu król Theoden i Eowina, a każdy na ich widok odkrywał głowę i schylał ją ze czcią. Niesiono ich wśród pogorzelsk i dymów spalonego kręgu przez kamienne ulice ku górze. Meriadokowi dłużył się ten marsz nieznośnie, szedł jak w koszmarzym, niezrozumiałym śnie, wspinając się mozolnie do jakiegoś odległego celu, którego nie mógł odnaleźć w pamięci. Coraz niksiej przebłyskiwały przed jego oczyma światła pochodni, aż wreszcie pogasły zupełnie i hobbit włókł się w ciemnościach myśląc: „To podziemny korytarz, wiodący do grobu, w którym zostaniemy już na zawsze”. Nagle w jego sen wtargnął czyjś żywy głos:

— Merry! Nareszcie! Co za szczęście, że cię odnalazłem!

Podniósł wzrok i mgła przesłaniająca mu oczy przerzedziła się nieco. Zobaczył Pippina! Stali twarzą w twarz pośrodku wąskiej uliczki, gdzie prócz nich dwóch nie było nikogo. Merry przetarł oczy.

— Gdzie jest król? — spytał. — Gdzie Eowina?

Zachwiał się, przysiadł na jakimś progu i rozplakał się znowu.

— Ponieśli ich na górę, do Cytadeli — odparł Pippin. — Zdaje się, że idąc

usnąłeś i zablądziłeś na którymś zakręcie. Kiedy stwierdziliśmy, że nie ma cię w królewskim orszaku, Gandalf wysłał mnie na poszukiwania. Biedaczysko! Jakże się cieszę, że cię znowu widzę. Ale ty jesteś okropnie wyczerpany, teraz nie będę cię męczył rozmową. Powiedz tylko, czy jesteś ranny? Skaleczony?

— Nie — powiedział Merry. — Zdaje się, że nie. Ale wiesz, Pippinie, od chwili kiedy zraniłem tamtego, straciłem władzę w prawym ramieniu, a mój miecz spalił się do szczytu jak kawałek drewna.

Na twarzy Pippina odmalowało się zaniepokojenie.

— Myślę, że powinienes teraz iść ze mną, jak możesz najspieszniej — rzekł. — Niestety, nie mogę cię zanieść. Bo widzę, że ledwie powłóczysz nogami. Szkoda, że nie wzięli cię od razu na nosze, trzeba im to jednak wybaczyć: za wiele strasznych rzeczy zdarzyło się dziś w grodzie, nic dziwnego, że przegapiono małego biednego hobbita wracającego z pola bitwy.

— Czasem można na takim przegapieniu wygrać — odparł Merry. — Nie dostrzegł mnie przecież w porę... Nie! Nie mogę o tym teraz mówić. Pomóż mi, Pippinie. Ciemno mi w oczach, a ramię mam zimne jak lód.

— Oprzyj się na mnie, Merry, przyjacielu kochany! Chodźmy! Powolutku dojdziemy. To już niedaleko.

— Czy wyprawisz mi pogrzeb? — spytał Merry.

— Co ty pleciesz! — zaprotestował Pippin, siląc się na wesołość, chociaż serce ścisnęło mu się ze strachu i litości. — Idziemy do Domów Uzdrawień.

Z uliczki, biegnącej między rzędem wysokich kamienic a zewnętrznym murem czwartego kręgu, skręcili na główną ulicę, która wspinała się ku Cytadeli. Posuwali się krok za krokiem, Merry chwiał się na nogach i mruczał coś jak gdyby przez sen.

„Nigdy w ten sposób nie dojdziemy — martwił się w duchu Pippin. — Czy nikt mi nie pomoże? Nie mogę przecież biedaka zostawić ani na chwilę samego”.

Ledwie to pomyślał, niespodziewanie dogonił ich biegnący chyżo chłopiec, a gdy ich mijał, Pippin poznał Bergila, syna Beregonda.

— Hej, Bergilu! — zawołał. — Dokąd pędzisz? Cieszę się, że cię znów spotykam, całego i zdrowego.

— Jestem Gońcem Uzdrawicieli — oznajmił Bergil. — Nie mogę się zatrzymać.

— Nie trzeba! — powiedział Pippin. — Powiedz tylko lekarzom, że mam tutaj chorego hobbita, periana, jak wy nas zwiecie, który wraca z pola bitwy. Zdaje się, że nie zajdzie o własnych siłach tak daleko. Jeżeli jest tam Mithrandir, uradujesz go tą nowiną.

Bergil pobiegł naprzód.

„Lepiej będzie, jeśli tutaj poczekamy na pomoc” — myślał Pippin. Łagodnie usadowił Meriadoka na krawędzi chodnika w słonecznym miejscu i siadłszy obok

niego ułożył głowę chorego przyjaciela na własnych kolanach. Ostrożnie obmacał ciało i ujął jego ręce w swoje dłonie. Prawa ręka była zimna jak lód.

Wkrótce zjawiał się Gandalf we własnej osobie. Pochylił się nad Meriadokiem i pogłaskał jego czoło, potem dźwignął chorego w ramionach.

— Należałby mu się tryumfalny wjazd do grodu — powiedział. — Nie zawiódł mego zaufania, gdyby bowiem Elrond nie ustąpił moim naleganiom, żaden z was, moi hobbici, nie wzięłby udziału w tej wyprawie i ponieśliśmy dziś cięższe jeszcze straty. — Czarodziej westchnął i dodał: — No i mam jednego więcej chorego na głowie, a tymczasem los bitwy wciąż waży się na szali.

Wreszcie wszyscy: Faramir, Eowina i Merry, znaleźli się w łózkach, w Domach Uzdrawień, pod troskliwą opieką. Wprawdzie w tych czasach dawna wiedza nie jaśniała już pełnią światła, jak w odległej przeszłości, lecz sztuka lekarska stała jeszcze w Gondorze wysoko, umiano leczyć rany i wszelkie choroby, którym podlegali ludzie na wschodnich wybrzeżach Morza. Oprócz starości. Na nią nie znano lekarstwa i tutejsi ludzie żyli teraz niewiele dłużej niż inne plemiona, a szczęśliwców, którzy w pełni sił przekraczali setkę lat, można było na palcach zliczyć, z wyjątkiem rodów najczystszej krwi. Ostatnio wszakże sztuka uzdrowicieli zawodziła, szerzyła się bowiem nowa choroba, na którą nie znano rady. Nazwano ją Czarnym Cieniem, ponieważ jaj sprawcami były Nazgule. Dotknięci nią chorzy zapadali stopniowo w coraz głębszy sen, potem milkli i śmiertelny chłód ogarniał ich ciała, w końcu umierali. Lekarze i pielęgniarki w Domu Uzdrawień podejrzewali, że właśnie ta straszna choroba nęka niziołka i księżniczkę Rohanu. Przed południem oboje chorzy jeszcze mówili, szepcząc coś jakby we śnie; opiekunowie pilnie się temu przysłuchiwali w nadziei, że dowiedzą się może czegoś, co pomoże w zrozumieniu ich cierpień i znalezieniu nas nie ratunku. Lecz chorzy wkrótce umilkli, zasnęli głębiej, a gdy słońce schyliło się ku zachodowi, szary cień powlókł ich twarze. Faramira natomiast spalała gorączka, której żadne środki nie mogły uśmierzyć. Gandalf chodził od jednego do drugiego łóża, a pielęgniarki powtarzały mu każde słowo zasłyszane z ust chorych. Tak mijał tutaj dzień, podczas gdy na polu wielka bitwa toczyła się wśród zmiennego szczęścia i dziwnych niespodzianek. Wreszcie czerwony blask zachodu rozlał się po niebie i przez okna dosięgnął poszarzałych twarzy chorych. Tym, którzy wtedy przy nich czuwali, wydawało się, że rumieńce zdrowia wracają na wynędzniałe policzki, ale była to zwodnicza nadzieja.

Patrząc na piękne oblicze Faramira najstarsza z posługujących w Domach Uzdrawień kobiet, Joreth, zapłakała, bo wszyscy w grodzie kochali młodego rycerza.

— Wielkie to będzie nieszczęście, jeśli nam umrze! — powiedziała. — Gdybyż byli na świecie królowie Gondoru, jak za dawnych czasów! Stare księgi mówią, że „ręce króla mają moc uzdrawiania”. Po tym właśnie rozpoznawano zawsze prawowitych królów.

Gandalf, który stał obok, odpowiedział jej:

— Oby ludzie zapamiętali twoje słowa, Joreth! W nich bowiem jest nadzieja. Może naprawdę król wrócił do Gondoru. Czy nie słyszałaś dziwnych wieści, które krążą w grodzie?

— Miałam tu pełne ręce roboty, nie słuchałam, co krzyczą albo szepczą — odparła staruszka. — A co do nadziei, to spodziewam się przynajmniej tego, że ci mordercy nie wtargną do naszych Domów i nie zakłócą spokoju chorych.

Gandalf wyszedł spiesznym krokiem. Łuna już dopalała się na niebie, rozżarzone szczyty gór zbladły, szary jak popiół wieczór rozpełzł się po nizinie.

Po zachodzie słońca Aragorn, Eomer i książę Imrahil nadciągnęli wraz ze swymi dowódcami i rycerzami pod miasto, a gdy znaleźli się pod Bramą, Aragorn przemówił:

— Spójrzcie na ten pożar, który roznieciło zachodzące słońce! To znak kresu i upadku wielu rzeczy i zmiany w biegu spraw na tym świecie. Gród ten pozostał pod władzą Namiestników przez tak długie wieki, iż lękam się, że gdybym do niego wkroczył nieproszony, wybuchłyby spory i wątpliwości, bardzo niepożądane w czasie wojny. Nie wejdę więc do stolicy ani nie zgłoszę swoich roszczeń do tronu, póki nie rozstrzygnie się ostatecznie, kto zwyciężył: my czy też Mordor. Każę rozbić swój namiot na polu i tutaj będę czekał, aż wezwie mnie z dobrej woli Władca grodu.

— Już podniosłeś sztandar królewski i objawiłeś godła rodu Elendila — odparł Eomer. — Czy ścierpisz, by ktoś odmówił im należnej czci?

— Nie — powiedział Aragorn — ale czas nie dojrzał jeszcze, a ja nie chcę starcia z nikim, chyba z Nieprzyjacielem i jego sługami.

Zabrał z kolei głos książę Imrahil:

— Jeżeli pozwolisz, by swoje zdanie wyraził bliski krewny Denethora, wiedz, że twoje postanowienie wydaje mi się mądre. Denethor jest uparty i dumny, ale stary. Odkąd ujrzał syna ciężko rannego, zachowuje się bardzo dziwnie. Nie godzi się jednak, abyś pozostał jak żebrak przed Bramą.

— Nie jak żebrak — odparł Aragorn — ale jak dowódca Strażników, którzy nie przywykli do miast i domów z kamienia.

Kazał zwinąć swój sztandar, a przedtem zdjął z niego gwiazdę Północnego Królestwa i oddał ją na przechowanie synom Elronda.

Książę Imrahil i Eomer pożegnali więc Aragorna i bez niego weszli do grodu, aby wśród wiwatujących na ulicach ludzi wspiać się na górę do Cytadeli. Tu w sali Wieżowej spodziewali się zastać Namiestnika, lecz zobaczyli jego fotel pusty, a pośrodku, pod baldachimem, spoczywające na wspaniałym łożu zwłoki Theodena, króla Marchii. Dwanaście pochodni płonęło wokół niego i dwunastu rycerzy, z Rohanu i Gondoru, pełniło straż. Łoże udrapowano barwami białą i zie-

loną, lecz całun, okrywający króla po pierś, był ze złotogłowiu, na nim zaś błyszczał nagi miecz i u stóp zmarłego leżała jego tarcza. Siwe włosy w migotliwym świetle pochodni lśniły jak krople wody w słońcu, piękna twarz zdawała się młoda, chociaż bił z niej spokój, jakiego nie zna młodość. Można by pomyśleć, że sędziwy król śpi.

Długą chwilę stali w milczeniu przed zmarłym królem, wreszcie odezwał się książę Imrahil:

— Gdzie jest Namiestnik? Gdzie Mithrandir?

Odpowiedział mu jeden z pełniących wartę rycerzy:

— Namiestnik Gondoru przebywa w Domu Uzdrawień.

— A gdzie moja siostra Eowina? — spytał Eomer. — Zasłużyła na miejsce obok króla w nie mniejszej chwale. Dokąd ją zabrano?

— Ależ księżniczka żyła, gdy ją podniesiono z pobojowiska! — odparł książę Imrahil. — Czy nie wiedziałeś o tym, Eomerze?

Tak więc nie spodziewana już nadzieja powróciła w serce Eomera, a wraz z nią nowe troski i obawy. Bez słowa Eomer wyszedł z sali; książę podążył za nim. Na dworze wieczór już zapadł i rój gwiazd świecił na niebie. U drzwi Domów Uzdrawień spotkali Gandalfa, któremu towarzyszył jakiś człowiek, spowity szarym płaszczem. Powitali Czarodzieja mówiąc:

— Szukamy Namiestnika. Powiedziano nam, że znajduje się w tych Domach. Czy odniósł jakieś rany? I gdzie jest Eowina?

— Eowinę znajdziecie tutaj — odparł Gandalf. — Nie umarła, lecz bliska jest śmierci. Faramir, zraniony zatrutą strzałą, także tu leży chory. On jest teraz Namiestnikiem Gondoru. Denethor odszedł do swych przodków, jego domem jest garść popiołów.

Z bólem i zdumieniem słuchali, gdy opowiadał im o śmierci Starego Władcy.

— A więc święcimy zwycięstwo bez radości — rzekł książę Imrahil — okupione wielką ceną, skoro w jednym dniu zarówno Rohan, jak Gondor utracił Władcę. Rohirrimom przewodzi Eomer. Kto będzie tymczasem rządził w grodzie? Czy nie należałoby posłać po Aragorna?

— Jest już między wami — odezwał się człowiek w szarym płaszczu. Postąpił krok naprzód i w świetle latarni wiszącej nad drzwiami poznali Aragorna, który na zbroję narzucił szary płaszcz z Lorien i z wszystkich godeł zachował tylko zielony kamień Galadrieli. — Przyszedłem na gorącą prośbę Gandalfa — ciągnął dalej Aragorn — ale jedynie jako dowódca Dunedainów z Anoru. Rządy w grodzie należą do księcia Dol Amrothu, dopóki Faramir nie odzyska przytomności. Moim wszakże zdaniem wszyscy powinniśmy w najbliższych dniach oddać się pod rozkazy Gandalfa w naszej wspólnej walce z Nieprzyjacielem.

— Przede wszystkim nie stójmy dłużej pod tymi drzwiami — rzekł Gandalf.

— Nie ma chwili do stracenia. Wejdźmy do środka, bo w Aragornie cała nadzieja ratunku dla chorych, leżących w tym domu. Tak powiedziała Joreth, doświadczo-

na stara kobieta: „Ręce królewskie mają moc uzdrawiania, po tym poznaje się prawowitego króla”.

Aragorn wszedł pierwszy, inni za nim. W progu czuwało dwóch gwardzistów w srebrno-czarnych barwach Białej Wieży. Jeden z nich był roslą mężczyzną, drugi miał wzrost małego chłopca. Ten właśnie na widok wchodzących krzyknął głośno ze zdziwienia i radości:

— Obieżyświat! Co za spotkanie! Wiesz, od razu zgadłem, że to ty płyniesz na czarnym okręcie. Ale wszyscy krzyczeli: „Korsarze!”, i nikt nie chciał mnie słuchać. Jakżeś tego dokonał?

Aragorn ze śmiechem uściśnął rękę hobbita.

— Ja też się cieszę z tego spotkania — rzekł. — Teraz jednak nie ma czasu na opowieści o przygodach w podróży.

Imrahil zwrócił się do Eomera:

— Czy tak rozmawiacie ze swymi królami? — spytał. — Spodziewam się, że ukoronujemy go pod innym imieniem!

Aragorn usłyszał tę uwagę i odpowiedział księciu:

— Z pewnością. W szlchetnym dawnym języku nazywam się Elessar, Kamień Elfów, i Envinyatar, Odnowiciel! — To mówiąc wskazał zielony kamień przypięty do piersi. — Ale ród mój — jeśli w ogóle założę ród — przyjmie nazwisko Obieżyświata. W mowie Numenoru nie będzie to brzmiało źle: Telkontar. Takie imię przekażę mojemu potomstwu.

Z tymi słowami wszedł do Domu Uzdrawień, a zanim doszli do pokoju, gdzie leżeli chorzy, Gandalf opowiedział mu o czynach Eowiny i Meriadoka na polu bitwy.

— Długo czuwałem u ich wezgłowi — rzekł. — Z początku wiele mówili przez sen, zanim popadli w śmiertelną drętwość. Resztę wiem, ponieważ dany mi jest dar widzenia rzeczy odległych.

Aragorn pospieszył najpierw do Faramira, potem do Eowiny, na końcu do Meriadoka. Gdy przyjrzał się ich twarzom i ranom, westchnął.

— Muszę tu użyć całej mocy i wiedzy, jaką rozporządzam — powiedział. — Szkoda, że nie ma wśród nas Elronda, on bowiem jest najstarszy w naszym plemieniu i najpotężniejszy.

Eomer widząc, że obaj — Gandalf i Aragorn — zdają się zatroskani i zmęczeni, rzekł:

— Czy nie powinniście najpierw odpocząć i posilić się trochę?

— Nie, dla tych trojga, a szczególnie dla Faramira, każda chwila może rozstrzygnąć o życiu — odparł Aragorn. — Nie wolno zwlekać.

Przywołał starą Joreth i zapytał:

— Ty masz pieczę nad zapasami ziół w tym domu, prawda?

— Tak, panie — odpowiedziała — ale nie starczy nam ziół dla wszystkich, którzy potrzebują leczenia. Nie wiem, skąd wziąć ich więcej, bo w mieście po tych okropnych zdarzeniach niczego się nie znajdzie, ogień zniszczył wiele domów, chłopców na posyłki mamy niewielu, a drogi odcięte. Od niepamiętnych dni nie przybywają z Lossarnach wozy z dostawami na rynek. Gospodarujemy tym, co tu mamy, jak się da najlepiej, dostojny pan może mi wierzyć.

— Uwierzę, gdy zobaczę — powiedział Aragorn. — Brak nie tylko ziół, ale również czasu na dłuższe gawędy. Czy macie liście athelas?

— Nie wiem, dostojny panie — odparła Joreth. — W każdym razie nie znam takiej nazwy. Zapytam mistrza zielarza, on zna stare nazwy.

— Niekiedy zwą je również królewskimi liśćmi — wyjaśnił Aragorn — może pod tym mianem o nich słyszałaś, bo tak je lud w późniejszych czasach przezwiał.

— Ach, te liście! — zdziwiła się Joreth. — Owszem, gdyby wielmożny pan od razu tak je nazwał, mogłabym odpowiedzieć bez namysłu. Nie, nie mamy ich tutaj. Nigdy też nie słyszałam, żeby miały jakieś uzdrawiające własności; często nawet mówiłam siostrze, kiedy spotykałyśmy to ziele w lesie: „To są królewskie liście. — Tak mówiłam. — Dziwna nazwa, ciekawe, dlaczego je tak nazwano, bo gdybym ja była królem, hodowałabym piękniejsze rośliny w swoim ogrodzie”. Ale przyznaję, że pachną bardzo przyjemnie, gdy je zmiąć w rękę. Może zresztą źle się wyraziłam, nie tyle przyjemnie, ile orzeźwiająco.

— Bardzo orzeźwiająco — rzekł Aragorn. — Ale teraz, jeśli kochasz Faramir, puść w ruch nogi zamiast języka i pobiegnij po te zioła. Przetrząśnij całe miasto i przynieś choćby jeden liść.

— A jeżeli nie znajdzie się nic w grodzie — wtrącił się Gandalf — pogalopuję do Lossarnach i wezmę z sobą Joreth, żeby tym razem nie swoim siostrze, ale mnie pokazała w lesie owe liście. W zamian Gryf pokaże jej, jak się należy spieszyć w potrzebie.

Po odprawieniu Joreth polecił Aragorn innym kobietom, żeby zagrzały wodę, sam zaś siadł przy Faramirze i jedną ręką ujawszy dłoń chorego, drugą położył na jego czole. Było zroszone obficie potem; Faramir nie poruszał się, nie zareagował na dotknięcie, ledwie oddychał.

— Resztki sił z niego uchodzą — rzekł Aragorn zwracając się do Gandalfa. — Nie sama rana jest jednak tego przyczyną. Spójrz, goi się dobrze. Gdyby go ugodziła strzała Nazgula, jak przypuszczałaś, już by nie przeżył tej nocy. Musiał go zranić z łuku jakiś południowiec. Kto wyciągnął strzałę? Czy ją zachowano?

— Strzałę wyciągnąłem ja — powiedział Imrahil — i założyłem pierwszy opatrunek. Nie zachowałem jej wszakże, bo działo się to wśród gorączki bitwy. Wyglądała, jeśli mnie pamięć nie myli, jak zwykle strzały używane przez południowców. Myślę jednak, że zesłał ją z powietrza Skrzydlaty Cień, jakże bowiem inaczej tłumaczyć sobie tę uporczywą gorączkę i całą chorobę; rana nie jest przecież głęboka, nie zostały naruszone żadne ważne narządy ciała. Jak to wyjaśnisz?

— Wszystko się tutaj razem sprzęgło: utrudzenie, ból z powodu ojcowskiej niełaski, rana, a co najgorsze tchnienie Ciemnych Sił — odparł Aragorn. — Faramir ma wiele hartu, lecz jeszcze przed bitwą o zewnętrzne mury Pelennoru przebywał długi czas w cieniu nieprzyjacielskiego kraju. Stopniowo cień go przenikał, nawet w momentach najgorętszej walki. Wielka szkoda, że nie mogłem tu przybyć wcześniej!

W tejże chwili wszedł do pokoju mistrz zielarstwa.

— Dostojny pan zapytywał o królewskie liście, jak je lud nazywa, czyli athelas w języku uczonych lub tych, którzy mają niejakię pojęcie o mowie Valinoru. . .

— Tak, pytałem i jest mi obojętne, czy nazwiecie to ziele asea aranion czy królewskim liściem, byłem je dostał — przerwał mu Aragorn.

— Proszę mi wybaczyć, dostojny panie — odparł zielarz. — Widzę, że mam przed sobą człowieka uczzonego, nie zaś zwykłego wojaka. Niestety, nie trzymamy tego ziela w naszych Domach Uzdrowień, gdzie pielęgnujemy wyłącznie poważnie rannych lub chorych. Ziele to bowiem nie posiada, o ile nam wiadomo, cennych właściwości poza tą, że odświeża powietrze i rozprasza przelotne uczucie znużenia. Chyba że ktoś daje wiarę starym porzekadłom, które powtarzają po dziś dzień babinki takie jak Joreth, nie rozumiejąc nawet, co mówią:

Przeciw czarnych potęg tchnieniu,
Gdy zabójcze rosną cienie,
Gdy ostatni promień zgaśł,
Ty nas ratuj, athelas!
Ręką króla liść podany
Wraca życie, goi rany!

Ale moim zdaniem to zwykła bajka, tkwiąca w pamięci przesądnych kobiet. Dostojny pan sam osądzi, jaki z niej wyciągnąć wniosek i czy w ogóle na ona sens. Starzy ludzie rzeczywiście piją wywar z tego ziela, który rzekomo pomaga im na bóle głowy.

— A więc w imieniu króla idź i poszukaj jakiegoś starego człowieka, mniej uczzonego, ale za to rozumniejszego od mędrców rządzących w tym domu! — krzyknął Gandalf.

Aragorn ukląkł przy łóżku Faramira trzymając wciąż rękę na jego czole. Wszyscy obecni wyculi, że toczy się tutaj jakaś ciężka walka. Twarz Aragorna bowiem pobladła z wysiłku; powtarzał imię Faramira, lecz głos jego coraz słabiej dochodził do uszu świadków tej sceny, jak gdyby Aragorn oddalał się od nich i zagłębiał w jakąś ciemną dolinę nawołując zabłąkanego w niej przyjaciela.

Wreszcie nadbiegł Bergil niosąc sześć liści zawiniętych w chustkę.

— Proszę, oto królewskie liście — oznajmił. — Niestety, nie są świeże. Zerwano je przed dwoma co najmniej tygodniami. Mam nadzieję, że pomimo to przydadzą się na coś.

I spojrzawszy na Faramira chłopiec wybuchnął płaczem. Aragorn wszakże uśmiechnął się do niego.

— Przydadzą się na pewno! — powiedział. — Najgorsze już przeminęło. Zostań tutaj i bądź dobrej myśli.

Wybrał dwa liście, położył na swej dłoni, chuchnął na nie, a potem skruszył je w rękę; natychmiast ożywcza woń napełniła pokój, jakby powietrze samo zbudziło się i zaperliło radością. Aragorn rzucił ziele do misy z wrzącą wodą, którą przed nim postawiono. W serca wszystkich wstąpiła nagle otucha, zapach ten bowiem każdemu przyniósł jak gdyby wspomnienie błyszczących od rosy wiosennych poranków pod bezchmurnym niebem, w krainie, która sama jest wiosną, przelotnym wspomnieniem piękniejszego świata. Aragorn wstał jak gdyby pokrzepiony na nowo, z uśmiechem w oczach podsunął misę przed uśpioną twarz Faramira.

— Patrzcie państwo! — powiedziała Joreth do stojącej obok kobiety. — Któż by się spodziewał? Lepsze to ziele, niż myślałem. Przypomina mi róże z Imloth Melui, które widziałam, kiedy byłam jeszcze młodą dziewczyną; sam król nie mógłby żądać wspanialszego zapachu.

Faramir poruszył się, otworzył oczy i spojrzał na schylonego nad łóżem Aragorna wzrokiem przytomnym i pełnym miłości, mówiąc z cicha:

— Wołałeś mnie, królu. Jestem. Co mój król rozkaże?

— Abyś się dłużej nie błąkał w ciemnościach. Zbudź się, Faramirze! — odparł Aragorn. — Jesteś zmęczony. Odpocznij, posil się i bądź gotów, gdy po ciebie wrócę.

— Będę gotów, miłościwy panie — rzekł Faramir. — Któż chciałby leżeć beczynnym w chwili, gdy król powraca?

— Tymczasem żegnaj! — powiedział Aragorn. — Muszę iść do innych, którzy także mnie potrzebują.

Wyszedł wraz z Gandalfem i Imrahilem, Beregon jednak i jego syn pozostali przy Faramirze; nie usiłowali nawet taić swej radości. Pippin idąc za Gandalfem usłyszał, nim zamknął drzwi, okrzyk starej Joreth:

— Król! Słyszeliście? A co, nie mówiłam? Ręce królewskie mają moc uzdrawiania. Dawno to wiedziałam!

Wieść obiegła błyskawicą Dom Uzdrowień i wkrótce rozeszła się po całym grodzie nowina, że król prawowity wrócił i uzdrawia tych, którzy w bitwie odnieśli rany.

Aragorn tymczasem stanął nad łóżem Eowiny i orzekł:

— Ciężkie to rany, okrutny cios poraził księżniczkę. Złamane ramię opatrzo-
no jak należy i powinno zrosnąć się z czasem, jeśli chora okaże się dość silna, by
przeżyć. W ręce lewej, która trzymała tarczę, kość strzaskana, ale głównym źró-
dłem choroby jest prawa, która władała mieczem; chociaż w niej kość nie została
naruszona, zdaje się martwa. Eowina walczyła z przeciwnikiem potężnym nad
miarę jej sił cielesnych i duchowych. Kto na takiego wroga chce podnieść miecz,
musi być twardszy niżli stal; inaczej zabije go sam wstrząs starcia. Zły los posta-
wił tego nieprzyjaciela na jej drodze. A przecież to młoda dziewczyna i piękna,
najpiękniejsza wśród córek królewskich. Nie wiem zresztą, jak ją osądzić. Kiedy
pierwszy raz zobaczyłem tę księżniczkę i zrozumiałem jej smutek, zdawało mi się,
że patrzę na biały kwiat smukły i dumny, uroczy jak lilia, a zarazem wyczuwałem
w nim hart, jakby go elfy wyrzeźbiły ze stali. A może to mróz ściał lodem jego
soki i dlatego kwiat wyprostowany jeszcze, słodki i gorzki jednocześnie, piękny
z pozoru, był już we wnętrzu swym zraniony, skazany na wczesne zwiędnięcie
i śmierć? Choroba zaczęła ją nurtować bardzo dawno, prawda, Eomerze?

— Dziwię się, że mnie właśnie pytasz o to, miłościwy panie — odparł Eomer.
— Nie obwiniam cię w tej sprawie ani w żadnej innej, lecz wiem, że Eowiny,
mojej siostry, nie zmroził nigdy złowrogi dreszcz, póki ciebie nie ujrzała. Żywiła
pewne troski i obawy, którymi dzieliła się ze mną, za czasów, gdy Smoczy Język
władał umysłem naszego króla i trzymał go pod swoim złym urokiem. Czuwał
nad Theodenem z coraz większym niepokojem. Ale nie to przecież doprowadziło
ją do tak ciężkiej choroby.

— Przyjacielu! — rzekł Gandalf. — Ty miałeś konie, zbrojne wyprawy, swo-
bodę otwartych stepów, ale twoja siostra urodziła się z ciałem pięknej dziewczyny,
choć duch w niej żył nie mniej mężny od twego. Przypadło jej w udziale piele-
gnowanie starca, którego kochała jak ojca, i czuwanie, aby nie zhańbił swej sławy
poddając się niedołęstwu starości. W tej roli czuła się czymś mniej ważnym niż
laska, na której wspierał się sędziwy król. Czy myślisz, że Smoczy Język sączył
truciznę tylko w uszy Theodena? „Stary niedojda! Dwór potomków Eorla to kryta
strzechą stodoła, gdzie zbójcy uczują w zadymionej izbie, a bękarty ich tarzają się
razem z psami po podłodze”. Czyś nie słyszał kiedyś tych obelg? Tak mówił Saru-
man, mistrz Smoczego Języka. Nie wątpię oczywiście, że Smoczy Język wyrażał
ten sąd bardziej oględnie i podstępnie pod dachem Theodena. Gdyby miłość do
ciebie, Eomerze, i wierność obowiązkom nie zamykały jej ust, usłyszałbyś może
od swojej siostry i takie słowa. Ale kto wie, co mówiła w ciemności, gdy była sa-
ma, w gorzkie bezsenne noce, myśląc o swoim życiu, z każdym dniem uboższym,
w czterech ścianach pokoju, w którym czuła się uwięziona jak leśne zwierzątko
w ciasnej klatce.

Eomer nic nie odpowiedział. Patrzył na swoją siostrę, jakby teraz w innym
świecie zobaczył wszystkie dni dzieciństwa i młodości przeżyte z nią razem.

— Wiem o tym, coś ty odgadł, Eomerze — odezwał się Aragorn. — Wśród

ciosów, które nam los gotuje na tym świecie, mało jest równie gorzkich i tak zawstydzających dla męskiego serca, jak miłość ofiarowana przez piękną i godną czci dziewczynę, gdy jej nie można odpowiedzieć wzajemnością. Ból i żal ani na chwilę nie opuściły mnie, odkąd w Dunharrow pożegnałem księżniczkę tak głęboko zrozpaczoną, aby przemierzyć Ścieżkę Umarłych, i żaden strach na tej Ścieżce nie stłumił we mnie lęku o dalsze losy Eowiny. A jednak, Eomerze, wiem, że ciebie ona kocha głębiej niż mnie. Ciebie bowiem zna dobrze, we mnie zaś pokochała tylko cień i marzenie, nadzieję sławy i wielkich czynów, urok nieznanych krajów, odległych od stepów Rohanu,

Może mam moc, by uzdrowić jej ciało i przywołać je do powrotu z mrocznych dolin. Ale nie wiem, do czego się zbudzi: do nadziei, do zapomnienia czy też do rozpacz. Jeśliby się zbudziła w rozpacz, umrze, chyba że uzdrowi ją inne lekarstwo, którym ja nie rozporządzam. Byłaby to wielka strata, tym bardziej że twoja piękna siostra zdobyła ostatnimi czynami miejsce wśród najślawniejszych księżniczek świata.

Aragorn pochylił się, zajrzał w jej twarz białą jak lilie, ściętą lodem, zastygłą niby kamienna rzeźba. Pocałował jej czoło szepcząc łagodnie:

— Zbudź się, Eowino, córko Eomunda! Twój nieprzyjaciół zginął z twojej ręki!

Nie poruszyła się, lecz zaczęła oddychać głębiej, tak że widać było jak pod białym prześcieradłem pierś podnosi się i opada miarowo. Znowu więc Aragorn skruszył dwa liście ziela athelas i rzucił je na kipiącą wodę: przemył naparem czoło chorej i prawe ramię, zimne i bezwładnie spoczywające na kołdrze.

Może Aragorn rzeczywiście posiadał jakąś zapomnianą czarodziejską moc dawnego plemienia Dunedainów, a może słowa jego wzruszyły słuchaczy, dość, że gdy słodki zapach ziela rozszedł się po izbie, wszystkim zebranym wydało się, że od okna powiał świeży wiatr, który nie niósł z sobą żadnych woni, lecz powietrze świeże, czyste, młode, nie skażone oddechem żadnego żywego stworzenia, płynące prosto z ośnieżonych szczytów, spod kopuły gwiazd albo z dalekich wybrzeży obmywanych srebrną pianą morza.

— Zbudź się, Eowino, księżniczko Rohanu! — powtórzył Aragorn ujmując jej prawą rękę w swoją dłoń. — Zbudź się! Cień przeminął, ciemności rozwiały się, świat jest znowu jasny. — Cofnął się, powierzając rękę chorej Eomerowi. — Zawołaj ją, Eomerze — powiedział i cicho wyszedł z pokoju.

— Eowino! Eowino! — krzyknął Eomer z płaczem.

Księżniczka otworzyła oczy.

— Eomer! Co za szczęście! Mówili mi, żeś poległ. Ach nie, to mi tylko podszepływały złe głosy we śnie. Czy długo spałam?

— Niedługo, siostró — odparł Eomer. — Nie myśl już o tym.

— Jestem dziwnie zmęczona — powiedziała. — Muszę chwilę odpocząć. Ale powiedz mi, co się stało z królem Marchii? Niestety, wiem, że to nie był sen, nie

próbuj mnie łudzić. Zginął, sprawdziły się moje przeczucia.

— Umarł — powiedział Eomer — lecz przed śmiercią przekazał słowa pożegnania dla Eowiny, droższej mu niż rodzona córka. Spoczywa w chwale w wielkiej Sali Wieżowej Gondoru.

— Bolesna nowina, a mimo to dobra ponad spodziewanie; o takiej śmierci dla niego nie śmiałam marzyć w ponurych latach, gdy zdawało się, że Dom Eorla mniej godny się stał chwały niż najnędzniejsza pasterska chata. A co się stało z giermkim króla, niziołkiem? Wiesz, Eomerze, zasłużył sobie, żeby go mianować rycerzem Marchii. Mężnie stawał w polu.

— Leży tu obok, chory. Zaraz do niego pójde — wtrącił się Gandalf. — Ty, Eomerze, zostań tu jeszcze chwilę. Nie rozmawiajcie jednak o wojnie i smutkach, póki Eowina nie odzyska sił. Cieszymy się wszyscy, że się zbudziła, znów zdrowa i pełna nadziei, najwaleczniejsza z księżniczek!

— Zdrowa? Może. Przynajmniej dopóty, dopóki będę mogła na pustym siodle zastąpić w szeregach Rohanu poległego jeźdźca. Ale pełna nadziei? Nie, nie wiem, czy odzyskam nadzieję — odparła Eowina.

Gandalf i Pippin weszli do pokoju, gdzie leżał Merry, i zastali tu, przy wezłowi hobbita, Aragorna.

— Mój biedny, kochany Merry! — zawołał Pippin podbiegając do łóżka, wydało mu się bowiem, że przyjaciel wygląda gorzej niż przedtem, twarz jego przybrała szary odcień i jakby postarzała, napiętnowana troską i smutkiem. Strach zdjął nagle Pippina, że Merry umiera.

— Nie bój się — uspokoił go Aragorn. — Zjawiłem się w porę, przywołałem go już z powrotem do życia. Jest bardzo zmęczony i zasmucony; odniósł taką samą ranę jak Eowina, bo odważył się zadać cios straszliwemu przeciwnikowi. Ale te rany zagoją się, zwycięży je ten silny i wesoły duch, który w nim tkwi. O przeżytym smutku Merry już nie zapomni, lecz nie straci wesela w sercu, będzie tylko odtąd mądrzejszy.

Aragorn położył dłoń na czole Meriadoka, pogładził łagodnie ciemną czuprynę, dotknął powiek i zawołał hobbita po imieniu. A gdy aromat królewskich liści rozszedł się w powietrzu niby zapach sadów i wrzosowiska brzęczącego od pszczoł w dzień słoneczny, Merry ocknął się nagle i powiedział:

— Jeść mi się chce. Która to godzina?

— Pora kolacji minęła — odparł Pippin — ale postaram się przynieść ci coś do przegryzienia, jeśli mi tutejsi ludzie nie odmówią.

— Nie odmówią z pewnością — rzekł Gandalf. — Wszystko, co się znajdzie w Minas Tirith, dadzą chętnie dla tego rycerza Rohanu, którego imię cieszy się wielką sławą.

— Świetnie! — wykrzyknął Merry. — W takim razie proszę najpierw o kola-

cję, a potem o fajkę... — Spochmurniał nagle. — Nie, fajki nie chcę. Nie będę już chyba nigdy palił fajkowego ziele.

— Dlaczego? — spytał Pippin.

— Dlatego — z wolna odpowiedział Merry — że stary król nie żyje. Teraz wszystko sobie przypominałem. Żegnając mnie żałował, że nie miał sposobności pogawędzić ze mną o sztuce palenia fajki. To były niemal ostatnie jego słowa. Nigdy bym nie mógł zapalić fajki bez wspomnienia o nim, Pippinie, i o tym dniu, gdy przybył do Isengardu i potraktował nas tak łaskawie.

— A więc pal fajkę i wspominaj króla Theodena! — rzekł Aragorn. — Miał zacne serce i był wielkim królem; dotrzymał przysięgi i wydźwignął się z mroków w ostatni, piękny, słoneczny poranek. Krótka trwała twoja służba przy nim, ale powinno ci po niej zostać wspomnienie miłe i chlubne do końca twoich dni.

Merry uśmiechnął się na to.

— A więc dobrze — powiedział. — Jeżeli Obieżyświat dostarczy mi wszystkiego, co trzeba, będę ćmił fajeczkę myśląc o królu Theodenie. Miałem w swoim tobołku garść fajkowego ziele, najprzedniejszego z zapasów Sarumana, ale nie wiem, gdzie się po bitwie moje bagaże podziały.

— Grubo się mylisz, mości Meriadoku, jeżeli sądzisz, że przedarłem się przez góry i przemierzyłem pola Gondoru torując sobie drogę ogniem i mieczem po to, żeby zaopatrzyć w fajkowe ziele niedbałego żołnierza, który zgubił cały swój ekwipunek — odparł Aragorn. — Albo się twój tobołek odnajdzie, albo będziesz musiał zwrócić się do tutejszego mistrza zielarza. On powie ci, że nic mu nie wiadomo, jakoby to pożądane przez ciebie ziele posiadało jakieś zalety, wie natomiast, że nazywa się ono wulgarnie fajkowym liściem, naukowo galeną, a w mowie różnych plemion tak czy owak; uraczy cię starym rymowanym porzekadłem, którego sensu sam nie rozumie, po czym z ubolewaniem oświadczy, że ziele tego w Domu Uzdrawień nie ma ani na lekarstwo, ty zaś będziesz mógł się pocieszyć rozmyślaniami o historii języków. Ale teraz muszę cię pożegnać. Nie spałem w takim łóżku, w jakim ty się wylegujesz, odkąd opuściłem Dunharrow, a od wczorajszego wieczora nic w ustach nie miałem.

Merry chwycił jego rękę i ucałował.

— Przepraszam, że cię zatrzymałem — powiedział. — Idź, nie zwlekając dłużej. Od tamtej nocy w gospodzie „Pod Rozbrykanym Kucykiem” w Bree wiecz- nie ci tylko przysparzamy kłopotów. Ale my, hobbici, taki już mamy zwyczaj, że w chwilach wzruszenia uciekamy się do błahych słów i mniej mówimy, niż czujemy. Boimy się powiedzieć za dużo. Dlatego brak nam właściwych słów, gdy nie wypada żartować.

— Wiem o tym, znam was dobrze — odparł Aragorn. — Gdyby nie to, nie odpłacałbym wam często tą samą monetą. Niech żyje Shire i nigdy nie straci humoru!

Pocałował Meriadoka i wyszedł zabierając z sobą Gandalfa.

Pippin został z przyjacielem.

— Kogo w świecie można porównać z Aragornem? — powiedział. — Chyba jednego Gandalfa. Myślę, że między nimi jest jakieś pokrewieństwo. Słuchaj, gapo, przecież twój tobołek leży pod łóżkiem; miałeś go na plecach, kiedy cię spotkałem. Obieżyświat oczywiście widział go przez cały czas, kiedy z tobą rozprawiał. Zresztą ja też mam zapasik fajkowego ziela. Nie żałuj sobie! Liście z Południowej Ćwiartki Shire'u! Nabij fajkę, a ja tymczasem skoczę poszukać czegoś do zjedzenia. A potem wreszcie pogadamy zwyczajnie jak hobbici. U licha! My, Tukowie i Brandybuckowie, nie umiemy długo żyć na wyżynach.

— Nie umiemy — przyznał Merry. — Przynajmniej ja. Jeszcze nie. Ale bądź co bądź umiemy je teraz już dostrzec i uczcić. Myślę, że najlepiej jest, kiedy się po prostu kocha to, do czego serce samo od urodzenia ciągnie; od czegoś przecież trzeba zacząć, a gleba w Shire jest głęboka. Ale istnieją rzeczy głębsze i wyższe. I gdyby nie one, żaden Dziadunio w naszym kraju nie mógłby uprawiać swego ogródka ciesząc się pokojem — czy tym, co mu się pokojem wydaje. Cieszę się, że teraz o tych rzeczach coś niecoś wiem. Ale po co ja o tym gadam. Daj no te liście. I wyjmij z tobołka moją fajkę, jeśli się nie połamała.

Aragorn i Gandalf poszli do Głównego Opiekuna Domu Uzdrawień i poradzili mu, żeby Faramira i Eowinę zatrzymał jeszcze przez czas dłuższy pielęgnując troskliwie.

— Księżniczka Eowina — powiedział Aragorn — będzie się rwała z łóżka i zechce wkrótce wyjść na świat, ale nie trzeba jej na to pozwolić, jeśli da się przekonać, co najmniej przez dziesięć dni.

— Co do Faramira — dodał Gandalf — będzie musiał wkrótce dowiedzieć się o śmierci ojca. Nie należy jednak opowiadać mu całej prawdy o szaleństwie Denethora, póki nie wyzdrowieje zupełnie i nie przyjdzie pora na objęcie przez niego nowych obowiązków. Trzeba dopilnować, żeby Beregon i niziołek, perian, którzy byli świadkami tych strasznych zdarzeń, nie wygadali się przed czasem.

— A jak mam postąpić z drugim perianem, z tym, który leży również chory? — spytał Opiekun.

— Prawdopodobnie zechce już jutro na chwilę wstać — odparł Aragorn. — Można mu na to pozwolić, jeśli będzie miał ochotę. Niech się trochę przespaceruje pod opieką przyjaciół.

— Bardzo dziwne plemię — stwierdził Opiekun kręcąc głową. — Kijem ich nie dobije!

U wejścia do Domów Uzdrawień tłum się zgromadził czekając na Aragorna i pobiegł za nim. Gdy wreszcie zjadł wieczerzę, zaczęli go nagabywać różni ludzie prosząc, żeby uzdrowił temu krewniaka, a innemu przyjaciela niebezpiecznie rannego lub zatrutego przez złowrogi cień. Aragorn wezwał do pomocy synów El-

ronda i we trzech do późna w noc odwiedzali chorych. Po całym grodzie rozeszła się nowina: „Król wrócił naprawdę”. Gondorczyści nazwali go Kamieniem Elfów, z powodu zielonego klejnotu, który lśnił na jego piersi, i w ten sposób od własnego ludu otrzymał imię, które przepowiedziano mu niegdyś w dniu jego urodzenia.

Gdy w końcu zabrakło mu sił, owinał się płaszczem i wymknął cichaczem z grodu, aby pod namiotem przespać choć parę godzin do świtu. Rankiem na Wieży powiewała flaga Dol Amrothu, biały okręt niby łabędź kołysał się na błękitnej fali, a lud spoglądając nań dziwił się i pytał sam siebie, czy powrót króla nie był tylko przywidzeniem sennym.

ROZDZIAŁ IX

Ostatnia narada

Nazajutrz po bitwie dzień wstał pogodny, lekkie białe obłoczki płynęły po niebie, a wiatr obrócił się ku wschodowi. Legolas i Gimli wcześniej byli na nogach i wyjednali sobie pozwolenie na pójście do grodu, chcieli bowiem co prędzej zobaczyć Meriadoka i Pippina.

— Cieszę się, że obaj żyją — powiedział Gimli. — Dużo mieliśmy z nimi kłopotów w marszu przez Rohan, dobrze, że przynajmniej tyle trudu nie poszło na marne.

Razem wkroczyli do Minas Tirith elf z krasnoludem, a Gondorczycy na ulicach ze zdziwieniem patrzyli na tę osobliwą parę, bo Legolas jaśniał nie spotykaną wśród ludzi urodą i śpiewał idąc w porannym blasku jakąś pieśń elfów czystym i dźwięcznym głosem, Gimli zaś dreptał u jego boku gładząc brodę i rozglądając się ciekawie wkoło.

— Znają się na kamieniarskiej robocie — orzekł przyjrzawszy się murom — ale czasem partaczą. Jak Aragorn obejmie gospodarstwo, zaofiaruję mu usługi naszych kamieniarzy spod Góry; już my zbudujemy mu stolicę, którą będzie mógł się szczycić.

— Przydałoby się tu więcej ogrodów — zauważył Legolas. — Domy są martwe, za mało żywej zieleni, która rośnie i cieszy się z życia. Jeśli Aragorn obejmie gospodarstwo, Leśne Plemię przyśle mu śpiewające ptaki i drzewa, które nie umierają zimą.

Stanęli wreszcie przed księciem Imrahilem. Legolas przyjrzał mu się i złożył niski ukłon, bo poznał człowieka, w którego żyłach płynęła krew elfów.

— Witaj! — powiedział. — Dawno już potomkowie Nimrodel opuścili lasy Lorien, a jednak nie wszyscy, jak widać, pożegnawali z przystani Amroth na zachód, za wielką wodę.

— Tak mówią stare legendy mojej ojczyzny — odparł książę — ale nigdy jeszcze od niepamiętnych lat nie zjawił się w tych stronach syn najpiękniejszego

plemienia. Dziwi mnie to spotkanie pośród trosk i wojny. Czego szukasz tutaj?

— Jestem jednym z dziewięciu uczestników wyprawy, którą Mithrandir podjął wyruszając z Imladris — przedstawił się Legolas — i przybyłem tu wraz z moim przyjacielem, tym oto krasnoludem, w świecie Aragorna. Chcielibyśmy zobaczyć się z naszymi druhami, Meriadokiem i Peregrinem, którzy, jak nam mówiono, są twoimi podkomendnymi.

— Znajdziecie ich obu w Domach Uzdrawień. Chętnie was tam zaprowadzę — odparł książę.

— Wystarczy, jeśli będziesz łaskaw dać nam jakiegoś mniej dostojnego przewodnika — rzekł Legolas. — Przyniosłem bowiem wezwanie od Aragorna; nie chce on teraz powracać do grodu, ale ponieważ trzeba, żeby dowódcy naradzili się niezwłocznie, zaprasza ciebie i Eomera do swego namiotu. Mithrandir już tam jest, Aragornowi zależy na pośpiechu.

— Pójdziemy zaraz — odrzekł Imrahil i rozstali się wymieniając jeszcze na pożegnanie uprzejme słowa

— Szlachetny książę i wielki wódz — stwierdził Legolas. — Jeśli Gondor takich mężów ma jeszcze dziś, o zmierzchu swojej historii, jakże wspaniały musiał być ten kraj w chwale swego świtu.

— W kamieniu też wtedy dobrze pracowali — zauważył Gimli. — Najlepsza robota w najwcześniejszych budowlach. Tak to jest z ludźmi; zaczynają gorliwie, ale wiosną zdarzają się przymrozki, a latem burze i późniejsze dzieło nie dotrzymuje pierwszych obietnic.

— Rzadko jednak ziarno obumiera całkowicie — powiedział Legolas. — Czekaj nieraz w pyle i zgniliznie, by wykiełkować mimo wszystko w czasie i w miejscu nieprzewidywanym. Dzieła ludzkie przeżyją nas, mój Gimli.

— A przecież w końcu okażą się tylko cieniem tego, co być mogło — rzekł krasnolud.

— Na to elfy nie znają odpowiedzi — odparł Legolas.

Nadszedł wyznaczony przez księcia sługa, aby ich zaprowadzić do Domów Uzdrawień, gdzie zastali w ogrodzie swych przyjaciół. Radosne to było spotkanie; chwilę przechadzali się razem, korzystając z krótkiego odpoczynku w spokoju i ciszy poranka, chłonąc świeży powiew w tych górnych, wystawionych na wiatr kręgach grodu. Potem, gdy Merry zmęczył się, zasiedli na murze, plecami odwrócenii do zielonej oazy otaczającej Domy Uzdrawień, twarzami zaś na południe, ku lśniącej w słońcu Anduinie, która płynęła w oddali tak, że nawet bystre oczy Legolasa nie widziały jej wyraźnie, i ginęła pośród rozległych równin i przymglonej zieleni Lebennin i Południowego Ithilien.

Legolas milczał, gdy inni gawędzili, wpatrzony w dal, aż dostrzegł w słońcu białe morskie ptaki lecące w górę Rzeki.

— Patrzcie! — zawołał. — Mewy! Lecą w głąb lądu. Dziwi mnie to i niepokoi. Nigdy jeszcze nie spotkałem ich, dopóki nie dotarliśmy do Pelargiru, a i tam

słyszałem tylko ich okrzyk w powietrzu, kiedy płynęliśmy do bitwy na okrętach. Wtedy na moment zapomniałem o wojnie na obszarach Śródziemia, bo ich żaloszny głos mówił mi o Morzu. Morze! Niestety, nie widziałem go. Ale głęboko w sercach moich współplemieńców drzemie tęsknota do Morza, którą niebezpiecznie jest budzić. Mewy ją we mnie zbudziły. Nie zaznam już spokoju pod dębami i bukami w lesie.

— Nie mów tak! — odparł Gimli. — Zostało nam jeszcze w Śródziemiu mnóstwo rzeczy do zobaczenia i wiele do zrobienia. Gdyby wszystkie elfy odpłynęły z Przystani, świat byłby mniej piękny dla tych, którzy muszą tutaj trwać dalej.

— Mniej piękny i straszny — powiedział Merry. — Nie myśl o Szarej Przystani, Legolasie. Zawsze będą różne istoty, duże albo małe, a nawet przemądrzałe krasnoludy, którym będziesz bardzo potrzebny. Przynajmniej taką mam nadzieję. Chociaż czasem myślę, że najgorsze dni tej wojny są jeszcze przed nami. Jakże bym chciał, żeby się wreszcie skończyła i żeby się skończyła dobrze.

— Nie kracz! — zawołał Pippin. — Słońce świeci, jesteśmy razem dziś, a pewnie potrwa to jeszcze co najmniej parę dni. Opowiedzmy sobie o swoich przygodach. Mów, Gimli! Obaj z Legolasem dziś od rana wiele razy napomykaliście o dziwnej podróży, którą odbyliście z Obieżyświatem, ale nie opowiedzieliście właściwie nic o niej.

— Tu wprawdzie słońce świeci — rzekł Gimli — ale zachowałem po tej podróży wspomnienia, których wolę nie wywoływać z mroku. Gdybym był z góry wiedział, co mnie tam czeka, nawet najserdeczniejsza przyjaźń nie skłoniłaby mnie chyba do wstąpienia na Ścieżkę Umarłych.

— Ścieżka Umarłych! — powtórzył Pippin. — Słyszałem, jak Aragorn wspominał tę nazwę, i dziwiłem się, co to znaczy. Czy możesz mi wytłumaczyć?

— Niechętnie — odparł Gimli. — Spotkał mnie na tej Ścieżce wstyd. Ja, Gimli, syn Gloina, który siebie uważałem za odważniejszego i wytrwalszego od ludzi, a w podziemiach nawet od elfów, zawiodłem się na sobie. Tylko wola Aragorna trzymała mnie podczas tej podróży.

— Wola Aragorna i twoja miłość do niego — powiedział Legolas. — Ktośkolwiek bowiem go pozna, musi go pokochać na swój sposób, nawet ta zimna księżniczka Rohirrimów. Opuszczaliśmy Dunharrow o świcie w wigilię tego dnia, w którym ty przybyłeś tam, Merry; strach tak poraził ludzi, że nikt nie zjawił się, by nas pożegnać, prócz tej pięknej dziewczyny, która teraz leży tutaj ciężko ranna. Rozstanie było bolesne, i mnie, gdym na nie patrzył, też serce bolało.

— Ja niestety miałem dość własnych zmartwień — oświadczył Gimli. — Nie, nie chcę mówić o tej podróży.

Umilkł, ale Pippin i Merry tak dopominali się o opowieść, że w końcu Legolas rzekł:

— Powiem wam tyle, ile trzeba, żeby zaspokoić na razie waszą ciekawość. Co do mnie, widma ludzi nie budziły we mnie zgrozy ani strachu, wydawały mi się

bowiem bezsilne i wątle.

Pokrótkce opowiedział o upiornej drodze pod górami, o spotkaniu przy Głazie Erech, o spieszonym marszu do odległego o dziewięćdziesiąt trzy staje stamtąd Pelargiru nad Anduiną.

— Cztery dni i cztery noce jechaliśmy bez spoczynku do Czarnego Głazu, aż piątego dnia, kiedy znaleźliśmy się w Cieniu Mordoru, wstąpiła we mnie otucha, bo w ciemnościach Widmowe Wojsko jak gdyby nabrało więcej sił i wyglądało znacznie groźniej. Byli tam wojownicy na koniach i piesi, wszyscy jednak posuwali się równie szybko. Milczeli, ale oczy im błyszczały. Na wyżynie Lamedonu prześcignęli naszych jeźdźców i otoczyli nas, byliby bez nas poszli naprzód, gdyby ich Aragorn nie wstrzymał. Na jego rozkaz cofnęli się natychmiast. „Nawet widma umarłych ludzi są posłuszne jego woli — pomyślałem. — Mogą nam jeszcze oddać duże usługi”. Minął jeden dzień jasny i drugi, w którym słońce nie wzeszło, a my jechaliśmy wciąż dalej, przeprawiając się przez rzeki Kiril i Ringlo. Trzeciego dnia dotarliśmy do Linhiru, przy ujściu Gilrainy. Tam ludzie z Lamedonu bronili brodów przed zbójcami z Umbaru i Haradu, którzy napłynęli z dolnego biegu rzeki. Ale zarówno obrońcy, jak napastnicy porzucili bitwę i uciekli na nasz widok, krzycząc, że zjawił się Król Umarłych. Tylko władca Lamedonu, Angbor, odważył się czekać na niezwykłych gości. Aragorn polecił mu zebrać znów swoich wojowników i po przejściu widmowego wojska pociągnąć za nami, jeśli im starczy odwagi. „W Pelargirze spadkobierca Isildura będzie was potrzebował” — rzekł Aragorn.

Przeprawiliśmy się więc przez Gilrainę, pędząc wystraszonych sojuszników Mordoru przed sobą, a na drugim brzegu odpoczęliśmy chwilę. Wkrótce bowiem Aragorn zerwał się mówiąc: „Minas Tirith już jest obleżone! Lękam się, że gród padnie, zanim przybędziemy z odsieczą”. Nie czekając, aż noc minie, skoczyliśmy znów na siodła i pomknęli ile sił w koniach przez równiny Lebenninu.

Legolas przerwał, westchnął i zwracając wzrok na południe zaśpiewał z cicha:

Srebrzem płyną rzeki od Kelos do Erui
Przez zielone łąki Lebenninu!
Bujna rośnie trawa, na wietrze od Morza
Lilie się kołyszają.
Dzwonią złote dzwonki, mallos i alfirin,
Na wietrze od Morza.

— W pieśniach elfów łąki Lebenninu są zielone, wtedy jednak zalegał nad nimi mrok i zdawały się szare wśród czarnej nocy. Po całym ich rozległym obszarze, deptąc kwiaty i trawę, ścigaliśmy nieprzyjaciół od rana i przez następny dzień, aż wieczorem dotarliśmy nad Wielką Rzekę.

Serce mi mówiło, że Morze stąd niedaleko, woda rozlewała się w ciemności szeroka i niezliczone chmary ptactwa gnieździły się po wybrzeżach. Tam na swoją

niedolę usłyszałem krzyk mew. Czyż piękna Pani z Lorien nie ostrzegała mnie przed nim? Odtąd już go nie mogę zapomnieć.

— Co do mnie, to nie zwracałem na ptactwo uwagi — rzekł Gimli — bo tam nareszcie zaczęła się na dobre bitwa. W przystani Pelargiru stała główna flota Umbaru, pięćdziesiąt dużych okrętów i mniejszych statków bez liku. Wielu uchodzących przed nami nieprzyjaciół dobiegło wcześniej już do Pelargiru siejąc tam panikę. Niektóre okręty wypłynęły z przystani, próbując uciec w dół Rzeki albo schronić się przy odległym przeciwległym brzegu., a sporo mniejszych statków podpalono, by ich nie oddać w nasze ręce. Ale Haradrimowie, przyciśnięci niejako do muru, zdecydowali się stawić nam czoło i bili się z desperacką furją. Ze śmiechem natarli na nasz mały oddział, bo mieli ogromną jeszcze wciąż przewagę liczebną. Wtedy jednak Aragorn stanął w strzemionach, obrócił się i potężnym głosem krzyknął: „Do mnie. Na Czarny Głaz zaklinam, do mnie!” I nagle Zastęp Cieni, który trzymał się dotychczas za nami, runął naprzód niby szara fala przyływu, zmiatając wszystko, co napotkał na swej drodze. Słyszałem stłumione wołania, nikły głos rogów, szept niezliczonych ust; brzmiało to jak echo jakiejś zapomnianej bitwy z dawnych zamierzchłych Czarnych Lat. Błyskały blade miecze, ale nie dowiedziałem się, czy ostrza ich nie stępiały po wiekach, bo Umarli nie potrzebowali używać innego oręża prócz strachu. Nikt nie ośmielił się im przeciwstawić. Najpierw wpadli na okręty przycumowane przy brzegu, potem zagarnęli te, które stały na kotwicy pośrodku nurtu; załoga, oszałała z przerażenia, skakała za burty z wyjątkiem niewolników przykutych do wiosł. Bez przeszkód, rozbijając w puch resztki uciekających nieprzyjaciół, osiągnęliśmy brzeg Rzeki. Na każdy z dużych okrętów posłał Aragorn jednego z Dunedainów, którzy uspokoiли wylekłych galerników i uwolnili ich z łańcuchów. Zanim się ten mroczny dzień skończył, zabrakło nam przeciwników do walki; kto z nich nie zginął lub nie utonął, ten umykał na południe w nadziei, że pieszo uda mu się dotrzeć do swej ojczyzny. Dziwne i niepojęte wydało mi się, że zamiary Mordoru pokrzyżowane zostały za sprawą upiorów szerzących postrach i wyległych z ciemności. Pokonaliśmy Nieprzyjaciela jego własną bronią.

— Tak, to dziwna rzecz — przyznał Legolas. — Patrzałem wtedy na Aragorna i myślałem, jak wielkim i groźnym władcą mógłby się stać człowiek o takiej sile woli, gdyby zatrzymał dla siebie Pierścień Władzy. Nie na próżno Mordor tak przed nim drży. Ale to duch szlachetniejszy, ponad pojęcie Saurona; czyż nie jest z rodu pięknej Luthien? Nigdy potomstwo jej nie wyginie, choćby nieprzeliczone lata przeszły nad światem.

— Takie przepowiednie sięgają dalej niż wzrok krasnoludów — rzekł Gimli — ale to prawda, że wspaniały i potężny wydał nam się Aragorn owego dnia. Cała czarna flota znalazła się w jego ręku; wybrał sobie największy okręt i wszedł na jego pokład. Kazał zagrać na wszystkich surmach zdobytych na Nieprzyjacielu; na ten sygnał Zastęp Cieni wycofał się na brzeg. Umarli stanęli tam w ciszy; nie

było widać nic prócz ich oczu, świecących czerwonym odbłaskiem pożaru okrętów. Aragorn przemówił do nich grzmiącym głosem: „Słuchajcie, co wam oznajmia spadkobierca Isildura! Dopełniliście przysięgi. Wracajcie do swej siedziby i nigdy więcej nie nawiedzajcie dolin. Odejdźcie w pokój!”

Król Umarłych wystąpił naprzód, złamał włócznie i rzucił jej szczątki na ziemię. Skłonił się nisko, odwrócił i szara chmura jego wojowników zaczęła oddalać się, aż znikła niby mgła rozwiana gwałtownym podmuchem wiatru. Miałem wrażenie, że budzę się ze snu.

Tej nocy odpoczywaliśmy, gdy inni pracowali. Uwolniono wielu jeńców i niewolników, wśród których nie brakowało Gondorczyków, pojmanych w czasie łupieżczych wypadów; wkrótce też zgromadziło się mnóstwo ludzi z Lebennin i Ethiru; przybył Angbor z Lamedonu prowadząc tylu jeźdźców, ilu zdołał zebrać. Skoro strach posiany przez Zastęp Cieni rozwiął się, przyszli nam na pomoc i pragnęli zobaczyć spadkobiercę Isildura, którego imię było już na ustach wszystkich i przyciągało tłumy niby ogień świecący w ciemności.

Opowieść nasza dobiega końca. Wieczorem bowiem i nocą przygotowano okręty do dalszej drogi i obsadzono załogą, a ze świtem flota popłynęła w górę Rzeki. Wydaje się, że to już bardzo dawna historia, a przecież działo się to zaledwie przedwczoraj, rankiem szóstego dnia od wyruszenia z Dunharrow. Aragorn wciąż przynaglał do pośpiechu bojąc się przybyć pod Minas Tirith za późno.

„Czterdzieści dwie staje dzielą Pelargir od przystani w Harlond — powiedział. — A musimy tam dopłynąć jutro. Inaczej wszystko będzie stracone”.

Przy wiosłach siedzieli teraz wolni ludzie i pracowali dzielnie. Posuwaliśmy się jednak wolno, bo pod prąd, a chociaż tu, w dolnym biegu Rzeki nie jest on zbyt ostry, nie wspierał nas w żegludze wiatr. Toteż mimo zwycięstwa odniesionego w Pelargirze ciężko byłoby mi na sercu, gdyby Legolas nie roześmiał się nagle. „Podnieś brodę do góry, synu Durina! — zawołał. — Przypomnij sobie przysłowie: „Kiedy jest najciemniej, wtedy błyska znów nadzieja”... Nie chciał mi wszakże powiedzieć, w czym upatruje nadzieję. Noc nie była ciemniejsza od dnia, a nas paliła niecierpliwość, bo w dali na północy zobaczyliśmy pod chmurami ogromną lunę, Aragorn zaś rzekł: „Minas Tirith płonie!” Lecz około północy rzeczywiście zjawiała się nadzieja. Doświadczeni żeglarze z Ethiru spoglądając na południe przepowiadali zmianę pogody i wiatr od Morza. Daleko jeszcze było do świtu, gdy na maszty wciągnięto żagle i statki popłynęły szybciej, tak że o brzasku dzioby ich pruły ostro białą pianę wody. Dalszy ciąg znasz: około trzeciej godziny poranka przy pomyślnym wietrze i słonecznej pogodzie wpłynęliśmy do przystani Harlond i rozwinęliśmy sztandar idąc do bitwy. Wielki to był dzień, pamiętna zostanie ta godzina, cokolwiek miałoby się w przyszłości zdarzyć.

— Cokolwiek się zdarzy, wielkich czynów nic nie umniejszą — powiedział Legolas. — Przejście Ścieżki Umarłych było wielkim czynem i wielkim czynem zostanie, choćby w Gondorze zabrakło kiedyś ludzi, aby o nim wyśpiewali pieśń.

— Kto wie, czy nie dojdzie do tego — rzekł Gimli. — Aragorn i Gandalf miny mają zatroskane. Ciekaw jestem, co tam uradzą pod namiotem w polu. Zgadza mi się z Meriadokiem i także bym pragnął, żeby tym naszym zwycięstwem zakończyła się już wojna. Ale jeżeli zostało jeszcze coś do zrobienia, chciałbym w tym wziąć udział dla honoru plemienia spod Samotnej Góry.

— A ja dla honoru plemienia z Wielkiego Lasu — powiedział Legolas — i z miłości do Władcy Krainy Białego Drzewa.

Przyjaciele umilkli, chociaż długo jeszcze siedzieli w tym górującym nad polami ogrodzie, każdy zatopiony we własnych myślach. A dowódcy tymczasem toczyli naradę.

Książę Imrahil pożegnawszy Gimlego i Legolasa natychmiast wysłał gońca po Eomera i razem z nim wyszedł z grodu spiesząc ku namiotowi Aragorna, ustawionemu na polu niedaleko od miejsca, gdzie poległ król Theoden. Zastali tam prócz Aragorna i Gandalfa synów Elronda, również wezwanych na naradę.

— Najpierw chcę wam przekazać ostatnie słowa Namiestnika Gondoru, które przed zgonem w mojej obecności wypowiedział — zagał Gandalf. — Denethor rzekł: „Na krótko, na jeden dzień może zatryumfujesz na polu bitwy. Ale przeciw potędze, która rozrosła się w Czarnej Wieży, nic nie wskórasz”. Nie wzywam was, za jego przykładem, do rozpaczki, ale do rozważenia zawartej w tych słowach prawdy.

Kryształ nie kłamie, nawet władca Barad-Duru do tego zmusić ich nie umie. Może jednak podsuwać słabszemu duchem człowiekowi te widoki, które sam wybierze, lub też narzucić mu błędne ich rozumienie. Mimo wszystko nie wątpię, że Denethor, gdy zobaczył potężne siły zgromadzone przeciw nam w Mordorze i wciąż narastające — zobaczył rzeczy prawdziwe.

Ledwie nam starczyło sił, żeby odepchnąć pierwsze poważne natarcie. Następne będzie z pewnością jeszcze groźniejsze. W tej wojnie, jak słusznie mówił Denethor, nie mamy nadziei na ostateczne zwycięstwo. Nie da się osiągnąć go zbrojnie czy to siedząc w grodzie i wytrzymując jedno oblężenie po drugim, czy to ruszając w otwarte pole za Rzekę, gdzie musielibyśmy ulec miazdzącej przewadze. Możemy wybierać między tymi dwiema możliwościami, a obie są złe. Ostrożność radziłaby umocnić posiadane fortece i czekać na napaść. W ten sposób przedłużylibyśmy czas, jaki nam został jeszcze do życia.

— A więc radzisz zamknąć się w Minas Tirith czy też w Dol Amroth albo w Dunharrow i siedzieć tam jak dzieci w zamku z piasku, gdy nadciąga fala przypływu? — zapytał Imrahil.

— Nie byłoby to nic nowego — odparł Gandalf. — Czy wiele więcej robiliście przez cały czas panowania Denethora? Ale ja tego nie radzę. Powiedziałem, że tak radziłaby ostrożność. Nie jestem zwolennikiem ostrożności. Stwierdziłem, że nie

da się osiągnąć zwycięstwa czynem zbrojnym. Wierzę nadal w zwycięstwo, nie liczę tylko na siłę oręża. Pamiętajmy, że główną sprężyną wojennych poczynań Mordoru jest Pierścień Władzy, fundament siły Barad-Duru, nadzieja Saurona.

Wszyscy tu obecni wiedzą o tej sprawie dość, by jasno rozumieć położenie nasze i Saurona. Jeżeli Nieprzyjaciół odzyska Pierścień, na nic się nie zda nasze męstwo; Sauron odniesie zwycięstwo szybkie i tak pełne, że nikt nie mógłby spodziewać się końca jego tryumfów, póki trwać będzie ten świat. Jeśli Pierścień zostanie zniszczony, Sauron upadnie, i to tak głęboko, że nie sposób przewidywać, by kiedykolwiek powstał. Straci bowiem najcenniejszą część swojej potęgi, tę, która miał na początku, która była nieodłączna od jego istoty; wszystko, cokolwiek z jej pomocą działał i rozpoczął — zwali się wtedy w gruzy, on zaś na zawsze będzie pokonany, zmieni się w nędznego złego ducha, który w ciemnościach sam siebie zżera, nie mogąc na nowo przybrać kształtu ani rosnąć. Wtedy świat byłby uwolniony od wielkiego zła.

Inne złe siły mogą się pojawić, bo Sauron też jest tylko sługą i wysłannikiem. Ale nie do nas należy panowanie nad wszystkimi falami przepływającymi przez ten świat; my mamy za zadanie zrobić, co w naszej mocy, dla tej epoki, w której żyjemy, wytrzebić chwasty ze znanego nam pola, aby przekazać następcom rolę czystą, gotową do uprawy. Jaka im będzie sprzyjała pogoda, to już nie nasza rzecz i na to nie możemy mieć wpływu.

Sauron wszystko to dobrze wie i wie, że skarb, który niegdyś utracił, został odnaleziony. Nie wie jednak, gdzie jest ten skarb... przynajmniej mam nadzieję, że tego jeszcze nie wie. Toteż dręczą go wątpliwości. Gdyby Pierścień był w naszym posiadaniu, są między nami ludzie dość silni, by nim się posłużyć. To również wie Sauron. Nie mylę się chyba, Aragornie, zgadując, że pokazałeś mu się w kryształach Orthanku?

— tak, zrobiłem to przed wyjazdem z Rogatego Grodu — odparł Aragorn. — Osądziłem, że czas dojrzał do tego i że kryształ nie przypadkiem wpadł mi w ręce. Było to w dziesięć dni po wyruszeniu powiernika Pierścienia znad wodogrzmotów Rauros na wschód; uważałem, że trzeba odciągnąć Oko Saurona od jego własnej krainy. Zbyt nieliczni byli śmiałkowie, którzy odważali się rzucać mu wyzwanie, odkąd powrócił do Czarnej Wieży. Gdybym jednak był przewidział, jak błyskawicznie odpowie przyspieszeniem napaści, może bym się nie ośmielił mu pokazać. O mały włos, a nie zdążyłbym z odsieczą do Minas Tirith.

— Nie rozumiem — odezwał się Eomer. — Powiedziałaś, Gandalfie, że wszelkie wysiłki byłyby daremne, gdyby Sauron odzyskał Pierścień. Czyżby on nie zaniechał daremnej napaści, gdyby podejrzewał, że my posiadamy Pierścień?

— Nie jest pewny — odparł Gandalf — i nie budował swojej potęgi na biernym oczekiwaniu, aż przeciwnik umocni swoje stanowisko, jak to my robiliśmy. Wie też, że z dnia na dzień nie nauczylibyśmy się wykorzystywać w pełni władzy Pierścienia. Pierścień może mieć jednego tylko pana, nigdy kilku naraz. Może

Sauron czyha na wybuch sporu między nami; gdyby jeden z najsilniejszych wśród nas zagarnął skarb poniżając innych, Sauron mógłby może coś na tym zyskać, gdyby się w porę zorientował.

Toteż czuwa i śledzi nas. Dużo widzi, dużo słyszy. Nazgule wciąż krążą nad światem. Dzisiaj przed wschodem słońca przelatwały nad tym polem, chociaż mało kto z utrudzonych i śpiących ludzi to zauważył. Bada znaki: miecz, który ongi zabrał mu Pierścień i który teraz przekuto na nowo; wiatr, który się obrócił na naszą korzyść; niespodziewaną porażkę pierwszego natarcia; upadek swego wielkiego wodza.

Przez ten czas, gdy tutaj obradujemy, jego wątpliwości jeszcze się wzmożyły. Oko wysilone śledzi nas, niemal ślepe na wszystko inne. Musimy je na sobie jak najdłużej skupić. W tym cała nadzieja. Moja rada jest więc taka: Nie mamy Pierścienia. Mądrość czy też szaleństwo kazało nam wysłać go tam, gdzie może zostać zniszczony, zamiast czekać, by nas zniszczył. Bez niego nie możemy siłą przeciwstawić się potędze Saurona. Ale musimy za wszelką cenę odwrócić uwagę Oka od istotnego niebezpieczeństwa, które mu grozi. Nie możemy zwyciężyć orężem, lecz walką orężną możemy wzmocnić tę nikłą szansę, jedyną szansę, jaką ma powiernik Pierścienia, by spełnił swoją misję.

Trzeba podjąć to, co zaczął Aragorn, zmusić Saurona do wypuszczenia ostatniej strzały z kołczana. Wywabić do walki wszystkie jego siły, aby z nich ogołocił własny kraj. Ruszymy na spotkanie z Nieprzyjacielem natychmiast. Staniemy się przynętą, chociaż pewnie wpadniemy w jego paszczę. Chwyci tę przynętę jako jedyną szansę albo z chciwości, pomyśli bowiem, że nasze zuchwalstwo jest dowodem zaufania nowego posiadacza Pierścienia. Powie sobie: „A więc tak! Zbyt pośpiesznie i za daleko nowy władca wysuwa głowę. Niech no podejdzie bliżej, a już ja go przyłapię w potrzask, z którego się nie wymknie. Zmiażdżę go, a skarb, który miał czelność zagarnąć, znów będzie mój i to na wieki!”

Musimy z otwartymi oczyma wleźć do pułapki, odważnie, bez wielkiej nadziei na własne ocalenie. Bardzo wydaje się prawdopodobne, że zginiemy w boju z ciemnością, w krainie cieni, z dala od ojczyzny i przyjaciół; nawet jeżeli Barad-Dur rozsypie się w gruzy, my nie dożyjemy może nowych, lepszych czasów. Mimo to uważam, że obowiązek nakazuje nam tak właśnie postąpić. Zresztą lepiej zginąć w ten sposób niż inaczej, bo zguba nieuchronnie spotkałaby nas i tak, gdybyśmy beczynn timer tutaj czekali, ale wtedy ginęlibyśmy wiedząc, że nowy, lepszy dzień nigdy nad światem nie wzejdzie.

Długą chwilę trwało milczenie. Wreszcie odezwał się Aragorn.

— Skoro zacząłem, pójdę aż do końca tą drogą. Stanęliśmy teraz na krawędzi, gdzie się spotyka nadzieja z rozpaczą; wahając się, na pewno runiemy w przepaść. Nie wolno dziś odrzucać rady Gandalfa, bo prowadzona przez niego od lat walka z Sauronem teraz dojrzała do ostatecznej próby. Gdyby nie Gandalf, dawno wszystko byłoby stracone. Jednakże nie chcę nikomu narzucać mojej woli. Niech

każdy sam dokona wyboru.

Zabrał głos Elrohir:

— Po to wędrowaliśmy aż tutaj z dalekiej północy i taką samą radę przynieśliśmy od naszego ojca Elronda. Nie zawrócimy z drogi.

— Co do mnie — rzekł Eomer — niewiele wiem o tych trudnych i tajemniczych sprawach. Ale też nie potrzebna mi głębsza wiedza. Wystarczy mi wiedzieć, że mój przyjaciel Aragorn ocalił mnie i mój lud. Pójdę za jego wezwaniem.

— Ja zaś uważam się za lennika króla Aragorna, czy on tego żąda, czy nie — powiedział książę Imrahil. — Jego życzenie jest dla mnie rozkazem. Pójdę za nim. Tymczasem jednak zastępuję Namiestnika Gondoru i winienem przede wszystkim myśleć o plemieniu, które mi powierzono w opiekę. Nie wolno zaniedbać całkowicie ostrożności. Musimy być przygotowani zarówno na nieszczęśliwy, jak i pomyślny wynik przedsięwzięcia. Zostaje mimo wszystko iskra nadziei, że zwyciężymy, a w takim razie Gondor warto zabezpieczyć. Nie chciałbym wrócić zwycięski do zburzonego grodu i wyniszczonego kraju. A mogłoby się to stać za naszymi plecami. Rohirrimowie donieśli, że na prawym skrzydle została armia nieprzyjacielska jeszcze nie tknięta.

— To prawda — rzekł Gandalf. — Nie radzę też wcale, aby gród ogołocić z załogi. Nie potrzebna nam w tej wyprawie na wschód armia, która by mogła poważnie zagrozić Mordorowi, lecz taka, która wystarczy, by skusić Nieprzyjaciela do stoczenia bitwy. Ważny jest też pośpiech. Pytam więc dowódców wojskowych, jakie siły mogą zebrać i mieć gotowe do wymarszu najdalej za dwa dni? Muszą to być ludzie mężni, świadomi niebezpieczeństwa i gotowi zmierzyć się z nim dobrowolnie.

— Wszyscy są strudzeni, wielu jest ciężiej lub lżej rannych — powiedział Eomer. — Ponieśliśmy duże straty w koniach, co dotkliwie umniejsza gotowość naszych oddziałów. Jeśli mamy ruszyć już za dwa dni, nie spodziewam się zgromadzić więcej niż dwa tysiące jeźdźców, tym bardziej że trzeba przecież drugie tyle zostawić do obrony grodu.

— Możemy liczyć nie tylko na oddziały, które walczyły pod Minas Tirith — rzekł Aragorn. — Nowe nadciągną z południowych krajów lennych, skoro już wybrzeże zostało wyzwolone od Nieprzyjaciela. Cztery tysiące ludzi wysłałem z Pelargiru przez Lossarnach dwa dni temu, prowadzi je nieustraszony Angbor. Jeśli wyruszymy dopiero za dwa dni, zdążą tu na czas. Poza tym liczniejsze jeszcze zastępy wezwałem do przybycia drogą wodną, wszelkimi statkami i barkami, jakimi mogą rozporządzać, wiatr jest pomyślny, więc przy płyną wkrótce, wiele statków już się zjawiało w Harlond. Myślę, że zbierzemy około siedmiu tysięcy konnych i pieszych i mimo to zostawimy w grodzie silniejszą załogę, niż miało Minas Tirith w momencie pierwszej napaści.

— Brama zburzona — przypomniał Imrahil. — Gdzie znaleźć rzemieślników, zdolnych ją odbudować jak należy?

— W Ereborze, w królestwie Daina — odparł Aragorn. — Jeśli nasze nadzieje nie zawiodą, wyślę później Gimlego, syna Gloina, z prośbą o użyczenie nam biegłych robotników spod Samotnej Góry. Ludzie jednak więcej znaczą niż najmocniejsze bramy; nie wstrzyma Nieprzyjaciela żadna brama, jeśli opuszczą ją obrońcy.

Na tym skończyła się narada dowódców. Postanowiono wyruszyć w dwa dni później, w sile siedmiu tysięcy, jeżeli uda się tyle żołnierzy zebrać; znaczną część miała stanowić piechota, bo górzysty kraj, do którego się wybierano, nie nadawał się dla konnicy. Aragorn miał zgromadzić około dwóch tysięcy spośród zwerbowanych na południu lenników; Imrahil przyrzekł trzy i pół tysiąca wojowników, Eomer — pięciuset Rohirrimów, którzy stracili konie, lecz byli zdolni do walki; sam zaś miał stanąć na czele pięciuset doborowych jeźdźców; w drugim oddziale jazdy, również złożonym z pięciuset konnych, mieli jechać Dunedainowie i rycerze z Dol Amrothu; w sumie — sześć tysięcy pieszych i tysiąc konnych. Główne siły Rohirrimów, którzy mieli wierzchowce i sami byli w pełni zdolni do władania bronią, około trzech tysięcy jeźdźców, miały strzec Zachodniego Szlaku przed nieprzyjacielską armią z Anorien. Natychmiast rozesłano zwiadowców na północ i na wschód, żeby przepatrzyli kraj między Osgiliath a drogą do Minas Morgul.

Gdy zakończono obrachunek sił, zarządzono przygotowania do wyprawy i opracowano marszrutę, nagle Imrahil wybuchnął śmiechem.

— Doprawdy! — wykrzyknął. — To najwspanialszy żart w dziejach Gondoru. Ruszamy w siedem tysięcy, z oddziałem, godnym stanowić w najlepszym razie tylko przednią straż tej armii, którą rozporządzaliśmy za dni naszej potęgi, aby sforsować ścianę gór i niezdobytą Czarną Bramę! Równie dobrze mogłoby dziecko napaść na zakutego w zbroję rycerza, mając łuk ze sznurka i strzałę z wierzbowej gałązki. Jeżeli Władca Ciemności rzeczywiście tak dużo wie, jak nam to mówiłeś, Mithrandirze, to pewnie zamiast drżeć ze strachu uśmiecha się w tej chwili, pewny, że zgniecie nas jednym palcem niby natrętą osę, która go chciała ukłuć.

— Nie. Będzie próbował złowić osę, żeby jej wyrwać żądło — odparł Gandalf. — Są też wśród nas tacy, których imię więcej na wojnie znaczy niż tysiąc zakutych w zbroję rycerzy. Nie. Sauron nie będzie się uśmiechał.

— Ani my — powiedział Aragorn. — jeśli to żart, to zbyt gorzki, by pobudzać do uśmiechów. Ale to nie żart, lecz ostatnie posunięcie, które rozstrzygnie i tak czy owak zakończy bardzo groźną grę. — Dobył Andurila i podniósł go w blask słońca. — Nie wrócisz już do pochwy, póki nie rozegra się ostatnia bitwa! — rzekł.

ROZDZIAŁ X

Czarna Brama

W dwa dni później armia gotowa do wymarszu zebrała się na polach Pelenoru. Banda ludzi i orków służących Sauronowi posunęła się z Anorien ku grodowi, lecz zaatakowana i rozbita przez Rohirrimów pierzchła niemal bez walki w stronę Kair Andros; kiedy więc to zagrożenie znikło i nadeszły posiłki z południa, gród był dość dobrze zabezpieczony. Zwiadowcy stwierdzili, że na wschodnim szlaku aż po Rozstaje Dróg przy pomniku obalonego króla nigdzie nie ma nieprzyjacielskich wojsk. Wszystko było gotowe do ostatniej próby, Legolas i Gimli na jednym koniu jechali w oddziale Aragorna; Gandalf, Dunedainowie i synowie Elronda należeli do jego przedniej straży. Ale Merry ku swemu wielkiemu zawstydzeniu nie uczestniczył w wyprawie.

— Brak ci jeszcze sił do takiej podróży — powiedział Aragorn — nie masz się jednak czego wstydzić. Gdybyś nawet w tej wojnie nic więcej nie zdziałał, już zdobyłeś prawo do największej chluby. Peregrin będzie z nami jako przedstawiciel plemienia hobbitów z Shire’u. Nie zazdrość mu tego niebezpiecznego zaszczytu, bo chociaż sprawiał się dzielnie, o tyle, o ile mu na to pozwalały okoliczności, nie dorównał jeszcze twoim wyczynom. Wiedz też, że w gruncie rzeczy wszyscy są jednako narażeni. Może nam przyjdzie zginąć pod Bramą Mordoru, a wówczas ty będziesz walczył na ostatniej placówce, czy tutaj, czy gdziekolwiek cię nawała ciemności dosięgnie. Bywaj zdrów!

Stał więc Merry zrozpaczony i patrzył na wyciągnięte w szyku szeregi. Towarzyszył mu Bergil, również smutny, bo ojciec jego miał maszerować w oddziale ochotników z grodu, nie mogąc powrócić do królewskiej gwardii, póki nie zostanie osądzony. Do tego samego oddziału włączono Pippina jako żołnierza Gondoru. Merry widział go z dość bliska, małą, lecz dzielnie sprzężoną figurkę między roslymi ludźmi z Minas Tirith.

Zagrały trąby i armia ruszyła w pochód. Pułk za pułkiem, kompania za kompanią przesuwały się dążąc na wschód. Dawno już zniknęli z oczu na drodze wiodącej ku Grobli, a Merry wciąż stał zamyślony na miejscu. Ostatni odblask porannego słońca zamigotał w grotach włóczni i hełmach i zgasł w oddali., lecz hobbit

nie mógł się zdecydować na powrót do miasta; zwiesił głowę, zasmucony rozłąką z przyjaciółmi i bardzo samotny. Wszyscy najbliżsi sercu odeszli i zniknęli we mgle osnuwającej widnokrąg na wschodzie, nie było też wielkiej nadziei, że kiedykolwiek w życiu zobaczy ich znowu. Jak gdyby rozbudzony przez ten bolesny nastrój, ból w ręce odezwał się na nowo; Merry czuł się stary i słaby, a słońce zdawało mu się dziwnie blade. Ocknął się, gdy Bergil dotknął jego ramienia.

— Chodźmy, dzielny perianie — powiedział chłopiec. — jesteś jeszcze cierpiący, jak widzę. Odprowadzę cię do Domów Uzdrawień. Nic się nie bój! Nasi wrócą. Nikt nie pokona ludzi z Minas Tirith, tym bardziej teraz, kiedy jest z nimi Kamień Elfów, no i gwardzista Beregon!

P przed południem armia dotarła do Osgiliath. Krzatali się tam robotnicy i rzemieślnicy, ilu ich zdołano zgromadzić. Jedni wzmacniali promy i związane z członkami mosty, które nieprzyjaciół zbudował, a potem przed ucieczką częściowo zniszczył; inni porządkowali w składach zapasy i zdobycze, a jeszcze inni na wschodnim brzegu Rzeki sypali pospiesznie obronne szanice. Czoło pochodu minęło ruiny Dawnego Gondoru i przeprawiwszy się przez Anduinę pociągnęło dalej gościńcem, który za dobrych czasów łączył piękną Wieżę Słońca ze strzelistą Wieżą Księżyca, dziś przezwana Minas Morgul i sterczącą nad przeklętą doliną. O pięć mil za Osgiliath rozbito obóz kończąc marsz dzienny.

Jeźdźcy wszakże pocwałowali dalej, by przed wieczorem stanąć u Rozstaja Dróg. W wielkim kręgu drzew cisza panowała zupełna; nie widać było nigdzie w pobliżu nieprzyjaciół, nie słychać było krzyków ani wołania, żadna strzała nie świsnęła spośród skalnych złomisk czy też z gęstwy zarośli, a mimo to w miarę posuwania się naprzód wszyscy wyczuwali czujne napięcie całej okolicy. Drzewa, kamienie i liście jak gdyby nasłuchiwały. Ciemności rozproszyły się i słońce zachodziło w blasku nad doliną Anduiny, a białe szczyty gór rumieniły się w niebieskiej dali, lecz nad Ered Duath zalegał cień i mrok.

Aragorn rozstawił trębaczy na każdej z czterech dróg rozbiegających się z kręgu drzew, by zagrali głośną fanfarę, po czym heroldowie obwieścili donośnie: „Prawi władcy Gondoru powrócili i obejmują znów w posiadanie podległy sobie kraj!” Strącono i rozbito szkaradny łeb orka sterczący na kamiennym posągu i osadzono z powrotem na swym miejscu głowę króla, nie tykając jednak wieńca białych i złocistych kwiatów, które ją oplótły koroną; ludzie zmyli i zatarli też błuźniercze znaki, którymi orkowie splugawili kamienny cokół.

Podczas narady były głosy, aby zacząć od ataku na Minas Morgul, gdyby zaś udało się wieżę zdobyć, zburzyć ją doszczętnie. „Kto wie — mówił Imrahil — czy droga prowadząca stamtąd na przełęcz nie okaże się dogodniejsza do głównego natarcia na siedzibę Nieprzyjaciela niż Czarna Brama od północy”. Gandalf jednak sprzeciwiał się temu stanowczo z uwagi na złą sławę tej doliny, której okrop-

ność przyprawiała ludzi o obłąd, a także z powodu wiadomości dostarczonych przez Faramira. Jeśli bowiem powiernik Pierścienia rzeczywiście tę drogę obrał, nie wolno było na nią ściągnąć uwagi czujnego Oka Mordoru. Gdy więc nazajutrz cała armia dołączyła się do przedniej straży, rozstawiono silne warty na Rozstaju Dróg, aby bronić tego miejsca w wypadku gdyby Nieprzyjaciół próbował przez przełęcz Morgul wysłać jakieś wojska lub ściągnąć tędy posiłki z południa. Do tej służby przeznaczono najlepszych łuczników znających teren w Ithilien; mieli oni ukryci w lesie i na stokach czuwać wokół Rozstaju Dróg. Gandalf i Aragorn wraz z czołowym oddziałem podjechali jednak do wylotu doliny Morgul, żeby spojrzeć z dala na przekłętą fortecę.

Ukazała im się ciemna i cicha, bo orkowie oraz inni pośledniejsi słudzy Władcy Ciemności, zazwyczaj stanowiący jej załogę, wyginęli w bitwie. Nazgulów zaś nie było teraz w tych stronach. Mimo to powietrze doliny zadawało się ciężkie od grozy i wrogości. Gondorczyści rozwalili most i podpalili cuchnące łąki, po czym opuścili to miejsce.

Następnego dnia, trzeciego od wyruszenia z Minas Tirith, armia rozpoczęła marsz gościńcem na północ. Tą drogą było od Rozstaju do Morannonu około stu mil, nikt też nie mógł przewidzieć, co ich czeka, zanim do celu dotrą. Posuwali się jawnie, chociaż ostrożnie, poprzedzani przez konnych zwiadowców i strzeżeni z obu stron gościńca, zwłaszcza od wschodu, przez pieszych; tu bowiem biegł wzdłuż drogi ciemny gąszcz, teren był zryty rozpadlinami zjeżony skałkami, nad którymi piętrzył się wydłużony, ponury grzbiet Efel Duath. Pogoda była dość piękna, wiatr wciąż dmuchał od zachodu, lecz nic nie mogło rozwiać mroków i posępnych mgieł Ignących do zboczy Gór Cienia; zza ich ściany wzbijały się niekiedy słupy gęstego dymu tworząc ciemne chmury wysoko na niebie.

Od czasu do czasu na rozkaz Gandalfa heroldowie powtarzali zawołanie: „Władcy Gondoru wracają! Niech bezprawni posiadacze opuszczą ten kraj i oddadzą go prawowitemu gospodarzowi”.

— Nie powinni wołać: „Władcy Gondoru”, lecz „Król Elessar powrócił” — rzekł Imrahil. — To przecież prawda, chociaż król jeszcze nie objął tronu, a na Nieprzyjaciół większe zrobi wrażenie, jeśli heroldowie będą rozgłaszać to imię.

Odtąd więc trzy razy dziennie heroldowie oznajmiali pochód króla Elessara. Nikt jednak nie odpowiedział na to wyzwanie.

Jakkolwiek posuwali się pozornie bez przeszkód, ciężar niepokoju przytłaczał wszystkie serca, od najwyższych dowódców do ostatniego żołnierza, z każdą zaś przebytą milą potęgowały się złe przeczucia. Pod koniec drugiego dnia od wymarszu z Rozstaju Dróg po raz pierwszy nadarzyła się sposobność do starcia z Nieprzyjacielem. Silny oddział orków i ludzi z dalekich wschodnich krajów spróbował wciągnąć przednią straż w zasadzkę. Stało się to w tym samym miej-

scu, gdzie Faramir zaskoczył kiedyś wojska Haradu; droga tu wciniała się głęboko pomiędzy wysunięte ramiona górskiego łańcucha. Lecz zwiadowcy, doświadczeni żołnierze z Henneth Annun prowadzeni przez Mablunga, w porę ostrzegli o niebezpieczeństwie, a zasadzka zmieniła się w pułapkę dla orków. Jeźdźcy bowiem ominęli to miejsce szerokim łukiem od zachodu i natarli z flanki na nieprzyjaciół kładąc większość trupem, a niedobitków przepędzając ku wschodowi i góróm. Zwycięstwo to niezbyt jednak podniosło na duchu dowódców.

— To był podstęp — rzekł Aragorn — który miał na celu, jak przypuszczam, omamienie nas rzekomą słabością przeciwnika, nie zaś poważne przeszkodzenie nam w marszu.

Od tego wieczora pojawiały się Nazgule i śledziły wszystkie ruchy armii. Lały wciąż wysoko, niedostrzegalne dla oczu słabszych niż oczy elfa Legolasa, lecz ludzie poznawali ich obecność po gęstnieniu cieni i zamgleniu słońca, a chociaż Upiory Pierścienia nie zniżały się nad wojskiem i milczały, nie trwożąc ludzi krzykiem, siał strach, z którego trudno było się otrząsnąć.

Tak mijał czas i ciągnął się beznadziejny marsz. Czwartego dnia po opuszczeniu Rozstaja, a szóstego od wyjścia z Minas Tirith dotarli do kresu krain kwitnących życiem i wkroczyli na ziemie spustoszone, leżące przed wrotami przełęczy Kirith Gorgor; stąd widzieli bagniska i pustkowia, które ciągnęły się na północ i wschód aż do Eryn Muil. Był to kraj tak posępny i tchnący tak okropną grozą, że co słabszym ludziom zabrakło odwagi, by iść lub jechać dalej ku północy.

Aragorn patrzył na nich raczej ze smutkiem niż z gniewem, byli to bowiem młodzi chłopcy z Rohanu, z odległej Zachodniej Bruzdy, albo też rolnicy z Losarnach, którzy od dzieciństwa przywykli Mordor uważać nie za kraj istniejący rzeczywiście, lecz za symbol zła, za legendę, nie mającą nic wspólnego z ich powszednim życiem. Teraz nagle koszmarny sen okazał się okrutną jawą, a niešťczęśnicy nie rozumieli ani sensu tej wojny, ani dlaczego los ich właśnie w jej wiry zepchnął.

— Wracajcie — powiedział im Aragorn — ale zachowajcie przynajmniej tyle honoru, aby nie uciekać w panice. Możecie też spełnić pewne zadanie, aby uniknąć ostatecznej hańby. Kierujcie się na południowy zachód, by trafić do Kair Andros, a jeśli ta placówka, jak przypuszczam, jest w ręku wroga, odbijcie ją, bo to się wam może udać, i utrzymujcie do końca dla ochrony Gondoru i Rohanu.

Niektórzy, zawstydzeni litością wodza, przezwyciężyli swój strach i zostali, by dalej uczestniczyć w wyprawie; inni, ożywieni nową nadzieją, że mają do spełnienia obowiązek nie przekraczający ich sił, odeszli. Ponieważ zaś spory oddział został już przedtem na straży Rozstaja, ledwie sześć tysięcy ruszyło teraz do boju

o Czarną Bramę przeciw potędze Mordoru.

Posuwali się wolno, oczekując lada chwila jakiejś odpowiedzi na rzucone wyzwanie, i trzymali się w zwartej kolumnie, bo wysyłanie zwiadowców lub małych patroli zdawało się prózną stratą, osłabiającą tylko główne siły. Wieczorem piątego dnia marszu z doliny Morgul rozbili ostatni obóz i rozpalili ogniska z suchych gałęzi i wrzosów, z trudem zebranych na tej jałowej ziemi. Noc spędzili czuwając, na pół świadomi obecności różnych stworów, które czaiły się wokół, i nasłuchując wycia wilków. Wiatr ustał, powietrze znieruchomiło. Nic prawie nie było widać, mimo czystego nieba i rosnącego od czterech nocy księżyca, bo dymy i opary snuły się nad ziemią, a księżyc przesłaniała mgła Mordoru. Zrobiło się zimno. Nad ranem wiatr się znów podniósł, lecz wiał teraz z północy i wkrótce zmienił się w ostry, chłodny podmuch. Nocne stwory zniknęły, okolica wydawała się pusta. Na północy wśród cuchnących jam pokazały się pierwsze ogromne usypiska żużlu, rumowisk skalnych, spopielalej ziemi — ślady kreciej roboty niewolników Mordoru; na południu i znacznie już bliżej piętrzył się potężny mur Kirith Gorgor, z Czarną Bramą pośrodku, z dwiema wysokimi, ponurymi Zębatymi Wieżami z obu stron. Na ostatnim bowiem etapie marszu dowódcy sprowadzili swoją armię ze starego gościńca w miejscu, gdzie skręcał na wschód, i uniknąwszy w ten sposób zdradzieckich pagórków zbliżali się teraz do Morannonu od północo-zachodu, podobnie jak przedtem Frodo.

Ujrzeni dwoje ogromnych drzwi Czarnej Bramy, zamkniętych szczelnie pod surowymi łukami sklepień. Na wieżach nie było widać żywej duszy. Panowała cisza, ale cisza pełna napięcia. Doszli więc do celu szaleńczej wyprawy i stanęli bezradnie, zziębnięci w szarym brzasku dnia, przed fortecą i murami tak potężnymi, że nie mogli mieć nadziei próbując je atakować, nawet gdyby przyprowadzili z sobą maszyny oblężnicze i gdyby Nieprzyjaciel rozporządzał tylko garstką obrońców, wystarczającą zaledwie do obsadzenia samej Bramy. A przecież, jak wiedzieli, góry i skały nad Morannonem roiły się od ukrytych nieprzyjacielskich żołnierzy, a w ciemnym wąwozie z wydrążonymi tunelami czyhały wrogie siły. Zobaczyli też wszystkie Nazgule krążące niby sępy w powietrzu nad Zębatymi Wieżami, wiedzieli, że są śledzeni, lecz wciąż jeszcze Nieprzyjaciel nie dawał znaku życia.

Nie mieli wyboru, musieli do końca prowadzić rozpoczętą grę. Aragorn ustawił swoją armię w takim porządku, na jaki teren pozwalał; szeregi skupiły się na dwóch dużych pagórkach, utworzonych ze zgruchotanych kamieni i ziemi podczas długich lat mozolnej pracy orków. Przed nimi ku Mordorowi ciągnęło się niby fosa rozległe bagnisko, pełne cuchnącego błota i zgniłych rozlewisk. Gdy skończono przygotowania, grupa dowódców wysunęła się pod Czarną Bramę w otoczeniu przybocznej straży, z chorągwią, heroldami i trębaczami. Byli w tej grupie

Gandalf, jako główny herold, Aragorn, synowie Elronda, Eomer z Rohanu i książę Imrahil; dołączono też Legolasa, Gimlego oraz Pippina, żeby wszystkie plemiona walczące z Mordorem miały swoich świadków w tym poselstwie.

Zbliżyli się do Morannonu na odległość głosu, rozwinęli sztandar i zadęli w trąby; heroldowie wysunęli się naprzód, by donośnymi głosami dosięgnąć uszu ukrytych za murami.

— Pokażcie się! — krzyknęli. — Niech Władca Kraju Ciemności wyjdzie do nas na rozmowę! Przybywamy wymierzyć sprawiedliwość. Albowiem winien jest napaści na Gondor i zniszczenia tego kraju. Król Gondoru żąda, aby naprawił wyrządzone szkody i wycofał się na zawsze. Wyjdźcie do nas na rozmowę!

Zapadła cisza i przez długą chwilę żaden głos, okrzyk ani szmer nie odpowiedział na wyzwanie. Sauron wszystko jednak z góry obmyślił i zamierzał okrutnie poigrać z myszą, nim zada jej śmiertelny cios. Kiedy dowódcy chcieli zawrócić spod Bramy, nagle ciszę zakłócił przeciągły werbel niby grzmot toczący się wśród gór, a potem ryk rogów tak potężny, że kamienie zadrżały, a ludzie zdrętwieli ogłuszeni. Jedne drzwi Czarnej Bramy otwarły się z głośnym brzękiem i ukazało się w nich poselstwo, wysłane z Czarnej Wieży. Na czele jechał wysoki mąż, odrażającej postaci, na czarnym koniu, jeśli godzi się nazwać koniem ogromną, wstrętną bestię o strasliwym pysku, z łbem podobnym do trupiej końskiej czaszki, ziejącą płomieniem z oczodołów i nozdrzy. Jeździec, owinięty czarnym płaszczem, w wysokim czarnym szyszaku, nie był jednak upiorem, lecz żywym człowiekiem. Imienia tego pełnomocnika Barad-Duru nie zachowała żadna pieśń ani legenda, on sam bowiem go zapomniał, kiedy przedstawiając się rzekł:

— Jestem rzecznikiem Saurona.

Mówiono jednak, że był to odszczepieniec z plemienia tak zwanych Czarnych Numenorejczyków, którzy osiedli w Śródziemiu za czasów potęgi Saurona i oddawali mu cześć, ponieważ rozmiłowali się w tajemnej wiedzy czarnoksięstwa. Ten człowiek oddał się służbie Czarnej Wieży natychmiast po odrodzeniu się jej potęgi, a dzięki chytryści piął się coraz wyżej w hierarchii sług Saurona i pozyskał jego łaski. Zgłębił też sztukę czarnoksięską i znał dość dobrze zamysły swego pana, w okrucieństwie zaś nie ustępował orkom. Takiego parlamentariusza wysłał Sauron w otoczeniu kilku tylko na czarno odzianych żołnierzy, z czarną flagą oznaczoną czerwonym godłem strasliwego Oka. Zatrzymawszy się w odległości paru kroków od grupy Aragorna, poseł Mordoru zmierzył wzrokiem przeciwników i roześmiał się głośno.

— Czy jest w tej zgrai ktoś na tyle poważny, by ze mną prowadzić rokowania? — spytał. — Albo przynajmniej dość rozgarnięty, żeby mnie zrozumieć? Chyba nie ty? — zadrwił zwracając się do Aragorna. — Żeby uchodzić za króla, nie wystarczy przypiąć sobie szkiełko elfów i otoczyć się zbrojną hałastrą. No cóż, każdy rozbójnik z gór może poszczycić się podobną bandą.

Aragorn nic nie odpowiedział, lecz spojrzał tamtemu w oczy i nie odrywał

wzroku przez długą chwilę; zmagali się spojrzeniem, a chociaż Aragorn nie poruszył się ani ręką nie sięgnął broni, wysłannik Mordoru zachwiał się i cofnął, jakby pod grozą ciosu.

— Jestem heroldem i posłem, nie godzi się mnie tknąć! — krzyknął.

— Tam gdzie tego rodzaju prawa są w poszanowaniu, poselstwo zazwyczaj nie pozwala sobie na tak obelżywy ton — odparł Gandalf. — Nikt jednak tutaj nie zamierzał cię tknąć. Nie obawiaj się z naszej strony niczego, dopóki pełnisz swoją misję poselską. Potem wszakże, jeśli twój pan nie okaże rozsądku, wszyscy jego słudzy z tobą włącznie znajdą się rzeczywiście w wielkim niebezpieczeństwie.

— Ach tak! — rzekł poselstwo Mordoru. — A więc ty jesteś rzecznikiem tej zgrai, siwy brodaczu! Od dawna cię znamy, wiemy wszystko o twoich podróżach, o spiskach i złośliwych przeciw nam intrygach, które knujesz, sam jednak trzymając się zwykle w bezpiecznej odległości. Tym razem nareszcie wysunąłeś swój wścibski nos za daleko, Gandalfie, przekonasz się, co spotyka tych, którzy ośmielają się w swym szaleństwie spiskować przeciw Wielkiemu Sauronowi. Mam tutaj kilka drobiazgów, które on polecił właśnie tobie przekazać, gdybyś ośmielił się przyjść pod jego Bramę.

To rzekłszy skinął na jednego ze swoich żołnierzy, który wystąpił niosąc zawiniątko okryte czarną płachtą.

Wysłannik Mordoru rozwinął je; ku swemu zdumieniu i rozpaczy towarzysze Aragorna zobaczyli w ręku strasznego posła najpierw krótki mieczyk, który zwykł był nosić przy boku Sam, potem szary płaszcz spięty klamrą elfów, wreszcie kołczugę z mithrilu, którą Frodo ukrywał pod zniszczonym wierzchnim ubraniem. Na ten widok pociemniało im w oczach; mieli wrażenie, że przez chwilę napiętej ciszy świat zatrzymał się w biegu, serca w ich piersi zamarły i ostatni iskra nadziei zgasała. Pippin stojący za księciem Imrahilem skoczył naprzód z okrzykiem bólu.

— Spokój! — surowo rozkazał Gandalf osadzając hobbita w miejscu.

Wysłannik Mordoru roześmiał się szyderczo.

— A więc przyprowadziliście z sobą więcej tych pokurczów! — zawołał. — Trudno pojąć, jaki z nich pożytek, w każdym razie wysłanie ich jako szpiegów do Mordoru to pomysł przekraczający nawet granice waszego znanego szaleństwa. Mimo wszystko, dziękuję temu smykowi, bo dostarczył mi dowodu, że nie pierwszy raz widzi te rzeczy; próżno teraz wypieralibyście się, że je znacie.

— Nie myślę się tego wypierać — odparł Gandalf. — Tak jest, znam te rzeczy i całą ich historię; ty natomiast mimo swej pychy, nikczemny rzeczniku Mordoru, niewiele o nich wiesz. Dlaczego je tutaj przyniosłeś?

— Zbroja krasnoludów, płaszcz elfów, miecz dawno obalonych władców Zachodu i szpieg z nędznego kraiku zwanego Shire'em... Wzdrygnąłeś się? Tak, tak, o tym kraiku także nam wszystko wiadomo. A więc — mamy niezbite dowody spisku. Może ten, który te rzeczy nosił, jest wam obojętny i jego los wcale was nie wzrusza, a może przeciwnie, jest wam bardzo drogi? Jeśli tak, radzę wam iść

po rozum do głowy, po tę resztkę rozumu, jaka wam została. Sauron nie cacka się ze szpiegami, a los tego pokurcza zawisł od tego, co teraz postanowicie.

Nikt mu nie odpowiedział, ale rzecznik Mordoru spostrzegł bladość na ich twarzach i wyraz grozy w oczach; roześmiał się znowu, rad z celności zadanego ciosu.

— A więc tak! — powiedział. — Jest wam drogi, to jasne. Albo może zadanie, które mu wyznaczycie, miało dla was szczególną wagę? Nie spełnił go oczywiście. Teraz poniesie karę, powolną, na wiele lat rozłożoną torturę, wedle sztuki, z której słynie nasza Wspaniała Wieża, i nigdy nie wyjdzie na wolność, chyba po to, żeby się wam pokazać tak odmieniony i złamany, iż pożałujecie własnego szaleństwa. To się stanie, jeżeli nie przyjmiecie warunków mojego Władcy.

— Wymień je — rzekł Gandalf głosem stanowczym, lecz ci, którzy stali blisko niego, widzieli na twarzy Czarodzieja wyraz tajonej udręki i wydał im się nagle bardzo starym, bardzo znużonym człowiekiem, przybitym i ostatecznie pokonanym. Nikt nie wątpił, że Gandalf przyjmie podyktowane warunki.

— Oto one — powiedział wysłannik Saurona i ze złośliwym uśmiechem powiódł spojrzeniem po twarzach przeciwników. — Banda Gondoru i jego obałamuczonych sprzymierzeńców wycofa się natychmiast poza Anduinę złożywszy przedtem przysięgę, że nigdy więcej nie ośmieli się napastować Wielkiego Saurona zbrojnie, jawnie ani też skrycie. Wszystkie ziemie na wschód od Anduiny należeć będą do Saurona odtąd i na wieki. Kraj położony na zachodnim brzegu Anduiny aż po Góry Mgliste i Wrota Rohanu będzie stanowił lenno Mordoru; ludziom tam zamieszkającym nie wolno będzie posiadać broni, lecz zarząd sprawami wewnętrznymi w tych krajach pozostanie w ich rękach. Pomogą w odbudowie Isengardu, który tak bezmyślnie zniszczyli, a który odtąd należeć będzie do Saurona; mój władca osadzi tam swego pełnomocnika, nie Sarumana, lecz kogoś bardziej godnego zaufania.

Słuchacze patrząc w oczy wysłannika Mordoru odgadli jego myśl. On to miał być pełnomocnikiem Mordoru w Isengardzie i stamtąd sprawować władzę nad niedobitkami zachodu; miał być ich tyranem, oni zaś jego niewolnikami.

— Wysoka cena za jednego jeńca — odparł Gandalf. — Twój władca chciałby w zamian za niego otrzymać to wszystko, co inaczej musiałby zdobywać w wielu ciężkich wyprawach wojennych. Czy może na polach Gondoru zgubił wiarę w wojenne zwycięstwa i woli od walki przetargi? Gdybyśmy nawet byli gotowi zapłacić tak drogo za tego jeńca, jakież mamy gwarancje, że Sauron, nikczemny mistrz oszustwa, dotrzyma ze swej strony umowy? Gdzie jest ten jeńiec? Przyprawdź go i oddaj nam, dopiero wówczas zastanowimy się nad twoimi żądaniami.

Gandalf nie spuszczał wzroku z twarzy wysłannika Mordoru, czujny jak szermierz w śmiertelnym pojedynku, i wydawało mu się, że na jedno okamgnienie tamten zawahał się nie znajdując odpowiedzi, szybko jednak zapanował nad sobą i wybuchnął śmiechem.

— Nie rzucaj słów na wiatr, kiedy mówisz do rzecznika Wielkiego Saurona! — krzyknął. — Wymagasz gwarancji? Sauron ci ich nie da. Skoro uciekasz się do jego łaski, musisz mu wierzyć na słowo. Znacie warunki. Możecie je przyjąć lub odrzucić.

— Przyjmiemy to! — niespodzianie krzyknął Gandalf. Rozchylił płaszcz i białe światło rozbłysło jak ostrze miecza na tle czarnych murów. Wysłannik Mordoru cofnął się przed podniesioną ręką Czarodzieja, a Gandalf szybko chwycił płaszcz elfów, kolczugę z mithrilu i miecz Sama. — To przyjmujemy na pamiątkę po naszych przyjaciółach! — zawołał. — Ale wasze warunki odrzucamy bez namysłu! Możesz odejść, twoje poselstwo skończone, a śmierć stoi już blisko przy tobie. Nie przyszliśmy tutaj, by tracić słowa na rokowania z Sauronem, przeklętym wiarołomcą, a tym bardziej nie chcemy rokować z jego niewolnikami. Idź precz!

Wysłannik Mordoru już się teraz nie śmiał. Zdumienie i złość wykrzywiły mu twarz; wyglądał jak dziki zwierz, który w ostatniej chwili, kiedy już wpijał pazury w ofiarę, dostał nagle rozpalonym prętem przez pysk. Wściekły, trzęsącymi się konwulsyjnie wargami rzucił jakieś niezrozumiałe przekleństwo, z trudem dobijając głosu z zaciśniętego gardła. Spojrzał w srogie twarze i błyszczące gniewem oczy towarzyszy Gandalfa i strach zatryumfował w nim nad złością. Z krzykiem odwrócił się, skoczył na swego wierzchowca i galopem ruszył z powrotem w stronę Kirith Gorgor, a cała jego świta za nim. Lecz zawracając żołnierze Mordoru zdążyli zatrzeć, dając umówiony z góry sygnał. Nim jeszcze dopadli Bramy, Sauron otworzył przygotowaną pułapkę.

Zagrzmiały bębny, wystrzeliły w górę płomienie. Wszystkie drzwi Morannonu rozwarły się nagle na oścież. Runęły przez nie zbrojne oddziały, jak fala przez otwarte śluzy.

Aragorn ze swą świtą odjechał sprzed Bramy, żegnany wrzaskiem dzikich żołdaków Mordoru. Kurz wzbił się chmurą w powietrze spod nóg maszerującego pułku Easterlingów, którzy na sygnał wyszli z cienia Ered Lithui, wznoszącego się za dalszą Wieżą. Niezliczone zastępy orków zbiegały po zboczach gór po obu stronach Morannonu. Armia Gondoru znalazła się w potrzasku; wokół szarych pagórków, na których się skupiła, wkrótce zamknął się krąg wojsk nieprzyjacielskich, dziesięćkroć co najmniej liczniejszych. Sauron chwycił przynętę w stalowe szczęki.

Niewiele czasu miał Aragorn na ustawienie swojej armii do bitwy. Sam stał na pagórku wraz z Gandalfem pod chorągwią z Drzewem i Gwiazdami, którą kazał rozwinąć w pięknym i desperackim geście. Na drugim pagórku jaśniały sztandary Rohanu i Dol Amrothu, Biały Koń i Srebrny Łabędź. Wokół każdego wzgórza stanął żywy mur wojowników, twarzami zwróconych na wszystkie strony świata, zbrojnych we włócznie i miecze. Na wprost Bramy Mordoru, skąd miał przyjść

pierwszy najzaciętszy atak, stali synowie Elronda mając po lewej ręce Dunedainów, a po prawej księcia Imrahila i smukłych rycerzy Dol Amrothu oraz wybranych najdzielniejszych gwardzistów z Minas Tirith.

Zadał wiatr, zagrały surmy, świsnęły strzały; słońce podnoszące się ku zenitowi przesłoniły dymy Mordoru i w tej złowrogiej aureoli świeciło z daleka ciemną czerwienią, jakby już zbliżał się koniec wszystkich jasnych dni świata. W gęstniejącym mroku ukazały się Nazgule i rozległ się ich mrozący krew w żyłach morderczy krzyk; nadzieja zamarła w sercach.

Pippin skulił się ze zgrozy, gdy usłyszał, jak Gandalf odrzuca warunki Nieprzyjaciela, skazując Froda na tortury Czarnej Wieży; pokonał jednak rozpacz i stał teraz obok Beregonda w pierwszym szeregu Gondorczyków wraz z rycerzami Dol Amrothu. Uznał bowiem, że gdy wszystko zawiodło, trzeba co rychlej przypieczętować śmiercią tę gorzką historię życia.

— Szkoda, że nie ma tutaj Meriadoka! — usłyszał swój własny głos. Myśli roily się w jego głowie, gdy śledził ruchy przeciwnika, posuwającego się już do natarcia. — Teraz dopiero zaczynam rozumieć biednego Denethora. Moglibyśmy przynajmniej razem zginąć, Merry i ja, skoro i tak zginąć trzeba. No, ale Merry jest daleko stąd, miejmy więc nadzieję, że przypadnie mu w udziale śmierć mniej okrutna. Bądź co bądź, muszę sprzedać życie jak najdrożej.

Wyciągnął miecz i przyjrzał się splecionym na ostrzu czerwonym i złotym liniom; piękne pismo Numenoru lśniło ogniście w stali. „Wykuto tę broń na tę właśnie godzinę — myślał Pippin. — Gdyby mi się udało zabić tego nikczemnego wysłannika, dorównałbym niemal Meriadokowi. No, kogoś z tej podłej zgrai na pewno uśmiercę, zanim sam padnę. Szkoda, że nigdy już nie zobaczę jasnego słońca i świeżej trawy!”

W tym momencie pierwsza fala natarcia uderzyła o mur obrońców. Orkowie, nie mogąc się przedostać przez bagnisko, leżące u stóp pagórka, zatrzymali się na brzegu i stamtąd sypnęli strzałami. Lecz przez bandę orków przecisnął się duży oddział górskich trollów z Gorgoroth. Biegli rycząc jak dzikie bestie; więksi i ciężsi niż ludzie, okryci tylko przylegającą ciasno do ciała łuską, która może była ich zbroją, a może własną potworną skórą, mieli wielkie, krągłe, czarne tarcze i w sękatych potężnych rękach nieśli wzniesione do ciosu ciężkie młoty. Bez wahania skoczyli w błotniste rozlewiska i brnęli przez nie wśród ogłuszającego wrzasku. Jak burza spadli na zwarte szeregi Gondoru druzgocąc hełmy i czaszki, ramiona i tarcze, niby kowale kujący rozgrzane i miękkie żelazo.

U boku Pippina Beregond zachwiał się i padł. Olbrzymi przywódca trollów pochylił się nad leżącym wyciągając chciwe pazury, bo te bestie miały zwyczaj przegryzać gardła pokonanych przeciwników. Pippin dźgnął w pasji mieczem; pokryte runami ostrze przebiło łuski i dosięgło trzewi trolla. Trysnęła czarna posoka.

Olbrzym jak podcięta skała runął naprzód grzebiąc pod swoim cielskiem hobbita. Pippin przygnięciony jęknął z bólu; otoczyła go ciemność, wstrętny smród zaparł mu oddech; tracił przytomność, zapadał w czarną otchłań.

„A więc koniec taki, jak przewidziałem” — podszepnęła mu ostatnia umykająca myśl i zdążył jeszcze zaśmiać się w głębi duszy, bo wydało mu się niemal radosne, że wyzwala się wreszcie z resztek wątpliwości, trosk i strachu. Ale po-
grążając się w niepamięci usłyszał głosy i rozróżnił w nich słowa, jak gdyby wracające z dalekiego, zapomnianego świata: „Orły! Orły nadlatują!” Na mgnienie oka Pippin zawahał się na krawędzi ciemności. „Bilbo! — przemknęło mu przez głowę. — Ale nie! To działo się w jego historii, dawno, dawno temu. A teraz rozgrywa się, a właściwie kończy się moja historia. Żegnajcie!” Myśli uciekły gdzieś bardzo daleko, oczy zamknęły się w ciemności.

KSIEGA VI

ROZDZIAŁ XI

Wieża nad Kirith Ungol

Sam z trudem dźwignął się z ziemi. W pierwszym momencie nie mógł się zorientować, gdzie jest, ale po chwili przypomniał sobie wszystko, całą beznadziejną i rozpaczliwą prawdę. Znajdował się przed dolną Bramą orkowej fortecy; spiżowe drzwi były zamknięte. Musiał zemdleć, gdy próbował je otworzyć naporem własnego ciała, ale nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny. Przedtem był rozgorączkowany, zdesperowany i wściekły, teraz dygotał z zimna. Przyczołgał się pod drzwi i przytknął do nich ucho.

Z daleka dochodziła wrzawa i zmieszane głosy orków, lecz coraz niklejsze, oddalające się, aż wreszcie ucichły zupełnie. Głowa bolała Sama, przed oczyma migotały w ciemności skry, starał się jednak pozbierać myśli. Jedno zdawało się bądź co bądź jasne: że przez te drzwi nie dostanie się do fortecy orków. Musiałby czekać na ich otwarcie kto wie ile dni, a na to nie mógł sobie pozwolić, każda chwila była rozpaczliwie cenna. Nie miał już wątpliwości, co jest jego pierwszym obowiązkiem; wiedział, że musi ocalić Froda, choćby mu przyszło tę próbę przypłacić własnym życiem.

„Najbardziej prawdopodobne, że zginę, to zresztą najłatwiejsze” — powiedział sobie markotnie, chowając Żądło do pochwy i odwracając się od spiżowych drzwi. Z wolna włókł się w górę ciemnym tunelem nie odważając się użyć światła elfów. Idąc usiłował w głowie uporządkować wszystkie zdarzenia od początku wędrówki z Rozstaja Dróg. Nie mógł się zorientować w porze dnia; przypuszczał, że jest noc, ale nawet rachunek dni mylił mu się teraz. W tym kraju ciemności gubiło się dni, tak jak gubił się każdy, kto tutaj zabłądził.

„Ciekawe, czy też przyjaciele w ogóle o nas pamiętają — myślał — i co się z nimi dzieje tam, w ich świecie?” Niezdecydowanym gestem wskazał przed siebie, nie wiedząc, że kierując się znów do tunelu Szeloby jest zwrócony twarzą ku południowi, nie ku zachodowi, jak sądził. Na jasnym świecie słońce stało blisko zenitu i był dzień czternastego marca według Kalendarza Shire’u; Aragorn właśnie płynął na czele czarnej floty z Pelargiru, Merry z Rohirrimami cwałował przez Dolinę Kamiennych Wozów, a w Minas Tirith szerzyły się pożary i Pippin

z przerażeniem śledził coraz wyraźniejszy obłęd w oczach Denethora. Ale wśród wszystkich trosk i niebezpieczeństw myśli przyjaciół wciąż zwracały się do Froda i Sama. Nie byli zapomniani, ale znaleźli się poza zasięgiem bratniej pomocy, a najzyczliwsza myśl nie mogła poratować w tym momencie Sama, syna Hamfasta. Był zdany wyłącznie na siebie.

Dotarł wreszcie do kamiennych drzwi zagradzających wejście orkowego korytarza, a nie mogąc wykryć zamka ani skobla, przelazł tak jak poprzednio górą i zgrabnie zsunął się znów na ziemię. Ostrożnie przekradł się obok wylotu tunelu Szeloby, gdzie w zimnym przeciągu powiewały szczątki podartej ogromnej sieci pajęczej. Po cuchnącym cieple w głębszym korytarzu, tutaj owiał Sama przejmujący chłód, lecz to orzeźwiło go nieco. Chyłkiem wypełznął na otwartą ścieżkę.

Panowała tu złowroga cisza. Nie było jaśniej, niż zazwyczaj bywa o zmierzchu chmurnego dnia. Ogromne kłęby pary wzbijające się znad Mordoru płynęły nisko nad jego głową w stronę zachodu, tworząc pułap z dymu i chmur oświetlony od spodu posępnym krwawym blaskiem.

Sam podniósł wzrok na Wieżę orków i nagle z jej wąskich okien błysnęły światła jak małe czerwone oczy. Mógł to być jakiś sygnał. Strach przed orkami, na czas pewien przytłumiony gniewem i rozpaczą, znowu ogarnął hobbita. Nie widział innej rady, musiał szukać głównego wejścia do strasznej Wieży, lecz kolana uginały się pod nim i dygotał z przerażenia. Odwracając oczy w dół od Wieży i sterczących nad wąwozem urwisk, zmusił odporne nogi do posłuszeństwa i nasłuchując pilnie, wpatrzony w gęsty mrok skupiony pod skalnymi ścianami po obu stronach drogi, z wolna zawrócił, minął miejsce, gdzie przedtem leżał Frodo i gdzie jeszcze przetrwał wstrętny smród Szeloby, poszedł dalej, pod górę, aż dotarł znów do tej samej wnęki, w której ukrył się przed orkami kładąc na palec Pierścień i skąd obserwował przemarsz oddziału Szagrata. Przystanął, usiadł; na razie nie mógł zdobyć się na dalszą wędrówkę. Rozumiał, że jeśli przejdzie szczyt przełęczy, następny krok zaprowadzi go już naprawdę do Mordoru i że będzie to krok nieodwołalny. Nie mógłby marzyć o odwrocie. Bez wyraźnego celu wsunął znowu Pierścień na palec. Natychmiast poczuł ogromny ciężar tego brzemienia i jeszcze silniej, jeszcze bardziej paląco niż przedtem złośliwość Oka Mordoru; szukało skarbu, usiłowało przeniknąć ciemności, które Nieprzyjaciół dla własnej osłony zesłał, lecz które mu teraz przeszkadzały, potęgując jego niepokój i wątpliwości.

I znowu Sam stwierdził, że nagle słuch mu się wyostrzył, lecz wszystkie przedmioty świata przedstawiają się jego oczom blado i niewyraźnie. Widział ściany skalne jak przez mgłę, za to z wielkiej odległości słyszał bełkot nieszczęsnej Szeloby, a jak gdyby tuż obok ostre, wyraźne krzyki i szczęk metalu. Zerwał się i przylgnął płasko do skały przy ścieżce. Na szczęście miał Pierścień na palcu, bo nadciągała nowa banda orków. Tak mu się przynajmniej w pierwszej chwili zdawało. Potem jednak zrozumiał omyłkę; wyczulony słuch wprowadził

go w błąd. Wrzaski orków pochodziły z wnętrza Wieży, której najwyższy róg sterczał wprost nad nim, po lewej stronie skalnej wnęki.

Drżał, walczył z sobą, żeby zmusić się do działania. Z pewnością w Wieży rozgrywały się jakieś okropne rzeczy. Może wbrew rozkazom orkowie ulegli wrodzonemu okrucieństwu i torturują Froda, może rozszarpują go na sztuki. Sam wyteńczył słuch; odzyskał odrobinę nadziei. Niewątpliwie w Wieży toczyła się walka, orkowie bili się z sobą, doszło do bójki między Szagratem i Gorbagem. Nadzieja, jaką ten domysł natchnął hobbita, była bardzo znikoma, a jednak wystarczyła, żeby go zagrzać do czynu. W niezgodzie orków upatrywał pewną szansę. Nad wszystkimi myślami zatryumfowała miłość do Froda i zapominając o niebezpieczeństwach Sam krzyknął w głos: „Idę, panie Frodo!” Pędem wbiegł na przełęcz i przekroczył ją. Droga skręcała w lewo i opadała stromo w dół. Sam był w Mordorze.

Zdjął Pierścień; zrobił to za podszeptem jakiegoś bardzo głęboko ukrytego przeczucia groźby, ale zdawało mu się, że po prostu chce widzieć jaśniej. „Lepiej nawet najgorszej prawdzie patrzeć w oczy — mruknął do siebie. — Nic nie warto takie błędzenie we mgle”.

Surowy, okrutny i przykry widok ukazał się oczom hobbita. Spod jego stóp najwyższa grań Efel Duath opadała stromo w ciemność jaru, za którym wznosiła się grań następna, znacznie niższa, poszarpana i najeżona turniami sterczącymi niby czarne kły na tle bastionu Mordoru. Dalej, bardzo jeszcze daleko, lecz niemal na wprost, za rozlanym jeziorem ciemności przetkanej rozbłyskującymi tu i ówdzie płomieniami żarzyła się ogromna łuna; strzelały z niej wielkie słupy dymu ciemnoczerwone u podstawy, a czarne w górze, tam gdzie łączyły się w skłębiony baldachim rozpięty nad całą tą przeklętą krainą.

Sam widział przed sobą Orodruinę, Górę Ognia. Wieczne, niewyczerpane ogniska, zagrzebane głęboko pod stożkiem popiołów, rozpalały się wciąż na nowo, wzbierały i z łoskotem wyrzucały potoki spienionej skały przez pęknięcia i szczeliny ziejące na zboczach. Jedne z nich spływały ku Barad-Durowi szerokimi kanałami, inne wiły się torując sobie drogę przez kamienistą równinę, aż wreszcie ochłodzone zastygały w dziwne kształty, niby potworne smoki wypłute z głębi udręczonej ziemi. W takim to momencie ujrzał Sam Górę Przeznaczenia, a jej złowrogi blask, przesłonięty wysokim grzbietem Efel Duath przed wzrokiem tych, co wspinali się ścieżką od zachodu, teraz ukazał się hobbitowi wśród nagich skalnych ścian, jak gdyby skąpanych we krwi.

Sam olśniony tym światłem osłupiał ze zgrozy, bowiem po swej lewej ręce zobaczył w całej okazałości Wieżę Kirith Ungol. Sterczący róg, który przedtem widział z tamtej strony przełęcz, był tylko jej szczytową iglicą. Wschodnia ściana wznosiła się trzema kondygnacjami nad półką skalną, wysuniętą ze zbocza daleko w dole; od tyłu wsparta o potężną skałę, wyrastała z niej obronnymi bastionami, które spiętrzone jeden nad drugim zwężały się ku górze i zwracały na półno-

co-wschód oraz na południo-wschód olbrzymie mury, wygładzone przez dobrze w swej sztuce wyćwiczonych kamieniarzy. Wokół dolnej kondygnacji o dwieście stóp poniżej miejsca, gdzie stał Sam, wznosił się groźny mur opasujący wąski dziedziniec. Od południo-wschodu otwierała się brama, a prowadziła ku niej szeroka droga, której zewnętrzny parapet biegł skrajem przepaści, a która dalej skręcała na południe i zygzakami schodziła w mroczną dolinę, gdzie łączyła się z drogą zstępującą z Przełęczy Morgul, potem zaś ciągnęła się dnem żlebu w sto-ku Morgai aż w Dolinę Gorgoroth i tędy do Barad-Duru. Wąska górską drogą, na której stał Sam, zniżała się gwałtownie schodami i stromą ścieżką ku głównej drodze i spotykała z nią w cieniu groźnych murów opodal Bramy Wieżowej.

Sam doznał niemal wstrząsu, gdy nagle zrozumiał, że tę twierdzę zbudowano nie po to, by do niej nie dopuścić przeciwników, lecz by ich w niej zatrzymać. Była dziełem ludzi z Gondoru, ich wysuniętą najdalej na wschód placówką służącą obronie Ithilien; wzniesiono ją, gdy po zawarciu ostatniego Przymierza wszystkie plemiona Westernesie wspólnie trzymały straż nad złowrogim krajem Saurona, którego poplecznicy jeszcze się tutaj czaili wśród gór. Lecz podobnie jak w dwóch Zębatych Wieżach, Narchost i Karchost, czujność tutaj zawiodła, zdrada wydała Wieżę Wodzowi Upiorów Pierścienia i odtąd przez długie wieki pozostawała ta forteca we władaniu sił ciemności. Sauron po powrocie do Mordoru uznał, że będzie mu bardzo użyteczna, miał bowiem niewiele oddanych mu sług, mnóstwo natomiast niewolników trzymanyh postrachem; toteż głównym celem twierdzy było teraz tak jak ongi zapobieganie ucieczkom z Mordoru. Na wszelki jednak wypadek, gdyby znalazł się śmiałek, który zdołałby zakraść się w granice tej krainy, czuwała tu ostatnia, bezsenna straż, aby ująć zuchwalca, jeśliby nawet wymknął się wszystkim innym granicznym posterunkom i uszedł z życiem z tunelu Szeloby.

Z rozpaczliwą jasnością Sam uświadomił sobie, jak beznadziejne byłyby próby prześlizgnięcia się pod murem strzeżonym przez tyle par oczu i pod Bramą, gdzie z pewnością czuwały warty. Gdyby wbrew prawdopodobieństwu tego dokonał, nie zaszedłby daleko; nawet czarne cienie zalegające wszędzie tam, gdzie nie sięgał czerwony blask łuny, nie ukryłyby go przed orkami, lepiej widzącymi w nocy niż w dzień. A przecież obowiązek narzucał mu jeszcze trudniejsze zadanie, kazał nie unikać Bramy, nie uciekać od Wieży jak najdalej, lecz wejść samotnie do jej wnętrza.

Wspomniął o Pierścieniu, ale w tej myśli zamiast pociechy znalazł strach i nowe zagrożenie. Odkąd zobaczył płonącą w oddali Górę Przeznaczenia, Pierścień zaciążył mu z nową siłą. W miarę zbliżania się do wielkich ognisk, w których ongi, w zamierzchłej przeszłości, został wykuty i ukształtowany. Pierścień wzmagał swoją władzę i przewrotność tak, że opanować go mogłaby tylko bardzo

potężna wola. Sam nie miał go na palcu, lecz na łańcuszku założonym na szyję; mimo to czuł się jak gdyby sztucznie powiększony, spowity we własny rozdęty cień, i stał niby ogromny, groźny siłacz na murach Mordoru. Czuł, że ma teraz do wyboru tylko dwie drogi: albo sprzeciwi się pokusie Pierścienia, chociaż oznaczało to znoszenie okrutnej męczarni, albo przywłaszczy go sobie i wyzwie potęgę zaczajoną w ponurej fortecy w dolinie ciemności. Pierścień kusił go, kruszył jego wolę, zaćmiewał umysł. W głowie roily się hobbitowi fantastyczne wizje; widział już siebie, Sama Potężnego, Bohatera Historii, krocącego z płomiennym mieczem przez mroczny kraj na czele armii, która zgromadziła się na jedno jego skinienie, maszerującego na podbój Barad-Duru. A gdyby zwyciężył, wszystkie chmury rozpiechłyby się, zajaśniałoby słońce, na rozkaz tryumfatora Dolina Gorgoroth zmieniłaby się w kwitnący ogród pełen drzew owocujących obficie. Wystarczyłoby wsunąć Pierścień na palec i przejąć go na własność, a spełniłoby się fantastyczne marzenie.

W tej godzinie próby najwięcej pomogła mu miłość do Froda, ale poza tym tkwiący w jego naturze, mocno zakorzeniony, wciąż żywy i niezwykły zdrowy hobbitowski rozsądek. Sam w głębi serca wiedział, że nie dorósł do udźwignięcia takiego brzemienia, nawet wiedział, że nie dorósł do udźwignięcia takiego brzemienia, nawet gdyby uwodzicielskie wizje nie były tylko złudą podsuniętą umyślnie i zdradziecko, aby go zmamić. Zdawał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy potrzebuje do szczęścia i powinien pragnąć jedynie małego ogródka, w którym by mógł gospodarować swobodnie, nie zaś olbrzymiego królestwa; rozumiał, że jego zadaniem jest praca własnych rąk, a nie rozporządzanie trudem rąk cudzych.

„Zresztą wszystko to jest oszustwo — powiedział sobie. — Tamten wytropiłby mnie i zgniótł, zanimbym zdążył krzyknąć. Tutaj, w Mordorze, znalazłby mnie w okamgnieniu, gdybym teraz włożył Pierścień na palec. No cóż, trzeba przyznać, że moje położenie jest beznadziejne jak przymrozek na wiosnę. Właśnie teraz, kiedy najbardziej przydałaby mi się niewidzialność, nie wolno mi użyć Pierścienia! A jeżeli nawet zdołam posunąć się dalej w głąb kraju, Pierścień nie tylko nic mi nie pomoże, ale na dobitkę z każdym krokiem gorzej będzie mi ciążył i okrutniej będzie mnie dręczył. Co robić?”

Naprawdę jednak nie miał wątpliwości. Wiedział, że musi zejść do Bramy nie ociągając się dłużej. Wzruszył ramionami, jakby otrząsając z siebie cień i przywidzenia, i z wolna ruszył w dół. Miał wrażenie, że z każdym krokiem maleje. Wkrótce już czuł się znowu bardzo małym i przestraszonym hobbitem. Znalazł się tuż pod ścianą Wieży i wrzaski oraz zgiełk bójk słyszał wyraźnie nawet bez pomocy Pierścienia. teraz zgiełk dochodził z bliska, z dziedzińca, zza zewnętrznego muru.

Sam był w połowie zbiegającej stromo w dół ścieżki, kiedy z ciemnej Bramy

wypadło dwóch orków. Pędzili jednak nie w jego stronę; zmierzali ku głównej drodze; niespodzianie jeden, potem drugi potknął się, padł i znieruchomiał. Sam nie widział strzał, ale odgadł, że to orkowie ukryci na murze lub w cieniu Bramy strzelili za własnymi kamratami. szedł dalej tuląc się do ściany lewym ramieniem. Jedno spojrzenie w górę przekonało go, że o wspięciu się na mur nie ma mowy. Gładki kamień bez szczelin i pęknięć wznosił się na trzydzieści stóp ku przewieszonym skośnie blankom. Nie było innej drogi do wnętrza niż przez Bramę.

Pełznąć wytrwale naprzód, sam zastanawiał się, ilu orków siedzi w Wieży, ilu ma pod swoją komendą Szagrat, a ilu Gorbag i o co się dwaj dowódcy pokłócili — jeśli rzeczywiście, jak przypuszczał, wybuchła między nimi kłótnia. Oddział Szagrata liczył około czterdziestu żołnierzy, a Gorbaga dwakroć więcej, ale Szagrat prowadził oczywiście na patrol tylko część załogi twierdzy. Niemal pewny był, że posprzeczali się o Froda i łupy. Tknięty nagłą myślą Sam aż zatrzymał się na chwilę; zrozumiał wszystko jasno, jakby cała scena rozegrała się na jego oczach. Kolczuga z mithrilu! Frodo przecież miał ją na sobie, musieli ją znaleźć. Z tego zaś, co Sam podsłuchiwał, wynikało, że Gorbag bardzo chciał tę kolczugę zagarnąć. Jediną obroną Froda były rozkazy z Czarnej Wieży, jeśli dowódca orków je złamie, Frodo może zginąć w każdej chwili.

„Prędeż, nikczemny leniu!” — przynaglił sam siebie i dobywając Żądła pobiegł do otwartej Bramy. Lecz gdy miał już przejść pod ciemnym łukiem wielkiego sklepienia, poczuł wstrząs, jakby się natknął na pajęczą zasłonę Szeloby, tym razem jednak niewidzialną. Nie widział przeszkody, która zagrażała mu drogę, silniejsza od jego woli, niepokonana. Rozejrzał się i w mroku Bramy zobaczył dwóch Wartowników.

Niby olbrzymie posągi siedzieli na wysokich tronach. Każdy miał trzy zrosnięte tułowia i trzy głowy, zwrócone ku wnętrzu dziedzińca, ku środkowi Bramy i ku drodze. Były to głowy sępów, a złożone na kolanach ręce miały palce na kształt szponów. Jakby wyrzeźbieni z ogromnego bloku skalnego Wartownicy siedzieli nieruchomo, a jednak czuwali; tkwiła w nich jakaś straszliwa, czujna siła, poznająca nieprzyjaciół. Widzialna czy niewidzialna istota nie mogła przemknąć obok nich nie dostrzeżona. Nie pozwalali ani wejść, ani uciec nikomu.

Wyteżając wolę Sam raz jeszcze rzucił się naprzód i znów stanął chwiejąc się na nogach, jakby odepchnięty potężnym ciosem, który go trafił w pierś i głowę. Nie mogąc nic innego wymyślić, w porywie odwagi wyciągnął zza kurtki flakonik Galadrieli i podniósł go w górę. Białe światło rozbłysło natychmiast, rozpraszając mroki pod Bramą. Potworni Wartownicy, zimni i niewzruszeni, ukazali się teraz w całej okropności. Lśnienie ich czarnych kamiennych oczu miało w sobie tak straszny ładunek wrogiej siły, że Sam na moment skulił się z przerażenia: lecz zdawał sobie sprawę, że z każdą chwilą wola potworów słabnie i załamuje się w lęku.

Jednym susem przemknął między nimi, ale gdy jeszcze w pędzie chował znów

flakonik za pazuchę, odczuł wyraźnie, że Wartownicy znów się ocknęli i jakby stalowa sztaba zapadła za jego plecami w Bramie. Z potwornych głów dobył się wysoki, świdrujący w uszach krzyk, który echo rozniosło wśród murów Wieży przed nim. Gdzieś w górze odpowiedziało na sygnał pojedyncze ochryple uderzenie dzwonu.

„Już po mnie! — pomyślał Sam. — Jakbym zadzwonił do frontowych drzwi”.

— No, wychodź tam który! — krzyknął. — Zamelduj kapitanowi Szagratowi, że wielki wojownik, elf, przyszedł z wizytą i ma w garści miecz elfów!

Nie doczekał się odpowiedzi. Biegł dalej. Żądło lśniło błękitnie w jego ręku. Dziedziniec tonął w mroku, mimo to Sam zauważył gęsto rozrzucone na kamiennym bruku trupy. Niemal potknął się o ciała dwóch orków — łuczników, z których pleców sterczały szpilety. Im dalej, tym było ich więcej; jedni leżeli samotnie, tak jak padli od ciosu lub strzały, inni parami, spleceni z sobą w walce, jeszcze inni gromadnie, zastygli w dzikich gestach, wzajemnie dusząc się, gryząc, dźgając nożami. kamienie stały się śliskie od rozlanej ciemnej posoki.

Sam rozróżniał na odzieży martwych orków dwa godła, Znak Czerwonego Oka i Znak Księżyca, zniekształconego ohydłą trupią maską; nie zatrzymywał się jednak, aby zbadać rzecz z bliska. W głębi dziedzińca u stóp Wieży drzwi były uchylone i z wnętrza sączyło się czerwone światło. W progu leżał trup ogromnego orka. Sam przeskoczył przez niego i stanął rozglądając się bezradnie. Od drzwi ku stokom góry biegł szeroki, dzwoniący echem korytarz. Oświetlały go mętnie migocące pochodnie, zatknięte w specjalnych podstawkach na ścianach, lecz głąb korytarza niknęła w ciemności. Po obu stronach hobbit dostrzegał mnóstwo drzwi; nigdzie nie było żywej duszy, tylko kilka trupów poniewierało się po ziemi. Z tego, co zasłyszał, sam wiedział, że Frodo — żywy czy umarły — najprawdopodobniej zamknięty jest w górnej komorze na szczycie wysokiej Wieży, mógłby jednak szukać przez cały dzień, zanimby odkrył właściwą drogę.

— Wejście musi być chyba gdzieś w głębi — powiedział sobie Sam. — Cała Wieża spiętrza się jakby na tyłach. W każdym razie najlepiej kierować się światłami.

Posuwał się naprzód korytarzem, ale bardzo wolno; z każdą chwilą musiał przezwyciężać większy opór. Znowu ogarnął go strach. W głuchej ciszy jego kroki wyolbrzymione echem rozlegały się głośno, można by pomyśleć, że to jakiś olbrzym klepie płaską dłońią kamienie. Trupy, pustka, wilgotne ściany jak gdyby ociekające krwią, strach przed nagłą śmiercią, może przyczajoną za najbliższymi drzwiami lub w ciemnym zakamarku, świadomość, że za plecami w Bramie czuwa i czeka tajemnicza zła siła — za wiele tego było na jednego hobbita. Wołał stoczyć walkę — byle nie z całą zgają nieprzyjaciół naraz — niż cierpieć tę

okropną, ponurą niepewność. Starał się skupiać myśl na przyjacielu, udręczonym, a może martwym i leżącym gdzieś wśród tych groźnych murów. Szedł wytrwale dalej. Już za nim została oświetlona łuczywami część korytarza, już prawie dotarł do wielkich sklepionych drzwi w głębi, które, jak się domyślał, stanowiły wewnętrzny wylot podziemnej bramy, gdy nagle z góry dobiegł do jego uszu przeraźliwy, zduszony krzyk. Sam stanął jak wryty. Usłyszał tupot zbliżających się kroków. Ktoś pędził w dół po schodach, które musiały być blisko, bo tupot rozlegał się tuż nad głową hobbita.

Wola była w nim zbyt słaba i nie działała dość szybko, żeby powstrzymać rękę, która sięgnęła do łańcuszka i szukała Pierścienia. Sam jednak nie włożył go na palec; w momencie gdy już zamykał na nim dłoń, zobaczył biegnącego przeciwnika. Ork wyskoczył z ciemnego otworu ziejącego w prawej ścianie i biegł prosto na niego; Sam słyszał zdyszany oddech i widział błysk w przekrwionych oczach. Ork zatrzymał się osłupiały. Ujrzał bowiem nie małego wystraszonego hobbita, z trudem utrzymującego miecz w drżącej ręce, lecz wielką milczącą postać, spowitą w szary cień, rysującą się groźnie na tle migotliwego światła pochodni; postać ta wznosiła broń, której blask zadawał ból oczom orka, drugą zaś rękę zaciskała na piersi, kryjąc jakiś tajemniczy oręż, źródło wielkiej i zabójczej mocy.

Ork skulił się, wrzasnął z przerażenia, zawrócił i uciekł tam, skąd przyszedł. Nigdy jeszcze żaden pies na widok umykającej zwierzyny nie wpadł w taki bojowy szal, jak Sam wobec tego nieoczekiwanego zwycięstwa. Z krzykiem puścił się w pogoń.

— Tak! — wołał. — Elf, niezwyciężony wojownik, wtargnął do waszej twierdzy. Naprzód! Pokaż mi drogę na szczyt Wieży, jeśli nie chcesz, żebym cię ze skóry obłupił, łajdaku!

Ale ork był na własnym znanym terenie, przy tym zwinny i dobrze odżywiony, Sam natomiast nie znał tego miejsca, był głodny i wyczerpany. Schody wiły się stromo, stopnie miały bardzo wysokie; wkrótce hobbit zasapał się na nich. Ork zniknął mu z oczu, tupot jego nóg dochodził coraz cichszy, z coraz wyższych pięter. Jeszcze od czasu do czasu echo niesło wśród murów jego przenikliwe wrzaski. Potem wszystko ucichło.

Sam brnął dalej. czuł, że jest na właściwej drodze, i nabrał otuchy. Odtrącił ręką Pierścień, zacisnął pasa, „Dobra nasza — rzekł sobie. — Jeżeli wszyscy orkowie tak nie lubią mnie i mego Żądła, może cała sprawa lepiej się zakończy, niż przewidywałem. Jak się zdaje, Szagrat, Gorbag i ich kamraci odwalili za mnie lwią część roboty. Z wyjątkiem tego spłoszonego szczura, nie ma chyba już w forteczce żywej duszy”.

Ledwie to wymówił, zdrętwiał i stanął, jakby głową wyrznął o kamienną ścianę. Uprzytomnił sobie nagle sens ostatniego zdania. Nie ma już żywej duszy! Czyj to przedśmiertny jęk słyszał przed chwilą? „Frodo! Frodo! — zaszlochał Sam. — Mój pan kochany! Jeśli ciebie zabili, co zrobić? Idę, idę na szczyt Wieży, muszę

się dowiedzieć całej prawdy, choćby najgorszej”.

Wspinał się coraz wyżej. Otaczały go ciemności, tylko z rzadka rozproszone światłem łuczywa na zakręcie lub przy wejściu na następne piętra Wieży. Próbował liczyć schody, lecz po dwustu stracił rachunek. Posuwał się teraz ostrożnie, bo miał wrażenie, że gdzieś w górze słyszeć głosy, jakby rozmowę. Znaczyłoby to, że nie jeden szczur pozostał żywy w twierdzy.

W chwili gdy już desperował, nie mogąc tchu złapać i udźwignąć zmęczonych nóg, schody skończyły się niespodzianie. Sam przystanął. Rozmowa dochodziła teraz wyraźnie do jego uszu. Rozejrzał się wkoło. Stał na płaskim dachu trzeciej, najwyższej kondygnacji Wieży, na otwartym tarasie, szerokości około dwudziestu kroków, skąd dwoje niskich drzwi prowadziło na wschód i zachód. Na wschodzie widział Sam ciągnącą się w dół rozległą, ciemną równinę Mordoru i w oddali buchającą ogniem górę. Właśnie znów zakipiała w swych przepaścistych głębiach, bo nowe ogniste potoki wylały się z jej wnętrza tak rozżarzone, że łuna dosięgała nawet na tę odległość i oblewała czerwonym blaskiem szczyt Wieży. Widok na zachód przesłaniał cokolwiek potężnej iglicy sterczącej na tyłach górnego tarasu; jej zagięty róg wznosił się nad grzbietami okolicznych gór, a z wąskiego okna sączyło się światło. Drzwi do niej znajdowały się nie dalej niż o dziesięć kroków od miejsca, gdzie stał Sam; były ciemne, lecz otwarte, i zza nich dobiegały głosy.

Zrazu Sam nie słuchał rozmowy, lecz wysunąwszy się z wschodnich drzwi wyjrzał na taras. Od jednego rzutu oka stwierdził, że tutaj rozegrała się najzawziętsza walka. Taras usłany był trupami orków, odrąbanymi głowami, rękami, nogami. Zaduch śmierci unosił się nad tym pobojuwiskiem. Nagle Sam uskoczył pod osłonę kopuły, spleciony chrapliwym warknięciem, po którym zaraz rozległ się łoskot i wrzask. Hobbit poznał podniesiony, gniewny głos, ostry, brutalny i zimny głos Szagrata, komendanta Wieży.

— A więc powiadasz, Snago, że nie wrócisz na dół? Podły tchórze! Jeżeli ci się zdaje, że już mi nie starczy sił, żeby się z tobą rozprawić, to mylisz się grubo. Chodź no bliżej. Wyłupie ci oczy, tak jak przed chwilą Radbugowi. A jak przybiegną inni, każę im rzucić cię na pastwę Szeloby.

— Nikt nie przyjdzie, a w każdym razie ty już tego nie dożyjesz — odparł zuchwale Snaga. — Czy ci nie mówiłem, że łajdak Gorbag pierwszy dopadł Bramy i żaden z naszych przez nią się nie wydostał? Lagduf i Muzgasz wyskoczyli, ale zaraz za progiem padli od strzała. Widziałem wszystko z okna dokładnie. Ci dwaj byli ostatni z naszych.

— A więc musisz iść. Ja muszę zostać. Zresztą jestem ranny. Żeby Czarna Otchłań pożarła tego przekłętą buntownika Gorbaga! — Szagrat bluznął potokiem najplugawszych wyzwisk i klątw. — Dałem mu więcej, niż sam wziąłem, a ten łotr dźgnął mnie nożem, zanim zdążyłem go udusić. Musisz iść, jeśli nie chcesz,

żebyś tu na śmierć zagryzł. Trzeba przekazać zaraz wiadomość do Lugburza, inaczej obu nas czeka Czarna Otchłań. Tak, tak, ciebie też! Nie wymigasz się, jeśli będziesz tu dłużej tkwił, tchórze.

— Nie zejść po raz drugi po tych schodach — warknął Snaga — choćby mi dziesięciu dowódców rozkazywało. Rzuć ten nóż, bo ci wpakuję strzałę w brzuch. Niedługo będziesz komendantem, jak się w Lugburzu dowiedzą, co tu się działo. Ja zrobiłem swoje, biłem się z tymi morgulskimi szczurami w obronie Wieży, ale wy, obaj dowódcy, ładnego piwa nawarzyliście kłócąc się o łupy.

— Nie pyskuj! — ofuknął go Szagrat. — Trzymałem się rozkazów. To Gorbag zaczął bójkę, bo chciał przywłaszczyć sobie tę piękną kolczugę.

— Aleś ty go rozjątrzył dmąc się i chełpiąc. On zresztą okazał się mądrzejszy od ciebie. Powtarzał ci parę razy, że najgroźniejszy szpieg pozostał na wolności, a tyś nie chciał uwierzyć. Gorbag miał rację. Kręci się tutaj wielki wojownik, przeklęty elf czy też tark. Powiadam ci, że idzie tu na górę. Słyszałeś przecież dzwon. Przeszedł między Wartownikami, a to mogło się udać tylko tarkowi. Jest na schodach. I dopóki z nich nie zejdziesz, ja nie pójdę na dół. Choćbyś był nie orkiem, ale Nazgulem, nie pójdę.

— Tak gadasz?! — wrzasnął Szagrat. — To zrobisz, tamtego nie zrobisz? A jak ten wojownik zjawi się tutaj, umkniesz i zostawisz mnie samego? Niedoczekanie twoje! Przedtem ci flaki wypruję.

Z wieżyczki wyskoczył mniejszy ork, za nim Szagrat, rosły ork z długimi rękami, które sięgały do ziemi, gdy biegł zgarbiony. Lecz jedno ramię zwisało mu bezwładnie i krwawiło, pod drugim zaś trzymał spory tobołek, owinięty w czarną płachtę. Sam przykucnął za drzwiami; dostrzegł w przelocie oświetloną czerwoną łuną wstrętą, wykrzywioną z wściekłości twarz, pooraną jakby pazurami i umazaną krwią; pomiędzy wyszczerzonymi kłami pieniała się ślina, z gardła dobywał się zwierzęcy ryk.

O ile Sam ze swego ukrycia mógł obserwować tę scenę, Szagrat ścigał Snagę wokół tarasu, aż w końcu mniejszy ork wymigując się z łap większego dał nura z powrotem do wnętrza wieżyczki i zniknął. Szagrat nie pobiegł za nim. Przez wschodnie drzwi Sam zobaczył go stojącego przy parapecie, zasapanego, bezsilnie poruszającego lewą dłonią. Ork odłożył tobołek na podłogę, prawą ręką wyciągnął długi czerwony sztylet i splunął na ostrze. Wychylając się przez parapet spoglądał w dół na dziedziniec przed Bramą. Dwakroć krzyknął, lecz nikt mu nie odpowiedział. Gdy Szagrat stał tak pochylony, odwrócony plecami do tarasu, Sam ku swemu zdumieniu spostrzegł, że jeden z rzekomych trupów porusza się, czołga, wysuwa chciwe szpony i chwyta czarne zawiniątko, a potem dźwiga się na chwiejne nogi. Miał w ręku dzidę o szerokim ostrzu i krótkim złamanym trzonku. Zamierzył się, żeby przebić nią plecy Szagrata, lecz w tym momencie syknął z bólu czy może z nienawiści. Szagrat, zwinny jak jaszczurka, uchylił się błyskawicznie, okręcił się na pięcie i wbił sztylet w gardło napastnika.

— Masz za swoje, Gorbagu! — krzyknął. — A więc jeszcze nie zdechłeś? No, teraz wykończyłem cię wreszcie.

Skoczył na pierś trupa i z furią tratował, miażdżył martwe już ciało, przysiadając co chwila, by raz jeszcze dźgnąć je nożem. W końcu nasycił się zemstą, odrzucił wstecz głowę i straszliwym, ochrypłym głosem wrzasnął tryumfalnie. Oblizał ostrze sztyletu, chwycił go w zęby, porwał zawiniątko i puścił się pędem w stronę drzwi prowadzących na schody.

Sam nie miał czasu, żeby się zastanawiać. Mógł być wymknąć się przez drugie drzwi, lecz prawie na pewno ork by go spostrzegł i niedługo trwałaby zabawa w chowanego między hobbitem a dwoma okrutnymi orkami. Sam zrobił więc to, co miał najlepszego do zrobienia. Z głośnym krzykiem wyskoczył z ukrycia, by zastąpić Szagratowi drogę. Nie trzymał już ręki na Pierścieniu, ale miał na piersi tę ukrytą broń, ujarzmiającą postrachem niewolników Mordoru, a z wzniesionego w prawej ręce miecza bił blask i ranił oczy orka jak bezlitosne światło gwiazd ze straszliwego kraju elfów, którego wspomnienie wystarczało, żeby zmrozić krew w żyłach nikczemnych sług ciemności. Szagrat nie mógł przyjąć walki nie porzucając cennego łupu. Zatrzymał się warcząc złowrogo i szczerząc kły. Potem znów z właściwą orkom zwinnością dał susa w bok, a gdy Sam skoczył naprzód do ataku, Szagrat użył ciężkiego tobołka za tarczę i za oreż zarazem, ciskając go z rozmachem w twarz przeciwnika. Sam zachwiał się i nim odzyskał równowagę, Szagrat przemknął obok niego i zbiegł po schodach w dół. Sam klnąc puścił się w pogoń, ale po paru krokach dał za wygraną. Przede wszystkim musiał ratować Froda; przypominał sobie, że drugi ork wrócił do wieżyczki. Raz jeszcze trzeba było wybierać, a Sam nie miał ani chwili do namysłu. Jeśli pozwoli uciec Szagratowi, dowódca orków sprowadzi kamratów i wróci na czele całej zgromadzonej. Jeśli go będzie gonił, mniejszy ork może tymczasem dokonać straszliwej zbrodni. Zresztą Sam nie mógł być pewny, czy zdoła dogonić Szagrata i czy nie polegnie w walce z nim. Zawrócił więc na górę. „Może znów robię błąd — westchnął — ale cokolwiek potem się stanie, teraz powinienem jak najszybciej odnaleźć Froda”.

Szagrat więc bez przeszkód zbiegł po schodach, przemknął przez dziedziniec i wypadł za Bram, tuląc pod pachą czarne zawiniątko. Gdyby Sam to widział, gdyby mógł wiedzieć, jakie skutki wynikną z ucieczki Szagrata, pewnie by zadrżał. lecz Sam był zajęty wyłącznie swoim bezpośrednim zadaniem na tym ostatnim etapie drogi do uwięzionego przyjaciela. Ostrożnie podszedł do drzwi wieżyczki i przekroczył ich próg. Było ciemno, lecz z prawej strony zauważył mętne światło płynące z wylotu wąskiej klatki schodowej; kręte schody biegły wokół ścian ku szczytowi wieżyczki. Wysoko w górze migotał płomień łuczywa.

Sam zaczął się wspinać jak umiał najciszej. Dotarł do pochodni, dopalającej się nad drzwiami z lewej strony, naprzeciw wąskiego jak strzelnica okna zwróconego na zachód: a więc to było jedno z tych czerwonych oczu, które wraz z Frodem zobaczyli z dołu, gdy wybiegli z tunelu. Szybko minął drzwi i pospieszył na

następne piętro, drżąc ze strachu, że lada chwila wróg napadnie go z nienacki od tyłu i zaciśnie palce na jego gardle. Następne okno wychodziło na wschód i znów naprzeciw niego płonęła pochodnia nad drzwiami prowadzącymi do korytarza, który przecinał wieżyczkę wzdłuż średnicy. Drzwi były otwarte, korytarz ciemny, rozjaśniony tylko odbłaskiem łuczywa i czerwonej łuny świecącej przez szczelinę okna. Schody tutaj się kończyły. Sam ostrożnie wśliznął się na korytarz. Po obu stronach zobaczył niskie drzwi, zamknięte i zaryglowane. Panowała tu głucha cisza. „Zapędziłem się w ślepą uliczkę — pomyślał Sam. — I po to wdarłem się na tyle pięter! Niemożliwe, żeby to był szczyt wieżyczki. Co teraz robić?”

Wrócił na niższe piętro i spróbował pchnąć drzwi. Nie drgnęły nawet. Wbiegł znów wyżej. Pot kroplisty spływał mu po twarzy. Zdawał sobie sprawę, że każda minuta jest bezcenna, lecz tracił ich wiele na daremnych wciąż próbach. Już mu było obojętne, co zrobi Szagrat, Snaga i wszyscy orkowie, ilu ich ziemia nosiła. Pragnął tylko jednego: odnaleźć swego pana, spojrzeć w jego twarz, dotknąć jego ręki.

W końcu zmęczony, z poczuciem ostatecznej porażki, siadł na stopniu poniżej korytarza i ukrył twarz w dłoniach. Otaczała go cisza, złowróżbna cisza. Pochodnia, która już się dopalała w chwili, gdy tu przyszedł, syknęła i zgasła. Ciemności jak fala przypływu zalały hobbita. I nagle, ku własnemu zdumieniu, siedząc tak bezradnie u kresu długiej daremnej wędrówki, przytłoczony smutkiem — Sam zaczął śpiewać, posłuszny jakiemuś niezrozumiałemu podszeptowi z głębi serca.

Głos brzmiał słabo i drżącą w zimnej, ciemnej Wieży; był to głos zabłąkanego i znużonego hobbita, żaden obdarzony uszami ork nie mógłby się pomylić i wziąć tego śpiewu za hymn wspaniałego Księcia Elfów. Sam nucił stare dziecięce piosenki Shire’u i urywki wierszy układanych przez Bilba, które mu nasuwały wspomnienie dalekiej ojczyzny. Niespodzianie wstąpiły w niego nowe siły i głos zmężniał, a słowa nieproszone cisnęły się na usta w rytm prostej melodii:

W zachodnich krajach, w słońcu wiosny
kwiaty się budzą, kwitną drzewa,
ruszają wody, śpiew radosny
ptaków, być może, tam rozbrzmiewa.
Lub może tam, bezchmurną nocą
buki wiatrami kołysane,
Elficznych gwiazd klejnoty rodzą
w gałęzie ich wczesane.

Tutaj, u kresu mej podróży,
spoczywam pogrążony w mroku
z dala od wież dumnych i dużych,
z dala od gór wysokich;

tam nad cieniami słońca blask
i gwiazd tam milion łśni:
lecz ja nie żegnam światła gwiazd,
ani słonecznych dni.

— „Z dala od wież dumnych i dużych” — powtórzył i urwał. Wydało mu się bowiem, że usłyszał nikły głos odpowiadający śpiewem na śpiew. Ale na próżno teraz wyteżał słuch. Owszem, słyszał coś, lecz wcale nie śpiew: kroki, coraz bliższe. Ktoś cicho otworzył drzwi do korytarza na górze; skrzypnęły zawiasy. Sam przycisnął się nadstawiając uszu. Drzwi zamknęły się z głuchym łoskotem i rozległ się chrapliwy głos orka:

— Hola! Słuchaj no, przeklęty szczurze, co tam siedzisz w pułapce! Przestań pisać, bo przyjdę i nauczę cię rozumu. Słyszałeś?

Nikt nie odpowiedział.

— Nie chcesz gadać, dobrze — warknął Snaga. — Zajrzę wobec tego do ciebie i sprawdzę, co tam wyprawiasz.

Znów skrzypnęły zawiasy i Sam wysuwając z kącika głowę nad ostatni stopień schodów zobaczył światełko migające w otwartych drzwiach i niewyraźną sylwetkę wychodzącego z nich orka. Niósł coś na ramieniu, jak gdyby drabinę. Teraz Sam wszystko zrozumiał. Do izby na szczycie Wieży można było wejść tylko przez kłapę umieszczoną w suficie korytarza. Snaga przystawił drabinę, umocował ją, a potem wspiął się na nią i zniknął z pola widzenia Sama. Hobbit usłyszał stuk odciąganych rygli, a potem ten sam ochrypły głos.

— Leż spokojnie, bo jak nie, to inaczej się z tobą rozprawię. Nie zostawię cię tu długo w spokoju, o ile mi wiadomo, a jeśli nie chcesz, żeby zabawa rozpoczęła się już teraz, radzę ci nie ruszać drzwi pułapki. Żebyś zapamiętał naukę, masz tu mały zadatek.

Świsnęła nahajka. Wściekły gniew zakipiał w sercu Sama. Zerwał się i cicho jak kot wbiegł na drabinę. Kiedy wytknął głowę, stwierdził, że wylot wylazu znajduje się pośrodku dużej, okrągłej izby. Z jej stropu zwisała czerwona latarnia, wysokie, wąskie, zwrócone na zachód okno było ciemne. Na podłodze pod ścianą opodal okna leżał więzień; ork stał nad nim rozkraczony i właśnie podnosił nahajkę do następnego ciosu. Lecz cios ten nie spadł nigdy.

Sam z okrzykiem skoczył ku oknu ściskając mieczyk w garści. Ork odwrócił się szybko, nie zdążył jednak zrobić żadnego gestu, bo Sam błyskawicznie chłasnął go swoim Żądłem po ręce uzbrojonej w nahajkę. Wyjął z bólu i przerażenia, ale z odwagą rozpacz ork zaatakował zgięty wpół, głową podany naprzód. Drugi zamach Sama trafił w próżnię, a hobbit straciwszy równowagę przewrócił się na wznak usiłując przytrzymać napastnika, który zwałił się na niego. zanim Sam zdołał się dźwignąć, rozległ się wrzask i łoskot. Ork w ślepej panice potknął się

o wystający z włazu ostatni szczebel drabiny i runął przez otwór w dół. Sam nie interesował się jego losem. Podbiegł do leżącego więźnia. Był nim Frodo.

Zupełnie nagi leżał jakby omdlały na stosie brudnych szmat; ramieniem osłaniał głowę, na jego boku widniał świeży ślad nahajki.

— Frodo, Frodo, mój panie ukochany! — krzyknął Sam, nie widząc prawie nic przez łzy. — To ja, Sam, przyszedłem do pana.

Podniósł go, przytulił do piersi. Frodo otworzył oczy.

— Czy ja śnię jeszcze? — szepnął. — Ale tamte sny były wszystkie okropne.

— Nie, nie śni pan, panie Frodo — odparł Sam. — Przyszedłem naprawdę. To ja, Sam. Jestem przy panu.

— Trudno mi w to uwierzyć — powiedział Frodo chwytając go za ramiona. — Był tu jakiś ork z nahajką, a teraz nagle zmienił się w Sama. A więc nie przyśniło mi się tylko, że słyszę z dołu śpiew? Próbowałem odpowiedzieć. To ty śpiewałeś?

— Ja, panie Frodo. Już właściwie straciłem nadzieję. Nie mogłem pana odnaleźć.

— Ale w końcu odnalazłeś, Samie, mój najmilszy samie — rzekł Frodo i ułożył się w objęciach Sama zamykając oczy jak dziecko uspokozone, gdy czyjaś łagodna, kochająca ręka lub znajomy głos rozproszy nocne strachy.

Sam chętnie by tak siedział w błogim nastroju do końca świata, ale rozumiał, że nie wolno mu teraz marudzić. Nie dość było odnaleźć Froda, należało go jeszcze wyzwolić i uratować. Pocałował go w czoło.

— Niech pan się zbudzi, panie Frodo, trzeba wstawać — powiedział starając się nadać tym słowom pogodny ton, jakiego zwykle używał, gdy w letni poranek rozsuwał zasłony w oknach sypialni w Bag End.

Frodo usiadł z westchnieniem.

— Gdzie jesteśmy? Skąd ja się tutaj wziąłem? — zapytał.

— Nie ma czasu na wyjaśnienia, póki się stąd nie wydostaniemy — odparł Sam. — Jesteśmy na szczycie Wieży, którą obaj widzieliśmy z dołu, kiedy wyszliśmy z tunelu i zanim pana orki porwały. Jak dawno to się stało, nie wiem dokładnie. Chyba minęła przeszło doba od tego czasu.

— Tylko doba? — zdziwił się Frodo. — Myślałem, że kilka tygodni. Musisz mi o tym wszystkim opowiedzieć, jeśli będziemy mieli jeszcze sposobność do pogawędki. Coś mnie uderzyło w głowę, prawda? Zapadłem w ciemność, pełną złych snów, a kiedy się ocknąłem, jawa okazała się gorsza od sennych koszmarów. Otaczał mnie tłum orków. Zdaje się, że wlewali mi w gardło jakiś wstrętny, piekący napój. Rozjaśniło mi się w głowie, ale czułem się strasznie zmęczony i obolały. Obdarli mnie do naga; dwaj orkowie, wielkie brutalne bestie, pokłócili się między sobą; o moje rzeczy, jeśli dobrze zrozumiałem. Leżałem tutaj przerażony. A potem zapadła głucha cisza, bardziej jeszcze przerażająca niż zgiełk.

— Tak, zdaje się, że wybuchła kłótnia między orkami — rzekł Sam. — Musiało być w Wieży parę setek tego plugastwa. Siła złego na jednego Sama Gamgee, trzeba przyznać. Ale wyręczyli mnie i pozabijali się nawzajem. Wielkie to dla nas szczęście, ale piosenka jest za długa, żeby ją teraz całą wyśpiewać, dopóki tutaj tkwimy. Co dalej? Pan, panie Frodo, nie może przecież spacerować nagi po tym kraju.

— Zabrali mi wszystko — rzekł Frodo. — Wszystko, co miałem. Rozumiesz, Samie? Wszystko! — Skulił się znów na podłodze i zwiesił głowę, jakby przy tych słowach uprzytomnił sobie ogrom klęski i poddał się rozpacz. — Wyprawa kończy się porażką, Samie. Choćbym się stąd wydostał, nie uciekniemy. Tylko elfy ocaleją. Uciekną daleko z Śródziemia, za Morze. Ale może i tam Czarny Cień sięgnie.

— Nie, nie wszystko panu zabrali, panie Frodo — odparł Sam. — Wyprawa nie kończy się klęską, a przynajmniej jeszcze się nie skończyła. To ja zabrałem Pierścień, niech mi pan wybaczy. Przechowałem go bezpiecznie. Mam go na szyi, bardzo mi ciąży. — To mówiąc Sam dotknął przez kurtkę łańcuszka. — Teraz chyba muszę go panu zwrócić.

Ale czuł dziwną niechęć, gdy przyszła chwila pozbycia się tego brzemienia i obciążenia nim znowu Froda.

— Masz go na sobie?! — zawołał zdumiony Frodo. — Masz go tutaj? Samie, jesteś nieoceniony! — Nagle głos mu się zmienił. — Oddaj go zaraz! — krzyknął wstając i wyciągając rozdygotane ręce. — Oddaj natychmiast. Nie wolno ci go trzymać.

— Dobrze, już oddaję — odparł Sam trochę zaskoczony. — Proszę. — Z wolna wyciągnął Pierścień zza pazuchy i zdjął przez głowę łańcuszek. — Ale jesteśmy w Mordorze, proszę pana; jak stąd wyjdziemy, zobaczy pan Górę Ognistą i cały ten kraj. Pierścień będzie teraz bardzo niebezpieczny i ciężki do dźwigania. To przykry obowiązek. Czy nie mógłbym z panem dzielić jego trudów?

— Nie! — krzyknął Frodo chwytając Pierścień i łańcuszek z rąk Sama. — Nie, nie dostaniesz go, złodzieju! — Bez tchu patrzył na Sama oczyma rozszerzonymi z trwogi i złości. nagle zaciskając Pierścień w stulonej pięści znieruchomiał. zamglony przed chwilą wzrok rozjaśnił się; Frodo przetarł dłonią obolałe czoło. Był wciąż jeszcze oszołomiony od rany i przeżytego strachu, wstrętne wizja wydała mu się niezwykle realna. sam na jego oczach przeobraził się w orka sięgającego łapczywie po skarb, w nikczemnie małego stwora z łakomym spojrzeniem i oślinioną gębą. Ale wizja zniknęła. Znow przed nim klęczał Sam, z twarzą skurczoną z bólu, jakby trafiony prosto w serce; oczy miał pełne łez.

— Ach, Samie! — krzyknął Frodo. — Co ja powiedziałem? Jak mogłem! Przebacz mi! Po wszystkim, coś ty dla mnie zrobił! To potworna władza tego Pierścienia. Bodajby nikt go nigdy nie odnalazł. Nie gniewaj się na mnie, Samie. Muszę dźwigać brzemień do końca. Nie da się w tym nic już odmienić. Nie możesz

stać między mną a przeznaczeniem.

— Dobrze, dobrze, panie Frodo kochany — odparł Sam ocierając rękawem łzy. — Rozumiem. Ale pomóc mogę, prawda? Muszę pana stąd wyprowadzić. I to jak najprędzej. Przedtem jednak trzeba zdobyć jakieś ubranie dla pana i broń, a także coś do jedzenia. najłatwiej będzie o ubranie. Skoro jesteśmy w Mordorze, najlepiej przyodziać się wedle tutejszej mody; zresztą nie ma wyboru. Nie znajdę nic innego jak łachy orka, niestety. Ja też się tak przebiorę. Wędrując razem trzeba wyglądać na dobraną parę. na razie niech pan się tym okryje.

Zdejmując z siebie szary płaszcz sam zarzucił go Frodowi na ramiona. Dobył Żadło z pochwy. Zaledwie niktłe lśnienie można było dostrzec na ostrzu.

— Zapomniałem o tym, panie Frodo — rzekł. — Pan mi przecież pożyczył swego miecza, pewnie pan pamięta, a także szkiełka Galadrieli. Mam jedno i drugie. Ale niech mi pan je zostawi jeszcze na chwilę. Rozejrzę się, może znajdę to, czego nam potrzeba. Pan tu na mnie poczeka. Nie będę długo marudził. Nie odejdę daleko.

— Uważaj, Samie — powiedział Frodo — i pospiesz się; kto wie, czy jakieś niedobitki orków nie czają się tutaj po kątach.

— Nie ma rady, trzeba zaryzykować — odparł Sam. Zsunął się po drabinie w dół. W minutę później wytknął znów głowę z włazu. Rzucił na podłogę długi sztylet.

— Może się przydać — rzekł. — Ten ork, który pana bił nahajką, już nie żyje. Z nadmiaru pośpiechu skrzył kark. Niech pan wciągnie drabinę, jeżeli panu starczy na to sił, i nie spuszcza jej, póki nie zawołam hasła: Elbereth. To słowo elfów, żaden ork na pewno go nie wymówi.

Frodo przez chwilę siedział drżąc cały; przez głowę przemykały mu gorączkowe, okropne myśli. Wreszcie wstał, owinał się płaszczem elfów, i żeby odpędzić strach, zaczął przechadzać się tam i sam po izbie, zaglądając we wszystkie kąty swego więzienia.

W trwodze każda minuta dłużyła się jak godzina, ale wkrótce doczekał się powrotu Sama, który z korytarza zawołał z cicha:

„Elbereth, Elbereth!” Frodo spuścił lekką drabinę. sam wygramolił się zaspiany, niósł na głowie spory tobolek. Z łoskotem cisnął go na podłogę.

— A teraz prędko, panie Frodo — powiedział. — Straciłem trochę czasu, zanim znalazłem rzeczy jako tako odpowiednie na naszą miarę. Musimy się tym zadowolić w barku czegoś lepszego. Trzeba się bardzo spieszyć. Nie spotkałem żywej duszy, nic nie widziałem alarmującego, ale jestem niespokojny. Mam wrażenie, że ktoś to miejsce śledzi. Nie umiem tego wytłumaczyć, po prostu czuję, że gdzieś w pobliżu, może na ciemnym niebie, gdzie choć oko wykol nic nie można dostrzec, kręci się jeden z tych okropnych latających jeźdźców.

Rozwinął tobolek, Frodo z obrzydzeniem patrzył na jego zawartość, ale nie było rady, musiał albo ubrać się w te wstrętne rzeczy, albo chodzić nago. Sam przyniósł długie, kosmate spodnie zrobione z futra jakiegoś wstrętnego zwierza i brudną skórzaną kurtkę. Frodo włożył to wszystko, a na wierzch kolczugę z mocnych metalowych obrączek, krótką zapewne na roslym orku, lecz dla hobita za długą i ciężką. Ściągnął ją pasem, u którego w krótkiej pochwie wisiał sztylet o szerokim ostrzu. Sam dostarczył również do wyboru kilka hełmów. Jeden z nich jako tako pasował na Froda; była to czarna czapka z żelaznym rondem i żelazną obciągniętą skórą przepaską, a nad sterzącym niby dziób drapieżnego ptaka nanośnikiem widniało czerwone godło potwornego Oka.

— Rzeczy z godłami Morgulu, należące do żołnierzy Gorbaga, są mniejsze i porządniejsze — powiedział Sam — ale po tej bójce, która się tutaj odbyła, nie byłoby bezpiecznie paradować w nich po Mordorze. Niech się panu przyjrzę, panie Frodo. Istny młody ork, za przeproszeniem, a raczej wyglądałby pan na prawdziwego orka, gdyby panu twarz zasłonić maską, przysztukować ręce i wykoślawić nogi. Dla pewności niech pan jeszcze się tym okryje — dodał podając mu suty czarny płaszcz. — Teraz pan gotów. Po drodze weźmiemy jeszcze jakąś tarczę.

— A ty, Samie? — spytał Frodo. — Miałeś się przebrać ze mną do pary.

— Wie pan, zastanowiłem się, że byłoby nieostrożnie zostawiać tu moje własne łachy, a zniszczyć ich nie ma sposobu — odparł Sam. — Nie mogę na to wszystko włożyć orkowej kolczugi, po prostu zawinę się w jakiś płaszcz.

Przykląkł i starannie złożył płaszcz elfów. Paczuszka okazała się zdumiewająco mała. Wsunął ją do tobołka leżącego na podłodze. Wstał, zarzucił tobolek na plecy, włożył na głowę hełm orka, okrył się całym czarnym płaszczem.

— Tak! — powiedział. — Teraz do siebie mniej więcej pasujemy. Trzeba ruszać w drogę.

— Nie będę miał siły, żeby biec długo — rzekł Frodo z markotnym uśmiechem. — Mam nadzieję, że rozpytałeś o najlepsze gospody na szlaku? Czy też zapomniałeś o jadle i napoju?

— Niech mnie kule biją, zapomniałem rzeczywiście! — odparł Sam. Gwizdnął z desperacji. — teraz, kiedy pan o tym przypomniął, głód mi kiszek skręca i gardło pali z pragnienia. Nie wiem, kiedy ostatni raz miałem coś w ustach. Przez to szukanie pana wszystko inne wyleciało mi z głowy. Zaraz, zaraz... Niedawno przecież sprawdzałem, że lembasy i to, co nam dał na drogę Faramir, przy oszczędnej gospodarce utrzymają mnie na nogach przez parę tygodni. W manierce za to ledwie kropelka została na dnie. Dla dwóch nie starczy, mowy nie ma. Czy te orki nie jedzą ani nie piją? Czy karmią się tylko cuchnącym powietrzem i trucizną?

— Jedzą i piją, Samie — odparł Frodo. — Cień, który ich wyhodował, może tylko przedrzeźniać, ale nie stwarzać; wśród jego dzieł nie ma nic naprawdę no-

wego. Myślę, że orków także nie powołał do życia, on tylko ich zatrul i zaprawił do nikczemności. Skoro żyją, muszą jeść tak jak wszelkie żywe istoty. Zadowalała się brudną wodą i wstrętnym jadłem, lecz nie znieśliby trucizny. Karmili mnie, toteż jestem lepiej odżywiony niż ty. Na pewno są jakieś zapasy w Wieży.

— Ale czasu nie ma na szukanie — stwierdził Sam.

— Sprawa przedstawia się lepiej, niż myślisz — powiedział Frodo. — Podczas twojej nieobecności zrobiłem pomyślne odkrycie. Rzeczywiście nie zabrali mi wszystkiego. Między szmatami na podłodze znalazłem swój chlebak. Oczywiście przetrząsnięty, ale orkowie nienawidzą widoku i zapachu lembasów jeszcze serdeczniej niż Gollum. Rozsypali mój zapas, podeptali częściowo i pokruszyli, trochę jednak zebrałem. Niewiele jestem od ciebie biedniejszy pod tym względem. Żywność od Faramira zrabowali i rozbili moją manierkę.

— No, to nie ma co dłużej dyskutować — rzekł Sam. — Mamy dość jada na początek. Gorzej będzie z wodą. Chodźmy. Jeśli będziemy marudzili, nie pomoże nam nawet jezioro przy drodze.

— Musisz najpierw posilić się chociaż trochę — odparł Frodo. — Inaczej nie ruszę się z miejsca. Masz tu kawałek chleba elfów, popij go resztką wody ze swej manierki. Cała sprawa jest beznadziejna, nie ma sensu troszczyć się o jutro. Prawdopodobnie jutra w ogóle nie będzie.

Wreszcie wyruszyli. Spuścili się po drabinie, którą Sam ściągnął i położył w korytarzu obok skulonego ciała zabitego orka. Na schodach było ciemno, lecz płaski dach oświetlała jeszcze wciąż łuna Ognistej Góry, chociaż już teraz dogasająca w ponurej, brudnej czerwieni. Hobbici wybrali jeszcze dwie tarcze i uzupełniwszy w ten sposób przebrania poszli dalej.

Mozolnie zeszli schodami. Górna izba Wieży, w której się odnaleźli i którą zostawili za sobą, wydawała im się niemal przytulnym schronieniem. Teraz bowiem znowu byli ze wszystkich stron odsłonięci, wśród murów tchnących okropną grozą. Wszystko wymarło w Wieży na Kirith Ungol, lecz pozostał w niej żywy strach i przyczajona wroga siła.

W końcu dotarli do drzwi prowadzących na zewnętrzny dziedziniec i tu zatrzymali się na chwilę. Nawet z tej odległości obezwładniał ich zły czar Wartowników, dwóch czarnych milczących postaci, które czuwały po obu stronach Bramy na tle widocznej w jej wylocie, przyćmionej łuny Mordoru. Torując sobie drogę przez usłany ohydny trupami orków dziedziniec, z każdym krokiem musieli pokonywać większy opór. Zanim jeszcze osiągnęli sklepiony tunel Bramy, stanęli wyczerpani. Posunięcie się bodaj o cal dalej wymagało przezwyciężenia nieznośnego bólu we wszystkich członkach i wyczerpania osłabłej woli. Frodo nie miał sił do takiej walki. Osunął się na ziemię.

— Nie mogę iść dalej, Samie — szepnął. — Zdaje się, że zemdleję. Nie wiem,

co się ze mną dzieje.

— Ale ja wiem, proszę pana. Niech pan się trzyma! Brama przed nami. To z niej biją jakieś diabelskie czary. A jednak tamtędy dostałem się do twierdzy i tamtędy teraz wyjdziemy. Nie może to być bardziej niebezpieczne, niż było przed godziną. Naprzód!

Dobył zza pazuchy szkiełko Galadrieli. Jakby w nagrodę za męstwo Sama i na chwałę tej wiernej, śniadej hobbitkiej ręki, która dokonała tylu niezwykłych czynów, kryształowy flakonik zajaśniał natychmiast i cały mroczny dziedziniec zalało światło olśniewające i nagłe jak błyskawica, lecz trwalsze od niej.

— Gilthoniel, A Elbereth! — krzyknął Sam. Nie wiedział dlaczego, ale w tym momencie stanęły mu przed oczyma elfy spotkane w lasach Shire'u i zabrzmiała w uszach pieśń, która spłoszyła kiedyś Czarnego Jeźdźca.

— Aiya elenion ankalima! — zawołał Frodo podążając znów za nim.

Wola Wartowników załamała się tak gwałtownie, jak pęka czasem naciągnięta struna; Frodo i Sam szli, a potem nawet biegli naprzód. Minęli Bramę i dwie siedzące w niej postacie z roziskrzonymi oczyma. Rozległ się huk. Niemal tuż za ich plecami zwornik sklepienia runął i cała Brama rozsypała się w gruzy. Śmierć niemal musnęła hobbitów. Odezwał się dzwon. Wartownicy wydali przeraźliwy, wysoki w tonie jęk. Z ciemności kłębiących się w górze nadeszła odpowiedź. Z czarnego nieba jak pocisk spadł Skrzydlaty Cień z upiornym krzykiem rozdzierając chmury.

ROZDZIAŁ XII

Kraina Ciemności

Sam zachował tyle przytomności umysłu, że prędko wsunął flakonik pod kurtkę na piersi.

— Biegiem, panie Frodo! — krzyknął. — Nie, nie tędy. Tam zaraz za murem przepaść. Za mną!

Pomknęli drogą spod Bramy. O pięćdziesiąt kroków od niej droga zataczała łuk wokół wystającego, wzniesionego na urwisku bastionu, dzięki czemu znaleźli się poza polem widzenia z Wieży. Na razie byli ocaleni. Lgnąc do skał zatrzymali się, by zaczerpnąć tchu, i nagle serca w nich znowu zamarły. Z muru obok zburzonej Bramy Nazgul wysłał w świat swój morderczy sygnał. Echo odbiło się od gór.

Hobbici odrętwiali z przerażenia powlekli się dalej. Nowy ostry skręt drogi ku wschodowi wydał ich z powrotem na pastwę wrogich oczu z Wieży. Przez tę straszną chwilę, gdy biegli bez osłony, zdążyli obejrzeć się i zobaczyć ogromną czarną sylwetkę nad blankami murów; wpadli znów między wysokie skalne ściany żlebu, opadającego stromo ku drodze do Morgulu. Dotarli do skrzyżowania dróg. Nigdzie nie natknęli się na ślad orków, nikt nie odpowiedział na krzyk Nazgula; mimo to wiedzieli, że cisza nie potrwa długo i że lada moment ruszy za nimi pościg.

— To na nic, Samie — rzekł Frodo. — Gdybyśmy naprawdę byli orkami, pędzilibyśmy w stronę Wieży zamiast od niej uciekać. Pierwszy napotkany nieprzyjaciółca pozna nas. Musimy zejść z tej drogi.

— Ale nie możemy tego zrobić — odparł Sam. — Chyba żebyśmy mieli skrzydła.

Wschodnie ściany Efel Duathu opadały niemal prostopadle nagimi skałami, wśród urwisk i przepaści, ku czarnemu wąwozowi, który je oddzielał od następnego łańcucha górskiego. Za skrzyżowaniem dróg i krótką stromizną natknęli się na mostek przerzucony nad otchłanią i skrótem prowadzący ku groźnym grzbietom i dolinom Morgai. Frodo i Sam z odwagą rozpaczy puścili się na ten most, ledwie jednak dosięgnęli drugiego brzegu, gdy wrzaski i wycia rozdarły powietrze. Wie-

za Kirith Ungol majaczyła już daleko za nimi i wysoko ponad zboczem, na którym się znaleźli. Jej kamienne ściany lśniły ponuro. Dzwon jęknął ochryple i głos jego rozsypał się drżącym echem. Zagrały rogi. Zza mostu buchnęły w odpowiedzi okrzyki. Do ciemnego wąwozu nie dochodził gasnący już blask Orodrui, hobbitów nie mogli więc nic dostrzec przed sobą, lecz słyszeli tupot podkutych żelazem butów i szcęk podków wybijających spieszny rytm na kamiennej drodze.

— Prędko! Skaczemy! — zawołał Frodo. Przeleźli przez niską barierę mostu. Na szczęście nie mieli pod stopami przepaści, bo zbocza Morgai w tym miejscu wznosiły się prawie do poziomu drogi. Było jednak tak ciemno, że nie mogli się zorientować, jak daleko wylądują skacząc.

— No, to już mnie nie ma! — odkrzyknął Sam. — Do widzenia, panie Frodo.

Skoczył pierwszy. Frodo za nim. Padając słyszeli grzmot kopyt pędzących po moście, a potem kroki pieszego oddziału orków. Mimo to Sam z trudem powstrzymał się od śmiechu. Ryzykując bowiem złamanie karku na nieznanych skałach, hobbitów doznali miłej niespodzianki, gdy zaledwie o kilkanaście stóp niżej z głuchym łoskotem i chrzęstem łamanych gałązek wpadli w gęstą kępę kolczastych krzaków. Sam leżał w nich teraz ssąc podrapaną rękę. Po chwili, gdy ucichł tętent i tupot, ośmielił się szepnąć:

— A to dopiero, panie Frodo! Nigdy bym się nie spodziewał, że w Mordorze jest jakaś roślinność. Gdybyśmy celowali, nie moglibyśmy lepiej trafić. Ale te ciernie mają chyba po stopie długości, sądząc ze skutków. Przebiły na wylot wszystkie łachy, które na siebie powkładałem. Szkoda, że nie pożyczyłem od orków kolczugi.

— Na te ciernie kolczuga orków też by ci nie pomogła — odparł Frodo. — Nawet skórzany kaftan od nich nie chroni.

Z trudem wypłatali się z gąszczy. Ciernie i kolczaste gałęzie były twarde jak druty i czepiały się wszystkiego jak szpony. Hobbitów podarli w strzępy płaszcze, zanim się wreszcie uwolnili.

— Teraz idziemy w dół — szepnął Frodo. — Co prędzej w dolinę, a potem ile sił w nogach na północ.

Na jasnym świetle wstawał nowy dzień i gdzieś daleko, poza ciemnościami Mordoru, słońce podnosiło się nad wschodnią krawędź Śródziemia, ale tutaj panowała noc. Góra dymiła, ognie jej wygasły. czerwony odblask przybladł na urwistych ścianach skał. Wschodni wiatr, który dał nieustannie, odkąd opuścili Ithilien, ucichł zupełnie. Powoli, mozolnie złazili w dół; podpierając się na rękach, potykając, klucząc wśród głązów, kłujących zarośli i zwalonych pni, na oślep w mroku wymacując drogę, schodzili coraz niżej, aż do wyczerpania ostatnich sił.

Wreszcie zatrzymali się i usiedli obok siebie, plecami oparci o wielki kamień.

Obaj byli mokrzy od potu.

— Nawet gdyby sam Szagrat poczęstował mnie szklanką wody, przyjąłbym z ukłonem — westchnął Sam.

— Nie mów o wodzie — odparł Frodo. — Na samo wspomnienie jeszcze gorzej pić się zachciewa. — Wyciągnął się na ziemi; oszołomiony i zmęczony, przez długą chwilę milczał. Potem z wysiłkiem dźwignął się na nogi. Ku swemu zdumieniu spostrzegł, że Sam śpi. — Zbudź się, Samie — powiedział. — Wstawaj! Trzeba iść dalej!

Sam podniósł się ciężko.

— No wiecie państwo! — rzekł. — Zdrzemnąłem się chyba. Prawdę mówiąc od dawna już nie spałem jak należy; oczy same musiały mi się skleić.

Teraz prowadził Frodo, starając się kierować możliwie wprost na północ pośród kamieni i złomisk zaścielających gęsto dno wielkiego jaru. Nagle stanął.

— Nic z tego nie będzie — rzekł. — Nie dam rady. Nie wytrzymam w tej kolczudze. Zanadto osłabłem. Nawet moja własna kolczuga z mithrilu ciążyła mi bardzo, kiedy byłem zmęczony. A ta jest o wiele cięższa. Zresztą, co mi po niej? Na zwycięstwo w walce i tak nie możemy liczyć.

— Ale możemy liczyć, że do walki dojdzie — odparł Sam. — Nie zapominajmy też o sztyletach i zabłąkanych strzałach. No i ten łajdak Gollum chodzi jeszcze po świecie. Nie mógłbym być spokojny, gdyby między pańską skórą i zdrazieczkim ciosem nie było nic prócz tej cienkiej łosiowej kurty.

— Zrozum, Samie, kochany przyjacielu — odparł Frodo. — Jestem zmęczony, wyniszczony, straciłem nadzieję. Ale dopóki się mogę poruszać, będę usiłował dotrzeć do Góry. Brzemie Pierścienia wystarcza. Każde dodatkowe obciążenie jest zabójcze. Muszę je zrzucić. Nie posądzaj mnie o niewdzięczność. Nie mogę bez drżenia myśleć, że podjąłeś tak odrażającą robotę, obdzierając trupy, byle mi dostarczyć tych rzeczy.

— Nie mówmy o tym, proszę pana. Przecież ja bym chętnie poniosł pana na plecach, gdyby to było możliwe. Dobrze więc, niech pan zdejmie z siebie, co chce.

Frodo zdjął płaszcz, a potem kolczugę, którą odrzucił daleko. Drżał trochę.

— Przydałoby mi się natomiast coś ciepłego — powiedział. — Albo zrobiło się tu zimno, albo ja mam dreszcze.

— Proszę, niech pan weźmie mój płaszcz — rzekł Sam rozwijając tobolek i wyciągając z niego płaszcz elfów. — Jak się panu podoba? Może pan ten orkowy łańcuch ścisnąć paskiem, a ten płaszcz włożyć na wierzch. Nie bardzo pasuje do orkowego stroju, za to ogrzeje pana z pewnością, a spodziewam się też, że lepiej niż wszystkie zbroje ochroni od złej przygody. Przecież utkała go Pani ze Złotego Lasu.

Frodo owinał się płaszczem i spał go pod brodą kłamrą.

— Teraz znacznie mi lepiej — oświadczył. — Czuję się dużo lżejszy. Mogę iść dalej. Ale te okropne ciemności jakby wdzierały się do mojego serca. W więzieniu próbowałem przypomnieć sobie Brandywinę, Leśny Zakątek i rzekę płynącą pod młynem w Hobbitonie. Nie mogę jednak teraz wyobrazić sobie tamtych widoków.

— No, proszę, i kto tym razem zaczął mówić o wodzie? — spytał Sam. — Gdyby Galadriela mogła nas widzieć i słyszeć, powiedziałbym jej: „Pani! O nic nie prosimy, tylko o światło i wodę, czystą wodę i zwykłe światło dzienne, cenniejsze niż klejnoty, jeśli mi wolno mieć o tym własne zdanie”. Niestety, Lorien zostało tam, daleko stąd.

Sam westchnął i machnął ręką w stronę szczytów Efel Duathu, które na tle czarnego nieba majaczyły jeszcze czarniejszą plamą.

Ruszyli znów w drogę. Wkrótce jednak Frodo przystanął.

— Czarny Jeździec jest gdzieś nad nami — powiedział. — Czuję go. Lepiej przeczekajmy chwilę.

Skuleni pod wielkim głazem siedzieli patrząc ku zachodowi i milcząc dość długo. Wreszcie Frodo odetchnął z ulgą.

— Odleciał! — rzekł.

Wstali i nagle obaj osłupieli ze zdumienia. Po lewej stronie, od południa, niebo szarzało, a szczyty i grzbiety ogromnego łańcucha górskiego rysowały się na nim czarną, wyraźną sylwetą. Na wschodzie rozwidniało się, światło dnia z wolna pełzło ku północy. Gdzieś wysoko w przestworzach toczyła się bitwa. Skłębione chmury Mordoru były w odwrocie, brzegi ich strzępiły się pod tchnieniem wiatru, który wiał z żywego świata wypierając dymy i ciężkie opary w głąb czarnego kraju. Ponury strop ciemności podnosił się z wolna, a zza niego przezierało nikłe światło sącząc się do Mordoru jak błądy poranek przez mętne okno więzienia.

— Widzi pan, panie Frodo? — rzekł Sam. — Widzi pan? Wiatr się odmienił. Coś się dzieje. Nie wszystko idzie po myśli Nieprzyjaciela. Ciemności rozpraszają się nad światem. Ach, żeby tak wiedzieć, co się tam dzieje!

Był to poranek piętnastego marca, nad doliną Anduiny wstawało słońce, przewyciężając noc Mordoru, i wiatr dał od południo-zachodu. Theoden konał na polach Pelennoru.

Na oczach hobbitów rąbek światła rozciągnął się nad całą linią Efel Duathu i nagle ujrzeli jakiś kształt mknący w powietrzu od zachodu; zrazu widzieli tylko czarny punkcik na tle świetlistej wstążki nieba rozpiętej ponad górskim łańcuchem, lecz punkcik ten rósł z każdą sekundą, aż wpadł jak pocisk w czarne kłębowisko chmur i przeleciał wysoko nad głowami wędrowców. W locie wydał długi przenikliwy okrzyk, okrzyk Nazgula, lecz teraz głos ten nie przejął ich grozą, bo brzmiała w nim rozpacz i skarga, złowieszcze nowiny dla Czarnej Wieży. Wódz

Upiornych Jeźdźców wracał pokonany.

— A co, nie mówiłem! — wykrzyknął Sam. — Coś się stało. Szagrat twierdził, że na wojnie powodzi im się znakomicie, ale Gorbag miał co do tego wątpliwości. I słusznie! Karta się odwróciła, panie Frodo. Czy wciąż nie ma pan ani żdźbła nadziei?

— Nie mam jej wiele — westchnął Frodo. — Może dzieje się coś pomyślnego, ale daleko stąd, za górami. My natomiast idziemy na wschód, nie na zachód. Jestem też okropnie zmęczony. A Pierścień bardzo mi ciąży, Samie. Teraz wciąż stoi mi przed oczyma jak ogromne ogniste koło.

Radość Sama zgasła natychmiast. Z niepokojem przyjrzał się swemu panu i wziął go za rękę.

— Głowa do góry, panie Frodo — rzekł. — Jedną z tych rzeczy, do których tęskniliśmy, już mamy: odrobinę światła. Dość, żeby nam ułatwić wędrówkę, ale pewnie też dość, żeby narazić nas na niebezpieczeństwo. Spróbujmy jeszcze trochę dalej się posunąć, a potem położymy się i odpoczniemy. Niech pan jednak zje najpierw kęs chleba elfów, może to pana pokrzepi.

Podzielili się kawałkiem lembasa i żując go z trudem w zaschniętych ustach, powlekli się dalej. Nie było jaśniej, niż bywa o chmurnym zmierzchu, bądź co bądź mogli zorientować się, że są w głębokiej dolinie między górami. Dolina wznosiła się łagodnie ku północy, a jej dno stanowiło łożysko wyschłego już strumienia. Wzdłuż kamienistego koryta biegła, wijąc się u podnóży zachodnich urwisk, wydeptana ścieżka. Gdyby o niej wiedzieli, mogliby wcześniej już do niej dotrzeć, bo skręcała z głównego gościńca do Morgulu przy zachodnim krańcu mostu i prowadziła wykutymi w skale długimi schodami w dolinę. Służyła patrolom i gońcom spieszącym do mniejszych strażnic i twierdz na północy, wznoszących się między Kirith Ungol a przesmykiem Isen, czyli Żelazną Paszczą, zwaną Karach Angren.

Hobbici wiele ryzykowali zapuszczając się na tę ścieżkę, lecz zależało im na pośpiechu, a Frodo czuł, że nie starczyłoby mu sił, żeby wspinać się mozolnie wśród głazów albo bezdrożami brnąć przez dolinki Morgai. Zdawało mu się też, że prześladowcy będą go szukali raczej na innych szlakach niż na tym, który wiódł wprost ku północy. Zapewne przede wszystkim tropią go na drodze po wschodniej stronie równiny albo na przełęczy otwierającej drogę ku zachodowi. Toteż zamierzał najpierw posunąć się daleko na północ od Wieży i dopiero potem szukać drogi, która by go zaprowadziła na wschód, i rozpocząć ostatni beznadziejny etap wyprawy. Przeszli więc na drugi brzeg suchego koryta i ruszyli dalej ścieżką orków, której trzymali się przez czas jakiś. Od lewej strony nawisy skalne osłaniały hobbitów przed oczyma tych, którzy by mogli ich tropić z góry, lecz ścieżka miała wiele ostrych zakrętów, a przed każdym wędrowcy zaciskali ręce na głów-

niach mieczy i skradali się jak najostrożniej.

Dzień nie rozwidniał się bardziej, bo Orodruina wciąż ziała gęstym dymem, który, odpychany przez nieprzychylny mu wiatr, wzbijał się coraz wyżej, aż dosięgnął strefy bezwietrznej i tam rozpostarł się niby olbrzymi strop podparty w środku niedostrzegalnym w ciemnej dali filarem. Szli dobrą godzinę, gdy usłyszeli dziwny szmer, który przykuł ich do miejsca. Nie do wiary, a jednak słuch nie mógł ich mylić. Gdzieś w pobliżu pluskała woda. Ze żlebu w prawej ścianie, tak wąskiego i ostrego, jak gdyby ktoś olbrzymim toporem rozłupał czarne urwisko, sączyła się woda, może ostatnie krople jakiegoś ożywczego deszczu, który trafił nieszczęśliwie do skalistego Kraju Ciemności, żeby po daremnej wędrówce wsiąknąć w jałowe popioły. Tutaj ściekał spomiędzy skał wąskim strumykiem, przecinając ścieżkę zawracał na południe i prędko umykał ginąc wśród martwych głązów. Sam skoczył ku niemu.

Jeśli kiedyś jeszcze spotkam panią Galadrielę, podziękuję jej! — krzyknął. — Światło, a teraz woda! — Nagle zatrzymał się w biegu. — Niech pan pozwoli, że ja napiję się pierwszy — powiedział.

— Dobrze, ale miejsca jest dość dla dwóch.

— Nie o to mi chodzi — odparł Sam. — Myślę, że może być zatruta albo coś w tym rodzaju i że to się od razu pokaże. Lepiej, żeby na padło niż na pana, chyba mnie pan rozumie.

— Rozumiem. Sądzę jednak, że powinniśmy obaj zaufać naszemu szczęściu czy może zesłanemu darowi. Uważaj tylko, czy nie za zimna.

Woda była świeża, lecz nie lodowata i smak miała nieprzyjemny, jednocześnie gorzki i oleisty. Tak by ją ocenili w Shire. Tu wszakże nie znajdowali dla niej dość pochwał i zapomnieli o wszelkiej ostrożności. Ugasili pragnienie i napełnili manierkę Sama. Frodo poczuł się zaraz lepiej, toteż maszerowali kilka mil bez odpoczynku, aż wreszcie ścieżka rozszerzyła się, a na krawędzi ścian ponad nią ukazał się początek surowego muru — znak ostrzegawczy, że w pobliżu jest jakaś warownia orków.

— Tu więc skróćmy ze ścieżki — powiedział Frodo. — I trzeba skrócić na wschód! — Westchnął spoglądając na posępne urwiska spiętrzone po drugiej stronie doliny. — Wystarczy mi jeszcze sił, żeby tam, na górze, poszukać jakiejś nory. Potem muszę trochę odpocząć.

Koryto rzeki leżało w tym miejscu nieco poniżej ścieżki. Zleźli w nie i zaczęli przecinać w poprzek. Ku swemu zdumieniu natrafili na ciemne kałuże zasilane strużkami wody, która ciekła z jakiegoś źródła tryskającego w górnej części doliny. Skraj Mordoru pod zachodnią ścianą granicznych gór był krainą zamierającą, lecz jeszcze niezupełnie martwą. Rosły tu jakieś trawy i krzewy, szorstkie, poskręcane, gorzkie, ciężko walczące o życie. W dolinkach Morgai po drugiej

stronie doliny niskie, rozłożyste drzewa czepiały się ziemi, kępy szarej, ostrej trawy wyzierały spomiędzy głazów, na których plecił się suchy mech, wszędzie zaś rozpełzały się wśród kamieni kolczaste, splątane zarośla. Niektóre krzaki miały długie, spiczaste ciernie, inne zakrzywione jak haczyki i tnące jak sztylety kolce. Zwiędłe, skurczone, zeszłoroczne liście chrzęściły i szeleściły smutno, nowe pączki, już zżarte przez robactwo, właśnie się otwierały. Szare, bure i czarne muchy naznaczone jak orkowie plamą podobną do czerwonego Oka brzęczały wkoło i kłuły boleśnie; nad gęstwiną cierni tańczyły rozbrzęczone chmary wygłodniałych komarów.

— Zbroja orków na nic się nie zda — rzekł Sam opędzając się rękami. — Szkoda, że nie mamy orkowej skóry.

W końcu Frodowi zabrakło sił. Wspięli się już wysoko wąskim żlebem, ale długi, mozolny marsz dzielił ich jeszcze od miejsca, z którego mogliby chociaż dostrzec ostatni postrzępiony grzbiet górski.

— Muszę odpocząć, Samie, i przespać się, jeśli to będzie możliwe — powiedział Frodo. Rozejrzał się, lecz na tym okropnym pustkowiu nie było przytulnego schronienia czy bodaj jamki, do której mógłby wpełznąć zwierz. Wreszcie hobbit, wyczerpani, wśliznęli się pod zasłonę splątanych cierni, zwisających niby mata z niskiego występu skalnego.

Siedząc tam pożywili się ze swych skąpych zapasów. Odkładając cenne lembasy na przewidywane najcięższe dni, zjedli połowę zachowanych w chlebaku Sama resztek prowiantów od Faramira: po garstce suszonych owoców i po małym plasterku wędzonego mięsa, popijając to wodą. W drodze przez dolinę pili parokrotnie, lecz pragnienie ciągle im dokuczało. Powietrze Mordoru miało gorzki posmak wysuszający gardło. Na myśl o wodzie nawet optymizm Sama przygasał. Za górami Morgai czekał ich przecież marsz przez straszliwą równinę Gorgoroth.

— Niech pan się prześpi pierwszy, panie Frodo — rzekł Sam. — Znowu się robi ciemno. Pewnie to już wieczór.

Frodo westchnął i usnął, zanim Sam zakończył to zdanie. Wierny giermek usiłował przezwyciężyć własną senność i siedząc tuż obok swego pana trzymał go za rękę; wytrwał tak, dopóki noc nie zapadła na dobre. Wtedy wreszcie, by się nieco otrzeźwić, wypełznął z kryjówki i rozejrzał się wkoło. W ciemności ustawicznie rozlegały się jakieś szelesty, trzaski i szmery, lecz nie było słychać głosów ani kroków. W oddali na zachodzie nad Efel Duath nocne niebo wciąż jeszcze szarzało blado. W tej stronie, wysoko nad sterczącym szczytem górskim biała gwiazda wyjrzała właśnie spośród rozdartych chmur. Gdy ją tak ujrzął zagubiony w przekętym wrogim kraju, wzruszyło go jej piękno, a nadzieja wstąpiła znów w jego serce. Jak chłodny, jasny promień olśniła go bowiem nagle myśl, że bądź co bądź Cień jest czymś małym i przemijającym; istnieje światło i piękno, którego nigdy nie dosięgnie. Jeśli Sam śpiewał w Wieży na Kirith Ungol, to pieśń jego raczej oznaczała wyzwanie niż nadzieję, ponieważ wtedy myślał o sobie. Teraz na chwi-

lę przestał się troszczyć o własny los, a nawet o los ukochanego pana. Wczołgał się z powrotem pod zasłonę cierni i wolny od wszelkich strachów zasnął głębokim, spokojnym snem.

Zbudzili się obaj jednocześnie, złączeni uściskiem dłoni. Sam czuł się niemal rześki, gotów na trudy nowego dnia, lecz Frodo wzdychał. Noc spędził niespokojnie, we śnie wciąż widział ogień, a przebudzenie też nie przyniosło mu ukojenia. Mimo wszystko sen zawsze krzepi, Frodo odzyskał nieco sił i zdolności do podjęcia brzemienia na następnym etapie wędrówki. Nie orientowali się w porze dnia i nie wiedzieli, jak długo spali; przegryźli coś, wypili łyk wody i ruszyli dalej w górę żlebem, który doprowadził ich wreszcie do stromego zbocza zasypanego piargiem i osuwającym się spod nóg żwirem. Tu już nawet najbardziej uparte życie nie mogło się ostać; ogołocone z krzewów i trawy szczyty Morgai były nagie, poszarpane i martwe.

Po dość długim błędzeniu i poszukiwaniach znaleźli możliwe wejście, chociaż ostatnie sto stóp wzniesienia pokonali z trudem, czepiając się rękami skały. Znaleźli się w szczyrbie dzielącej dwie czarne turnie, a kiedy ją przebyli, stanęli na krawędzi ostatniego obronnego wału Mordoru. Przed nimi o jakieś tysiąc pięćset stóp niżej, jak okiem sięgnąć, rozpościerała się wewnętrzna równina i rozciągała się na widnokręgu we mgle i mroku. Wiatr wiał teraz ze świata od zachodu, olbrzymie chmury płynęły wysoko w górze ku wschodowi, ale do ponurych pól Gorgorothu docierało wciąż tylko mętne, szarawe półświatło. Dymy snuły się przy ziemi i zbierały w zagłębieniach terenu, a ze szczelin i rozpadlin biły opary.

Wciąż jeszcze daleka, o czterdzieści co najmniej mil odległa, ukazała się hobbitom Góra Przeznaczenia; podnóża jej grzęzły w usypisku popiołów, ogromy stożek piętrzył się pod niebo, szczyt tonął w obłoku cuchnących wyziewów. Ogień w tej chwili przygaśł, góra tliła się ledwie, groźna jednak i podstępna jak uśpiona bestia. Za nią niby złowroga chmura burzowa rozlewał się szeroko cień, przesłaniając Barad-Dur, Czarną Wieżę wzniesioną tam, w dali, na długiej ostrodze Gór Popielnych, wysuniętej z północy ku środkowi równiny. Władca Ciemności pogrążony był w myślach, przymknął Oko, rozważając nowiny zagadkowe i niebezpieczne; skupił wzrok na obrazie lśniącego miecza i surowego, królewskiego oblicza; wszystko w potężnej warowni Mordoru, niezliczone bramy i wieże, spowiadał posępny, senny mrok.

Frodo i Sam patrzyli ze wstrętem i zarazem z podziwem na ten zniechęcający kraj. Między sobą a dymiącą górą, a także wszędzie na północy i południu nie widzieli nic prócz ruin i martwoty, pustkowia wypalonego i dusznego od dymów. Zastanawiali się, jakim sposobem Władca tego królestwa utrzymuje i żywi swych niewolników oraz swoje armie. Bo miał armie wszędzie; gdziekolwiek zwrócili oczy, wzdłuż łańcucha Morgai i dalej na południu, dostrzegali obozy wojskowe,

niektóre pod namiotami, inne zabudowane porządnie jak miasteczka. Jeden z największych mieli tuż u swoich stóp. O milę niespełna oddalony od ściany gór, podobny był do ogromnego gniazda owadów, przecięty regularnymi monotonnymi ulicami, przy których ciągnęły się szeregi bud i długich, niskich, brzydkich domów. Na polach wokół niego panował ożywiony ruch i krzątały się jakieś postacie; szeroka droga biegła stąd na południo-wschód ku głównemu gościńcowi, prowadzącemu do Morgulu, i ciągnęły po niej spieszenie liczne kolumny czarnych, drobnych w oddali figurek.

— Wcale mi się to nie podoba — rzekł Sam. — Sprawa wygląda beznadziejnie, choć z drugiej strony trzeba się spodziewać, że gdzie tyle wojska, tam muszą być źródła lub studnie, nie mówiąc już o żywności. Jeśli mnie wzrok nie myli, to nie orkowie, ale ludzie.

Hobbici nic nie wiedzieli o rozległych uprawianych przez niewolników polach w południowej części ogromnego państwa, ukrytych za dymiącą górą nad smutnymi ciemnymi wodami jeziora Nurnen; nie wiedzieli też o szerokich bitych drogach łączących Mordor z krajami hołdowniczymi na wschodzie i południu, skąd żołdacy Czarnej Wieży sprowadzali całe karawany wozów naładowanych rozmaitym dobrem i łupami, a ponadto coraz to nowe zastępy niewolników. W północnych prowincjach znajdowały się kopalnie i kuźnie; tu także ćwiczone pułki do z dawna przygotowywanej wojny; tu Czarny Władca, przesuając całe armie niby pionki na szachownicy, gromadził swoje siły zbrojne. Pierwsze ich ruchy, pierwsze posunięcia mające na celu wypróbowanie sprawności, trafiły na opór całej linii zachodniej, na północy zarówno, jak na południu. Wycofał się więc je chwilowo i ściągnął nowe armie skupiając je wszystkie w pobliżu Kirith Gorgor, aby stąd rzucić do następnej, odwetowej kampanii. Nawet gdyby działał celowo, nie mógłby lepiej zagrozić przeciwnikom dostępu do Góry Ognistej.

— Co prawda, choćby mieli tam najwspanialsze zapasy jada i trunków, my tych smakołyków nie skosztujemy. Nie widzę sposobu, żeby stąd zejść na dół. A zresztą nawet gdybyśmy jakoś zleźli, nie moglibyśmy maszerować przez otwarte pola rojące się od nieprzyjaciół.

— A jednak musimy tego spróbować — odparł Frodo. — Sytuacja nie jest gorsza, niż przewidywałem. Nigdy nie miałem nadziei, że się przez ten kraj przedrę. Nie mam jej również teraz. Mimo to muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy. W tej chwili najważniejsze zadanie, to wymigiwać się możliwie jak najdłużej z ich łap. Trzeba więc, jak mi się zdaje, iść dalej na północ i zbadać, jak rzecz wygląda tam, gdzie otwarta równina jest najwęższa.

— Domyślam się z góry — powiedział Sam. — Gdzie równina jest najwęższa, tam ścisk orków i ludzi będzie najgorszy. Przekona się pan, panie Frodo.

— Z pewnością, jeżeli w ogóle dojdziemy tak daleko — odparł Frodo i zawrócił ku północy.

Wkrótce stwierdzili, że nie sposób iść granią Morgai ani nawet pod nią, bo

wyższe stoki gór były niedostępne, najeżona skałami i poprzerynane głębokimi szczelinami. Hobbibi musieli ostatecznie zejść z powrotem tym samym żlebem, którym wspięli się przedtem i szukać drogi wzdłuż doliny. Brnęli bezdrożem, nie śmieli bowiem przeprawiać się na drugą stronę, ku ścieżce pod zachodnimi zboczami. O milę mniej więcej na północ zobaczyli przyczajoną forteczkę orków, której istnienia w pobliżu przedtem już się domyślali. Mur i kamienne szalasy otaczały czarny wylot pieczary. Nie zauważyli żadnego ruchu, mimo to czołgali się bardzo ostrożnie i nie wychylali z gąszcza cierni, które tu rosły bujnie na obu brzegach wyschłego strumienia. Tak posuwali się o następnych parę mil i forteczka orków zniknęła za nimi z pola widzenia. Już zaczęli znów swobodniej oddychać, gdy nagle dobiegły ich uszu chrapliwe, donośne głosy. W okamgnieniu obaj hobbici dali nura w brunatne karłowate zarośla. Głosy przybliżały się szybko. Po chwili ukazali się dwaj orkowie. Jeden w obszarpanej burej kurcie, uzbrojony w łuk, drobnej budowy, ciemnoskóry, z szerokimi, rozdętymi nozdrzami; niewątpliwie tropiciel. Drugi z roślejszej rasy wojowników, jak podwładni Szagrata, z godłem Oka na hełmie. Ten również miał przez plecy przewieszony łuk, a w ręku krótką dzidę z szerokim ostrzem. Jak zwykle kłócili się, a że należeli do dwóch różnych szczepów, porozumiewali się Wspólną Mową.

O niespełna dwadzieścia kroków od kryjówki hobbitów mniejszy ork przystanął.

— Dość! — warknął. — Wracam do domu! — wskazał w głąb doliny, ku forteczce. — Nie myślę dłużej obijać nosa o kamienie. Powiadam ci, że trop się urwał. Straciłem go przez ciebie, dlatego że ci ustąpiłem. Trop prowadzi w góry, nie wzdłuż doliny, ja miałem rację, a nie ty.

— Niewielki pożytek z takich pętałów wężycieli — odciął się drugi. — Więcej warte nasze oczy niż te wasze zasmarkane nochale.

— A cóżes ty wypatrzył tymi swoimi ślepiami? — odparł pierwszy. — Nawet nie wiesz, czego szukasz.

— Czyja to wina? — spytał wojownik. — Nie moja przecież. Z dowództwa dostałem bałamutne rozkazy. Najpierw mówili o wielkim elfie w błyszczącej zbroi, potem o karłowatym człowieczku, a w końcu o bandzie zbuntowanych Uruk-hai czy może o wszystkich naraz.

— W dowództwie potracili głowy — rzekł tropiciel. — A niektórzy dowódcy pewnie je tracą naprawdę, jeżeli potwierdzą się pogłoski, które krążą, że nieprzyjaciół wtargnął do Wieży, że setki twoich kamratów poległy i że jeniec uciekł. Skoro tak się sprawiacie, wy, bojowi orkowie, nic dziwnego, że z pola bitwy nadchodzą złe nowiny.

— Kto powiedział, że nowiny są złe? — ryknął wojownik.

— A kto mówi, że są dobre?

— To są plotko szerzone przez buntowników! Przestań pyskować, bo cię nożem dźgnę. Zrozumiano?

— Zrozumiano, zrozumiano. Pary z gęby nie puszczę, ale co myślę, to myślę. Ciekawe, co wspólnego z tą całą hecą ma tamten mały krętacz. Ten żarłok z łapami jak płetwy.

— Nie wiem. Może nic. Ale na pewno coś knuje, bo kręci się i nos wścibia, gdzie nie trzeba. Niech go zaraza udusi! Ledwie nam się z rąk wyśliznął i umknął, natychmiast przyszedł rozkaz, żeby go żywcem złapać, i to prędko.

— Mam nadzieję, że go złapią, i że dostanie nauczkę — mruknął tropiciel. — To on zmylił ślady, bo ubrał się w kolczugę, którą znalazł porzuconą, i zdeptał całe to miejsce, zanim przyszlismy.

— Kolczuga tę pokrakę uratowała — powiedział bojowy ork. — Jeszcze nie miałem rozkazu, żeby brać jeńca żywcem, i postrzeliłem go z odległości pięćdziesięciu kroków w plecy, ale nie upadł i pobiegł dalej.

— Boś spudłował — odparł tropiciel. — Strzelasz źle, ruszasz się za wolno, a potem ściągasz biednego tropiciela na pomoc. Mam tego wyżej uszu.

Obrócił się na pięcie i puścił biegiem w drugą stronę.

— Wracaj! — wrzasnął bojowy ork. — Bo zamelduję, żeś zdezerterował!

— Komu? Chyba nie twojemu sławnemu Szagratowi. Ten już nie będzie nami dowodził.

— Podam twoje imię i numer Nazgulom — odpowiedział bojownik zniżając głos do syczącego szeptu. — Jeden z nich objął komendę na Wieży.

Mniejszy ork zatrzymał się. Głos mu drżał z wściekłości i strachu.

— Ty łajdaku, zdrajco, donosicielu! — krzyknął. — Nie znasz swego rzemiosła, a tak jesteś podły, że własne plemię byś zaprzedał. Dobrze, idź do tych krzykaczy, niech ci zmrożą krew w żyłach. Jeżeli przedtem tamci ich nie sprzątną. Pierwszego, jak słyszałem, sprzątnęli. Mam nadzieję, że to prawdziwa pogłoska.

Duży ork z dzidą w ręku rzucił się za nim w pogoń. Lecz tropiciel uskoczył kryjąc się za jakimś głazem, podniósł błyskawicznie łuk i puścił strzałę prosto w oko przeciwnika, który zwałił się ciężko na ziemię. Mniejszy ork umknął i zniknął w głębi doliny.

Przez chwilę hobbici siedzieli w milczeniu. Wreszcie Sam ocknął się pierwszy.

— Ano, bardzo pięknie — rzekł. — Jeśli takie przyjazne stosunki panują powszechnie w Mordorze, będziemy mieli sprawę znacznie ułatwioną.

— Bądź cicho, Samie! — szepnął Frodo. — Mogą się tu kręcić inni w okolicy. Mało brakowało, a byłoby po nas; pościg jest na tropie i bliżej, niż przypuszczaliśmy. Ale tak, taki w Mordorze duch panuje, że do każdego zakątka tego kraju wciska się niezgoda. Jeśli wierzyć starym legendom, orkowie zawsze mieli takie zwyczaje, nawet gdy sami rządzą jeszcze u siebie. Nie należy jednak w tym pokładać wielkich nadziei. Nade wszystko nienawidzą nas, i to także od wieków.

Gdyby ci dwaj nas dostrzegli, przestaliby się kłócić, dopóki by nas nie zabili.

Znowu zapadło milczenie. Przerwał je tym razem także Sam, ale już szeptem.

— Słyszał pan, co gadali o tym żarłoku, panie Frodo? Mówiłem panu, że Gollum żyje.

— Pamiętam. Dziwiłem się, żeś to odgadł — rzekł Frodo. — Nie powinniśmy stąd wychylać się przed nocą. Mamy więc trochę czasu i możesz mi wreszcie opowiedzieć, skąd wiesz o Gollumie i co się z tobą działo, gdy byliśmy rozłączeni. Ale nie narób hałasu!

— Postaram się — odparł Sam. — Co prawda, gdy myślę o tym śmierdzieliu, krew mnie zalewa i mam ochotę krzyczeć.

Przesiedzieli więc pod osłoną kolczastych krzaków czekając, by mętne światło dnia zamieniło się z wolna w czarną i bezgwiezdną noc Mordoru; Sam opowiedział na ucho Frodowi wszystko, co zdołał w słowach wyrazić, o zdradzieckiej napaści Golluma, o potwornej Szelobie i o własnych przygodach z orkami. Gdy skończył, Frodo w milczeniu uściśnął jego rękę. Dopiero po chwili rzekł:

— Teraz chyba pora wyruszyć. Ciekaw jestem, jak długo uda nam się wymykać, kiedy skończy się wreszcie to skradanie i prześlizgiwanie się chyłkiem, cała ta męka, w dodatku daremna! — Wstał. — Ciemno okropnie, a szkiełka Galadrieli nie możemy użyć. Przechowuj je dla mnie, Samie. Ja nie miałbym gdzie go teraz ukryć, chyba w garści, a będę potrzebował obu rąk, żeby drogę macać po nocy. Co do Żądła, to daję ci je na zawsze. Mam miecz orków, ale myślę, że nie wypadnie mi już nigdy walczyć taką bronią.

Trudno było i niebezpiecznie wędrować po bezdrożach, z wolna jednak, potykając się często, hobbici brnęli godzinę za godziną coraz dalej na północ, wzdłuż wschodniego brzegu kamiennej doliny. Kiedy blade, szare światło rozpełzło się po zachodnich zboczach w górze, w parę godzin po wzejściu dnia nad innymi krajami, wędrowcy znów przycupnęli w ukryciu i przespali się kolejno, czuwając na zmianę. Podczas swojej warty Sam rozmyślał o sprawach aprowizacji. Gdy Frodo zbudził się i powiedział, że trzeba coś przegryźć i przygotować się do dalszych trudów, Sam zadał mu pytanie, które go od dawna mocno niepokoiło:

— Za przeproszeniem pańskim, czy pan ma chociaż jakieś pojęcie, jak długo jeszcze musimy maszerować?

— Bardzo niedokładne — odparł Frodo. — W Rivendell, zanim ruszyliśmy na wyprawę, pokazano mi mapę Mordoru, sporządzoną przed powrotem Nieprzyjaciela do tego kraju, ale nie zapamiętałem jej dobrze. To jedno wiem, że jest takie miejsce, gdzie oba górskie łańcuchy, zachodni i północny, wysuwają ku środkowi równiny ramiona, które się niemal z sobą stykają. Miejsce to musi być odległe co najmniej o dwadzieścia staj od mostu pod Wieżą. Tam chyba najlepiej próbować przeprawy przez równiny. Oczywiście, w ten sposób oddalimy się znacznie od

Góry Ognistej, pewnie o jakieś sześćdziesiąt mil. Liczę, że od mostu uszliśmy ze dwanaście staj na północ. Nawet gdyby wszystko układało się pomyślnie, prędzej niż za tydzień nie dotrę do Góry. Obawiam się, mój Samie, że brzemie stanie się bardzo ciężkie, a ja będę się włókł coraz wolniej w miarę zbliżania się do celu.

Sam westchnął.

— Tego się właśnie bałem — rzekł. — Ano, nie mówiąc już o wodzie, musimy, proszę pana, albo jeść odtąd jeszcze mniej, albo przyspieszyć kroku; w każdym razie teraz, póki idziemy doliną. Jedna przekąska i zapasy się skończą, zostanie tylko trochę chleba elfów.

— Będę się starał iść trochę prędzej — odparł Frodo nabierając tchu w płuca. — A teraz, w drogę. Zaczynamy nowy marsz.

Wyruszyli, choć nie było jeszcze całkiem ciemno. Szli do późna w noc. Godziny mijały, a dwaj hobbici wlekli się wytrwale, z rzadka pozwalając sobie na krótkie wytchnienie. Kiedy pierwszy nikły ślad szarego brzasku pojawił się na skraju ciemnego stropu nieba, zapadli znów w jakąś norę pod występem skalnym.

Rozwidniało się powoli i dzień wstawał jaśniejszy niż wszystkie poprzednie. Silny zachodni wiatr zmiatał dymy Mordoru nawet z górnych warstw nieba. Wkrótce hobbici mogli już rozróżnić zarysy krajobrazu na kilka mil wkoło. Parów, dzielący graniczny łańcuch od pasma Morgai, wspinał się coraz wyżej i stopniowo zacieśniał, aż wreszcie wewnętrzny grzbiet górski przeobraził się w półkę skalną na stromym zboczu Efel Duathu; od wschodu opadał jednak ku płaszczyźnie Gorgoroth niemal prostopadłą ścianą. Łóżysko potoku kończyło się w górze pod splekanymi stopniami skalnymi, tu bowiem od głównego masywu gór wysoka, naga ostroga wybiegała niby mur obronny ku wschodowi. Szary zamglony łańcuch północny, Ered Lithui, wyciągał na jej spotkanie długie, potężne ramie tak, że pozostawał między nimi tylko wąski przesmyk — Karach Angren, Żelazna Paszcza; za tą bramą skalną leżała głęboka Dolina Udun. Tutaj, za Morannonem, kryły się podziemne zbrojownie, przygotowane przez służalców Mordoru dla obrony Czarnej Bramy, otwierającej dostęp do ich kraju. Tutaj też Czarny Władca zgromadził obecnie w pośpiechu wielkie siły, by odeprzeć najazd wódzów Zachodu. Na wysuniętych ostrogach górskich wzniesiono forty i wieże, rozpalono ognie strażnicze, a przesmyk zagrodzono wałem ziemnym i przepaścistą fosą, nad którą przerzucono jeden tylko most.

O parę mil dalej na północ, w załomie, gdzie od głównego łańcucha odgałęziała się zachodnia ostroga, stał wysoko wśród szczytów dawny zamek Durthang, zamieniony teraz na jedną z trzech twierdz strzegących Doliny Udun. Z miejsca, na którym znaleźli się hobbici, widać już było w potęgującym się świetle poranka drogę wijącą się od zamku w dół; o jakąś milę lub dwie stąd droga ta skręcała na wschód i biegła po wykutej w zboczu ostrogi półce, zniżając się stopniowo ku

równinie, a potem przez nią zmierzając do Żelaznej Paszczy.

Hobbici, rozglądając się z ukrycia, musieli dojść do wniosku, że całą tę uciążliwą wędrówkę na północ odbyli daremnie. Dolina, rozścielająca się na prawo od nich, była mroczna i zadymiona, nie dostrzegali w niej obozów ani też ruchu wojsk, lecz górująca nad nią forteca Karach Angren dobrze jej strzegła.

— Zabłądziliśmy w ślepią uliczkę, Samie — rzekł Frodo. — Jeśli pójdziemy dalej pod górę, trafimy prosto do twierdzy orków; w dół nie można zejść inaczej niż drogą, która spod tej twierdzy biegnie. Nie pozostaje nam nic, tylko zawrócić, skąd przyszlismy. Stąd nie zdołamy wspiąć się na zachodni grzbiet ani też zejść z wschodniego.

— W takim razie trzeba iść drogą — odparł Sam. — Musimy zaryzykować i liczyć na szczęście, jeśli w Mordorze szczęście w ogóle mieszka! Nie sposób błąkać się dłużej ani też próbować odwrotu; to już lepiej byłoby od razu się poddać. Prowiant nam się kończy. Skoro innej rady nie ma, idziemy naprzód, i to biegiem!

— Zgoda, Samie — rzekł Frodo. — Prowadź! Dopóki masz bodaj odrobinę nadziei... Mnie już jej zabrakło. Ale biec naprawdę nie mogę. Będę się w najlepszym razie włókł za tobą.

— Nawet żeby się wlec, potrzeba panu najpierw trochę snu i jedzenia. Skorzystamy z jednego i drugiego w miarę możliwości.

Oddał Frodowi manierkę z wodą i dodatkowy kawałek chleba elfów, a potem zwinął swój płaszcz i wsunął go pod głowę ukochanemu panu. Frodo był zanadto zmęczony, żeby protestować; zresztą nie zorientował się, że wypił ostatnią kroplę wody i zjadł, prócz swojej, porcję wiernego giermka. Gdy Frodo usnął, Sam pochylony nad nim wsłuchiwał się w jego oddech i wpatrywał w jego twarz; mimo wychudzenia i głębokich bruzd wydała mu się pogodna i nieustraszona. „Ano, nie ma rady, mój panie! — szepnął w duchu Sam. — Muszę cię na chwilę opuścić i spróbować szczęścia. Bez wody nie zajdziemy nigdzie”.

Wymknął się i skacząc z kamienia na kamień z ostrożnością nawet dla hobbita niezwykłą, zbiegł w dół ku wyschlęmu łożysku strumienia, potem zaś zaczął wspinać się jego brzegiem na północ, aż pod stopnie skalne, po których niewątpliwie musiała ongi spływać kaskadą tryskająca ze źródła woda. Teraz miejsce to zdawało się suche i martwe. Sam jednak nie dając za wygraną schylił się i przytknął niemal ucho do skał; ku swej wielkiej radości usłyszał nikły szmer kropel. Wdrapał się jeszcze trochę wyżej i trafił na wąską stróżkę ciemnej wody ściekającą ze zbocza do małego zagłębienia, skąd rozlewała się znowu ginąc pod kamieniami. Sam skosztował wody. Wydała mu się wcale niezła. Napił się do syta i napełnił manierkę, lecz w momencie, gdy odwracał się od źródła, mignęła mu wśród skał opodal kryjówki Froda jakaś czarna postać czy może cień. Stłumił okrzyk, który mu się rwał na usta, jednym susem znalazł się u stóp skalnego progu i sadząc w skokach przez kamienie pomknął ile sił w nogach. Stwór był czujny,

krył się zręcznie, ale Sam rozpoznał go niemal na pewno i ręce go świerzbiły, żeby je zacisnąć na gardle zdrajcy. Tamten jednak usłyszał kroki hobbita i wyśliznął się zręcznie. Sam miał wrażenie, że raz jeszcze dostrzegł wytkniętą nad krawędzią wschodniej przepaści głowę, która natychmiast znikła.

— Ano, szczęście mnie nie opuściło — mruknął Sam — ale mało brakowało! Nie dość, że tysiące orków mamy na karku, jeszcze ten śmierdziel przyszedł tutaj węszyć. Że też łajdaka jeszcze ziemia nosi!

Usiadł obok Froda, lecz nie zaalarmował go od razu. Bał się jednak usnąć, a kiedy w końcu zrozumiał, że dłużej się od snu nie obroni, bo oczy same się kleją, zbudził łagodnie przyjaciela.

— Gollum się znowu koło nas kręci, proszę pana — rzekł. — A jeśli to nie on, to widać ma sobowtóra. Poszedłem szukać wody i na mgnienie oka dostrzegłem odwracając się od źródła, jak się czał i podglądał nas. Uważam, że nie byłoby bezpiecznie, gdybyśmy obaj spali, a z przeproszeniem pańskim oczy mi się już kleją okropnie.

— Samie kochany! Połóż się i prześpij, należy ci się to od dawna — odparł Frodo. — Z dwojga złego wolę Golluma niż orków. Bądź co bądź on teraz nie wyda nas w ich łapy, chyba żeby sam w nie wpadł.

— Ale własną łapą może się dopuścić grabieży, a nawet morderstwa — mruknął Sam. — Niech pan ma oczy otwarte! Proszę, tu jest manierka pełna wody. Może pan pić śmiało. Zanim stąd ruszymy, napełnię ją na nowo.

I z tymi słowy Sam zasnął.

Kiedy się zbudził, zapadał znowu mrok. Frodo siedział oparty plecami o skałę i spał. Manierka była pusta. Gollum się nie pokazał. Ciemności Mordoru powróciły, tylko ognie strażnicze na szczytach świeciły jaskrawą czerwienią, gdy hobbiti rozpoczynali ostatni, najgroźniejszy etap wędrówki. Najpierw poszli do źródła, a potem, mozolnie pnąc się pod górę, dotarli do drogi w miejscu, gdzie zakręcała na wschód ku odległemu o dwadzieścia mil przesmykowi Żelaznej Paszczy. Droga była niezbyt szeroka, nie zabezpieczona murem ani poręczą, chociaż biegła skrajem przepaści, pogłębiającej się z każdą chwilą. Hobbiti nasłuchiwali chwilę, lecz nie słysząc żadnych podejrzanych szmerów, puścili się energicznym krokiem w kierunku wschodnim.

Dopiero po dwunastu mniej więcej milach przystanęli. Przed chwilą minęli zakręt drogi, która tu zbaczała nieco ku północy, toteż nie mogli obserwować przebytego już odcinka. Okazało się to dla nich zgubne. Ledwie bowiem odpoczęli kilka minut, gdy nagle w ciszy nocnej dobiegł ich uszu odgłos, którego najbardziej się w głębi serc lękali: tupot maszerujących żołnierzy. Przeciwnicy byli jeszcze dość daleko, ale o milę niespełna zza zakrętu błyskały już światła pochodni i zbliżały się szybko, tak szybko, że Frodo nie miał szansy uciec przed nimi

biegnąc naprzód drogą.

— Tego się właśnie bałem — powiedział. — Zaufaliśmy szczęściu i szczęście nas zawiodło. Jesteśmy w pułapce! — Rozejrzał się gorączkowo po niedostępnej ścianie skalnej, którą dawni budowniczkowie ociosali i wygładzili na wiele sążni w górę ponad drogą. Przebiegł na drugą stronę i wyjrzał poza krawędź w głąb ciemnej przepaści. — Jesteśmy w pułapce! — powtórzył. Osunął się na skałę i zwiesił głowę na piersi.

— Zdaje się, że tak — powiedział Sam. — Ano, trzeba czekać. Zobaczmy, co dalej się stanie.

Siadł obok Froda w cieniu urwiska.

Nie czekali długo. Orkowie maszerowali bardzo szybko. Żołnierze z pierwszych szeregów nieśli zapalone łuczywa. Zbliżali się, czerwone płomienie rosły w ciemnościach z każdą sekundą. Teraz już Sam także zwiesił głowę, w nadziei, że w ten sposób ukryje twarz, gdy padnie na nich blask pochodni. tarcze ustawili oparte o kolana tak, by zasłaniały hobbitkie stopy.

„Może w pośpiechu zostawią dwóch zmęczonych maruderów w spokoju” — myślał.

Rzeczywiście zdawało się to możliwe. Pierwsi żołnierze minęli ich zdyszani, ze spuszczoneymi głowami. Była to banda mniejszych orków pędzonych wbrew ich woli do walki za sprawę Czarnego Władcy; tych nic nie obchodziło, myśleli tylko o tym, żeby wreszcie skończył się ten marsz i żeby uniknąć chłosty. Wzdłuż kolumny uwijali się dwaj ogromni dzicy Uruk-hai wymachując nahajami i pokrzykując. szereg za szeregiem sunął drogą, niebezpieczne łuczywa już znalazły się dość daleko na przedzie. Sam wstrzymał oddech. Połowa kolumny już przeszła. nagle jeden z poganiaczy zauważył dwie postacie przytulone do skalnej ściany. Świsnął nahajem nad nimi i wrzasnął:

— Hej, wstawać, pokurcze!

Nie odpowiedzieli. Ork krzyknął komendę i zatrzymał oddział.

— Ruszcie się, lenie przekłete! — wrzasnął. — Teraz nie pora spać. — Przy-sunął się o krok bliżej i mimo mroku rozpoznał godła na tarczach. — Dezerterzy, co? — warknął. — Zachciało wam się wiać? Wszyscy z waszego szczepu powinni już od wczorajszego wieczora być w Dolinie Udun. Wiecie to dobrze. Dalejże, wstawać! Do szeregu! Prędszej, bo podam wasze numery dowódcy.

Dźwignęli się ciężko, zgarbieni, i kulejąc jak znużeni forsownym marszem żołnierze powlekli się do ostatniego szeregu.

— Nie tam! — huknął poganiacz. — W trzecim szeregu od końca! A nie próbujcie wiać, bo będę miał na was oko.

Długa nahajka świsnęła nad ich głowami, potem strzeliła drugi raz, gdy Uruk-hai krzykiem ponaglał cały oddział do biegu. Nawet Sam, nieborak, wyczerpany długą podróżą, z trudem nadązał, ale Frodo cierpiał męki, które wkrótce spotęgowały się w istną torturę. Zaciął żeby, usiłował stłumić wszelkie myśli, rozpacz-

liwie parł naprzód. Dusił się od wstrętnego smrodu spoconych orków, omdlewał niemal z pragnienia. Biegli, biegli wciąż; Frodo z największym wysiłkiem chwycił dech w płuca, zmuszał nogi do marszu; nie śmiał odgadywać, do jakiego straszego celu tak się spieszy. Nie było nadziei, żeby udało im się wymknąć. Poganiacz co chwila podbiegał do tylnych szeregów i sprawdzał, jak się zachowują.

— Biegiem! — wrzeszczał śmiejąc się i smagając ich nahajem przez łydki. — Pod batem każdy siły znajdzie. Prędszej, pokurcze! Dałbym wam lepszą nauczkę, ale i tak dostaniecie za swoje, jak się stawicie z opóźnieniem do obozu. Dobrze wam to robi. Nie wiecie może, że jest wojna?

Przebiegli kilka mil. Frodo już gonił ostatkiem sił i wola w nim słabła, gdy wreszcie droga zaczęła opadać wydłużonym stokiem ku równinie. Frodo zataczał się i potykał. Sam zrozpaczony starał się pomagać mu, podtrzymywał go, chociaż jemu także brakło już tchu i nogi się pod nim ugiwały. Przeczynał, że lada chwila nastąpi katastrofa, Frodo zemdleje albo upadnie, wszystko się wyda, a cały mordczy wysiłek okaże się daremny. „Ale z tym drabem poganiaczem jeszcze się przedtem porachuję” — myślał.

Już sięgał do rękojeści mieczyka, kiedy zjawił się nieoczekiwany ratunek. Byli już na równinie i dość blisko wejścia do Udunu. Nieco przed nimi, przed bramą i przyczółkiem mostu, droga wschodnia łączyła się z innymi, prowadzącymi z południa i od Barad-Duru. Wszystkimi tymi drogami ciągnęły wojska, bo zastępy Gondoru posuwały się naprzód i Władca Ciemności pchał swoje armie na północ. Zdarzyło się właśnie, że u zbiegu dróg, w ciemnościach, gdzie nie dochodziło światło rozpalonych na skałach ognisk, spotkało się kilka oddziałów. Powstał zamęt i zgiełk, rozległy się wrzaski i klątwy, bo każdy oddział chciał pierwszy dotrzeć do celu odpychając inne. na próżno poganiacze krzyczeli i wymachiwali nahajkami; między orkami wybuchły bójki, ten i ów wyciągnął nawet miecz z pochwy. Pułk uzbrojonych po zęby ciężkich Uruk-hai z Barad-Duru natarł na maszerującą spod zamku Durthang kolumnę. Szeregi załamały się i rozpierzchnęły pod tym naporem.

Oszołomiony bólem i zmęczeniem Sam ocknął się i błyskawicznie wykorzystując okazję rzucił się na ziemię; pociągnął Froda za sobą. Orkowie wśród przekleństw i wrzasków potykali się o nich, przewracali jedni na drugich. Hobbici czołgając się na czworakach zdołali z wolna wydostać się z tłoku i niepostrzeżenie dotarli wreszcie na skraj drogi. Ułożono na jej brzegu wysoki krawężnik, żeby dowódcom ułatwić orientację w ciemne noce lub we mgle, a równina ciągnęła się pod nim o kilka zaledwie stóp niżej.

Chwilę leżeli nieruchomo. Za ciemno było, żeby rozglądać się za kryjówką, a zresztą pewnie by jej w tych okolicach nie znaleźli. Sam jednak rozumiał, że trzeba odsunąć się jak najdalej od szlaku i poza krąg światła pochodni.

— Naprzód, panie Frodo — szepnął. — Podpełnijmy choć parę kroków, a potem pan będzie mógł odpocząć.

Frodo ostatnim desperackim wysiłkiem przeczołgał się o jakieś dwadzieścia kroków w bok od drogi i nagle natrafił na płytki dół, nieoczekiwanie ziejący pośrodku pola. Zapadł weń i legł na dnie, śmiertelnie wyczerpany.

ROZDZIAŁ XIII

Góra Przeznaczenia

Sam wsunął swój podarty czarny płaszcz orków pod głowę pana i nakrył się z nim razem szarym płaszczem elfów, a gdy to robił, myśli jego pobiegły do pięknego Lorien i do jego mieszkańców, a w serce wstąpiła otucha, że tkanina ich rękami usnuta osłoni wędrowców w beznadziejnym położeniu, w tym okropnym kraju. Zgiełk i wrzask przycichał stopniowo, pułki orków przeszły za Żelazną Paszczę. Można było pocieszać się, że w zamęcie i przemieszaniu różnych oddziałów nie zauważono braku dwóch maruderów, przynajmniej na razie.

Sam wypił ledwie jeden łyk wody, lecz swojego pana napoił obficie, a gdy Frodo wreszcie odzyskał trochę sił, nakłonił go do zjedzenia całego kawałka nieocenionego chleba elfów. Potem, tak wyczerpani, że nawet nie czuli strachu, wyciągnęli się na ziemi. Spali czas jakiś, ale niespokojnie, budząc się często i drżąc, bo obsychający na ciałach pot przejmował ich chłodem, a na twardych kamieniach bolały wszystkie kości. Z północy, od Czarnej Bramy przez Kirith Ungol ciągnął przy ziemi mroźny powiew.

Rankiem znów zajaśniało szare półświatło, gdyż górą po niebie wciąż jeszcze dął zachodni wiatr, niżej wszakże, w wewnętrznym kręgu gór, na kamiennej równinie Kraju Ciemności powietrze zdawało się niemal martwe, jednocześnie duszne i zimne. Sam wyjrzał z jamy. Otaczały ich posępne, płaskie, szarobure pola. Na pobliskiej drodze wszelki ruch ustał, lecz Sam lękał się czujnych oczu wypatrujących ze strażnic nad Żelazną Paszczą, która otwierała się nie dalej niż o ćwierć mili na północ stąd. Na południo-wschód w oddali Góra Ognista majaczyła niby ogromny wzniesiony nad horyzontem cień. Biły znad jej wierzchołka dymy, których część, uniesiona wzwyż, płynęła ku wschodowi, część zaś skłębionymi zwałami osuwała się po stokach i rozpełzała po okolicy. O kilka mil na północ-wschód ciemniały szare podnóża Gór Popielnych, a za nimi omglona północna grań niby odległa chmura wisiała w powietrzu, ledwie trochę ciemniejsza na tle niskiego pułapu nieba.

Sam usiłował zorientować się w odległościach i wybrać właściwą drogę.

— Co najmniej pięćdziesiąt mil — mruczał zatroskany, patrząc na złowrogą

Górę — czyli dobry tydzień marszu, wobec stanu biednego pana Froda.

Tak kalkulując potrząsał z powątpiewaniem głową, którą z wolna opanowywały czarne myśli. W jego dzielnym sercu nadzieja nie zamierała nigdy i dotychczas zawsze mimo wszystko troszczył się o drogę powrotną. Dopiero w tej chwili uprzytomnił sobie jasno gorzką prawdę: zapasy starczą z trudem na dojście do celu. Potem, po spełnieniu misji, muszą obaj z Frodem zginąć, samotni, bezdomni, głodni pośród okrutnego pustkowia. Nie ma dla nich powrotu.

„A więc na tym polega zadanie, które wziąłem na siebie wyruszając w tę drogę — myślał Sam. — Mam wspomagać pana Froda do ostatka, a potem umrzeć razem z nim. Ano trudno, jeśli tak jest, muszę zrobić, co do mnie należy. Ale bardzo bym chciał zobaczyć jeszcze w życiu Dom Nad Wodą, Różyczkę Cotton i jej braci, i Dziadunia, i Marigold, i wszystkich sąsiadów z Hobbitonu. Jakoś nie mogę uwierzyć, żeby Gandalf wyprawił pana Froda w tę podróż, gdyby nie było odrobiny nadziei, że z niej powróci. Cała sprawa przybrała zły obrót, odkąd Gandalf zginął w Morii. Szkoda! On by nas z pewnością wyratował”.

Ale nawet teraz, gdy nadzieja naprawdę, czy może tylko pozornie, zgasła, przeobraziła się w jego duszy w nowe męstwo. Pospolita twarz Sama przybrała wyraz surowy, niemal posępny. Obudziła się w hobbitcie zawziętość, dreszcz przebiegł jego ciało, jak gdyby zmieniał się w istotę, której ani rozpacz, ani zmęczenie, ani ciągnąca się bez końca wędrówka przez pustkowia nie może pokonać.

Z nowym poczuciem odpowiedzialności zwrócił teraz oczy na otaczającą ich bliższą okolicę zastanawiając się nad następnym krokiem. Tymczasem rozwidniło się trochę i Sam ku swemu zdziwieniu stwierdził, że okolica, która z daleka wydawała się monotonna, wielką płaszczyzną, jest w rzeczywistości pokryta wybojami, rumowiskiem i usypiskami. Cała rozległa równina Gorgoroth zryta była ogromnymi jamami, można by pomyśleć, że niegdyś zalegał ją miękki muł, na który spadł z procy olbrzymów grad kamiennych pocisków. Największe zapadliśka otaczał wał gruzów skalnych i we wszystkie strony rozbiegały się od nich promieniście szerokie szczeliny. W takim terenie można było przekradać się od kryjówek do kryjówek bez obawy wytopienia przez najczujniejsze nawet oczy; można było, co prawda pod warunkiem, że miało się na to dość sił i dużo czasu. Dla wędrowców zgłodniałych i znużonych, którzy musieli odbyć daleką drogę, zanim wyczerpią resztkę zapasów i sił, zadanie przedstawiało się niemal beznadziejnie.

Rozważając te sprawy Sam wrócił do Froda. Nie potrzebował go budzić. Frodo leżał na wznak z otwartymi oczyma i wpatrywał się w chmurne niebo.

— Ano, proszę pana — rzekł Sam — rozejrzałem się trochę i namyśliłem. na drogach cisza, trzeba ruszać, póki to możliwe. Da pan radę?

— Dam — odparł Frodo. — Muszę.

Znowu więc ruszyli naprzód, pełzając od jamy do jamy, wykorzystując każdą osłonę, jaka się nastroczała, i wciąż kierując się na przełaj ku podnóżom północ-

nego łańcucha gór. najdalej na wschód wysunięta droga biegła zrazu równolegle do szlaku hobbitów, aż wreszcie tuląc się do podnóży gór zanurzyła się w ich cieniu. Na jej płaskiej szarej taśmie pusto było i cicho, bo przemarsze armii Mordoru już się niemal całkowicie skończyły, a przy tym Władca Ciemności nawet w obrębie swego warownego państwa wołał przesuwac pułki pod osłoną nocy, obawiając się wichrów ze świata, które obróciły się przeciw niemu i rozdzierały dymy; niepokoiły też Saurona pogłoski o zuchwałych szpiegach, którzy przedarli się przez granice.

Po kilku w trudzie przebytych milach hobbitci zatrzymali się, żeby wytchnąć. Frodo był u kresu sił. sam rozumiał, że wiele dalej nie zajdą w ten sposób, to czołgając się, to zgięci wpół, to wlokąc się i niepewnie wymacując drogę, to biegnąc wśród wybojów.

— Wracajmy na drogę, póki jest jasno, proszę pana — rzekł. — Zaufajmy raz jeszcze szczęściu. Omal nas nie opuściło w ostatniej przygodzie, a jednak nie zawiodło. Kilka mil dobrego marszu i będziemy mogli odpocząć.

Ryzyko było większe, niż przypuszczał, lecz Frodo, zajęty brzemieniem, które dźwigał, i wewnętrzną rozterką, przy tym ostatecznie już zdesperowany, zgadzał się na wszystko. Wspięli się na nasyp i poszli dalej twardą, okrutną drogą, wiodącą wprost do Czarnej Wieży. Szczęście jednak nadal im sprzyjało, bo do wieczora nie spotkali żywego ducha, a w nocy skryły ich Ciemności. Cały kraj przeczaił się w ciszy jak przed srogą burzą; wodzowie Zachodu minęli już Rozstaje Dróg i płomień wojny szerzył się na strasznych polach Imlad Morgul.

Tak trwała rozpaczliwa wędrówka, Pierścień dążył na południe, a sztandary królewskie na północ. Każdy dzień i każda mila potęgowały udrękę hobbitów, siły bowiem wyczerpywały się, a wrogi kraj stawał się coraz groźniejszy. Za dnia nie spotykali nieprzyjaciół. W nocy, kryjąc się i drzemiąc niespokojnie w jakiejś jamie opodal drogi, słyszeli wrzaski i tupot wielu stóp albo spieszny tętent bezlitośnie poganianych koni. Gorsza jednak od tych niebezpieczeństw była groza tego miejsca, do którego zmierzali, groza tej potęgi, zatopionej w swych myślach, bezsennie knującej przewrotne plany w okrytej zasłoną ciemności stolicy. Im bliżej do niej podchodzili, tym bardziej złowrogi wydawał się jej czarny cień jak ściana nocy na ostatniej granicy świata.

Nadszedł wreszcie najstraszniejszy wieczór; w tej samej chwili, gdy armie Gondoru dotarła do kresu żywych ziem, dwaj wędrowcy przeżywali czarną godzinę rozpacz. Cztery dni minęły, odkąd uciekli z szeregów orków, lecz ten cały okres zdawał im się stopniowym pograżaniem w głąb koszmarnego snu. Czwartego dnia Frodo prawie się nie odzywał, szedł zgarbiony wpół i potykał się często, jak gdyby nie widząc już drogi pod stopami. Sam domyślał się, że wśród wspólnie znoszonych cierpień Frodowi przypadło najdotkliwsze: rosnący ustawicznie ciężar Pierścienia, nieznośne brzemie dla ciała i udręka dla duszy. Z niepokojem wierny giermek obserwował, że Frodo często podnosi lewą rękę, jakby broniąc

się od ciosu, lub osłania przerażone oczy przed okrutnym, szukającym go spoj-
rzeniem złego Oka. Czasem też prawa ręka Froda skradała się do zawieszonego
na piersiach Pierścienia, sięgała chciwie po niego i w ostatnim momencie opadała,
ulegając nakazowi woli.

Gdy teraz wróciły nocne ciemności, Frodo siadł z głową wtuloną między ko-
lana, ręce zwiesił bezwładnie ku ziemi, tylko palce drżały mu lekko. Sam czuwał
patrzając na niego, póki noc nie ogarnęła ich tak, że nie mogli widzieć się nawza-
jem. Sam nie znajdował już słów pociechy, pogrążył się więc we własnych nie-
wesołych myślach. On też był zmęczony i drżał z lęku, ale zachował trochę sił.
Lembasy miały niezwykłą moc krzepiącą, gdyby nie to, obaj hobbiti dawno już
ustaliby w drodze i poddali się śmierci. Lembasy nie zaspokajały jednak apetytu,
toteż Sam nieraz wspominał tęsknie różne potrawy i marzył o zwykłym chlebie
i mięsie. Mimo to chleb elfów miał potężne działanie, tym potężniejsze, że wę-
drowcy posilali się nim teraz wyłącznie, obywając się bez innego jadła. Żywił
ich, dawał siłę do przetrwania, krzepił do wysiłku, na jaki żadna śmiertelna istota
nie zdobyłaby się bez takiej pomocy. W tej chwili jednak musieli powziąć nową
decyzję. Nie mogli dłużej iść tą drogą, wiodła bowiem na wschód w samo serce
ciemności, podczas gdy Góra Ognista, do której powinni zmierzać, wznosiła się
na prawo od nich, niemal wprost na południe. Dzielili ich od niej jeszcze rozległa
przestrzeń martwego, dymiącego, pociętego rozpadlinami i zasypanego popiołem
kraju.

— Wody! Wody! — szepnął Sam. Skapił sobie każdej kropli, w zaschnię-
tych ustach język stwardniał mu i spuchł z pragnienia; mimo tej oszczędności
zostało im ledwie pół manierki, a mieli przed sobą jeszcze kilka dni wędrówki.
Dawno wyczerpaliby skromne zapasy, gdyby nie ośmielili się pójść drogą orków.
Przy niej bowiem w dość znacznych odstępach były zbiorniki, przygotowane dla
wojska na wypadek spiesznego marszu przez bezwodne pustkowia. W jednym
z nich Sam zaczerpnął trochę wody, zatechłej, zmałowanej, ale bądź co bądź zda-
tnej do użycia w ostatniej potrzebie. Zdarzyło się to jednak przed dwoma dniami.
W przyszłości nie mogli liczyć na podobne szczęście.

W końcu zmęczony posępnymi rozmyślaniami Sam zdrzemnął się, rezygnując
z troski o jutro, skoro nie mógł na razie i tak nic przedsięwziąć. Sen i jawa mie-
szały się w jego zgorączkowanej głowie. Widział światła, jak gdyby rozjarzone
ślepia, i skradające się cienie; słyszał głosy jak gdyby dzikich zwierząt i okropne
krzyki torturowanych, ale gdy zrywał się ze snu, stwierdzał, że otacza go ciem-
ność, pustka i cisza. Raz tylko stojąc i rozglądając się pilnie dokoła, miał wraże-
nie, chociaż na pewno w tym momencie nie spał, że dostrzega błądzący błysk dwojga
oczu, które jednak natychmiast przygasły i zniknęły.

Okropna noc wlokła się nieznośnie. Świt nastał mętny, bo w pobliżu Góry
Ognistej panował zawsze mrok i sięgały tutaj macki ciemności, które Sauron roz-
snuwał wokół swojej Czarnej Wieży. Frodo leżał bez ruchu na wznak, Sam stał

nad nim; niechętnie zabierał głos, ale rozumiał, że teraz jest to jego obowiązkiem i że musi skłonić swego pana do nowego wysiłku. Pochylił się i głaszcząc czoło Froda szepnął mu do ucha:

— Panie Frodo, proszę wstawać! Pora ruszać w drogę!

Frodo podniósł się zaraz, jakby zbudzony nagłym dźwiękiem dzwonka, i spojrział w stronę południa. Gdy wszakże zobaczył Górę i pustkowie, cofnął się i skulił.

— Nie mogę, Samie — rzekł. — Nie udźwignę tego ciężaru, to nad moje siły.

Sam wiedział, że to, co powie, będzie daremne i że słowa te więcej wyrządzą szkody, niż pomogą, lecz zdjęty litością nie mógł ich przemilczeć.

— Niech pan pozwoli, żebym ja go teraz chwilę dźwigał — powiedział. — Pan przecież wie, że zrobię wszystko, dopóki tej resztki sił mi starczy.

Oczy Froda rozbłyły gwałtownym gniewem.

— Nie zbliżaj się do mnie! Nie dotykaj mnie! — krzyknął. — On jest mój. Precz! — Ręką szukał głowicy miecza. Nagle głos mu złagodniał: — Ach, nie, Samie — rzekł ze smutkiem. — Staraj się mnie zrozumieć. To moje brzemię, nikt inny nie może go nieść. Za późno już, Samie, przyjacielu kochany. W ten sposób nie możesz mi teraz pomóc. Jestem już niemal całkowicie w jego władzy. Nie mogę oddać Pierścienia nikomu, a gdybyś chciał mi go odebrać, oszalałbym chyba.

Sam skinął głową.

— Rozumiem — odparł. — Ale myślę, proszę pana, że możemy się pozbyć innych ciężarów. Czemuż by nie ulżyć sobie choć trochę? Pójdziemy stąd możliwie najprostszą drogą do celu. — Wskazał Górę. — Nie warto brać rzeczy, które zapewne nie będą nam potrzebne.

Frodo spojrział znów w stronę Góry.

— Słusznie — rzekł. — Niewielu rzeczy będziemy odtąd potrzebowali w drodze. U celu nic już nam nie będzie potrzebne. — Chwycił tarczę orków, odrzucił ją daleko od siebie, a potem cisnął też za nią hełm. Zdjął płaszcz, rozpiął ciężki pas i pozwolił mu opaść na ziemię razem z mieczem, ukrytym w pochwie. Czarny płaszcz podarł na strzępy i rozsypał je wkoło.

— Nie będę udawał orka! — zawołał. — Pójdę dalej bez broni, czy to szlachetnej, czy to nikczemnej. Niech mnie zabiją, jeśli chcą.

Sam poszedł za jego przykładem, pozbył się orkowego przebrania i oręża; wyciągnął też z tobołka własne rzeczy. Dziwnie stały mu się miłe, może po prostu dlatego, że dźwigał je z tak daleka w niemałym trudzie. Najboleśniej było mu rozstać się z przyborami kuchennymi. Łzy stanęły mu w oczach, kiedy je odrzucał.

— Pamięta pan tę potrawkę z królika, panie Frodo? — spytał. — Ten zakątek z nagrzaną od słońca skarpą w kraju Faramira w dniu, kiedy zobaczyliśmy olifanta?

— Niestety, Samie — odparł Frodo — nic już nie pamiętam, a raczej wiem, że to przeżyłem, ale nie widzę tego oczyma pamięci. Nie zostało mi nic, zgubiłem smak jadła, świeżość wody, szum wiatru, wspomnienie drzew, trawy i kwiatów, obraz księżyca i gwiazd. Jestem nagi wśród ciemności, żadna zasłona nie dzieli mnie od ognistego koła. Widzę je teraz już nawet na jawie, otwartymi oczyma, a wszystko inne zanika we mgle.

Sam pocałował jego rękę.

— A więc trzeba się spieszyć, im prędzej pozbędziemy się brzemienia, tym prędzej będzie pan mógł odpocząć — mówił rwącym się głosem, nie znajdując lepszych słów pociechy. „Gadaniem nic tu nie pomogę — myślał zbierając porzuczone rzeczy. Nie chciał ich zostawiać na pustkowiu, w miejscu otwartym, gdzie łatwo mógłby je ktoś zauważyć. — Śmierdziel znalazł kolczugę, jak się zdaje, nie trzeba, żeby na dodatek uzbroił się w miecz. Z gołymi łapami dość jest niebezpieczny. I niedoczekanie jego, żeby miał dotykać moich rondli!” Zaniósł wszystko nad jedną z licznych szczelin, ziejących w ziemi, i cisnął w głąb. Brzęk cennych rondli spadających w czarną czelusć zabrzmiał w uszach Sama jak dzwony pogrzebowe.

Wrócił do Froda, odciął kawałek liny elfów, opasał nią swego pana i owiązał na nim ciasno szary płaszcz. Resztę liny zwinął starannie i schował do swego tobołka. Zatrzymał prócz niej tylko resztki lembasów, manierkę i Żądło, nadal wiążące mu u pasa. Głęboko w kieszeni na piersiach miał też schowany kryształowy flakonik Galadrieli i małą szkatułkę, którą od niej dostał w darze.

Wreszcie ruszyli, twarzami zwrócenii ku Górze, nie kryjąc się już teraz, walcząc ze zmęczeniem i skupiając słabnącą wolę na jednym zadaniu, byle iść naprzód. W mroku posępnego dnia nawet w tym dobrze strzeżonym kraju trudno byłoby szpiegom wypatrzeć hobbitów, chyba z bliska. Spośród wszystkich niewolników Czarnej Władcy tylko Nazgule mogłyby go ostrzec o tych niebezpiecznych wędrowcach, małych, lecz nieugiętych, wlokących się wytrwale w głąb obronnego Królestwa Ciemności. Nazgule jednak poszybowały na swych czarnych skrzydłach daleko stąd, bo wyznaczono im inną służbę: śledziły marsz armii królewskiej ciągnącej z zachodu pod bramy Mordoru; w tamtą stronę zwróciła się też cała uwaga Czarnej Wieży.

Tego dnia Samowi zdawało się, że Frodo odżył, i dziwiło go to, bo przecież ujął swemu panu tylko drobną część ciężaru. Zrazu więc szli znacznie szybciej, niż Sam przewidywał. Teren był trudny, okolica wroga, mimo to posunęli się na pierwszym etapie marszu tak, że Góra wyłaniała się przed nimi dość już bliska. Ale dzień minął; wcześniej, za wcześniej zmierzchnięte światło dzienne, Frodo znów się zgarbił i zaczął się chwiać na nogach, jakby w tym ostatnim zrywie zużył resztki sił. Gdy zatrzymali się na popas, osunął się na ziemię mówiąc:

— Pić mi się chce, Samie.

Potem umilkł. Sam dał mu łyk wody. W manierce zostało tylko kilka kropel, wierny giermek odmówił ich sobie. Toteż gdy raz noc Mordoru zamknęła się wokół wędrowców, Sam nie mógł myśleć o niczym innym, prócz wody; wszystkie rzeki, strumienie i potoki, jakie w życiu widział, jedne błyszczące w słońcu, inne ocienione liśćmi wierzb, ze szmerem i pluskiem przepływały przed jego udręczonymi oczyma. Czuł pod stopami chłodny piasek na dnie stawu nad Wodą, gdzie brodził w dzieciństwie z Jollym Cottonem i Tomem, i Nibsem, i małą ich siostrą, Różyczką. „Ale to było dawno — westchnął — i daleko! Droga powrotna, jeśli w ogóle istnieje, prowadzi przez tę Górę”.

Nie mógł zasnąć i dyskutował sam z sobą.

„Ano przyznaj, że jak dotąd lepiej nam się powiodło, niż się spodziewałeś — pocieszał się w duchu. — Bądź co bądź początek wcale niezły. Chyba przeszliśmy połowę drogi, znim ustaliliśmy w końcu. Jeszcze jeden dzień i będzie po wszystkim”.

„Nie bądź głupi, Samie Gamgee — zareplikował po chwili namysłu. — Frodo drugiego dnia takiego marszu nie wytrzyma, a może nie będzie mógł nawet wyruszyć z miejsca. Ty także nie zajdziesz daleko, jeżeli będziesz mu odstępował swoje porcje chleba i wody”.

„Mogę jeszcze iść dalej i zajdę”.

„Dokąd?”

„Na Górę, oczywiście”.

„A co potem, Samie Gamgee? Co potem? Co zrobisz, jeśli nawet sam dojdiesz? Frodo o własnych siłach niczego nie zdoła”.

Z rozpaczą Sam stwierdził, że na to nie znajduje odpowiedzi. Nie miał pojęcia, co należy zrobić. Frodo niewiele mówił mu o swojej misji, Sam wiedział tylko tyle, że Pierścień trzeba w jakiś sposób wrzucić w ogień. „Szczeliny Zagłady — mruknął, bo nazwa ta wypłynęła nagle z głębi jego pamięci. — Pan Frodo pewnie wie, jak je znaleźć, ale ja nie wiem”.

„A widzisz! — odpowiedział sobie. — Wszystko na nic. Frodo też tak mówił. Jesteś głupi, że łudzisz się nadzieją i nie przestajesz się tak męczyć daremnie. Żeby nie twój upór, od dawna już położylibyście się obaj w jakiejś dziurze i zasnęli na dobre. Śmierć was i tak nie minie albo spotka was coś gorszego od śmierci. Lepiej dać za wygraną i nie wstawać już więcej. Nigdy nie zdołacie wdrzeć się na ten szczyt”.

„Dojdę na szczyt, choćbym miał tam tylko własne kości dowlec — odparł. — I zaniosę pana Froda, choćby mi grzbiet miał od tego pęknąć razem z sercem. Przestań mi się sprzeciwiać, bo nie ustąpię”.

W tej chwili Sam poczuł pod swymi plecami drżenie ziemi i usłyszał jakby daleki grzmot przetaczający się w jej głębi. Pod chmurami błysnęła czerwony pło-

mień i zaraz przygaś. Góra Ognista także miała sen niespokojny.

Zaczął się ostatni etap wędrówki i okazał się tak uciążliwy, że Sam nie mógł pojąć, jakim cudem znosi tę mękę. Wyczerpany, obolały, cierpiał okropne pragnienie i przez zaschnięte gardło nie mógł już przepchnąć ani kęsa chleba. Było ciemno, nie tylko z powodu bijących znad Góry dymów; zbierało się na burzę, a w oddali na południo-wschodzie błyskawice migotały po czarnym niebie. Co najgorsze, powietrze tak było przesyczone oparami, że hobbici z trudem chwyтали oddech; w głowach im się kręciło, zataczali się i przewracali coraz częściej. A jednak z niezachwianą wolą brnęli dalej.

Góra z wolna przybliżała się, aż w pewnym momencie, gdy dźwignęli ociążałe głowy, ujrzeni ją tuż nad sobą; ogromny jej masyw przesłonił im świat. Piętrzyła się usypana z popiołu, żużlu i przepalanej skały, stromy jej stożek ginał w chmurach. Zanim dogasł półmrok dzienny i zapadła prawdziwa noc, hobbici dowlekli się na chwiejnych nogach aż do samego jej podnóża.

Frodo z jękiem padł na ziemię. Sam usiadł przy nim. Ku swemu zdumieniu mimo zmęczenia czuł się jakby lżejszy i myśli rozjaśniły mu się w głowie. Nie nękała go już rozterka. Znał wszystkie argumenty rozpacz i nie chciał ich słuchać. Zawział się, tylko śmierć mogła złamać jego wolę. Otrząsnął się z senności, rozumiał, że musi czuwać. Wiedział, że wszystkie groźby i niebezpieczeństwa skupiają się teraz w jednym punkcie: następny dzień będzie rozstrzygający, jutro dopełni się los, jutro czeka ich ostatni wysiłek albo klęska i kres.

Ale kiedy nadejdzie to jutro? Noc wlokła się w nieskończoność, jakby czas zastygł; minuty upływały w martwocie i składały się na martwe godziny, nie przynoszące żadnej zmiany. Sam już zaczął przypuszczać, że rozpoczęła się nowa era ciemności i dzień nie zaświta nigdy. Po omacku poszukał ręki Froda. Była zimna i drżała. Frodo dygotał wstrząsany dreszczami.

— Źle zrobiłem, że wyrzuciłem swój koc — mruknął Sam i położył się obok Froda, objął biedaka usiłując rozgrzać go własnym ciepłem. W końcu Sama zmożył sen, a mętny brzask ostatniego dnia wędrówki zastał obu hobbitów śpiących ramię przy ramieniu. Wiatr, który poprzedniego dnia ucichł, wzmaczał się teraz i wiał już nie z zachodu, lecz z północy; z wolna światło niewidocznego słońca przedarło się przez cienie do legowiska wędrowców.

— **W** drogę! Do ostatniego skoku! — zawołał Sam dźwigając się z ziemi. Łagodnie zbudził swego pana. Frodo jęknął; ogromnym wysiłkiem woli zdołał wstać, lecz natychmiast padł znowu na kolana. Podniósł z trudem oczy na czarne stoki Góry Przeznaczenia, która piętrzyła się nad nimi, i zaczął rozpaczliwie czołgać się na czworakach naprzód.

Samowi, gdy patrzył na to, serce pękało z żalu, lecz ani jedna łza nie spłynęła z suchych, przekrwionych oczu. „Powiedziałem, że go zaniosę na grzbiecie, choćby mi grzbiet miał pęknąć — pomyślał. — Tak też i zrobię”.

— Nie mogę przejąć pańskiego brzemienia, ale pana mogę przecież nieść z nim razem! — krzyknął. — Niech pan włązi mi na plecy, mój panie Frodo kochany, Sam posłuży panu za konika. Powie pan tylko, dokąd iść, i zajędzie pan, gdzie pan zechce.

Frodo przylgnął do pleców Sama, rękami lekko obejmując go za szyję, a Sam mocno przycisnął ramionami nogi Froda do swych boków i przez chwilę stał bardzo niepewnie; brzemień okazało się jednak zdumiewająco lekkie. Sam trochę wątpił, czy mu starczy sił, żeby dźwignąć Froda, bojąc się, że odczuje dodatkowy, przytłaczający ciężar przeklętego Pierścienia. Stało się inaczej. Może Frodo był tak wyniszczony przez długotrwałe trudy, ranę zadaną sztyletem, jad wsączony przez Szelobę, smutki, trwogę i bezdomne, wędrowne życie, a może Sam w tej chwili otrzymał w darze wyjątkową siłę, dość że podniósł swego pana tak swobodnie, jakby wziął „na barana” jakieś hobbiciątko bawiąc się z dziećmi na zielonym trawniku albo na łące w Shire. Nabrał tchu i pomaszerował przed siebie.

Podeszli do Góry od północnego zbocza, w jego zachodniej części; wydłużony, szary skłon, chociaż poszarpany, nie był zbyt stromy. Frodo milczał, więc Sam, zdany na własną orientację, kierował się tylko jedną myślą: chciał jak najprędzej dojść jak najwyżej, zanim go siły opuszczą lub wola zawiedzie. Szedł uparcie pod górę, zakosami, by złagodzić stromiznę, często potykając się, padając na kolana, w końcu pełznąc jak ślimak z ciężką muszlą na grzbiecie. Wreszcie wola w nim omdlała, mięśnie odmówiły posłuszeństwa i Sam zatrzymał się składając Froda ostrożnie na ziemi.

Frodo otworzył oczy i westchnął. Tu, na wysokości, łatwiej było oddychać, bo cuchnące opary spływały po zboczach i gromadziły się u podnóża Góry.

— Dziękuję ci, Samie — szepnął ochryple. — Czy stąd daleko jeszcze mam iść?

— Nie wiem — odparł Sam — bo nie mam pojęcia, dokąd idziemy.

Spojrzał w dół, spojrział w górę i zdziwił się, że ten ostatni wysiłek tak wysoko ich doprowadził. Oroduina, odosobniona i groźna, zdawała się z dołu bardziej wyniosła, niż była w rzeczywistości. Sam przekonał się dopiero teraz, że jest niższa od przełęczy w łańcuchu Efel Duath, którą przedtem z Frodem pokonali. Nieregularne, rozłożyste ramiona ogromnej podstawy wznosiły się na jakieś trzy tysiące stóp ponad równinę, a wyrastający z nich smukły główny szczyt w kształcie stożka miał ledwie połowę tej wysokości i przypominał olbrzymi komin chmielarni z otwartym pośrodku kraterem o poszarpanych brzegach. Hobbici przebyli już więcej niż pół drogi na zboczu podstawy; równina Gorgoroth niknęła we mgle

u ich stóp, spowita w dymy i cienie. Spoglądając w górę Sam omal nie krzyknął; z zaschniętego gardła nie mógł jednak dobyć głosu. Zobaczył wyraźnie biegnącą między garbami i zapadliskami stoku ścieżkę. Wspinała się od zachodu i w skrętach wiła po zboczu, dosięgała od wschodu podnóży stożka i potem ginęła z oczu okrążając go z drugiej strony.

Sam nie widział tego odcinka, który przebiegał tuż nad miejscem, gdzie stał w tym momencie, ponieważ stromy tutaj stok zasłaniał mu widok; domyślał się jednak, że gdyby wydostali się nieco wyżej, trafiliby na dogodną drogę. Znowu odżyła iskierka nadziei. Zdobycie szczytu wydało się możliwe. „Jakby ktoś umyślnie podsunął nam ścieżkę — powiedział sobie Sam. — Gdyby jej tutaj nie było, musiałbym uznać, że u kresu podróży zostaliśmy pokonani”. Ale ścieżki tej nie zbudowano umyślnie dla Sama. Nic o tym nie wiedząc hobbit oglądał drogę Saurona łączącą Barad-Dur z Sammath Naur — Komorami Ognia. Z ogromnej zachodniej bramy Czarnej Wieży biegła ta ścieżka po żelaznym moście ponad głęboką przepaścią, a dalej po równinie między dwiema dymiącymi otchłaniami ku długiej, pochyłej grobli wspinającej się na wschodnie zbocze Ognistej Góry. Wijąc się od południa na północ opasywała potężne jej podnóża i docierała wysoko na wieńczący ją stożek, lecz nie sięgała do dyszącego ogniem szczytu, zmierzając ku ciemnemu otwartemu w stoku wylotowi, zwróconemu na wschód, wprost ku temu oknu spowitej w cień twierdzy, z którego patrzyło straszne Oko Saurona. Wybuchy Ognistej Góry często zasypywały i niszczyły ścieżkę kamieniami pociskami, lecz niezliczone zastępy roboczych orków naprawiały ją prędzej i utrzymywały stale w porządku.

Sam nabrał tchu w płuca. A więc istniała ścieżka; nie wiedział jednak, jak się na nią dostać. Przede wszystkim musiał dać trochę odpoczynku obolałym plecom. Leżał czas jakiś obok Froda. Żaden z nich się nie odzywał. Tymczasem rozwidniało się z wolna. Nagle Sam, nie rozumiejąc dlaczego, poczuł, że trzeba się spieszyć. Jakby mu ktoś krzyknął nad uchem: „Naprzód! Prędko! Za chwilę będzie za późno!” Zebrał siły i wstał. Frodo chyba także usłyszał wezwanie, bo dźwignął się na klęczki.

— Poczłgam się dalej, Samie — szepnął.

Niby szare mrówki pełzli stokiem pod górę. Dotarli na ścieżkę; była szeroka, wybrukowana tłuczonym kamieniem i pokryta ubitym popiołem. Frodo stanął na niej i jakby pod przymusem z wolna obrócił twarz ku wschodowi. W dali snuły się w powietrzu cienie Saurona, lecz rozdarta pod tchnieniem wiatru z innych krain zasłona otwarła się na chwilę: Frodo zobaczył czarne, ciemniejsze niż otaczające ją ogromne ciemności, groźne iglice i żelazną koronę na szczycie najwyższej wieży Barad-Duru. Trwało to ledwie chwilę, lecz z jakiegoś wielkiego okna górującego na niewiarygodnej wysokości mignęła lecąc na północ czerwona błyskawica, płomienne przeszywające spojrzenie okrutnego Oka. Potem cienie znowu się zwały i przesłoniły ten straszliwy widok. Oko nie było zwrócone na hobbitów,

patrzało na północ, gdzie u bram Królestwa Ciemności stanęli wodzowie Zachodu; tam także kierowały się wszystkie nienawistne myśli Saurona, zamierzającego właśnie zadać przeciwnikom śmiertelny cios. Mimo to Frodo, jakby porażony płomienną wizją, padł na ziemię. Ręka jego szarpała zwisający u szyi łańcuszek.

Sam ukląkł przy nim. Słabym, prawie niedosłyszalnym głosem Frodo szepnął:

— Pomóż, Samie! Pomóż! Zatrzymaj moją rękę. Ja już nie mogę. . .

Sam ujął obie ręce swego pana,łożył je razem, dłoń na dłoni i ucałował, a potem łagodnie przytrzymał. Nagle zaświtała mu w głowie myśl: „Wytropił nas! Wszystko przepadło albo przepadnie za chwilę. Teraz, Samie Gamgee, koniec z wami!” Znowu więc wziął swego pana na plecy, lecz pozwolił już nogom Froda zwisać bez podpory, bo rękoma przyciskał jego złożone dłonie do swojej piersi. Z pochyloną głową wspinał się mozolnie ścieżką pod górę. Nie było to tak łatwe, jak się spodziewał. Szczęściem wybuch, który Sam obserwował niedawno z przełęczy Kirith Ungol, wyrzucił swoje ogniste potoki głównie na południowe i zachodnie zbocze, ścieżka więc z tej strony nie została zniszczona. W wielu wszakże miejscach zapadła się albo przecinały ją rozwarłe szczeliny. Czas jakiś prowadziła wprost na wschód, po czym zawracała pod ostrym kątem z powrotem na zachód. Na zakręcie zagradzał ją do połowy ogromny zmurszały głaz, wypłuty ongi z krateru podczas jakiejś gwałtownej eksplozji. Zgięty pod brzemieniem Sam właśnie znalazł się w tym miejscu, gdy nagle kątem oka dostrzegł, że z głazu spada coś, jak gdyby czarny kamyk; zdążył pomyśleć, że to on go pewnie strącił przechodząc, lecz w tym okamgnieniu silne uderzenie zważyło go z nóg. Sam runął na twarz kalecząc sobie ręce, z których nie wypuścił dłoni Froda. Wtedy dopiero zrozumiał, co się stało, bo tuż nad uchem usłyszał znajomy, znienawidzony głos.

— Zły hobbit! — syczał ten głos. — Zły! Oszukał nasss! Oszukał Smeagola, glum, glum! Nie wolno iść tam. Nie wolno gubić skarbu. Oddaj go Smeagolowi, oddaj, oddaj. . .

Sam gwałtownym ruchem zdołał się poderwać z ziemi. Błyskawicznie wyciągnął miecz. Nie mógł jednak go użyć. Gollum i Frodo byli spleceni z sobą. Gollum szarpał Froda usiłując chwycić łańcuszek i Pierścień. Nic innego nie wskrzesiłoby tak zamierającej w sercu Froda woli i nie zbudziłoby w nim resztek sił; bronił się z furją, która zdziwiła nie tylko Sama, ale także Golluma. Mimo to walka przybrałaby pewnie inny obrót, gdyby Gollum również nie zmienił się tak bardzo w ostatnich czasach; niewiadome ścieżki, po których od tak dawna błąkał się samotny, bez jadła i wody, trawiony pożądliwością i nękany strachem, wycisnęły na nieszczęśniku żalosne piętno. Był teraz chudym, zagłodzonym, wynędzniałym stworzeniem, pod zwiotczałą żółtawą skórą zostały mu tylko kości. Oczy błyszczały dziko, ale złość i chytrość nie miały już do rozporządzenia dawnej siły chwytliwych rąk. Frodo strącił go z siebie i wstał, cały drżący.

— Precz! Precz! — krzyknął rwącym się głosem i rękę zacisnął na piersi, poprzez skórzany kaftan zamykając z dłoni Pierścień. — Precz, podstępny gadzie,

precz z mojej drogi! Skończyły się twoje czasy. Teraz nie możesz już mnie zdradzić ani zabić!

Nagle znów, jak kiedyś pod ścianą Eryn Muir, ukazała się Samowi inna zupełnie wizja tych dwóch rywali. Jeden, skulony na ziemi, był ledwie cieniem żywej istoty, wyniszczonej do cna i pokonanej, a jednak dyszącej pożądaniem i wściekłością; drugi stał nad nim, niedostępny teraz litości, spowity białym płaszczem, ale przyciskał do piersi ogniste koło. Z płomieni dobywał się rozkazujący głos:

— Idź precz i nie wąż się przeszkadzać mi dłużej. Jeżeli mnie chociaż raz jeszcze spróbujesz tknąć, ciebie także pochłonie ogień zagłady.

Skulony stwór cofał się mrużąc przerażone oczy, w których jednak paliła się wciąż gorączka pożądania.

Wizja zgasła. Sam znowu widział Froda stojącego z ręką na piersi, dyszącego ciężko, a Golluma u jego stóp na kolanach, wspartego szeroko rozstawionymi płaskimi dłońmi o ziemię.

— Uwaga! — krzyknął Sam. — On skoczy! — Zrobił krok naprzód z mieczem podniesionym do ciosu. — Panie Frodo, prędko! — jęknął. — Naprzód, naprzód! Nie ma chwili do stracenia. Ja się z nim rozprawię. Naprzód!

Frodo spojrzał na niego jakby z wielkiej dali.

— Tak, trzeba iść naprzód — powiedział. — Żegnaj, Samie. To już nareszcie koniec wszystkiego. Na Górze Przeznaczenia los się dopełni. Żegnaj!

Odwrócił się i z wolna, lecz wyprostowany, odszedł ścieżką pod górę.

— **T**eraz wreszcie mogę porachować się z tobą! — rzekł Sam i z obnażonym mieczem natarł na Golluma. Ale Gollum nie skoczył mu do gardła. Leżał rozplaszczony na ziemi i płakał.

— Nie zabijaj nas! — chlipał. — Nie rań nas tym wstrętnym, okrutnym żelazem. Pozwól nam żyć jeszcze trochę, chociaż trochę dłużej. Zgubieni, jesteśmy zgubieni! Jeżeli skarb przepadnie, umrzemy, tak, umrzemy, rozsypiemy się w proch! — Długimi kościstymi palcami rozdrapywał na ścieżce popiół. — Proch! — syczał.

Samowi ręka zadrżała. Hobbit kipiał gniewem, rozjątrzony wspomnieniem doznanych od Golluma krzywd. Postąpiłby sprawiedliwie zabijając tę zdradziecką pokrakę, tego mordercę, który po stokroć na śmierć zasłużył; rozsądek mówił mu, że powinien to zrobić dla bezpieczeństwa Froda i we własnej obronie. Lecz w głębi, na dnie serca tkwiło coś, co go powstrzymywało: nie mógł uderzyć leżącego w prochu, zabłąkanego, pokonanego nędzarza. Niósł na piersi, jakkolwiek przez bardzo krótki okres, brzemień Froda i niejasno rozumiał mękę znikczemniałej duszy i zabiedzonego ciała Golluma, niewolnika Pierścienia, tak opętanego przez zły czar, że nie było już dla niego spokoju ani życia na ziemi. Sam jednak nie umiał

swoich uczuć wyrażać w słowach.

— A niech cię lichy porwie, śmierdzielu — rzekł. — Jazda stąd! Niech cię nie widzę. Nie ufam ci, brzydziłbym się dotknąć cię, choćby po to, żeby ci dać kopniaka. Jazda! Bo cię połaskoczę tym brzydkim, okrutnym żelazem!

Gollum na czworakach wycofał się na odległość kilku kroków, a potem odwrócił się i widząc, że Sam ma zamiar pożegnać go jednak kopniakiem, umknął ścieżką w dół. Sam przestał się nim interesować. Przypomniawszy sobie nagle o swoim panu. Spojrzał w górę, ale nie dostrzegł na ścieżce Froda. Ile sił w nogach puścił się w stronę szczytu. Gdyby się obejrzał, pewnie by zauważył, że Gollum o parę stóp niżej zawrócił i z rozplamienionym szaleństwem oczyma wspina się ostrożnie, lecz bardzo szybko na stożek Orodruiny, przemykając niby cień pośród kamieni.

Ścieżka pięła się wzwyż. Wkrótce znów skręcała na wschód i stąd już prosto, przecinając zbocze stożka, biegła ku ciemnym wrotom góry, ku drzwiom do Sammath Naur. W oddali słońce wznosząc się już ku zenitowi przebijało się przez dymy i opary złowrogim blaskiem zaczerwienionej, przyćmionej tarczy. Wokół Orodruiny rozpościerał się kraj martwy, milczący, osnuty cieniem, przyczajony do straszliwego ciosu.

Sam podszedł do ziejącej jamy i zajrzał. Głęb jej była ciemna i gorąca; głuchy podziemny grzmot wstrząsnął powietrzem.

— Panie Frodo! Frodo! — zawołał Sam. Nikt mu nie odpowiedział. Sam stał chwilę, serce waliło mu w piersi, oszalałe ze strachu; potem wszedł. Cień pomknął jego śladem.

Zrazu nie widział nic. W tej ciężkiej potrzebie zdecydował się wyciągnąć znów szkiełko Galadrieli, lecz pozostało blade i zimne w jego drżących rękach i nie rozświetliło dusznych ciemności. Sam znalazł się w samym sercu królestwa Saurona, w kuźni jego dawnej potęgi, panującej nad całym Śródziemiem, nad wszystkimi innymi ujarzmionymi krajami. Posunął się lękliwie o parę kroków dalej wśród mroków, gdy nagle czerwona błyskawica trysnęła z dołu pod wysoki czarny pułap. W jej świetle Sam zorientował się, że jest w długiej pieczarze czy może w tunelu wydrążonym w trzonie Góry i prowadzącym do jej dymiącego stożka. Nieco dalej dno i ściany z obu stron przecinała głęboka szczelina, z której bił czerwony żar, to wystrzelający płomieniem, to zapadający w głąb ciemności; a przez cały czas z dołu dochodził jakby warkot i drganie tętniących ruchem wielkich machin.

Znów błysnęło światło i Sam ujrzał wreszcie Froda; na samej krawędzi otchłani rysowała się jego czarna sylwetka, wyraźnie odcięta na tle łuny, wyprostowana, napięta, ale nieruchoma, jakby skamieniała.

— Panie Frodo! — krzyknął Sam.

Frodo drgnął. Gdy się odezwał, głos jego wydał się Samowi tak dźwięczny i donośny jak nigdy; poprzez zgiełk i zamęt Orodruiny słowa rozbrzmiewały wyraźnie pod stropem i między ścianami tunelu.

— Przyszedłem — powiedział Frodo. — Ale nie spełnię tego, po co tu dążyłem. Nie zrobię tego. Pierścień należy do mnie.

I nagle wsunął Pierścień na palec niknąc Samowi sprzed oczu. Sam otworzył usta i nabrał tchu, lecz nie zdążył krzyknąć, bo w tym momencie stało się coś dziwnego i wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Sam poczuł gwałtowne uderzenie w plecy, ktoś podciął mu nogi i przewrócił, potem odepchnął na bok tak, że hobbit głową rąbnął o kamienną podłogę. Jakiś cień przeskoczył przez niego. Sam na krótką chwilę zapadł w czarną noc.

W tej samej sekundzie, gdy Frodo stojąc w sercu Królestwa Ciemności włożył na palec Pierścień oznajmiając, że przejmuje go na własność, daleko w Barad-Durze zakołysała się ziemia i Czarna Wieża zadrżała od posad aż po dumną i straszną koronę. Teraz Sauron zrozumiał wszystko; jego Oko przebijając cienie spojrzało ponad równinę na drzwi, które sam przecież stworzył. W błyskawicznym olśnieniu ujrzał ogrom własnego błędu i jasny stał się dla niego podstęp przeciwników. Gniew jego zapłonął niszczycielskim ogniem, ale strach wzbiał się olbrzymią czarną chmurą dymu i zaparł mu dech w piersi. Władca wiedział, że grozi mu ostateczne niebezpieczeństwo i że los jego zawisł na wątej niteczce.

Umysł kierujący potęgą ciemności otrząsnął z siebie w tej chwili wszystkie plany wojenne, całą sieć uplecioną chytrze z postrachu i zdrady; dreszcz przebiegł przez królestwo Mordoru, niewolnicy zadrżeli, dowódcy nagle zbici z tropu zachwiali się bezwolni, ogarnięci rozpaczą. Władca bowiem zapomniał o nich. Myśl i wola, potęga, która nimi władała, odbiegła ich, by skupić się na szczycie Ognistej Góry. Na jej wezwanie Nazgule, Upiory Pierścienia, poszybowały z szumem skrzydeł, z rozdzierającym krzykiem na południe, prześcigając wiatr w ostatniej, desperackiej gonitwie.

Sam dźwignął się na nogi. Był ogłuszony, krew z rozbitej głowy ściekała mu do oczu. Po omacku brnął przed siebie i wreszcie zobaczył dziwną i okropną scenę. Na skraju otchłani Gollum walczył jak opętaniec z niewidzialnym przeciwnikiem. Chwiał się to w przód, to w tył, niekiedy tak blisko krawędzi, że jeden krok tylko dzielił go od zguby, niekiedy odsuwając się od niej, padając na ziemię, wstając, padając znów. I przez cały czas syczał, chociaż nie wymawiał żadnych słów.

Podziemne ognie rozbudziły się gniewne, czerwony żar buchnął wypełniając pieczarę blaskiem i gorącem. Nagle Sam spostrzegł, że Gollum podnosi swoje długie ręce do ust; błysnęły białe kły i zwarły się ze szczęką. Frodo krzyknął. Sam zobaczył go znów, klęczącego na krawędzi otchłani. Gollum wirując

w szaleńczym tańcu trzymał we wzniesionej ręce Pierścień, razem z palcem Froda, tkwiącym jeszcze z złotej obrączce. Pierścień lśnił jak żywy płomień.

— Mój skarb, mój skarb, mój skarb! — wykrzykiwał Gollum. — Mój skarb! Och, mój skarb!

Tak krzycząc, wpatrzony chciwie w swoją zdobycz, zrobił o jeden krok za wiele, potknął się, przez sekundę chwiał się na krawędzi, potem z przeraźliwym wrzaskiem runął w ognistą czeluść. Ostatni przeciągły jęk: „Mój skarb!” — dobiegł z otchłani. Gollum zniknął. Rozległ się grzmot, straszliwy zgiełk rozpętał się wkoło. Ognie wystrzelając z głębi lizały pułap jaskini. Drżenie ziemi wzmogło się gwałtownie, Góra zatrzęsała się w posadach. Sam podbiegł do Froda, chwycił go w ramiona, wywłókł za drzwi. I tutaj, u progu ciemności Sammath Naur, wysoko ponad równinami Mordoru, ogarnął hobbita taki podziw i taka groza, że zapominając o wszystkim stanął osłupiały.

Ujrzał bowiem na mgnienie oka wielką wirującą chmurę, a pośrodku niej wieże i fortece, potężne jak góry, wzniesione jak na wspaniałym cokole ponad niezgłębionymi przepaściami; dziedzińce i bastiony, więzienia o murach nagich i ślepych jak skały, otwarte na oścież stalowe, niezdobyte bramy. Potem wszystko znikło. Wieże runęły, góry się zapadły, ściany rozsypały się w proch i pył; ogromne spirale dymów i słupy pary skłębiły się w powietrzu i wzbijały się coraz wyżej i wyżej, aż spiętrzona olbrzymia fala z postrzępioną dziko grzywą przewaliła się nagle i opadła z powrotem na ziemię. Wtedy dopiero przez cały ogromy obszar przetoczył się głuchy pomruk potężniejąc do ogłuszającego huku i grzmotu. Ziemia drżała, równina wzdymała się i pękała, Orodruina chwiała się jakby podcięta u korzeni. Ogień tryskał z jej rozłupanego wierzchołka. Pioruny błyskawicami przeszywały niebo. Czarne strugi deszczu jak bicze smagały ziemię. I w to serce nawałnicy z krzykiem, który wzbijał się ponad cały ten zgiełk, rozdzierając skrzydłami chmury wtargnęły jak ogniste pociski Nazgule, aż porwane w wir walących się gór i rozszalałego nieba one także rozprysły się, spopieliliły, zginęły.

— **K**oniec, Samie Gamgee — odezwał się głos tuż obok niego. Frodo, blady i zmęczony, był jednak znowu sobą. W oczach miał spokój; napięcie woli, szaleństwo i strach zniknęły z nich wreszcie. Frodo uwolnił się od brzemienia. U boku Sama stał jego ukochany pan z dawnych, miłych dni w Hobbitonie.

— O mój panie kochany! — ryknął Sam padając na kolana. Pośród ruin świata przeżywał w tej chwili najczystszą, wielką radość. Zadanie zostało wykonane, Frodo ocalony, taki jak dawniej, wolny. Lecz potem wzrok Sama padł na jego okaleczoną i krwawiącą rękę.

— Pan jest ranny — powiedział. — A ja nic nie mam tutaj, żeby ranę przewiązać i opatrzyć! Wolałbym temu łajdakowi swoją łapę podarować aż po ramię. Ale już po nim, nie zobaczymy go nigdy.

— Tak — odparł Frodo. — Czy pamiętasz słowa Gandalfa: „Nawet Gollum może jeszcze przyczynić się do naszej sprawy”. Gdyby nie on, nie mógłbym zniszczyć Pierścienia. Cała wyprawa byłaby daremna, mimo że doszliśmy do celu z taki trudem. Przebaczymy więc Gollumowi. Zadanie wykonane, wszystko skończone. Cieszę się, że jesteś tutaj ze mną, Samie. Tutaj, w ostatniej godzinie świata.

ROZDZIAŁ XIV

Na polach Kormallen

Wszędzie wokół pagórków roilo się od wojsk Mordoru. Wzbierające morze nieprzyjacielskiej armii niemal zalewało wodzów Gondoru. Słońce świeciło czerwono, a spod skrzydeł Nazgulów czarne cienie śmierci padały na ziemię. Aragorn stojąc pod sztandarem, milczący i surowy, zdawał się zatopiony w myślach o sprawach bardzo dawnych lub dalekich, lecz oczy mu błyszczały jak gwiazdy, tym bardziej promienne, im noc głębsza. Gandalf na samym szczycie wzgórza jaśniał bielą i złotem; jego cień nie dosięgał. Ataki rozbijały się niby fale o zbocza obleganych pagórków, pośród walki i szczęku oręża zgiełk głosów huczał jak morze w godzinie przypływu. Gandalf drgnął, jakby oczom jego objawił się nagle niezwykle widok; obrócił się ku północy, gdzie niebo było blade i czyste. Potem uniósł ręce i donośnym głosem przekrzykując wrzawę bitwy zawołał: — Orły nadlatują! — Natychmiast inni podjęli ten okrzyk: „Orły, orły nadlatują!” Żołnierze Mordoru patrzyli w niebo zaskoczeni, nie wiedząc, co może znaczyć ten znak z nieba. Lecieli ku nim Gwaihir, Władca Wichrów, i brat jego, Landrowal, najwspanialsze z orłów północy, szlachetnych potomków starego Thorondora, który gniazda swe zbudował na szczytach gór w zaraniu Śródziemia. Za nim gnane wzmagającym się wiatrem mknęły szeregi ich wasali z gór północnych. Orły nagle zniżając lot spadły z wysoka na kark Nazgulom, ogromne ich skrzydła jak huragan zamiotły powietrze.

Lecz Nazgule słysząc w tym momencie straszliwy głos, który ich wzywał z Czarnej Wieży, pierzchły i zniknęły w cieniu Mordoru, jednocześnie dreszcz przebiegł przez wszystkie szeregi armii ciemności, zwątpienie ogarnęło serca, dziki śmiech zamarł na ustach, z trzęsących się rąk wypadła broń, kolana ugięły się pod niewolnikami Saurona. Władca, którego moc pchała ich do walki, który natchnął ich nienawiścią i furią, zawahał się, przestał ich wspierać swoją wolą. Toteż patrząc w oczy przeciwnikowi zobaczyli teraz zabójczą światłość i zlekli się jej.

Wodzowie Zachodu krzyknęli tryumfalnie, bo wśród mroków nowa nadzieja zaświtała im w sercach. Rycerze Gondoru, jeźdźcy Rohanu, Dunedainowie północy w zwartych szeregach ruszyli z obleżonych pagórków do ataku na oszołomione

zastępy wroga, ostrzem włóczni torując sobie drogę wśród tłumu. Lecz Gandalf podniósł ramiona i znów krzyknął wielkim głosem:

— Stójcie! Stójcie i czekajcie! Wybiła godzina przeznaczenia!

Nim przebrzmiało to wołanie, grunt zakotłosał się pod ich stopami. W oddali, za wieżami Czarnej Bramy, wysoko ponad szczyty gór wystrzeliła ku niebu olbrzymia ciemna chmura iskrząca się od płomieni. Ziemia jęczała i drżała. Zębate wieże Morannonu zachwiały się, zatrzęsły i runęły; potężny mur rozsypał się w gruzy, Czarna Brama legła w prochu; z większej jeszcze dali, to cichszy, to głośniejszy, to wzbijający się aż pod obłoki dobiegł łoskot, huk, zwielokrotniony przez echo grzmot jakby kamiennej lawiny.

— **O**to koniec królestwa Saurona! — rzekł Gandalf. — Powiernik Pierścienia spełnił swoją misję!

A kiedy patrzyli na południe, na krainę Mordoru, wydało im się, że widzą, jak na tle bladego obłoku wznosi się ogromny kształt ciemny, nieprzenikniony, uwieńczony koroną błyskawic, wypełniający całe niebo. Zawisł nad światem olbrzymi i potworny, wyciągnął ku nim długą rękę, jak gdyby grożąc, złowrogi, ale bezsilny; w chwili bowiem gdy się nad nimi zniżył, silny podmuch wiatru porwał go i uniósł gdzieś w dal. Potem wszystko ucichło.

Wodzowie Gondoru pochylili czoła, a gdy je znów podnieśli, zdumieli się, bo oto wroga armia uciekała w rozsypce, a potęga Ciemności rozwiała się jak kurz na wietrze. Kiedy śmierć porazi obrzmiałą, płodną istotę, zamieszkującą pośrodku mrowiska i rządzącą całym rojem, mrówki rozbiegają się bezradne i niedołężne, słabną i mrą; tak też i słudzy Saurona — orkowie, trolle i ujarzmione złym czarem zwierzęta — rozpierzchli się ogłupiali nagle i kręcili się bez sensu to tu, to tam. Niektórzy sami sobie zadawali śmierć, rzucając się na ostrza własnych dzid lub w przepaście, inni z wrzaskiem uciekali, by skryć się w norach i ciemnych podziemiach, gdzie nie sięga światło ani nadzieja. Lecz ludzie z Rhun i z Haradu, Easterlingowie i południowcy ujrzeni jasno klęskę swego władcy i wielki majestat wodzów Gondoru. Ci spośród nich, którzy najdłużej służyli Sauronowi i do głębi byli zatruci nienawiścią, a mimo to zachowali dumę i odwagę, zebrali się razem, aby stoczyć ostatnią, rozpaczliwą bitwę. Większość wszakże uciekała w panice na wschód, a było wielu takich, którzy porzucając oręż błagali o łaskę.

Wówczas Gandalf, pozostawiając wszystkie sprawy wojenne i dowództwo Aragornowi oraz jego sprzymierzeńcom, stanął na szczycie pagórka i krzyknął głośno; spod nieba spłynął na to wezwanie wspaniały orzeł, Gwaihir, Władca Wiochrów.

— Dwakroć nosiłeś mnie, Gwaihirze, mój przyjacielu — rzekł Gandalf. —

Trzeci raz ukoronujesz swoją przyjaźń, jeśli zechcesz mi służyć. Przekonasz się, że nie jestem o wiele cięższy niż wtedy, gdy mnie zabrałeś z Zirak-zigil, gdzie przepaliło się w płomieniach moje dawne życie.

— Poniosę cię, dokąd chcesz, choćbyś był ciężki jak kamień — odparł Gwaihir.

— A więc lećmy! Weź też z sobą brata i kilku swoich najlotniejszych współplemieńców, Gwaihirze. Musimy prześcignąć nie tylko wiatr, ale także skrzydła Nazgulów.

— Wiatr wieje z północy, ale my go prześcigniemy — odparł Gwaihir.

Uniósł Gandalfa i pomknął na południe, a z nim Landrowal i Meneldor, orzeł młody i chyży. Kiedy lecieli nad Doliną Udun i nad równinami Gorgorothu, mieli pod sobą cały kraj w gruzach i w zamęcie, przed sobą zaś Górę Przeznaczenia ziejącą ogniem.

— Cieszę się, że jesteś tutaj ze mną, Samie — powiedział Frodo. — Tutaj, w ostatniej godzinie świata.

— Tak, jestem z panem, panie Frodo — odparł Sam kładąc okaleczoną rękę Froda ostrożnie na swojej piersi. — I pan jest ze mną. Wędrówka skończona. Ale skoro doszliśmy tak daleko, nie mam ochoty dawać teraz za wygraną. To do mnie niepodobne, proszę pana, pan mnie przecież zna.

— Może to do ciebie niepodobne, ale tak właśnie jest na tym świecie — rzekł Frodo. — Nadzieje zawodzą. Wszystko ma swój kres. Teraz już nie będziemy długo czekać. Zabłąkaliśmy się między ruiny i świat się wkoło nas wali, nie ma dla nas ratunku.

— Bądź co bądź, proszę pana, moglibyśmy trochę oddalić się z tego niebezpiecznego miejsca, od tej Szczeliny Zagłady, jak ją podobno nazywają. Tyle przecież możemy zrobić, prawda? Zejdźmy przynajmniej ścieżką w dół.

— Dobrze, Samie. Jeśli chcesz, pójde z tobą.

Zaczęli z wolna schodzić krętą dróżką, a w momencie kiedy znaleźli się wreszcie u rozedrganych podnóży Góry, nagle z wrót Sammath Naur buchnął dym i para, zbocze stożka pękło na dwoje, rzygnęła z niego ognista struga, która grzmiącą kaskadą stoczyła się po wschodnim stoku Orodruiny.

Frodo i Sam nie byli zdolni do dalszego marszu. Resztki sił ducha i ciała topniały w nich szybko. Dotarli na niski, usypany z popiołu wzgórek u stóp Orodruiny, ale stąd nie widzieli drogi ratunku. Byli jak gdyby na wyspie, która nie mogła długo oprzeć się atakom rozszalałej burzy. Wszędzie dokoła ziemia pękała, z rozwartych głębokich szczelin i lejów ziały dymy i opary. Za nimi Góra dygotała w konwulsjach, na zboczach otwierały się rozpadliny, po wydłużonych stokach spęzły leniwie rzeki ognia zmierzając w stronę ich schronienia. Rozumieli, że wkrótce zaleje ich ta fala. Na głowy sypał się gorący deszcz popiołu.

Stali na pagórku; Sam wciąż tulił rękę Froda do piersi. Westchnął.

— Trzeba przyznać, że wzięliśmy udział w bardzo pięknej historii, prawda, proszę pana? — rzekł. — Szkoda, że nie usłyszę, jak ją będą sobie na świecie opowiadali. Pewnie ktoś zapowie: „A teraz kolej na historię Froda Dziewięciopalcego i Pierścienia Władzy”. Wszyscy ucichną jak my w Rivendell, kiedy czekaliśmy na opowieść o Berenie Jednorękim i Klejnocie. Chciałbym to usłyszeć. I bardzo jestem ciekawy następnego rozdziału, już bez nas.

Mówił to, starając się do ostatka bronić przed strachem, lecz jednocześnie wzrok kierował na północ, pod wiatr, gdzie niebo nad widnokreśm było czyste, bo zimny podmuch, urastający do huraganowej siły, odpychał ciemność i kłęby wzburzonych chmur.

Tak hobbitów dostrzegły bystre oczy Gwaihira; zniżył lot i mimo wichury, nie zważając na groźne burzliwe niebo, okrążył w powietrzu pagórek: dwie drobne, ciemne i osamotnione postacie stały trzymając się za ręce na niewielkim wzniesieniu; ziemia drżała pod ich stopami ziejąc dymem, rzeki ogniste zbliżały się ku nim. W chwili gdy orzeł wypatrzył ich i opuszczał się już na skrzydłach w dół, obaj zachwiali się i upadli, może mdlejąc z wyczerpania, a może dusząc się od oparów i gorąca albo poddając się w końcu rozpacz i nie chcąc spojrzeć w oczy nieuchronnej śmierci. Leżeli obok siebie. A tymczasem spłynął na ziemię Gwaihir i Landrowal, i chyży Meneldor; we śnie, nieświadomych swego losu, orły uniosły hobbitów wysoko w przestworza, daleko od Krainy Ciemności i ognia.

Sam zbudził się na miękkim pościeliu. Nad nim kołysały się łagodnie grube gałęzie buku, przez młode liście przeświecał blask słońca, zielony i złoty, powietrze pachniało słodkim, złożonym z wielu woni zapachem.

Sam poznał ten zapach, zapach łąk Ithilien. „A to śpioch ze mnie — pomyślał. — jak też długo spałem?” Zdawało mu się bowiem, że trwa jeszcze tamten dzień, kiedy to rozniecił małe ognisko pod ciepłą od słońca skarpą; wszystko, co się potem zdarzyło, uleciało na razie z jego nie całkiem jeszcze rozbudzonej pamięci. Przeciągnął się i odetchnął głęboko. „Ale też miałem sen! — myślał. — Dobrze, że się wreszcie zbudziłem”. Usiadł i wtedy dopiero spostrzegł Froda leżącego obok i śpiącego spokojnie, z jedną ręką zarzuconą nad głowę, z drugą złożoną na kołdrze. Była to prawa ręka i brakowało u niej serdecznego palca.

Samowi nagle wróciła pamięć. Krzyknął głośno:

— To nie był sen! Ale w takim razie gdzie jesteśmy?

Ktoś stojąc za jego plecami odpowiedział uprzejmie:

— W Ithilien, pod opieką króla, który na was czeka. — Gandalf ukazał się w białym płaszczu, z brodą świecącą jak czysty śnieg w przesianym przez liście

słońcu. — Jak się czujesz, Samie Gamgee? — spytał.

Ale Sam opadł na posłanie i dość długo leżał z otwartymi ustami, oniemiały, zanadto zdumiony i zarazem szczęśliwy, by przemówić. W końcu szepnął:

— Gandalf! A ja myślałem, że nie żyjesz. Co prawda o sobie też byłem tego zdania. Czy wszystkie zmartwienia okażą się pomyłką? Co się stało?

— Wielki Cień zniknął — odparł Gandalf i zaśmiał się, a zabrzmiało to jak muzyka. Albo jak szmer wody na wyschłym pustkowiu; Sam uprzytomnił sobie, że od niezliczonych dni nie słyszał śmiechu, tej czystej melodii wesela. Dźwięczała mu teraz w uszach echem wszystkich radości, jakich w życiu zaznał. Ale niespodzianie w odpowiedzi na nią zapłakał. Dopiero po chwili — tak jak po ciepłym deszczu wiatr wiosenny rozpędza chmury i słońce obmyte tym jaśniej świeci — lzy wyschły, a w piersi Sama wezbrał śmiech. Ze śmiechem hobbit zerwał się z łóżka.

— Jak się czuję? — zawołał. — Nie, tego się nie da powiedzieć! Czuję się... czuję... — Rozgarnął ramionami powietrze. — Czuję się jak wiosna po zimie, jak słońce wśród liści, jak fanfara trąb, jak śpiew harfy, jak wszystkie pieśni świata... — Urwał i zwrócił się do swego pana. — Ale jak czuje się pan Frodo? — spytał. — Żał tej jego biednej ręki. Mam nadzieję, że poza tym jest zdrow i cały. Okropne rzeczy musiał przecierpieć.

— Tak, poza tym jestem zdrow — oznajmił Frodo podnosząc się i także wybuchając śmiechem. — Usnąłem po raz drugi czekając na ciebie, Samie, niepoprawny śpiochu. Zbudziłem się o świcie, a teraz pewnie już blisko południe.

— Południe? — powtórzył Sam usiłując obliczyć czas. — Południe, ale którego dnia?

— Czternastego po Nowym Roku — odparł Gandalf — albo, jeśli wolisz, ósmy kwietnia według Kalendarza Shire'u¹. W Gondorze zawsze odtąd Nowy Rok będzie zaczynał się dwudziestego piątego marca, na pamiątkę dnia, w którym załamała się potęga Saurona, a wy dwaj zostaliście uratowani z ognia i przyniesieni do króla. On to was pielęgnował, a teraz wzywa przed swoje oblicze. Z nim razem siądziecie do stołu. Zaprowadzę was, gdy będziecie gotowi.

— Król? — spytał Sam. — Co za król? Kto?

— Król Gondoru, władca wszystkich krain zachodnich — rzekł Gandalf — który objął z powrotem we władanie swoje dawne królestwo. Wkrótce pojedzie do stolicy na koronację, ale czekał na was.

— W czym mu się pokażemy? — zapytał Sam, nie widząc nic prócz starych i podartych łachów, w których odbyli wędrowkę i które leżały złożone obok ich łóżek.

— W tych ubraniach, w których wędrowaliście do Mordoru — odparł Gandalf. — Nawet te łachy orka, które musiałeś, Frodo, przywdziać w Krainie Ciem-

¹ Marzec — po hobbicku *Rethe* — liczył wedle Kalendarza Shire'u trzydzieści dni.

ności, przechowamy z szacunkiem. Jedwab ani płótno, zbroja ani herby nie mogłyby wam przynieść więcej zaszczytu. A potem oczywiście pomyślimy o innych strojach.

Wyciągnął do nich ręce i zobaczyli, że z dłoni jego promieniuje światło.

— Co ty tam masz, Gandalfie?! — krzyknął Frodo. — Czy możliwe, że...

— Przyniosłem wam dwa skarby. Znaleźliśmy je ukryte pod kurtką Sama, gdy orły was uratowały. Dary pani Galadrieli, flakonik Froda i szkatułka Sama. Miło wam chyba je odzyskać.

Umyli się, przyodziali, zjedli lekki posiłek i wreszcie poszli za Gandalfem. Wyprowadził ich z bukowego lasu, gdzie odpoczywali, przez długi pas zielonej, zalanej słońcem łąki ku grupie majestatycznych drzew o ciemnych liściach i czerwonych kwiatach. Gdzieś za sobą hobbiti słyszeli szum wodospadu, strumień spływał między kwitnącymi brzegami dążąc do lasu zamykającego łąkę w głębi i wpadał pod strop gałęzi i liści, lecz daleko pomiędzy drzewami przebłykiwała znów wstążka wody.

Hobbiti znaleźli się na polanie i ze zdumieniem ujrzeli tu rycerzy w lśniących zbrojach, rosnących gwardzistów w czerni i srebrze, oczekujących, by powitać wędrowców z honorami, nisko kłaniając się przed nimi. Potem zagrała przeciągle trąbka i ruszyli dalej wyciętą wśród lasu aleją, wzdłuż rozśpiewanego strumienia. Tak doszli na rozległe zielone pole; dalej widać było szeroką rzekę w srebrzystej mgiele, nad którą wyrastała długa, zalesiona wyspa, i przy brzegu stojące liczne statki. Na polu wyciągnięte w szeregi stały w blasku słońca pułki wielkiej armii. Kiedy hobbiti zbliżyli się, rozbłysły wyciągnięte miecze, szczęknięły włócznie, zagrały rogi i trąby, a chór wielogłosowy i różnojęzyczny zakrzyknął na powitanie:

Niech żyją niziołki! Chwała im!

Kuio i Feriain anann! Aglar'ni Feriannath!

Sława Frodowi i Samowi!

Daur a Berhael, Konin en Annun! Eglerio!

Chwała im!

Eglerio!

A laita te, laita te! Andave laitualmet!

Chwała!

Kormakolindor, a laita tarienna!

Chwała im! Powiernikom Pierścienia sława na wieki!

Tak Frodo i Sam, oszołomieni, w rumieńcach bijących im na policzki, z błyszczącymi oczyma, szli pośród wiwatujących wojsk ku trzem siedziskom wzniesionym z darni. Nad fotelem z prawego brzegu powiewał sztandar z białym koniem na zielonym polu; z lewej zaś strony — ze srebrnym okrętem, o wyrzeźbionym

w kształt łabędzia dziobie, na błękitnym morzu; lecz nad najwyższym tronem pośrodku rozpostarty na wietrze ogromny czarny sztandar rozkwitał białym drzewem z koroną i siedmiu roziskrzonymi gwiazdami. Na tronie siedział mąż w kolczudze, z wielkim mieczem złożonym na kolanach, bez hełmu. Wstał, gdy podeszli. Wtedy poznali go, chociaż bardzo się zmienił; zdawał się wspaniały ten władca ludzi, ciemnowłosy z siwymi oczyma, z twarzą promienną, prawdziwie królewską.

Frodo puścił się ku niemu biegiem, Sam za nim.

— To już szczyt wszystkiego! — zawołał. — Obieżyświat, jeśli mnie oczy nie mylą!

— Tak, Samie, Obieżyświat — odparł Aragorn. — Daleką drogę odbyliśmy z Bree, gdzie w gospodzie przy pierwszym spotkaniu wcale ci się nie spodobałem, prawda? Dla wszystkich była to droga daleka, ale najcięższa dla was dwóch.

Ku zdumieniu i wielkiemu zmieszaniu Sama, król zgiął przed nimi kolano; ujął ich za ręce, poprowadził do tronu i usadowił Froda po prawej, a Sama po lewej jego stronie; po czym zwrócił się do zebranych dowódców i rycerzy, wołając głosem donośnym, tak by wszyscy na polu go usłyszeli:

— Chwała niziołkom! Sława!

Gromki okrzyk wzbił się z tysięcy piersi, a kiedy ucichł, wystąpił ku wielkiemu zadowoleniu i najczystszej radości Sama minstrel Gondoru, przyklęknął i poprosił o zezwolenie na odśpiewanie pieśni. Oto, jak zaczął:

— Wzywam was, rycerze i wojownicy o nieulekłych sercach, królowie i książęta, szlachetni mężowie Gondoru, jeźdźcy Rohanu, i wy, synowie Elronda, i Dunedainowie północy, elfie i krasnoludzie, i dzielni synowie Shire’u. Wszystkie wolne ludy, słuchajcie mojej pieśni! Albowiem śpiewać będę o sławnych czynach Froda Dziewięciopalcego i o Pierścieniu Władzy.

Słyszając to Sam wybuchnął śmiechem uszczęśliwiony i zrywając się z miejsca krzyknął:

— Jak to wspaniale, jak pięknie! Wszystkie moje życzenia spełniły się teraz.

I rozplakał się nagle. A z nim razem śmiało się i płakało całe wojsko i dopiero gdy wśród śmiechu i łez czysty głos minstrela wzbił się dźwiękiem złota i srebra, ucichli wszyscy. Minstrel śpiewał to w języku elfów, to we Wspólnej Mowie, aż serca słuchaczy poruszone słodyczą słów wypełniły się radością ostrą jak miecze i myśl ich uleciała w krainę, gdzie ból i szczęście stapiają się w jedno, a łyżę poją weselem jak wino.

Wreszcie, kiedy już słońce zaczęło się zniżać, a cienie drzew wydłużyły się, minstrel zakończył pieśń. — Chwała im! — rzekł przyklękając. Wówczas Aragorn wstał, całe wojsko ruszyło z pola i wszyscy podążyli do zastawionych pod namiotami stołów, aby jeść, pić i weselić się, póki dnia starczyło.

Froda i Sama zaprowadzono do namiotu, gdzie zdjęli stare ubrania, lecz usługujący im ludzie złożyli je starannie i zachowali z szacunkiem; hobbici dosta-

li czystą bieliznę, po czym zjawił się Gandalf przynosząc, ku zdumieniu Froda, miecz, płaszcz elfów i kolczugę z mithrilu — rzeczy zrabowane jeńcowi Mordoru. Dla Sama znalazła się kolczuga ze złoczonej siatki, a płaszcz jego, naprawiony i oczyszczony, znów wyglądał jak nowy.

Wreszcie położył przed nimi dwa miecze.

— Nie, nie chcę miecza — rzekł Frodo.

— Jednakże dziś powinienes go mieć u boku — odparł Gandalf.

Frodo wziął więc krótki mieczyk, który należał do Sama i który wierny giermek zostawił swemu panu odchodząc z Kirith Ungol.

— Żądło darowałem Samowi — powiedział.

— Och nie, panie Frodo! Pan Bilbo dał go panu razem z kolczugą. Z pewnością nie chciał, żeby ktokolwiek inny nosił tę broń!

Frodo ustąpił, a Gandalf, klękawszy jak giermek, przypasał im broń, po czym powstał i nałożył im na skronie srebrne przepaski.

Kiedy hobbiti byli gotowi, udali się na królewską ucztę, gdzie za stołem zasiedli wraz z nimi, prócz króla Aragorna, Gandalf, Eomer, król Rohanu, książę Imrahil, najdostojniejsi spośród dowódców, a także Gimli i Legolas.

Gdy po chwili uroczystego milczenia napełniano kielichy winem, Sam spostrzegł dwóch giermków, którzy, jak sądził, przyszli posługiwać swym władcom; jeden nosił czarno-srebrne barwy gwardii z Minas Tirith, drugi — białe i zielone. Sam w pierwszej chwili zdziwił się, że takich młodzieniaszków przyjęto do służby w armii, pomiędzy roślących mężów. Gdy się jednak zbliżyli i przyjrzał im się lepiej, wykrzyknął:

— Panie Frodo, niech no pan patrzy! Przecież to Pippin! Czyli pan Peregrin Tuk, chciałem powiedzieć, i pan Meriadok. Jak wyrosli! A niechże to! Widzę, że nie my jedni mamy ciekawą historię do opowiadania.

— Rzeczywiście — odparł Pippin odwracając się do niego. — I chętnie ją opowiemy zaraz po uczcie. Tymczasem spróbuj pociągnąć za język Gandalfa. Nie jest już teraz taki skryty jak dawniej, chociaż więcej się śmieje, niż mówi. Na razie obaj z Meriadokiem mamy pełne ręce roboty. Ja jestem giermkiem Gondoru, a Merry — Rohanu, jak już pewnie się domyśliłeś.

Skończył się wreszcie ten szczęśliwy dzień, a gdy słońce zaszło i pyzaty księżyc z wolna wypłynął z mgieł nad Anduiną siejąc przez liście srebrną poświatę, Frodo i Sam siedzieli pod szeleszczącymi drzewami ciesząc się wonnym powietrzem pięknej ziemi Ithilien. Do późnej nocy gawędzili z Meriadokiem, Pippinem i Gandalfem, a wkrótce przyłączyli się do nich Gimli i Legolas. Frodo i Sam dowiedzieli się wielu rzeczy o losach Drużyny po jej rozproszeniu w pamiętnym, nieszczęsnym dniu na wybrzeżu Parth Galen u wodogrzmotów Rauros, lecz pytań i odpowiedzi nie mogli wciąż jeszcze wyczerpać.

Orkowie, gadające drzewa, mile stepu, jeźdźcy w galopie, błyszczące od klejnotów groty, białe wieże i złote pałace, bitwy, smukłe statki z rozpiętymi żaglami, wszystko to przesuwano się przed oczyma wyobraźni Sama i wprowadzało go w oszołomienie. Wśród tylu dziwów wracał uparcie do jednego, nie mogąc pojąć, jakim sposobem Merry i Pippin tak wyrosli. Ustawiał ich plecy w plecy to z Frodem, to z sobą, mierzył, drapał się w głowę.

— Nie rozumiem, jak to się w waszym wieku mogło zdarzyć — rzekł w końcu. — Ale fakt: mierzycie o trzy cale więcej, niż się hobbitom należy, albo też ja jestem krasnolud.

— Na pewno nie — odparł Gimli. — Czy nie mówiłem? Śmiertelnik nie może pić wody entów i łudzić się, że nie wyniknie z tego nic innego niż z wychylenia kufla piwa.

— Woda entów? — spytał Sam. — Wciąż wspominacie o jakiś entach, ale niech mnie zabiją, jeśli wiem, co to za jedni. Będzie trzeba kilka tygodni przegadać, zanim wszystko sobie nawzajem wyjaśnimy.

— Co najmniej kilka tygodni — przyznał Pippin. — A Froda zamknijemy chyba w wieży w Minas Tirith, żeby wszystkie swoje przygody opisał. Inaczej gotów połowę zapomnieć i zrobiłby ogromny zawód biednemu Bilbowi.

W końcu Gandalf wstał.

— Ręce króla mają moc uzdrawiania — rzekł — ale wy, moi przyjaciele, staliście na progu śmierci, zanim was przywołał z powrotem, używając całej swojej władzy, i obdarzył słodkim zapomnieniem snu. Spaliście wprawdzie długo i spokojnie, przyda wam się jednak teraz znowu trochę odpoczynku.

— Nie tylko Frodowi i Samowi, tobie także, Pippinie — powiedział Gimli. — Pokochałem cię, choćby za to, żeś mnie wiele fady kosztował, czego ci nie zapomnę nigdy. Tak samo jak nie zapomnę chwili, kiedy cię znalazłem na wzgórzu po ostatniej bitwie. Gdyby nie Gimli, zginąłbyś niechybnie. Nauczyłem się przy tej sposobności, jak wygląda stopa hobbita, gdy z całej jego osoby tylko ona sterczy spod zwału trupów. A kiedy ściągnąłem wreszcie z ciebie cielsko trolla, byłem pewny, że już nie żyjesz. O mało sobie brody nie wyrwałem z rozpacz. Ledwie dzień minął, odkąd się dźwignąłeś z łóżka. Pora, żebyś do niego wrócił na chwilkę. Ja też chętnie to zrobię.

— A ja — odezwał się Legolas — przejdę się trochę po lasach tej pięknej krainy; to będzie najlepszy dla mnie odpoczynek. W przyszłości, jeśli król nasz się zgodzi, ściągnę tutaj część naszego plemienia, a wtedy Ithilien stanie się krajem szczęśliwym... na czas jakiś... może na miesiąc, może na okres pokolenia, może na sto człowieczych lat. Anduina blisko, Anduina, która jest drogą do Morza. Do Morza!

Na Morze, na Morze! Krzyczą mewy białe,
Dmie wicher i pianę rozpryskują fale.
Na zachód, gdzie krągłe zapada się słońce!
Statku, o szary statku, słyszysz wołające
Głosy tych, co odeszli, których jestem bratem?
Nasze dni już się kończą, już nam ciążyą lata,
Odejść i opuszczyć las, który mnie zrodził.
Przepłynę wielkie wody w mej samotnej łodzi.
Na Brzeg Ostatni fale szeroko się niosą,
Brzmia słodko na Utraconej Wyspie głosy
W Eressei, w Kraju Elfów dla ludzi nie znanym,
Gdzie liść z drzewa nie spada, gdzie lud mój kochany!

Ze śpiewem Legolas zszedł ze wzgórza w las.

Potem rozeszli się też inni, a Frodo i Sam zasnęli na swoich posłaniach. Nazajutrz zbudzili się pełni nadziei i spokoju. Tak spędzili w Ithilien wiele dni. Pola Kormallen, gdzie obozowało wojsko, leżały w pobliżu Henneth Annun; nocą słysząc tu było szum strumienia, który spływał kaskadą z jej wysokości, przez skalne wrota ku kwitnącym łąkom, by koło wyspy Kair Andros wpaść do Anduiny. Hobbiti błakali się po okolicy odwiedzając miejsca, które przedtem w swej wędrówce poznali. Sam nie tracił nadziei, że gdzieś w cieniu lasu albo w ukrytej dolince mignie mu może znów olbrzymi olifant. A gdy się dowiedział, że podczas oblężenia Gondoru wiele tych bestii przyprowadzili nieprzyjaciele pod mury grodu, lecz wszystkie wyginęły w bitwie — bardzo się zmartwił.

— Nie można być wszędzie jednocześnie — westchnął. — Ale, jak widać, straciłem wiele na tym, że mnie tu wtedy nie było.

Tymczasem wojsko gotowe już było powracać do stolicy. Znużenie minęło, rany się zagoiły. Niektóre bowiem oddziały bardzo były utrudzone zawziętą walką z najupartszymi niedobitkami armii Saurona, których ostatecznie wszystkich pokonano. Najpóźniej ściągnęli do obozu ci, którzy zapędzili się aż w głąb Mordoru, żeby zburzyć fortece w północnej części Sauronowego państwa.

W końcu kwietnia wodzowie dali wreszcie rozkaz odwrotu i statki uniosły ich z Kair Andros nurtem Anduiny do Osgiliath; tam popasano dzień jeden, a następnego wieczora cała armia wraz ze świtą królewską dotarła na zielone pola Pelennoru i ujrzała znów białe wieże pod szczytem wyniosłej Mindolluiny, gród Gondoru, ostatnią placówkę ludzi z Westernesse, która po przejściu przez noc i ogień doczekała świtu nowych dni.

Pośród pól rozbito namioty, by spędzić noc pod nimi; nazajutrz bowiem był pierwszy dzień maja i wraz ze wschodem słońca król miał przekroczyć bramę

swojej stolicy.

ROZDZIAŁ XV

Namiestnik i król

W mieście panowało zwątpienie i trwoga. Piękna pogoda i jasne słońce zdawały się ludziom drwiną z ich losu w owych dniach, gdy nadziei nie mieli wiele, oczekując lada godzina wieści o klęsce. Władca ich umarł, ciało jego spłonęło; w sali na Wieży spoczywały śmiertelne szczątki króla Rohanu, a nowy król, który zjawił im się nocą, odszedł znów na wojnę z potęgą tak straszną i złą, że daremnie zdawały się przeciw niej wysiłki najmężniejszych nawet rycerzy. Wieści nie nadchodziły. Odkąd wojska Gondoru opuściły Dolinę Morgul i ruszyły dalej na północ w cień gór, nie przybył do grodu żaden goniec i nie dotarła żadna pogłoska o losach wojny toczącej się w dalekim kraju.

W dwa dni po wyruszeniu armii księżniczka Eowina kazała przynieść sobie szaty i nie słuchając perswazji pielęgnujących ją kobiet wstała z łóżka; ubrana, z ręką na temblaku z płótna, udała się do Głównego Opiekuna mającego nadzór nad Domami Uzdrawień.

— Dręczy mnie wielki niepokój — oznajmiła mu — i nie mogę dłużej leżeć bezczynnie.

— Nie jesteś zdrowa, księżniczko — odparł. — Polecono mi otoczyć cię szczególną opieką. Nie powinnaś wstawać przez tydzień jeszcze, tak mi nakazano. Proszę cię, wróć do łóżka.

— Jestem już zdrowa — powiedziała. — Przynajmniej na ciele, z wyjątkiem lewej ręki, w której jednak też czuję dużą poprawę. Ale rozchoruję się na nowo, jeśli nie będę mogła w niczym przyczynić się do naszej sprawy. Czy nie ma wieści z pola? Kobiety nic nie umięją mi o tym powiedzieć.

— Wieści nie ma — odparł Opiekun — prócz tej, że wojska weszły w Dolinę Morgul. Podobno dowodzi nimi nowy wódz przybyły z północy. Dostojny mąż i uzdrowiciel; to właśnie najbardziej mnie dziwi, że ręka, która uzdrawia, umie też władać orężem. Tego w Gondorze za naszych czasów się nie spotyka, choć dawniej tak bywało, jeśli wierzyć starym legendom. Od wielu lat my, uzdrowiciele, zajmowaliśmy się tylko gojeniem ran, zadawanych przez tych, którzy mieczem wojują. Co prawda i bez tego mielibyśmy dość roboty. Wiele jest na świecie cho-

rób i nieszczęść nawet bez wojny, która je mnoży.

— Wystarczy niekiedy, żeby jeden z przeciwników chciał wojny — odparła Eowina — a ci, którzy mieczem nie wojują, też często od miecza giną. czy zgodziłbyś się, aby Gondorczyści tylko zioła zbierali, gdy Władca Ciemności gromadzi armie? Nie zawsze też uzdrowienie ciała jest szczęściem. Podobnie jak nie zawsze jest nieszczęściem polec w bitwie, choćby w męce. Gdyby mi zostawiono wybór w tej czarnej godzinie, wołałabym śmierć w boju.

Opiekun przyjrzał się jej uważnie. Stała przed nim wysmukła, z oczyma świecącymi w bladej twarzy, z rękoma splecionymi, zapatrzona w okno wychodzące na wschód. Westchnął i pokiwał głową. Po chwili Eowina podjęła znowu:

— Czy nie ma dla mnie żadnego zadania? — spytała. — Kto rządzi w grodzie?

— Nie wiem dokładnie — odparł. — Nie zajmuję się takimi sprawami. Jeźdźcy Rohanu mają swego dowódcę, a Hurin, jak mi mówiono, rozkazuje Gondorczykom. Ale prawowitym Namiestnikiem jest Faramir.

— Gdzie mam go szukać?

— W tym domu, księżniczko. Odniósł ciężkie rany, ale wraca już po trosze do zdrowia. Nie wiem jednak...

— Zaprowadźcie mnie do niego, a będziecie wiedzieli.

Faramir przechadzał się samotnie po ogrodzie wśród Domów Uzdrawień; słońce grzało i czuł, że nowe życie wstępuje w niego, lecz ciężko mu było na sercu i wciąż spoglądał zza murów ku wschodowi. Tak zastał go Opiekun przychodząc, by powtórzyć żądanie księżniczki. Zawołany, Faramir odwrócił się i ujrzał księżniczkę Rohanu. Widząc ją bladą i ranną, wzruszył się tym bardziej, że bystre jego oczy dostrzegły jej niepokój i smutek.

— Panie! — rzekł Opiekun. — Oto księżniczka Rohanu, Eowina. Walczyła u boku króla i leczy się u nas z ciężkich ran. Nie jest jednak z pobytu w tych domach zadowolona i chce rozmawiać z Namiestnikiem Gondoru.

— Chciej mnie dobrze zrozumieć — powiedziała Eowina. — Nie skarżę się na brak troskliwej opieki. Nigdzie nie mogłoby być lepiej komuś, kto pragnie ozdrowienia. Ale ja nie znoszę bezczynności, próżniactwa, zamknięcia w klatce. Szukałam śmierci na polu bitwy. Nie znalazłam jej, a wojna jeszcze trwa.

Na znak dany przez Faramira Opiekun skłonił się i oddalił.

— Co chcesz, abym dla ciebie uczynił? — spytał Faramir. — Ja też jestem więźniem lekarzy. — Patrzył na nią, a że miał serce wrażliwe, piękność i smutek księżniczki raniły go boleśnie. Wychowana pośród wojowników, Eowina wiedziała, że ma przed sobą rycerza, którego żaden z jeźdźców Rohanu nie przewyższyłby męstwem w bitwie, a mimo to w jego poważnym spojrzeniu dostrzegła tkliwość. — Czego żądasz ode mnie? — spytał raz jeszcze. — Wszystko, co w mojej mocy, zrobię dla ciebie.

— Rozkaż Opiekunowi tego domu, żeby mnie stąd wypuścił — odparła, ale chociaż słowa jej były dumne, serce już się zawahało i po raz pierwszy Eowina zwątpiła o sobie. Zrozumiała, że temu rycerzowi, tak poważnemu i łagodnemu zarazem, może się to wydać po prostu kaprysem, zachcianką dziecka, które nie ma dość hartu, żeby wytrwać w nudnym obowiązku do końca.

— Ja sam jestem pod władzą Opiekuna — rzekł Faramir. — Nie objąłem też jeszcze rządów w grodzie. Ale nawet gdybym je sprawował, słuchałbym rad lekarza i w sprawach, na których on zna się lepiej, nie sprzeciwiałbym się jego woli, chyba w ostatecznej potrzebie.

— Ale ja nie pragnę uzdrowienia — powiedziała Eowina. — Chcę wziąć udział w wojnie, jak mój brat Eomer, a raczej jak król Theoden, bo on poległ, zyskując sławę i spokój zarazem.

— Za późno, księżniczko, nie dogoniłabyś już naszych wojsk, choćby ci sił na tę wyprawę starczyło — odparł Faramir. — Śmierć w boju może jednak spotkać nas również tutaj, czy pragniemy jej, czy też nie. Będiesz umiała lepiej stawić jej czoło, jeśli teraz, póki czas jeszcze, posłuchasz rady lekarza. Oboje musimy cierpliwie znieść godziny oczekiwania.

Nic na to nie odpowiedziała, lecz kiedy na nią spojrział, wydało mu się, że wyraz jej oczu zmieknął nieco, jakby srogie lody tajały pod pierwszym nikłym powiewem przedwiośnia. Łza błysnęła w jej oku i spłynęła po policzku lśnąc jak kropla rosy. Dumna głowa pochyliła się lekko. Potem spokojnie, bardziej do siebie niż do niego, powiedziała:

— Lekarze chcieliby mnie jeszcze przez cały tydzień trzymać w łóżku. A z mego pokoju okna wychodzą na inną stronę, nie ma wschód.

Głos jej zabrzmiał teraz dziewczęco i smutno.

Faramir uśmiechnął się, chociaż serca w nim topniało z litości.

— Okno nie wychodzi na wschód? Znajdzie się na to rada. — rzekł. — W tej sprawie mogę wydać rozkaz Opiekunowi. Jeśli zgodzisz się, księżniczko, pozostać w tym domu pod naszą opieką i odpoczywać tutaj, będziesz mogła do woli przechadzać się w słońcu po tym ogrodzie i spoglądać ku wschodowi, gdzie wszystkie twoje nadzieje odbiegły. W ogrodzie zaś spotkasz zawsze mnie, bo ja też przechadzam się tutaj chętnie i spoglądam na wschód. Osłodziś mi troskę, jeśli zechcesz ze mną pogawędzić i znieść moje towarzystwo.

Podniosła czoło i znów spojrzała mu w oczy; lekki rumieniec zabarwił jej policzki.

— Jakże mogłabym osłodzić twoje troski? — powiedziała. — Nie pragnę zresztą rozmów z żyjącymi.

— Czy chcesz, abym ci odpowiedział szczerze, księżniczko?

— Tak.

— A więc powiem ci, Eowino, że jesteś piękna. W dolinach pośród naszych gór rosną prześliczne jasne kwiaty, a piękniejsze od nich są nasze dziewczęta.

Ale żaden kwiat i żadna dziewczyna, które dotąd zaznałem, równać się nie mogą z księżniczką, którą teraz spotkałem w Gondorze, uroczą i smutną. Kto wie, może zaledwie kilka dni nam zostało, może wkrótce Ciemności ogarną nasz świat; gdy się to stanie, mam nadzieję, że mężnie spojrzę w twarz klęsce; byłoby mi jednak lżej na sercu, gdybym mógł napatrzeć się tobie, dopóki jeszcze słońce świeci. Oboje nas musnął swym skrzydłem straszny Cień i ta sama ręka zawróciła nas na drogę życia.

— Niestety, mnie Cień nie opuścił dotychczas — odparła. — Ode mnie nie oczekuj uzdrowienia. Przywykłam do miecza i tarczy, rękę mam twardą. Ale dziękuję ci, że nie będę musiała leżeć zamknięta w czterech ścianach. Z łaski Namiestnika będę przechadzała się po ogrodzie.

Złożyła mu dworny ukłon i odeszła ku domowi. Faramir długo potem samotnie błądził po ogrodzie, ale wzrok jego częściej zwracał się na okna domu niż na wschodnie mury.

Po powrocie do własnej komnaty wezwał Opiekuna i kazał mu opowiedzieć wszystko, co wiedział o księżniczce Rohanu.

— Nie wątpię — rzekł Opiekun na zakończenie — że więcej o niej może powiedzieć niziołek, który tu również przebywa, brał bowiem udział w wyprawie króla Theodena i do końca bitwy nie odstępował podobno księżniczki.

Musiał więc Merry stawić się u Faramira. Na rozmowie szedł im czas do wieczora; młody Namiestnik wiele się dowiedział, więcej nawet, niż Merry umiał w słowach wyrazić, i lepiej zrozumiał smutek i niepokój Eowiny. Wieczorem we dwóch z Meriadokiem przechadzali się znów po ogrodzie, lecz Eowina nie przyłączała się do nich.

Nazajutrz jednak, gdy Faramir wyszedł przed dom, zobaczył ją na murach; biała jej suknia jaśniała w słońcu. Zawołał ją po imieniu i Eowina zeszła do ogrodu; przechadzali się po trawie, odpoczywali w cieniu drzew, trochę milcząc, a trochę rozmawiając. Odtąd spędzali w ten sposób dzień po dniu. Opiekun patrzył na nich z okna z zadowoleniem, ciszyło bowiem lekarza, że choć lęk i troska przytłaczały wówczas wszystkie ludzkie serca, tych dwoje, powierzonych jego pieczy, z każdym dniem nabierało wyraźniej siły i otuchy.

Minęło już pięć dni od pierwszego spotkania księżniczki z Faramirem. Stali właśnie na murach grodu wyglądając na świat. Wieści nadal nie było żadnych, ludzie w mieście posępnieli coraz bardziej. Pogoda także się popsowała. Było zimno. W nocy zerwał się wiatr z północy, a w ciągu dnia wzrastał się stale; kraj wkoło był szary i posępny.

Faramir i Eowina mieli na sobie ciepłe ubrania i grube płaszcze; księżniczka narzuciła na ramiona suty płaszcz, szafirowy jak niebo w noc letnią, z gwiazdami wyhaftowanymi srebrem na rąbku szyi. Faramirowi wydała się piękna i majesta-

tyczna w tych szatach. Specjalnie dla niej sprowadził do Domu Uzdrawień ten płaszcz i sam go narzucił na jej ramiona; płaszcz ten utkano niegdyś dla jego matki, Finduilasy z Amrothu, zmarłej przedwcześnie; był więc dla Namiestnika pamiątką po szczęściu dzieciństwa i pierwszym w jego życiu smutku i zdawał mu się strojem najstosowniejszym dla uroczej i smutnej księżniczki.

Lecz mimo gwiaździstego płaszcza Eowina zadrżała patrząc ponad szarymi polami pod wiatr ku północy, gdzie nad widnokretem niebo jaśniało czyste i surowe.

— Co tam widzisz, Eowino? — spytał Faramir.

— Tam, na wprost, jest Czarna Brama, prawda? — odpowiedziała. — Już pewnie do niej dotarł. Tydzień upłynął, odkąd wyruszył.

— Tydzień — potwierdził Faramir. — Nie myśl o mnie źle, jeśli ci powiem, że ten tydzień przyniósł mi zarazem radość i ból, jakich dotychczas nie znałem. Radość, że cię widzę; ból — ponieważ lęk i zwątpienie tych dni zaciążyły mi na sercu tym dotkliwiej. Eowino, nie chciałbym, żeby świat się skończył, nie chciałbym tak prędko utracić tego, co dopiero teraz znalazłem.

— Utracić, co znalazłeś? — spytała. Spojrzała mu w oczy poważnie i łagodnie. — Nie wiem, co mógłbyś w tych dniach znaleźć i co obawiasz się stracić. Nie, nie mówmy o tym, przyjacielu. Nie mówmy o niczym! Stoję na jakiejś okropnej krawędzi, ciemności nieprzeniknione wypełniają otchłań u moich stóp, i nie wiem, czy za mną jest jakieś światło. Nie mogę się jeszcze odwrócić. czekam na dopełnienie się losu.

— Wszyscy na to czekamy — rzekł Faramir. Nie rozmawiali już więcej; wydało im się, gdy tak stali na murach, że wiatr ustał, dzień zmierzchnął, słońce zbladło, a wszystkie głosy w grodzie i na polach dokoła ścichły. Nie słyszeli ani szumu wiatru, ani szelestu liści, ani głosów ludzkich, ani świergotu ptaków, nawet bicia własnych serc. Czas się zatrzymał.

Ręce ich się spotkały i objęły, ale oni jakby o tym nie wiedzieli. Zastygli w oczekiwaniu, sami nie rozumiejąc, na co czekają. W pewnej chwili wydało im się, że nad łańcuchem odległych gór wzbiła się inna góra, olbrzymia góra ciemności, wzbierająca niby fala, która gotuje się zalać świat, roziskrzona od błyskawic. Potem drżenie przebiegło ziemię, aż wzdrygnęły się mury grodu. Jak gdyby kraj cały dokoła westchnął, im zaś serca znów zabiły żywiej.

— To przypomina mi Numenor — rzekł Faramir i ze zdziwieniem usłyszał własny głos wypowiadający te słowa.

— Numenor? — spytała Eowina.

— Tak, zaginiony kraj Westernesse i wielką czarną falę, która podniosła się nad zielone pola i ponad góry, wszystko zatapiając nieuchronnie w Ciemnościach. Często śnię o tym.

— A więc myślisz, że zbliżają się Ciemności? Nieuchronne Ciemności? — I mówiąc to przytuliła się bliżej do niego.

— Nie — odparł Faramir patrząc jej w oczy. — To tylko obraz, który się zjawił w mojej wyobraźni. Nie wiem, co się dzieje. Trzeźwy rozum mówi mi, że stało się coś bardzo złego i że doszliśmy do kresu naszych dni. Ale serce temu zaprzecza, czuję się lekki, ogarnia mnie radość i nadzieja, których rozum nie może zwyciężyć. Eowino, biała księżniczko Rohanu, w tej chwili nie wierzę, by Ciemności mogły zatryumfować.

I schylając się ucałował jej czoło.

Stali na murach grodu i znów wiatr dmuchnął potężnie, a krucze i złote włosy rozwiane podmuchem spletały się z sobą w powietrzu. Cień zniknął, słońce wyrzuciło na niebo, jasne światło zalało świat; wody Anduiny zalśniły srebrem, we wszystkich domach ludzie zaczęli śpiewać z radości, która z nieodgadzionych źródeł spłynęła do ich serc.

Ledwie słońce minęło zenit, gdy od wschodu nadleciał olbrzymi orzeł niosąc od wodzów armii Gondoru wieści ponad wszelkie spodziewanie pomyślne.

Śpiewajcie, ludzie z Wieży Anora,
Bo już skruszona moc Saurona
I w proch upadła Czarna Wieża.
Śpiewajcie, ludzie ze Strażnicy,
Bo niedaremna wasza straż,
Pękła żelazna Czarna Brama,
Przekroczył ją zwycięski król.
Śpiewajcie, wolnych krajów dzieci
Bo wkrótce wróci do was król
I będzie mieszkał w swej stolicy
Odtąd na zawsze już,
Drzewo, co zwiędło, znów rozkwitnie,
Królewską ręką zasadzone,
A gród szczęśliwe pozna dni.
Śpiewajcie wszyscy radość waszą!

Śpiew rozbrzmiał na wszystkich ulicach grodu.

Nastaly potem dni złote, wiosna połączyła się z latem i umiała pola Gondoru. Gońcy na ścigtych koniach przybyli z Kair Andros z nowinami, miasto zakipiało od przygotowań na przyjęcie króla. Meriadoka wyprawiono z wozami pełnymi prowiantu do Kair Andros, skąd statki miały je powieźć do Osgiliath. Faramir został w Minas Tirith, bo, już uzdrowiony zupełnie, objął urząd Namiestnika, jakkolwiek na krótki czas, żeby w porządku przekazać powiernictwo prawemu władcy.

Została też Eowina, mimo że brat wzywał ją na pola Kormallen. Jej decyzja zdziwiła Faramira. Zajęty doniosłymi obowiązkami, rzadko ją w tych dniach widywał; księżniczka przebywała nadal w Domach Uzdrawień, samotnie przechadzając się po ogrodzie, i znów przybladła. W całym mieście ona jedna zdawała się cierpiąca i smutna.

Kiedy ją Faramir odwiedził, wyszli raz jeszcze we dwoje na mury.

— Eowino, dlaczego zostałeś tutaj i nie pospieszyłeś na radosne uroczystości do obozu za Kair Andros, gdzie oczekuje cię brat? — spytał.

— Czy nie wiesz, dlaczego? — odparła.

— Mogą być dwie przyczyny, nie wiem, która jest prawdziwa.

— Nie chcę się bawić w zagadki, Faramirze. Mów jaśniej.

— Skoro każesz, księżniczko, powiem, co myślę. Nie pospieszyłeś na pola Kormallen, bo tylko brat cię wezwał, a widok tryumfującego Aragorna, spadkobiercy Elendila, nie sprawiłby ci radości. Albo dlatego, że ja tam nie jadę, a pragniesz być bliżej mnie. A może dla obu tych powodów naraz i sama nie wiesz, który jest dla ciebie ważniejszy. Czy nie kochasz mnie, czy nie chcesz mnie pokochać, Eowino?

— Chciałam być kochana przez kogoś innego — odparła. — Ale od nikogo nie pragnę litości.

— Wiem. Chciałeś zdobyć miłość króla Aragorna. Ponieważ był wspaniały i potężny, a ty pragnęłaś sławy i chwały, i wyniesienia ponad wszelkie nędzne, pełzające po ziemi i nikczemne robactwo. Olśniewał cię, jak wielki wódz młodego żołnierza. Jest bowiem naprawdę władcą wśród ludzi, największym dziś na ziemi. Ale gdy ofiarował ci tylko wyrozumiałość i współczucie, odrzuciłaś to wszystko i nie pragnęłaś już niczego prócz chwalebnej śmierci w boju. Spójrz na mnie, Eowino!

Patrzała mu w oczy długo i bez drżenia. Faramir podjął znowu:

— Nie pogardzaj litością, gdy płynie ze szlachetnego serca, Eowino! Ale ja nie litość ci ofiarowuję. Jesteś księżniczką wielkiego rodu i męstwa, zdobyłaś sławę, której świat nie zapomni. Jesteś też piękna ponad wszelki wyraz najpiękniejszego języka elfów. Kocham cię. W pierwszej chwili litowałem się nad twoim smutkiem. Teraz jednak kochałbym cię, nawet gdybyś była wolna od smutku, trwogi i tęsknoty, nawet gdybyś jaśniała szczęściem na tronie Gondoru. Czy nie pokochasz mnie, Eowino?

Nagle serce jej odmieniło się, a może tylko w tym momencie zrozumiała, że odmieniło się już przedtem. W nim także zima ustąpiła wiosnie.

— Stoję na murach Minas Anor, Wieży Słońca — powiedziała. — Cień zniknął. Nie będę już dziewiczym rycerzem, nie ruszę w pole z jeźdźcami Rohanu, nie znajdę szczęścia w bojowych pieśniach. Będę uzdrowicielką, pokocham wszystko, co rośnie i co nie jest jałowe. — Spojrzała znów w oczy Faramira. — Nie pragnę już być królową.

Faramir roześmiał się wesoło.

— To dobrze! Bo ja nie jestem królem. Ale będę mężem Białej Księżniczki Rohanu, jeśli się na to zgodzi. Pojedziemy za Rzekę, w szczęśliwej przyszłości zamieszkamy w Ithilien i tam, na tej pięknej ziemi, założymy ogród. Wszystko będzie rosło i radowało się z przybycia Białej Księżniczki.

— A więc muszę porzucić własny lud, Gondorczyku? — spytała. — Chcesz, żeby twoje dumne plemię mówiło o tobie: „Oto nasz wódz zaślubił dziką księżniczkę z północy. Czy nie mógł znaleźć sobie żony wśród Numenorejczyków?”

— Tak, tego chcę! — odparł Faramir biorąc ją w ramiona. Całował ją pod słonecznym niebem, nie dbając o to, że wielu ludzi może ich zobaczyć, stojących na wysokim murze. rzeczywiście widziało ich wielu i wtedy, i później, gdy promieniując radością szli trzymając się za ręce ku Domom Uzdrawień.

— Księżniczka Rohanu jest już uzdrowiona — oznajmił Faramir Opiekunowi.

— A więc zwalniam ją spod mojej pieczy i żegnając życzę, aby nigdy więcej nie cierpiała ran ani choroby. Powierzam ją opiece Namiestnika Gondoru aż do powrotu jej brata — odparł Opiekun.

— Teraz, kiedy wolno mi odejść, wołałabym zostać. ten dom bowiem stał mi się od wszystkich innych miłszy — powiedziała Eowina. Została w Domu Uzdrawień aż do przyjazdu króla.

Wszystko już było gotowe, a wieść rozeszła się szeroko po kraju, od Min-Rimmon aż po Pinnath Gelin i po dalekie wybrzeża morskie; kto żyw, spieszył do grodu i zebrała się moc ludzi. Miasto znów zaroilo się od kobiet i ślicznych dzieci, które wracały do domów z naręczami kwiatów; z Dol Amrothu ściągnęli harfiarze, pierwsi mistrzowie muzyki w Gondorze; byli też inni muzykanci, z wiolami, fletami i rogami ze srebra, a także śpiewacy z dolin Lebennin obdarzeni najpiękniejszym głosem.

Nadszedł wreszcie wieczór, gdy już z murów ujrzano rozbity na polach obóz; światła w domach nie pogasły przez noc całą, bo wszyscy czuwali w oczekiwaniu świtu. Słońce wstało jasne nad górami od wschodu, gdzie już nie zalegały cienie. Uderzono w dzwony, rozwinięte sztandary załopotwały na wietrze, a nad Białą Wieżą po raz ostatni ukazała się biała chorągiew Namiestników bez godeł i haseł iskrząc się srebrzyście niby śnieg w słonecznym blasku. Wodzowie wiedli swą armię ku miastu, a lud patrzył, jak zbliżają się szereg za szeregiem, lśniący w promieniach świtu i migocący jak srebro. Podeszli pod Bramę i zatrzymali się w odległości kilkudziesięciu kroków od murów. Ale Bramy nie odbudowano jeszcze po bitwie, tylko wejście zagrodzono w poprzek barierą i postawiono po obu jej stronach gwardzystów w srebrno-czarnych barwach, z obnażonymi długimi mieczami. Za barierą czekał Faramir, Namiestnik Gondoru, Hurin, Strażnik Kluczy, Eowina, księżniczka Rohanu, Elfhelm, marszałek, i grono rycerzy Marchii. Da-

lej zaś cisnął się zewsząd tłum strojny, różnokolorowy, niosąc wieńce i girlandy kwiatów.

Utworzyła się wiec pod murami Minas Tirith wolna przestrzeń otoczona w krąg przez rycerstwo i żołnierzy Gondoru oraz Rohanu, przez lud miejski i przybyszów z całego kraju. Cisza zaległa w tłumie, gdy z szeregów wystąpili Dunedainowie, w strojach szarych ze srebrem, a na ich czele Aragorn. Ubrany był w czarną kolczugę, ze srebrnym pasem, i długi, śnieżnobiały płaszcz, spięty pod szyją dużym zielonym kamieniem, który skrzył się z daleka. Głowę miał odsłoniętą. Towarzyszyli mu Eomer z Rohanu, książę Imrahil, Gandalf, cały w bieli, oraz cztery drobne postacie, których widok wielu zadziwił.

— Nie, krewniaczko, to nie chłopcy — tłumaczyła Joreth stojącej obok niej kobiecie z Imloth Melui. — To Perianie z dalekiego kraju niziołków; podobno są książętami wielkiej sławy wśród swoich. Dobrze wiem, bo jednego z nich pielęgnowałam w Domach Uzdrawień. Mali są, lecz dzielni. Nie uwierzysz, ale jeden z nich zapuścił się sam, z giermkim tylko, do Kraju Ciemności i pobił Czarnego Władcę, i podpalił Czarną Wieżę. tak przynajmniej opowiadają w naszym mieście. To ten, który idzie teraz razem z Kamieniem Elfów. Są, jak słyszałam, w serdecznej przyjaźni. Wspaniały jest nasz król, niezbyt może uprzejmy, za to ręce ma złote; wszyscy to mówią. A jego ręce uzdrawiają. „Ręce króla mają moc uzdrawiania” — powiedziałam im. W ten sposób wszystko się wykryło. A Mithrandir rzekł na to: „Joreth, ludzie dłużej będą pamiętali twoje słowa”. No i...

Joreth nie mogła dłużej pouczać swojej krewniaczki, bo w tym momencie zagrała trąbka i zapadła wielka cisza. Z bramy wyszedł Faramir, mając u boku jedynie Strażnika Kluczy Hurina; za nimi szli czterej mężowie w wysokich hełmach i zbrojach niosąc dużą szkatułę z czarnego drzewa lebethron, okutą srebrem.

Faramir i Aragorn spotkali się pośrodku wolnej przestrzeni. Faramir przyklęknąwszy rzekł:

— Ostatni Namiestnik Gondoru prosi, byś mu zezwolił zdać namiestnictwo! I podał królowi białą różdżkę, lecz Aragorn zwrócił mu ją natychmiast.

— Zadanie twoje nie jest jeszcze skończone — powiedział. — Będiesz nadal piastował tę godność, ty, a po tobie twoi potomkowie, dopóki mój ród nie wygaśnie. A teraz wypełnij swoją powinność.

Faramir wstał i donośnym głosem zawołał:

— Ludu Gondoru, słuchaj, co mówi Namiestnik królestwa! Nareszcie przybył prawy król, by upomnieć się o swoje dziedzictwo. Oto Aragorn, syn Arathorna, pierwszy wśród Dunedainów z Arnoru, wódz armii Zachodu, rycerz z Gwiazdą Północy, który włada mieczem na nowo przekutym, zwycięski w boju, uzdrowiciel, Kamień Elfów, Elessar z rodu Valandila, syna Isildura z Numenoru. Czy chcecie go na swego króla? Czy chcecie, aby wkroczył do grodu i po wsze czasy osiadł na swej stolicy?

Całe wojsko i lud cały jednym głosem wykrzyknęli; „Tak!” Joreth zaś wyja-

śniła krewniaczcze:

— Taka ceremonia jest u nas w stolicy w zwyczaju, ale jak ci już mówiłam, Kamień Elfów już raz wszedł do grodu i powiedział do mnie. . .

Ale znów była zmuszona przerwać, ponieważ zabrał głos Faramir:

— Ludu Gondoru! Uczeni nasi powiadają, że wedle starego obyczaju król powinien otrzymać koronę od ojca, przed jego zgonem; gdyby zaś to było niemożliwe, sam ma ją wziąć z rąk ojca spoczywającego w grobie. Dziś wszakże władzą Namiestnika zarządziłem inaczej. Przynoszę z Rath Dinen koronę Earnura, ostatniego króla, który panował przed wiekiem, za praojców naszych.

Wystąpili czterej gwardziści, Faramir otworzył szkatułę i wyjął z niej starożytną koronę. Kształtem podobna do hełmu gwardzistów Wieży, była jednak jeszcze wyższa i biała, umieszczone zaś na niej po obu bokach srebrne i wysadzone perłami skrzydła przypominały skrzydła morskiej mewy, ptaka, który był godłem królów przybyłych ongi zza Morza. Siedem diamentów zdobiło opaskę na czole, jeden zaś, ze wszystkich najwspanialszy, błyszczał jak płomień u szczytu hełmu.

Aragorn wziął z rąk Faramira koronę i podniósłszy ją w górę rzekł:

— Et Earello Endoreнна utulien. Sinome maruvan ar Hildinyar tenn' Ambar-metta!

Były to słowa, które Elendil wymówił, gdy na skrzydłach wiatru przybył na to wybrzeże: „Zza wielkiego Morza przybyłem do Śródziemia. Tu pozostanę i tu żyć będą potomkowie moi aż do końca świata”.

Ku zdumieniu obecnych Aragorn nie włożył korony na głowę, lecz oddał ją znów Faramirowi mówiąc:

— Dziedzictwo swe odzyskałem dzięki trudom i męstwu wielu przyjaciół. Na znak wdzięczności życzę sobie, żeby koronę przyniósł mi powiernik Pierścienia, a Mithrandir, jeśli się zgodzi, niech włoży ją na moją głowę. On bowiem był duszą wszystkiego, co przedsięwzięliśmy, i on to odniósł zwycięstwo, które dziś święcimy.

Frodo wziął od Faramira koronę i podał ją Gandalfowi. Aragorn ukląkł, a Gandalf włożył mu na skronie białą koronę mówiąc:

— Oto nastały dni króla, oby upływały w szczęściu, dopóki trwać będą trony Valarów.

Lecz kiedy Aragorn wstał, wszyscy patrząc na niego umilkli, bo wydało im się, że go widzą po raz pierwszy. Wysmukły jak dawni zamorscy królowie, górował nad całą switą; zdawał się dostojny wiekiem, a zarazem w kwiecie lat męskich, mądrość wypisana była na jego czole, ręce miał silne i obdarzone władzą uzdrawiania, od całej zaś postaci bił jasny blask.

— Oto nasz król — rzekł wreszcie Faramir.

Wszystkie trąby naraz zagrały fanfary, król Elessar zbliżył się do bariery, którą Strażnik Kluczy Hurin usunął przed nim. Wśród muzyki harf, wioli i fletów, wśród chóru czystych głosów król przeszedł ukwieconymi ulicami aż do Wieży

i wkroczył do jej wnętrza. Na szczycie pojawił się rozwiany sztandar z białym drzewem i siedmiu gwiazdami i rozpoczęło się panowanie Elessara, opiewane w tysiącu pieśni.

Gród wówczas stał się piękniejszy niż kiedykolwiek w swej historii, piękniejszy nawet niż za czasów pierwszej świetności. Pojawiły się w nim drzewa i fontanny, bramy wykute z mithrilu i stali, ulice wybrukowane białym marmurem; plemiona z gór pracowały nad upiększeniem stolicy, a plemiona z lasów odwiedzały ją chętnie. Wszystkie szkody naprawiono i wynagrodzono, domy wypełniły się szczęśliwymi ludźmi i rozbrzmiewały śmiechem dzieci, ani jedno okno nie pozostało ślepe, ani jeden dziedziniec nie świecił pustkami. A gdy skończyła się Trzecia Era świata, pamięć o chwale tych lat przeszła w wiek następny.

Król po koronacji przez kilka dni rozsądzał sprawy i ogłaszał wyroki siedząc na swym tronie w Wielkiej Sali Białej Wieży. Przyjmował też poselstwa od wielu krajów i ludów, ze wschodu i południa, z pogranicza Mrocznej Puszczy i z Dunlandu na zachodzie. Wybaczył Easterlingom, którzy zdali się na jego łaskę; odesłał ich wolnych do ojczyzny, zawierając pokój również z południowcami z Haradu. Wyzwolił niewolników Mordoru i dał im na własność kraj leżący wokół jeziora Nurnen. Przyprowadzono też do króla dzielnych żołnierzy, by z jego rąk otrzymali nagrodę i pochwałę za męstwo. Na ostatku zaś dowódca gwardii przywiódł na sąd Beregonda.

— Beregondzie! — rzekł król. — Tyś mieczem swoim rozlał krew w miejscu uświęconym, gdzie nie wolno dobywać oręża. Opuściłeś też posterunek bez pozwolenia Namiestnika lub swego dowódcy. Stare prawa za takie przewiny żądają kary śmierci. Muszę więc wydać na ciebie wyrok. Słuchaj! Wszystkie kary odpuszczam ci za męstwo w boju, a także dlatego, żeś to wszystko czynił z miłości do Faramira. Jednakże musisz opuścić szeregi gwardii i gród Minas Tirith.

Krew uciekła Beregondowi z twarzy, z sercem ściśniętym bólem zwiesił głowę. Lecz król mówił dalej:

— Tak być musi, ponieważ odtąd będziesz należał do Białej Kompanii, do gwardii przybocznej Faramira, księcia Ithilien; będziesz dowódcą tej gwardii i zamieszkas w Emyrn Arnen, w sławie i spokoju. Służyć będziesz Faramirowi, dla niego bowiem, żeby go wyrwać śmierci, wszystko postawiłeś na jedną kartę.

Wtedy Beregond rozumiejąc nareszcie, jak sprawiedliwie i łaskawie król go osądził, ukląkł, ucałował królewską rękę i odszedł z radością w sercu. Aragorn dał Faramirowi krainę Ithilien jako udzielne księstwo prosząc, by osiedlił się wśród gór Emyrn Arnen, w zasięgu spojrzenia z Wieży.

— Minas Ithil w Dolinie Morgul będzie zburzone doszczętnie — rzekł — a chociaż z czasem kraj ten się oczyści, nikt tam mieszkać nie powinien przez długie jeszcze lata.

W końcu Aragorn wezwał Eomera, uściśnął go i powiedział:

— Między nami nie potrzeba słów ani nagród, bo jesteśmy braćmi. W szczęśliwy dzień przybył Eorl z północy! Świat nie znał pomyślniejszego sojuszu, niżli sojusz Gondoru z Rohanem, nigdy bowiem żaden z tych sprzymierzonych nie zawiodł się i nigdy się nie zawiedzie na drugim. Żłożyliśmy Theodena Sławnego w grobowcu pomiędzy królami Gondoru i tam zostanie, jeśli taka jest twoja wola. Lecz jeśli pragniesz, aby zwłoki jego wróciły do Rohanu, odprowadzimy je tam ze czcią.

— Od chwili gdy mi się pierwszy raz ukazałeś wstając z trawy na wzgórzach, pokochałem cię i na pewno nie zawiedziesz się na moim sercu. Teraz jednak muszę pośpieszyć na czas jakiś do mego królestwa, gdyż wiele spraw wymaga naprawy i uporządkowania. Co do poległego króla, wrócę po niego, gdy wszystko przygotuję na jego przyjęcie. Tymczasem niech tutaj śpi w spokoju.

Eowina rzekła Faramirowi:

— Ja też muszę wrócić do ojczyzny i raz jeszcze spojrzeć na nią, a także pomóc bratu w jego obowiązkach; gdy jednak ten, którego kochałam jak ojca, spocznie w rodzinnej ziemi, powrócę do ciebie.

Tak przeminęły te szczęśliwe dni. Jeźdźcy Rohanu przygotowali się do podróży i ruszyli szlakiem północnym; od bram grodu aż w głąb pól Pelennoru jechali między szpalerem Gondorczyków, którzy zbiegli się, by ich pożegnać z wdzięcznością i czcią. Wszyscy przybysze z dalekich stron wracali z radością do swoich domów. W grodzie jednak wrzała robota, do której wielu ochoczo przykładło ręki, odbudowując, naprawiając, zacierając blizny wojenne i wspomnienie Ciemności.

Hobbici przebywali nadal w Minas Tirith, wraz z Legolasem i Gimlim, bo Aragornowi żal było rozstać się z Drużyną.

— Wszystko ma swój koniec — rzekł — ale poczekajcie jeszcze trochę, aż dopełni się cała historia, w której tak dzielnie braliście udział. Zbliży się dzień, do którego tęskniłem przez długie lata, odkąd wyrosłem z młodzieńca na męża, a gdy nadejdzie, chciałbym mieć przyjaciół u swego boku.

Nie wyjaśnił im wszakże, o jaki dniu mówi.

Członkowie Drużyny Pierścienia mieszkali wówczas w pięknym domu razem z Gandalfem, swobodnie przechadzając się po grodzie.

— Czy nie wiesz, jaki to dzień Aragorn miał na myśli? — spytał Frodo Czarodzieja. — Dobrze nam tu i nie rwę się do wyjazdu, lecz czas upływa, Bilbo czeka, a mój dom jest w Shire.

— Jeśli o Bilba ci chodzi — odparł Gandalf — to on również na ten dzień czeka i wie, co was tutaj zatrzymuje. Czas rzeczywiście płynie, lecz mamy dopiero maj, jeszcze daleko do pełni lata. Wprawdzie wydaje się nam, że wszystko bardzo się zmieniło, jak gdyby zamknął się stary wiek świata, ale dla drzew i trawy nie minął jeszcze rok, odkąd wyruszyłeś z domu.

— Pippinie! — rzekł Frodo. — Mówiłeś, że Gandalf jest mniej skryty niż dawniej. Widocznie był zrazu zbyt zmęczony po trudach kampanii. Teraz wraca do siebie.

— Wiele osób lubi z góry wiedzieć, co znajdzie się na stole — odparł Gandalf — lecz ci, którzy pracowali nad przygotowaniem uczty, lubią zachować do końca swój sekret, bo niespodzianka budzi tym głośniejsze pochwały. Zresztą Aragorn także czeka na znak.

Pewnego wieczora Gandalf zniknął i przyjaciele głowili się, co to może znaczyć. A Gandalf wyprowadził tymczasem Aragorna za miasto, do południowych podnóży Mindolluiny, i odnaleźli tam we dwóch ścieżkę, zbudowaną przed wiekami, po której dziś nikt prawie nie śmiał chodzić. Wiodła bowiem ku wyżynom, gdzie tylko królowie mieli prawo przebywać. Pięli się stromo pod górę, aż stanęli na wysokiej hali pod ośnieżonym szczytem, skąd otwierał się widok na przepaść po drugiej stronie Mindolluiny. Świtało już, widzieli więc pola rozpostarte w dole i tuż u swoich stóp miasto, wieże sterczące niby białe pióra w słońcu, całą dolinę Anduiny kwitnącą jak ogród i na widnokręgu Góry Mgliste z złotej mgiełce. W jedną stronę wzrok sięgał szarych wzgórz Emyrn Muil, a wodogrzmoty Rauros błyszczały niby gwiazdy w oddali; patrząc w drugą stronę dostrzegali Wielką Rzekę niby wstążkę wijącą się aż po Pelargir, a za nią świetlisty rąbek pod niebem przypominał o dalekim Morzu.

— Oto twoje królestwo, zarodek jeszcze większego królestwa przyszłości — powiedział Gandalf. — Trzecia Era świata skończyła się, nowa era się zaczyna. Twoim zadaniem jest pokierować tym początkiem i zachować to, co na trwanie zasługuje. Wiele bowiem ocaliliśmy, lecz wiele również musi teraz zniknąć. Władza Trzech Pierścieni także się skończyła. Wszystkie kraje, które stąd oglądasz, i inne, dalsze jeszcze, będą siedzibami ludzi. Nadchodzi czas panowania człowieka. Najstarsze Plemię zwiędnie lub odejdzie.

— Wiem to dobrze, mój przyjacielu — odparł Aragorn — ale potrzeba mi wciąż jeszcze twoich rad.

— Niedługo będę ci mógł nimi służyć — rzekł Gandalf. — Trzecia Era była moją epoką. Byłem Nieprzyjacielem Saurona, spełniłem swoje zadanie. Wkrótce odejdę. Brzemie przejmiesz ty i twoje plemię.

— Ale ja umrę — powiedział Aragorn. — Jestem śmiertelnym człowiekiem, a chociaż mam w żyłach czystą krew Numenoru i pożyję znacznie dłużej niż inni ludzie, to nie mam już wiele czasu przed sobą; gdy ci, którzy są jeszcze w łonach matek, urodzą się i postarzeją, ja także będę stary. Jeśli nie spełni się moje marzenie, kto wtedy będzie rządził Gondorem i tym wszystkimi ludami, które na nasz gród patrzą jak na swoją królową? Drzewo na Placu Wodotrysku jest wciąż jeszcze suche i jałowe. Kiedy otrzymam znak, że to się wreszcie zmieni?

— Odwróć twarz od zielonego świata i spójrz tam, gdzie wszystko wydaje się jałowe i zimne — rzekł Gandalf.

Aragorn odwrócił się i spojrzął na kamieniste zbocze opadające spod granicy śniegów. Wśród martwoty jedna jedyna istota była tutaj żywa. Wspiął się ku niej. Na samym skraju śniegu wyrastało na trzy stopy w górę młodziutkie drzewko. Już wypuściło świeże liście, podłużne, kształtne, ciemne z wierzchu, a srebrne od spodu; na smukłej koronie rozkwitł bukiet kwiatów, których białe płatki miały blask śniegu w słońcu.

— Ye! Utuvienyes! — wykrzyknął Aragorn. — Znalazłem! Oto latorośl najstarszego z drzew! Skąd się tu wzięła? Nie ma chyba jeszcze siedmiu lat.

Gandalf podszedł, przyjrzał się drzewku i rzekł:

— Tak, to latorośl z rodu Nimloth Pięknej z nasienia Galathilion, z owocu Telperiona o wielu imionach, najstarszego z drzew świata. Któż zgadnie, skąd się wzięło, gdy nadeszła ta godzina? Ale to jest miejsce prastare i uświęcone, zapewne ktoś zasiał tutaj ziarno, zanim zabrakło królów i zanim Białe Drzewo zwiędło. Chociaż bowiem owoc jego rzadko, jak mówią, dojrzewa, lecz ziarno zachowuje utajone życie przez wiele lat i nigdy nie można przewidzieć, kiedy się zbudzi i ożyje. Pamiętaj o tym. Ilekroć owoc jakiś dojrzeje, trzeba posiać ziarno, aby ród nie wymarł. To nasienie przetrwało ukryte wśród gór, podobnie jak potomkowie Elendila na pustkowiach północy. Ale ród Nimloth starszy jest niżli twój, królu Elessarze!

Aragorn ostrożnie ujął drzewko ręką i okazało się, że ledwie trzymało się ziemi, bo dało mu się z niej wyciągnąć lekko i bez szkody; król zaniósł je do grodu. Wykopano zwiędłe drzewo, ale z całym szacunkiem; nie spalono go, lecz złożono na spoczynek w ciszy Rath Dinen. Aragorn posadził na Placu Wodotrysku młode drzewko, które szybko i zdrowo zaczęło się tu rozrastać, a w czerwcu okryło się kwiatem.

— Otrzymałem znak. Mój dzień jest już bliski — rzekł Aragorn i rozstawił na murze czaty.

W przeddzień najdłuższego dnia roku przybiegli do grodu gońcy z Amon Din z wieścią, że od północy nadciąga orszak elfów i już zbliża się do murów Pelenoru.

— Nareszcie! — powiedział król. — Niech miasto przygotowuje się na powitanie gości.

W wigilię więc pełni lata, gdy niebo przybrało barwę szafiru i białe gwiazdy rozbłysły na wschodzie, lecz zachód złocił się jeszcze od słońca, gościńcem północnym pod bramę Minas Tirith nadjechał orszak konny. Prowadzili go Elrohir i Elladan pod srebrną chorągwią, za nimi jechał Glorfindel i Erebor, i wszyscy domownicy dworu w Rivendell, a dalej pani Galadriela z Kelebornem, władcą Lorien, na białych wierzchowcach, w otoczeniu mnóstwa przedstawicieli najpiękniejszego plemienia elfów, w szarych płaszczach i z białymi klejnotami we włosach; wreszcie Elrond, szanowany wśród elfów i ludzi, z berłem Annuminasu w rękę; a u jego boku na siwym koniu Arwena, córka Elronda, Gwiazda Wieczor-

na swego plemienia. Frodo z zachwytem patrzył na nią, gdy się zbliżała jaśniejąca wśród zmierzchu, z gwiazdami nad czołem, w obłoku słodkich woni.

— Teraz wreszcie rozumiem, na cośmy czekali — rzekł do Gandalfa. — Teraz dopiero kończy się nasza historia. Odtąd nie tylko dzień będzie miły, ale noc także piękna i szczęśliwa, wolna od lęku.

Król przywitał gości, którzy zsiadli z koni. Elrond oddał Aragornowi berło i połączył dłoń swej córki z dłonią króla; wszyscy razem podążyli w górę ku Białej Wieży pod niebem roziskrzonym od gwiazd. Aragorn, król Elessar, zaślubił Arwenę Undomiel w swej stolicy, w najdłuższym dniu lata. Tak zakończyła się historia długiego oczekiwania i tęsknoty.

ROZDZIAŁ XVI

Wiele pożegnań

Kiedy minęły dni wesela, a przyjaciele wreszcie zaczęli myśleć o powrocie do swoich własnych domów, Frodo udał się do króla, który odpoczywał przy fontannie pod rozkwitłym bujnie drzewem słuchając pieśni, śpiewanej przez królową Arwenę. Aragorn wstał na powitanie hobbita i rzekł:

— Wiem, co chcesz mi powiedzieć, Frodo! Pragniesz wracać do domu. Tak, przyjacielu kochany, każde drzewo najlepiej rośnie w ziemi swoich przodków; pamiętaj jednak, że wszystkie kraje królestwa zawsze będą przed tobą otwarte. A chociaż twoje plemię dotychczas niewiele zajmowało miejsca w bohaterskich legendach większych ludów, odtąd cieszyć się będzie sławą, jaką nie każde potężne królestwo może się poszczycić.

— Tak, pragnę wrócić do Shire’u — odparł Frodo — przedtem jednak muszę wstąpić do Rivendell. Jeśli bowiem czegoś mi brak w tych dniach szczęścia, to tylko obecności Bilba. Zmartwiłem się, gdy nie zobaczyłem go w orszaku Elronda.

— Czy to cię zdziwiło, powierniku Pierścienia? — odezwała się Arwena. — Znasz przecież moc tego klejnotu, który dzięki tobie został unicestwiony; wszystko, co z jego władzy powstało, dziś przemija. Twój wuj posiadał Pierścień dłużej niż ty. Dożył wieku sędziwego, wedle miary czasu swego plemienia. Czeka na ciebie, ale sam już nie wybierze się w daleką podróż... chyba w ostatnią.

— Pozwól więc, królu, żebym ruszył natychmiast — rzekł Frodo.

— Za tydzień ruszymy razem — odparł Aragorn. — Wypada nam wspólna droga aż do Rohanu. Za trzy dni Eomer wróci po zwłoki Theodena, będziemy towarzyszyli im do Marchii, żeby uczcić poległego króla. Nim jednak opuścisz nas, chcę potwierdzić słowo Faramira, który przyrzekł tobie i twoim wszelką swobodę ruchu i pomoc w granicach Gondoru. Gdybym rozporządzał nagrodą godną twoich zasług, pewnie bym ci jej nie skąpił. Weźmiesz stąd, co zechcesz, wyjedziesz żegnany z honorami, strojny i zbrojny jak książę.

— Ja mam dla ciebie dar — powiedziała Arwena. — Jestem przecież córką Elronda. Nie odjadę z nim, gdy będzie udawał się do Szarej Przystani, ja bowiem

wybrałam tak jak ongi Luthien los słodki i gorzki zarazem. Odstępuję ci moje miejsce, powierniku Pierścienia; gdy wybije twoja godzina, będziesz mógł — jeśli zechcesz — odpłynąć z elfami za Morze. Jeżeli cię będą jeszcze bolały stare rany i zaciąży pamięć tego, coś dźwigał, wolno ci odejść na daleki zachód, po ukojenie bólu i znużenia. A to noś na pamiątkę Kamienia Elfów i Gwiazdy Wieczornej, z którymi cię życie związało.

To mówiąc zawiesiła mu na szyi zdjęty z własnej piersi biały klejnot lśniący na srebrnym łańcuszku jak gwiazda.

— W tym znajdziesz obronę, ilekroć cię nękać będzie wspomnienie strachu i ciemności — rzekła.

Tak jak król zapowiedział, w trzy dni potem przybył Eomer na czele eoredu najznakomitszych rycerzy Rohanu. Powitano go jak przystało, a kiedy wszyscy zasiedli do stołu w Merethrond, w Wielkiej Sali Uczt, i Eomer zobaczył królową Arwenę i panią Galadrielę, zdziwił się bardzo; nim odszedł na swą kwaterę, zawołał krasnoluda Gimlego, by mu rzec:

— Gimli, synu Gloina, czy masz pod ręką swój topór?

— Nie, ale mogę po niego skoczyć, jeśli trzeba — odparł Gimli.

— Zaraz się to okaże! — powiedział Eomer. — Ja bowiem oznajmiam, że nie pani Galadriela jest najpiękniejsza na ziemi.

— W takim razie biegnę po toporek — rzekł Gimli.

— Pozwól, że najpierw spróbuję się usprawiedliwić — powiedział Eomer. — Gdybym ją ujrzał w innym otoczeniu, przyznałbym ci pewnie wszystko, czego byś żądał. Ale dziś oddaję pierwszeństwo królowej Arwenie, Gwieździe Wieczornej, i gotów jestem stanąć na ubitej ziemi przeciw każdemu, kto mi zaprzeczy. Czy mam dobyć miecza?

Gimli uklonił się w pas.

— Jesteś usprawiedliwiony w moich oczach, królu — rzekł. — Wybrałeś Wieczór, gdy ja pokochałem Poranek. Ale serce mi mówi, że ten Poranek wkrótce przeminie.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu na północ i rycerski orszak przygotował się do opuszczenia grodu. Królowie Gondoru i Rohanu udali się do grobów królewskich przy Rath Dinen. Na złotych marach niesiono króla Theodena przez milczące miasto. Złożono zwłoki bohatera na wspinałym wozie; rozwinięto sztandar, jeźdźcy Rohanu otoczyli wóz, a Merry jako giermek Theodena siedział przy nim trzymając miecz i tarczę zmarłego.

Dla innych członków Drużyny przygotowano wierzchowce stosowne do wzrostu; Frodo i Sam jechali u boku Aragorna, Gandalf dosiadł Gryfa, Pippin przyłą-

czył się do rycerstwa Gondoru. Legolasa zaś z Gimlim po dawnemu niósł Arod.

Jechali też w orszaku królowa Arwena, Keleborn i Galadriela z gromadką elfów, Elrond i jego synowie, książęta Dol Amrothu i Ithilien, oraz wielu dowódców i rycerzy. Nigdy jeszcze żaden król Marchii nie miał w podróży takiej świty, jak Theoden, syn Thengla, gdy wracał spocząć w ziemi swych ojców.

Bez pośpiechu, spokojnie minęli Anorien i zatrzymali się pod Szarym Lasem u stóp Amon Din; słyszeli tu wśród gór dudnienie bębnów, lecz nie zobaczyli żywego ducha. Aragorn kazał zadać w trąby; heroldowie zakrzyknęli:

— Słuchajcie! Przybył król Elessar! Oddaje lasy Druadanu w wieczyste władanie Ghanowi-buri-ghanowi i ludowi jego! Noga żadnego człowieka nie postanie odtąd na tej ziemi bez pozwolenia Ghan-buri-ghana i jego ludu!

Bębny zagrały głośniej i umilkły.

Wreszcie po dwóch tygodniach podróży przez zielone stepy Rohanu wóz króla Theodena dotarł do Edoras i tu orszak cały zatrzymał się na dłużej. Złoty Dwór, przystrojony kobiercami, jarzył się od światła; gotów był na uroczystość, jakiej nie pamiętały te mury od dnia, gdy je wzniesiono. W trzy dni później złożono bowiem zwłoki króla Theodena w kamiennym grobowcu wraz ze zbroją, orężem i wielu pięknymi przedmiotami, które mu służyły za życia; usypano nad grobem wysoki kopiec, pokryty darnią i usiany białymi gwiazdkami niezapomnijk. Tak więc osiem Kurhanów wznosiło się teraz po wschodniej stronie Mogilnego Pola.

Jeźdźcy z królewskiej gwardii na białych koniach otoczyli w krąg Kurhan i zaśpiewali pieśń o Theodenie, synu Thengla, którą ułoży królewski bard Gleowin, nigdy już odtąd nie składając innych wierszy. Głębokie głosy jeźdźców poruszyły wszystkie serca, nawet tych, którzy nie rozumieli mowy Rohirrimów; lecz synom Marchii, gdy słuchali tych słów, rozbłysły oczy i zdawało im się, że słyszą tętent koni pędzących z północy i głos Eorla wydającego rozkazy w bitwie na Srebrnym Polu; w pieśni bowiem zawarta była legenda królów, róg Helma echem rozbrzmiewał wśród gór, nadciągały Ciemności, król Theoden zrywał się do boju z Cieniem i Ogniem, ginął w chwale, a słońce, wbrew rozpacz, wracało nad świat i ranek błyszczał nad Mindolluiną.

Po zwątpieniu, po nocy, na spotkanie świtu
Jechał z pieśnią ku słońcu z nagim mieczem w dłoni,
Wskrzesał zmarłą nadzieję i z nadzieją zginął.
Pokonał śmierć i trwogę, i losu wyroki,
A za cenę żywota sławę zdobył wieczną.

Merry u stóp zielonego Kurhanu płakał, a gdy pieśń ucichła, zawołał:

— Królu Theodenie, królu Theodenie! Żegnaj! Byłeś mi ojcem, na krótki czas zwróconym. Żegnaj!

Kiedy skończyły się obrzędy pogrzebowe i ucichł płacz kobiet, Theoden został samotny pod Kurhanem, a lud zgromadził się w Złotym Dworze na wielkie święto, wolny już od żałoby; król Theoden dożył przecież sędziwej starości i poległ chlubnie jak najślawniejsi jego przodkowie. Wedle obyczaju Marchii godziło się po upływie kilku dni uczcić zmarłego pucharem wina. Księżniczka Rohanu, Eowina, w szatach mieniących się złotem słońca i bielą śniegu, podała pierwszy puchar Eomerowi.

Wystąpił bard i kronikarz Rohanu, by wymienić we właściwej kolejności imiona wszystkich władców Marchii: Eorla Młodego, Brega, który wznosił Dwór, Aldora, brata nieszczęśnika Baldora; Frea, Freawina, Goldowina i Deora, Grama i Helma, który się schronił w swej kryjówce wśród Białych Gór, kiedy wróg zagarnął kraj; tych dziewięciu spało snem wiecznym pod Dziewięciu Kurhanami po zachodniej stronie Mogilnego Pola, na Helmie bowiem kończyła się dynastia, a nową rozpoczynał, złożony po wschodniej stronie Frealaf, siostrzeniec Helma, a dalej szli: Brytta, Walda, Folka, Folkwin, Fengel, Thengel i ostatni — Theoden. Gdy padło to imię, Eowina kazała służbie napełnić znów winem puchary, wszyscy wstali i pijąc zdrowie nowego króla krzyknęli:

— Niech żyje Eomer, król Marchii!

Wreszcie pod koniec uroczystości przemówił Eomer:

— Zebraliśmy się na tę ucztę żałobną ku czci króla Theodena, lecz nim się rozjeździemy, chcę wam oznajmić radosną nowinę, wiem bowiem, że zmarły król nie miałby mi tego za złe, kochając siostrę moją Eowinę ojcowską miłością. Wiedźcie tedy, szlachetni goście z Lorien i innych królestw, najdostojniejsi, jakich Dwór ten kiedykolwiek miał zaszczyt witać! Faramir, Namiestnik Gondoru i książę Ithilien, prosił o rękę Eowiny, księżniczki Rohanu. Ona zaś zgodziła się zostać jego żoną. Teraz właśnie w obecności waszej odbędą się ich zaręczyny.

Faramir i Eowina podali sobie ręce, a wszyscy wypili ich zdrowie.

— Tym bardziej się cieszę — rzekł Eomer — że nowe te więzy zacieśnią jeszcze przyjaźń między Marchią a Gondorem.

— Szczodry z ciebie przyjaciel, Eomerze, skoro ofiarowujesz Gondorowi to, co w twoim królestwie najpiękniejsze! — powiedział Aragorn.

Eowina zaś patrząc Aragornowi prosto w oczy rzekła:

— Królu, uzdrowicielu mój, życz mi dziś szczęścia.

— Zawszem co go życzył — odparł — od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. A widok twojej radości uzdrowił moje serce.

Skończyły się święta, a ci, którzy mieli przed sobą dalszą podróż, pożegnali króla Eomera. Gotowali się w drogę Aragorn i rycerze Gondoru, elfy z Lorien

i ród Elronda z Rivendell, lecz Faramir i książę Imrahil zostawali w Edoras. Zostawała też Arwena, Gwiazda Wieczorna, toteż musiała pożegnać się ze swymi braćmi. Nikt nie był świadkiem jej ostatniej rozmowy z ojcem, poszli bowiem we dwoje w góry i tam spędzili długie godziny; gorzkie musiało być dla nich rozstanie, które miało przeciągnąć się do końca i poza koniec świata.

Wreszcie, nim goście ruszyli, Eomer i Eowina przyszli do Meriadoka, by mu rzec:

— Żegnaj, Meriadoku, rycerzy Shire’u i Wielki Podczaszy Marchii! Szczęśliwej drogi! Uradujesz nas, jeśli prędko znów przybędziesz w odwiedziny.

— Dawni królowie obdarzyliby cię za zasługi na polach Mundburga skarbami, których największy wóz by nie pomieścił; ale ty nie chcesz nagrody prócz zbroi, którą nosiłeś tak chlubnie — dodał Eomer. — Muszę się na to zgodzić, skoro nie mam nic, co by godne było ciebie. Siostra moja prosi jednak, abys przyjął ten drobiazg na pamiątkę Dernhelma i muzyki rogów, które w Marchii witają każdy poranek.

Eowina podała hobbitowi starożytny róg, mały, ale misternej roboty, srebrny, na zielonej taśmie; złotnik wyrzeźbił na nim jeźdźców pędzących konno w szeregu, i ten ornament wił się w srebrze od ustnika do wylotu rogu, a wplecione weń były runiczne znaki przynoszące szczęście.

— Róg ten był z dawna w naszym rodzie — powiedziała Eowina. — Wyrzeźbiły go krasnoludy, pochodzi ze skarbcza smoka Skata. Eorl przywiózł go z północy. Kto w potrzebie zadmie w ten róg, porazi strachem serca wrogów, a radością napelni serca przyjaciół, którzy przybiegną zaraz na jego głos.

Merry przyjął róg, takiego bowiem daru nie godziło się odrzucać, i ucałował rękę Eowiny. Raz jeszcze Eomer uściśnął hobbita i na tym się rozstali.

Na odjeźdnym wychylono strzemienne, po czym podróżni ruszyli w stronę Helmowego Jaru, gdzie odpoczywali znów dwa dni. Legolas dotrzymując zawartej z Gimlim umowy zwiedził z nim Błyszczące Pieczary. Wrócił milczący, nie chciał nic opowiadać twierdząc, że tylko Gimli znajduje w tym przypadku odpowiednie słowa.

— Nigdy się jeszcze dotychczas nie zdarzyło, aby krasnolud krasomówstwem przewyższał elfa — rzekł. — Toteż musimy z kolei powędrować do lasów Fangornu, tam pewnie wyrównam rachunek.

Z Zielonej Rostoki skierowali się na Isengard, gdzie gospodarowali teraz entowie. Zburzyli i usunęli kamienny krąg, kotlinę całą zamienili w ogród zielony od sadów i lasu, przecięty strumieniem. Pośrodku jaśniało wszakże jezioro, a z niego wyrastała Wieża Orthank, wciąż jeszcze wyniosła i niezdobyta, a czarne jej ściany przeglądały się w lustrze wody.

Wędrowcy odpoczywali chwilę w miejscu, gdzie przedtem stała Brama Isengardu, dziś natomiast dwa smukłe drzewa strzegły wejścia na zieloną ścieżkę wiodącą do Orthanku. Podziwiali dokonane tu prace, tym bardziej zdumiewające, że

przez czas dłuższy nie było widać nigdzie ani żywej duszy. Wreszcie doszło ich uszu znajome chrząkanie: „Hm, hm” i na ścieżce ukazał się Drzewiec w towarzystwie Żwawca spieszący na powitanie gości.

— Witajcie w Ogrodzie Orthanku! — rzekł. — Wiedziałem, że przyjdziecie, ale miałem robotę dalej w dolinie. Dużo jest jeszcze tutaj roboty! Wy też nie próżnowaliście w dalekich krajach na południu i wschodzie, jak słyszałem; same dobre rzeczy o was słyszałem, tak, tak!

Chwalił ich czyny, o których, jak się okazało, wiedział wszystko, a w końcu urwał i zatrzymał wzrok na twarzy Gandalfa.

— A ty co powiesz? — spytał. — Dowiodłeś, że jesteś mocniejszy od innych, i wszystko, co zamierzałeś, udało ci się dokonać. Dokąd się teraz wybierasz? I po co tutaj przybyłeś?

— Żeby zobaczyć, jak sobie radzicie, przyjacielu — odparł Gandalf — i żeby podziękować wam za pomoc.

— Hm, słusznie, enty zrobiły, co do nich należało — powiedział Drzewiec. — Rozprawiliśmy się nie tylko z tym tu... hm... przeklętym mordercą drzew, ale także z całą bandą burarum, szpetnookich-czarnorękich-krzywonogich-cuchnących i krwiożerczych morimaitesinkahonda... hm... No tak, cała nazwa tych wstrętnych orków byłaby dla uszu waszych pochopnych plemion za długa, nie moglibyście jej zapamiętać. Przyszli bandą z północy okrążając las Laurelindorenan, bo tam nie zdołali się wdrzeć dzięki potędze Wielkich Osób, które tu mam zaszczyt oglądać. — To mówiąc skłonił się przed Kelebornem i Galadriellą, władcami Lorien, po czym ciągnął dalej. — Podli orkowie bardzo się zdziwili spotykając nas tutaj, bo nigdy jeszcze nie słyszeli o entach, chociaż co prawda wiele przyzwoitszych stworzeń także nie wie nic o nas. I niewielu orków będzie nas pamiętać, bo mało kto z tej bandy ocalał, większość ich połknęła Rzeka. Wasze szczęście, bo żeby na nas się nie natknęli, król stepów niedaleko by zajechał, a w każdym razie nie miałby już po co do swego domu wracać.

— Wiemy o tym — rzekł Aragorn — i nigdy nie zapomnimy w Minas Tirith ani w Edoras.

— „Nigdy” to za długo nawet dla mnie — odparł Drzewiec. — Chciałeś powiedzieć: póki wasze królestwa przetrwają. Będą musiały trwać długo, żeby entom wydał się ten czas naprawdę długi.

— Zaczyna się Nowa Era — powiedział Gandalf — i może się okazać, że królestwa człowieka przetrwają nawet ciebie, przyjacielu Fangornie. Ale teraz powiedz, jak się wywiązałeś z zadania, które ci wyznaczyłem. Co się dzieje z Sarumanem? Czy jeszcze mu się nie znudził Orthank? Bo nie sądzę, żeby go bawił widok, który urządziłeś pod jego oknami.

Drzewiec rzucił Gandalfowi przeciągłe spojrzenie, prawie chytre — jak stwierdził Merry.

— Ha! — powiedział. — Spodziewałem się tych pytań od ciebie. Czy mu się

znudził Orthank? Bardzo, ale nie tak bardzo jak mój głos. Hm... Opowiedziałem mu kilka dość długich historii, przynajmniej dość długich wedle waszych pojęć.

— Dlaczego więc słuchał? Czyś go odwiedzał w Wieży? — spytał Gandalf.

— Hm, nie, ja do Wieży nie wchodziłem, ale on stał w oknie i słuchał, bo innym sposobem nie mógłby się dowiedzieć żadnych nowin, a chociaż te nowiny były mu niemiłe, chciwie na nie czekał. Już ja dopilnowałem, żeby go nie ominęły co weselsze. I od siebie sporo dodawałem takich rzeczy, które uważałem, że wyjdą mu na zdrowie, jak się nad nimi zastanowi. Znudził się z czasem. Zawsze był zanadto pochopny. To go właśnie zgubiło.

— Spostrzegam, kochany Fangornie, że wciąż mówisz: „słuchał”, „znudził się”, „był”. Ani razu nie powiedziałeś: „jest”. Czyżby umarł?

— Hm, nie, nie umarł, o ile mi wiadomo. Ale się stąd wyniósł. Tak, poszedł sobie. Wypuściłem go. Zresztą niewiele z niego zostało, jak zobaczyłem, kiedy z Wieży wylazł, a ten gad, który mu dotrzymywał towarzystwa, wyglądał po prostu jak cień. Proszę cię, Gandalfie, nie mów, że obiecałem go pilnować, bo sam pamiętam to dobrze. Ale wiele się od tego czasu zmieniło. Trzymałem go tutaj, póki groziło, że może nam zaszkodzić. Powinieneś wiedzieć, że nie cierpię więzić żywych istot i nawet takiego podłego stwora nie mogłem więzić w klatce dłużej, niż to było konieczne. Nawet żmiję, gdy jej wyrwano jadowite zęby, można wypuścić na wolność, niech pełza, gdzie jej się podoba.

— Może masz rację — odparł Gandalf — ale tej żmii został, jak mi się zdaje, jeszcze jeden ząb. Trucizna była w jego głosie, myślę, że nawet ciebie umiał nim zbałamucić, znając słabą stronę twego serca. Ale trudno, stało się, nie będziemy więcej o tym mówili. Wieża Orthank jednak wraca teraz we władanie króla, do którego z prawa należy. Jakkolwiek pewnie mu nie będzie potrzebna... .

— Czas to okaże — powiedział Aragorn. — Całą tę dolinę oddaję w każdym razie entom, niech gospodarują wedle swej woli, byle strzegli Wieży i nie wpuścili tam nikogo bez mego pozwolenia.

— Jest zamknięta — rzekł Drzewiec. — Kazałem Sarumanowi zamknąć i oddać klucze. Żwawiec je przechowuje.

Żwawiec skłonił się jak drzewo przygięte wiatrem, wręczając Aragornowi dwa wielkie czarne klucze wycięte w zawiłe kształty i połączone stalowym kółkiem.

— Jeszcze raz dziękuję wam — powiedział Aragorn. — Tymczasem żegnajcie! Oby las rósł znowu w spokoju. Gdyby wam w dolinie zrobiło się kiedyś ciasno, jest dość miejsca na zachód od gór, gdzie mieszkali niegdyś entowie.

Drzewiec posmutniał.

— Lasy pewnie się rozrosną — rzekł. — Ale entowie się nie rozrodzą. Nie ma już małych enciāt.

— Może jednak teraz będziecie mogli wznowić poszukiwania z większą nadzieją — powiedział Aragorn. — Otworzy się przed wami różne krainy na wschodzie, które dotychczas były niedostępne.

— Za daleka droga! — odparł Drzewiec potrząsając głową. — I za wiele mieszka dziś wszędzie ludzi... Ale ja tu gadam i zaniedbuję obowiązki grzeczności. Czy zechcecie łaskawie gościć u nas dłużej? A może ktoś z was chciałby przejść przez Fangorn i skrócić sobie w ten sposób drogę do domu?

Pytając spoglądał na Keleborna i Galadrielę, wszyscy jednak oświadczyli, że muszą niestety pożegnać się i bez zwłoki ruszać dalej na południe lub na zachód. Tylko Legolas zakrzyknął:

— Słyszysz, Gimli? Za pozwoleniem samego Fangorna możemy obaj zapuścić się w głąb jego lasów; zobaczymy drzewa, jakich nigdzie indziej nie ma w Śródziemiu. Dotrzymasz chyba umowy i pójdziesz ze mną? Będziemy razem wędrowali aż do naszych ojczystych krajów, do Mrocznej Puszczy i poza nią.

Gimli zgodził się, lecz bez wielkiego, jak się zdawało, zapału.

— Tak w końcu rozwiązuje się ostatecznie Drużyna Pierścienia — powiedział Aragorn. — Ale mam nadzieję, że wkrótce zobaczę was w moim kraju. Obiecaliście przecież pomóc w odbudowie.

— Przyjdziemy, jeśli nasi władcy nam pozwolą — odparł Gimli. — No, żegnajcie, hobbici! Teraz chyba zawędrujecie bez przygód do domu; nareszcie będę mógł spać spokojnie zamiast martwić się o was. Przy pierwszej okazji przyślę wam słówko, a myślę, że będziemy się od czasu do czasu widywali. Ale obawiam się, że cała kompania już się nigdy nie zgromadzi.

Drzewiec pożegnał każdego z osobna, a przed Kelebornem i Galadrielą trzy razy kiwnął się z wolna w pokłonie z wielkim szacunkiem.

— Dawno, dawno to było, kiedy się poznaliśmy u korzeni i u fundamentów — powiedział. — A vanimar, vanimalion nostari! Smutno, że spotykamy się po raz drugi dopiero teraz, kiedy wszystko się kończy. Bo świat się zmienia. Czuję to w smaku wody i ziemi, i powietrza. Nie mam nadziei, żebyśmy się jeszcze kiedyś mogli zobaczyć.

— Nie wiem, co ci odpowiedzieć, Najstarszy! — rzekł Keleborn.

— Nie spotkamy się w Śródziemiu — powiedziała Galadriela — dopóki ziemia, którą nakryły fale, nie wydzwignie się znowu. Wtedy może się spotkamy wiosną pod wierzbami na łąkach Tasarinan. Żegnaj, Najstarszy!

Ostatni żegnali się z Drzewcem Merry i Pippin. Stary ent poweselał patrząc na nich.

— No i co, weseli ludkowie, czy nie napijecie się ze mną na pożegnanie? — spytał.

— Bardzo chętnie! — zawołali.

Drzewiec zaprowadził ich parę kroków w bok, gdzie w cieniu drzew stał ogromny kamienny dzban. Napełnił trzy kubki i pili wszyscy trzej; hobbici zauważyli, że ent znad swego kubka przygląda się im bacznie swoimi dziwnymi

oczyma.

— Uważajcie, uważajcie! — powiedział. — Bardzo już urosliście od ostatniego spotkania.

Śmiejąc się wychylili napój do dna.

— Do widzenia! Nie zapominajcie przysłać mi słówka, gdybyście w waszej ojczyźnie usłyszeli coś o żonach entowych — powiedział Drzewiec. Machał wielkimi rękami na pożegnanie kompanii, kiedy ruszyła w drogę, a potem zawrócił i zniknął między drzewami.

Jechali jeszcze szybciej zmierzając ku Bramie Rohanu. Aragorn pożegnał się z nimi wreszcie opodal miejsca, w którym ongi Pippin zajrzał w kryształ Orthanku. Hobbitów zasmucało rozstanie. Aragorn przecież nigdy ich nie zawiódł w żadnej potrzebie i pod jego przewodem wyszli cało z wielu niebezpieczeństw.

— Chciałbym mieć taki kryształ, w którym można widzieć wszystkich przyjaciół — rzekł Pippin. — Chciałbym znać sposób, żeby z wszystkimi rozmawiać choćby z daleka.

— Jeden tylko został teraz kryształ, którego mógłbyś używać — odparł Aragorn. — Tego bowiem, co pokazałby ci kryształ z Minas Tirith, z pewnością wolałbyś nie oglądać. Lecz palantir Orthanku zatrzyma sam król, żeby wiedzieć wszystko, co dzieje się w jego państwie i co robią jego podwładni. Pamiętaj, Peregrinie, że pasowano cię na rycerza Gondoru, a ja nie myślę zwalniać cię ze służby. Puszczam cię na urlop, ale mogę wezwać cię wkrótce znowu. Pamiętajcie też, przyjaciele z Shire'u, że królestwo moje obejmuje również północ; któregoś dnia przybędę tam z pewnością.

Z kolei Aragorn pożegnał się z Kelebornem i Galadriela.

— Kamieniu Elfów! — powiedziała pani z Lorien. — Przez Ciemności doszedłeś do ziszczenia nadziei i masz dziś wszystko, czego pragnąłeś. Użyj jak najlepiej danych ci dni!

— Żegnaj, krewniaku — rzekł Keleborn. — Oby los był łaskawszy dla ciebie niż dla mnie! Obyś skarb swój zachował do końca!

Z tym się rozstali. Słońce właśnie zachodziło i gdy hobbici po chwili odwrócili się, ujrzeli króla na koniu, pośród rycerzy; w blasku zachodu zbroje świeciły jak czerwone złoto, a biały płaszcz Aragorna zdawał się płomieniem. Król podniósł w górę swój zielony klejnot i szmaragdowy ogień roziskrzył mu się w ręku.

Uszczuplona gromadka wkrótce stanęła nad Iseną, przepравиła się na drugi brzeg, gdzie ciągnęły się rozległe pustkowia, i skracając ku północy, posuwała się wzdłuż granic Dunlandu. Mieszkańcy tutejsi uciekali kryjąc się przed nimi, bardzo bowiem lękali się elfów, chociaż elfy rzadko odwiedzały ich kraje. Wędrowcy

natomiast nie bali się Dunlandczyków; byli przecież w dość jeszcze licznej kompanii i zaopatrzeni dobrze. Jechali więc swobodnie, rozbijając namioty, gdzie im się podobało. Tymczasem lato upływało. Za Dunlandem znaleźli się w krainie bezludnej, gdzie nawet zwierza lub ptaka rzadko się widywało, i jechali przez las schodzący tu ze wzgórz u podnóży Gór Mglistych, które mieli teraz wciąż po prawej ręce. Wydostając się z lasu znowu na otwartą przestrzeń, dogonili starca wspierającego się na lasce i odzianego w łachmany brudnobiałej barwy; trop w trop za nim włókł się drugi żebrak, zgarbiony i pochlipujący.

— Dokąd to, Sarumanie? — spytał Gandalf.

— Co ci do tego? — odparł starzec. — Czy chcesz nadal mi rozkazywać? Czy nie dość ci mojej klęski?

— Znasz z góry odpowiedź na wszystkie trzy pytania: nic, nie i nie! Ale czas moich trudów dobiega końca. Brzemie z mych barków przejął król. Gdybyś był poczekał w Orthanku, ujrzałbyś go i przekonał się o jego mądrości i miłosierdziu.

— Tym bardziej cieszę się, że nie czekałem — rzekł Saruman — bo nie chcę mu nic zawdzięczać. Jeśli chcesz znać odpowiedź na swoje pierwsze pytanie, i wiedz, że szukam wyjścia poza granice jego królestwa.

— W takim razie znowu obrałeś złą drogę — odparł Gandalf. — na tej bowiem nie widzę dla ciebie nadziei. Czy wzgardzisz naszą pomocą? Bo ofiarujemy ci pomoc.

— Mnie? — rzekł Saruman. — Nie, nie uśmiechaj się do mnie. Wolę już, kiedy marszczysz czoło. A co do pani, którą widzę w waszym gronie, to nie ufam jej; zawsze nienawidziła mnie i spiskowała na twoją korzyść. Pewnie umyślnie sprowadziła cię na tę drogę, żeby naigrywać się z mojej nędzy. Gdyby mnie przestrzeżono o tym pościgu, postarałbym się nie dostarczyć wam tej przyjemności.

— Sarumanie — powiedziała Galadriela — mamy inne zadania i inne troski, pilniejsze w naszych oczach niż tropienie ciebie. Powinieneś cieszyć się, że nas spotkałeś. To uśmiech szczęścia, ostatnia twoja szansa.

— Będę się cieszył, jeśli naprawdę okaże się ostatnią — odparł Saruman — abym nie musiał drugi raz trudzić się odrzucaniem jej. Moja nadzieja runęła. Ale nie chcę dzielić waszej. Jeśli ją macie... — Oczy rozbłyły mu na chwilę. — Tak! Nie na próżno ślęczałem tyle lat nad tajemnymi księgami. Wiem, że wy też jesteście skazani na zagładę. Wy także o tym wiecie. Będzie to pewną pociechą dla tułacza, że niszcząc mój dom, zburzyliście także swój własny. Jakiż statek ponieś sie was z powrotem przez tak wielkie Morze? — spytał szyderczo. — Ach, szary statek pełen widm — zaśmiał się, ale głos jego skrzeczał szkaradnie. — Wstawaj, głupcze! — krzyknął na drugiego żebraka, który przysiadł na ziemi, i uderzył go laską. — Zawracaj! Jeśli ci szlachetni państwo idą naszą drogą, my obierzemy inną. Ruszaj się, a żywo, bo nie dostaniesz nawet ochłapów na wieczkę.

Żebrak odwrócił się i powlókł chlipiąc:

— Biedy stary Grima! Biedny stary Grima! Stale bity i lżony. Jak ja go niena-

widzę! Och, żebym mógł go porzucić!

— A więc porzuć go! — rzekł Gandalf.

Smoczy Język rzucił tylko na Gandalfa spojrzenie swych spłoszonych, wyblakłych oczu, i pokuszył co prędzej za Sarumanem. Kiedy para nieszczęśników, mijając orszak podróżnych, znalazła się przy hobbitach, Saruman zatrzymał się i popatrzał na nich, lecz spotkał ich wzrok pełen litości.

— A więc wy także przyszliście tutaj, żeby się napatrzyć mojej nędzy? — powiedział. — Nie obchodzi was, że cierpię niedostatek, co? Wam za to nie brak niczego, jadła, pięknych strojów i najlepszego ziele do fajek. tak, tak, wiem wszystko. Wiem, skąd je macie. Nie dalibyście żebrakowi choć garsteczki?

— Dałbym, gdybym miał — rzekł Frodo.

— Oddam ci resztkę, którą mam jeszcze — powiedział Merry — jeśli chwile poczekasz. — Zszedł z konia i zaczął szperać w podróżnym worku przytroczonym do siodła. Wreszcie podał Sarumanowi skórzaną sakiewkę. — Bierz! daję ci chętnie, bo to część zdobyczy wyłowionej z powodzi Isengardu.

— Moja własność i drogo nabyta! — krzyknął Saruman chwytając łapczywie sakiewkę. — Ale to tylko symboliczne odszkodowanie, wzięłeś z pewnością dużo więcej. No cóż, żebrak musi być wdzięczny, jeśli złodziej zwraca mu bodaj część zrabowanej własności. Będiesz się miał z pyszna, kiedy po powrocie do swego kraju zobaczysz, że w Południowej Ćwiartce nie wszystko wygląda tak, jak byś sobie życzył. Przez długie lata niełatwo będzie w Shire o fajkowe liście.

— Dziękuję za dobre słowo — odparł Merry. — W takim razie oddaj mi sakiewkę, która nigdy do ciebie nie należała i od dawna ze mną wędruje. Zawin sobie liście we własne szmaty.

— Za kradzież wypada płacić kradzieżą — powiedział Saruman i odwracając się do Meriadoka plecami, przynaglił swego niewolnika kopniakiem, po czym obaj oddalili się w stronę lasu.

— Coś podobnego! — prychnął Pippin. — Kradzież! Jakby nam się nie należała odpłata za porwanie i wleczenie wśród orków przez stepy Rohanu!

— Łajdak — rzekł Sam. — Co on mówił, że nabył drogo to ziele? jakim sposobem, ciekaw jestem. bardzo mi się też nie spodobała ta wzmianka o Południowej Ćwiartce. Czas, żebyśmy znaleźli się już w kraju.

— Racja — przyznał Frodo. — Ale nie można skrócić drogi, jeśli mam zobaczyć się z Bilbem. Cokolwiek się zdarzy, najpierw muszę wstąpić do Rivendell.

— Tak, sądzę, że tak powinieneś postąpić — rzekł Gandalf. — Nieszczęsny ten Saruman! Obawiam się, że nie da się już nic dla niego zrobić. I mimo wszystko ten nikczemnik może jeszcze wyrządzić jakieś szkody, choćby pomniejsze, ale dotkliwe.

Następnego dnia wkroczyli do północnego Dunlandu; nikt tam teraz nie

mieszkał, choć kraina była zielona i pełna uroku. Wrzesień zaczął się złotymi dniami i srebrnymi nocami. Wreszcie pewnego pięknego poranka, gdy słońce wzbiło się nad roziskrzane mgły, wędrowcy spoglądając ze swego obozu, rozbitego na niewysokim wzgórzu, zobaczyli na wschodzie trzy szczyty, które wystrzeliły w niebo poprzez żeglujące nisko obłoki: Karaghras, Kelebdil i Fanuidhol. Byli więc już w pobliżu wejścia do Morii.

Zostali tu przez cały tydzień, zbliżała się bowiem godzina nowego rozstania, przed którym wzdrygały się serca. Wkrótce Keleborn i Galadriela, wraz ze swą swiłą, mieli skrócić na zachód i przez Przełęcz Czerwonego Rogu, a dalej Schodami Dimrilla zejść nad Srebrną Żyłę, dążąc do własnego kraju. Nadłożyli sporo drogi, ponieważ mieli sobie wiele do opowiedzenia z Gandalfem i Elrondem; nawet teraz ociągali się jeszcze, spędzając dni na rozmowach z przyjaciółmi. Często do późna w noc, gdy hobbici spali już smacznie, tamci czuwali pod gwiazdami wspominając dawne, minione czasy, wszystkie swoje trudy i radości, albo też naradzając się nad przyszłością nowego wieku. Przechodzień, który by ich przypadkiem zaskoczył, niewiele by zobaczył i usłyszał; wydaliłyby mu się szarymi postaciami wykutymi w kamieniu, pomnikami zapomnianych spraw, porzuconymi w wyludnionej już krainie. Nie uciekali się bowiem w rozmowie do gestów ani słów, lecz czytali wzajem w swych umysłach, tylko błyszczące oczy poruszały się i rozbłyskiwały do wtóru przepływających myśli.

W końcu wszystko zostało powiedziane i pożegnali się na razie, obiecując sobie spotkanie, gdy przyjdzie czas, aby Trzy Pierścienie odeszły z Śródziemia. Elfy z Lorien w swych szarych płaszczach znikły szybko wśród głązów kierując się ku góróm. Reszta kompanii, która miała stąd ruszyć do Rivendell, patrzyła za oddalającymi się ze wzgórza, dopóki w oddali nie ujrzeli we mgle krótkiej błyskawicy, po czym wszystko zginęło im sprzed oczu. Frodo zrozumiał, że Galadriela na pożegnanie błysnęła podniesionym pierścieniem.

— Szkoda, że nie mogę wrócić do Lorien — westchnął Sam.

W końcu pewnego wieczora dotarli na krawędź porostej wrzosem wyżyny i nagle — jak zwykle wydawało się podróżnym — ukazała się u ich stóp głęboka Dolina Rivendell i daleko w dole świecące latarnie domu Elronda. Zeszli w dolinę, przeprawili się mostem za rzekę i stanęli u drzwi, a wtedy cały dom rozbłysnął światłami i rozdzwiewał pieśnią, witając radośnie powrót Elronda.

Hobbici zanim umyli się i posilili, w płaszczach jeszcze, pobiegli szukać Bilba. Zastali go samotnego w jego pokoiku, zasypanym kartkami papieru, piórkami i ołówkami. Bilbo siedział w fotelu przed małym, wesoło trzaskającym na kominie ogniem. Zdawał się bardzo stary, ale spokojny i senny. Kiedy weszli, otworzył oczy i odwrócił głowę.

— Witajcie! — powiedział. — A więc jesteście z powrotem. Jutro moje uro-

dziny. Trafiliście doskonale. Czy wiele, że kończę sto dwadzieścia dziewięć lat? Za rok, jeśli pożyję, dorównam staremu Tukowi. Chciałbym go prześcignąć, ale zobaczymy.

Po uroczystościach urodzinowych czterej hobbiti zostali jeszcze w Rivendell kilka dni, przesiadując dużo ze starym przyjacielem, który prawie cały czas spędzał w swoim pokoiku, wychodząc tylko na wspólne posiłki do jadalni. W tych bowiem sprawach nadal przestrzegał punktualności i rzadko się zdarzało, by przespał godzinę śniadania lub obiadu. Siedząc z nim przy kominku opowiedzieli mu kolejno wszystko, co zapamiętali ze swoich wędrówek i przygód. Z początku Bilbo próbował niby notować, lecz usypiał często, a budząc się mówił: „Jak to wspa- niale! Jak to cudownie! Na czym to stanęliśmy?” Wtedy musieli zaczynać swoje historie znów od miejsca, przy którym staruszek się zdrzemnął. Naprawdę wzru- szył go i zainteresował najżywiej jedynie opis koronacji i zaślubin Aragorna.

— Byłem oczywiście zaproszony na wesele — powiedział. — Czekałem prze- cież na nie tyle lat! Ale gdy wreszcie do tego przyszło, jakoś nie mogłem się wy- brać; mam tutaj moc roboty, zresztą z pakowaniem rzeczy zawsze jest okropny kłopot.

Tak minęły dwa tygodnie, aż któregoś ranka Frodo spojrzawszy przez okno stwierdził, że nocą spadł szron i pajęczyny babiego lata zmieniły się w siatkę bieli. nagle uświadomił sobie, że pora ruszać w drogę i pożegnać Bilba. Pogoda wciąż jeszcze trzymała się spokojna i piękna po najpiękniejszym lecie za pamięci ludzkiej. Ale nastał już październik, można było spodziewać się lada dzień słyty i wichrów. A czekała Froda podróż daleka. W gruncie rzeczy jednak nie lęk przed zmianą pogody skłaniał hobbita do pośpiechu. Frodo czuł, że powinien wracać już do Shire’u. sam podzielał to zdanie. Właśnie poprzedniego wieczora powiedział:

— Byliśmy daleko i widzieliśmy wiele, a mimo to jakoś nie znaleźliśmy na świecie lepszego miejsca niż Rivendell. Nie wiem, proszę pana, czy dobrze się wyrażam, ale tutaj wydaje się, że odnajdujemy po trosze i Shire, i Złoty Las, i Gondor, i królewski dwór, i gospody przydrożne, i łąki — wszystko naraz. A jed- nak czuję, nie wiem dlaczego, że trzeba wkrótce stąd wyruszyć. Jeśli mam być szczerzy, powiem panu, że niepokoję się o Dziadunia.

— Masz rację, samie, tutaj wszystkiego jest po trosze, oprócz Morza — odparł Frodo. I powtórzył jakby do siebie: — Oprócz Morza.

Tego dnia Frodo porozmawiał z Elrondem i postanowiono, że hobbiti wyruszą nazajutrz. Ku ich radości Gandalf oznajmił:

— Jadę z wami. Przynajmniej aż do Bree. mam interes do Butterbura.

Wieczorem poszli do Bilba, żeby się z nim pożegnać.

— No cóż, jeśli tak trzeba, to nie ma rady — rzekł Bilbo. — Szkoda. Będzie mi was brakowało. Przyjemnie było wiedzieć, że jesteście w pobliżu. Ale teraz bardzo mi się chce spać.

Podarował Frodowi swoją mithrilową kolczugę i Żądło, zapomniawszy, że mu

już raz te rzeczy dał; ofiarował też siostrzeńcowi kilka książek, poświęconych wiedzy i historii, a napisanych jego ręką cienkimi pajęczymi literami w różnych okresach życia, tomy oprawne w czerwone okładki i opatrzone wyjaśnieniem: „Przełożył z języka elfów Bilbo Baggins”. Samowi wręczył niedużą sakiewkę pełną złota.

— To już ostatki zdobyczy ze skarbcza Smauga — rzekł. — Przyda ci się, zwłaszcza jeśli zechcesz się ożenić, Samie.

Sam zaczerwienił się po uszy.

— Wam, młodzi przyjaciele, nic nie mam do ofiarowania prócz dobrej rady — powiedział Bilbo do Meriadoka i Pippina. A na zakończenie krótkiego kazanka dorzucił żarcik w stylu mówców Shire’u: — Uważajcie, żeby wam głowy nie wyrosły z kapeluszy. Jeśli nie przestaniecie rosnać w tym tempie, wkrótce kapelusze i ubrania będą za drogie na waszą kieszeń.

— Jeśli ty chcesz pobić wiekiem starego Tuka, czemuż my nie mielibyśmy przerosnąć Bullroarera? — spytał Pippin.

Bilbo roześmiał się i wyciągnął z kieszeni dwie piękne fajki; miały ustniki z masy perłowej, okute misternie rzeźbionym srebrem.

— Myślcie o starym Bilbie pykając z tych fajek — rzekł. — Zrobiły je dla mnie elfy, ale ja już nie palę. — Nagle głowa mu się kiwnęła i na chwilę zasnął. Gdy się ocknął, powiedział: — na czym to stanęliśmy? Aha, rozdawałem prezenty. To mi coś przypomina. . . Słuchaj no, Frodo, gdzie podział się ten Pierścień, który ci kiedyś dałem?

— Zgubiłem go, Bilbo kochany — odparł Frodo. — Widzisz, pozbyłem się go.

— Co za szkoda! — westchnął Bilbo. — Chętnie bym go znów zobaczył. Ale nie, głupstwa plotę! Przecież właśnie po to wyruszyłeś w podróż, prawda? Żeby się go pozbyć. Trudno się połapać, tyle różnych spraw z tym się łączy, zadanie Aragorna i Biała Rada, i Gondor, i jeźdźcy, i południowcy, i olifanty. . . Naprawdę widziałeś je, Samie? . . . i pieczary, i wieże, i złote drzewa, i. . . kto by tam spał! Wszystko! Teraz widzę, że zbyt prostą drogą wróciłem ongi z mojej wyprawy. Szkoda, że Gandalf nie pokazał mi wtedy więcej świata. Tylko że w takim razie spóźniłbym się na licytację mojego domu i miałbym z tym jeszcze gorsze kłopoty. No, dziś już i tak za późno; zresztą uważam, że znacznie wygodniej siedzieć tutaj i słuchać o tych różnych dziwach. Po pierwsze, bardzo tu przytulnie, a po drugie, elfy są na każde zawołanie pod ręką. Czegóż więcej pragnąć?

Droga wybiegła hen, gdzieś w dal,
Za drzwiami się zaczyna tuż,
Daleko zaszła droga ta.
Kto może, niech ją goni już!
Niech w podróż nową puszcza się,

Lecz ja zdrożone nogi mam,
Światło gospody wzywa mnie,
Prześpię się i wypocznę tam.

Szepcząc ostatnie słowa piosenki, Bilbo zwiesił głowę na piersi i zasnął.

Mrok wieczorny zgęstniał w pokoju, ogień na kominku rozpałił się jaśniej, przyjaciele patrzyli na śpiącego Bilba; stary hobbit uśmiechał się przez sen. Czas jakiś siedzieli w milczeniu, wreszcie Sam rozejrzał się wkoło, na cienie tańczące po ścianach, i zwracając się do Froda powiedział z cicha:

— Coś mi się zdaje, proszę pana, że pan Bilbo niewiele napisał przez czas naszej nieobecności. Chyba już nie napisze naszej historii.

Bilbo otworzył oczy, jak gdyby usłyszał tę uwagę. Wstał.

— No, widzicie, znowu mi się chce spać — powiedział. — Jeżeli mam czas na pisanie, lubię naprawdę tylko układać wiersze. Chciałem się zapytać, czy bardzo wielki sprawiłoby ci kłopot, mój Frodo kochany, gdybyś trochę uporządkował moje papiery, zanim odjedziesz? To znaczy, gdybyś pozbierał zapiski i luźne kartki i zabrał je z sobą. Rozumie się, jeśli masz ochotę. Widzisz, ja już nie mam dość czasu, żeby wybrać co trzeba i skomponować, i tak dalej. Sam mógłby ci pomóc, a jak to wszystko jakoś uładysz, przywieziesz mi do przejrzenia. Obiecuję, że nie będę krytykował zbyt surowo.

— Oczywiście, zrobię to chętnie — odparł Frodo. — Oczywiście, przyjadę wkrótce znowu, teraz podróż nie grozi już niebezpieczeństwami. Mamy przecież nowego króla, już on zaprowadzi spokój i porządek na drogach.

— Dziękuję ci, mój drogi — powiedział Bilbo. — Zdejmujesz wielki ciężar z mego serca.

I Bilbo znów zasnął głęboko.

Nazajutrz Gandalf i hobbici pożegnali Bilba raz jeszcze, wstąpiwszy do jego pokoiku, bo na dworze za zimno było dla staruszka. Potem pożegnali Elronda i domowników.

Gdy Frodo stanął w progu, Elrond życząc mu szczęśliwej podróży rzekł:

— Myślę, że nie będziesz miał po co wracać tutaj, jeśli bardzo się z tym nie pospieszysz. Mniej więcej o tej porze za rok, kiedy liście ozłocą się, nim opadną, czekaj na Bilba w lasach Shire'u. Ja będę z nim także.

Nikt inny tych słów nie słyszał, a Frodo z nikim się nimi nie podzielił.

ROZDZIAŁ XVII

Do domu!

Teraz wreszcie jechali prosto do domu. Pilno im było zobaczyć znowu Shire, ale z początku posuwali się dość wolno, bo Frodo czuł się nieswój. Gdy przybyli do Brodu Bruinen, zatrzymał całą kompanię i najwyraźniej wzdragał się przed wejściem w wodę. Przyjaciele zauważyli, że przez chwilę wzrok miał nieprzytomny, jakby nie widział ich i całego otoczenia. Do wieczora milczał potem. Był to dzień szósty października.

— Czy ci coś dolega? — spytał Gandalf z cicha, przysuwając się z koniem do Froda.

— Tak — odparł Frodo. — Ramię. Stara rana boli, a wspomnienie Ciemności ciąży na sercu. Dziś właśnie rocznica.

— Niestety, są rany, które nigdy się całkowicie nie goją — powiedział Gandalf.

— Obawiam się, że moja rana do takich należy — odparł Frodo. — Nie ma w gruncie rzeczy powrotu. Może nawet dojadę do Shire’u, ale nic już nie będzie takie, jak dawniej, bo ja jestem inny. Skaleczyły mnie sztylet, jadowite żądło, ostre zęby, długo dźwigane brzemie. Gdzie znajdę spoczynek?

Gandalf nie odpowiedział.

Pod wieczór następnego dnia ustał ból i minął niepokój, Frodo znów poweselał, jak gdyby nie pamiętał o czarnych myślach poprzedniego ranka. Odtąd jechali bez przygód, a dni płynęły szybko; wędrowali swobodnie, często odpoczywając w pięknych lasach, gdzie drzewa w jesiennym słońcu mieniły się czerwienią i złotem. W końcu znaleźli się pod Wichrowym Czubem. Zapadł zmierzch, gęsty cień leżał na drodze. Frodo poprosił przyjaciół o popędzenie koni i nie chciał spojrzeć w górę, lecz cień jej przekroczył ze spuszczoną głową, zatulając się szczelniej w płaszcz. W nocy pogoda się zmieniła, wiatr od zachodu przyniósł deszcz, dął ostry i zimny, a żółte liście wirowały jak ptactwo w powietrzu. Gdy dotarli do Zalesia, drzewa stały już niemal nagie, a wielka kurtyna deszczu przesłaniała im

widok na wzgórze Bree.

Tak więc przed wieczorem wietrznego i dżdżystego dnia pod koniec października pięciu podróżnych wjechało w końcu stromą drogą na wzgórze i stanęło u południowej bramy miasteczka Bree. Brama była zamknięta na cztery spusty, deszcz chłostał ich twarze, po ciemnym niebie pędziły chmury, a serca wędrowców ścisnęły się zawiedzione, bo spodziewali się bardziej przyjaznego przyjęcia.

Po wielokrotnych nawoływaniach zjawił się wreszcie odźwierny. W rękę miał grubą pałkę. Popatrzył na gości lękliwie i nieufnie, ale gdy dostrzegł między nimi Gandalfa i w jego towarzyszach poznał, mimo dziwnych strojów i zbroi, hobbitów, rozburmotał czoło i przywitał ich życzliwie.

— Wjeżdżajcie! — powiedział otwierając bramę. — trudno gawędzić tutaj, na deszczu i zimnie w tę okropną noc, ale stary Barley z pewnością przyjmie was serdecznie „Pod Rozbrykanym Kucykiem”, a tam dowiecie się wszystkich nowin.

— A ty potem dowiesz się z pewnością wszystkich nowin, które my wieziemy — zaśmiał się Gandalf. — Jak się miewa Harry?

Odźwierny skrzywił się wyraźnie.

— Nie ma go — odparł. — Spytaj o niego Barlimana. Dobranoc!

— Dobranoc! — odpowiedzieli i pojechali dalej; spostrzegli, że za żywopłotem przy drodze wyrósł długi niski budynek i że zza ściany krzewów śledzą ich oczy wielu mężczyzn. Koło zagrody Billa Ferny żywopłot był nie strzyżony i zachwaszczony, okna zaś domu zabite deskami.

— Może tyś go wtedy zabił jabłkami, Samie — powiedział Pippin.

— Na tyle szczęścia nie liczę — odparł Sam — ale bardzo jestem ciekawy, co się stało z tym biednym konikiem. Nieraz myślałem o nim, został wtedy nieborak pod drzwiami Morii wśród wyjących wilków.

Gospoda „Pod Rozbrykanym Kucykiem” z pozoru zdawała się nie zmieniona. Za czerwonymi zasłonami w oknach parteru świeciły się światła. Dzwonek zadzwonił, Nob przybiegł i uchylwszy drzwi wyjrzał przez szparę. Na widok gości stojących w blasku latarni krzyknął ze zdumienia.

— Panie Butterbur! Gospodarzu! — wrzasnął. — Wrócili!

— Co mówisz! No, już ja ich odprowadzę! — rozległ się głos Butterbura, który w chwilę potem wypadł za drzwi wymachując tęgim kijem. Poznając przybyłych osłupiał, a groźny mars na jego czole rozpułynał się w wyrazie zdziwienia i radości.

— Nob, ty barani łbie, nie mogłeś to starych przyjaciół nazwać po imieniu? Porządnego stracha napędził mi dureń, i to w dzisiejszych czasach! Witam, witam! Skąd przybywacie? Nie spodziewałem się, że was w życiu jeszcze zobaczę, słowo daję. Poszliście przecież z Obieżyświatem do Dzikich Krajów, gdzie roi się od najgorszych ludzi. Cieszę się bardzo, że was widzę, a już najbardziej Gandalfa. Proszę, proszę, wchodźcie. Pokoje chcecie chyba te same, co wtedy? Są wolne. W ogóle większość pokoi stoi pustkami, nie myślę tego przed wami taić, bo i tak prędko byście sami to zauważyli. Zobaczę, co się znajdzie dla was na kolację,

i postaram się podać raz dwa, ale ciężko będzie, bo służby nie ma wiele. Nob, ty gamoniu, zawołaj Boba! Co też ja mówię, zapomniałem, Boba przecież już nie ma, zawsze teraz przed zmrokiem wraca do swoich, do rodziny. Zabierz kucyki do stajni, Nob. A ty, Gandalfie, pewnie swego konia sam zechcesz odprowadzić? Piękny wierzchowiec, już ci to powiedziałem, jakem go pierwszy raz zobaczył. Proszę, wchodźcie. Rozgośćcie się jak w domu.

Butterbur bądź co bądź nie stracił wymowy i po dawnemu żył w stałym pośpiesznym zamęcie. Ale w gospodzie prawie nikogo nie było widać ani słyszeć, ze wspólnej izby dochodził nikły szmer jakby dwóch tylko czy trzech głosów. Kiedy zaś przybysze dokładniej przyjrzeni się gospodarzowi w blasku dwóch świec, które zapalił oświetlając przed nimi drogę, stwierdzili, że twarz starego Butterbura jest pomarszczona i zatroskana.

Prowadził ich korytarzem do bawialni, w której przed rokiem spędzili tak niezwykłą noc. Szli za nim z pewnym zaniepokojeniem, bo jasne było, że Barliman buńczuczną miną pokrywa jakieś kłopoty. W Bree widocznie wszystko się zmieniło. Nie mówili jednak nic, czekali.

Tak, jak się spodziewali, Butterbur przyszedł do bawialni po kolacji zapytać, czy są zadowoleni. Oczywiście, byli, ponieważ „Pod Rozbrykanym Kucykiem” po staremu piwo i jedzenie miało smak doskonały.

— Nie ośmielę się dzisiaj namawiać, abyście resztę wieczoru spędzili we wspólnej izbie — powiedział Butterbur. — Jesteście pewnie zmęczeni, zresztą prawie nikogo tam nie ma. Ale jeśli zechcecie użyczyć mi przed pójściem do łóżek małej półgodzinki, chciałbym bardzo pogadać z wami spokojnie i bez postronnych świadków.

— Zgadłeś nasze życzenia — odparł Gandalf. — Nie jesteśmy zmęczeni. Podróżowaliśmy wygodnie. Byliśmy przemoknięci, zziębnięci i głodni, ale z tego już nas wyleczył. Siadaj, Barlimanie. Jeżeli dasz nam w dodatku trochę fajkowego ziele, będziemy cię błogosławić.

— Wolałbym, żebyście zażądali czegokolwiek innego — powiedział Butterbur. — Ziela właśnie nam brak najbardziej, bo tyle go tylko mamy, ile sami wyhodujemy, a to oczywiście za mało na nasze potrzeby. Z Shire’u teraz nie sposób coś dostać. Ale postaram się w miarę możliwości.

Poszedł i w chwilę później wrócił z wiązką nie pokrajanych liści, które mogły im wystarczyć na jakieś dwa dni do fajek.

— Najlepsze, jakie mam, niezłe, ale nie umywają się do liści z Południowej Czwartki, zawsze to mówiłem, chociaż na ogół, za przeproszeniem, wolę Bree od Shire’u.

Przysunęli dla gospodarza obszerny fotel do kominka, Gandalf usadowił się naprzeciwko, hobbici zaś na niskich krzeselkach między nimi; przegadali nie jedną półgodzinkę, ale kilka, wymieniając nowiny, których Butterbur chciał słyszeć albo nawzajem udzielać. Niemal wszystko, co opowiadali wędrowcy, zdumiewało

starego Barlimana i nie mieściło mu się w głowie, toteż nie doczekali się innych uwag z jego ust jak wielokrotne okrzyki powtarzane tak, jakby zacny Butterbur nie ufał własnym uszom: „Co ja słyszę, panie Baggins, a raczej panie Underhill? Bo już mi się poplątało z kretešem... Co ja słyszę, mistrzu Gandalfie? Nie do wiary! Kto by to pomyślał! W naszych czasach!”

Butterbur także miał niemało do opowiadania. W Bree wcale nie było spokoju. Interesy szły marnie, a prawdę rzekłszy, nawet całkiem kiepsko.

— Nikt z zagranicy nie przybywa już do nas — mówił. — Miejscowi siedzą w domach zamknięci na cztery spusty. Wszystko przez tych obcych przybyszy, włóczęgów, co do nas zaczęli ściągać Zieloną Ścieżką przed rokiem, jak pewnie pamiętacie; potem zjawilo się ich coraz więcej, całe gromady. Trafiali się między nimi po prostu biedacy, uciekający przed burzą, ale większość to byli źli ludzie, złodzieje i podstępni zbójcy. Doszło u nas w Bree do bardzo przykrych rzeczy, nawet do prawdziwej potyczki, w której padło kilku zabitych, na śmierć zabitych! Słowo daję, nie przesadzam.

— Wierzę — powiedział Gandalf. — Ilu?

— Trzech i dwóch — odparł Butterbur, oddzielnie licząc dużych ludzi i hobbitów. — Nieborak Mat Heathertoës, Rowlie Appledore i mały Tom Pickhorn zza Wzgórza, a także Willie Banks i jeden z Underhillów ze Staddle. Wszystko znaczne dusze, po których stracie nie pocieszyliśmy się dotąd. A Harry, ten, co był odźwiernym przy zachodniej bramie, i Bill Ferny przeszli na stronę obcych przybłędów i potem razem z nimi uciekli; myślę, że to oni wpuścili napastników do miasta tej nocy, kiedy wybuchła bójka. Na krótko przedtem, jakoś pod koniec roku pokazaliśmy im bramy i wyrzuciliśmy ich bez ceregieli, a zaraz po Nowym Roku, kiedy spadły duże śniegi, zdarzyły się te awantury.

Harry i Bill poszli na rozbój i teraz siedzą w lasach za wioską Archet albo na pustkowiach, gdzieś na północ od Wzgórza. Zupełnie jak w strasznych czasach, o których opowiadają stare bajki. Na gościńcach nikt się nie czuje bezpieczny, wszyscy unikają dalszych podróży i co wieczór wcześniej zamykają się w domach. Musimy trzymać warty wszędzie wzdłuż żywopłotu i obsadziliśmy bramy wzmocnionymi strażami.

— Nas jakoś nikt nie zaczepiał — rzekł Pippin — chociaż jechaliśmy powoli i bez ubezpieczenia. Myśleliśmy, że wszystkie kłopoty zostały już za nami.

— Oj, nie, nie, panie Peregrinie, kłopotów jeszcze dość przed wami — odparł Butterbur. — Nic też dziwnego, że was zbójce nie napastowali. Woleli nie porywać się na zbrojnych, którzy mają miecze, hełmy, tarcze i tak dalej. Każdy by się dwa razy namyślił, zanimby was zaczepił. Prawdę mówiąc ja też na wasz widok trochę się wystraszyłem.

Nagle hobbici zrozumieli, że jeśli miejscowa ludność przyglądała im się ze zdumieniem, to nie tyle dziwiła się ich powrotowi, ile ich zbrojom. Sami tak się już oswoiли z wojennym rynsztunkiem, obracając się wśród dobrze uzbrojonych

plemion, że nie pomyśleli, jak niezwykle wrażenie w ich ojczystych stronach zrobią kolczugi błyszczące spod płaszczy, hełmy Gondorczyków i Rohirrimów oraz tarcze zdobione pięknymi godłami. A na domiar wszystkiego Gandalf jechał na wielkim siwym koniu, cały w bieli, okryty sutym płaszczem mieniącym się od błękitu i srebra, z długim mieczem Glamdringiem u pasa.

— A to dobre sobie! — zaśmiał się Gandalf. — Jeśli nasza piątka napędza im stracha, to pociesmy się, bo gorszych przeciwników spotykaliśmy w naszej wędrówce. Przynajmniej możesz być spokojny, że nie spróbują cię napadać, póki my tu jesteśmy.

— Ale czy to długo potrwa? — rzekł Butterbur. — Nie przeczę, chętnie bym was zatrzymał tutaj na jakiś czas. Bo to, jak wiecie, myśmy do takich bójek nie przywykli, a Strażnicy podobno wynieśli się z naszych stron wszyscy. Widzę dopiero teraz, że dawniej nie docenialiśmy, ile im zawdzięczamy. Bo kręcą się dokoła groźniejsi jeszcze od zbójów wrogowie. Zeszłej zimy wilki wyły pod żywoplotem. W lesie czają się jakieś ciemne stwory, tak okropne, że na samą myśl o nich krew w żyłach zastyga. Doprawdy bardzo, bardzo to wszystko było niepokojące.

— Rzeczywiście — przyznał Gandalf. — Wszystkie prawie kraje przeżywały ostatnio wielki niepokój. Ale pociesz się, Barlimanie. Bree znalazło się na krawędzi bardzo ciężkich kłopotów i z ulgą stwierdzam, że nie wpadło w nie głębiej. Świtają teraz lepsze czasy. Tak dobrych czasów nikt już pewnie tu nie pamięta! Strażnicy wrócili. My wróciliśmy wraz z nimi. I znowu mamy króla, Barlimanie; król wkrótce przypomni sobie o tej części swojego królestwa. Ożyje Zielona Ścieżka, gońcy królewscy będą po niej mknęli tam i z powrotem, a złe stwory znikną, wyparte z lasów i pustkowi. Pustkowie zaludni się i zamieni w pola uprawne.

Butterbur kiwał głową.

— Pewnie, trochę uczciwych podróżnych na gościńcach nikomu nie zaszkodzi. Ale nie życzymy sobie więcej nicponiów i zabijaków. Nie chcemy widzieć obcych w Bree ani nawet w pobliżu Bree. Niech nas zostawią w spokoju. Nie chcę, żeby tłum obcych tutaj się panoszył i osiedlał, karczując puszcę dokoła.

— Będziecie mieli spokój, Barlimanie — odparł Gandalf. — Dla wszystkich starczy miejsca pomiędzy Iseną a Szarą Wodą lub też na południowym brzegu Brandywiny; nikt nie będzie się cisnął pod same granice Bree. Niegdyś mnóstwo ludzi mieszkało na północy, o sto mil albo dalej stąd, u końca Zielonej Ścieżki, na Północnych Wzgórzach i nad Jeziorem Evendim.

— Na północy, za Szańcem Umarłych? — z rosnącym powątpiewaniem odrzekł Butterbur. — To są podobno kraje nawiedzane przez upiory. Nikt prócz zbójców tam się nie zapuści.

— A jednak Strażnicy tam bywają — powiedział Gandalf. — Mówisz: Szańiec Umarłych. Tak rzeczywiście zwą to miejsce od wielu lat; prawdziwa jednak dawna nazwa brzmi Fornost Erain, Norbury, Północny Gród Królów. I pewnego

dnia król tam powróci, a wtedy zobaczysz na gościńcu wspaniałych podróżnych.

— No, tak, to już daje trochę lepsze widoki na przyszłość — rzekł Butterbur — i można by się wtedy spodziewać poprawy interesów. Byle ten król zostawił Bree w spokoju.

— Na pewno zostawi — odparł Gandalf. — Zna wasz kraj i kocha.

— A to jakim cudem? — zdziwił się Butterbur. — Nie rozumiem. Skoro siedzi sobie na wspaniałym tronie w potężnym zamku o setki mil stąd, skądże by mógł nas znać? Pewnie pija wino ze złotych pucharów. Cóż dla niego znaczy moja gospoda i piwo w kuflach? Chociaż co do piwa, to nie możesz, Gandalfie, zaprzeczyć, że jest dobre. Nabrało wyśmienitego smaku od jesieni zeszłego roku, kiedyś nas odwiedził i obdarzył je łaskawym słowem. To była jedyna dla mnie pociecha w tych ciężkich czasach.

— Król mówi, że zawsze u ciebie piwo było dobre — wtrącił się Sam.

— Król?

— A jakże! Przecież to Obieżyświat! Wódz Strażników. Czy jeszcze nic ci w głowie nie świta?

Zaświtało i Butterbur zbaraniał ze zdziwienia. Oczy mu omal z orbit nie wyskoczyły, rozdziawił usta i sapał głośno.

— Obieżyświat! — krzyknął wreszcie odzyskując dech. — Obieżyświat w koronie, ze złotym pucharem! Czego to dożyliśmy!

— Lepszych czasów, w każdym razie dla Bree — rzekł Gandalf.

— Pewnie, pewnie, teraz już w to wierzę — odparł Butterbur. — No, wiecie państwo, od dawna nie gadało mi się z nikim tak miło jak z wami. Szczerze powiem, że tej nocy zasnę z lżejszym sercem. Jest o czym myśleć po tej rozmówce, ale odłożę to do jutra. Teraz ciągnie mnie już do łóżka, a was z pewnością także. Hej, Nob! — zawołał podchodząc do drzwi. — Nob, niezguło! — Palnął się ręką w czoło. — ... Zaraz, zaraz... Nob? Coś mi to przypomina, ale co?

— Może znów jakiś zapomniany list? — spytał Merry.

— Nieładnie, że mi pan jeszcze nie wybaczył starej historii, panie Meriadowku! Przerwał mi pan wątek. Na czym to stanąłem? Nob... stajnia... Aha! Mam tu na przechowaniu coś, co jest waszą własnością. Jeżeli pamiętacie Billa Ferny, tego koniokrada, i kucyka, którego Bill wam sprzedał, no to właśnie o niego chodzi. Kucyk wrócił do mnie sam, dobrowolnie. Skąd? To już wy lepiej wiecie niż ja. Przyszedł kudłaty jak stare psisko i chudy jak patyk, ale żywy. Nob go tutaj pielęgnuje.

— Nie może być! Mój Bill! — wrzasnął Sam. — W czepku się urodziłem, niech Dziadunio mówi, co chce. Znowu spełnione życzenie! Gdzie on jest?

Sam nie chciał się położyć, dopóki nie odwiedził kucyka w stajni.

Wędrowcy zostali w Bree przez cały następny dzień, a Butterbur nie mógł

uskarżać się na zastój w interesach, przynajmniej tego drugiego wieczora. Ciekawość okazała się silniejsza od strachu i w gospodzie było rojno jak nigdy. Hobbici przez grzeczność zaszli do wspólnej izby i odpowiedzieli na mnóstwo pytań. A że ludzie z Bree mają dobrą pamięć, wielu z nich pytało Froda, czy napisał swoją książkę.

— Jeszcze nie — odpowiadał. — Jadę do domu, tam dopiero uporządkuję przywiezione zapiski.

Musiał obiecać, że nie pominie nadzwyczajnych wydarzeń, które w Bree się rozegrały, ponieważ bez tego wydawała im się za mało interesująca książka, poświęcona przeważnie dalekim i znacznie mniej ważnym wypadkom „gdzieś na południu”.

Potem jeden z młodszych mężczyzn poprosił o piosenkę. Ale wtedy zaległa nagle cisza, starsi ukradkiem zgromili lekkomyślnego młokosa i nikt prośby nie podtrzymał. Jasne było, że ludzie z Bree nie pragnęli powtórzenia się niesamowitych awantur w gospodzie.

Nic też nie zakłóciło spokoju we dnie ani w nocy, dopóki podróżni gościli w Bree. Nazajutrz jednak zerwali się o świcie, bo z uwagi na dżdżystą wciąż pogodę chcieli dotrzeć do Shire’u przed wieczorem, a drogę mieli dość daleką. Ludzie z Bree stawili się tłumnie, żeby ich pożegnać, w weselszym nastroju niż zazwyczaj w ciągu ubiegłego roku; kto przedtem nie widział gości w pełnym rynsztunku, ten otwierał teraz oczy z podziwu, gdy ukazał się Gandalf z białą brodą, cały promieniejący światłem, w błękitnym płaszczu, który zdawał się jak obłok przesłaniający słońce, a przy Czarodzieju czterej hobbici niby błędni rycerze z dawnych, niemal zapomnianych legend. Nawet ci, którzy zrazu wyśmiewali nowiny o królu, zaczęli podejrzewać, że jest w nich mimo wszystko trochę prawdy.

— Ano, szczęśliwej podróży i szczęśliwego powrotu do domów! — rzekł Butterbur. — Może powinienem wcześniej uprzedzić was, że w Shire także niedobrze się dzieje, takie przynajmniej do nas słuchy dochodzą. Podobno zdarzyły się tam dziwne rzeczy. Ale wciąż to to, to owo, człowiek ma za dużo własnych kłopotów na głowie. Co prawda, jeśli wolno mówić szczerze, przyjechaliście z tej podróży tacy odmienieni, że z pewnością dacie sobie radę ze wszystkimi kłopotami. Nie wątpię, że prędko zaprowadzicie u siebie porządek. Życzę szczęścia! A pamiętajcie, że im częściej będziecie się pokazywali „Pod Rozbrykanym Kucykiem”, tym bardziej się wami ucieszę.

Pożegnali go nawzajem serdecznie i ruszyli przez Bramę Zachodnią w stronę Shire’u. Kucyka Billa wzięli z sobą, a chociaż musiał znów dźwigać spore juki, biegł rażno obok wierzchowca Sama i zdawał się bardzo zadowolony.

— Ciekawe, co też stary Barliman miał na myśli — odezwał się Frodo.

— Trochę zgaduję — pośepnie odparł Sam. — Pewnie to, co zobaczyłem kiedyś w zwierciadle pani Galadrieli: ścięte drzewa i mojego Dziadunia wygananego

z domu. Żałuję, że się bardziej nie spieszyłem z powrotem.

— Na pewno też coś niedobrego stało się w Południowej Ćwiartce — powiedział Merry. — Wszędzie brak fajkowego ziela.

— Cokolwiek tam się złego święci, założę się, że Lotho w tym palce macza — rzekł Pippin.

— Palce może macza, ale na dnie kto inny wodę mąci — powiedział Gandalf. — Zapomnieliście o Sarumanie. On wcześniej niż Mordor zaczął interesować się Shire'em.

— Ale przecież ty jesteś z nami — rzekł Merry — więc wszystko prędko się naprawi.

— Jestem z wami teraz — odparł Gandalf — wkrótce jednak się rozstaniemy. Nie pojedę do Shire'u. Sami musicie swoje sprawy załatwić, do tego właśnie od dawna was przygotowywałem. Czy jeszcze nie zrozumieli? Mój czas minął, nie jest już moim zadaniem wprowadzanie ładu na świecie ani nawet pomaganie innym, gdy się do tego zabierają. Wy zresztą, przyjaciele, już nie potrzebujecie pomocy. Wyrośliście. Wyrośliście bardzo wysoko, dosięgliście największych, o was wszystkich już mogę być spokojny. Wiedźcie, że wkrótce skręcę w inną ścieżkę. Zamierzam pogawędzić z Bombadilem, i to tak obszernie, jak jeszcze nigdy w życiu. On był tym kamieniem, który mchem obrasta, podczas kiedy mnie wypadło toczyć się po świecie. Ale już skończyły się moje wędrówki, teraz będziemy mieli sobie dużo do powiedzenia z Bombadilem.

W jakiś czas potem dotarli do tego miejsca na Wschodnim Gościńcu, gdzie niegdyś pożegnali Bombadila. Hobbici marzyli, a nawet oczekiwali, że ujrzą go tutaj, spodziewając się, że wyjdzie na ich spotkanie. Lecz nie dał znaku życia; od południa szara mgła słała się na Kurhanach, a Stary Las w oddali zniknął za jej gęstą zasłoną. Zatrzymali się na chwilę; Frodo tęsknie spoglądał na południe.

— Bardzo bym chciał zobaczyć znów starego przyjaciela — rzekł. — Ciekaw jestem, jak mu się wiedzie.

— Doskonale, jak zawsze, ręcę ci za to — odparł Gandalf. — Beztroski Bombadil pewnie nawet niezbyt się interesuje tym, co zdziaaliśmy i widzieli, chyba tylko waszym spotkaniem z entami. Może później przyjdzie i na to czas, żebyś go odwiedził. Teraz na twoim miejscu nie marudziłbym ani chwili, bo inaczej nie zdążycie przed zamknięciem bramy mostu na Brandywinie.

— Ależ tam nie ma żadnej bramy! — zawołał Merry. — Nie na tym szlaku! Wiesz to chyba, Gandalfie, równie dobrze, jak ja. W Bucklandzie jest brama, oczywiście, ale tę otworzą przede mną o każdej porze.

— Powiedz raczej, że przedtem na tym szlaku bramy nie było — odparł Gandalf. — Teraz ją tam zastaniesz. I nawet w Bucklandzie możesz się natknąć na większe trudności, niż myślisz. Ale przezwyciężysz je szczęśliwie. Do widzenia,

przyjaciele kochani! Nie rozstajemy się na zawsze. Jeszcze nie. Do widzenia.

Skierował Gryfa w bok gościńca; rumak przesadził lekko szeroki zielony wał ciągnący się tu wzdłuż drogi. Gandalf zakrzyknął na niego i Gryf pomknął w stronę Kurhanów jak wiatr z północy.

— Ano zostało nas czterech, tak jak z domu ruszaliśmy — rzekł Merry. — Wszystkich towarzyszy, jednego po drugim, zostawiliśmy po drodze. Można by pomyśleć, że to sen, który powoli się rozwiewa.

— Mnie się zdaje przeciwnie — powiedział Frodo — że teraz zasypiam z powrotem.

ROZDZIAŁ XVIII

Porządki w Shire

Już po zmroku zmoknięci i zmęczeni wędrowcy zajechali nad Brandywinę i zastali tam drogę zagrodzoną. U dwóch końców mostu jeżyły się ostrokołowe bramy. Na drugim brzegu rzeki dostrzegli nowo zbudowane domy, piętrowe, z wąskimi, prostokątnymi oknami, nagie i źle oświetlone, ponure i obce.

Stukali w bramę i wołali, nikt jednak zrazu nie odpowiedział; potem usłyszeli ze zdumieniem głos rogu i zobaczyli, że w domach za rzeką światła gasną. Ktoś w ciemności krzyknął:

— Kto tam? Odstąpcie spod bramy. Nie wjedziecie teraz. Czy nie umiecie czytać? Jest przecież napis: „Zamknięte od zachodu do wschodu słońca”.

— Rozumie się, że nie umiemy czytać po ciemku — odkrzyknął Sam. — Ale jeśli hobbitci z Shire’u mają przez ten wasz napis moknąć przez całą zimną noc, to poszukam tego ogłoszenia i zerwę je zaraz.

Rozległ się trzask zamykanego okna i z domu po lewej stronie wysypał się tłum hobbitów z latarniami w rękach. Otworzyli na drugim końcu bramę, a niektórzy nawet przebiegli most. Na widok podróżnych przystanęli wystraszeni.

— Chodźże tu bliżej, Hobie Hayward! — zawołał Merry rozróżniając w świetle latarni jednego z dawnych znajomych. — Nie widzisz, że to ja, Merry Brandybuck? Wytłumacz mi, co to wszystko znaczy, co tu robi porządny Bucklandczyk, jak ty? O ile pamiętam, byłeś odźwiernym przy Zielonej Bramie?

— O rety! Pan Meriadok, czy mnie nie mylą, a uzbrojony jak na wojnę! — krzyknął stary Hob. — A tu opowiadali, że pan zginął. A w każdym razie, że pan zabłądził w Starym Lesie. To radość, że pana widzę całego i żywego!

— Zamiast się na mnie gapić przez szpary w płocie, otwórz lepiej bramę! — powiedział Merry.

— Niech mi pan wybaczy, nie mogę. Mamy taki rozkaz.

— Kto go wam dał?

— Wódz z Bag End.

— Wódz, jaki Wódz? Chciałeś powiedzieć: Lotho? — spytał Frodo.

— Tak, ale kazał mówić teraz na siebie: Wódz.

— To pięknie; przynajmniej nie używa nazwiska Bagginsów — odparł Frodo.
— Ale, jak widzę, pora, żeby krewni zajęli się nim i przywołali go do porządku.

Zza bramy dobiegł zgorszony i przerażony szept:

— Lepiej takich rzeczy nie mówić. On się może dowiedzieć. A poza tym jak będziecie tak hałasowali, gotów się zbudzić Duży Człowiek Wodza.

— Już my go obudzimy tak, że się nieprędko przestanie dziwić — rzekł Merry.

— Jeżeli to znaczy, że twój wspaniały Wódz wziął do swej służby najemnych zbirów z Pustkowi, to widzę, żeśmy rzeczywiście za długo czekali z powrotem.

— Zeskoczył z kuca, a dostrzegłszy w błysku latarni ogłoszenie, zdarł je i cisnął za bramę. Hobbici cofnęli się, żaden nie podszedł, by otworzyć skoble. — Do mnie, Pippin! Nas dwóch wystarczy.

Merry i Pippin wdrapali się na bramę. Hobbici uciekli z mostu. Znowu zagrał róg. Z większego domu po prawej stronie wychynęła duża, ciężka postać, wyraźnie widoczna na tle oświetlonych drzwi.

— Co to za hałasy! — warknął zbliżając się. — Kto się ośmielił przez bramę wlaźć? Jazda stąd, bo karki poskręcam, nędzne pokurcze.

Nagle stanął, bo dostrzegł błysk mieczy.

— Billu Ferny! — rzekł Merry. — Jeżeli w ciągu dziesięciu sekund nie otworzysz bramy, gorzko pożałujesz. Nauczę cię posłuchu tym oto żelazem. Otwórz bramę i wynos się za nią. Żeby ci tu więcej nie spotkał, łotrzyku, zbój!

Bill Ferny skulił się, powłókł pod bramę, otworzył rygle.

— Oddaj klucz! — powiedział Merry.

Ale zbój cisnął mu klucze w twarz i dał nura w ciemność. Kiedy mijał kuce, jeden z nich wierzgnął i trafił go kopytami w przelocie. Bill Ferny zawył i zniknął w mroku. Nigdy nikt więcej o nim nie posłyszał.

— Brawo, Billy — pochwalił kucyka Sam.

— A więc wasz Duży Człowiek już załatwiony — rzekł Merry. — Z Wodzem policzymy się w swoim czasie. Na razie potrzebujemy na noc kwatery, a że, jak widzę, zburzyliście gospodę, która stała przy moście, i zamiast niej pobudowali te szkaradne domy, musicie nas jakoś w nich umieścić.

— Bardzo przepraszam, panie Meriadoku, ale to zabronione — odparł Hob.

— Co jest zabronione?

— Przyjmowanie podróżnych, jedzenie poza porami regularnych posiłków i w ogóle różne takie rzeczy.

— Co się tu dzieje? — spytał Merry. — Czy mieliście w tym roku klęskę nieurodzaju? Zdawało mi się, że lato było piękne i zbiory bogate.

— Owszem, rok był dość dobry — odparł Hob. — Zebraliśmy dużo plonów, ale nie wiadomo dokładnie, co się z nimi stało. Rozeszło się chyba między rozmaitych „poborców” i „szafarzy”, co to chodzą po kraju, liczą, mierzą i odstawiają wszystko do składów. Więcej zbierają, niż rozdzielają i prawie nic z tego potem do nas nie wraca.

— Słowo daję, to takie nudne, że nie ma siły słuchać dłużej po nocy — rzekł Pippin ziewając. — Mamy prowianty w workach podróżnych. Dajcie nam byle jaką izbę, żebyśmy mogli głowy skłonić. Nocowało się już gorzej po drodze!

Hobbici spod bramy wciąż jeszcze zdawali się zaniepokojeni, najwidoczniej propozycja Pippina nie zgadzała się z obowiązującymi przepisami; nikt jednak nie ośmielił się sprzeciwić dłużej tak groźnie uzbrojonym podróżnym, z których dwaj byli na dobitkę wyjątkowo rośli i silni. Frodo kazał bramę z powrotem zaryglować. Ostrożność taka miała bądź co bądź pewien sens, skoro w okolicy kręcili się zbóje. Potem czterej przyjaciele weszli do hobbickiej kordegardy i rozgościli się tam, jak mogli. Była to izba naga i brzydka, ze skąpym kominkiem, który nie pozwalał na rozpalenie porządnego ognia. Na piętrze w sypialniach wartowników ciągnęły się rzędy twardych łóżek, a na ścianach wisiały różne pouczenia i długa lista przepisów. Pippin zdał je natychmiast. Piwa nie było wcale, jadła bardzo mało, ale z prowiantów, które wydobyto z podróżnych worków i rozdzielono między wszystkich obecnych, złożyła się niezła kolacja. Pippin łamiąc przepis numer cztery dorzucił na palenisko prawie całą wiązkę drew, przeznaczonych na dzień następny.

— Przydałaby się teraz fajeczka, paląc milej by się słuchało waszej opowieści o tym, co się dzieje w Shire — powiedział.

— Ziela fajkowego nie ma — odparł Hob — a raczej jest tylko dla Dużych Ludzi Wodza. Cały zapas podobno się wyczerpał. Jak słyszeliśmy, karawany wozów załadowanych liśćmi wysłano z Południowej Ćwiartki starą drogą, przez Bród Sarn. Stało się to pod koniec zeszłego roku, wkrótce po waszym wyjeździe. Ale podobno wcześniej jeszcze ziele cichcem wyciekało z kraju w mniejszych ilościach. Ten Lotho...

— Trzymaj język za zębami, Hobie Hayward! — krzyknęło kilku hobbitów naraz. — Wiesz, że takie gadanie jest zabronione. Wódz dowie się, co mówiłeś, a wtedy wszyscy będziemy w opałach.

— Nie dowiedziałby się, gdyby między wami nie było lizusów — odparł zapalczywie Hob.

— Spokojnie, spokojnie! — rzekł Sam. — Wiemy już dość. Nie trzeba ani słowa więcej, gościnności nie ma, piwa nie ma, ziela do fajki nie ma, za to przepisów w bród i kłótnie jak wśród orków. Spodziewałem się, że odpocznę wreszcie, ale widzę, że czekają nas nowe trudy i kłopoty. Tymczasem chodźmy spać i odłóżmy te sprawy do rana.

Nowy „Wódz” najwidoczniej miał swoje sposoby, żeby wiedzieć o wszystkim. Od mostu do Bag End było czterdzieści mil z hakiem, ale ktoś niewątpliwie

pospieszył z wiadomościami. Frodo i jego towarzysze wkrótce się o tym przekonali.

Nie mieli ustalonych ściśle planów, lecz zamierzali najpierw udać się do Ustroni na krótki wypoczynek. Teraz jednak, widząc, co się święci, postanowili jechać wprost do Hobbitonu. Wyruszyli wręcz nazajutrz gościńcem, popędzając konie. Wiatr przycichł, ale niebo było chmurne. Kraj zdawał się smutny i opuszczony; co prawda był to już pierwszy dzień listopada, koniec jesieni. Mimo wszystko ogniska płonęły nawet na tę porę roku niezwykle gęsto, a wszędzie dokoła dym wzbijał się nad ziemię i ciężką chmurą płynął w stronę Leśnego Zakątka.

Pod wieczór wędrowcy zbliżyli się do Żabiej Łąki — sporej wsi przy gościńcu, oddalonej o dwadzieścia dwie mile od mostu. Tam chcieli przenocować, pamiętając, że gospoda „Pod Pływającą Kłodą” cieszy się dobrą sławą. Ale u wjazdu do wsi natknęli się na barierę zagrządzającą gościniec i opatrzoną wielką tablicą z napisem: „Wstęp wzbroniony”. Za barierą stał liczny oddział szeryfów z pałkami w garści i z piórami na czapkach; miny mieli nadęte i trochę wystraszone zarazem.

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytał Frodo powstrzymując się od śmiechu.

— Znaczy to, panie Baggins — odparł dowódca szeryfów, hobbit odznaczający się podwójnym piórem na czapce — że jest pan aresztowany za włamanie się przez bramę, zdercie ogłoszeń urzędowych, napaść na odźwiernego, bezprawne przekroczenie granic, nocowanie w budynku państwowym bez zezwolenia i przekupienie poczęstunkiem wartowników pełniących służbę.

— Nic więcej? — spytał Frodo.

— ja bym mógł coś niecoś dorzucić, jeśli chcecie — powiedział Sam. — Nazwanie Wodza po imieniu, świerzbienie ręki, żeby mu kułakiem zamalować tę jego pryszczatą buzię, a także posadzenie szeryfów, że są bandą durniów.

— Dość tego! Zgodnie z rozkazem Wodza macie iść z nami bez oporu. Zaprowadzimy was Nad Wodę i oddamy w ręce Dużych Ludzi Wodza. Wszystko, co macie do powiedzenia, powiecie na rozprawie. Ale jeśli nie chcecie dłużej jeszcze posiedzieć w więzieniu, radzę wam za wiele nie gadać.

Szeryfowie spieszyli się mocno, kiedy Frodo wraz z całą kompanią wybuchnął na to gromkim śmiechem.

— Nie pleć głupstw — rzekł Frodo. — Pojadę, gdzie mi się spodoba, i wtedy, kiedy zechcę. Przypadkiem wybieram się do Bag End, gdzie mam interesy, ale jeśli upierasz się iść tam z nami, proszę bardzo, to twoja sprawa.

— Niech i tak będzie, panie Baggins — odparł dowódca szeryfów — ale niech pan nie zapomina, że pana aresztowałem.

— Nie zapomnę! — rzekł Frodo. — Nigdy! Ale może ci to kiedyś wybaczę. W każdym razie dzisiaj nigdzie dalej nie jadę, bądź więc łaskaw odprowadzić mnie do gospody „Pod Pływającą Kłodą”.

— Nie mogę, proszę pana. Gospoda zamknięta. Jest tylko dom szeryfów na drugim końcu wsi. Tam was zaprowadzę.

— Zgoda — powiedział Frodo. — Idź naprzód, jedziemy za tobą.

Sam tymczasem przeglądając szeregi wypatrywał wśród szeryfów dawnego znajomka.

— Ejże, Robinie Smallburrow! Chodź no bliżej, chciałbym z tobą pogadać! — zawołał.

Robin Smallburrow zerknął lękliwie na dowódcę, który nasrożył się, lecz nie śmiał oponować, po czym cofnął się i podszedł do Sama. Sam zeskoczył z kucyka.

— Słuchaj no, Robinku — rzekł — wychowałeś się w Hobbitonie i powinienes mieć więcej oleju w głowie. Czy ci nie wstyd napastować pana Froda? I co to ma znaczyć, że gospoda zamknięta?

— Wszystkie gospody zamknięto — odparł Robin. — Wódz piwa nie cierpi. Od tego się przynajmniej zaczęło. Bo teraz, prawdę mówiąc, Duzi Ludzie Wodza piją, ile chcą. On nie cierpi też, żeby się ktoś po kraju kręcił, więc jeśli już któryś hobbit musi albo chce podróżować, ma zgłaszać się w domach szeryfów po drodze i tłumaczyć się, po co i skąd wędruje.

— Wstydzilibyś się brać udział w takich głupich bezecnościach — rzekł Sam. — Pamiętam, żeś zawsze wołał gospody oglądać od środka niż z zewnątrz. Na służbie czy poza służbą, chętnie wpadałeś na kufelek piwa.

— I dalej bym to chętnie robił, gdybym mógł. Ale nie bądź dla mnie za surowy, Samie. Cóż poradzę? Wstąpiłem do szeryfów na służbę siedem lat temu, kiedy nikomu nie śniło się o takich porządkach, jakie dziś mamy. Myślałem, że będę miał okazję włóczyć się po kraju, słuchać plotek, gdzie piwo lepsze. Stało się teraz inaczej.

— No, to rzuć to do licha, nie bądź dłużej szeryfem, skoro to przestało być zajęciem stosownym dla uczciwego hobbita — rzekł Sam.

— To wzbronione — odparł Robin.

— Jeżeli jeszcze raz usłyszę to piękne słówko, rozgniewam się na dobre — powiedział Sam.

— Szczerze mówiąc, nawet bym się nie zmartwił — odparł Robin zniżając głos. — Gdybyśmy rozgniewali się wszyscy razem, może by dało się coś zrobić. Ale zrozum, Samie, Wódz ma swoich Dużych Ludzi. Rozsyła ich wszędzie, a jeśli ktoś z nas, małych ludzi, upomina się o swoje prawa — zamykają go w więzieniu. Pierwszego zamknęli naszego starego tłuszciocha Willa Whitfoota, burmistrza, a potem wielu innych. Ostatnio dzieje się coraz gorzej. Często biją więźniów.

— Dlaczego więc dla nich pracujesz? — spytał Sam ze złością. — Kto cię posłał do Żabiej Łąki?

— Nikt. Stale tam jesteśmy na posterunku w dużym domu szeryfów. Nale-

żę do pierwszej grupy Wschodniej Ćwiartki. Razem jest teraz paruset szeryfów i werbują ich jeszcze więcej, bo wyszły nowe przepisy. Większość służy wbrew woli, ale nie wszyscy. Nawet w Shire są tacy, którzy lubią wścibiać nosy w cudze sprawy i udawać ważnych. Co gorsza nie brak też szpiegów, donoszących o wszystkim Wodzowi i jego Dużym Ludziom.

— Ha! Więc tym sposobem o nas się dowiedział, czy tak?

— Tak. Zwykłym obywatelom nie wolno korzystać z pospiesznej poczty, ale oni jej używają i trzymają umyślnych gońców w różnych punktach kraju. Jeden taki goniec przybiegł w nocy z Bamfurlong z „tajną wiadomością”, drugi poniósł ją stąd dalej. A dziś po południu przyszedł tą drogą rozkaz, żeby was aresztować i odstawić Nad Wodę, nie wprost do więzienia. Wódz chce widocznie rozprawić się z wami jak najprędzej.

— Odechce mu się, jak pan Frodo z nim pogada — rzekł Sam.

Dom szeryfów w Żabiej Łące nie był lepszy od kordegardy przy moście. Nie miał pietra, lecz okna równie wąskie, i zbudowany był z brzydkiej, szarej cegły, niedbale kładzionej. Wnętrze okazało się wilgotne i ponure, a kolację podano na długim stole z nie heblowanych desek, których na dobitkę od dawna nikt porządnie nie wyszorował. Jadło było zresztą niegodne lepszego stołu. Podróżni nie mieli ochoty zatrzymywać się tu dłużej, a że od Wody dzieliło ich jeszcze około osiemnastu mil, ruszyli o dziesiątej rano w drogę. Wyruszyliby znacznie wcześniej, gdyby nie to, że zwłoka wyraźnie złościła dowódcę szeryfów. Wiatr skreślił z zachodu na północ, pochłodziło, lecz deszcz nie padał.

Kawalkada opuszczając wieś wyglądała dość zabawnie, mimo to kilku tutejszych mieszkańców, którzy wylegli z domów, żeby popatrzeć na odjazd podróżnych, wahało się, nie wiedząc, czy śmiech jest dozwolony. Dwunastu szeryfom kazano eskortować „więźniów”, lecz Merry zmusił ich, żeby maszerowali na czele, podczas gdy Frodo ze swą kompanią jechał za nimi. Merry, Pippin i Sam śmieli się, śpiewali i gawędzili swobodnie, szeryfowie natomiast kroczyli sztywno, usiłując nadać sobie surowy i poważny wygląd. Frodo milczał, zdawał się smutny i zamyślony. Ostatnią osobą, którą we wsi mijali, był krzepki staruszek zajęty właśnie stryżeniem żywoplitu.

— Hola, hola! — zawołał na ich widok. — Kto tu właściwie kogo aresztował?

Dwaj szeryfowie odłączając się natychmiast od oddziału skierowali się ku niemu.

— Panie oficerze! — krzyknął Merry. — Proszę natychmiast przywołać swoich podwładnych do porządku, jeśli nie chcesz, żebym ja to zrobił.

Dwaj hobbici na ostry rozkaz dowódcy wrócili z ponurymi minami do szeregu.

— Naprzód, marsz! — zakomenderował Merry.

Jeźdźcy postarali się, żeby piesza eskorta musiała dobrze wyciągać nogi. Słońce wyjrzało zza chmur i mimo chłodnego wiatru szeryfowie zasapali się i spocili porządnie.

Przy kamieniu Trzech Ćwiartek dali za wygraną. Przebiegli blisko czternaście mil z jednym tylko popasem w południe. Teraz była już godzina trzecia. Głodni, z poobijanymi nogami, nie mogli dłużej dotrzymać kroku kucykom.

— No, trudno, przyjdziecie za nami, kiedy zdołacie — rzekł Merry. — My jedziemy dalej.

— Do widzenia, Robinku! — powiedział Sam. — Czekam cię przed „Zielonym Smokiem”, jeśli nie zapomniałeś drogi do gospody. Nie marudź za długo!

— Aresztanci uciekając łamią znów przepisy — markotnie stwierdził dowódca. — Ja za to nie chcę brać odpowiedzialności.

— Nie bój się, złamiemy jeszcze niejednego bez twojego pozwolenia — odparł Pippin. — Życzę szczęścia!

Puścili się kłusem i gdy słońce zaczęło zniżać się na zachodnim widnokręgu ku Białym Wzgórzom, dotarli Nad Wodę, nad wielki staw. Tu czekał ich pierwszy naprawdę bolesny wstrząs. Były to przecież rodzinne strony Froda i Sama, obaj też dopiero w tym momencie zrozumieli, że są im droższe niż wszystkie kraje świata. Wielu znajomych domów brakowało. Niektóre, jak się zdawało, spłonęły. W północnym stoku wzgórza Nad Wodą miłe hobbitkie norki opustoszały; ogródki, dawniej zbiegające barwnym kobiercem aż na brzeg, były zapuszczone i pełne chwastów. Co gorsza, tam gdzie przedtem droga do Hobbitonu ciągnęła się tuż nad stawem, wyrósł rząd szpetnych nowych budowli. Niegdyś wzdłuż drogi szumiały drzewa. Dziś wszystkie zniknęły. Patrząc z rozpaczą w stronę Bag End ujrzeli w oddali wysoki komin z cegły. Pluł czarnym dymem pod wieczorne niebo. Sam nie posiadał się z oburzenia.

— Nie wytrzymam, panie Frodo! — krzyknął. — Jadę tam! Muszę przekonać się, co to znaczy. Muszę odszukać Dziadunia.

— Najpierw trzeba się dowiedzieć, co nas tam czeka — rzekł Merry. — „Wódz” pewnie ma pod ręką bandę swoich zbirów. Powinniśmy przede wszystkim znaleźć kogoś, kto nam wyjaśni, jak sprawy stoją.

Ale Nad Wodą wszystkie domy i norki były zamknięte, nikt nie wyszedł powitać wędrowców. Dziwiło ich to, wkrótce jednak zrozumieli przyczynę. Kiedy bowiem dojechali do gospody „Pod Zielonym Smokiem”, mieszczącej się w ostatnim domu przy drodze do Hobbitonu, martwym teraz i ziejącym powybijanymi szybami — zobaczyli pod ścianą zaczajoną grupę Dużych Ludzi, roślących i złowrogich. Mieli skośne oczy i śniadą cerę.

— Przypomina się Bill Ferny z Bree — rzekł Sam.

— I wielu jego współplemieńców z Isengardu — mruknął Merry.

Zbóje mieli pałki w rękach i rogi u pasa, lecz poza tym — o ile hobbitci mogli

dostrzec z tej odległości — nie byli uzbrojeni. Kiedy podróżni zbliżali się, tamci wyskoczyli na gościniec i zagrodzili przejazd.

— Dokąd to? — spytał jeden z nich, największy i najszeptniejszy ze wszystkich. — Dalej jechac nie wolno. Gdzie się podziała wasza sławetna eskorta?

— Idę za nami — odparł Merry. — Trochę ich już nogi bołą. Obiecaliśmy, że tu na nich zaczekamy.

— A co, nie mówiłem? — rzekł zbój zwracając się do swych kamratów. — Od razu powiedziałem Sharkeyowi, że tym małym durniom ufać nie można. Powinien był wysłać paru naszych.

— Na to samo by wyszło — powiedział Merry. — Co prawda nie przywykliśmy do pieszych rozbójników w naszym kraju, ale potrafimy sobie i z nimi dać radę.

— Rozbójników? Tak się o nas mówi? Radzę ci zmienić ton po dobroci, bo inaczej z tobą pogadam. Przewróciło się pokurczom w głowach. Nie liczcie za nadto na miękkie serce Wodza. Jest teraz Sharkey i Wódz zrobi to, co mu Sharkey każe.

— A cóż on każe? — spytał spokojnie Frodo.

— Ten kraj trzeba obudzić i nauczyć praw — oświadczył zbój. — Sharkey to robi i nie będzie się z wami cackał, jeśli go rozgniewacie. Wam trzeba większego władcy. I będziecie go mieli, nim ten rok upłynie, jeśli nie przestaniecie się buntować. Dostanie nauczkę ten szczurzy pomiot.

— Ach, tak! Dobrze, że mi wyjaśniłeś plany — rzekł Frodo. — Jadę właśnie do pana Lotho, który pewnie również się nimi zainteresuje.

Zbir wybuchnął śmiechem.

— Lotho! Lotho je zna. Nie martw się o niego. Lotho posłucha Sharkeya. Bo jeśli Wódz grymasi, to zmienia się Wódz. Rozumiesz? A jeśli mały ludek próbuje mieszać się do nie swoich spraw, to się go unieszkodliwia. Rozumiesz?

— Owszem — rzekł Frodo. — Po pierwsze widzę, że bardzo tu jesteście opóźnieni i nie wiecie nic o tym, co się na szerokim świecie dzieje. A tymczasem na południu wiele się zmieniło, odkąd je opuściłeś. Skończyły się twoje czasy, czasy zbójców. Czarna Wieża padła, w Gondorze panuje król. Isengard zburzony, twój sławetny mistrz błądzi po pustkowiu i jest żebrakiem. Minałem go po drodze. Teraz już nie łotrzykowie z Isengardu, ale wysłańcy króla będą przybywali do nas Zieloną Ścieżką.

Zbój patrzył na Froda z szyderczym uśmiechem.

— Żebrakiem, powiadasz? Czyżby? — zadrwił. — Przechwalaj się, przechwalaj, zadufku. Nie przeszkodzi to nam żyć wygodnie w tym sytym kraiku, gdzie dość długo hobbici próżnowali. A co do królewskich wysłańców — rzekł prztykając palcami przed nosem Froda — to tyle sobie z nich robię! Tyle! Jeśli w ogóle będę łaskaw na nich zwrócić uwagę.

Tego było Pippinowi za wiele. Wspomnił pola Kormallen i krew w nim zakipiała, że taki zezowaty łotr ośmiela się powiernika Pierścienia nazwać zadufkiem. Odrzucił płaszcz z ramion, dobył miecza i w blasku srebra na czerni Gondoru wysunął się z koniem naprzód.

— Jestem wysłańcem króla! — rzekł. — Mówisz z królewskim przyjacielem, który wsławił się w krajach zachodu. Jesteś nie tylko łotrem, ale też głupcem. Na kolana, w proch, błagaj o przebaczenie, jeśli nie chcesz, żebym cię pokarał tym ostrzem, które gromiło trollów.

Miecz błysnął w zachodzącym słońcu. Merry i Sam także sięgnęli do broni i przysunęli się do Pippina, żeby go wesprzeć w walce. Frodo jednak nie drgnął. Zbójce cofnęli się z drogi. Dotychczas łatwo sobie radzili z bezbronnymi wieśniakami w Bree albo z oszołomionym ludem w Shire. Nieustraszeni hobbici z lśnącymi mieczami i surowymi twarzami byli dla nich wielką niespodzianką. W głosie podróżnych brzmiał ton, jakiego nie słyszeli jeszcze nigdy. Zdjął ich strach.

— Precz stąd! — rzekł Merry. — A jeśli poważycie się kiedykolwiek znowu mącić spokój tej wioski, pożałujecie!

Czterej hobbici powędrowali dalej, zbójcy uciekli drogą w przeciwnym kierunku, lecz w biegu trąbili na rogach.

— Ano, nie za wcześnie wróciliśmy! — powiedział Merry.

— Na pewno. Może nawet za późno, przynajmniej za późno, żeby ocalić Lotha — rzekł Frodo. — Nikczemny głupiec, ale mi go żal.

— Ocalić Lotha? Co mówisz? — zdziwił się Pippin. — Chciałeś chyba powiedzieć: zniszczyć.

— Zdaje się, że niezupełnie rozumiesz tę sprawę, Pippinie — odparł Frodo. — Lotho nie zamierzał doprowadzić kraju do tej klęski. Był głupi i nikczemny, ale teraz znalazł się w pułapce. Zbójcy wzięli wszystko w swoje ręce, rabują, tyranizują lud, rządzą i burzą samowolnie, posługując się jego imieniem. A nawet już zaczynają obywać się bez tego imienia. Lotho jest w gruncie rzeczy więźniem w Bag End i pewnie drży ze strachu. Musimy spróbować, czy nie da się go ocalić.

— W głowie mi się kręci! — rzekł Pippin. — Wszystkiego się spodziewałem na zakończenie naszej wyprawy, ale nie tego, że będę musiał bić się z półorkami i zbójami na własnej ziemi i to w obronie pryszczatego Lotha!

— Bić się? Tak, może i do tego przyjdzie — odparł Frodo. — Ale pamiętaj: nie wolno ci zabić żadnego hobbita, nawet gdyby stał po stronie przeciwników, to znaczy nawet gdyby im naprawdę sprzyjał, bo nie mówię o tych, którzy ze strachu ulegają rozkazom łotrów. Nigdy jeszcze w Shire hobbit nie zabił umyślnie hobbita. Nie odstępimy od tej tradycji. Innych też staraj się oszczędzać, nie zadawaj śmierci, chyba że będzie to naprawdę nieuniknione. Powściągnij zapalczywość i własne ręce aż do ostatniej chwili.

— Jeśli zbirów jest dużo — odparł Merry — nie da się uniknąć walki. Nie uratujemy Lotha ani Shire'u samym oburzeniem i smutkiem, mój Frodo.

— Nie, nie będzie łatwo drugi raz ich nastraszyć — powiedział Pippin. — Tych się udało spłoszyć, bo ich zaskoczyliśmy. Słyszeliście, że dęli w rogi? Są więc z pewnością inni zbóje w pobliżu. W gromadzie będą odważniejsi. Trzeba rozejrzeć się za jakimś schronieniem na noc. Bądź co bądź jest nas tylko czterech, chociaż uzbrojonych.

— Mam pomysł! — rzekł Sam. — Chodźmy do starego Toma Cottona. Mieszkał przy Południowej Ścieżce i zawsze był zacnym hobbitem. Ma też kupę synów, a wszyscy — moi przyjaciele.

— Nie! — odparł Merry. — Nie zda się na nic „szukać schronienia”. Tak właśnie postępował zazwyczaj tutejszy ludek, i to ułatwia sprawę zbirom. Przyjdą po nas w przeważającej sile, osaczą w kryjówce i albo z niej wypędzą, albo spalą z nią razem. Nie, musimy działać, nie zwlekając.

— Jak? — spytał Pippin.

— Wzniecić w Shire powstanie — rzekł Merry. — Zaraz! Budźcie hobbitów! Oni wszyscy nienawidzą nowych porządków, to jasne. Wszyscy z wyjątkiem może paru łajdaków i paru głupców, którzy chcą w ten sposób zdobyć stanowiska, nie rozumiejąc wcale, co się naprawdę dzieje. Ale hobbitci w Shire tak długo cieszyli się spokojem i wygodami, że teraz nie wiedzą, co robić. Wystarczy jednak przytknąć żagiew, a kraj stanie w ogniu. Ludzie Wodza pewnie to wiedzą. Będą próbowali nas zdeptać i zgasić możliwie szybko. Nie ma chwili do stracenia. Samie, jeśli chcesz, skocz na farmę Cottona. To najbardziej szanowany gospodarz w okolicy i najdzielniejszy. Żywo! Zadmę w róg Rohanu. Jeszcze tu nie słyszano takiej muzyki.

Galopem wrócili do środka wsi. Sam skręcił w boczną ścieżkę i pognął do zagrody Cottona. Nie zdążył się oddalić, gdy nagle dobiegł jego uszu czysty, bijący ku niebu śpiew rogu. Daleko w górach i na polach odpowiedziały echa, a tak było to wezwanie naglące, że Sam omal nie zawrócił z miejsca, by pospieszyć za tym głosem. Kucyk stanął dęba i zarżał.

— Naprzód! Naprzód! — zawołał Sam. — Nie bój się, wkrótce zawrócimy.

Potem usłyszał, jak Merry zmieniając nutę gra pobudkę Bucklandu, aż powie-trze drży od okrzyku:

— Zbudźcie się! Zbudźcie! Trwoga, napaść, pożoga! Zbudźcie się! Gore! Napaść!

Za plecami Sama, we wsi, rozległ się gwar, szczęk, trzask zamykanych drzwi. Przed nim w zmierzchu wyblysnęły światła, zaszczeły psy, zatupotały spieszne kroki. Nim dotarł do końca ścieżki, spotkał biegnących hobbitów, starego Cottona i trzech jego synów: Toma, Jolly’ego i Nicka. Z toporami w ręku zastąpili mu drogę.

— Nie, to nie zbój! — wstrzymał synów stary gospodarz. — Z wzrostu wy-

gląda na hobbita, ale ubrany dziwnie. Hej! — krzyknął. — Coś za jeden i co to za alarm?

— To ja, Sam Gamgee! Wróciłem.

Stary Cotton podszedł bliżej i przyjrzał mu się bacznie w półmroku.

— A to dopiero! — wykrzyknął. — Głos Sama i twarz Sama nie gorsza niż była. Ale takeś się ustroił, że mógłbym się o ciebie otrzeć na drodze i nie zgadłbym, z kim mam zaszczyt. Jak słyszę, podróżowałeś daleko? Baliśmy się, że już nie żyjesz.

— Żyje, żyje — odparł Sam. — I pan Frodo żyje. Jest tutaj z przyjaciółmi. Właśnie dlatego ten alarm: budzimy Shire do powstania. Trzeba przepędzić zbiorów i tego ich Wodza. Ruszamy zaraz.

— Dobra nowina! — zawołał Cotton. — Nareszcie! Przez cały ten rok świerbią mnie ręce. Ale nikt nie chciał mi pomóc. W dodatku muszę pilnować żony i Różyczki. Te zbiry nie na próżno się tutaj kręcą. Ale skoro tak, dalejże, chłopcy! Nad Wodą powstanie! My z nim!

— A co będzie z waszą żoną i Różyczką? — spytał Sam. — Niebezpiecznie, żeby zostały tu bez obrony.

— Nibs ich strzeże. Jeśli uważasz, że trzeba mu pomóc, to jedź do nich — rzekł stary Cotton z domyślnym uśmiechem. Po czym wraz z synami pobiegł ku wsi.

Sam pospieszył do domu Cottonów. W głębi rozległego podwórka na najwyższym stopniu schodów w okrągłych drzwiach stała matka z córką, a przed nimi młody Nibs z widłami wzniesionymi w rękę.

— To ja! Sam Gamgee! — zawołał w pędzie jeszcze Sam. — Nie próbuj mnie nadziać na widły, Nibsie! Zresztą mam na sobie kolczugę.

Zeskoczył z kuca i wbiegł na schodki. Tamci wpatrywali się w niego w osłupieniu.

— Dobry wieczór, pani Cotton! — rzekł. — Dobry wieczór, Różyczko.

— Dobry wieczór, Samie — odpowiedziała Różyczka. — Gdzieżeś to bywał? Mówili, żeś zginął, ale ja od wiosny już czekałam na ciebie. Nie bardzo się spieszyłeś.

— Może — odparł Sam — za to teraz bardzo się spieszę. Robimy porządek ze zbirami i muszę wracać do pana Froda. Chciałem tylko wpaść na chwilkę i zobaczyć, jak się miewa pani Cotton i ty, Różyczko.

— Miewamy się doskonale — odpowiedziała pani Cotton. — A raczej miewałybyśmy się dobrze, gdyby nie ci rabusie, zbóje.

— No, Samie, umykaj! — powiedziała Różyczka. — Jeśli przez tak długi czas opiekowałeś się panem Frodem, to nieładnie, że go opuszczasz teraz, gdy zaczyna być naprawdę niebezpiecznie.

Sam oniemiał wobec tak niesprawiedliwego zarzutu. Musiałby gadać przez tydzień, żeby odpowiedzieć, jak należało. Zawrócił na pięcie, skoczył na kucyka.

W ostatniej chwili Różyczka zbiegła jednak ze schodków.

— Wiesz, Samie, wyglądasz wspaniale! — powiedziała. — Jedź! Ale bądź ostrożny i jak tylko przepędzisz tych zbirów, wracaj prosto do nas.

We wsi tymczasem już wrzało. Sam po powrocie zastał nie tylko gromadkę młodzików, ale też przeszło setkę starszych, krzepkich hobbitów, uzbrojonych w topory, ciężkie młoty, długie noże i grube kije; niektórzy mieli nawet myśliwskie łuki. Z okolicznych farm przybywało coraz więcej ochotników.

Paru wieśniaków roznieciło duże ognisko, po pierwsze dlatego, że było to przez Wodza surowo zabronione. Ogień rozjarzył się jasno, gdy już zapadła noc. Inni na rozkaz Meriadoka ustawili w poprzek drogi zapory na obu krańcach wsi. Oddział szeryfów natknąwszy się na jedną z nich stanął zdumiony, a gdy szeryfowie zorientowali się, o chodzi, większość zdarła pióra z kapeluszy i przyłączyła się do powstania. Reszta zbiegła chyłkiem.

Gdy Sam nadszedł, Frodo i jego przyjaciele rozmawiali właśnie ze starym Tomem Cottonem, a tłum wieśniaków z Nad Wody otaczał ich w krąg z ciekawością i podziwem.

— Od czego więc zaczniemy? — spytał Cotton.

— Jeszcze tego nie rozstrzygnąłem, muszę najpierw zebrać więcej wiadomości — odparł Frodo. — Ilu zbirów jest w pobliżu?

— Trudno powiedzieć — rzekł Cotton. — Kręcą się wciąż, to przychodzą, to odchodzą. Około pół setki w tej ich budzie przy drodze do Hobbitonu; stamtąd rozlażą się po okolicy kradnąc czy też, jak to nazywają, „rekwirując”. Ale zwykle co najmniej dwudziestu trzyma się przy naczelniku, bo tak Wodza tytułują. Wódz mieszka czy też mieszkał w Bag End, ale ostatnio wcale się nie pokazuje. Nikt od paru już tygodni go nie widział. Co prawda jego Ludzie nie dopuszczają nikogo w pobliże tej siedziby.

— Nie tylko w Hobbitonie są Ludzie Wodza, prawda? — spytał Pippin.

— Gdzie ich nie ma! — odparł Cotton. — Spora banda na południu, w Longbottom i nad Brodem Sarn, jak słyszałem; siedzą też przyczajeni w Leśnym Zakątku i mają swoją budę przy Rozdrożu. A poza tym są Lochy, to znaczy stare podziemne składy w Michel Delving zamienione teraz na więzienia dla tych, którzy ośmielają się zbirom przeciwstawić. Razem nie ma tych łajdaków więcej niż trzy setki w całym Shire, a może trochę mniej. Damy im radę, jeśli weźmiemy się do kupy.

— Broń mają? — spytał Merry.

— Nahajki, noże i pałki. To im wystarcza do tej brudnej roboty. Z inną bronią jak dotąd jeszcze się nie zdradzili — odparł Cotton — ale myślę, że sięgną po coś więcej, jeśli przyjdzie do walki. Niektórzy mają na pewno łuki. Ustrzelili paru hobbitów.

— A widzisz, Frodo! — zawołał Merry. — Mówiłem ci, że bez walki się nie obejdzie. Tamci pierwsi zaczęli zabijać.

— Niezupełnie — wyjaśnił Cotton. — W każdym razie nie oni zaczęli strzelanie, ale Tukowie. Pański ojciec, panie Peregrinie, od początku nie chciał się z Lothem zadawać, mówił, że jeśli ktoś ma w naszych czasach rządzić Shire'em, to chyba tylko prawowity than, a nie samozwaniec. A kiedy Lotho nasłał na niego swoich ludzi, pan Tuk nie dał sobie dmuchać w kaszę. Tukowie to szczęściarze, mają w Zielonych Wzgórzach głębokie nory, Wielkie Smajale i tak dalej, więc zbiry nie mogły się do nich dostać, a Tukowie nie chcą nawet wpuszczać łajdaków na swoją ziemię. Jeśli któryś się tam zapędzi — wyganiają. Trzech, których przyłapali na rabunku, ustrzelili. Odtąd zbiry tym gorzej się rozsierdziły. I mają oko na Tuków. Nikt tam teraz nie dostanie się ani stamtąd nie wyjdzie.

— Górą Tukowie! — zawołał Pippin. — Ale ktoś jednak do Tukonu się dostanie. Jadę do Smajalów. Kto ze mną?

Zgłosiło się kilku młodzików na kucach i Pippin ruszył wraz z nimi.

— Do prędkiego zobaczenia! — krzyknął na odjeźdnym. — Na przełaj mamy nie więcej niż czternaście mil. Jutro rano stawię się z całą armią Tuków.

Merry zadął w róg, gdy znikali w gęstym już zmroku. Hobbici wszyscy krzykneli im na wiat.

— Mimo wszystko — rzekł Frodo do stojących najbliżej przyjaciół — nie chcę zabijania, oszczędzajcie nawet zbirów, chyba że nie byłoby innego sposobu obrony życia hobbitów.

— Dobrze — odparł Merry. — Ale możemy lada chwila spodziewać się odwiedzin tej bandy z Hobbitonu. Nie przyjdą na pogawędkę. Będziemy starali się potraktować ich wspaniałomyślnie, musimy jednak być przygotowani na najgorsze. Mam pewien plan.

— Zgoda — rzekł Frodo. — Ty zarządzaj wszystko.

W tej właśnie chwili nadbiegło paru hobbitów wysłanych przedtem na zwiady w stronę Hobbitonu.

— Idą już! — oznajmił. — Około dwudziestu zbirów, może więcej. Ale dwaj skrzyli przez pola na zachód.

— Z pewnością do Rozdroża — powiedział Cotton — po posiłki. Bądź co bądź mają piętnaście mil w każdą stronę do przebycia. Na razie możemy się o to nie martwić.

Merry pośpieszył wydać rozkazy. Tom Cotton oczyścił drogę odsyłając do domu wszystkich z wyjątkiem starszych hobbitów zaopatrzonych w jakąś broń. Nie czekali długo. Wkrótce usłyszeli donośne głosy, a potem tupot ciężkich stóp. Zaraz też cały oddział zbirów pokazał się na drodze. Na widok zapory wybuchnęli śmiechem. Nie wyobrażali sobie, żeby w tym kraiku znalazł się ktoś, kto stawia czoło dwom dziesiątkom Dużych Ludzi.

Hobbici otworzyli zaporę i ustawili się na skraju drogi.

— Dziękujemy! — szyderczo zawołali Ludzie. — A teraz jazda stąd do domów, pod pierzynę, jeśli nie chcecie dostać lania. — I maszerując przez ulicę wsi, wrzeszczeli: — Gasić światła! Wszyscy do domów, niech nikt nie waży się nosa wytknąć. W razie nieposłuszeństwa weźmiemy pięćdziesięciu tutejszych hobbitów na rok do Lochów. Do domów! Naczelnik traci już cierpliwość.

Nikt nie zważał na te rozkazy, lecz gdy oddział przeszedł, hobbici sformowali się w szeregi i ruszyli za nim. Przy ognisku zbiry zastały samotnego Toma Cottona grzejącego sobie ręce.

— Jak się zwiesz i co tu robisz? — spytał dowódca zbirów.

Tom Cotton z wolna podniósł na niego wzrok.

— Właśnie o to samo chciałem was zapytać — powiedział. — To nie wasz kraj i nikt was tu sobie nie życzy.

— Ale my życzymy sobie ciebie obejrzyć z bliska — odparł dowódca. — Brać go, chłopcy! Do Lochów z nim! A po drodze dajcie nauczkę, żeby się uspokoił.

Paru zbirów podbiegło ku niemu, lecz od razu stanęli jak wryci. Zewsząd wkoło rozległy się głosy i napastnicy zrozumieli nagle, że stary farmer nie jest tu sam. Byli otoczeni. W mroku, na skraju światła promieniującego od ogniska, stali kręgiem hobbici, którzy cichcem podpełzli pod osłoną ciemności. Było ich prawie dwustu i wszyscy uzbrojeni.

Wystąpił Merry.

— Spotkał się już raz i ostrzegałem cię, żebyś się więcej tu nie pokazywał — rzekł do dowódcy. — Ostrzegam cię po raz wtóry; stoisz w pełnym świetle, a nasi łucznicy wzięli cię na cel. Jeśli któryś z was tknie tego gospodarza czy też innego hobbita, padną strzały. Odrzućcie wszelką broń, jaką macie przy sobie.

Dowódca zbirów rozejrzał się wkoło. Był w pułapce. Nie zląkł się jednak, czuł się pewnie mając dwudziestu kamratów u boku. Za mało znał hobbitów, żeby docenić niebezpieczeństwo. W swym zaślepieniu postanowił walczyć. Wydawało mu się, że będzie bardzo łatwo przebić się przez szeregi oblegających.

— Bić ich, chłopcy! — krzyknął. — Bić, nie żałować!

Z długim nożem w jednej ręce, z kijem w drugiej, rzucił się na krąg hobbitów chcąc przedostać się z powrotem do Hobbitonu. Napotkał na swej drodze Meriadoka i z furią zamachnął się na niego kijem. Lecz w tym samym momencie padł martwy, przeszyty czterema strzałami.

Nauka nie poszła w las. Reszta zbirów poddała się hobbitom. Odebrano im broń, związano powrozami w szeregi i zaprowadzono do pustego budynku, który sami sobie zbudowali; tam spętanych zostawiono pod kluczem i pod strażą. Zabitego dowódcę pochowano opodal drogi.

— Aż za łatwo poszło, prawda? — rzekł Cotton. — Przepowiadałem, że damy im radę. Potrzebny był nam tylko sygnał. Wróciliście w samą porę, panie Merry!

— Jeszcze mamy sporo do zrobienia — odparł Merry. — Jeżeli twój rachunek był słuszny, unieszkodliwiliśmy dopiero dziesiątą część przeciwników. Ale teraz

już ciemno. Trzeba chyba z następnym krokiem czekać do rana. Wtedy złożymy wizytę Wodzowi.

— Czemu nie zaraz? — spytał Sam. — Ledwie szósta godzina. A mnie pilno zobaczyć Dziadunia. Czy nie wie pan, co u niego słyszać, panie Cotton?

— Nic dobrego, ale też nic bardzo złego — odpowiedział farmer. — Rozkopali całą skarpe nad Bagshot, a to był dla Dziadunia ciężki cios. Musiał przenieść się do jednego z nowych domów, które pobudowali Ludzie Wodza w tym okresie, kiedy jeszcze zajmowali się czymś poza paleniem i kradzieżą; mieszka teraz o niespełna milę od granicy wsi Nad Wodą. Odwiedza mnie przy każdej sposobności; wydaje się lepiej odżywiony niż wielu innych biedaków. Tak jak wszyscy jest przeciwnikiem nowych porządków. Zaprosiłbym go na stałe do siebie, ale to wzbronione.

— Dziękuję, panie Cotton, nigdy panu tego nie zapomnę — rzekł Sam. — Chcę koniecznie zobaczyć Dziadunia. Ten cały Wódz i jego Sharkey, czy jak go tam zwą, mogliby w ciągu nocy uknuć jakieś łotrstwo.

— Rób, jak uważasz, Samie — odparł Cotton. — Dobierz sobie do kompanii chłopaka albo ze dwóch i sprowadźcie Dziadunia do mego domu. Nie będziesz musiał wcale zbliżać się do starego Hobbitonu Nad Wodą. Jolly pokaże ci drogę.

Sam wybrał się niezwłocznie. Merry rozesłał zwiady w okolicę wsi i rozstawił na noc warty przy zaporach. Potem wraz z Frodem poszedł do domu Cottona. Siedzieli w gronie jego rodziny w ciepłej kuchni; Cottonowie grzecznie zadali kilka pytań o historię ich podróży, ale słuchali odpowiedzi jednym uchem, zanadto pochłonięci wydarzeniami w kraju.

— Zaczęło się wszystko przez tego Pypcia, jak przezwaliśmy Lotha — mówił Cotton. — I zaczęło się wkrótce po pańskim odejściu, panie Frodo. Pypeć miał dziwne pomysły. Wszystko chciał zagarnąć, a potem rządzić wszystkimi. Prędko się wydało, że już od dawna nagromadził wielki majątek, co mu wcale na zdrowie nie wyszło. Ale dalej skupował coraz więcej, chociaż nie wiadomo, skąd brał na to pieniądze. Już miał młyny i browary, i gospody, i farmy, i plantacje fajkowego ziele. Podobno jeszcze zanim się sprowadził do Bag End, kupił od Sandymana młyn.

Oczywiście, od początku miał po ojcu duże dobra w Południowej Czwartce i sprzedawał, jak chodziły słuchy, najlepsze liście za granicę, wywożąc je cichcem już od dwóch lat. Pod koniec zeszłego roku zaczął wysyłać już nie liście, ale przygotowane ziele i to całymi karawanami wozów. Zaczęło ziele w kraju brakować, a na domiar złego zbliżała się zima. Hobbici burzyli się na to, lecz umiał ich uspokoić. Na wozach zjechała gromada Dużych Ludzi, przeważnie zbójów; niektórzy mieli się zająć przewożeniem towaru na południe, inni zostali na dobre w Shire. Potem ściągnęło ich jeszcze więcej. Zanim się opatrzyliśmy, już ich było pełno wszędzie; wycinali drzewa, kopali, budowali sobie szopy i domy, robili, co chcieli. Zrazu Pypeć płacił za wyrządzone przez nich szkody, ale wkrótce

rozpanoszyli się tak, że po prostu brali, co im się podobało.

W kraju zaczęto szemrać, nie dość jednak głośno. Stary burmistrz, Will, wybrał się z protestem, ale nie doszedł do Bag End. Po drodze opadły go zbiry, zawlokły do Lochów w Michel Delving i tam po dziś dzień biedak siedzi. Stało się to jakoś zaraz po Nowym Roku, a gdy zabrakło burmistrza, Pypec ogłosił się Naczelnym Szeryfem i odtąd rządził samowolnie wszystkim. Kto się ośmielił, jak to oni nazywają, na „knańbrność”, tego spotykał los Willa. Z każdym dniem było gorzej. Ziela do fajek nikt nie miał prócz Ludzi Wodza; Wódz nie lubi piwa, więc go hobbitom odmówił, pozwalając pić tylko swoim Ludziom; wszystkiego było coraz mniej, tylko przepisów coraz więcej, żeby nikt nie mógł nic z własnego dobra zachować, gdy zbiry plądrowały dom po domu niby to dokonując „sprawiedliwego rozdziału”, w rzeczywistości brali wszystko dla siebie, a hobbitom nie dawali nic, prócz resztek, które można nabyć w domach szeryfów, ale to paskudztwo nie do strawienia. Źle się działo. Odkąd jednak zjawił się Sharkey, nastąpiła istna klęska.

— Kto zacz ten Sharkey? — spytał Merry. — Jeden ze zbirów coś nam o nim wspominał.

— Zbir nad zbirami, o ile mi wiadomo — odparł Cotton. — Pierwszy raz usłyszeliśmy jego imię mniej więcej w okresie żniw, jakoś pod koniec września. Nigdyśmy go nie widzieli; podobno mieszka w Bag End. On to, jak się domyślam, jest teraz prawdziwym naszym władcą. Zbiry wykonują jego wolę, a on każe rąbać, palić, burzyć. Ostatnio także — zabijać. Już w tym nie sposób dopatrzeć się sensu, bodaj nawet złośliwego. Wala drzewa i zostawiają na miejscu, żeby gnęły. Palą domy i przestali nowe budować.

Posłuchajcie, jak było z młynem Sandymana. Pypec go zburzył, jak tylko sprowadził się do Bag End. Potem sprowadził bandę Dużych Ludzi, z minami zbójów, żeby zbudowali nowy młyn, większy i pełen różnych zagranicznych wynalazków. Tylko durny Ted cieszył się z tego i pracuje przy czyszczeniu machin u Dużych Ludzi na tym miejscu, gdzie jego ojciec był młynarzem i gospodarzem. Pypec zapowiadał, że w jego młynie będzie się mełło więcej i szybciej. Ma takich młynów kilka. Ale żeby mleć, trzeba mieć ziarno, a do nowego młyna nie dostarczano go więcej niż do starego. Odkąd Sharkey panuje, w ogóle nie ma co mleć. Wciąż tylko słychać łoskot, dym bucha z komina, smród zapowietrza okolicę, a w Hobbitonie nikt nie zazna spokoju za dnia ani w nocy. Umyślnie wylewają jakieś brudy, zapaskudzili nimi w dolnym biegu Wodę i całe to plugastwo spływa do Brandywiny. Jeśli im o to chodzi, żeby Shire zamienić w pustynię, to wybrali dobrą drogę. Nie przypuszczam, żeby ten głupi Pypec do tego dążył. Moim zdaniem to robota Sharkeya.

— Na pewno! — odezwał się młody Tom Cotton. — Przecież uwięzili starą matkę Pypcia, Lobelię, którą Pypec bardzo kocha, ją chyba jedną n świecie. Hobbiti z Hobbitonu widzieli, jak to się stało. Lobelia szła ścieżką z Pagórka i miała

w ręku swój stary parasol. Spotkała kilku zbirów jadących wielkim wozem pod górę.

— Dokąd jedziecie? — pyta.

— Do Bag End.

— Po co?

— Budować szopy dla Sharkeya.

— Kto wam pozwolił?

— Sharkey — odparli. — Ustąp z drogi, stara jędzo.

— Ja wam pokażę Sharkeya, podli zbójce, złodzieje! — krzyknęła i z parasolem w garści rzuciła się na przywódcę, dwa razy większego niż ona. Oczywiście obezwładnili ją i zabrali. Powlekli do Lochów, a to przecież starowina. Więzła innych, bardziej nam miłych i potrzebnych, nie da się jednak zaprzeczyć, że Lobelia okazała się dzielniejsza od wielu hobbitów.

W tym momencie rozmowa się urwała, bo do kuchni wpadł Sam prowadząc Dziadunia. Stary Gamgee z pozoru nie postarzał się przez ten rok, ale ogłuchł jeszcze bardziej.

— Dobry wieczór, panie Baggins — powiedział. — Cieszę się, że cię widzę z powrotem całego i zdrowego. Ale mam z panem na pieńku, że tak powiem, jeśli wolno mi być szczerym. Nie powinien pan być sprzedawać Bag End, od początku to mówiłem. Od tego zaczęły się wszystkie biedy. A przez ten czas, kiedy pan sobie podróżował po obcych krajach wojując w górach z Czarnym Ludem — jeśli dobrze zrozumiałem, co Sam plecie, bo z nim trudno się dogadać — tutaj zbójce przekopali nasz Pagórek i zniszczyli moje ziemniaki.

— Bardzo mi przykro, panie Gamgee — odparł Frodo. — Teraz, skoro wróciłem, postaram się w miarę moich sił naprawić szkody.

— Sprawiedliwie pan mówi — rzekł Dziadunio. — pan Frodo Baggins jest uczciwym hobbitem, zawsze to powiadałem, chociaż nie o wszystkich osobach tego nazwiska, za przeproszeniem, można to samo powiedzieć. Mam nadzieję, że mój Sam sprawował się w podróży przyzwoicie i że pan z niego jest zadowolony?

— Najzupełniej! — odparł Frodo. — Nie wiem, czy mi pan uwierzy, ale Sam teraz jest osobistością sławną na całym świecie; we wszystkich krajach, stąd aż do Morza i na drugim brzegu Rzeki, ludzie śpiewają pieśni o nim i o jego czynach.

Sam zaczerwienił się, ale z wdzięcznością spojrział na Froda, bo Różyczce oczy zabłyśły i uśmiechnęła się do młodego bohatera.

— Trudno w to uwierzyć — rzekł Dziadunio. — Ale widzę, że mój Sam dostał się w dziwną kompanię. Co on za kubrak ma na sobie? Nie podoba mi się, żeby rozsądny hobbit ubierał się w żelastwo, chociaż możliwe, że to się nie zedrze tak

prędko jak inne ubrania.

Nazajutrz rodzina Cottonów i jej goście wstali o świcie. Noc minęła spokojnie, ale można było spodziewać się, że dzień przyniesie z pewnością niejedną przygodę.

— Tak wygląda, jakby w Bag End nie było już zbirów — rzekł stary Cotton — ale banda z Rozdroża zjawi się lada chwila.

Ledwie zjedli śniadanie, nadjechał goniec z Tukonu. Był pełen zapału.

— Than zerwał na nogi cały kraj — powiedział. — Wieść szerzy się wszędzie jak pożar, zbójce, którzy pilnowali Tukonu, a raczej ci z nich, którzy uszli z życiem, zbiegli na południe. Than ściga ich, żeby nie dopuścić do połączenia się na drodze z wielką bandą. Pana Peregrina jednak odesłał z tylu hobbitami, ilu mogli ze swego oddziału bez narażenia wyprawy odstąpić.

Następna nowina była mniej pomyślna. Merry, który całą noc spędził na koniu, przyjechał około dziesiątej do farmy.

— Silna banda nadciąga, są nie dalej niż o cztery mile stąd — oznajmił. — Idą gościńcem od Rozdroża, ale po drodze przyłączyli się do nich ludzie z różnych oddziałów. Będzie razem koło stu, a wszystko, co im się nawinie w marszu, podpalają. Łajdacy!

— Ha! Ci nie będą się wdawali w układy, idą zabijać — rzekł stary Cotton. — Jeśli Tukowie nie zjawią się wcześniej niż oni, musimy się ukryć i z zasadzki strzelać bez ostrzeżenia. Nie obejdzie się bez walki, zanim przywrócimy ład, panie Frodo!

Tukowie jednę wyprzedzili nieprzyjaciół. Przymaszerowała z Tukonu i Zielonych Wzgórz setka dziarskich hobbitów z Pippinem na czele. Merry miał teraz dość podkomendnych, żeby rozprawić się ze zbirami. Zwiadowcy donieśli, że przeciwnicy trzymają się zwartą kupą. Wiedzieli już, że kraj powstał przeciw nim, i najwyraźniej zamierzali stłumić bunt bez litości, przecież Nad Wodą był główny ośrodek ruchu. Banda zdawała się groźna i zawzięta, brakowało jej wszakże dowódcy biegłego w sztuce wojennej. W marszu nie zachowywała żadnych ostrożności. Merry szybko powziął plan działania.

Zbójcy maszerowali Wschodnim Gościńcem, po czym nie zatrzymując się zbczyli na drogę prowadzącą Nad Wodę; droga ta biegła czas jakiś stokiem w dół pomiędzy wysokimi skarpami porośniętymi u szczytu niskim żywopłotem. Za pierwszym skrętem, o niespełna ćwierć mili od gościńca, zbójcy natknęli się na przeszkodę: drogę zagradzał ciężki przewrócony wóz chłopski. To wstrzymało pochód. W tym samym momencie spostrzegli, że po obu stronach za żywopłotem, wprost nad ich głowami, stoi mur hobbitów. Inni hobbitci tymczasem już wtaczali

wozy, ukryte na polach, i barykadowali drogę zamykając zbójom odwrót. Z góry rozległ się głos:

— Tak więc wleźliście w potrzask — mówił Merry. — To samo przytrafiło się waszym kamratom z Hobbitonu; jeden z nich poległ, inni są naszymi więźniami. Złóżcie broń! Cofnijcie się o dwadzieścia kroków i siadźcie. Kto by próbował ucieczki, tego ustrzelimy.

Ale zbójcy nie dali się tak łatwo nastraszyć. Kilku chciało posłuchać wezwania, lecz natychmiast współtowarzysze wybili im to z głowy. Ze dwudziestu zawróciło i rzuciło się na wozy tarasujące drogę. Sześciu padło od strzał, lecz inni przedarli się, zabijając dwóch hobbitów, i w rozsypce puścili się przez pola w kierunku Leśnego Zakątka. Dwaj z nich polegli dosięgnięci w biegu strzałami. Merry głośno zadał w róg i oddali odpowiedziało mu granie rogów.

— Nie uciekną daleko — rzekł Pippin. — Cała okolica roi się teraz od naszych sprzymierzeńców.

Tymczasem zamknięci w pułapce na drodze zbójcy, których tu było jeszcze z osiemdziesięciu, próbowali wdrapywać się na barykady lub na skarpy, tak że hobbitci musieli użyć łuków i toporów. Mimo strat, wielu najsilniejszych i najbardziej zawziętych zbójów wydostało się na zachodni stok i stąd nacierało z furją na przeciwnika, szukając teraz krwawej pomsty raczej niż ucieczki. Kilku hobbitów poległo, opór już zaczynał słabnąć, gdy ze wschodniej strony nadbiegli Merry i Pippin i rzucili się w wir walki. Merry własną ręką ściął dowódcę zbirów, zezowatego, dzikiego wielkoluda, podobnego do ogromnego orka. Potem wycofał oddział zostawiając wkoło garstki niedobitków szeroki krąg łuczników.

Wreszcie było po wszystkim. Blisko siedemdziesięciu zbójów padło w walce, kilkunastu dostało się do niewoli. Straty hobbitów wynosiły dziewiętnastu zabitych i trzydziestu rannych. Trupy zbójcekie załadowano na wozy, przewieziono do dołu pobliskiej kopalni piasku i pogrzebano. Odtąd miejsce to nazywało się Bitewnym Dołem. Poległych hobbitów złożono we wspólnym grobie na stoku wzgórza i postawiono tam później wielki kamień z napisem, a wokół zasadzono ogród. Tak się skończyła bitwa Nad Wodą w roku 1419, ostatnia bitwa stoczona na ziemiach Shire'u i pierwsza, jaka w tym kraju rozegrała się od dnia bitwy na Zielonych Polach, w Północnej Czwartce, w roku 1147. Toteż, chociaż nie nazbyt krwawa, zajęła cały rozdział w Czerwonej Księdze, a imion jej uczestników spisa-no, tak że kronikarze Shire'u umieli je na pamięć. Od tego czasu datuje się znaczny wzrost sławy i majętności rodu Cottonów; na czele jednak listy we wszystkich sprawozdaniach stały nazwiska dowódców: Meriadoka i Peregrina.

Frodo był w tej bitwie, lecz nie dobył miecza z pochwy; rola jego polegała głównie na tym, że powściągał hobbitów, uniesionych gniewem i bólem wobec straty tyłu przyjaciół, i nie dopuścił, by ktokolwiek tknął przeciwnika zdające-

go się na łaskę zwycięzców. Po bitwie i pogrzebaniu ofiar Merry, Pippin i Sam wraz z Frodem ruszyli z powrotem do zagrody Cottonów. Gdy zjedli obiad, Frodo westchnął i rzekł:

— Teraz, jak myślę, pora rozprawić się z „Wodzem”.

— Tak jest, im prędzej, tym lepiej — powiedział Merry. — I nie bądź zbyt łagodny! To on przecież jest odpowiedzialny za sprowadzenie do Shire’u zbirów i za wszystkie krzywdy, które w kraju wyrządzili.

Stary Cotton zebrał świtę złożoną z dwudziestu kilku dzielnych hobbitów.

— Przypuszczamy, że w Bag End nie ma już zbirów — rzekł — ale na pewno tego nie wiadomo.

Oddział wymaszerował; Frodo, Sam, Merry i Pippin prowadzili. Były to najsmutniejsze godziny w ich życiu. Przed nimi sterczał w niebo olbrzymi komin, a gdy się zbliżali do starego osiedla, położonego na drugim brzegu Wody, idąc drogą pomiędzy dwoma rzędami nowych, lichych domów, zobaczyli nowy młyn w całej jego złowrogiej i brudnej brzydocie: duży budynek z cegły okraczał rzecz-kę i plugawił jej nurt wylewając weń potoki dymiącej i cuchnącej cieczy. Wszędzie wzdłuż drogi ścięto drzewa.

Kiedy przeszli przez most i podnieśli oczy na Pagórek, wrażenie dech im zaparło w piersi. Nawet wizja, która Samowi ukazała się w Zwierciadle Galadrieli, nie przygotowała ich na tak okropny widok. Po zachodniej stronie stary spichlerz zburzono i na jego miejscu wyrosły umazane smołą budy. Drzewa kasztanowe zniknęły. Zielone skarpy i żywopłoty zniszczono. Na dawnym trawniku ciągnęło się nagie udeptane pole, a na nim stały rozrzucone bezładnie ogromne wozy. Gdzie przedtem była uliczka Bagshot Row, ział rozkopany dół i piętrzyło się usypisko piachu zmieszanego ze żwirem. Samego Bag End nie mogli dostrzec, bo dawną siedzibę Bagginsów przesłaniały skupione na stoku duże szopy.

— Ścięli urodzinowe drzewo! — krzyknął Sam. Wskazywał miejsce, gdzie niegdyś rośło drzewo, pod którym Bilbo wygłosił swoją pożegnalną mowę. Zwalone i martwe leżało pośród pola. Jak gdyby ta ostatnia kropla przepełniła miarę, Sam wybuchnął płaczem. Odpowiedział mu szyderczy śmiech. Hobbit, który wyglądał zza niskiego muru opasującego dziedziniec młyna, miał prostacką, roześmianą, usmoloną gębę i czarne od brudu ręce.

— Nie w smak ci to wszystko, Samie, co? — zadrwił. — Zawsześ był mazgajem. Myślałem, żeś odpłynął na jednym z tych statków, o których tyle bajek plotłeś, i że sobie żeglujesz po morzach. Po co wracasz? My tutaj teraz ciężko pracujemy.

— A widzę! — odparł Sam. — Takiś zapracowany, aż zabrakło ci czasu, żeby się umyć, ale starczyło, żeby się gapić zza płota. Mamy z sobą stare porachunki, radzę ci nic do nich więcej swoimi dowcipami nie dodawać, bo i tak nie wiem, czy własną skórą nie będziesz musiał dopłacać.

Ted Sandyman splunął ponad murem.

— Nie boję się ciebie — rzekł. — Palcem mnie nawet nie odważysz się tknąć, bo jestem przyjacielem Wodza. On za to ciebie tknie, i to nie palcem, jeśli choć słowo jeszcze piśniesz.

— Nie trać czasu na tego durnia, Samie — powiedział Frodo. — Mam nadzieję, że niewielu hobbitów tak zgłupiało jak ten. Byłoby to smutniejsze niż wszystkie inne szkody, które nam zbójcy wyrządzili.

— Brudas i gbur z ciebie, Sandymanie — rzekł Merry. — A w dodatku trafiłeś kulą w płot. Idziemy na Pagórek, żeby wyrzucić stąd twojego Wodza. Jego ludzi już rozbiliśmy w puch.

Ted zbaraniał, w tej bowiem chwili dopiero zobaczył zbroję świętą, która na rozkaz Meriadoka maszerowała właśnie przez most. Umknął do młyna, lecz natychmiast wyskoczył znów z rogiem w rękę i zadał w niego donośnie.

— Oszczędzaj tchu — zaśmiał się Merry — bo ja mam lepszy głos.

Podniósł do ust srebrny róg i zagrał; czysta muzyka wzbila się na Pagórek, a z wszystkich nor, bud i szpetnych domów Hobbitonu odpowiedzieli na ten zew hobbiti wybiegając tłumnie na drogę, by wśród wiwatów i radosnych okrzyków towarzyszyć wyprawie do Bag End.

U szczytu ścieżki cała gromada zatrzymał się, tylko Frodo z przyjaciółmi poszedł dalej; znaleźli się wreszcie w tej niegdyś ukochanej siedzibie. Ogród był zabudowany szopami i budami, a niektóre stały tak blisko okien wychodzących na zachód, że nie dopuszczały do nich światła. Wszędzie piętrzyły się kupy śmieci i odpadków. Drzwi były odrapane, sznur od dzwonka zwisał oderwany, a dzwonek nie dzwonił. Na kołatanie nie doczekali się odpowiedzi. W końcu naparli siłą na drzwi, które ustąpiły. Weszli. Wnętrze cuchnęło, brudne i nieporządne: można by myśleć, że od dawna nikt tu nie mieszka.

— Gdzież się ten nikczemny Lotho schował? — spytał Merry.

Przeszukali wszystkie pokoje i nie znaleźli żywej duszy, prócz szczurów i myszy. — Może każemy ochotnikom przetrząsnąć szopy i budy?

— Gorsze to niż Mordor — powiedział Sam. — Tak, dużo gorsze, bardziej rani serce, bo to przecież dom rodzinny, który pamiętamy z dawnych dni, zanim go zniszczono.

— To jest Mordor — powiedział Frodo. — Jedno z dzieł Mordoru. Saruman dla Mordoru pracował nawet wtedy, gdy mu się zdawało, że dąży do własnych celów. Tak samo jak wszyscy, którzy dali się Sarumanowi opętać, na przykład Lotho.

Merry rozglądał się z rozpaczą i wstrętem.

— Wyjdźmy stąd! — rzekł. — Gdybym wiedział o wszystkim, co tutaj nabrojon, wepchnąłbym Sarumanowi sakiewkę z zieleń pięścią do gardła.

— Pewnie, pewnie! Aleś tego nie zrobił, dzięki czemu mogę cię dziś tutaj powitać!

W progu stał Saruman we własnej osobie, dobrze odżywiony i zadowolony; oczy mu błyszczały złośliwością i rozbawieniem. Frodo w nagłym olśnieniu zrozumiał.

— Sharkey! — krzyknął.

Saruman zaśmiał się głośno.

— A więc słyszałeś już moje imię? Tak mnie nazywali podwładni jeszcze w Isengardzie. Myślę, że w dowód przywiązania¹. Oczywiście nie spodziewałeś się spotkać mnie w Bag End.

— Nie — odparł Frodo. — A mogłem być to przewidzieć. Mała, nikczemna złośliwość! Gandalf ostrzegął mnie, że do tego jeszcze zachowałeś zdolność.

— Całkowitą — rzekł Saruman. — Zdolny jestem nawet do wcale niemałych złośliwości. Śmieć mi się chciało, kiedy patrzałem na was, hobbicy półpanowie, jak jedziecie w orszaku wielkich ludzi tacy dufni, tacy zadowoleni ze swoich małych osóbek. Zdawało wam się, że cała ta historia już się szczęśliwie zakończyła i że po prostu spacerkiem pojedziecie do swego kraju, gdzie resztę życia spędzicie miło i wygodnie. Można było zburzyć dom Sarumanowi i wygnać go na tułaczkę, ale mowy o tym być nie może, by ktoś naruszył ten wasz dom. Co to, to nie! Przecież wami opiekuje się Gandalf... — Saruman znów się zaśmiał. — Ale nie znacie Gandalfa. Skoro narzędzia w jego ręku wykonały robotę, rzuca je w kąt. Wyście jednak czepiali się go nadal, marudząc, gadając, podróżując okrężną drogą, dwa razy dłuższą od prostej. „Jeśli są tak głupi — pomyślałem — wyprzedzę ich i dam nauczkę. Wet za wet, z kolei ja sprawię im niespodziankę”. Nauczka byłaby jeszcze lepsza, gdybyście mi zostawili trochę więcej czasu i gdybym miał więcej ludzi na dwoje usługi. Ale i tak zdziałąłem sporo, przekonacie się, nie starczy wam życia, żeby to wszystko naprawić albo odrobić. Miła to dla mnie myśl, znajdę w niej pewne zadośćuczynienie za swoje krzywdy.

— Jeśli w tym znajdujesz przyjemność, żal mi cię, Sarumanie — rzekł Frodo. — Obawiam się zresztą, że wkrótce zostanie ci po tej przyjemności co najwyżej wspomnienie. A teraz odejdz stąd i nie wracaj nigdy.

Hobbicy z wiosek zauważyli Sarumana wychodzącego z którejś szopy i natychmiast zbiegli się tłumnie pod drzwi. Gdy usłyszeli rozkaz Froda, zaczęli szemrać gniewnie:

— Nie wypuszczać go z życiem! Zabić go! To łotr i morderca. Zabić!

Saruman powiódł wzrokiem po wrogich twarzach i uśmiechnął się szyderczo.

— Zabić? — rzekł. — Spróbujcie, jeśli wam się zdaje, że macie dość sił, żeby się porwać na to, moi poczciwi hobbicy! — Wyprostował się i wbił w nich spojrzenie pośępnych czarnych oczu. — Ale nie myślcie, że wraz z całym mieniem utraciłem całą moc. Ktokolwiek podniesie na mnie rękę, ściągnie na siebie klątwę. A jeśli moja krew splami Shire, ziemia ta zwiędnie i nigdy już nie zagoi swoich

¹ Wyraz ten prawdopodobnie pochodził z języka orków, w którym „sharku” znaczy staruszek.

ran.

Hobbici cofnęli się, a Frodo rzekł:

— Nie wiercie mu! Stracił moc, zachował tylko głos, który będzie was straszyl i oszukiwał, jeśli mu się poddacie. Nie chcę jednak, byście go zabijali. Na nic się nie zda zemstą płacić za zemstę, tak nie zbuduje się nic dobrego. Odejdź, Sarumanie, odejdź jak najprędzej.

— Smoku, Smoku! — zawołał Saruman. Z sąsiedniej szopy pełznął, płaszcząc się jak pies Smoczy Język. — Znowu ruszamy w drogę, Smoku! — powiedział Saruman. — Ci szlachetni hobbici i półpankowie wypędzają nas znów na tułaczkę. Chodźmy!

Saruman odwrócił się i ruszył, a Smoczy Język poczłapał za nim. Lecz gdy mijali Froda, w rękę Sarumana znienacka błysnął nóż. Dźgnął błyskawicznie. Ostrze wygięło się na ukrytej pod płaszczem kolczudze i pękło. Kilkunastu hobbistów z Samem na czele skoczyło naprzód, obaliło łotra na ziemię. Sam wyciągnął miecz.

— Stój, Samie! — krzyknął Frodo. — Nawet teraz nie zabijaj! Nie zranił mnie. A w każdym razie nie pozwolę, byś go zabił w taj haniebny sposób. Był kiedyś wielki, należał do szlachetnego bractwa, przeciw któremu żaden z nas nie śmiałby podnieść ręki. Upadł, nie w naszej mocy go dźwignąć. Ale oszczędźmy jego życie w nadziei, że znajdzie się ktoś, kto go będzie umiał podźwignąć.

Saruman wstał i popatrzył na Froda. Oczy jego miały zagadkowy wyraz podziwu, szacunku i nienawiści zarazem.

— Wyrosłeś, niziolku — powiedział. — Tak, tak, bardzo wyrosłeś. Jesteś mądry i okrutny. Odarłeś moją zemstę ze słodyczy i muszę stąd odejść z gorzkim poczuciem, że zawdzięczam życie twojej litości. Nienawidzę ciebie. Odchodzę, nie będę cię więcej niepokoił. Nie spodziewaj się jednak ode mnie życzeń zdrowia i długiego życia. Nie będziesz się cieszył ani jednym, ani drugim. Ale to już nie za moją sprawą. Ja tylko przepowiadam.

Gdy odchodził, hobbici rozstąpili się otwierając mu przejście, lecz tak silnie ściskali w garści broń, że kostki na rękach im zbieleły. Smoczy Język wahał się chwilę, potem ruszył za swym panem.

— Smoczy Języku! — zawołał Frodo. — Nie jesteś zmuszony iść za nim. O ile mi wiadomo, nie wyrządziłeś mi nic złego. Możesz odpocząć i odżywić się tutaj, a gdy nabierzesz sił, pójść własną drogą.

Smoczy Język przystanął i obejrzał się na Froda, jak gdyby prawie już zdecydowany pozostać. Lecz Saruman odwrócił się szybko.

— Nic złego ci nie wyrządził? — zaskrzeczał. — Och, nie! Nawet gdy się wymykał po nocach, chciał tylko popatrzeć na gwiazdy. Ale czy mi się zdawało, czy też ktoś pytał, gdzie schował się biedny Lotho? Ty coś o tym wiesz, Smoku, prawda? Może im powiesz?

Smoczy Język skulił się i wyjąkał:

— Nie, nie!

— A więc ja powiem — rzekł Saruman. — Smoczy Język zabił waszego Wodza, biednego malca, pocziwego naczelnika. Prawda, Smoku? Zadźgałeś go śpiącego, jak przypuszczam. I pochwaleś, mam nadzieję; chociaż nie wiem, bo Smok był ostatnio bardzo zgłodniały. Nie, Smok nie jest przyjemną osobistością. Radzę wam oddać go pod moją opiekę.

Dzika nienawiść zabłyśła w przekrwionych oczach Smoczego Języka.

— To tyś mi kazał, tyś mnie zmusił — syknął.

— A ty zawsze robisz, co Sharkey każe, czy tak? — zaśmiał się Saruman. — Więc teraz powiadam ci: chodź ze mną.

Kopnął w twarz kulącego się na ziemi niewolnika, odwrócił się i już miał odejść, gdy nagle Smoczy Język, jakby na sprężynie, zerwał się i wyciągnawszy ukryty w fałdach odzieży sztylet skoczył Sarumanowi na kark, szarpnął wstecz głowę i poderżnął gardziel, po czym z krzykiem pomknął ścieżką w dół. Zanim Frodo zdążył oprzytomnieć i przemówić, trzy cięciwy hobbickich łuków zadzwoniły jednocześnie i Smoczy Język padł trupem.

Ku zdumieniu wszystkich zgromadzonych, szara mgła spowiła ciało Sarumana i wzbijając się z wolna ku niebu niby dym z ogniska zawisła nad szczytem Pagórka jak błada, całunem okryta postać ludzka. Chwilę kotysała się tam, zwrócona ku zachodowi, lecz w tym momencie dmuchnął zimny wiatr; postać przysięła się i z westchnieniem rozplynęła w nicość.

Frodo z litością i zgrozą patrzył na wyciągnięte u swych stóp martwe ciało, bo wyglądało tak, jakby nagle w nim objawiły się długie lata śmierci; malało w oczach, skurczona twarz przeobraziła się w łachman skóry spowijający ohydą czaszkę. Frodo chwycił rąbek porzuconego obok brudnego płaszcza, nakrył nim ten straszny zewłok i odszedł prędko sprzed swego dawnego domu.

— A więc koniec — rzekł Sam. — Okropny koniec, wolałbym go nie oglądać. Bądź co bądź świat pozbył się dwóch gadów.

— A zarazem wojna skończyła się już ostatecznie — powiedział Merry.

— Mam nadzieję! — westchnął Frodo. — To był jej ostatni cios. Że też musiał spaść właśnie tutaj, w progu Bag End! Wśród tylu nadziei i obaw, tego nie przewidywałem.

— Prawdziwie skończy się wojna dopiero wtedy, kiedy naprawimy wszystkie szkody — rzekł ponuro Sam. — Będzie z tym niemało roboty na długie lata!

ROZDZIAŁ XIX

Szara Przystań

Rzeczywiście z przywracaniem w kraju ładu było niemało roboty, wszystko to jednak trwało krócej, niż Sam się obawiał. Nazajutrz po bitwie Frodo pojechał do Michel Delving, żeby uwolnić z Lochów więźniów. Wśród pierwszych od razu znalazł się Fredegar Bolger — już teraz nie zasługujący na przezwisko Grubasa. Ludzie Wodza uwięzili go, gdy wyparli z kryjówek w Krzywych Jamach koło wzgórz Wypłosz całą grupę opornych, którym przewodził Fredegar.

— Okazuje się, że byłbyś lepiej wyszedł idąc z nami w świat, biedaku! — powiedział Pippin, gdy więźnia wynoszono z Lochów, bo nieborak był doszczętnie wyczerpany.

Fredegar otworzył jedno oko i zdobył się na uśmiech.

— A co to za olbrzym przemawia tak potężnym głosem? — spytał szeptem. — Niemożliwe, żeby to był nasz mały Pippin. Który numer kapelusza nosisz teraz?

Wśród wyzwolonych była też Lobelia. Wyciągnięto ją z ciemnej i ciasnej celi, bardzo starą i okropnie wychudłą. Upała się jednak, że wyjdzie na własnych nogach, a gdy się ukazała, wsparta na ramieniu Froda, trzymając wciąż jeszcze parasol w zaciśniętej dłoni tłum przywitał ją owacyjnie, nie szczędząc oklasków i wiwatów, tak że Lobelia wzruszyła się do łez. Po raz pierwszy pozyskała ogólną sympatię. Zmiażdżyła ją dopiero wiadomość o śmierci Lotha i nie chciała wracać do Bag End. Oddała z powrotem Frodowi jego dawną siedzibę, a sama osiadła u swoich krewnych, Bracegirdle'ów w Hardbottle.

Gdy następnej wiosny zmarła — miała bądź co bądź ponad sto lat — Frodo doznał wzruszającej niespodzianki: biedna Lobelia zostawiła mu w testamencie cały majątek swój i Lotha prosząc, by zużył go na wsparcie dla hobbitów poszkodowanych w czasie powszechnych zamieszek. Tak się zakończyła stara rodzinna waśń.

Sędziwy Will Whitfoot przesiedział w Lochach dłużej niż inni więźniowie, a chociaż niejednego traktowano tam gorzej niż jego, musiał porządnie odżywiać się, zanim odzyskał postawę, jaka przystoi burmistrzowi stolicy hobbitów. Na razie więc, póki Will nie nabrał odpowiedniej tuszy, zastępował go Frodo. Wła-

ściwie przeprowadził w okresie burmistrzowania jedną tylko reformę: zmniejszył liczbę szeryfów i ograniczył ich funkcję do poprzedniego stanu. Obowiązek wytępienia resztek zbirów powierzono Meriadokowi i Pippinowi, którzy też prędko wywiązali się z tego zadania. Bandy południowców, na wieść o bitwie Nad Wodą, umykały z Shire'u nie stawiając niemal oporu wojsku thana. Przed końcem roku niedobitków otoczono w lasach, a tych, którzy się poddali, odstawiono do granicy kraju.

Tymczasem wrzała praca nad odbudową i Sam uwijał się od rana do wieczora. Hobbici bywają pracowici jak mrówki, gdy zajdzie potrzeba i gdy chcą. Nie brakowało teraz tysięcy ochoczych rąk, od małych, lecz zręcznych rączek chłopięcych i dziewczęcych, aż do spracowanych i sękatych rąk dziadków i babek. Nim nadszedł dzień zimowego przesilenia, cegła na cegle nie została z nowych domów szeryfów i ze wszystkich budowli wzniesionych przez Ludzi Wodza. Cegieł jednak nie zmarnowano, lecz użyto ich do naprawy starych hobbickich nor, które dzięki temu stały się bardziej przytulne i suchsze. W szopach, stodołach i odludnych norach odkryto wielkie ilości sprzętów, zapasy prowiantów i piwa, pochowane tam przez zbirów; zwłaszcza w tunelach pod Michel Delving i w starych kamieniołomach pod Wypłosem znaleziono mnóstwo ukrytych towarów, żywności, beczek piwa, więc tegoroczne gody można było obchodzić hucznie i wesoło.

Przed wszystkim — nawet przed rozbiórką nowego młyna — przystąpiono do uporządkowania Pagórka i Bag End oraz do odbudowy uliczki na zboczu. Nową kopalnię piasku i żwiru zasypano, stok Pagórka zamieniono w duży, zaciszny ogród, a w południowym zboczu wydrążono nowe norki, obszerne i wyłożone cegłą. Dziadunio wprowadził się z powrotem pod numer trzeci; powtarzał też każdemu, kto chciał słuchać:

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. A wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Trochę się spierano, jak nazwać odbudowaną ulicę. Jedni głosowali za „Ogrodem Bitwy”, inni woleli „Lepsze Smajale”. Ostatecznie zwyciężył zdrowy hobbicki rozsądek i wybrano po prostu nazwę: Uliczka Nowa. Nad Wodą dowcipnisie czasem jednak nazywali ją „Nagrobkiem Sharkeya”.

Najdotkliwszą stratą było wyniszczenie drzew, bo na rozkaz Sharkeya wycięto je bez litości na całym obszarze kraju. Sam ubolewał nad tym bardziej niż nad innymi szkodami wyrządzonymi przez zbirów. Ta rana nie mogła się bowiem zagoić przed upływem długich lat i Sam myślał, że dopiero jego prawnuki zobaczą Shire takim, jaki być powinien.

Wśród nawału pracy nie miał czasu na wspomnienia o przygodach wyprawy, nagle jednak pewnego dnia przypomniał sobie dar Galadrieli. Wyjął szkatułkę i pokazał ją innym Wędrowcom — bo tak ich teraz powszechnie nazywano — prosząc o radę.

— Zastanawiałem się już, kiedy wreszcie o tym pomyślisz — rzekł Frodo. — Otwórz szkatułkę.

Wypełniał ją szary pył, miękki i drobnoziarnisty, a pośrodku tkwiło w nim nasienie podobne do orzecha w srebrnej łupinie.

— Co mam z tym zrobić? — spytał Sam.

— Rzuć na wiatr w pierwszy wietrzny dzień, a o resztę się nie troszcz — powiedział Pippin.

— Ale co z tego wyniknie?

— Wybierz kawałek ziemi na półko doświadczalne; zobaczysz, jak będą się tam rośliny czuły — rzekł Merry.

— Pani Galadriela z pewnością nie życzyłaby sobie, żebym wszystko zużył we własnym ogrodzie, skoro tylu innych hobbitów poniosło straty.

— Musisz, Samie, kierować się rozsądkiem i doświadczeniem, a tego daru użyj tak, żeby wspomógł twoją pracę i polepszył jej wyniki — powiedział Frodo.

— Szkatułka jest mała, a każde ziarenko ma zapewne wielką wartość.

Sam posadził więc młode drzewka wszędzie, gdzie źli ludzie zniszczyli szczególnie piękne i kochane drzewa, i przy korzeniach każdej sadzonki umieścił w ziemi po jednym cennym pyłku z Lorien. Przemierzył cały kraj wzdłuż i wszerz pracując pilnie, lecz najtroskliwiej opiekował się Hobbitonem i sadami Nad Wodą — czego nikt nie mógł mu wziąć za złe. Gdy w końcu stwierdził, że została mu jeszcze odrobina pyłu, poszedł do Kamienia Trzech Ćwiartek, znaczącego niemal dokładnie środek Shire'u, i rozrzucił tę resztkę na cztery strony świata. Srebrny orzeszek zasadził na trawniku w Bag End, gdzie odbywały się niegdyś zabawy urodzinowe i gdzie dawniej rośło pamiętne drzewo. Bardzo był ciekaw, co z tego nasienia wyrośnie. Zimę przeczekał jako tako cierpliwie, chociaż korciło go wciąż, żeby zaglądać w to miejsce, czy nic tam się jeszcze nie dzieje.

Wiosna przewyższyła jego najśmielsze nadzieje. Drzewa puszczały pędy i rosły tak gwałtownie, jakby czas przyspieszył biegu i chciał w ciągu jednego roku spełnić zadania dwudziestu lat. Na urodzinowym trawniku wystrzeliło z ziemi śliczne młodziutkie drzewko; korę miało srebrną, liście podługne, a w kwietniu okryło się złotymi kwiatami. Był to prawdziwy mallorn, który stał się przedmiotem podziwu całej okolicy. Po latach, gdy wyrósł bujnie i wypiękniał jeszcze bardziej, zasłynął szeroko; z daleka przybywali goście, żeby go zobaczyć, był to bowiem jedyny mallorn na zachód od Gór i na wschód od Morza, a piękniejszego nie znalazłoby się na całym świecie.

Rok 1420 zapisał się w ogóle w Shire wyjątkowym urodzajem. Słońce świeciło wspaniale, deszcz świeży spadał zawsze w porę i w miarę, a co dziwniejsze, powietrze tchnęło ożywczym, pobudzającym zapachem i blask, nie znany śmiertelnikom w innych latach, ozłocił przelotnie Śródziemie. Dzieci poczęte lub uro-

dzzone tego roku — a było ich mnóstwo i wszystkie urodziwe i silne — miały przeważnie bujne złote włosy, co wśród hobbitów przedtem należało do rzadkości. Owoce tak obrodziły, że małe hobbitęta niemal kąpały się w truskawkach ze śmietaną, a później siedząc w trawie pod śliwą jadły śliwki dopóty, dopóki z pestek nie zbudowały miniaturowych piramid, niby zwycięzcy piętrzący na pobojo-wisku czaszki rozgromionych wrogów. Nikt się jednak od tego nie rozchorował i wszyscy byli zadowoleni oprócz kosiarzy, którzy potem kosili trawę.

W Południowej Ćwiartce winorośl ugięła się od gron winnych, a plon liści fajkowych zebrano zdumiewająco obfity; wszystkie też spichrze pomieścić nie mogły ziarna po żniwach. Jęczmień w Północnej Ćwiartce tak się udał, że hobbitci zapamiętali na długo piwo ze zbiorów roku 1420 i nawet stało się ono przysłowiowe. W wiele pokoleń później można było w gospodzie usłyszeć, jak stary hobbit po dobrze zasłużonym kufelku wzdycha: „Dobre! Prawie jak w czterysta dwudziestym roku”.

Sam z początku wraz z Frodem mieszkał u Cottonów, gdy jednak zbudowano Nową Uliczkę, przeniósł się tam z Dziaduniem. Poza wszystkimi swoimi pracami kierował również uprzątnięciem i odnawianiem siedziby w Bag End, często wszakże wyjeżdżał sadić i pielęgnować drzewa na całym obszarze Shire’u. Dlatego też nie było go w domu w pierwszej połowie marca i nie wiedział nic o tym, że Frodo zachorował. Trzynastego marca stary Cotton znalazł Froda leżącego w łóżku; zaciskał w ręku biały kamień, który stale nosił na łańcuszku u szyi, i zdawał się pogrążony w półśnie.

— Zniknął na zawsze — szeptał. — A teraz została tylko ciemność i pustka.

Atak minął i gdy Sam dwudziestego piątego wrócił, Frodo był już zdrow; nic też przyjacielowi o swej chorobie nie wspomniał. Właśnie w tym czasie ukończono porządki w Bag End, a Merry i Pippin przywieźli z Ustroni stare meble oraz sprzęty, tak że stara siedziba wyglądała jak za dawnych dni. Gdy wszystko było gotowe, Frodo spytał Sama:

— Kiedy wprowadzisz się, żeby znów mieszkać ze mną, Samie?

Sam trochę się zmieszał.

— Nie chcę cię przynaglać — rzekł Frodo — jeśli nie masz ochoty. Ale Dziadunio byłby naszym najbliższym sąsiadem, a wdowa Rumble zaopiekuje się nim na pewno troskliwie.

— Nie o to mi chodzi, proszę pana — odparł Sam czerwieniąc się jak burak.

— A więc powiedz, o co?

— O Różyczkę, o Różę Cotton. Była, jak się okazuje, bardzo nierada, biedulka, kiedy puszczałem się w daleką podróż; ale że ja jej wtedy nic nie powiedziałem, nie mogła pierwsza przemówić. A ja milczałem, bo najpierw wypadało uporać się z robotą. Teraz wreszcie wyznałem Różyczce, co miałem na sercu, a ona

mi tak odpowiedziała: „Rok już zmarnowałeś, po co dłużej zwlekać?” A ja na to: „Zmarnowałem? Nie, w tym ci racji nie mogę przyznać!” No, ale rozumiem, co miała na myśli. Można by rzec, że czuję się tak, jakby mnie na dwoje rozdarto.

— Rozumiem — odparł Frodo. — Chcesz się ożenić, ale także chcesz mieszkać razem ze mną w Bag End. Samie kochany, nic łatwiejszego! Ożeń się co prędzej i wprowadź do mego domu razem z Różyczką. W Bag End starczy miejsca dla wszystkich, choćbyś nawet najlichniesz rodzinę założył.

Tak się też stało. Sam Gamgee ożenił się z Różyczką Cotton wiosną 1420 roku (słynnego między innymi również z mnóstwa wesel), a młoda para zamieszkała w Bag End. Jeśli Sam uważał to za wielkie szczęście, Frodo czuł się tym bardziej uszczęśliwiony; w całym Shire nie było bowiem hobbita otoczonego czulszą opieką niż on. Kiedy plany odbudowy zostały opracowane, a wszystkie roboty zorganizowane, Frodo mógł wieść spokojny żywot, wiele czasu poświęcając na pisanie i przegląd nagromadzonych zapisków. W dzień Sobótki podczas Wolnego Jarmarku złożył urząd burmistrza i przez następnych lat siedem znowu Will Whitfoot znowu przewodniczył na oficjalnych bankietach.

Merry i Pippin czas jakiś razem mieszkali w Ustroni; ruch wtedy panował ożywiony między Bucklandem a Bag End. Dwaj młodzi Wędrowcy olśniewali całe Shire pieśniami, opowieściami, a także elegancją i wspaniałymi przyjęciami. Przewzano ich „królewietami”, ale bez złośliwości, bo wszystkie serca rosły na widok tych hobbitów dosiadających koni, strojnych w błyszczące kolczugi, z pięknymi godłami na tarczach, zawsze roześmianych i gotowych śpiewać pieśni z dalekich stron. Wzrost mieli niezwykły i postawę imponującą, lecz poza tym nic się nie zmienili, chyba tylko o tyle, że nabrali wymowy, a wesołości i chęci do zabawy jeszcze im przybyło. Frodo i Sam jednak wrócili do zwykłych hobbičkih ubrań, z tą różnicą, że w potrzebie zarzucali na ramiona szare długie płaszcze z przedziwnie delikatnej tkaniny, spięte pod szyją misterną klamrą. Frodo nosił też zawsze na łańcuszku biały kamień i często dotykał go palcami.

Wszystko szło dobrze i była nadzieja, że będzie coraz lepiej; Sam miał pracy i radości tyle, ile hobbička dusza może zapragnąć. Nic nie zaćmiewało jego szczęścia w tym roku, prócz niejasnej obawy o kochanego pana. Frodo bowiem cichcem usunął się od wszelkich spraw. Sam z bólem obserwował, jak mało ten najbardziej zasłużony z hobbitów odbiera hołdów w ojczyźnie. Nieliczni tylko wiedzieli czy chcieli wiedzieć o jego czynach i przygodach, cały podziw i całą cześć skupiono na Meriadoku i Pippinie — a także na Samie, który wszakże nawet tego nie spostrzegał. W dodatku jesienią pojawił się znowu cień dawnych niedoli.

Pewnego wieczora Sam wchodząc do pracowni zastał Froda dziwnie zmienionego. Był blady, a jego oczy zdawały się zapatrzone w jakiś odległy widok.

— Co się stało, panie Frodo? — spytał Sam.

— Jestem ranny — odparł Frodo. — Rana nigdy się nie zagoi naprawdę.

Ale wstał, można się było łudzić, że słabość przeminęła, bo nazajutrz zachowywał się zupełnie normalnie. Dopiero później Sam uprzytomnił sobie, że zdarzyło się to dnia szóstego października, w drugą rocznicę owego dnia pod Wichrowym Czubem, gdzie ich ogarnęły po raz pierwszy Ciemności.

Czas płynął, zaczął się rok 1421. W marcu Frodo znów zachorował, lecz wielkim wysiłkiem woli zataił to przed Samem, który właśnie miał zgolać co innego w głowie. Dwudziestego piątego marca bowiem, w dniu odtąd dla Sama pamiętnym, Różyczka urodziła mu pierwsze dziecko.

— Jesteśmy w kłopotcie, proszę pana — oznajmił Frodowi — bo zamierzaliśmy dać mu imię Frodo, za pozwoleniem pańskim. A tymczasem zamiast syna przyszła na świat córka. Zresztą śliczne dziewczątko jak rzadko, wzięła na szczęście piękność nie z ojca, ale z matki. No i teraz nie wiemy, jak ją nazwać.

— A czemuż by nie trzymać się starych dobrych zwyczajów? — odparł Frodo. — Wybierz imię kwiatu, jak na przykład Róża. Połowa dziewcząt w Shire nosi takie imiona, cóż znajdziesz lepszego?

— Może i racja, proszę pana — rzekł Sam. — Słyszałem co prawda wędrując po świecie wiele pięknych imion, ale trochę, że tak powiem, za wspaniałych na powszedni użytek. Dziadunio powiada: „Daj jej krótkie imię, żebyś dla wygody nie potrzebował go do połowy obcinać”. Jeśli jednak będzie to nazwa kwiatu, nie będę się troszczył nawet o jej krótkość. Musi to być piękny kwiat, bo ta mała, proszę pana, wydaje mi się bardzo ładna, a z pewnością wyrośnie jeszcze piękniejsza.

Frodo chwilę się namyślał.

— A jak by ci się podobało imię Elanor, co znaczy gwiazda słoneczna; pamiętasz chyba te drobne kwiatki w trawach Lothlorien?

— Jak zawsze utrafił pan w sedno! — odparł Sam zachwycony. — Właśnie to, co mi się marzyło.

Mała Elanor miała sześć miesięcy i rok 1421 chylił się ku jesieni, gdy pewnego dnia Frodo wezwał Sama do swej pracowni.

— W czwartek przypadają urodziny Bilba — powiedział. — Prześcignie staro Tuka. Kończy sto trzydzieści jeden lat!

— Brawo! — rzekł Sam. — Pan Bilbo jest nadzwyczajny.

— W związku z tym, mój Samie, chciałbym, żebyś porozmawiał z Różą i spytał, czy obejdzie się bez ciebie przez czas jakiś, ażebyś mógł ze mną pojechać w małą podróż. Oczywiście, teraz nie możesz wybierać się daleko ani na długo — dodał Frodo z lekką nutką żalu w głosie.

— Rzeczywiście, proszę pana, trudno by mi było.

— Rozumiem. Nie o to jednak chodzi. Chciałbym tylko, żebyś mi towarzyszył

kawałek drogi. Powiedz Róży, że twoja nieobecność nie przeciągnie się ponad dwa tygodnie i że wrócisz na pewno cały.

— Chętnie pojechałbym z panem aż do Rivendell i rad bym zobaczyć pana Bilba — rzekł Sam. — A przecież naprawdę chcę przebywać tylko w jednym miejscu na świecie, to znaczy tutaj. Rozdarty jestem na dwoje.

— Biedny Samie! Obawiałem się, że będziesz się tak czuł — powiedział Frodo. — Ale wkrótce się z tego wyleczysz. Stworzony jesteś na zdrowego i silnego hobbita z jednej bryły i takim też będziesz.

Przez parę dni Frodo wraz z Samem przeglądał papiery i zapiski, a potem przekazał wiernemu giermkowi klucze. Najważniejszą część jego dobytku stanowiła gruba księga oprawna w gładką czerwoną skórę; niemal wszystkie jej stronic były już zapisane, pierwsze chwiejną nieco ręką Bilba, ale większość energicznym charakterem Froda. Całość dzieliła się na rozdziały, osiemdziesiąty rozdział był jednak nie dokończony i pozostało jeszcze kilka białych kartek. Na pierwszej stronie kilka tytułów kolejno wykreślono, a brzmiały one tak:

Mój dziennik. Niespodziewana podróż. Tam i z powrotem. Co się stało później. Przygody pięciu hobbitów. Historie Wielkiego Pierścienia, zebrane przez Bilba Bagginsa z własnych spostrzeżeń i opowieści przyjaciół. Nasz udział w Wojnie o Pierścień.

Na tym kończyło się pismo Bilba i ręka Froda dodała:

Upadek

Władcy Pierścieni

i

Powrót Króla

(tak, jak te sprawy przedstawiły się oczom hobbitów; według pamiętników Bilba i Froda z Shire'u, uzupełnionych relacjami przyjaciół i nauką Mędrców)

oraz

wyjątki z Ksiąg Wiedzy przetłumaczone przez Bilba w Rivendell.

— Widzę, że pan prawie dokończył księgi! — zakrzyknął Sam. — Trzeba przyznać, że pracował pan wytrwale.

— Skończyłem całkowicie — rzekł Frodo. — Ostatnie strony zostawiłem tobie.

Dwudziestego pierwszego września wyruszyli, Frodo na kucyku, który go niósł przez całą drogę z Minas Tirith i wabił się teraz Obieżyświatem, a Sam na swoim ukochanym Billu. Ranek był pogodny i słoneczny; Sam domyślał się celu podróży, o nic więc nie pytał.

Skręcili za wzgórzem na drogę wzdłuż słupków w kierunku Leśnego Zakątka pozwalając kucykom biec swobodnie truchtem. Przenocowali w Zielonych Wzgórzach i dwudziestego drugiego późnym popołudniem zjeżdżali łagodnym stokiem w dół ku pierwszym drzewom lasu.

— To za tym chyba drzewem skrył się pan, panie Frodo, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy Czarnego Jeźdźca — rzekł Sam wskazując w lewo. — Dziś wydaje się, że to był sen.

Wieczór zapadł i gwiazdy błyszczały na zachodnim niebie, gdy mijali zwalony dąb na ścieżce opadającej łagodnie między gęstwiną leszczyny. Sam milczał zatopiony we wspomnieniach. Nagle usłyszał, że Frodo nuci z cicha, jakby dla siebie tylko, starą piosenkę podróżną, ale zmieniając w niej słowa:

Kto wie, co zakręt bliski kryje,
Drzwi tajemnicy, dziwną ścieżkę.
Tylem ją razy w życiu mijał,
Aż przyjdzie chwila, gdy nareszcie
Otworzy mi się droga nowa
Tam, dokąd księżyc nam się chowa,
I zaprowadzi mnie najdalej,
Tam, skąd nad ziemią słońce wstaje.¹

Jak gdyby w odpowiedzi z doliny dobiegł śpiew:

A! Elbereth Gilthoniel!
Silivren penna miriel
O menel aglar elenath,
Gilthoniel, A! Elbereth!
W dalekich krajach, w zielonym borze
Pamiętał lud nasz Gwiazdy blask,
Co srebrem lśni nad Morzem.²

Frodo i Sam bez słowa zatrzymali się i siedząc w łagodnym cieniu czekali, aby migocący światłami orszak przybliżył się do nich. Zobaczyli Gildora wśród gromady pięknych elfów, a potem, ku zdumieniu Sama, ukazali się Elrond i Galadriela. Elrond miał na ramionach szary płaszcz, a na czole gwiazdę, w ręku zaś srebrną harfę, a na palcu złoty pierścień z ogromnym błękitnym kamieniem — pierścień Vilya, najpotężniejszy z Trzech. Galadriela jechała na białym koniu, w białej sukni, świetlistej jak obłoki wokół księżyca; zdawało się, że postać jej cała promieniuje łagodnym światłem. Na palcu miała Nenyę, pierścień z mithrilu, w którym jeden jedyny biały kamień iskrzył się jak lodowa gwiazda. Za nimi

¹ Tłumaczyła Maria Skibniewska.

² Tłumaczyła Maria Skibniewska.

z wolna, kiwając się jakby we śnie, człapał na małym siwym kucyku Bilbo. Elrond pozdrowił hobbitów poważnie i serdecznie, a Galadriela uśmiechnęła się do nich.

— Słyszałam, że dobrze użyłeś mojego daru, Samie Gamgee! — powiedziała. — Shire będzie teraz bardziej niż kiedykolwiek krainą błogosławioną i kochaną.

Sam skłonił się, ale zabrakło mu słów, by odpowiedzieć. Zapomniał, jak piękna jest pani z Lorien. Bilbo nagle ocknął się i otworzył oczy.

— Jak się masz, Frodo! — rzekł. — No, widzisz, prześcignąłem dziś starego Tuka. To więc już załatwione. Teraz, zdaje się, gotów jestem do nowej podróży. Czy jedziesz z nami?

— Tak — odparł Frodo. — Powiernicy Pierścienia powinni odejść razem.

— Dokąd pan się wybiera? — krzyknął Sam, bo w tej chwili dopiero zrozumiał, co się dzieje.

— Do Przystani, Samie — odpowiedział Frodo.

— A ja nie mogę tam iść z panem!

— Nie, Samie, nie możesz. W każdym razie jeszcze nie teraz i nie dalej niż do Przystani. Wprawdzie ty także byłeś powiernikiem Pierścienia, chociaż przez krótki tylko czas. Może i dla ciebie wybije kiedyś godzina. Nie smuć się, Samie. Nie możesz być zawsze rozdarty na dwoje. Musisz być zdrow i cały, z jednej bryły, przez wiele, wiele lat. Tyle przed tobą radości, tyle zadań, tyle roboty!

— Ale ja marzyłem, że przez długie lata pan też będzie się cieszył Shire'em po tym wszystkim, czego pan dokonał — powiedział Sam ze łzami w oczach.

— Ja też kiedyś o tym marzyłem. Ale za głębokie są moje rany. Starłem się uratować Shire i uratowałem, ale nie dla siebie. Często tak bywa, Samie, gdy jakiś skarb znajdzie się w niebezpieczeństwie: ktoś musi się go wyrzec, utracić, by inni mogli go zachować. Ty jesteś moim spadkobiercą, wszystko, cokolwiek posiadałem, co mi się należy — oddaję tobie. Poza tym masz Różę i Elanor, a z czasem zjawi się mały Frodo i mała Różyczka, i Merry, i Złotogłówka, i Pippin. Może jeszcze inni, których nie widzę w tej chwili. Bardzo będą potrzebne i twoje ręce, i twój rozum. Zostaniesz oczywiście burmistrzem, będziesz tę godność piastował tak długo, jak zechcesz, i zastąpniesz jako najlepszy w dziejach Shire'u ogrodnik. Będziesz odczytywał Czerwoną Księgę i podtrzymywał wśród hobbitów wspomnienie minionego wieku, aby pamiętając o Straszным Niebezpieczeństwie tym bardziej kochali swój kraj. Będziesz miał tyle pracy i tyle szczęścia, ile można mieć w Śródziemiu; przynajmniej twój rozdział w historii będzie do końca radosny! A teraz w drogę, odprowadzisz mnie.

Elrond i Galadriela odjeżdżali, bo skończyła się Trzecie Era, minęły dni Pierścieni, dobiegała końca historia i pieśń tej epoki. Odchodziło z nimi mnóstwo elfów Wysokiego Rodu, nie chcąc dłużej pozostawać w Śródziemiu. Między nimi,

przepełnieni smutkiem, ale smutkiem szczęśliwym, nie zatrutym goryczą, jechali Sam, Frodo i Bilba, a elfy odnosiły się do nich z wielkim szacunkiem.

Jechali cały wieczór i całą noc przez Shire, lecz nikt ich nie widział prócz leśnych i polnych zwierząt; może zresztą jakiemuś zapóźnionemu wędrowcowi mignęły w mroku pod drzewami blaski albo światła na przemian z cieniem sunące po trawie, w miarę jak księżyc przepływał ku zachodowi. A kiedy znaleźli się poza granicami Shire'u, omijając od południa Białe Wzgórza dotarli do Dalekich Wzgórz, a potem do Wieżowych, skąd ujrzeli w oddali Morze. Wreszcie przez Mithlond przybyli do Szarej Przystani nad długą, wąską Zatokę Księżycową.

Budowniczy okrętów, Kirdan, wyszedł na ich powitanie do bramy. Był wysokiego wzrostu, brodę miał po pas, zdawał się bardzo stary, ale oczy mu błyszczały jak gwiazdy. Skłonił się mówiąc:

— Wszystko gotowe.

Poprowadził ich do Przystani, gdzie kołysał się na wodzie biały okręt, a na nabrzeżu czekał ktoś, cały w bieli. Gdy się odwrócił i podszedł bliżej, Frodo poznał Gandalfa. Czarodziej miał na palcu Trzeci Pierścień, Naryę, z kamieniem czerwonym jak żywy płomień. A wszyscy, którzy mieli odpłynąć na statku, ucieszyli się, że Gandalf popłynie razem z nimi.

Ale Sam stał na brzegu i serce ścisnęło mu się z bólu; myślał, że gorzka jest rozłąka, ale jeszcze smutniejsza będzie długa samotna droga do domu. Lecz w ostatniej chwili, gdy elfy już wchodziły na pokład i kończono ostatnie przygotowania, rozległ się spieszny tętent i Merry z Pippinem nadjechali galopem, osadzając konie w miejscu na wybrzeżu. Pippin śmiał się, chociaż łzy płynęły mu z oczu.

— Raz już próbowałeś nam się wymknąć chyłkiem i nie udało ci się to, mój Frodo! — powiedział. — Tym razem niewiele brakowało, a byś nas zwiódł, ale jednak cię dogoniliśmy. Tylko że teraz nie Sam zdradził twój sekret, lecz Gandalf we własnej osobie.

— Tak — rzekł Gandalf. — Nie chciałem, żeby Sam wracał bez towarzystwa, wolę, żebyście stąd do kraju jechali we trzech. Dziś, przyjaciele, na tym wybrzeżu kończy się ostatecznie nasza bratnia wspólnota w Śródziemiu. Zostańcie w pokoju! Nie powiem: nie płaczcie, bo nie wszystkie łzy są złe.

Frodo ucałował Meriadoka i Pippina, a na ostatku Sama i wstąpił na pokład; wciągnięto żagle, dmuchnął wiatr i z wolna statek zaczął się oddalać po szarej wodzie Zatoki; szkiełko Galadrieli w ręku Froda rozbłysło i zniknęło. Statek wypłynął na pełne Morze i żeglował ku zachodowi, aż wreszcie pewnej dżdżystej nocy Frodo poczuł słodki zapach w powietrzu i usłyszał śpiew dolatujący nad wodą. Wydało mu się, jak we śnie tamtej nocy w domu Bombadila, że szara zasłona deszczu przemienia się w srebrne szkło i rozsuwa ukazując białe wybrzeże, a za nim daleko zielony kraj w blasku wschodzącego szybko słońca.

Ale dla Sama tego wieczora, gdy stał w Przystani, noc zapadła ciemna, i na

szarym Morzu nie widział nic prócz cienia sunącego po falach i niknącego na zachodzie. Czekał długo w noc słysząc tylko westchnienia i szmer fal bijących o ląd Śródziemia i głos ten zapadł mu głęboko w serce. Obok niego stali milczący Merry i Pippin.

W końcu trzech przyjaciele odwrócili się od Morza i już nie oglądając się za siebie ani razu, z wolna ruszyli w stronę domu. Żaden nie przemówił, póki nie znaleźli się znów w granicach Shire’u, mimo to każdy czerpał pociechę z obecności przyjaciół na tej długiej, szarej drodze.

Gdy wreszcie ze wzgórz zjechali na Wschodni Gościniec, Merry i Pippin skręcili do Bucklandu; już znów śpiewali cwałując przez znajome okolice. Sam zawrócił Nad Wodę i pod wieczór dotarł na Pagórek. Wspinając się po zboczu, z daleka zobaczył żółte światelko w oknie i odbłask ognia płonącego na kominku. Wieczera była gotowa, tak jak się spodziewał. Różyczka wciągnęła go do domu, usadowiła w fotelu i posadziła mu na kolanach małą Elanor. Sam odetchnął głęboko.

— Ano, wróciłem! — powiedział.

DODATKI

Dodatek A

Kroniki Królów i Władców

Źródła, z których zaczerpnąłem większą część materiałów zawartych w Uzupełnieniach, szczególnie w Dodatkach A-C, wskazane są w Nocie do prologu. Część III Dodatku A pt. „Plemię Durina” prawdopodobnie oparta jest na relacjach Gimlego, gdyż krasnolud ten podtrzymywał przyjazne stosunki z Peregrinem i Meriadokiem, często spotykając się z nimi w Gondorze i Rohanie. W źródłach tych legendy, opowieści oraz informacje o charakterze naukowym przedstawione są bardzo obszernie, toteż w niniejszej książce mogłem zamieścić jedynie wybór, i to przeważnie ze znacznymi skrótami. Głównym ich celem jest zilustrowanie Wojny o Pierścień oraz jej przyczyn, a także uzupełnienie luk w zasadniczym wątku historii. Starożytne legendy Pierwszej Ery, stanowiące przedmiot największego zainteresowania Bilba, wspominamy jedynie pokrótce, gdyż dotyczą przodków Elronda i królów oraz wodzów Numenoru.

Wszystkie daty dotyczą Trzeciej Ery, jeśli nie zaznaczono, że chodzi o Drugą lub Czwartą. Na ogół za koniec Trzeciej Ery przyjmowano wrzesień 3021 roku, kiedy Trzy Pierścienie opuściły Śródziemie, lecz w Gondorze liczono Czwartą Erę od 25 marca tegoż roku. Jak przeliczać daty ery Shire’u na kalendarz Gondoru, wyjaśniliśmy w tomie I na str. 20.

Podane po imionach królów i władców daty wymieniają rok ich śmierci; przy niektórych tylko imionach figuruje też druga data-rok urodzenia. Znaczek krzyża oznacza śmierć na polu bitwy lub inny gwałtowny rodzaj śmierci, chociaż jej okoliczności nie zawsze są opisane. Odnośniki odsyłają czytelników do trylogii „Władca Pierścieni” lub do książki „Hobbit”³.

³ W odnośnikach do „Władcy Pierścieni” wyszczególniamy tom i stronę, w odnośnikach do „Hobbita” (wyd. polskie „Hobbit czyli Tam i z powrotem”, Warszawa, „Iskry”, 1960) — tylko stronę.

Królowie Numenoru

1. Numenor

Feanor był wśród Eldarów najbieglejszy w sztukach i nauce, lecz zarazem najbardziej pyszny i samowolny. Jego dziełem były trzy klejnoty — Silmarile. Obdarzył je blaskiem dwóch czarodziejskich drzew: Telperiona i Laurelinu, oświetlających krainę Valarów. Nieprzyjaciel, Morgoth, pożądał tych klejnotów i ukradł je, a po zniszczeniu cudownych drzew zabrał Silmarile ze sobą do Śródziemia i strzegł ich w twierdzy Thangorodrim. Feanor wbrew woli Valarów opuścił Błogosławione Królestwo udając się na obczyznę, do Śródziemia, i uprowadzając ze sobą znaczną część swego plemienia; zaślepiony pychą postanowił przemocą odebrać Morgothowi klejnoty. Tak doszło do beznadziejnej wojny, w której Eldarowie i Edainowie wspólnymi siłami próbowali zdobyć Thangorodrim i ponieśli w końcu straszną klęskę. Edainami (Atani) nazywano trzy plemiona ludzi przybyłe najwcześniej na Zachód Śródziemia i na wybrzeża Wielkiego Morza; te plemiona były sprzymierzeńcami Eldarów w walce z Nieprzyjacielem. W dziejach zdarzyły się tylko trzy związki małżeńskie między Eldarami a Edainami: Luthien z Berenem, Idril z Tuorem, Arweny z Aragornem. W tym ostatnim małżeństwie połączyły się dwie z dawna rozdzielone linie półelfów i odnowiony został ich ród. Luthien Tinuviel była córką Thingola zwanego Szarym Płaszczem, króla Doriathu w Pierwszej Erze, i Meliany, należącej do Valarów. Beren był synem Barahira z Pierwszego Domu Edainów. Luthien z Berenem wydarli z żelaznej korony Morgotha piękny Silmaril. Luthien poślubiając człowieka wyrzekła się nieśmiertelności i opuściła plemię elfów. Syn jej miał na imię Dior, a jego córka Elwinga przechowywała cenny Silmaril.

Idril Kelebrindal była córką Turgona, króla ukrytego państwa Gondolin. Tuor był synem Huora z Rodu Hadora, Trzeciego Domu Edainów; wślawił się w wojnach z Morgothem. Synem Idril i Tuora był Earendil-Żeglarz.

Earendil poślubił Elwingę, wspierany czarem Silmarila przeszedł przez Ciem-

ności i dotarł na Najdalszy Zachód; przemawiając w imieniu zarówno elfów, jak ludzi uzyskał pomoc, dzięki której pokonano Morgotha. Earendilowi jednak nie pozwolono wracać pomiędzy śmiertelników; statek Earendila uniósł Silmaril w niebiosy, gdzie odtąd klejnot błyszczał w postaci gwiazdy na znak nadziei dla mieszkańców Śródziemia, uciskanych przez Wielkiego Nieprzyjaciela i jego sługi. Silmarile przechowały dawne światło Dwóch Drzew Valinoru kwitnących dopóty, dopóki ich Morgoth nie zatruił. Dwa inne zginęły pod koniec Pierwszej Ery. Całą ich historię oraz wiele innych wiadomości dotyczących elfów i ludzi można znaleźć w książce pt. „Silmarillion”.

Synami Earendila byli Elros i Elrond, „Peredhil”, czyli półelfy. W nich tylko przetrwała linia bohaterskich wodzów Edainów z Pierwszej Ery. Po upadku Gil-galada tylko ich potomkowie reprezentowali w Śródziemni linię królewską elfów. Pod koniec Pierwszej Ery Valarowie zażądali od półelfów, by nieodwołalnie wybrali, do którego z dwóch plemion chcą należeć. Elrond wybrał plemię elfów i stał się mistrzem wiedzy. Przysługiwał mu więc ten sam przywilej, co elfom Wysokiego Rodu przebywającym jeszcze w Śródziemni, miały one mianowicie prawo gdy uczuły się już znużone życiem wśród śmiertelników, wejść w Szarej Przystani na pokład statku i odpłynąć na Najdalszy Zachód; przywilej ten zachował moc nawet po odmianie świata.

Dzieciom Elronda również dano wybór: mogły albo wraz z nim odejść z tych krain, albo tracąc dar nieśmiertelności zostać w Śródziemiu i tu umrzeć, gdy się czas dopełni. Dlatego to Elrondowi czy to pomyślne, czy niepomyślne zakończenie Wojny o Pierścień musiało przynieść bolesny smutek.

Elros wybrał plemię ludzkie i pozostał wśród Edainów, ale zarówno on, jak jego potomni cieszyli się szczególną długowiecznością. Valarowie, Opiekunowie Świata, dali Edainom w nagrodę za ofiary poniesione w walkach z Morgothem kraj, odgradzony od niebezpieczeństw nękających Śródziemie. Większość więc Edainów pożeglowała za Morze i kierując się światłem gwiazdy Earendila dopłynęła do wielkiej wyspy Eleny, położonej najdalej na zachód ze śmiertelnych krajów. Tam założyli królestwo Numenor. Pośrodku wyspy wznosiła się wysoka góra, Meneltarma; z jej szczytu człowiek obdarzony bystrym wzrokiem mógł dostrzec białą wieżę przystani Eldarów w Eressei. Eldarowie nawiązali z Edainami przyjazne stosunki, wzbogacając ich wiedzę i hojnymi darami; jedno wszakże wyznaczono Edainom ograniczenie, „Zakaz Valarów”: nie wolno im było żeglować dalej na zachód, niż sięgali wzrokiem ze swoich wybrzeży, ani postawić stopy w Krajach Nieśmiertelnych. Chociaż bowiem długowieczni w pierwszych czasach żyli trzykrotnie dłużej niż zwykli ludzie — musieli pozostać śmiertelni, bo Valarowie nie mieli prawa pozbawić ich Przywileju Człowieka. (Czy może Przekleństwa Człowieka — jak później ten dar nazwano). Elros był pierwszym królem Numenoru i zapisał się w dziejach pod imieniem Tar-Minyatur — tak bowiem brzmiało

to w języku elfów. Potomkowie jego żyli długo, ale podlegali śmierci. Później, gdy zdobyli znaczną potęgę, mieli żal do praojca, który wybrał los ludzi; zazdrościli nieśmiertelności przysługującej Eldarom i szemrali na zakaz Valarów. Tak się zaczął ich bunt, podsycany przewrotnymi radami Saurona, bunt, który doprowadził do upadku Numenoru i ruiny dawnego świata — o czym opowiada księga „Akallabeth”. Oto imiona królów i królowych Numenoru: Elros Tar-Minyatur, Vardamir, Tar-Amandil, Tar-Elendil, Tar-Meneldur, Tar-Aldarion, Tar-Ankalime (pierwsza panująca królowa), Tar-Anarion, Tar-Surion, Tar-Telperien (druga królowa), Tar-Minastir, Tar-Kiryatan, Tar-Atanamir Wielki, Tar-Ankalimon, Tar-Tellemmaite, Tar-Vanimelde (trzecia królowa), Tar-Alkarin, Tar-Kalmakil. Następcy Kalmakila porzucając imiona elfów panowali pod imionami wziętymi z języka numenorejskiego (czyli adunajskiego): Ar-Adunakhor, Ar-Zimrathon, Ar-Sakalthor, Ar-Gimilzor, Ar-Inziladun. Inziladun jednak żałując tej zmiany przybrał imię Tar-Palantir — „Dalekowidzący”. Córka jego miała być czwartą królową, Tar-Miriel, lecz siostrzeniec królewski zagarnął podstępnie tron i władał jako Ar-Farazon Złoty, ostatni król Numenoru.

Za czasów Tar-Elendila pierwsze statki Numenorejczyków przybiły znów do brzegów Śródziemia. Pierworodna jego córka, Silmarien, miała syna Valandila, który był pierwszym władcą zachodniego kraju Andunii i przyjaźnił się z Eldarami. Potomkami Valandila w prostej linii byli Amandil, ostatni władca Andunii, i jego syn Elendil Smukły.

Szósty król zostawił jednego tylko potomka — córkę. Była pierwszą królową Numenoru, stało się bowiem prawem dynastii królewskiej, że berło przejmuje pierworodne dziecko króla, czy to syn, czy córka.

Królestwo Numenoru przetrwało do końca Drugiej Ery, a nawet wzrosło w potęgę i chwałę; Numenorejczycy zaś aż do drugiej połowy tej ery również wzrastali w mądrości i szczęściu. Pierwsza zapowiedź cienia, który miał zaćmić ich los, zjawiała się za panowania Tar-Minastira, jedenastego z królów. On to wysłał znaczne siły na pomoc Gil-galadowi. Kochał Eldarów, lecz zazdrościł im. Numenorejczycy stali się podówczas znakomitymi żeglarzami, a poznawszy obszary mórz daleko na wschód, zaczęli marzyć o wyprawach na zachód i o zakazanych wodach; im zaś szczęśliwsze było ich życie, tym goręcej pragnęli nieśmiertelności, którą cieszyli się Eldarowie. Co gorsza, królowie, następcy Minastira, zapalali chciwością bogactw i władzy. Początkowo Numenorejczycy przybyli do Śródziemia jako nauczyciele i przyjaciele słabszych ludzkich plemion, zagrożonych przez Saurona; teraz jednak przystanie ich zamieniły się w twierdze panujące nad rozległymi nadbrzeżnymi krainami. Atanamir i jego spadkobiercy ścigali ciężkie haracze, a statki Numenorejczyków wracały załadowane łupem. Pierwszy wystąpił

przeciw Zakazowi Valarów Tar-Atanamir oświadczał, że z prawa należy mu się wieczne życie jak Eldarom. Cień wtedy pogłębił się nad krajem, a myśl o śmierci trwożyła serca ludzkie. Nastąpił wśród Numenorejczyków rozłam: jedni stali przy królach i ich zwolennikach, zrywając więzy z Eldarami i Valarami; drudzy — nieliczna garstka, mieniąca się Wiernymi — skupili się głównie w zachodniej części królestwa.

Królowie oraz ich zwolennicy stopniowo porzucali mowę Eldarów, aż wreszcie dwudziesty król przybrał imię wzięte z języka numenorejskiego: Ar-Adunakhor, co znaczy „Władca Zachodu”. Wydało się ono złowróżbne Wiernym, oni bowiem dotychczas tytułowali w ten sposób jedynie najdostojniejszych Valarów lub samego Starego Króla. Rzeczywiście Ar-Adunakhor zaczął prześladować Wiernych i karał tych, którzy jawnie używali języków elfów. Eldarowie już nie odwiedzali Numenoru. Potęga i bogactwa Numenorejczyków wzrastały nadal, lecz żyli coraz krócej i coraz bardziej lękali się śmierci, a radość ich opuszczała. Tar-Palantir próbował naprawić zło, było jednak już za późno; w Numenorze rozpetwały się bunt i zwady. Po zgonie Tar-Palantira przywódca rebeliantów zagarnął tron pod mianem króla Ar-Farazona. Ar-Farazon Złoty był najdumniejszym i najpotężniejszym z królów i nic prócz panowania nad całym światem nie mogło go zadowolić.

Postanowił Sauronowi Wielkiemu odebrać władzę nad Śródziemiem i pożeglował na czele silnej floty do Umbaru. Tak wielka była potęga i bogactwa Numenorejczyków, że nawet własni słudzy Saurona opuścili go, on zaś musiał ukorzyć się, złożyć zwycięzcy hołd i prosić go o łaskę. Wówczas Ar-Farazon zaślepiony pychą wziął Saurona z sobą jako jeńca do Numenoru. Sauron nie potrzebował wicie czasu, by opętać króla i oświecić jego doradcami; wkrótce też przeciągnął serca wszystkich Numenorejczyków — z wyjątkiem garstki Wiernych — z powrotem na stronę Ciemności. Sauron okłamał króla zapewniając go, że kto zapanuje nad Nieśmiertelnymi Krajami, zyska wieczne życie, i że Zakaz został mu narzucony dlatego tylko, by królowie ludzcy nie mogli przewyższyć Valarów. „Ale wielki władca sam bierze to, do czego ma prawo” — mówił.

W końcu Ar-Farazon posłuchał rady Saurona, czuł bowiem, że zbliża się do kresu swoich dni, a strach przed śmiercią zaćmiewał mu rozum. Zgromadził najpotężniejszy oręż, jaki znał ówczesny świat, a gdy wszystko było gotowe, kazał zagrać trębaczom pobudkę i pożeglował na wojnę. Złamał Zakaz Valarów, próbował zdobyć nieśmiertelność przemocą w walce z Władcami Zachodu. Gdy jednak Ar-Farazon wstąpił na wybrzeże Błogosławionego Amanu, Valarowie zrzekając się swej opiekuńczej roli odwołali się do Jedyne i cały świat się odmienił. Numenor runął pochłonięty przez Morze, a Nieśmiertelne Kraje odsunęły się daleko, poza horyzont ziemi. Tak się skończyła chwała Numenoru. Ostatni przywódcy Wiernych, Elendil i jego synowie, ocaleli uciekając na dziewięciu statkach i zabrali z sobą nasienie Nimlothu oraz Siedem Kryształów Jasnowidzenia (dary otrzy-

mane przez ród Elendila od Eldarów). Na skrzydłach burzy przeniesieni na brzeg Śródziemia, tu założyli w północno-zachodnim jego kącie Królestwa Numenorejskie na Wygnaniu: Arnor i Gondor. Elendil był Królem Najwyższym i zamieszkał w Annuminas na pomocy, oddając południowe prowincje dwóm swoim synom, Isildurowi i Anarionowi. Oni to zbudowali Osgiliath między dwiema wieżami — Minas Ithil i Minas Anor, opodal granicy Mordom. Tyle bowiem dobrego wynikło z zagłady Numenoru, że przynajmniej Sauron również w nie) zginął — jak sądzili.

Mylili się co do tego; Sauron wprawdzie został dotknięty katastrofą Numenoru tak, że stracił cielesną powłokę, w której od dawna znany był światu, lecz ze złym wichrem umknął z powrotem do Śródziemia jako Duch Nienawiści. Odtąd nigdy już nie zdołał odzyskać postaci, która by ludziom wydawała się piękna; czarny i wstrętny, zachował jedną tylko broń dającą mu władzę: broń postrachu. Wrócił do Mordom i przez czas jakiś krył się tu, nie dając znaku życia. Zapalał jednak srogim gniewem dowiadując się, że Elendil, którego bardziej niż kiedykolwiek nienawidził, ocalał i zakłada królestwo tuż pod progiem jego własnej siedziby. Dlatego to wkrótce potem rozpoczął wojnę z Wygnańcami, by nie dopuścić do umocnienia się ich państwa w tych stronach. Oroduina znów wybuchła płomieniem i w Gondorze nadano jej nazwę Amon Amarth — Góra Przeznaczenia. Sauron wszakże uderzył za wcześnie, zanim zdążył odbudować swoją potęgę, podczas gdy potęga Gil-galada wzrosła już znacznie. Związani Ostatnim Przymierzem sojusznicy pokonali Saurona odbierając mu Jedyny Pierścień. Na rym zakończyła się Druga Era.

2. Królestwa na wygnaniu

Linia Północna Spadkobiercy Isildura

Arnor. Elendil ? Era Druga 3441; Isildur ? 2; Valandil 249⁴; Eldakar 339; Arantar 435; Tarkil 515; Tarondor 602; Valandur ?652; Elendur 777; Earendur 861.

Arthedain. Amlaith z Fornostu⁵ (najstarszy syn Earendura) 946; Beleg 1029; Mallor 1110; Kelefar 1191; Kelebrindor 1272; Malvegil 1349⁶; Argeleb I ?1356; Arveleg I 1409; Arafor 1589; Argeleb II 1670; Arveleg II 1743; Arveieg II 1813;

⁴ Valandil był czwartym synem Isildura, urodzonym w Imladris. Jego bracia polegli w bitwie na Polach Gladden.

⁵ Od Earendura królowie już nie nosili imion z języka elfów.

⁶ Od Malvegila królowie na Pomoście znów zaczęli rościć sobie prawo do władzy nad całym Amorem i do imion swych dodawali przedrostek „ar” na znak tych roszczeń.

Araval 1891; Arafant 1964; Arvedui Ostatni Król ? 1975. Koniec Królestwa Północy.

Wodzowie. Aranarth (najstarszy syn Anredui) 2106; Arahael 2177; Aranuir 2247; Aravir 2319; Aragorn I ? 2327; Araglas 2455; Arahad I 2523; Aragost 2588; Aravorn 2654; Arahad II 2719; Arassuil 2784; Arathorn I?2848; Argonui 2912; Arador ? 2930; Arathorn II? 2933; Aragorn II, Czwarta Era 120.

Linia Południowa Spadkobiercy Anariona

Królowie Gondoru. Elendil (Isildur i) Anarion ? Druga Era 3440; Meneldil, syn Anariona 158; Kemendur 238; Earendil 324; Anardil 411; Ostohor 492; Romendakil I (Tarostar)? 541; Turambar 667; Atanatar I 748; Siriondil 830. Potem następują czterej Królowie Żeglarze:

Tarannon Falastur 913. Pierwszy król bezdzietny, zostawił tron bratankowi, synowi Tarkiryana; Earnil I ? 936; Kiryandil ?1015; Hyarmendakil I (Kiryaher) 1149. Gondor osiąga szczyt potęgi. Atanatar II Alkarin „Sławny” 1226; Narmakil I 1294 — drugi król bezdzietny; po nim objął władzę jego młodszy brat: Kalmakil 1304; Minalkar (regent 1240–1304), koronowany jako Romendakil II 1304, zmarł 1366; Valakar; za jego czasów rozpoczęła się klęska Gondoru — bratobójcze waśnie. Eldakar, syn Valakara (zwany początkowo Vinitharya), strącony z tronu w 1437; Kastamir Samozwaniec ?1447; Eldakar po raz wtóry obejmuje tron, umiera w 1490.

Aldamir (drugi syn Eldakara) ?1540; Hyarmendakil II (Vinyarion) 1621; Minardil ? 1634; Telemnar ?1636; Telemnar wraz z całym potomstwem zginął w czasie moru; jego następcą został bratanek, syn Minastana, który był młodszym synem Minardila; Tarondor 1798; Telumehtar Umbardakil 1850; Narmakil II ?1856; Kalimehtar 1936; Ondoher ?1944. Ondoher wraz z dwoma synami poległ w boju. Po roku 1945 koronę oddano zwycięskiemu wodzowi Earnilowi, potomkowi Telumehtara Umbardakila. Earnil II 2043; Earnur ? 2050. Na nim urywa się linia królów, wznowiona dopiero w 3019 przez Elessara Telkontara. Królestwem zarządzili tymczasem Namiestnicy.

Namiestnicy Gondoru. Ród Hurina: Pelendur 1998. Rządził przez rok po śmierci Ondohera i skłonił Gondorczyków, aby odrzucili pretensje Arvedui do tronu Gondoru; Vorondil Łowca 2029⁷. Mardil Voronwe „Stateczny”, pierwszy Namiestnik rządzący krajem. Jego następcy zarzucili imiona elfów.

⁷ Porównaj t. III, str. 23. Dzikie białe bawoły, które wówczas jeszcze pasły się w pobliżu morza Rhun, wywodziły się, jak głosi legenda, od bawołów Arawa, myśliwca należącego do Valarów; on jedyny z Valarów często odwiedzał Śródziemie za Pewnych Dni. Imię jego w języku elfów Wysokiego Rodu brzmi Orome.

Namiestnicy rządzący Gondorem. Mardil 2080; Eradan 2116; Herion 2148; Belegorn 2204; Hurin 12244; Turin I 2278; Hador 2395; Barahir 2412; Dior 2435; Denethor I 2477; Boromir 2489; Kirion 2567. Za czasów Kiriona przybyli do Kalenardhon Rohirrimowie.

Hallas 2605; Hurin II 2628; Belekthor I 2655; Orodreth 2685; Ekthelion I 2698; Egalmoth 2743; Beren 2763; Beregon 2811; Belekthor II 2872; Thorondir 2882; Turin II 2914; Turgon 2953; Ekthelion II 2984; Denethor II — ostatni rządzący Namiestnik, po nim nastąpił syn jego, Faramir, książę Eryn Arn, Namiestnik króla Elessara, Czwarta Era 82.

3. Eriador, Arnor i Dziedzice Isildura

Eriadorem nazywano z dawna wszystkie ziemie leżące między Górą Mglistą a Błękitnymi; granicę ich od południa stanowiła Szara Woda i wpadająca do niej ponad Tharbadem rzeka Glanduina. W okresie największego rozkwitu Arnor obejmował cały Eriador z wyjątkiem okolic Rzeki Księżycowej i ziem położonych na wschód od Szarej Wody oraz Grzmiącej Rzeki, gdzie znajdowało się Rivendell i Hollin. Od Rzeki Księżycowej zaczynały się krainy elfów, zielone i ciche, nie odwiedzane przez ludzi, krasnoludowie wszakże mieszkali i po dziś dzień mieszkają po wschodniej stronie Gór Błękitnych, zwłaszcza w tej ich części, która ciągnie się na południe od Rzeki Księżycowej, gdzie mają kopalnie, czynne dotychczas. Dlatego w drodze na wschód często wędrują Wielkim Gościńcem, podobnie jak niegdyś, zanim my osiedliliśmy się w Shire. W Szarej Przystani mieszkał Kirdan, Budowniczy Okrętów; chodzą słuchy, że mieszka tam nadal i że pozostanie, dopóki ostatni okręt nie odpłynie na zachód. Za dni królów większość elfów Wysokiego Rodu, przebywających jeszcze w Śródziemni, mieszkała wraz z Kirdanem lub też w nadmorskich krajach Lindonu. Dziś w Śródziemni elfów jest bardzo mało — a może już nie ma ich wcale.

Królestwo Pomocne i Dunedainowie

Po Elendilu i Isildurze panowało w Arnorze ośmiu królów. Gdy jednak synowie ostatniego z nich, Earendura, nie mogli się z sobą pogodzić, podzielono królestwo na trzy części: Arthedain, Rhudaur i Kardolan. Arthedain, część północo-zachodnia, obejmował ziemie między Brandywiną a Rzeką Księżycową jak również kraj na północ od Wielkiego Gościńca aż po Wichrowy Czub. Rhudaur leżał na północo-wschodzie między Wrzosowiskami Etten a Wichrowym Czubem i Górą Mglistą, lecz obejmował również klin między Szarą wodą a Grzmiącą Rzeką. Granice południowej części — Kardolanu — wyznaczały Brandywiną i Szara Woda oraz Wielki Gościńiec.

W Arthedain dynastia Isildura utrwaliła się na długo, lecz w Kardolan i Rhudaur wkrótce wygasła. Często wybuchały między tymi królestwami spory i walki, wskutek czego Dunedainowie ginęli. Główną kością niezgody były Wichrowe Wzgórza oraz kraj ciągnący się na zachód od nich w stronę Bree. Zarówno Rhudaur, jak Kardolan pragnął zawładnąć Wichrowym Czubem (który zwał się Amon Sul) stojącym na granicy obu królestw, ponieważ na Wieży Amon Sul przechowywano najważniejszy palantir pomocy, podczas gdy dwa pozostałe znajdowały się w Arthedain.

W Arthedain zaczął panować Malvegil, gdy po raz pierwszy na Arnor padł cień trwogi. Wtedy bowiem powstało na pomocy, za Wrzosowiskami Etten, królestwo Angmar. Ziemie jego leżały po obu stronach gór i skupiło się tam mnóstwo złych ludzi, orków i innych dzikich stworów. (Władca Angmaru, znany pod mianem Czarnoksiężnika, był, jak się dopiero znacznie później wykryło, wodzem Upiorów Pierścienia i przybył na pomoc po to, by zniszczyć Dunedainów z Arnoru, niezgoda bowiem panująca wśród nich sprzyjała jego planom, podczas gdy Gondor zdawał się niezwyciężony).

Za panowania Argeleba, syna Malvegila, królowie Anhedainu znów wystąpili z pretensjami do tronu w Amorze na tej podstawie, że nie było tam już potomków Isildura. Rhudaur jednak sprzeciwił się temu. Dunedainów zostało niewielu, władzę przejął zły człowiek, przywódca plemion górskich pozostający w tajnym sojuszu z Angmarem. Argeleb zbudował fortyfikacje na Wichrowych Wzgórzach, lecz poległ na wojnie z Rhudaurem i Angmarem. Arveleg, syn Argeleba, z pomocą Kardolanu i Lindonu odparł przeciwników z Wichrowych Wzgórz; przez wiele lat później Arthedain i Kardolan trzymały silne straże na granicy pod pasmem Wzgórz, wzdłuż Wielkiego Gościńca oraz nad górnym biegiem Szarej Wody. Podobno w tym okresie nawet Rivendell było kiedyś oblegane. Wielka armia nadciągnęła z Angmaru w roku 1409 i przekroczywszy rzekę wtargnęła do Kardolanu otaczając Wichrowy Czub.

Dunedainowie ponieśli klęskę, Arveleg padł w boju. Wieża Amon Sul została spalona i zburzona, lecz palantir uratowano i ukryto w Pomoście, stolicy dalekiej północy; Rhudaur dostał się pod władzę złych ludzi służących Angmarowi, a niedobitki Dunedainów zbiegły na zachód. Najeźdźcy zniszczyli Kardolan. Arafor, syn Arvelega, był podówczas niedorosłym jeszcze, ale mężnym chłopcem; z pomocą Kirdana wypędził nieprzyjaciół z Fornostu i z Pomocnych Wzgórz. Resztki wiernych Dunedainów z Kardolanu broniły się w Tyrn Gorthad (na Kurhanach) lub uciekły w lasy. Podobno elfy z Lindonu na czas jakiś poskromiły Angmar; Elrond przyprowadził im też posiłki z Rivendell i zza Gór, z Lorien. Wtedy to Stolorowie, którzy mieszkali w Winie między Szarą Wodą a Grzmiącą Rzeką, przenieśli się stąd na zachód i na południe, z powodu wojen, strachu przed Angmarem oraz klimatu, pogarszającego się coraz bardziej zwłaszcza we wschodniej części

Eriadoru. Niektórzy wrócili w Dzikie Kraje nad rzeką Gladden, przeobrażając się w plemię rybaków. Za panowania Argeleba II z południo-wschodu pojawił się w Eriadorze mór, od którego wyginęła większa część ludności Kardolanu, szczególnie w Minhiriath. Mocno też wówczas ucierpieli hobbiti, lecz plaga słabła w miarę posuwania się na północ, tak że północne prowincje Arthedainu nie doznały już od niej większych szkód. W tym czasie nastąpił zmierzch Dunedainów w Kardolanie, a złe siły z Angmaru i Rhudauru zajęły opustoszałe wzgórza i na długo tu się utwierdziły.

Wieść głosi, że wzgórza Tyrn Gorthad, zwane później Kurhanami, bardzo są starożytne i że wiele z nich usypali w zamierzonych czasach Pierwszej Ery pra-ojcowie Edainów, zanim przeprawili się za Góry Błękitne do Beleriandu, kraju, z którego tylko Lindon przetrwał. Dlatego to Dunedainowie po powrocie w te strony czcili Kurhany i wielu ich królów i wodzów tam właśnie pogrzebano. Zdaniem niektórych kronikarzy Kurhan, gdzie uwięziono powicrni a Pierścienia, był grobowcem ostatniego księcia Kardolanu, poległego w 1409 roku.

W 1947 potęga Angmaru znów wzrosła, a Czarnoksiężnik przed końcem zimy napadł na Arthedain. Podbił Fornost i wyparł większość żyjących tam jeszcze Dunedainów za Rzekę Księżycową; wśród nich byli synowie króla. Lecz król Arvedui do ostatka bronił się na Wzgórzach Pomocnych, po czym zbiegł z garstką przybocznej straży dalej jeszcze na pomoc; ocaleli dzięki chyżości wierzchowców. Czas jakiś Arvedui krył się w pieczarach dawnych kopalń krasnoludzkich w odległej części gór, lecz wreszcie głód zmusił go do szukania pomocy u Lossothów, Śnieżnych Ludzi znad Zatoki Forochel⁸. Natknął się na ich obóz na wybrzeżu, oni jednak nie kwapili się z pomocą, bo król nie miał nic do zaoferowania w zamian prócz paru klejnotów, które u nich nie były w cenie. Obawiali się też Czarnoksiężnika, który — jak powiadali — zsyłał mróz albo odwilż wedle swej woli. Jednakże, trochę z litości nad wygłodzonym królem i jego świtą, trochę zaś ze strachu przed ich orężem, dali biedakom nieco jedzenia i pobudowali dla nich chaty ze śniegu. Tam Arvedui musiał czekać jakiejś pomocy z południa, stracił bowiem wszystkie konie.

Gdy Kirdan dowiedział się od Aranartha, syna Arvedui, o ucieczce króla na pomoc, wysłał natychmiast po niego statek do Forochel. Statek wiele dni płynął walcząc z przeciwnym wiatrem, aż wreszcie zawinął do Forochel i żeglarze zobaczyli z daleka małe ognisko, które tułacze rozpalili i stale podtrzymywali z niema-

⁸ Jest to dziwne, nieprzyjazne plemię, szczątki ludu Forodwaith, Dawnych Ludzi, nawykłych do ostrych mrozów w królestwie Morgo t ha. Jakkolwiek kraj ten oddalony jest ledwie o sto staj na północ od Shire'u, panuje w nim srogie zimno. Lossothowie budują sobie domy ze śniegu i podobno umieją biegać po lodzie na przytwierdzonych do podeszew kościanych łyżwach; używają też wozów bez kół. Większość ich mieszka na niedostępnym Przylądku Forochel, zamykającym od pomocy ogromną zatokę tej samej nazwy; często jednak koczują na południowych wybrzeżach zatoki u stóp gór.

łym trudem. Lecz zima owego roku długo nie wyzwalała wód ze swych okowów i chociaż zaczął się już marzec, zatoka na znacznej przestrzeni pokryta była przy brzegu lodem.

Śnieżni Ludzie na widok okrętu zdumieli się i przerazili, nigdy bowiem jeszcze za ich pamięci żaden statek nie pojawił się w tych stronach. Nabrali jednak większej przychylności dla króla i niedobitków jego świty; na saniach przewieźli ich jak się dało najdalej po lodzie, gdzie spuszczone ze statku łódź mogła już dotrzeć.

Śnieżni Ludzie niepokoiли się jednak, twierdząc, że czują w powietrzu niebezpieczeństwo. Przywódca Lossothów powiedział królowi Arvedui: „Nie dosiadaj tego morskiego potwora! Jeśli żeglarze mają z sobą zapasy, niech nam udziela żywności i innych potrzebnych rzeczy, abyście mogli zostać z nami, póki Czarnoksiężnik nie odejdzie do swego kraju. Latem siły jego zawsze słabną, lecz teraz dech tchnie śmiercią, a zimne ramię sięga daleko”.

Arvedui nie posłuchał tej rady. Podziękował Śnieżnym Ludziom i żegnając się dał przywódcy pierścień mówiąc: „To rzecz więcej warta, niż możesz sobie wyobrazić. Choćby tylko dla swej starożytności! Nie tkwi w nim żaden czar, prócz tego, że budzi szacunek każdego, kto kocha mój ród. Nie pomoże ci w niebezpieczeństwach, ale w potrzebie, jeżeli ten pierścień zaniesiesz do moich współplemieńców, wykupią go na pewno za cenę, jakiej zażądasz”⁹.

Czy Śnieżny Człowiek miał dar przeczuwania niebezpieczeństw, czy też przypadkiem, w każdym razie okazało się, że radził dobrze, zanim bowiem wypłynęli na pełne Morze, zerwała się wielka burza i wichura, niosąc śnieżną zamieć z północy i spychając okręt z powrotem na lód, który spiętrzył się wokół niego. Nawet żeglarze Kirdana byli bezradni; nocą lód przebił kadłub i statek zatonął. Tak zginął Arvedui, ostatni król, a z nim razem poszły na dno palantiry¹⁰. Dopiero w wiele lat później od Śnieżnych Ludzi dowiedziały się inne plemiona o tym zdarzeniu.

Mieszkańcy Shire’u ocalali, chociaż wojna przeszła przez ich kraj i wielu musiało się ratować ucieczką. Na pomoc królowi posłali oddział łuczników, którzy nigdy już nie wrócili do domów; inni wzięli udział w bitwie, w której rozbito wreszcie potęgę Angmaru (obszerniej o tym wspominają kroniki południa). W czasach pokoju, który później zapanował, lud Shire’u rządził się samodziel-

⁹ W ten sposób ocalał pierścień rodu Isildura, wykupili go bowiem potem Dunedainowie. Był to podobno ten sam pierścień, który Felagund z Nargoi-hrundu dał Barahirovi, a Beren odzyskał po niebezpiecznej przygodzie.

¹⁰ Były to kryształ z Annuminas i Amon Sul. Został na północy tylko jeden palantir, w Wieży na Emyrn Beraid, zwrócony ku Zatoce Księżycowej. Strzegły go elfy i chociaż nic o nim nie wiedzieliśmy, pozostawał tam, dopóki Kirdan nie zaniósł go na statek, którym odpływał Elrond (tom I, str. 73,158). Słyszeliśmy jednak, że różnił się od pozostałych palantirów i nie mógł z nimi współdziałać: był skierowany tylko ku Morzu. Tak go nastawił Elendil, aby móc patrzeć prosto na Eressee, zagubioną na zachodzie, lecz Morze na zawsze skryło zatopiony Numenor.

nie i pomyślnie. Wybierał sobie thana na miejsce króla i żył szczęśliwie, chociaż przez długie lata tęsknił jeszcze do powrotu króla. W końcu wszakże zapomniał o tej nadziei i zachowało się tylko przysłowie: „Jak król wróci”, używane, gdy mowa była o niedostępnym a pożądanym przedmiocie lub też o nie dającym się odwrócić nieszczęściu. Pierwszym thanem był niejaki Bukka z Marish, od którego wywodzi się rodzina Oldbucków. Objął on swój urząd w roku 379 wg Kalendarza Shire’u — czyli w 1979 kalendarza Gondoru.

Ze śmiercią Arvedui skończyło się Królestwo Północy, Dunedainów bowiem zostało niewiele i wszystkie plemiona Eriadoru były przetrzebione. Ród królów wszakże przetrwał w wodzach Dunedainów, z których pierwszym był Aranarth, syn Arvedui. Syn Aranartha, Arahael, wychowywał się w Rivendell jak i wszyscy późniejsi synowie wodzów; tam też przechowywano dziedzictwo rodu, pierścień Barahira, strzaskany miecz Narsil, gwiazdę Elendila i berło z Annuminas¹¹.

Odtąd królestwo przestało istnieć, Dunedainowie usunęli się z widowni i żyli w ukryciu, wędrując po świecie, a trudy ich i czyny rzadko opiewali bardowie lub zapisywali kronikarze. Teraz, gdy Elrond odpłynął z Śródziemia, mało nam już o tych sprawach wiadomo. Nim jeszcze skończył się okres Niespokojnego Pokoju, złe siły zaczęły nękać Eriador napastując go jawnie lub tajemnie; mimo to większość wodzów dożyła późnego wieku. Podobno Aragorna Pierwszego rozszarpały wilki, które stanowiły zawsze wielkie dla Eriadoru niebezpieczeństwo, po dziś nie całkiem zażegnane. Za czasów Arahada Pierwszego nagle dali o sobie znać orkowie, którzy — jak się później okazało — od dawna przyczaili się w warowniach pośród Gór Mglistych, aby zagrozić wszelkie przełęcze do Eriadoru. Gdy bowiem w roku 2509 żona Elronda, Kelebriana, jechała do Lorien przez przełęcz Czerwonego Rogu, napadli znieścacki, rozbili orszak, a ją samą porwali. Elladan i Elrohir puścili się w pogoń i odbili matkę, lecz ucierpiała w niewoli i odniosła ciężką ranę od zatrutej broni. Wróciła do Imladris, gdzie Elrond uzdrowił ją z cięlesnych ran, nie mogła jednak odtąd przywyknąć do życia w Śródziemni i w rok później udała się do Przystani, by odpłynąć za Morze. Potem, za czasów Arassuila, orkowie rozmnożyli się w Górach Mglistych i rozzuchwalili tak, że niszczyli

¹¹Berło, jak nam król wyjaśnił, było głównym godłem władzy w Numenorze, a także w Amorre, gdzie królowie nie nosili korony, lecz tylko pojedynczy biały kamień, Elendilmir, Gwiazdę Elendila, na srebrnej opasce nad czołem. (Tom I, str. 206, t. III, str. 151, 169, 309). Berło Numenoru podobno zginęło wraz z królem Ar-Farazonem. Berłem Annuminasu była srebrna różdżka władców Andunie, najstarsze chyba dzieło rąk ludzkich zachowane do dziś w Śródziemni. Liczyło sobie ponad pięć tysięcy lat, gdy je Elrond przekazał Aragornowi (t. III, str. 316). Korona Gondoru wzorowana była na dawnym wojennym hełmie Numenorejczyków. Początkowo miała postać zwykłego hełmu; miał to być ten sam hełm, który Isildur nosił podczas bitwy na polach Dagorladu (hełm Anariona został zmiażdżony, gdy kamień rzucony z Barad-Duru ugodził króla śmiertelnie w głowę). Za czasów Atanatara Alkarina hełm ten zastąpiono innym, zdobnym w drogie kamienie. Tym właśnie hełmem ukoronowano Aragorna

okoliczne kraje, a Dunedainowie wraz z synami Elronda musieli ich zwalczać. W tym to okresie duża banda orków zapuściła się na zachód aż w granice Shire'u i przepędzona została przez Bandobrasa Tuka.

Było piętnastu wodzów przed urodzeniem się szesnastego, Aragorna II, który był potem królem Gondoru i Arnoru zarazem. Nazywamy go „Naszym Królem” i wszyscy obywatele Shire'u radują się, ilekroć król odwiedza północ i w drodze do swego odbudowanego dworu w Annuminas odpoczywa nad Jeziołem Even-dim. Nigdy jednak nie przekracza granic naszego kraju, stosując się do prawa, które sam wydał, zabraniającego Dużym Ludziom naruszać ziemi hobbitów. Często wszakże w otoczeniu swej świty przybywa na Wielki Most i tam spotyka się z przyjaciółmi oraz tymi wszystkimi, którzy pragną go widzieć. Nieraz też hobbici przyłączają się do królewskiego orszaku lub odwiedzają króla w jego domu, gdzie goszczą tak długo, jak mają ochotę. W ten sposób nieraz odwiedzał króla than Peregryn, a także burmistrz Imć Samwise; córka Sama, śliczna Elanor, jest dworką królowej Arweny – Gwiazdy Wieczornej. Linia Północna, ku podziwowi świata i na swą chlubę, mimo utraty potęgi i rozproszenia ludu przechowała z ojca na syna dziedzictwo nieprzerwane. A chociaż okres życia wszystkich Dunedainów w Śródziemiu kurczył się stale, ród z północy żył przecież dłużej niż jego krewniacy z Gondoru po wygaśnięciu dynastii ich królów; wielu wodzów północy przeżyło dwukrotny wiek ludzki, osiągając sędziwość nie znaną nawet wśród hobbitów; Aragorn żył do stu dziewięćdziesięciu lat, a więc dłużej niż ktokolwiek z jego przodków od czasów króla Arvegila; w nim bowiem — w Elessarze — odrodziła się godność dawnych królów.

4. Gondor i spadkobiercy Anariona

Po Anarionie, który poległ pod Barad-Durem, Gondor miał trzydziestu jeden królów. Chociaż na pograniczach wojna nigdy nie wygasła, Dunedainowie z południa gromadzili przez tysiąc przeszło lat coraz większe bogactwa i władzę na lądzie i na morzu, aż do czasów Atanatara Drugiego, zwanego Alkarinem, czyli Wspaniałym. Pojawiały się wszakże już wcześniej pierwsze oznaki zapowiadające zmierzch, bo mężowie z najdostojniejszych rodów południa żenili się późno i niewiele mieli potomstwa. Pierwszym bezdzietnym królem był Falastur, drugim Narmakil I, syn Atanatara Alkarina. Siódmy król, Ostohier, odbudował Minas Anor i tam odtąd królowie przenosili się zwykle na lato zamiast pozostawać w Osgiliath. Za panowania Ostohiera także po raz pierwszy napadli na Gondor Dzicy Ludzie ze wschodu, lecz syn króla, Tarostar, odparł napastników; dlatego nazwano go Romendakilem-Zwycięzcą Wschodu. Romendakil zginął później w walce z inną hordą Easterlingów. Śmierć ojca pomścił Turambar, rozszerzając znacznie granice Gondoru na wschód.

Od dwunastego króla, Tarannona, zaczyna się dynastia Królów-Żeglarzy, którzy budowali okręty i rozciągnęli władzę Gondoru na wybrzeża, położone na zachód i południe od ujścia Anduiny. By upamiętnić zwycięstwa odniesione na czele floty, Tarannon przybrał imię Falastura, co znaczy: Władca Wybrzeży. Bratanek jego i następca na tronie, Earnil I, odbudował starą przystań Pelargir i stworzył potężną flotę. Obiegł od morza i lądu Umbar, zdobył go i zamienił na wielki port i zarazem twierdzę Gondoru¹². Earnil jednak niedługo cieszył się swym tryumfem, zatonął bowiem wraz z wielu okrętami i żeglarzami podczas burzy przy brzegach Umbaru. Syn jego Kiryandil nadal rozbudowywał flotę, lecz ludzie z Haradu, podburzeni przez wygnanych z Umbaru władców, napadli na twierdzę przeważającymi siłami, a król Kiryandil poległ w bitwie w Haradwaith.

Nieprzyjaciel przez lata całe oblegał Umbar, lecz gród pozostał nie zdobyty dzięki potędze morskiej Gondoru. Syn Kiryandila, Kiryاهر, przeczekał cierpliwie, dopóki nie zgromadził wielkich sił; wówczas dopiero zaatakował od lądu i od morza oblegających, przeprawił się na czele armii przez rzekę Harnen i rozbił doszczętnie wojska ludzi z Haradu zmuszając ich królów do uznania zwierzchnictwa Gondoru (1050). Kiryاهر przybrał miano Hyarmendakila — Zwycięzcy Południa.

Do końca długiego życia Hyarmendakila nikt nie śmiał podać w wątpliwość jego zwierzchniej władzy. Królował on przez sto trzydzieści cztery lata — było to najdłuższe, z jednym wyjątkiem, panowanie w dziejach dynastii Anariona. Gondor wówczas osiągnął szczyt potęgi. Królestwo rozciągało się na północy do rzeki Kelebrant i do południowego skraju Mrocznej Puszczy; na zachód — do Szarej Wody; na wschód — do Wewnętrznego Morza Rhun; na południe — do rzeki Harnen, a dalej wybrzeżem do półwyspu i przystani Umbaru. Ludzie z dolin Anduiny uznawał, jego władzę, królowie Haradu składali mu hołd, a ich synowie jako zakładnicy przebywali na dworze króla Gondoru. Mordor kipiał gniewem, lecz nie mógł nic przedsięwziąć, strzeżony przez potężne warownie czuwające na wszystkich przełęczach.

Na Hyarmendakilu skończyła się dynastia Królów-Żeglarzy. Syn jego, Atanatar Alkarin, pędził życie w wielkim przepychu, tak że mówiono, iż „w Gondorze dzieci bawią się drogocennymi kamieniami jak piaskiem”. Atanatar jednak lubił tylko używać życia, nie trudząc się podtrzymywaniem odziedziczonej potęgi. Jeszcze przed jego śmiercią zaczął się zmierzch Gondoru, co niewątpliwie nie uszło uwagi nieprzyjaciół. Zaniedbano też straży na granicach Mordoru. Dopie-

¹² Duży przylądek i zamknięta Zatoka Umbaru od dawnych czasów należały do Numenorejczyków, lecz zrobili z tego miejsca swą twierdzę Ludzie Królewscy, którzy ulegli wpływom Saurona; nazwano ich Czarnymi Numenorejczykami. Ci ponad wszystko nienawidzili zwolenników Elendila. Po upadku Saurona plemię to szybko wymarło lub pomieszało się z innymi ludami Śródziemia, lecz zachowało żywą wrogość dla Gondoru. Toteż zdobycie Umbaru było ciężkim i trudnym zwycięstwem.

ro jednak za panowania Valakara zarysowało się pierwsze prawdziwe niebezpieczeństwo: wybuchła Waśń Rodzinna i wojna domowa, która spowodowała wielkie zniszczenia i straty, nigdy w pełni nie powetowane.

Syn Kalmakila, Minalkar, odznaczał się wielką energią, loteż Narmakil, chcąc się pozbyć wszelkich kłopotów, mianował go w 1240 roku regentem. Odtąd Minalkar rządził Gondorem z ramienia króla, dopóki nie odziedziczył tronu po ojcu. Troszczył się głównie o Nortów.

Nortowie w okresie pokoju, ubezpieczonego potęgą Gondoru, wzrosli znacznie w siły; królowie okazywali im łaskawość, byli to bowiem wśród zwykłych ludzi najbliżsi pobratymcy Dunedainów (jako po większej części potomstwo plemienia, z którego wywodzili się starożytni Edainowie). Nortowie otrzymali więc z łaski królów rozległe ziemie na drugim brzegu Anduiny, na południe od Wielkiego Zielonego, Lasu; mieli stanowić straż Gondoru przed Easterlingami, którzy z dawna najczęściej napadali od strony równin ciągnących się między Wewnętrznym Morzem a Górą Popielnymi.

Napaści te ponowiły się za czasów Narmakila Pierwszego, jakkolwiek zrazu były niezbyt groźne. Okazało się jednak wtedy, że Nortowie nie zawsze dochowują wierności Gondorowi i że niektórzy z nich łączą się z Easterlingami, czy to z żądzy łupów, czy to wskutek zastarzałych waśni między różnymi ich książętami. Toteż Minalkar w 1248 roku wyruszył na czele potężnej armii, pomiędzy Rhovanionem a Morzem Wewnętrznym rozbił znaczne siły Easterlingów i zburzył ich osady oraz obozy na wschód od Morza. Po tym zwycięstwie przybrał imię Romendakila. Romendakil umocnił więc wschodnie brzegi Anduiny aż po ujście Mętnej Wody i zamknął przed obcymi drogę rzeczną na południe od Emyr Muil. Wtedy też zbudował królewskie kolumny Argonathu u wejścia na Jezioro Nen Hithoel. Ponieważ jednak potrzebował ludzi i pragnął zacieśnić więzy przyjaźni z Noriami, wielu z nich przyjął do swej służby i niektórym powierzył wysokie stanowiska w armii.

Romendakil szczególnymi łaskami darzył Vidugavię, który mu pomógł w czasie wojny. Nazywał siebie Królem Rhovanionu i był rzeczywiście najmożniejszym z książąt Pomocy, chociaż własne jego królestwo leżało pomiędzy Zielonym Lasem a Kelduiną (czyli Bystrą Rzeką). W 1250 roku Romendakil posłał swego syna Valakara jako ambasadora do Vidugavii, pragnąc, by młodzieniec poznał język, obyczaje i politykę Nortów. Lecz Valakar nie poprzestał na tym, rozmiłował się bowiem w kraju i jego mieszkańcach, a wkrótce też 419 zaślubił Vidumavi, córkę Vidugavii. Do ojczystego kraju wrócił dopiero po kilku latach. Małżeństwo to stało się później przyczyną wojny zwanej Waśnią Rodziną.

Albowiem dumni Gondorczyści krzywo patrzyli na Nortów piastujących w ich armii wysokie godności; było też rzeczą niesłychaną, aby dziedzic korony i syn królewski brał za żonę kobietę z mniej szlachetnego i obcego plemienia. Gdy

Valakar postarzał się, w prowincjach południowych wybuchł przeciw niemu bunt. Królowa była piękną i godną panią, lecz, jak wszyscy ludzie z mniej dostojnych plemion, nie miała przywileju długowieczności, toteż Dunedainowie obawiali się, że potomstwo z niej zrodzone również będzie żyło krótko i że ród królów wśród ludzi straci wskutek tego swój prastary majestat. Nie chcieli więc uznać za króla jej syna, który wprawdzie nosił imię Eldakara, lecz urodził się w obcym kraju i w dzieciństwie zwany był Vinitharyą w języku swej matki.

Gdy więc Eldakar objął po ojcu tron, rozpętała się w Gondorze wojna. Młody król okazał się uparty w obronie swoich praw. Prócz dziedzictwa krwi ojcowskiej miał w żyłach mężną, bojową krew Nortów. Gdy sprzysiężeni przeciw niemu Gondorczyści pod wodzą innych królewskich potomków zaatakowali go, bronił się do ostatka zawzięcie. Oblężony w Osgiliath trzymał się tam długo, póki głód i miazdząca przewaga wrogów nie zmusiły go do opuszczenia płonącej twierdzy. Podczas tych walk i pożaru zniszczona została Wieża Kryształu Osgiliathu, a palantir utonął w nurtach rzeki. Eldakar wymknął się jednak z rąk przeciwników i zbiegł na północ, do swych krewnych w Rhovanionie. Skupiło się przy nim wielu zwolenników, zarówno spośród Nortów, służących w armii Gondoru, jak i spośród Dunedainów mieszkających w pomocnych prowincjach; wielu z nich bowiem nabrało szacunku dla Eldakara, a jeszcze więcej pałało nienawiścią do jego rywala. Tym rywalem był Kastamir, wnuk Kalimenthara, młodszego brata Romendakila Drugiego. Kastamir nie tylko legitymował się najbliższym pokrewieństwem z panującym rodem, lecz ponadto miał więcej niż inni pretendenci popleczników, bo jako Dowódca Floty cieszył się poparciem mieszkańców wybrzeża i wielkich portów: Pelargiru oraz Umbaru.

Wkrótce jednak po objęciu władzy Kastamir zraził sobie ludzi wyniosłością i skąpstwem; był też okrutny, z czym zdradził się jeszcze podczas oblężenia Osgiliathu. Skazał na śmierć wziętego do niewoli Ornendila, syna Eldakara, a rzeź i zniszczenie, jakie z jego rozkazu spadły na gród, nie dały się usprawiedliwić koniecznością wojenną. Nie zapomniano tego nowemu królowi w Minas Anor i w Ithilien; do reszty zaś stracił Kastamir miłość ludu, gdy przekonano się, że nie dba o ziemię, kocha tylko swoją flotę i dlatego zamierza przenieść stolicę do Pelargiru. Po dziesięciu latach jego panowania Eldakar uznał, że przyszedł czas pomyślny, by odzyskać tron; z wielką armią wtargnął od pomocy, a wtedy z Kalenardhonu, z Anorien i z Ithilien podążyli na jego spotkanie liczni zwolennicy. W Lebennin, nad brodem na rzece Erui, rozegrała się wielka bitwa, w której przelano dużo najszlachetniejszej krwi Gondoru. Eldakar własną ręką zabił w boju Kastamira biorąc zemstę za straconego syna. Lecz synowie Kastamira ocalili i długo jeszcze na czele krewnych oraz przyjaciół bronili się w Pelargirze.

Eldakar nie rozporządzał flotą, aby ich osaczyć od Morza, wreszcie więc zgromadziwszy znaczne siły, wypłynęli z Pelargiru, by osiąść na dobre w Umbarze. Umbar stał się odtąd schronieniem wszystkich wrogów króla i państwem nie-

zależnym od korony; przez wiele pokoleń prowadził z Gondorem wojnę zagrażając nadbrzeżnym prowincjom i żegludze królewskiej floty. Nigdy się całkowicie nie poddał — dopóki nie powrócił król Elessar — a cały południowy Gondor stał się na długie wieki ziemią sporną między korsarzami a królami.

Strata Umbaru boleśnie dotknęła Gondor nie tylko dlatego, że umniejszyło to południowe prowincje królestwa i osłabiło jego władzę zwierzchnią nad Haradem, lecz także dlatego, że było to miejsce pamiętne zwycięstwem Ar-Farazona Złotego, ostatniego króla Numenoru, który tu wylądował i złamał potęgę Saurona.

Jakkolwiek potem Ar-Farazon ściągnął na Numenor zagładę, nawet zwolennicy Elendila chlubili się wspomnieniem floty Ar-Farazona, jego wielkiej armii, która wynurzyła się jak gdyby z Morza; toteż na najwyższym wzgórzu przylądka nad przystanią postawili jako upamiętnienie ogromny biały słup, a na nim umieścili kryształową kulę, by łowiła promienie słońca lub księżyca i świeciła niby jasna gwiazda, widoczna przy pięknej pogodzie nawet z wybrzeży Gondoru lub z dalekich wód zachodniego Morza. Pomnik ten przetrwał aż do ponownego wzrostu potęgi Saurona, wówczas bowiem Umbar dostał się pod panowanie jego sług i obalono pamiątkę upokorzenia Władcy Ciemności.

Od powrotu na tron Eldakara krew królewskiego rodu i innych Dunedainów częściej mieszała się z krwią mniej dostojnych plemion. Wielu bowiem najszlachetniejszych synów Gondoru zginęło w domowej wojnie, a przy tym Eldakar popierał Nortów, którzy mu pomogli odzyskać koronę, i zaludniał spustoszony kraj mnóstwem nowych osadników sprowadzanych z Rhovanionu. Przemieszczenie to nie spowodowało zrazu gwałtownego osłabienia Dunedainów, jak się obawiano; stopniowo jednak życie ich skracало się nadal. Niewątpliwie działał tu wpływ Śródziemia, a przy tym od upadku Gwiazdzistej Krainy z wolna Dunedainowie tracili dary Numenoru. Co do Eldakara, to przeżył lat dwieście trzydzieści pięć, a królem był przez lat pięćdziesiąt osiem, z czego dziesięć spędził na wygnaniu.

Drugie i gorsze jeszcze nieszczęście spadło na Gondor za panowania Telemnara, dwudziestego szóstego króla, którego ojciec, Minardil, syn Eldakara, poległ w Pelargirze w walce z korsarzami z Umbaru. (Przewodzili im Angamaite i Sangahyando, prawnukowie Kastamira). Wkrótce potem czarny wiatr od wschodu przyniósł morową zarazę. Umarł król i wszystkie jego dzieci, wyginęło mnóstwo ludzi, zwłaszcza spośród mieszkańców Osgiliath. Wobec zdziesiątkowania szeregów i powszechnego zgnębienia, osłabła czujność na granicach Mordoru, a twierdze strzegące przełęczy pozostały bez załogi. Później dopiero zauważono, że wszystko to działo się w czasie, gdy w Zielonym Lesie stopniowo gęstniał mrok i zaczęły pojawiać się licznie różne złe stwory, co było nieomylnym znakiem, że Sauron znów wzrasta w siły. Wprawdzie ucierpieli od tych plag również przeciwnicy Gondoru — gdyby nie to, skorzystaliby z jego osłabienia, aby

nim zawładnąć; Sauron jednak wołał czekać, ponieważ przede wszystkim pragnął uwolnienia Mordoru spod straży. Po śmierci króla Telemnara zwiędło i umarło Białe Drzewo w Minas Anor, lecz bratanek i następca Telemnara, Tarondor, posadził na dziedzińcu Cytadeli nowe. Tarondor właśnie przeniósł na stałe siedzibę królewską do Minas Anor, Osgiliath bowiem opustoszał i zaczął się rozsypywać w gruzy. Mieszkańcy, którzy ze strachu przed pomorem zbiegli do Ithilien lub do zachodnich dolin, nie mieli ochoty powracać stamtąd.

Tarondor młodo wstąpił na tron i panował najdłużej ze wszystkich królów Gondoru, nie zdołał jednak wiele dokonać poza tym, że przywrócił wewnątrz państwa porządek i z wolna odbudowywał jego siły obronne. Syn jego, Telumehtar, pamiętając śmierć Minardila i zaniepokojony zuchwalstwem korsarzy, którzy zapuszczali się w łupieżczych wyprawach aż do Anfalas, zgromadził wojsko i w roku 1810 zdobył szturmem Umbar. W tej wojnie zginęli ostatni potomkowie Kastamira, Umbar zaś znowu wrócił pod władzę królów. Telumehtar dodał do swego imienia przydomek Umbardakil — Zwycięzca Umbaru. Lecz wkrótce w nowej zawierusze Umbar odpadł od korony i dostał się w ręce ludzi z Haradu.

Trzecim nieszczęściem były najazdy Woźników, nękające osłabiony kraj przez sto niemal lat. Woźnicy, obce plemię, a raczej zlepek wielu plemion ze wschodu, w tym okresie wzmogli się na siłach i uzbroili jak nigdy przedtem. Plemię to wędrowało w wielkich krytych wozach, a jego wojownicy ruszali do walki na rydwaniach. Podburzeni, jak się później okazało, przez wysłanników Saurona, Woźnicy napadli znienacka na Gondor i w roku 1856 w bitwie na drugim brzegu Anduiny zabili króla Narmakila II. Ujarzmili wschodnią i południową część Rhovanionu, a granica Gondoru cofnęła się do Anduiny i wzgórz Eryn Muil. (W tym czasie, jak można przypuszczać, Upiory Pierścienia powróciły do Mordoru).

Kalimehtar, syn Narmakila II, wykorzystując powstanie w Rhovanionie pomścił śmierć ojca, gdy w 1899 roku odniósł na polach Dagorlad walne zwycięstwo nad Easterlingami. W ten sposób na czas jakiś niebezpieczeństwo z tej strony zostało zażegnane. Za panowania Arafanta na północy a Ondohera, syna Kalimehtara, na południu, dwa królestwa po długim okresie rozdziału i milczenia znów spotkały się na wspólną naradę. W końcu bowiem zrozumiano, że tymi atakami z różnych stron na niedobitków Numenoru kieruje jakaś jedna potęga i wola. Wtedy to Arvedui, spadkobierca Arafanta, poślubił Firię, córkę Ondohera (1940). Dwa królestwa nie mogły wszakże wspomóc się wzajemnie, bo kiedy Angmar ponowił napaść na Arthedain, jednocześnie potężne bandy Woźników najechały Gondor.

Wielu Woźników już przedostało się wcześniej na południe od Mordoru i sprzymierzyło z ludźmi z Khand i z Bliskiego Haradu; uderzając z wielką siłą od północy i południa, napastnicy omal nie rozbili doszczętnie Gondoru. W roku 1944 król Ondoher wraz z dwoma synami, Artamirem i Faramirem, poległ

w bitwie na północ od Morannonu, a Nieprzyjaciół wtargnął do Ithilien. Jednakże Earnil, dowódca Armii Południa, odniósł w południowej części Ithilien wielkie zwycięstwo, niszcząc wojska Haradu, które przepравиły się za rzekę Poroś. Spiesząc na północ Earnil zebrał rozproszone resztki Armii Północy i zaskoczył główny obóz nieprzyjacielski w chwili, gdy Woźnicy, upojeni tryumfem, przekonani o całkowitej bezsilności Gondoru, ucztowali myśląc, że nie pozostało im już do roboty nic, prócz rabunku w podbitym kraju. Earnil rozbił obóz pierwszym impetem, podpalił wozy i wypędził ogarniętych paniką najeźdźców z Ithilien. Wielu z nich, uciekając przed Gondorczykami, potonęło w Martwych Bagnach.

Po śmierci Ondohera i jego synów zgłosił swe prawa do korony Gondoru władca północnego królestwa. Arvedui, jako potomek w prostej linii Isildura i małżonek Firieli, jedynej pozostałej przy życiu dziedziczki Ondohera. Odrzucano wszakże jego roszczenia, głównie za sprawą Pelendura, który był ongiś Namieśnikiem króla Ondohera.

Rada koronna Gondoru taką dała odpowiedź: „Korona i władza w Gondorze należy się wyłącznie spadkobiercom Meneldila, syna Anariona, któremu Isildur odstąpił to królestwo. Wedle zwyczajów Gondoru prawo dziedzictwa przysługuje tylko potomkom męskim, o ile zaś nam wiadomo, w Amarze obowiązuje ten sam obyczaj”. Na to Arvedui odparł: „Elendil miał dwóch synów, z których Isildur jako pierworodny był spadkobiercą ojca. Słyszeliśmy, że imię Elendila po dziś dzień otwiera linię królów Gondoru, i słusznie, on bowiem uznany był za zwierzchnika wszystkich królów na ziemiach Dunedainów. Za życia Elendila synowie z jego ręki otrzymali we wspólne władanie królestwo południowe, lecz kiedy Elendil zginął, Isildur udał się na północ, by objąć tron po ojcu, zlecając władzę nad południem synowi swego brata. Nie wyrzekł się nigdy zwierzchniej władzy nad Gondorem ani też nie myślał, by królestwo Elendila miało na zawsze pozostać rozdzielone. Ponadto w dawnym Numenorze korona przechodziła na najstarsze dziecko króla, czy to był syn, czy też córka. Tego starego prawa nie przestrzegano w królestwach na wygnaniu, trapionych ustawicznie wojnami, lecz prawo to istniało w naszym plemieniu i do niego się dzisiaj odwołujemy, skoro synowie Ondohera zginęli bezpotomnie”¹³. Na to Gondor już nic nie odpowiedział. O koronę ubiegał się Earnil, zwycięski dowódca wojsk; oddano mu ją za zgodą wszystkich Dunedainów z Gondoru, należał bowiem do królewskiego rodu. Był synem Siriondila, syna Kalimmakila, syna Arkiryasa i brata Narmakila II Arvedui nie dochodził swoich praw; nie miał sił ani chęci, by sprzeciwiać się woli Dune-

¹³ Prawo to — jak nam król wyjaśnił — wprowadzono w Numenorze, gdy szósty król, Tar-Aldarion, pozostawił tylko córkę jedynaczkę. Była to pierwsza rządząca królowa, Tar-Ankalime. Przedtem wszakże obowiązywały inne prawa. Następcą czwartego króla, Tar-Elendila, był syn, Tar-Meneldur, chociaż żyła starsza od niego córka królewska, Silmarien. Elendil jednak wywodził się właśnie od Silmarien.

dainów z Gondoru. Potomkowie jego wszakże nie zapomnieli o tych prawach, nawet wówczas, gdy Północne Królestwo upadło. W latach bowiem, o których mówimy, upadek Północnego Królestwa był już bliski.

Arvedui był ostatnim królem północy, co zresztą wyraża się w jego imieniu. Podobno nadał mu je zaraz po narodzeniu Jasnowidz Malbeth mówiąc jego ojcu: „Dasz mu na imię Arvedui, bo on będzie ostatnim władcą w Arthedain. Będzie wprowadzie dany Dunedainom wybór, a jeśli wybiorą drogę pozornie bardziej beznadziejną, syn twój zmieni imię i zostanie królem wielkiego królestwa. W przeciwnym razie czeka ich wiele trosk i trudów i dużo pokoleń ludzkich przemienie, zanim Dunedainowie znów się dźwigną i zjednoczą”.

W Gondorze również po Earnilu jeden tylko król panował. Być może, gdyby dwa królestwa połączyły się pod jednym berłem, utrzymałaby się linia królów nieprzerwana i uniknięto by wielu nieszczęść. Earnil był zresztą mądrym człowiekiem i nie unosił się pychą, jakkolwiek jemu też, jak większości Gondorczyków, królestwo Arthedain wydawało się, mimo szlachetnego pochodzenia panujących tam władców, kraikiem niewartym większej uwagi. Posłał do Arvedui gońców z zawiadomieniem, że otrzymał koronę Gondoru zgodnie z prawem i w myśl interesów południowego Królestwa. „Nigdy jednak nie zapomnę o królestwie Arnoru ani też nie wyprę się więzów braterstwa, nie chcąc, aby królestwa Elendila stały się sobie obce — zapewniał. — W potrzebie dostarczę wam zawsze pomocy w miarę mych sił”.

Przez długi jednak czas potem Earnil sam nie dość czuł się bezpieczny, aby móc spełnić tę obietnicę. Król Arafant mimo słabnących sił starał się odpierać napaści Angmaru, gdy po ojcu objął panowanie, w końcu wszakże, jesienią 1973 roku doszły do Gondoru wieści, że Arthedain jest śmiertelnie zagrożony i że Czarnoksiężnik przygotowuje nowy, ostateczny cios. Wtedy jak najspieszniej Earnil wysłał na pomoc flotę i tylu wojowników, ilu mógł bez narażania własnych granic wyprawić, a na czele tych posiłków postawił swego syna, Earnura. Zanim jednak Earnur dotarł do brzegów Lindonu, Czarnoksiężnik podbił całe królestwo Arthedain, ostatni zaś król, Arvedui, stracił życie. W Szarej Przystani, gdy Earnur do niej zawinął, ludzie i elfy powitali go z radością i podziwem. Flota była tak liczna, a przy tym wielkie okręty zanurzały się tak głęboko, że nie mogły wszyskie znaleźć schronienia w porcie, chociaż zapełniły również przystanie w Harlond i Forlond. Z pokładów zeszła wspaniała armia, zaopatrzona i uzbrojona do wojny między potężnymi królami. Tak się przynajmniej zdawało ludziom z północy, bo w rzeczywistości była to zaledwie cześć potęgi Gondoru, wydzielona na tę daleką wyprawę. Największy zachwyt budziły konie, przeważnie wyhodowane w dolinach Anduiny, a dosiadali ich jeźdźcy rośli i piękni, dumni książęta Rhovanionu.

Kirdan wezwał pod broń wszystkich zdolnych do walki mężów z Lindonu i Arnoru, a gdy cała armia była gotowa, przepравиła się przez Rzekę Księżycową i pospieszyła na północ przeciw Czarnoksiężnikowi, władcy Angmaru. Mieszkał

on wówczas, jak już wspominaliśmy, w Fornoście, zagarnawszy siedzibę królów wraz z ich władzą, i skupił przy sobie wielu złych ludzi. Zadufany w swe siły, nie czekał, aż go przeciwnicy zaatakują w jego twierdzy, lecz wyszedł na czele swych wojsk na spotkanie armii Gondoru, pewny, że zmiażdży ją jednym uderzeniem, podobnie jak przedtem armię północną.

Gondorczycy zagroździ mu drogę wychodząc z gór Evendim i wielka bitwa rozegrała się na równinie między Nenuial a Wzgórzami Północnymi. Wojska Angmaru już się załamały i zaczęły cofać się w kierunku Fornostu, gdy niespodzianie konnica Gondoru, która okrążyła góry, zaskoczyła cofających się od pomocy. Odwrót zamienił się w pogrom i paniczną ucieczkę. Czarnoksiężnik z garstką niedobitków umknął zdążając wprost do Angmaru. Zanim zdążył się schronić w Karn Dum, dopędzili go jeźdźcy Gondoru z Earnurem na czele. Jednocześnie z Rivendell przybył na pomoc Gondorowi zastęp elfów prowadzony przez Glorfindela. Klęska Angmaru była tak druzgocąca, że ani jeden poplecznik Czarnoksiężnika, czy to człowiek, czy ork, nie pozostał na zachód od Gór.

Podobno jednak, gdy sprawa Angmaru zdawała się już stracona, zjawił się nagle sam Czarnoksiężnik, w czarnym płaszczu, w czarnej masce i na karym koniu. Strach poraził ludzi na jego widok. On wszakże za cel swej straszliwej nienawiści obrał wodza Gondoru i z krzykiem natarł wprost na niego. Earnur gotów był stawić mu czoło, lecz wierzchowiec przerażony uskoczył w bok i uniósł jeźdźca, który nie zdążył go w porę opanować.

Czarnoksiężnik zaśmiał się, a nikt z ludzi, którzy słyszeli ten śmiech, nie mógł odtąd zapomnieć jego grozy. Wtedy jednak wysunął się z szeregów Glorfindel na białym koniu. Śmiech uwiązał Czarnoksiężnikowi w gardle. Zawróciwszy na miejscu czarny jeździec pomknął galopem i zginął w ciemnościach, noc bowiem zapadła już nad polem bitwy. Czarnoksiężnik zniknął, nikt nie wiedział, gdzie się skrył.

Earnur właśnie wrócił, lecz Glorfindel wpatrując się w gęstniejący mrok powiedział:

— Nie ścigaj go! Nigdy już nie wróci do tej krainy. Zguba dosięgnie go daleko stąd, nieprędko i nie z ręki męża.

Wielu Gondorczyków zapamiętało te słowa elfa. Earnur kipiał jednak gniewem i pragnął pomścić doznane upokorzenie.

Tak się skończyło nikczemne królestwo Angmaru. Tak też Earnur, wódz Gondoru, zasłużył sobie na straszliwą nienawiść Czarnoksiężnika; wiele wszakże lat musiało upłynąć, zanim wyszło to na jaw.

Dopiero po latach również odkryto, że właśnie wówczas, za panowania króla Earnila, Czarnoksiężnik opuściwszy północ udał się do Mordom i tam zwołał Upiory Pierścienia, których był wodzem. Nie wcześniej jednak niż w roku 2000 Upiory Pierścienia przekroczyły przełęcz Kirith Ungol i poprowadziły armię pod

Minas Ithil. Po dwóch latach oblężenia służby Mordoru zdobyli tę Wieżę wraz z przechowywanym tam palantirem i utrzymali ją w swych rękach do końca Trzeciej Ery. Minas Ithil — Wieża Wschodzącego Księżyca — stała się siedliskiem grozy i zmieniła nazwę na Minas Morgul — Wieża Złych Czarów. Większość ludzi zamieszkujących Ithilien opuściła te strony.

Earnur dorównywał swemu ojcu męstwem, lecz nie mądrością. Był krzepki i porywczy; nie chciał pojąć żony, bo znajdował uciechę tylko w bitwie i w ćwiczeniu wojska. Władał bronią tak dzielnie, że nikt nie mógł dotrzymać mu pola podczas turniejów, które nade wszystko lubił, podobniejszy do siłacza i mistrza szermierki niżli do wodza czy króla. Zachował też siłę i zęczność do niezwykle późnego wieku.

Gdy w roku 2043 Earnur przejął koronę, król Minas Morgul wyzwał go na walkę w pojedynkę, przypominając szyderczo, że niegdyś nie ośmielił się z nim potykać w bitwie na północy. Tym razem Namiestnik królewski Mardil zdołał gniewnego Earnura powstrzymać od szaleństwa. Głównym grodem Gondoru i siedzibą królów od czasów króla Telemnara była Minas Anor — Wieża Wschodzącego Słońca — przezwana wówczas Minas Tirith — Wieżą Czat — ponieważ czuwano w niej nieustannie pod grozą Morgulu. W siedem lat później władca Morgulu powtórzył wyzwanie, szydząc z Eamura, że za młodu już miał zajęte serce, teraz zaś pewnie jest nie tylko tchórzem, lecz w dodatku słabym starcem. Mardil nie mógł dłużej powściągać gniewu króla, który z nieliczną świtą stawiał się pod bramą Minas Morgul. Ani o królu, ani o żadnym z jego towarzyszy nie usłyszano więcej w Gondorze. Powszechnie mniemano, że zdradziecki Nieprzyjaciel porwał Earnura i że król umarł torturowany w Minas Morgul. Nie było jednak świadków śmierci króla, więc władzę w jego imieniu sprawował przez wiele lat Mardil, zwany Dobrym Namiestnikiem.

Potomków królewskiej linii było już wtedy niewielu. Wojna domowa dziesiątkowała ród, a ponadto od czasów tej waśni królowie, zazdrośni o władzę, nieufnie odnosili się do krewniaków. Często któryś z nich, czując się śledzony i podejrzewany, uciekał do Umbaru i przyłączał się do buntowników. Niejeden też wyrzekając się przywilejów Numenoru brał żonę z pośledniejszego plemienia. Nie znalazł się więc pretendent do tronu czystej krwi numenorejskiej i to taki, na którego inni zechcieliby się zgodzić. Wspomnienie wojny domowej ciążyło na wszystkich, obawiano się jej nawrotu, rozumiejąc, że w obecnym położeniu waśni zgubiłaby ostatecznie Gondor. Toteż lata płynęły, a Gondorem rządził nadal Namiestnik, korona zaś Elendila spoczywała u stóp króla Earnila w Domu Umarłych, tam gdzie ją Earnur zostawił.

Namiestnicy

Ród Namiestników zwał się rodem Hurina, bo wywodził się od Namiestnika

króla Minardila (1621–1634), imieniem Hurin. Hurin z Emyrn Arnen miał w żyłach szlachetną krew Numenoru. Następni królowie zawsze wybierali sobie Namiestników spośród jego potomstwa, a od czasów Pelendura godność ta stała się tak samo dziedziczna jak korona i przechodziła z ojca na syna lub najbliższego spadkobiercę.

Każdy nowy Namiestnik obejmując urząd składał przysięgę, że będzie rządził w „imieniu króla aż do jego powrotu”. Wkrótce jednak słowa te stały się częścią formuły, do której niewiele przywiązywano wagi, bo Namiestnicy w rzeczywistości mieli pełną władzę królewską. Wśród Gondorczyków przetrwała mimo to wiara, że król kiedyś wróci; niektórzy pamiętali też o istnieniu Północnej Linii rodu królewskiego i krążyły słuchy, że jej potomkowie żyją w ukryciu. Namiestnicy woleli zamykać uszy na takie pogłoski. Nigdy jednak żaden Namiestnik nie zasiadał na starodawnym tronie ani nie nosił korony i berła. Godłem ich władzy była biała różdżka, a białej chorągwi namiestnikowskiej nie zdobiły żadne znaki, podczas gdy na królewskiej pośród czarnego pola widniało białe kwitnące drzewo pod siedmiu gwiazdami.

Linie rozpoczyna Mardil Voronwe, uznawany za protoplastę, po czym następują imiona dwudziestu czterech rządzących Gondorem Namiestników i zamyka listę dwudziesty szósty, ostatni z nich — Denethor II. Początkowo rządy ich upływały w ciszy, bo trwał okres Niespokojnego Pokoju, kiedy to Sauron cofnął się przed potęgą Białej Rady, a Upiory Pierścienia czaiły się w ukryciu Doliny Morgulu. Dopiero od czasów Denethora ciszę zamąciły ustawiczne groźne starcia na pograniczu, chociaż nikt wojny jawnie nie wypowiedział.

Pod koniec rządów Denethora I pojawiło się z Mordoru plemię Uruków, czarnych orków niezwyklej siły, a w roku 2475 banda ich wtargnęła do Ithilien i szturmem wzięła Osgiliath. Boromir, syn Denethora (na którego pamiątkę nosił to imię Boromir, uczestnik Wyprawy Dziewięciu), rozgromił orków i oswobodził Ithilien, lecz Osgiliath został ostatecznie zburzony, a wielki kamienny most rozbity. Boromir był wielkim wodzem i bał się go nawet Czarnoksiężnik. Szlachetny, piękny, krzepkiego ciała i silnej woli, Boromir odniósł w tej walce ranę zatrutą jadem Morgulu, która skróciła mu życie; wyniszczony cierpieniem, ledwie o dwanaście lat przeżył swego ojca.

Po nim nastąpiły długoletnie rządy Kiriona, przezornego i sumiennego Namiestnika, który wszakże niewiele mógł zdziałać, bo Gondor miał już ruchy bardzo skrzępowane. Kirion starał się bronić granic, ale nie było w jego mocy odparowanie ciosów, złośliwie zadawanych przez przeciwników, a raczej przez tajemną siłę, która nimi kierowała. Korsarze łupili wybrzeża, główne jednak niebezpieczeństwo groziło Gondorowi od pomocy. Na rozległych ziemiach Rhovanionu, między Mroczną Puszczą a Bystrą Rzeką, osiedlił się teraz dziki lud, całkowicie pogrążony w cieniu Dol Gulduru. Rzesze owych Balków rosły, bo przyłączały się

do nich coraz to nowe pokrewne szczepy ciągnące z Dzikich Krajów, podczas gdy plemię z Kalenardhonu wymierało. Kirion z największym trudem utrzymywał linię Anduiny. Przewidując burzę, Kirion w roku 2510 posłał gońców na pomoc prosząc o pomoc, lecz było już za późno. Balkowie zdążyli tymczasem zbudować mnóstwo dużych łodzi i tratw na wschodnim brzegu Anduiny, przeprawili się hurmą przez rzekę i rozbili obrońców. Armii maszerującej z południa odcięli drogę, po czym odepchnęli ją ku pomocy aż za Mętą Wodę, skąd, znienacka zaatakowana przez orków z Gór, musiała wycofać się nad Anduinę, wówczas jednak nadeszła niespodziewana pomoc. W Gondorze po raz pierwszy usłyszano muzykę rogów Rohirrimów. Eorl Młody na czele swych jeźdźców rozproszył nieprzyjacielską hordę i ścigał Balków tępiąc ich na całym obszarze Kalenardhonu. Kirion oddał więc kraj ten we władanie Eorlowi, który zaręczył słowem i poprzysiągł władcom Gondoru przyjaźń i pomoc w potrzebie lub na każde wezwanie.

Za rządów Berena, dziewiętnastego Namiestnika, Gondor znalazł się w gorszym jeszcze niebezpieczeństwie. Trzy wielkie floty korsarskie, od dawna przygotowywane, nadpłynęły z Umbaru i Haradu, atakując potężnymi siłami wybrzeża; w wielu miejscach Nieprzyjaciół udało się wylądować, docierając na północ aż do ujścia Iseny. Jednocześnie na Rohirrimów dokonano napaści od zachodu i wschodu, tak że musieli z zalanego przez napastników kraju uchodzić w doliny Białych Gór. W roku owym — 2758 — Długa Zima przyniosła wcześniej z północy i wschodu mróz i śnieżyce, a trwała blisko pięć miesięcy. Hełm z Rohanu wraz z dwoma synami poległ na wojnie, śmierć i nieszczęścia zapanowały w Eriadorze i Rohanie. W Gondorze jednak, położonym na południe od Gór, działo się nieco lepiej i jeszcze przed wiosną Beregond, syn Berena, rozgromił najeźdźców. Natychmiast wysłał posiłki do Rohanu. Beregond był największym wodzem Gondoru od czasów Boromira, toteż gdy w roku 2763 objął po ojcu władzę, kraj zaczął dźwigać się szybko. Rohan wszakże wolniej wracał do sił po odniesionych ranach. Dlatego Beren chętnie przyjął Sarumana i oddał mu klucze Orthanku. Odtąd, czyli od roku 2759, Saruman zamieszkał w Isengardzie.

Za rządów Beregonda krasnoludowie toczyli wojnę z orkami w Górach Mglistych (2793–2799), o czym na południu dowiedziano się dopiero wtedy, gdy uciekający z Nanduhirionu orkowie usiłowali przez Rohan przedostać się w Białe Góry, aby się tam osiedlić. Wiele walk rozegrało się w dolinach, nim zażegnano niebezpieczeństwo. Gdy zmarł Belekthor II, dwudziesty pierwszy Namiestnik, Białe Drzewo zwiędło w Minas Tirith, ponieważ jednak nie można było znaleźć nigdzie nasienia, zostawiono martwy pień na miejscu „do powrotu króla”.

Za Turina II nieprzyjaciele Gondoru znów się zaczęli ruszać, Sauron bowiem nabierał już nowych sił i zbliżał się dzień odrodzenia jego potęgi. Tylko garstka najdzielniejszych ludzi została w Ithilien, większość przeniosła się na zachodni brzeg Anduiny, uciekając przed bandami orków z Mordoru. Wtedy to Turin zbu-

dował w Ithilien dla swych żołnierzy tajne schrony, z których najdłużej przetrwał i był w użyciu Henneth Annun. Turin też umocnił wyspę Kair Andros¹⁴ ku obronie Ithilien. Przede wszystkim jednak Gondor zagrożony był od południa, Haradrimowie bowiem zajęli południowe prowincje, a nad rzeką Poroś ustawicznie toczyły się walki. Gdy orkowie znacznymi siłami wtargnęli do Ithilien, król Rohanu, Folkwin, dotrzymał złożonej przez Eorla przysięgi i spłacił dług zaciągnięty niegdyś u Beregonda, wysyłając liczny zastęp wojowników do Gondoru. Z ich pomocą Turin odniósł zwycięstwo u brodu na Poroś, lecz obaj synowie Folkwina polegli w tej bitwie. Jeźdźcy Rohanu pogrzebali ich wedle obyczaju swego plemienia i braciom-bliźniakom usypali wspólny kurhan. Przez długie lata wznosił się ten Haudh in Gwanur nad brzegiem rzeki, a wrogowie Gondoru bali się tędy przeprawiać.

Po Turinie objął namiestnictwo Turgon, lecz z okresu jego rządów upamiętniło się jedynie to zdarzenie, iż na dwa lata przed jego zgonem Sauron znów powstał, wystąpił jawnie i wkroczył z powrotem do Mordoru, od dawna gotowego na przyjęcie Władcy Ciemności. Znowu więc wyrosły mury Barad-Duru, a Góra Przeznaczenia wybuchła ogniem, ostatni zaś mieszkaniec uciekł z Ithilien. Gdy Turgon umarł, Saruman zawładnął Isengardem i zamienił go w niezdobytą fortecę.

Ekthelion II, syn Turgona, był rozumnym władcą. Wszystkich sił, jakimi jeszcze rozporządzał, użył dla umocnienia kraju od napaści Mordoru. Chętnie przyjmował na służbę szlachetnych ludzi z daleka lub z bliska, a tych, którzy się okazali godni zaufania, nagradzał hojnie i wyróżniał. Wielkiej pomocy i rady udzielał mu znakomity wódz, którego Namiestnik pokochał bardziej niż innych. Nazywano tego wodza w Gondorze Thorongilem, Orłem Gwiazdy, był bowiem szybki, wzrok miał bystry, a na płaszczu nosił gwiazdzisty znak; nikt wszakże nie znał jego prawdziwego imienia ani też nie wiedział, z jakiego kraju pochodzi. Przybył na dwór Ektheliona z Rohanu, gdzie przedtem służył królowi Thenglowi, nie był jednak rodowitym Rohirrimem. Na morzu i lądzie zasłynął jako wódz znakomity i znajdował wielki posłuch u ludzi, zniknął jednak przed zgonem Ektheliona równie tajemniczo, jak się przedtem pojawił. Thorongil nieraz przekonywał Ektheliona, że potęga buntowników z Umbaru stanowi groźbę dla Gondoru i dla lenników na południu, a może się okazać śmiertelnym niebezpieczeństwem, w razie gdyby Sauron otwarcie zaczął wojnę. Wreszcie uzyskał zezwolenie Namiestnika, zgromadził całą flotę, znenacka zaskoczył nocą Umbar i spalił tam większą część korsarskich okrętów. W bitwie na wybrzeżu zabił komendanta przystani, po czym wycofał się z nieznacznymi stratami. Gdy wszakże flota zawinęła do Pelargiru, ku zdziwieniu i smutkowi podwładnych, nie chciał wraz z nimi wracać do Minas

¹⁴ Nazwa ta znaczy „Okręt na spienionej fali”, bo wyspa miała kształt wielkiego statku z wysokim dziobem zwróconym na północ, o którego skały fale Anduiny rozbijały się białą pianą.

Tirith, gdzie czekały go zaszczyty i nagroda. Przez gońca przekazał Ekthelionowi słowa pożegnania: „Wzywają mnie teraz inne obowiązki i wiele zapewne czasu upłynie, wiele niebezpieczeństw będę musiał przezwyciężyć, zanim powrócę do Gondoru — jeśli taki będzie wyrok losu”. Nikt nie wiedział, jakie wzywały go obowiązki ani skąd otrzymał wezwanie, lecz wiadano, w którą stronę odszedł. Przeprowadził się bowiem łodzią przez Anduinę, pożegnał towarzyszy i oddalił się samotnie. Kiedy go widzieli po raz ostatni, był twarzą zwrócony ku Górcom Cienia. W Minas Tirith wieść o odejściu Thorongila wzbudziła wielki żal, wszystkim zdawało się to ciężką stratą. Wszystkim — z wyjątkiem Denethora, syna Ektheliona, który był podówczas już mężem dojrzałym do objęcia władzy i wkrótce też, bo w cztery lata później, po śmierci ojca został Namiestnikiem.

Denethor był dumny, rośły, dzielny; od wielu pokoleń ludzie w Gondorze nie mieli władcy tak królewskiej postawy; był przy tym mądry, przewidujący, uczony w księgach dziejów. Między nim a Thorongilem istniało niemal braterskie podobieństwo, lecz dotychczas zawsze musiał temu obcemu przybyszowi ustępować pierwszego miejsca zarówno w sercach ludzi, jak w szacunku ojca. Wielu Gondorczyków myślało podówczas, że Thorongil usunął się, by nie doczekać chwili, gdy rywal stanie się jego zwierzchnikiem; ale w rzeczywistości Thorongil nigdy nie współzawodniczył z Denethorem ani też nie wynosił się ponad stan, który przyjął: sługi Ektheliona. W jednej tylko sprawie rady ich różniły się bardzo. Thorongil przestrzegał Namiestnika, aby nie ufał Sarumanowi Białemu z Isengardu, lecz raczej zaprzyjaźnił się z Gandalfem Szarym; między Denethorem a Gandalfem nigdy nie nawiązała się przyjaźń, a po śmierci Ektheliona Szary Pielgrzym nie doznawał już zbyt miłego przyjęcia w Minas Tirith. Toteż później, gdy wszystko już się wyjaśniło, wielu ludzi sądziło, że Denethor, obdarzony przenikliwym umysłem, sięgający wzrokiem dalej i głębiej niż inni, wcześniej odkrył, kim był naprawdę dziwny cudzoziemiec, i podejrzewał, że Thorongil wraz z Mithrandirem spiskują przeciw niemu chcąc go pozbawić władzy.

Gdy Denethor został Namiestnikiem (2984), okazał się władcą silnej ręki i mocno dzierżył ster rządów w Gondorze. Mówił mało, słuchał rad, ale potem robił zawsze wszystko wedle własnej myśli. Ożenił się późno (2976), biorąc za żonę Finduilas, córkę Adrahila, księcia Dol Amrothu. Była to pani wielkiej urody i tkliwego serca, lecz zmarła po dwunastu zaledwie latach małżeństwa. Denethor na swój sposób kochał ją goręcej niż kogokolwiek w świecie, z wyjątkiem może starszego z dwóch synów, którymi go żona obdarzyła. Zdawało się jednak, że Finduilas więdnęła w kamiennym grodzie, jak kwiat z nadmorskich dolin przesadzony na jałowy, skalisty grunt. Cień padający od Mordom przerażał ją, odwracała wciąż oczy na południe, ku Morzu, do którego tęskniła. Po jej śmierci Denethor spochmurniał i stał się bardziej jeszcze milczący niż przedtem; dni całe przesiedział w wieży pogrążony w rozmyślaniach, przewidując, że gdy dopełni się czas,

Mordor zaatakuję jego kraj nieuchronnie. Powszechnie później przypuszczano, że Denethor, żądny wiedzy, a tak dumny, iż ufał sile swej woli, ośmielił się wówczas zajrzeć w palantir Białej Wieży. Żaden z poprzednich Namiestników na to się nie odważył, nawet królowie Earnil i Earnur nie czynili tego, odkąd po upadku Minas Ithil palantir Isildura dostał się do rąk Nieprzyjaciela, kryształ bowiem przechowywany w Minas Tirith, czyli palantir Anariona, związany był ściśle z kryształem, który teraz należał do Saurona.

Tak Denethor zdobył sposób, by wiedzieć o wszystkim, co działo się w jego państwie, a także daleko poza jego granicami; ludzie podziwiali jego przenikliwość, lecz Namiestnik opłacił ją wielką ceną i postarzał się przedwcześnie, wyczerpany zmaganiem się z wolą Saurona. Rosła w jego sercu duma wraz z rozpaczą, aż w końcu wszystkie inne sprawy przesłoniła mu ta jedna: walka władcy Białej Wieży z władcą Barad-Duru; nie ufał nikomu, kto wprawdzie przeciwstawił się Sauronowi, lecz nie służył wyłącznie Władcy Gondoru.

Tymczasem zbliżał się wybuch Wojny o Pierścień, a synowie Denethora wyrosli na dojrzałych mężów. Boromir, o pięć lat starszy, ulubieniec ojca, był do niego podobny z urody i dumy, lecz z niczego więcej. Przypominał raczej króla Earnura, jak on bowiem nie ożenił się i nade wszystko kochał wojenne rzemiosło; odważny, silny, nie miał zamiłowania do starych ksiąg, chociaż lubił opowieści o dawnych bitwach. Młodszy, Faramir, podobny był do brata z twarzy i postawy, lecz nie z usposobienia. Przenikał serca ludzkie równie jasno, jak jego ojciec, ale to, co w nich czytał, budziło w nim częściej litość niż wzdargę. Łagodnego obejścia, kochał księgi i muzykę, toteż niejeden, sądząc z pozoru, niżej cenił jego męstwo niż męstwo Boromira. Naprawdę dorównywał odwagą bratu, lecz nie szukał chwały w narażaniu się bez potrzeby na niebezpieczeństwa. Ilekroć Gandalf przybywał do grodu, Faramir witał go przyjaźnie i uczył się od niego mądrości, a to — podobnie jak wiele innych rzeczy w młodszym synu — bardzo się nie podobało Denethorowi.

Bracia jednak kochali się szczerze od dzieciństwa; starszy Boromir zawsze wspierał i bronił Faramira. Później też nie powstała między nimi nigdy zazdrość ani rywalizacja o łaski ojcowskie i o pochwały ludzkie. Faramirowi wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek w Gondorze współzawodniczyć mógł z Boromirem, spadkobiercą Denethora, dowódcą straży Białej Wieży. Boromir podzielał co do tego zdanie brata. Los miał dowieść, że się mylili obaj. Ale o wszystkim, co się tym trzem ludziom zdarzyło podczas Wojny o Pierścień, opowiedziano na innym miejscu. Po zakończeniu tej wojny skończyły się też rządy Namiestników w Gondorze, powrócił bowiem spadkobierca Isildura, królestwo zostało wskrzeszone, a z wieży Ektheliona powiała znów chorągiew z godłem Białego Drzewa.

5. Fragment historii Aragorna i Arweny

Arador był dziadkiem króla. Syn Aradora, Arathorn, pojął za żonę Gilraenę Piękną, córkę Dirhaela, który wywodził się z krwi Aranartha. Dirhael sprzeciwiał się temu małżeństwu, ponieważ Gilraena nie osiągnęła jeszcze wieku, w którym Dunedainowie zwykli swe córki wydawać za mąż.

— Ponadto — rzekł — Arathorn jest poważnym człowiekiem w kwiecie lat i wkrótce, prędzej niż się ludzie spodziewają, zostanie wodzem, ale serce ostrzega mnie, że nie będzie żył długo.

Ivorwena jednak, żona Dirhaela, także obdarzona jasnowidzeniem, odparła:

— Tym bardziej trzeba się spieszyć! Niebo się chmurzy, nadciąga burza, wielkie rzeczy będą się rozstrzygały. Jeśli tych dwoje zwiążemy teraz małżeństwem, może z nich zrodzi się nadzieja naszego plemienia, lecz jeśli małżeństwo ich się odwlecze, wiek nasz przeminie, zanim wzejdzie nadzieja.

Zdarzyło się rzeczywiście, że w rok po zaślubinach Arathorna z Gilraeną Arador wpadł w górach na północ od Rivendell w zasadzkę trollów i zginął. Arathorn został wodzem Dunedainów.

W rok później Gilraena urodziła syna i dano mu na imię Aragorn.

Aragorn miał dwa lata, gdy Arathorn ruszył wraz z synami Elronda na wyprawę przeciw orkom i poległ od strzały z łuku, która przebiła mu żrenicę. Sprawdziła się przepowiednia, żył niezwykle krótko jak na długowiecznego Dunedaina, miał bowiem wówczas zaledwie sześćdziesiąt lat.

Aragorn był więc spadkobiercą Isildura; zamieszkał wraz z matką w domu Elronda, który zastępował mu ojca i kochał go nie mniej niż rodzonych synów. Nazywano chłopca Estelem, to znaczy nadzieja, prawdziwe zaś imię i rodowód trzymano w tajemnicy. Tak zarządził Elrond, mędrcy bowiem wiedzieli, że Nieprzyjaciół poszukuje spadkobiercy Isildura, niepewny, czy ten prawowity dziedzic królów żyje na ziemi.

Gdy Estel miał lat dwadzieścia, wrócił kiedyś okryty chwałą z wyprawy, którą podejmował w towarzystwie synów Elronda. Elrond przyjrzał mu się z zadowoleniem. Estel bowiem był piękny i szlachetny, wcześniej dojrzały, chociaż miał jeszcze urosnąć zarówno ciałem, jak duchem. Tego więc dnia Elrond nazwał go własnym jego imieniem, powiedział mu, czym jest synem, i wręczył mu dziedzictwo rodu.

— Oto pierścień Barahira — rzekł — znak naszego — dalekiego pokrewieństwa; weź też szczątki Narsila. Może tym orężem dokonasz jeszcze wielkich czynów, przepowiadam ci bowiem, że będziesz żył długo nad miarę ludzkiego wieku, chyba że — ulegniesz złej sile albo że nie wytrzymasz próby. Próba będzie ciężka i długa. Berła Annuminasu jeszcze ci nie daję, musisz na nie zasłużyć. Nazajutrz o zachodzie słońca Aragorn samotnie przechadzał się po lesie, a serce miał pełne

radości; śpiewał, bo nadzieja świeciła mu jasno, a świat był piękny. Nagle zobaczył młodą dziewczynę idącą przez zieloną trawę między białymi pniami brzoź. Stał zdumiony — wydało mu się bowiem, że zabłądził w kraj snów albo że otrzymał dar elfów-minstreli, którzy umieją przed oczyma słuchaczy wyczarowywać to, o czym mówi ich pieśń.

Aragorn śpiewał właśnie pieśń, która opowiada o spotkaniu Luthien z Berenem w lesie Neldoreth i oto stanęła przed nim w Rivendell Luthien w płaszczu srebrnym i błękitnym, piękna jak zmierzch w domu elfów; podmuch wiatru rozwiał jej ciemne włosy, nad czołem klejnoty błyszczały jak gwiazdy.

Chwilę Aragorn patrzył na nią w milczeniu, lecz bojąc się, by nie odeszła i nie zniknęła mu na zawsze, krzyknął wreszcie tak, jak ongi, za Dawnych Dni Beren: — Tinuviel! Tinuviel! Piękna dziewczyna zwróciła się do niego z uśmiechem, pytając:

— Ktoś jest? I dlaczego wołasz mnie tym imieniem?

— Ponieważ uwierzyłem, że naprawdę widzę Luthien Tinuviel, o której śpiewałem — odparł. — Jeśli nawet nią nie jesteś, wyglądasz jak jej rodzona siostra.

— Mówiono mi to nieraz — odpowiedziała z powagą — ale noszę inne imię. Kto wie, czy nie czeka mnie los do-jej losu podobny. Ale kim ty jesteś?

— Nazywano mnie Estelem — rzekł — lecz jestem Aragorn, syn Arathorna, spadkobierca Isildura, wódz Dunedainów. Mówiąc to poczuł nagle, że wszystkie dostojeństwa, które tak go cieszyły, stają się teraz małe i nic niewarte wobec godności i urody nieznanegoj. Ona jednak roześmiała się wesoło.

— A więc jesteście dalekimi krewnymi. Nazywam się Arwena, córka Elronda, a niekiedy zważ mnie też Undomiel.

— Często się zdarza — powiedział Aragorn — że w czasach niebezpiecznych ludzie kryją swój najcenniejszy klejnot. Mimo to dziwię się twemu ojcu i braciom, że chociaż przebywam w ich domu od dzieciństwa, nigdy ani słowem nie wspomnieli mi o tobie. Jak się to stało, że nie spotkaliśmy się dotychczas? Ojciec chyba nie trzymał cię zamkniętej w skarbcu?

— Nie — odparła spoglądając ku górą spiętrzonej na wschodzie. — Mieszkałam czas jakiś w ojczyźnie mojej matki, w dalekim kraju Lothlorien. Niedawno dopiero wróciłam do domu ojca w odwiedziny. Od wielu lat nie tknęłam stopą trawy Imladris. Aragorn zdziwił się, bo nie wydała mu się starsza od niego, który ledwie dwadzieścia lat przeżył w Śródziemni. Arwena jednak spojrzała mu prosto w oczy mówiąc:

— Nie dziw się! Dzieci Elronda mają przecież dar życia Eldarów. Wtedy Aragorn zmieszał się bardzo, dostrzegł bowiem w jej oczach światło elfów i mądrość wielu lat. W tej wszakże chwili pokochał Arwenę Undomiel, córkę Elronda.

Przez następnych dni kilka był milczący i zadumany, aż matka zauważyła, że syn zmienił się dziwnie; wreszcie uległ i na jej pytania opowiedział o przedwiecznym spotkaniu w lesie.

— Synu — rzekła Gilraena — wysoko mierzysz, bardzo wysoko nawet dla potomka królów. To jest bowiem najpiękniejsza dziewczyna i córka najdostojniejszego rodu, jaki żyje na tej ziemi. Nie godzi się, aby człowiek śmiertelny szukał małżonki wśród elfów.

— A jednak jest między nami odległe pokrewieństwo — odparł Aragorn — jeżeli historia moich przodków, której mnie uczono, mówi prawdę.

— Mówi prawdę — rzekła Gilraena — lecz było to dawno temu, w innym wieku Śródziemia, zanim plemię nasze skarłało. Toteż zmartwiłeś mnie, widzę bowiem, że jeżeli nie zyskasz zgody Elronda, ród spadkobierców Isildura wygaśnie wkrótce. Nie spodziewam się, aby Elrond w tej sprawie zechciał spełnić twoje życzenie.

— Gorzki wtedy byłby mój los — rzekł Aragorn. — Odejdę stąd i będę odtąd samotnie błąkał się po pustkowiach.

— Tak, taki cię czeka los — powiedziała Gilraena. Ona też miała w pewnej mierze dar zgadywania przyszłości, ale na razie nic więcej synowi nie mówiła o swym niepokoju ani też nikomu nie powtórzyła jego zwierzeń.

Elrond jednak miał oczy otwarte i czytał w sercach ludzkich. Pewnego dnia tego samego roku, zanim nastała jesień, zawołał Aragorna do swej komnaty i rzekł:

— Słuchaj mnie, Aragornie, synu Arathorna, wodzu Dunedainów! Przed tobą wielki los: albo się wzniesiesz ponad wszystkich swoich przodków od dni Elen-dila, albo upadniesz w ciemności wraz ze wszystkim, co zostało jeszcze twojemu plemieniu. Czekają cię długie lata ciężkich prób. Nie wolno ci pojąć żony ani nawet związać słowem żadnej kobiety, dopóki się czas nie dopełni i dopóki nie będziesz uznany za godnego chwały i szczęścia. Aragorn zmieszał się bardzo.

— Czyżby matka moja powiedziała ci coś o mnie? — spytał.

— Nie, ale oczy twoje cię zdradziły — odparł Elrond. — Nie mówię jednak tylko o mojej córce. Teraz nie wolno ci związać się z żadną dziewczyną. Co do Arweny Pięknej, księżniczki Imladris i Lorien, Gwiazdy Wieczornej swego plemienia, należy ona do rodu wspanialszego niż twój i chodzi po świecie od dawna, tak że wobec niej ty jesteś jak jednoroczny pęd wobec młodej brzozy, która kwitnie już od kilku wiosen. Arwena stoi wyżej, za wysoko dla ciebie. Myślę, że ona sama też tak tę sprawę osądza. Nawet jednak gdyby się serce jej do ciebie skłaniało, przyjąłbym to ze smutkiem, z powodu wyroku przeznaczenia, który nad nami ciąży. — Jakiż to wyrok? — spytał Aragorn.

— Arwena ma cieszyć się długo młodością Eldarów, dopóki ja mieszkam tutaj — rzekł Elrond — a gdy odejdę, będzie mogła odejść wraz ze mną, jeśli taki los wybierze.

— Rozumiem, podniosłem oczy na klejnot nie mniej cenny niż skarb Thingola, którego Beren ongi zapragnął. Taki mój los — rzekł Aragorn. Nagle jednak, w przeblasku jasnowidzenia, które było przywilejem jego rodu, dodał: — Ale przecież, Elrondzie, czas oczekiwania już niedługi, wkrótce dzieci twoje bę-

dą musiały wybierać między rozłąką z tobą a porzuceniem Śródziemia.

— Prawda! — odparł Elrond. — Czasu zostało mało, jeśli mierzyć naszą miarą, lecz wedle rachuby ludzkiej upłynąć musi wiele jeszcze lat. Zresztą dla ukochanej córki mojej, Arweny, nie będzie wyboru, chyba że ty staniesz między nami i zgotujesz jednemu z nas — mnie albo sobie — gorycz rozłąki na czas dłuższy niż trwanie świata. Sam nie wiesz, czego żądasz ode mnie! — Westchnął i po chwili, poważnie spoglądając na młodzieńca, podjął znowu: — Czekajmy, co czas przyniesie. Nie będziemy do tej sprawy wracali aż za wiele lat. Niebo się chmurzy, wkrótce zaczną się srogie burze nad Śródziemiem.

Tak więc Aragorn pożegnał Elronda serdecznie, a potem pożegnał też matkę i Arwenę, wyruszając na pustkowia. Przez blisko trzy dziesiątki lat trudził się dla dobrej sprawy w walce z Sauronem; zawarł przyjaźń z Gandalfem Mądrym i wiele się od niego nauczył. Razem odbywali niebezpieczne podróże, z czasem jednak Aragorn coraz częściej wędrował samotnie. Długie to były i niełatwe wędrówki, toteż twarz Aragorna spochmurniała i zdawała się sroga — z wyjątkiem chwil, gdy ją rozjaśniał uśmiech; mimo to ludzie poznawali w nim człowieka godnego czci, jak gdyby króla na wygnaniu, gdy nie ukrywał swej prawdziwej postaci. Często bowiem chadzał po świecie w przebraniu i zasłynął pod wielu różnymi imionami. Jeździł w szeregach Rohirrimów do bitwy i walczył w imię władcy Gondoru na lądzie i na morzu, a po zwycięstwie zniknął z oczu ludzi Zachodu, odchodząc samotnie daleko na południe i na wschód, badając serca ludzkie, zarówno dobre, jak złe, wykrywając spiski i knowania słuzalców Saurona. Zahartował się w trudach tak, że nikt ze śmiertelnych ludzi nie mógł się z nim równać, wyćwiczył w ich umiejętnościach i nauczył ich historii, a mimo to inny był niż oni, miał bowiem mądrość elfów, a gdy blask rozjarzał mu się w oczach, mało kto mógł znieść ogień tego spojrzenia. Twarz jego była smutna i surowa, ponieważ ciążył mu los, który mu przypadł, ale w głębi serca zachował nadzieję i z niej nieraz jak źródło ze skały tryskała wesołość.

Zdarzyło się, gdy Aragora miał lat czterdzieści dziewięć, że wracał kiedyś z niebezpiecznej wyprawy w mroczne pogranicza Mordoru, gdzie Sauron już znowu mieszkał i knuł przewrotne swoje plany. Aragorn był znużony i zamierzał iść do Rivendell, by odpocząć czas jakiś przed następną podróżą do odległych ziem, lecz po drodze zaszedł na skraj Lorien i pani Galadriela zaprosiła go do ukrytego kraju elfów.

Aragorn nie wiedział o tym, lecz przebywała tam wówczas Arwena, która znów odwiedziła ojczyznę swojej matki. Niewiele się zmieniła, bo lata, bezlitosne dla śmiertelników, ją oszczędzały, ale twarz miała poważniejszą i rzadziej się uśmiechała niż dawniej Aragorn natomiast dojrzał przez ten czas duchem i ciałem. Galadriela poleciła mu rzucić zniszczony strój podróżny, ubrała go w szaty

srebrne i białe, okryła szarym płaszczem elfów i ozdobiła mu czoło błyszczącym klejnotem. Wyglądał w tym piękniej niż król ludzkiego plemienia, jak książę elfów z dalekich zachodnich wysp. Takiego zobaczyła go Arwena po raz pierwszy po latach rozłąki, gdy spotkali się pod kwitnącymi złociście drzewami Karas Galadhon. W tej też chwili dokonała wyboru i los jej został przypieczętowany. Przez całą wiosnę przechadzali się razem po lesie Lothlorien, aż nadeszła pora i Aragorn musiał ruszyć znów w drogę. Wieczorem przed najkrótszą nocą lata Aragorn, syn Arathorna, i Arwena, córka Elronda, weszli na piękne wzgórze Kerin Amroth, wznoszące się pośrodku tej krainy, i tam bosymi stopami brodzili w trawie nie więdnącej nigdy i usianej kwiatami nifredil i elanor. Z wysoka patrzyli na wschód okryty Cieniem i na zachód w Zmierzchu. Przyszekli sobie nawzajem miłość i byli szczęśliwi.

— Czarny jest Cień — powiedziała Arwena — ale serce moje raduje się, bo ty, Estelu, będziesz wśród najmężniejszych, którzy ten Geń zniszczą.

— Niestety! — odparł Aragorn. — Nie widzę jeszcze przed sobą tego dnia i nie wiem, jak tego dokonam. Ale twoja nadzieja krzepi moją. Odrzucam od siebie Cień na zawsze. Lecz Zmierzch także jest nie dla mnie, należę do śmiertelników, a jeśli ty wytrwasz przy mnie, Gwiazdo Wieczorna, będziesz musiała również wyrzec się Zmierzchu. Arwena stała u jego boku nieruchoma jak srebrzyste drzewo, zapatrzona w zachód, i po długiej chwili dopiero odpowiedziała:

— Wytrwam przy tobie, Dunadanie, odwrócę się od Zmierzchu. Ale tam jest ojczyzna mojego plemienia i odwieczny kraj mojego rodu. Bardzo kochała swego ojca, Elronda.

Gdy Elrond dowiedział się o wyborze swej córki, serce mu się ścisnęło z bólu, a wyrok losu, chociaż od dawna wiadomy, nie wydał mu się przez to łatwiejszy do zniesienia. Powitał jednak Aragorna w Rivendell z miłością i powiedział:

— Synu, nadchodzą lata, gdy nadzieja przygaśnie, i me widzę jasno, co po nich nastąpi. Cień leży pomiędzy nami. Może tak jest sądzone, że ja muszę utracić królestwo, aby ludzie odzyskali swoje. Chociaż więc kocham cię, powiadam: Arwena Undomiel może wyrzec się przywileju elfów tylko dla największej sprawy. Jeśli poślubi śmiertelnego człowieka, to tylko króla obu królestw, Gondoru i Arnoru. Mnie nawet wówczas zwycięstwo przyniesie jedynie smutek i rozłąkę, tobie — nadzieję szczęścia na krótki czas. Na krótki czas! Tak, synu, lękam się że Arwenie los człowieczy wyda się w końcu zbyt srogi.

Na tym między nimi stanęło i nie mówili więcej o tej sprawie, lecz Aragorn wkrótce znów wyruszył na niebezpieczną wyprawę i podjął nowe trudy. Niebo nad światem pociemniało, strach padł na Śródziemie, potęga Saurona rosla, mury Barad-Duru coraz wyżej i potężniej piętrzyły się nad Mordorem, a tymczasem Arwena mieszkała w Rivendell i gdy Aragorn wędrował po dalekich krajach, czuwała nad nim myślą; powodowana nadzieją sporządziła wspólną królewską

sztandar, jaki przystoi władcy Numenorejczyków i spadkobiercy Isildura.

W kilka lat później Gilraena pożegnała Elronda i wróciła do własnej rodziny w Eriadorze. Tam żyła samotnie, rzadko widując syna, który lata całe spędzał w dalekich krajach. Gdy wreszcie kiedyś Aragorn przybył na północ i odwiedził ją, powiedziała mu przed rozstaniem:

— To nasze ostatnie pożegnanie, Estelu, synu mój. Wśród trosk postarzałam wcześniej, tak jakbym była z krótkowiecznego plemienia. Teraz jednak, gdy zbliża się burza, nie mogę ścierpieć Ciemności naszych czasów, które zbierają się nad Śródziemiem. Wkrótce odejdę. Aragorn starał się pocieszyć matkę mówiąc:

— Za ciemnymi chmurami pewnie świeci słońce, a jeśli to prawda, zobaczysz je i będziesz się nim cieszyła.

Odpowiedziała mu wierszem z pieśni:

„Onen i-Estel Edain, u-chebin estel anim. . .”¹⁵

Aragorn odszedł z ciężkim sercem. Gilraena umarła przed następną wiosną.

Tak płynęły lata, zbliżała się Wojna o Pierścień, o której opowiedziano szerzej na innym miejscu, wiemy tedy, jak się znalazł nieprzewidziany sposób zniszczenia potęgi Saurona i jak się spełniły nadzieje. Wiemy też, że w godzinie klęski zjawił się Aragorn przybywając od strony Morza i rozwinął sztandar Arweny podczas bitwy na polach Pelennoru, potem zaś przywitano w jego osobie powracającego króla. Wreszcie odzyskał dziedzictwo praojców, otrzymał koronę Gondoru i berło Arnoru, a wtedy w najdłuższy dzień lata w roku upadku Saurona wprowadził Arwenę Undomiel za rękę do Minas Tirith i w stolicy odbyły się królewskie gody.

Trzecia Era skończyła się zwycięstwem w blasku nadziei, ale wśród smutków tych dni najsmutniejsze było pożegnanie Elronda z Arweną, miało ich bowiem do końca świata i poza koniec świata rozdzielić Morze i wyrok losu.

Kiedy został zniszczony Najpotężniejszy z Pierścieni, Trzy Pierścienie elfów także straciły swą moc, Elrond zaś, zmęczony wreszcie długim życiem w Śródziemni, opuścił je, by już nigdy nie wrócić. Arwena jednak poślubiając Aragorna przyjęła los śmiertelnej kobiety, chociaż miała umrzeć wtedy dopiero, gdy wszystko, co za tę cenę zdobyła, utraci.

Jako królowa elfów i ludzi przeżyła z Aragornem sto dwadzieścia lat w szczęściu i chwale; gdy wreszcie Aragorn poczuł, że starość się zbliża i że dobiegają końca odmierzone, jakkolwiek długie dni, powiedział do Arweny:

— Teraz, Gwiazdo Wieczorna, najpiękniejsza w świecie i najbardziej ukochana, słońce zachodzi nad moim światem. Zbieraliśmy plony i spożywaliśmy je, przyszła godzina zapłaty. Arwena zrozumiała jego myśl, z dawna przewidywała tę godzinę; mimo to ogarnął ją wielki smutek.

— Czy chcesz, królu mój, przed czasem opuścić lud, który czci każde twoje słowo? — spytała.

¹⁵ Nadzieję odstępuję Dunedainom, nie mam jej dla siebie.

— Nie przed czasem — odparł. — Jeśli bowiem nie odejdę teraz dobrowolnie, wkrótce będę musiał odejść po niewoli. Nasz syn Eldarion dojrzał już do królowania.

Udał się więc Aragorn do Domu Królów przy ulicy Milczenia i ułożył się na przygotowanym dla niego od dawna łożu. Pożegnał się z Eldarionem i w jego ręce powierzył skrzydlatą koronę Gondoru oraz berło Arnoru. Potem wszyscy wyszli zostawiając go samego z Arweną, która stała u jego wezgłowia. A chociaż to była pani tak wielkiego rodu i wielkiej mądrości, nie mogła się wstrzymać od prośby, żeby został z nią jeszcze choć chwilę. Nie czuła się jeszcze znużona i syta życia, toteż poznała gorzki smak losu śmiertelnych ludzi, który zgodziła się podzielić.

— Gwiazdo Wieczorna — powiedział Aragorn — ciężka to godzina, ale była nam przeznaczona od tego dnia, gdy spotkaliśmy się pod białymi brzoźami w ogrodzie Elronda, po którym dziś nikt już się nie przechadza; tego dnia, gdy na wzgórzu Kerin Amroth wyrzekliśmy się oboje zarówno Ciemności, jak Zmierzchu, przyjęliśmy nasz los. Spytaj sama siebie, ukochana, czy chciałabyś, abym czekał, aż zwiędnę i bez sił, bez rozumu osunę się z mego wysokiego tronu.

Nie, Gwiazdo moja, jestem ostatnim z Numenorejczyków, ostatnim królem Dawnych Dni; wymierzono mi miarę trzech pokoleń ludzi Śródziemia i dano mi prawo, bym sam wybrał godzinę odejścia. Pora zwrócić użyczony dar. Zasnę już teraz. Nie próbuję cię pocieszać, bo świat nie zna pociechy na taki ból. Masz po raz ostatni wybór, cofnij się, jedź do przystani, zabierz z sobą za Morze pamięć naszych dni, które tam na zawsze zostaną utrwalone, ale tylko we wspomnieniu; albo też — poddaj się losowi człowieczemu.

— Nie, królu mój, wybrałam już od dawna — odparła Arwena. — Nie ma już w przystani okrętu, który by mnie zabrał, i muszę się poddać losowi człowieczemu, czy chcę, czy nie chcę. Ale wiedz, królu Numenorejczyków, że dopiero w tej chwili zrozumiałam dzieje twojego plemienia i jego upadku. Gardziłam twymi współplemieńcami, myśląc, że to są złe i głupie istoty, teraz jednak współczuję im wreszcie. Gorzko przyjąć to, co jest rzekomo darem Jedyne dla ludzi.

— Tak się wydaje — odparł Aragorn — ale nie dajmy się załamać w ostatniej próbie, my, cośmy niegdyś wyrzekli się Ciemności i Pierścienia. Musimy odejść w smutku, lecz nie w rozpacz. Nie na zawsze przykuci jesteśmy do kręgów świata, poza nimi zaś istnieje coś więcej niż wspomnienie. Żegnaj!

— Estelu! Estelu! — krzyknęła, Aragorn zaś ujął jej rękę, ucałował ją i zasnął. Twarz jego zajaśniała niezwykłą pięknnością, tak że wszyscy, którzy weszli potem do Domu Królów, patrzyli na niego z podziwem, ujrzeni bowiem Aragorna, w uroku młodości i w sile lat męskich, a zarazem w pełni mądrości i w majestacie sędziwego wieku. Długo spoczywał tak i widzieli w nim obraz chwały królów ludzkich w nie przyćmionym blasku, jak o poranku świata. Kiedy jednak Arwena wyszła z Domu Królów, oczy miała przygasłe i wydało się ludowi Gondoru, że królowa jest teraz zimna i szara jak bezgwiezdna zimowa noc. Pożegnała się z El-

darionem, z córkami i z wszystkimi, których kochała, opuściła Minas Tirith, udała się do Lorien, by zamieszkać tam samotnie pod więdnącymi drzewami. Galadriela bowiem odpłynęła także za Morze, odszedł też Keleborn, a las elfów milczał.

Wreszcie mogła Arwena położyć się na spoczynek na wzgórzu Kerin Amroth. Tam zieleni się jej mogiła i będzie tak, dopóki świat się nie odmieni. Ludzie, którzy przyszli potem na ziemię, zapomnieli o Arwenie i nic nie wiedzą o jej życiu, a elanory i nifredile nie kwitną już na wschodnim wybrzeżu Morza. Taki jest koniec historii, która do nas doszła z południa; śmiercią Gwiazdy Wieczornej zamyka się w księdze rozdział Dawnych Dni.

II

Ród Eorla

Eorl Młody był władcą ludzi z Eotheodu. Kraj ten leżał opodal źródeł Anduiny, między ostatnim łańcuchem Gór Mglistych a północną częścią Mrocznej Puszczy. Eotheodowie przesiedlili się tutaj za panowania króla Earnila II, opuszczając dolinę rzeczną położoną między Samotną Skałą a Polami Gladden; lud ten był blisko spokrewniony z plemieniem Beorna i mieszkańcami zachodniego skraj puszcz. Przodkowie Eorla, wywodząc swój ród od królów Rhovanionu, którzy przed najazdami Woźników władali krajem za Mroczną Puszczą, uważali za swoich krewnych królów Gondoru, potomków Eldakara. Lubili żyć na równinach, bo kochali się w koniach i w sztuce jeździeckiej, ponieważ jednak w dolinach środkowego biegu Anduiny mieszało podówczas mnóstwo ludzi, a w dodatku cień Dol Gulduru sięgał w nie coraz dalej, Eotheodowie na wieść o rozgromieniu potęgi Czarnoksiężnika postanowili szukać sobie przestronniejszego miejsca na północy i tam osiedli, wypędzając resztki ludności Angmaru na wschód, za Góry. Za czasów wszakże Leoda, ojca Eorla, lud ten tak się rozmnożył, że na nowej ziemi znów było mu za ciasno.

W roku 2510 Trzeciej Ery nowe niebezpieczeństwo zawisło nad Gondorem. Silne bandy Dzikich Ludzi z północo-wschodu opanowały Rhovanion i posuwając się od Brunatnych Pól nad Anduinę, przeprowiły się na tratwach na jej zachodni brzeg. Jednocześnie, dziwnym zbiegiem okoliczności — a może w myśl uknutego przewrotnie planu — orkowie, którzy wtedy, nie osłabieni jeszcze wojną z krasnoludami, rozporządzali wielką potęgą, wtargnęli z Gór na równiny; napastnicy zajęli Kalenardhon; Kirion, Namiestnik Gondoru, posłał na północ wezwanie o pomoc, z dawna bowiem ludzi z dolin Anduiny wiązała przyjaźń z Gondorczykami. Lecz w dolinach została ledwie garstka ludzi, i to rozproszonych, niezdolnych do udzielenia szybkiej i skutecznej pomocy. Wreszcie o groźnym położeniu Gondoru dowiedział się Eorl, a chociaż zdawało się, że już jest za późno na ratunek, wyruszył natychmiast z licznym zastępem swoich jeźdźców.

Zdążył zjawić się w dniu, gdy toczono bitwę na polach Kelebrantu, jak zwała

się zielona kraina między Srebrną Żyłą a Mętą Wodą. Pomocnej armii Gondoru groziła kieszka; pobita na Płaskowyżu, odcięta od południa, zmuszona przekroczyć Mętą Wodę, została tutaj nagle zaatakowana przez orków i zepchnięta nad Anduinę. Zdawało się, że wszelka nadzieja stracona, gdy niespodzianie z północy przybyli z odsieczą jeźdźcy i natarli na nieprzyjacielskie tyły. Losy bitwy odmieniły się błyskawicznie, orkowie zdziesiątkowani umykali za Mętą Wodę. Eorl na czele swych wojowników ścigał ich, a taki postrach budził powszechnie jeźdźcy północy, że napastnicy na Płaskowyżu również ulegli panice; rzucili się do ucieczki, Rohirrimowie zaś nie ustając w pogoni wytępilli rozproszonych po równinie Kalenardhonu niedobitków. Ludność tych okolic przerzedzona na skutek pomoru wyginęła do reszty w czasie ustawicznych napadów okrutnych Easterlingów. W nagrodę więc za pomoc Kirion oddał wyludniony kraj między Anduiną a Iseną na wieczne czasy Eorlowi i jego plemieniu. Jeźdźcy sprowadzili z północy żony i dzieci, zwieźli dobytek i osiedli w Kalenardhonie. Nazwali ten kraj Marchią Jeźdźców, siebie zaś — Eorlingami, lecz w Gondorze nazywano ich państwo Rohanem, a jego mieszkańców Rohirrimami, co znaczy: mistrzowie koni. Tak Eorl został pierwszym królem Marchii i obrał na swą stolicę miejsce na zielonym wzgórzu u stóp Białych Gór, które stanowiły południowy mur obronny jego królestwa. Odtąd Rohirrimowie żyli tam jako lud wolny rządzony przez własnego króla i własne prawa, lecz w wieczystym przymierzu z Gondorem.

Pieśni Rohanu utrwaliły imiona wielu mężnych władców i wojowników, pięknych i dzielnych kobiet, których po dziś dzień nie zapomniano na pomocy. Wedle tych pieśni Frumgar wyprowadził swój lud do Eotheodu. Syn jego, Fram, zabił ogromnego smoka Skata z Ered Mithrin i na zawsze uwolnił kraj od krwiożerczych potworów. Ów Fram zdobył niezmierne bogactwa, lecz naraził się na waśń z krasnoludami, którzy rościli sobie prawa do skarbu Skata. Fram nie chciał im ani grosza ustąpić, posłał zamiast tego naszyjnik z zębów smoka oznajmiając: „Takich klejnotów na pewno nie macie w swoim skarbcu, bo niełatwo je nabyć!” Podobno krasnoludowie mszcząc się za tę zniewagę zabili Framę. W każdym razie nigdy między nimi a Eotheodami nie było wielkiej przyjaźni.

Ojciec Eorla miał na imię Leod. Był mistrzem w ujeżdżaniu dzikich koni, bo podówczas mnóstwo ich żyło na stepach. Złowił kiedyś siwego żrebca, który wkrótce wyrósł na silnego, dumnego i pięknego konia. Nikt jednak nie mógł go okiełzać. Gdy Leod ośmielił się go dosiąść, rumak poniósł jeźdźcę i zrzucił daleko w polu. Leod uderzył głową o kamień i poniósł śmierć. Miał zaledwie czterdzieści dwa lata, a syn jego był szesnastoletnim chłopcem. Eorl przysiągł, że pomści ojca. Długo szukał w stepie, aż wreszcie wypatrzył siwego konia. Towarzysze spodziewali się, że zechce go podejść na odległość strzały i zabić. Lecz gdy się zbliżył, Eorl wyprostował się i zawołał gromkim głosem: „Chodź no tu, Ludobójco, abym ci nadał nowe imię!” Ku powszechnemu zdumieniu koń spojrzał na Eorla, podbiegł i stanął przed nim. Eorl rzekł: „Odtąd będziesz się zwał Felarof, miłośnik

wolności; nie mogę cię potępiać za to, że ją kochasz, ale winien mi jesteś wielki okup i musisz zrzec się wolności, a poddać mojej woli do końca twego życia”.

Eorl dosiadł konia. Felarof nie sprzeciwił mu się i zaniósł go do domu, bez wędzidla ani uzdy. Zawsze potem tak na nim Eorl jeździł. Siwy rumak rozumiał mowę ludzką, nigdy jednak nie pozwolił dotrzeć się nikomu z wyjątkiem Eorla. Właśnie Felarof zaniósł Eorla do bitwy na polach Kelebrantu, okazał się bowiem długowieczny jak ludzie i ten sam przywilej odziedziczyło jego potomstwo. Konie po Felarofie nazywano mearasami. Nie służyły nikomu prócz królów Marchii oraz ich synów, aż do czasu, gdy Gryf oddał się w służbę Gandalfowi. Wśród ludzi zachowała się wieść, że Bema (którego Eldarowie nazywali Orome) przyprowadził ich praojca z zachodniego Morza.

Spośród królów Marchii panujących między Eorlem a Theodenem najwięcej mówią stare pieśni o Hełmie Żelaznorękim. Był to człowiek posępny, wielkiej siły. Żył podówczas w Marchii niejaki Freka, który podawał się za potomka króla Freawina, jakkolwiek w rzeczywistości miał w żyłach krew Dunlandu, co poznać było można po ciemnych włosach. Freka wzbogacił się i zwiłmożniał, posiadał bowiem rozległe włości na obu brzegach Adornu — dopływu Iseny spływającego z zachodnich zboczy Ered Nimrais. W pobliżu źródeł tej rzeki zbudował sobie twierdzę i lekcewał króla. Hełm mu nie ufał, lecz wzywał go na narady, a Freka albo stawiał się na wezwanie, albo nie, wedle własnej woli.

Pewnego razu przyjechał na naradę z liczną świtą i poprosił króla o rękę jego córki dla swego syna, Wulfa. Hełm odparł: „Urosłeś, Freko, od naszego ostatniego spotkania, ale głównie, jak widzę, przybyło ci sadła”. Wszyscy się roześmieli, bo Freka rzeczywiście miał brzuch potężny.

Freka rozwścieczony zasypał króla obelgami, a zakończył je tak: „Starzy królowie, którzy odtrącają ofiarowaną podporę, zwykle potem proszą o nią na kolanach!” Hełm odpowiedział: „Milcz! Małżeństwo twojego syna to błahostka. O niej Hełm z Freka pogada później w cztery oczy. Teraz król i jego doradcy mają ważniejsze sprawy do rozważania”.

Po skończonej naradzie Hełm wstał i kładąc ciężką rękę na ramieniu Freki rzekł: „Król nie pozwala na burdy w swoim domu; więcej wolno awanturnikom na polu!” Wypchnął Frekę za drzwi i za bramę Edoras. Jego ludziom, którzy nadbiegli, powiedział: „Precz stąd! Nie potrzeba nam świadków. Będziemy rozmawiali o poufnych sprawach sam na sam. Wy możecie tymczasem pogadać z moimi żołnierzami!” Widząc, że król ma przewagę liczebną, ustąpili. — Teraz, Dunlandczyku — rzekł król — masz tylko z Hełmem do czynienia i to z Hełmem bezbronnym. Ale mówiłeś dość, na mnie kolej. Freko, razem z brzuchem urosła twoja głupota. Wspomniałeś o podporze. Hełm, jeśli mu się nie podoba koślawy kij, który mu ofiarowują, łamie go, ot tak! — I to rzekłszy uderzył pięścią Frekę, on zaś ogłuszony padł na wznak; wkrótce potem umarł. Hełm ogłosił syna Freki

i jego najbliższych krewnych wrogami królewskimi. Musieli uciekać z kraju, bo wysłał natychmiast jeźdźców, aby ich pojmali w zachodnich prowincjach Rohanu.

W cztery lata później, w 2758 roku, Rohan przeżywał ciężkie chwile, a od sojuszników nie mógł oczekiwać posiłków, bo trzy floty korsarskie napadły Gondor i wojna wrzała na wszystkich jego wybrzeżach. Jednocześnie Easterlingowie znów wtargnęli do Rohanu, a Dunlandczycy skorzystali z tego, by przeprawić się za Isenę i natrzeć od strony Isengardu. Okazało się, że prowadził ich Wulf. Natarli znacznymi siłami, ponieważ przyłączyli się do nich wrogowie Gondoru, którzy wylądowali przy ujściu rzeki Lefnui i Iseny.

Rohirrimowie ponieśli klęskę, Nieprzyjaciół zajął cały kraj; kto z mieszkańców nie zginął lub nie wpadł do niewoli, chronił się w dolinach wśród gór. Hełm z ciężkimi stratami wycofał się od brodów na Isenie do Rogatego Grodu i ukrytego za nim wąwozu (który odtąd nazywano zawsze Hełmowym Jarem). Tu wytrzymał długie oblężenie. Wulf zdobył Edoras, zasiadł na tronie w Meduseld i ogłosił się królem. U bram stolicy jako ostatni z obrońców poległ Haleth, syn Helma.

Wkrótce potem nastąpiła Długa Zima, śnieg zasypał Rohan na pięć miesięcy (od listopada do marca 2758–59). Zarówno Rohirrimowie, jak ich przeciwnicy cierpieli srodze od mrozów, a dłużej jeszcze od niedostatku. W Hełmowym Jarze zapanował od zimowego przesilenia straszliwy głód. Młodszy syn Helma, Hama, w porywie desperacji wbrew zakazowi ojca wyprowadził spory oddział na zbrojną wycieczkę i poszukiwanie prowiantu, lecz zginął wraz z wszystkimi ludźmi pośród śniegów. Wygłodniały i zrozpaczony Hełm stał się straszny. Bano się go tak, że sam dźwięk jego imienia starczał za dziesięciu obrońców twierdzy. W pojedynkę, okryty białym płaszczem, zakradał się niby śnieżny troll do nieprzyjacielskich namiotów i gołymi rękami dusił zaskoczonych wrogów. Mówiono o nim, że dopóki chodzi bez broni, oręż go się nie ima. Dunlandczycy opowiadali, że jeśli innego jada nie znajdował, pożerał ludzkie mięso. Długo ta legenda krążyła po Dunlandzie. Hełm miał wielki róg i zauważono, że przed wyruszeniem na każdą wyprawę dmie w niego, aby echo zwielokrotnione powtórzyło w Jarze głos, który porażał strachem przeciwników tak, że zamiast się zebrać razem, ująć Helma lub zabić, rozbiegali się w panice po Zielonej Roztoce. Pewnej nocy ludzie słyszeli głos rogu, ale Hełm nie wrócił z wycieczki. Rankiem po raz pierwszy od wielu dni zaświeciło słońce i wtedy ujrzeli białą postać nieruchomo stojącą na szanclu i samotną, bo żaden z Dunlandczyków nie ośmielił się do niej zbliżyć. To był Hełm; martwy, skamieniały, nie ugiął jednak kolan. Ludzie wszakże opowiadali, że nieraz jeszcze słyszeli w Jarze głos jego rogu i że upiór Helma błądzi między wrogami Rohanu, którzy padają martwi przerażeni jego widokiem.

Wkrótce potem zima ustąpiła. Wtedy z Dunharrow, gdzie schroniło się wielu Rohirrimów, wyszedł Frealaf, syn Hildy, siostry Helma; z małym oddziałem desperatów natarł znienacka w Meduseld na Wulfa, zabił go i odbił Edoras. Po

śnieżnej zimie nastąpiły roztopy, wody wezbrały, dolina Rzeki Entów zamieniła się w olbrzymie moczary. Najeźdźcy wyginęli lub zbiegli. Wreszcie też zjawiły się posiłki z Gondoru dążąc drogami po zachodniej i wschodniej stronie gór. Nim się skończył rok 2795, wypędzono Dunlandczyków z całego kraju, wyparto ich nawet z Isengardu, a Frealaf został królem. Zwłoki Helma przewieziono z Rogatego Grodu do Edoras i pochowano pod Dziewiątym Kurhanem. Białe simbelminy kwitły na nim tak obficie, że zdawał się zawsze jakby obsypany śniegiem. Gdy umarł Frealaf, zapoczątkowano nowy szereg mogił.

Wojna, głód, strata koni i bydła — wszystko to bardzo osłabiło Rohirrimów; szczęściem przez wiele następnych lat żadne groźniejsze niebezpieczeństwo nie nawiedziło ich kraju, bo dopiero za panowania króla Folk wino odzyskali dawne siły.

Na uroczystość koronacji Frealafa przybył Saruman; przyniósł dary i wychwalał męstwo Rohirrimów. Uznano go powszechnie za miłego gościa. Wkrótce potem osiedlił się na dobre w Isengardzie. Zezwolił mu na to Beren, Namiestnik Gondoru, bo Isengard był twierdzą tego królestwa, nie zaś Rohanu. Beren też powierzył Sarumanowi klucze Orthanku. Wieży tej nie zdołał zniszczyć ani zdobyć żaden nieprzyjaciół.

W ten sposób Saruman zaczął się rządzić jak władca, zrazu bowiem otrzymał Isengard z rąk Namiestnika w powiernictwo i miał w jego imieniu strzec wieży. Lecz Frealaf rad był z tego postanowienia Berena, myśląc, że ma teraz w Isengardzie potężnego przyjaciela. Dość długo Saruman uchodził za przyjaciela Rohanu i może nawet z początku był nim naprawdę. Później dopiero zaczęto podejrzewać, że obejmując Isengard taił nadzieję, iż znajdzie tam kryształ Jasnowidzenia, i zamierzał twierdzę przeobrazić w fundament własnej potęgi. Z pewnością po ostatnim zebraniu Białej Rady (2953) żywił już w stosunku do Rohanu złe zamiary, jakkolwiek jeszcze się z nimi krył. Zawładnął Isengardem, zbudował twierdzę niezdobytą i siejącą postrach wkoło, rywalkę niejako wieży Barad-Duru. Otoczył się poplecznikami i sługami, skupiając przy sobie wszelkie istoty nienawidzące Gondoru i Rohanu, zarówno ludzi, jak inne, gorsze stwory.

Królowie Marchii

Pierwsza dynastia

Rok¹⁶

¹⁶ Daty podano tu według rachuby czasu Gondoru; dotyczą one Trzeciej Ery. Daty w nawiasie oznaczają rok urodzenia i śmierci.

1. Eorl Młody (2485–2545). Taki otrzymał przydomek, ponieważ bardzo młodo odziedziczył władzę po ojcu i zachował jasne włosy oraz siły młodzieńcze do końca swych dni. Czas życia skrócił mu ponowny napad Easterlingów, Eorl bowiem poległ w bitwie na Płaskowyżu. Na jego cześć usypano Pierwszy Kurhan. Z nim razem pogrzebano jego konia Felarofa.

2. Brego (2512–2570). Wypędził nieprzyjaciół z Płaskowyżu, po czym Rohan przez wiele lat nie doznał napaści. W 2569 ukończył budowę pałacu Meduseld. Podczas uczty syn Brega, Baldor, przysiągł, że odważy się przejść „Ścieżkę Umarłych”, lecz z niej nie powrócił. Brego w rok później zmarł z żalu.

3. Aldor Stary — młodszy syn Brega (2544–2645). Przewano go Starym, bo dożył sędziwego wieku i panował przez 75 lat. Za jego czasów Rohirrimowie rozmnożyli się i wyparli lub ujarzmili resztki Dunlandczyków mieszkających jeszcze na wschodnim brzegu Iseny. W Harrowdale i innych dolinach górskich założono osiedla. O następnych trzech królach nie ma wiele do powiedzenia, Rohan bowiem kwitł wówczas w pokoju i dobrobycie.

4. Frea (2570–2659). Najstarszy syn, ale czwarte dziecko Aldora. Objął panowanie w podeszłym już wieku.

5. Freawin (2594–2680).

6. Goldwin (2619–2699).

7. Deor (2644–2718). W jego czasach Dunlandczycy często dokonywali wypadów za Isenę. W 2710 zajęli opuszczony kraj Isengardu i nie dało się ich stamtąd przepędzić.

8. Gram (2668–2741).

9. Helm Żelaznoręki (2691–2759). Pod koniec jego panowania Rohan poniósł ciężkie straty wskutek najazdów oraz srogiej zimy. Helm i dwaj jego synowie polegli na wojnie. Królem został syn jego siostry, Frealaf.

Druga dynastia

10. Frealaf, syn Hildy (2726–2798). Za jego czasów Saruman osiadł w Isengardzie, z którego wypędzono Dunlandczyków. Rohirrimowie zrazu skorzystali na przyjaźni z Sarumanem podczas głodu i późniejszego osłabienia ich kraju.

11. Brytta (2752–2842). Przez współplemieńców zwany Leofa, to znaczy „umiłowany”, bo go wszyscy kochali. Był hojny i chętnie każdego wspomagał

w potrzebie. Za jego czasów toczyła się wojna z orkami, którzy, wypędzeni z Północy, szukali schronienia w Białych Górach. Po śmierci Brytty mniemano, że orkowie są raz na zawsze pokonani. Okazało się, że była to pomyłka.

12. Walda (2780–2851). Panował tylko przez dziewięć lat. Zginał wraz ze swą siostrą wpadłszy w zasadzkę orków, gdy jechał góorskimi ścieżkami z Dunharrow.

13. Folka (2804–2864). Rozmiłowany w łowach, ślubował jednak, że nie będzie polował na zwierzyń, dopóki nie przepędzi z Rohanu ostatniego orka. Gdy wykryto i zniszczono ostatnią kryjówkę orków, Folka wybrał się na polowanie i ubił w lesie Firien olbrzymiego dzika z Everholt, lecz zmarł od ran, jakie mu kłami zadał dzik.

14. Folkwin (2830–2903). Gdy został królem, Rohirrimowie powrócili do sił. Odbił pogranicze zachodnie (między Adorną a Iseną) zagrabione przez Dunlandczyków. Rohan w złych dniach otrzymał wiele pomocy z Gondoru, toteż na wieść, że Haradrimowie napadli znacznymi siłami na Gondor, Folkwin posłał Namiestnikowi na odsiecz jeźdźców; chciał sam ruszyć z nimi, lecz odradzono mu to, i zastąpili go dwaj synowie: Folkred i Fastred (urodzony w r. 2858). Obaj poległ w bitwie o Ithilien (2885). Turin II, Namiestnik Gondoru, wypłacił Folkwinowi w złocie hojny okup przelanej krwi.

15. Fengel (2870–2953). Czwarte dziecko, a trzeci syn Folkwina. Nie zostawił chlubnej pamięci. Był łakomy u stołu i chciwy złota, wadził się ze swymi doradcami i z własnymi dziećmi. Thengel, jego trzecie dziecko i zarazem jedyny syn, dorósłszy opuścił Rohan i długo przebywał w Gondorze, gdzie w służbie Turgona zyskał sławę.

16. Thengel (2905–2980). Ożenił się bardzo późno, dopiero w r. 2943, z Morweną z Lossarnach, prowincji Gondoru, o osiemnaście lat młodszą od niego. Urodziła mu w Gondorze troje dzieci, a między nimi jednego tylko syna — Theodena. Po śmierci Fengla Rohirrimowie wezwali Thengla, który, choć niechętnie, powrócił do kraju. Okazał się dobrym i mądrym królem, jakkolwiek na jego dworze panował język Gondoru, co nie wszystkim się podobało. Już w czasie pobytu w Rohanie urodziły mu się dwie córki; najmłodsza, Theodwina, chociaż późno się zjawiła (2963), była najpiękniejsza. Brat kochał ją serdecznie.

Wkrótce po powrocie Thengla do kraju Saruman ogłosił się władcą Isengardu i zaczął niepokoić Rohan szarpiąc granice i popierając jego wrogów.

17. Theoden (2948–3019). W kronikach Rohanu nazwano go Theodenem Odrodzonym, ponieważ za sprawą czarów Sarumana zniedołężniał, lecz został przez Gandalfa uzdrowiony i w ostatnim roku swego życia dźwignąwszy się z niemocy

poprowadził jeźdźców do zwycięstwa pod Rogatym Grodem, a wkrótce potem na pola Pelennoru, gdzie rozegrała się największa bitwa Trzeciej Ery. Poległ u bram Mundburga. Czas jakiś zwłoki jego spoczywały w kraju, gdzie się urodził, wśród zmarłych kroyów Gondoru, po czym przewieziono je i pochowano pod Ósmym Kurhanem jego dynastii w Edoras. Po nim zaczęła się dynastia nowa.

Trzecia dynastia

W roku 2989 Theodwina zaślubiła Eomunda ze Wschodniej Bruzdy, naczelnego wodza Marchii. Syn jej, Eomer, urodził się w 2991 roku, córka zaś, Eowina, w 2995. Sauron podówczas już ponownie wzrósł w potęgę, a cień Mordom dosięgał Rohanu. Orkowie zaczęli napisać na wschodnie treści kraju mordując lub porywając konie. Inne bandy napadały od Gór Mglistych, przeważnie olbrzymi orkowie Uruk-hai, na służbie Sarumana — jakkolwiek to odkryto dopiero znacznie później. Główne zadania obronne miał Eomund na pograniczach wschodnich; kochał bardzo konie, a nienawidził orków. Nieraz, na wieść o pojawieniu się napastników, ruszał przeciw nim natychmiast w porywie gniewu na czele garstki ludzi. Jedną z takich wypraw w roku 3002 skończyła się jego śmiercią, ścigając bowiem małą bandę orków aż pod stoki Emyrn Muil wpadł tam wśród skał w zasadzkę i zginął w walce z przeważającymi siłami. Wkrótce potem, ku wielkiej żałości króla, Theodwina zachorowała i umarła. Król wziął dzieci jej na swój dwór i nazywał je swym synem i swoją córką. Miał rodzonego syna, jedynaka, podówczas dwudziestoczteroletniego Theodreda; królowa Elfhilda umarła przy jego urodzeniu, a Theoden nie ożenił się powtórnie. Eomer i Eowina wychowywali się więc w Edoras i widzieli, jak cień ogarnia stopniowo dwór Theodena. Eomer podobny był do ojca, lecz Eowina miała smukłą postać, wdziek i dumę południowego plemienia po swej babce, Morwenie z Lossarnach, której Rohirrimowie dali przezwisko „kwiata ze stali”. Eomer Eadig [2991–63 Czwartej Ery (3084)]. Młodo mianowany wodzem Marchii (3017) odziedziczył po ojcu obowiązki obrony wschodnich pograniczy. W Wojnie o Pierścień Theodred poległ w boju z Sarumanem u Brodu na Isenie. Dlatego Theoden, przed swą śmiercią na polach Pelennoru, wyznaczył Eomera na swego następcę i przyszłego króla Rohanu. Wtedy też Eowina okryła się chwałą walcząc w przebraniu męskim i zasłynęła później w Marchii jako „Księżniczka ze Strzaskanym Ramieniem”¹⁷.

Eomer był znakomitym władcą, a że objął tron za młodu, panował przez sześćdziesiąt pięć lat, czyli dłużej niż inni królowie Rohanu z wyjątkiem jednego Aldo-

¹⁷ Lewe ramię, na którym nosiła tarczę, strzaskał jej podczas walki maczugą Król Upiorów, lecz sam został unicestwiony; tak się spełniła przepowiednia Glorfindela, objawiona ongi królowi Earnurowi, że Król Upiorów nie zginie z ręki męża, a nawet nie z ręki człowieka. Eowinie bowiem, jak mówią stare pieśni Marchii, pomagał w bitwie giermek Theodena, niziołek z dalekiego kraju; Eomer nadał temu niziołkowi tytuł podczaszego Marchii i przyjmował go ze czcią na swym dworze. (Chodzi oczywiście o Meriadoka Wspaniałego, dziedzica Bucklandu).

ra Starego. Podczas Wojny o Pierścień związał się przyjaźnią z królem Elessarem i z Księciem Dol Amrothu, Imrahilem, często też bywał gościem w Gondorze. W ostatnim roku Trzeciej Ery pojął za żonę Lothiriel, córkę Imrahila. Syn ich, Elrwin Piękny, panował po ojcu.

Za panowania Eomera każdy w Marchii, kto chciał, mógł cieszyć się pokojem; ludność w dolinach i na równinie wzrosła w dwójnasób, stadniny rozmnożyły się wielokrotnie. Nad Gondorem i Amorem panował wówczas król Elessar; był władcą wszystkich krajów dawnego królestwa prócz Rohanu, odnowił bowiem dar Kiriona, Eomer zaś powtórzył wobec króla przysięgę Eorla. Nieraz miał sposobność dotrzymywać jej, bo chociaż Sauron zniknął, nienawiści przez niego wzniecone i zło przez niego posiane żyły nadal; królowie Gondoru i Rohanu mieli licznych wrogów, których musieli pokonać, aby Białe Drzewo mogło rozkwitać w pokoju. Ilekroć król Elessar ruszał na wojnę, król Eomer mu towarzyszył; tętent koni Rohirrimów rozlegał się nieraz grzmiotem w odległych ziemiach, za Morzem Rhun i na polach dalekiego południa, a zielona chorągiew z białym koniem łopotała na różnych wichrach, dopóki Eomer się nie postarzał.

III

Plemię Durina

Co do początków krasnoludzkiego plemienia dziwne legendy krążyły zarówno wśród Eldarów, jak i wśród samych krasnoludów, ponieważ jednak są to sprawy bardzo zamierzchłej przeszłości, niewiele o nich mówi nasza księga. Imieniem Durina nazywali krasnoludowie najstarszego z Siedmiu Ojców plemienia, przodka wszystkich królów plemienia Długobrodych. Spał on samotnie, dopóki pewnego dnia, w pomroce dziejów, nie zbudził się jego lud; wtedy przybył do Azanulbizar i w pieczarach nad Kheled-zaram, na wschodnich zboczach Gór Mglistych, założył swoją siedzibę; później powstały na tym miejscu kopalnie Morii, rozsławione w pieśniach. Żył tak długo, że świat szeroki poznał go pod mianem Durina Nieśmiertelnego. W końcu jednak umarł, i to zanim przeminęły Dawne Dni, a grobowiec zbudowano mu w Khazad-dum; ród wszakże przetrwał i pięciokrotnie wśród jego potomstwa rodził się syn tak podobny do praojca, iż dawano mu na imię Durin. Krasnoludowie nawet byli przekonani, że pięć razy powrócił do nich Nieśmiertelny, żywili bowiem najdziwniejsze legendy i wierzenia co do osobliwości swojej rasy i jej roli pośród świata. Gdy skończyła się Pierwsza Era, gdy padł Thangorodrim, a starożytne miasta Nogrod i Belegost w Górach Błękitnych zostały zburzone, Khazad-dum rozkwitł i wzbogacił się, przybyło nie tylko ludu, lecz rozwinęła się też wiedza i rozmaite rzemiosła. Moria nie osłabiona przetrwała Czarne Lata i pierwszy okres władzy Saurona, chociaż bowiem Eregion był spustoszony, a bramy Morii zamknięte, Sauron nie mógł z zewnątrz zdobyć głębokich podziemi Khazad-dumu, w których żyło plemię liczne i dzielne. Długo przechowały się tam nienaruszone bogactwa, nawet wtedy gdy ludu już ubywało. W połowie Trzeciej Ery panował nad krasnoludami znów Durin, szósty król tego imienia. Sauron, sługa Morgo tną, wzrastał w potęgę, jakkolwiek nie domyślano się jeszcze wtedy, co oznacza Cień zalegający lasy ciągnące się na wschód od Morii. Wszystkie złe stwory zaczęły się budzić do życia. Krasnoludy podówczas kopały głęboko pod górą Barazinbar, szukając rnithrilu, bezcennego metalu, który z każdym rokiem trudniej było zdobywać. Przy tych pracach zbudziły ze

snu¹⁸ okropnego potwora, który, uciekły z Thangorodrimu, od dnia przybycia tam armii Beleriandu ukrywał się w fundamentach ziemi. Był to Balrog, jeden ze słuzalców Morgotha; z jego to ręki zginął Durin, a w rok później syn Durina, Nain I. Tak przeminęła świetność Morii, a jej lud zdziesiątkowany rozproszył się po świecie.

Większość uciekinierów powędrowała na północ; Thrain I, syn Naina, dotarł do Ereboru i pod Samotną Górą, opodal wschodniego skraju Mrocznej Puszczy, założył nowe kopalnie. Thrain został królem spod Góry. W Ereborze znalazł drogocenny kamień, klejnot nad klejnotami, Serce Góry. Lecz syn Thraina, Thorin I, przeniósł się dalej na północ, w Góry Szare, gdzie wówczas zgromadziło się najwięcej krasnoludów, były to bowiem góry bardzo bogate, a mało jeszcze znane. Niestety, na pustkowiach za nimi żyły smoki, które w wiele lat później, gdy roz mnożyły się i odzyskały siły, zaczęły gnębić plemię Durina i napastować podziemne państwo. Wreszcie Dain I wraz ze swym młodszym synem, Frorem, zabity został przez olbrzymiego smoka w progu własnej komnaty. Wkrótce potem plemię Durina opuściło Góry Szare. Trzeci syn Daina, Gror, osiadł ze sporym zastępem swych zwolenników wśród Żelaznych Wzgórz, ale Thrór, spadkobierca Daina, razem ze swym stryjem Borinem i resztą plemienia wrócił do Ereboru. Klejnot nad klejnotami znów znalazł się w wielkiej sali Thraina, a plemię krasnoludów żyło wśród pomyślności i bogactw przyjażniąc się z ludźmi mieszkającymi w tej okolicy. Krasnoludowie wyrabiali bowiem nie tylko przedmioty podziwiane dla ich piękna, lecz także oręż i zbroje, które ceniono wysoko; utrzymywali w związku z tym ożywione stosunki ze swymi pobratymcami z Żelaznych Wzgórz, wymieniając z nimi kruszce. Nortowie, mieszkający między Kelduiną (Bystrą Rzeką) a Karnenem (Rudą Wodą), zaopatrzeni dobrze w broń, wzrosli w potęgę i odparli wszystkich wrogów napastujących ich wschodnie granice, plemię Durina zaś żyło dostatnio, uczując i śpiewając w podziemnych pałacach Ereboru. Wieść o skarbach Ereboru rozeszła się szeroko i dosięgła uszu smoków, a w każdym razie największego z nich, Smauga Złotego; Smaug znienacka napadł na królestwo Throra i w płomieniach opadł na Górę. W krótkim czasie zniszczył cały kraj, pobliskie miasto Dal opustoszało i zamieniło się w ruinę, Smaug zaś wtargnął do Wielkiej Hali i tam legł na kopcu złota.

Niewielu krasnoludów ocalało z tego pogromu; ostatni z niedobitków wydo stał się z podziemi przez tajemne drzwi sam Thrór wraz z synem, Thrainem II. Ruszyli z rodzinami¹⁹ i garstką współplemieńców, krewnych i najwierniejszych

¹⁸ Zbudziły lub może tylko wyzwoliły z więzienia; potwór zapewne wcześniej został obudzony za sprawą Saurona.

¹⁹ Między innymi były tam dzieci Thraina 11: Thorin (zwany potem Dębową Tarczą), Frerin i Dis. Thorin wedle pojęć krasnoludzkich był wówczas młokosem. Później okazało się, że spod Samotnej Góry ocalało więcej krasnoludów, niż zrazu przypuszczano, większość jednak udała się do Żelaznych Wzgórz.

przyjaciół na południe i długo potem pędzili życie tułaczę.

W wiele lat później Thror, już stary, biedny i zrozpaczony, oddał synowi Thrainowi jedyny klejnot, jaki jeszcze posiadał: ostatni z Siedmiu Pierścieni; po czym w towarzystwie starego przyjaciela Nara opuścił gromadę. Na pożegnanie powiedział Thrainowi:

— Może ten Pierścień stanie się dla ciebie zaczątkiem nowego bogactwa, chociaż wydaje się to mało prawdopodobne. Żeby złoto rozmnożyć, trzeba je mieć.

— Nie zamierzasz chyba, ojcze, wracać do Ereboru? — spytał Thrain — To już w moim wieku na nic by się nie zdało — odparł Thror. — Pomstę na Smaugu zostawiam tobie i twoim synom. Ale zmęczyło mnie ubóstwo i wzgarda ludzka. Spróbuję poszukać lepszej doli. Nie powiedział, dokąd się wybiera. Od starości, biedy i rozmyślań o dawnych bogactwach Morii za dni jego pradziadów zapewne rozum mu się trochę zmącił albo też Pierścień zaczął wywierać zły czai teraz, gdy jego władca zbudził się znów do życia, i skusił sędziwego króla krasnoludów do szaleńczej, zgubnej próby. Thror powędrował z Dunlandu, gdzie ostatnio mieszkał, na północ, przeprawił się przez przełęcz Czerwonego Rogu i wszedł w Dolinę Azanulbizar. Bramę Morii zastał otwartą. Nar błagał króla, by nie narażał się na niebezpieczeństwo, lecz Thror nie chciał go słuchać. Wkroczył do Morii dumnie, jak powracający prawowity spadkobierca. Nikt go już więcej żywego nie ujrzał. Nar przez wiele dni czekał kryjąc się w pobliżu bramy. Pewnego dnia usłyszał głośny okrzyk, głos rogu i łoskot ciała staczającego się ze schodów. Obawiając się, że to Throra spotkała tak zła przygoda, podczołgał się bliżej i wtedy zza bramy dobiegł go głos:

— Chodź no tu, brodaczu! Widzę cię dobrze. Nie bój się, tym razem jesteś mi potrzebny, żeby zanieść ode mnie wiadomość swoim kamratom.

Nar podszedł do bramy i zobaczył ciało Throra, lecz bez głowy, która odrąbana leżała obok, twarzą do ziemi. Kiedy przykląkł nad nią, z ciemności rozległ się szyderczy śmiech i ten sam głos orka podjął znowu:

— Tak oto przyjmuję żebraka, jeśli zamiast czekać pokornie pod drzwiami wślizguje się do wnętrza i próbuje kraść. Każdy z was, który by ośmielił się kiedykolwiek wetknąć tutaj swoją wstrętną brodę, dostanie taką samą nauczkę. Idź i powiedz to swoim! A jeżeli jego krewniacy są ciekawi, kto teraz panuje w Morii, mogą imię króla odczytać na twarzy tego żebraka. Wypisałem je! Zabiłem go! Ja tutaj jestem panem.

Nar odwrócił martwą głowę i ujrzał wypalone na czole Throra runami krasnoludzkimi, które umiał czytać, unię Azog. Odtąd to imię wypalone było na zawsze w sercu Nara i wszystkich krasnoludów. Nar pochylił się chcąc zabrać głowę króla, lecz Azog²⁰ wstrzymał go krzykiem:

— Rzuć to! Idź precz! Masz tu na piwo, brodaty żebraku.

²⁰ Azog był ojcem Bolga.

Mała sakiewka uderzyła go w twarz. Było w niej ledwie kilka marnych groszy. Z płaczem Nar uciekł brzegiem Srebrnej Żyły, raz jednak obejrzał się za siebie i zobaczył orków, którzy wyległszy przed bramę rąbali ciało króla na sztuki rzucając je na żer czarnym krukowi.

Taką opowieść przyniósł Nar Thrainowi; Thrain płakał i szarpał z rozpaczyny brodę, a potem zamilkł. Przez siedem dni nie odezwał się ani słowem. Wreszcie wstał i rzekł: — Tego dłużej znosić nie można!

— Tak się zaczęła wojna krasnoludów z orkami, długa i krwawa, toczona przeważnie głęboko pod ziemią.

Thrain natychmiast rozesłał na cztery strony świata gońców z wieścią o losie starego króla, lecz upłynęły trzy lata, zanim krasnoludowie przygotowali się do walki. Plemię Durina wystawiło zbrojny zastęp, przyłączyły się do niego liczne pułki spośród dzieci innych Ojców plemienia, bo zniewaga, wyrządzona spadkobiercy najstarszego Ojca krasnoludzkiej rasy, wszystkich rozjątrzyła do żywego. Gdy wszystko było gotowe, ruszyli i zdobywali kolejno warowne grody orków rozrzucone między górą Gundabad a rzeką Gladden. Obie strony walczyły bez litości, ciemne noce i jasne dni wypełniły się śmiercią i okrucieństwem. Krasnoludowie zwyciężyli dzięki męstwu i dzięki doskonałej broni, a także dlatego, że straszny gniew nie wygasł w ich sercach, gdy tropili Azoga we wszystkich lochach pod górami.

W końcu orkowie zbiegli z całej krainy do Morii, a krasnoludzka armia dotarła w pościgu do Azanulbizaru. Była to wielka dolina między ramionami gór otaczającymi jezioro Kheled-zaram; stanowiła ongi część królestwa Khazad-dum. Kiedy krasnoludowie ujrzeli otwartą w stoku górskim bramę swej dawnej wspaniałej siedziby, gromki okrzyk wyrwał się z wszystkich piersi. Ale nad nimi na zboczach już się rozstawiły potężne zastępy przeciwników, z bramy zaś wysypała się banda orków, zachowana tam przez Azoga na ostatnią, rozstrzygającą bitwę.

Zrazu los nie sprzyjał krasnoludom; dzień był ciemny, zimny i bezsłoneczny, toteż orkowie nacierali śmiało, a mieli przytłaczającą liczebną przewagę i wygodniejsze do walki stanowisko. Tak zaczęła się bitwa w Azanulbizarze (czyli, w języku elfów, w Nanduhirionie), na której wspomnienie orkowie dotychczas drżą, a krasnoludowie płaczą. Przednią straż, którą do ataku poprowadził sam Thrain, orkowie odparli zadając jej ciężkie straty; Thrain musiał cofnąć się w las, rosnący po dziś dzień opodal jeziora Kheled-zaram. Tam poległ syn jego, Frerin, krewniak Fundin i wielu innych, a Thrain i Thorin odnieśli rany²¹. Wszędzie wkoło szale bitwy wahały się to na jedną, to na drugą stronę, z wielkim krwi przelewem, dopóki nie zjawiała się armia z Żelaznych Wzgórz. Wojownicy, których wiódł Nain, syn Grora, ubrani w kolczugi, przybyli ostatni, za to nie zmęczeni marszem, i pędzili

²¹ Podobno wówczas Thorin, gdy tarcza jego pękła, odrąbał toporem gałąź dębową i nią osłaniał się od ciosów lub też sam ciosy zadawał. Stąd powstał jego przydomek: „Dębowa Tarcza”.

przed sobą orków aż pod próg Morii, z okrzykiem „Azog! Azog!” waląc oskardami każdego, kto im próbował drogę zagrozić. Nain stanął pod bramą Morii i wielkim głosem zawołał:

— Azogu! Jeśli tam jesteś, wyjdź! A może cię strach obleciał? Azog wyszedł. Olbrzymi ork, z ciężkim żelaznym hełmem na głowie, był mimo to zwinny i niezwykle silny. Za nim sypnęli się z bramy inni, podobnej postawy, wojownicy z jego przybocznej straży. Ci starli się z towarzyszami Naina, a tymczasem Azog rzekł do Naina szyderczo:

— Co widzę? Drugi żebrak pod moimi drzwiami? Czy ciebie też będę musiał napiętnować?

I z tymi słowy rzucił się na niego. Nain był niemal ślepy z gniewu, a przy tym znużony po bitwie; Azog — wypoczęty, dziki i przebiegły. Nain, zbierając resztki sił, z rozmachem rąbnął oskardem, lecz Azog uchylił się i odskoczył kopiąc przeciwnika w nogę. Oskard pękł uderzając o kamień, Nain potknął się i pochylił naprzód. Azog błyskawicznie chlasnął szablą po jego szyi. Ostrze nie przecięło koleczugi, ale cios był tak potężny, że zmiażdżył kark i Nain padł martwy.

Azog wybuchnął śmiechem i zadarłszy głowę, chciał okrzyknąć swój tryumf, lecz nagle głos zamarł mu w gardle. Zobaczył bowiem, że w całej dolinie wojska jego cofają się w popłochu, a krasnoludowie prą naprzód, ścieląc drogę trupami przeciwników; kto z orków zdołał ująć z życiem, wrzeszcząc umykał na południe. Tuż obok Azog ujrzał trupy własnych gwardzistów, wybitych co do nogi. Zawrócił i pędem puścił się z powrotem ku bramie. Skoczył za nim na schody krasnolud ze skrwawionym toporem w rękę. Był to Dain Żelazna Stopa, syn Naina. Dopadł Azoga niemal w progu i straszliwym zamachem rąbnął w głowę. Wielką sławę przyniósł ten czyn Dainowi, tym bardziej że wśród krasnoludów uchodził za młodzika. Czekало go długie życie i wiele bitew, aż wreszcie stary, lecz do końca nieugięty, poleciał w Wojnie o Pierścień. Ale w owym dniu, mimo hartu i gniewnego uniesienia, wrócił spod drzwi Morii z twarzą poszarzałą, jak gdyby przeżył tam chwilę okropnej grozy.

Wreszcie bitwa skończyła się zwycięstwem. Krasnoludowie, którzy z niej wyszli żywi, zgromadzili się w Dolinie Azanulbizar. Głowę Azoga nadziali na pal wtłoczywszy do jej ust sakiewkę z kilku nędznymi groszakami. Nie było jednak uczty ani śpiewów tej nocy, bo poległych współplemieńców nawet zliczyć nikt nie umiał. Podobno ledwie połowa z tych, co walczyli w tej bitwie, trzymała się jeszcze na nogach lub mogła żywić nadzieję, że powstanie z ran. Mimo to nazajutrz Thrain przemówił do swych wojowników. Stracił bezpowrotnie wzrok w jednym oku i kulał ciężko, ale powiedział:

— Dobrze, bracia. Zwyciężyliśmy, Khazad-dum jest nasz. Na to wszakże odrzekli mu:

— Jesteś spadkobiercą Durina, ale nawet jednym okiem powinienesz widzieć

lepiej. Ruszyliśmy na tę wojnę, żeby wziąć pomstę i pomstę mamy. Ale nie jest słodka. Jeśli to ma być zwycięstwo, za małe są nasze ręce, żeby je utrzymać. Inni, którzy nie należeli do plemienia Durina, mówili:

— Khazad-dum nie naszych Ojców był domem. Czymże jest dla nas, jeśli nie nadzieją bogatej zdobyczy? Jeśli musimy wracać bez nagrody i bez należnej zapłaty za przelaną krew, wolimy przynajmniej wrócić jak najprędzej do własnych krajów. Wtedy Thrain zagadnął Daina:

— Ale ty, krewniaku, chyba nie opuścisz mnie? — spytał.

— Nie — odparł Dain. — Jesteś ojcem naszego plemienia, na twoje słowo przelewaliśmy krew i nigdy ci jej nie odmówimy. Ale do Khazad-dumu nie wejdziesz. Ty także nie wejdziesz tam. Ledwie zajrzałem w ciemność za bramę. Za nią czyha nadal Zguba Durina. Świat musi się odmienić, inna niż nasza moc musi zwyciężyć, zanim plemię Durina znów przekroczy próg Morii. Tak więc po bitwie w Dolinie Azanulbizar krasnoludowie znów się rozproszyli. Najpierw jednak w niemałym trudzie rozebrali ze zbroi wszystkich poległych, żeby orkowie nie mogli zagarnąć obfitego łupu oręża i kolczug. Podobno każdy krasnolud wracający z tego poboju ugiął się pod brzemieniem podwójnej zbroi. Zbudowali mnóstwo stosów i spalili ciała zabitych współbraci. Na te stosy ścięli drzewa w dolinie, która odtąd została jałowa na zawsze, a dym bijący znad ognisk dostrzeżono nawet w Lorien²². Gdy z tych strasznych ognisk zostały tylko popioły, sprzymierzeńcy odeszli do własnych siedzib, a Dain Żelazna Stopa poprowadził plemię swego ojca z powrotem do Żelaznych Wzgórz. Thrain zaś stanąwszy przed palem rzekł do Thorina zwanego Dębową Tarczą:

— Drogo zapłaciliśmy za tę głowę. Daliśmy za nią co najmniej nasze królestwo. Czy wrócisz razem za mną do kuźni? Czy też wolisz żebrać pod drzwiami pyszałków?

— Wracani do kuźni — odparł Thorin. — Młot bądź co bądź pozwoli mi zachować siłę w rękach, póki znów nie będę mógł chwycić w nie ostrzejszego narzędzia.

Tak więc Thrain i Thorin z garstką niedobitków, między którymi znaleźli się Balin i Gloin, wrócili do Dunlandu, a wkrótce stamtąd ruszyli na wędrówki po Eriadorze, aż wreszcie osiedli na wygnaniu we wschodniej części Ered Luin, za Rzeką Księżycową. Tu wprowadzie kuli przeważnie żelazo, lecz powodziło im się niezgorzej i z wolna plemię się rozmnażało²³. Ale — jak słusznie powiedział

²² Krasnoludowie z ciężkim sercem musieli postąpić tak ze swoimi zmarłymi, było to bowiem sprzeczne z ich obyczajem; ale budowa grobów, które zwykli kuć w kamieniu, nie zaś kopać w ziemi, trwałaby kilka lat. Woleli więc oddać zwłoki płomieniom, niż je zostawić na pastwę orków i karmiących się trupami kruków. Pamięć poległych w Azanulbizar czcili jednak zawsze i po dziś dzień niejeden krasnolud chlubi się pradziadem „spalonym”, a wszyscy rozumieją, co to znaczy.

²³ Było w nim bardzo niewiele krasnoludzkich kobiet. Córka Thraina, Dis, urodziła w Ered

Thror — Pierścień, by rozmnożyć złoto, musiałyby mieć go choć trochę na początek, a w Ered Luin ani złota, ani innych szlachetnych kruszców nie znajdowano wcale lub też znikome ilości. Wypada z kolei powiedzieć słów parę o tym Pierścieniu. Plemię Durina wierzyło, że jest to pierwszy z Siedmiu, najwcześniej z nich wykuty; krasnoludowie twierdzili, że dostał go król Khazad-dumu, Durin III, od złotników-elfów, nie zaś od Saurona, jakkolwiek z pewnością ciążyły na nim przewrotne czary Saurona, który przecież pomagał w wykuwaniu wszystkich Siedmiu. Właściciele Pierścienia nigdy go publicznie nie pokazywali i rzadko wyrzekali się go wcześniej niż w przededniu śmierci; postronni nie wiedzieli też nigdy dokładnie, gdzie Pierścień jest przechowywany. Niektórzy myśleli, że pozostał w Khazad-dumie, w tajemnym grobowcu królewskim, jeśli nie znaleźli go tam rabusie. W najbliższym otoczeniu spadkobiercy Durina przypuszczano (niesłusznie), że Thror miał Pierścień przy sobie, gdy nieopatrznie wybrał się na starość z powrotem do siedziby przodków; co się stało z klejnotem po śmierci Thror a, nie wiadomo. W każdym razie nie odnaleziono go przy zabitym Azogu. Później dopiero krasnoludowie zaczęli się domyślać, być może trafnie, że Sauron dzięki swym czarom odkrył, kto posiada ów Pierścień, ostatni z Siedmiu jeszcze pozostający na wolnym świecie, i że nieszczęścia prześladowające spadkobierców Durina były dziełem jego złośliwości. Krasnoludów bowiem nie udało się ujarzmić za pośrednictwem Pierścienia; wywierał na nich tylko ten wpływ, że rozpałał w nich namiętne pożądanie złota i klejnotów tak, iż wszystko inne, najlepsze nawet rzeczy, mieli za nic i pałając strasznym gniewem na tych, którzy im te najbardziej umiłowane skarby wydarli, gotowi byli krwawo pomścić swą krzywdę. Plemię to jednak od początku taką miało naturę, że sprzeciwiało się stanowczo wszelkiej narzucanej władzy. Można było krasnoludów zabijać i rujnować, nigdy wszakże nie dali się zamienić w cienie i nie ulegli cudzej woli. Dlatego też Pierścień nie oddziałał na ich życie, nie przedłużył go ani nie skrócił. Sauron z tego powodu szczególnie ich nienawidził i pragnął im wydrzeć Pierścień.

W pewnej mierze zapewne złym czarom Pierścienia należy przypisać niepokój i rozgoryczenie, które w kilka lat później ogarnęły Thraina.

Dręczyła go żądza złota. Wreszcie nie mogąc dłużej znieść tego, zaczął myśleć o Ereborze i postanowił tam wrócić. Nie zwierzył się Thorinowi ze swych tajemnych planów, lecz wraz z Balinem, Dwalinem i garstką innych ruszył w drogę.

Niewiele wiadomo o jego późniejszych losach. Zdaje się, że wkrótce wędrującą gromadkę wytropili gońcy Saurona. Napastowały ją wilki, otaczali orkowie, złe ptaki śledziły jej kroki, a w miarę, jak posuwała się na pomoc, napotykała coraz cięższe przeszkody. Pewnej ciemnej nocy, gdy Thrain i jego towarzysze znajdowali się za Anduiną, czarny deszcz zmusił ich do schronienia się pod drze-

Luin dwóch synów, którzy nosili imiona Fili i Kili. Thorin nigdy się nie ożenił.

wa Mrocznej Puszczy. Rankiem Thrain zniknął z obozu i przyjaciele daremnie go nawoływali po lesie. Kilka dni czekali nie ustając w poszukiwaniach, wreszcie stracili nadzieję i zawrócili z drogi, by po długiej tułaczce dotrzeć do Thorina. Dopiero w wiele lat później okazało się, że Thraina ujęto żywcem, porwano i zawleczono do lochów Dol Gulduru; torturowany, obrabowany z Pierścienia, wkrótce zmarł w więzieniu.

Tak więc spadkobiercą Durina został Thorin, lecz nie dostała mu się w spadku nadzieja. Miał dziewięćdziesiąt lat, gdy zginął Thrain, był krasnoludem wspańiałej i dumnej postawy, lecz nie rwał się, by opuścić Eriador. Pracował tam od dawna, kupczył wyrobami swych kuźni i zdobył trochę mienia; plemię jego rozrosło się, bo liczni tułający się krasnoludowie przybywali, znęcani wieścią o nowej siedzibie założonej na zachodzie. W górach pobudowano piękne podziemne sale, składy wypełniły się wyrobami krasnoludzkiej sztuki, życie płynęło znośnie, chociaż pieśni wciąż przypominały o straconej, dalekiej Samotnej Górze.

Mijały lata. Zdawało się, że w sercu Thorina popiół przysypał żar, lecz ogień nie zgasł i z czasem rozpalał się coraz żywiej, gdy król rozpamiętywał krzywdy swego rodu i obowiązek zemsty na smoku, przekazany w dziedzictwie przez ojca. Ciężki młot dzwonił wytrwale w kuźni, a Thorin pracując myślał o broni, o zbrojach, o sojuszach. Armie jednak były rozproszone, sojusze zerwane, a we własnym plemienu niewiele mógł naliczyć bojowych toporów. Toteż straszny gniew, nie ostudzony nadzieją, palił jego serce, gdy Thorin kuł czerwone żelazo na kowadle.

Wreszcie los zdarzył, że Thorin spotkał Gandalfa, i to spotkanie nie tylko rozstrzygnęło o dalszych losach plemienia Durina, lecz doprowadziło do innych jeszcze, o wiele donioślejszych zdarzeń. Pewnego razu (15 marca 2941 roku) Thorin, wracając z podróży na zachód, zatrzymał się na nocleg w Bree. Znalazł się tam tego dnia również Gandalf; wędrował do Shire'u, którego nie odwiedzał już od dwudziestu lat. Był znużony i chciał trochę odpocząć. Wśród innych trosk nękała go myśl o niebezpieczeństwie grożącym pomocy. Wiedział bowiem, że Sauron już przygotowuje się do wojny i że, gdy zbierze dostateczne siły, uderzy najpierw na Rivendell. Wiedział, że jeśli Nieprzyjaciół spróbuje odzyskać Angmar i pomocne przełęcze górskie, nikt mu nie stawi oporu prócz krasnoludów z Żelaznych Wzgórz. A za tymi wzgórzami ciągnęły się pustkowia i panował nad nimi smok. Sauron mógł smoka użyć do swych celów z jak najokropniejszym skutkiem. Gandalf rozmyślał więc, jak unieszkodliwić smoka Smauga. Siedział pogrążony w tych myślach, gdy stanął przed nim Thorin i rzekł:

— Mistrzu Gandalfie, znam cię tylko z widzenia, ale chciałbym z tobą pogadać. Często bowiem ostatnimi czasy wspominałem cię i coś mi szeptało, żeby cię odszukać. Posłuchałbym tej rady z pewnością, ale nie miałem pojęcia, gdzie się podziewasz. Gandalf spojrział na niego zdumiony.

— Dziwna rzecz! — powiedział. — Ja właśnie też ciebie wspominałem, Tho-

rinie, Dębowa Tarczo! Wybrałem się do Shire'u, ale pamiętałem, że tędy prowadzi droga również do twojej siedziby.

— Zbyt pięknie nazywasz ją, Gandalfie. To zaledwie przytułek wygnańca! — odparł Thorin. — Ale będziesz gościem zawsze mile widzianym. Słyszałem, że jesteś mądry i więcej niż inni wiesz o tym, co się na świecie dzieje. Mam poważne troski i chciałbym zasięgnąć twojej rady.

— Przyjdę! — rzekł Gandalf. — Zdaje się, że teraz nareszcie mamy obaj tę samą troskę na sercu. Mnie bowiem dręczy myśl o smoku z Ereboru, a sądzę, że wnuk Throra również o nim nie zapomni. W innej książce zawarta jest opowieść o przygodach, które wynikły z tego spotkania, o niezwykłym planie, który Gandalf ułożył po myśli Thorina, o wyprawie, którą Thorin z przyjaciółmi podjął ruszając z Shire'u ku Samotnej Górze, i o nieoczekiwanym, a wspaniałym zakończeniu tego przedsięwzięcia. Na tych kartkach przypomnę tylko zdarzenia związane Szepośrednio z historią ludu Durina.

Smok zginął od strzały Barda z Esgarothu, a na polach Dali rozegrała się wielka bitwa. Na wieść bowiem o powrocie krasnoludów orkowie co prędzej wtargnęli do Ereboru, a przewodził im Bolg, syn Azoga, którego Dain za młodu uśmiercił. W tej pierwszej bitwie w dolinie Dali Thorin Dębowa Tarcza odniósł ciężkie rany i zmarł; pochowano go w grobowcu pod Górą kładąc klejnot nad klejnotami na piersiach. Polegli również i Fili, i Kili, jego siostrzeńcy. Dain Żelazna Stopa, krewny Thorina, który przybył mu na pomoc, a był również prawowitym spadkobiercą Durina, został królem i jako Dain II panował nad królestwem spod Samotnej Góry, wskrzeszonym zgodnie z życzeniem Gandalfa. Dain II okazał się wielkim i rozumnym władcą, a krasnoludowie za jego czasów cieszyli się pomyślnością i odzyskiwali dawną siłę. Pod koniec lata tego samego roku (2941) Gandalf wreszcie skłonił Sarumana i Białą Radę do podjęcia wyprawy przeciw Dol Guldurowi; Sauron musiał wycofać się do Mordoru, gdzie czuł się całkowicie bezpieczny. Dlatego też, gdy wojna wreszcie wybuchła, pierwsze główne uderzenie skierował na południe; a jednak Sauron ręce miał długie i pewnie by prawicą dosięgnął pomocy, wyrządzając wiele zła w położonych tam krajach, gdyby król Dain i król Brand nie zagroździ mu drogi. Gandalf tłumaczył to później Gimlemu i Frodowi, gdy razem czas jakiś przebywali w Minas Tirith. Właśnie na krótko przedtem dotarły do Gondoru wieści z odległych stron. — Oplakiwałem śmierć Thorina — rzekł Gandalf — a teraz dowiadujemy się, że Dain poległ, także w boju na polach Dali, i w dniu, w którym my tutaj walczyliśmy również. Nazwałbym tę śmierć ciężką stratą, gdyby nie to, iż raczej dziwić się trzeba, że Dain mimo sędziwego wieku mógł jeszcze władać toporem tak dzielnie, jak podobno władał stojąc nad ciałem króla Branda przed bramą Ereboru, póki nie zapadła noc.

Mogło się stać inaczej i znacznie gorzej. Ilekroć pomyślicie o bitwie w Pelennorze, nie zapominajcie też o bitwie w Dali i o męstwie Durinowego plemienia. Zastanówcie się, co mogło się zdarzyć. Ogień smoczy i szable dzikusów w Eria-

dorze, ciemności nad Rivendell. Mogłoby nie być królowej w Gondorze. Moglibyśmy po zwycięstwie wrócić m do ruin i zgłiszcz tylko. Tego wszystkiego uniknęliśmy, ponieważ w pewien przedwiosenny wieczór przed laty spotkałem w Bree Thorina, Dębową Tarczę. Zbieg okoliczności — jak mówią w Śródziemni!

Dis była córką Thraina II. Jest to jedyna krasnoludzka kobieta, której imię zapisano w kronikach. Gimli opowiadał, że w jego plemieniu kobiet jest bardzo mało, nie stanowią nawet trzeciej części ludności. Bez koniecznej potrzeby nie pokazują się nigdzie poza domem. Z głosu i postawy tak są podobne do swych mężów, zwłaszcza że wybierając się w podróż odziewają się tak samo jak oni, iż obcy nie mogą ich odróżnić. Stąd powstała wśród ludzi niedorzeczna legenda, że krasnoludzkich kobiet w ogóle nie ma, a krasnoludowie rodzą się „na kamieniu”.

Z powodu tak małej ilości kobiet plemię krasnoludzkie rozmnaża się bardzo powoli, a istnienie jego jest zagrożone, gdy brak bezpiecznych siedzib. Nigdy bowiem więcej niż raz w życiu nie wiążą się małżeństwem i zazdrośnie strzegą, jak zresztą we wszelkich innych dziedzinach, swoich praw. W praktyce żeni się mniej niż trzecia część krasnoludów, bo nie wszystkie ich kobiety wychodzą za mąż; niektóre nie życzą sobie w ogóle męża, niektóre pragną nie tego, kogo mieć mogą, innego zaś nie chcą. Mężczyźni też nie zawsze mają ochotę do żeniaczki, bo pochłaniają ich inne sprawy.

Wielką sławę zdobył Gimli, syn Gloina, należał bowiem do Dziewiątki Wędrowców, czyli do Drużyny Pierścienia, i przez cały czas wojny przebywał u boku króla Elessara. Nazwano go przyjacielem elfów, ponieważ wzajemne serdeczne przywiązanie łączyło go z Legolasem, synem króla Thranduila, i ponieważ uwielbiał panią Galadrielę.

Po upadku Saurona Gimli sprowadził część plemienia krasnoludów z Ereboru na południe z został władcą Błyszczących Jaskiń. Wraz ze swym ludem wykonał wiele pięknych dzieł w Rohanie i Gondorze.

Na miejscu zburzonej przez upiornego Czarnoksiężnika Bramy w Minas Tirith, krasnoludowie wykuli nową, z mithrilu i stali. Legolas również ściągnął z Zielonego Lasu na południe elfy, które osiadły w Ithilien; kraj ten znów rozkwitł i zasłynął jako najpiękniejszy zakątek Śródziemia.

Gdy jednak król Elessar wyrzekł się życia, Legolas posłuchał wreszcie głosu swojej dawnej tęsknoty i odpłynął za Morze.

A oto jeden z ostatnich zapisków Czerwonej Księgi:

Doszły nas słuchy, że Legolas zabrał z sobą Gimlego, syna Gloina, ze względu na łączącą ich przyjaźń, jakiej nigdy w dziejach nie spotkano poza tym między elfem a krasnoludem. Jeśli to prawda, stała się rzecz bardzo niezwykła. Nie do

wiary, żeby krasnolud dobrowolnie opuścił Śródziemie dla jakiegokolwiek miłości i żeby Eldarowie zechcieli przyjąć krasnoluda, i żeby władcy zamorscy na to zezwolili. Wieść jednak głosi, że Gimli odpłynął za Morze, ponieważ bardzo pragnął zobaczyć znów jasne oblicze Galadrieli; kto wie, czy me ona właśnie, ciesząc się wśród Eldarów wielką czcią, nie uzyskała dla krasnoluda tej wyjątkowej łaski. Więcej nic o tym powiedzieć się nie da.

Rodowód krasnoludów z Ereboru spisany przez Gimlego, syna Gloina na życzenie króla Elessara

Gwiazdkami oznaczono imiona tych, którzy byli uznawani za królów Durinowego plemienia, chociażby na wygnaniu Spośród innych towarzyszy wyprawy Thorina Dębowe) Tarczy do Ereboru należeli do rodu Durina Ori, Nori i Dori, a dalsi krewni Bifur, Bofur i Bombur wywodzili się od krasnoludów z Moru, ale me z linii Durina Krzyżyk oznacza śmierć w boju lub inną śmierć gwałtowną

Rodowód krasnoludów z Ereboru spisany przez Gimlego, syna Gloina na życzenie króla Elessara

Durin Nieśmiertelny
(Pierwsza Era)

* Durin VI
1731—1980†

* Nain I
1832—1981†

* Thrain I
1934—2190

* Thorin I
2035—2289

* Gloin
2136—2385

* Oin
2238—2488

* Nain II
2338—2585

* Dain I
2440—2589†

Borin
2450—2711

* Thro
2542—2790†

Fror
2552—2589†

Gror
2563—2805

Farin
2560—2803

* Thrain II
2644—2850†

Nain
2665—2799†

Fundin
2662—2799†

Groin
2671—2923

* Thorin II
Dębowa Tarcza
2746—2941†

Frerin
2751—2799†

Dis
2760

* Dain II
Żelazna Stopa
2767—3019†

Balin
2763—2994†

Gloin
2783
IV Era 15

Fili
2859—2941†

Kili
2864—2941†

* Thorin III
Kamieny
Helm
2866

Dwalin
2772—3112

Oin
2774—2994†

Gimli
Przy-
jacieli
Elfów
2879—3121
(IV Era 120)

Durin VII
Ostatni

Założenie Ereboru 1999
Dain I zabity przez smoka 2589
Powrót do Ereboru 2590
Spustoszenie Ereboru 2770
Zamordowanie Throra 2790
Zbrojenia armii krasnoludzkiej 2790—93

Wojna krasnoludów z orkami 2793—99
Bitwa o Nanduhirion 2799
Thrain rusza na tułaczkę 2841
Śmierć Thraina i strata Pierścienia 2850
Bitwa Pięciu Armii i śmierć Thorina II 2941
Balin udaje się do Morii 2989

Gwiazdkami oznaczono imiona tych, którzy byli uznawani za królów Durinowego plemienia, chociażby na wygnaniu. Spośród innych towarzyszy wyprawy Thorina Dębowej Tarczy do Ereboru należeli do rodu Durina Ori, Nori i Dori, a dalsi krewni: Bifur, Bofur i Bombur wywodzili się od krasnoludów z Morii, ale nie z linii Durina. Krzyżyk oznacza śmierć w boju lub inną śmierć gwałtowną.

Dodatek B

Kronika Królestw Zachodnich

Pierwsza Era skończyła się Wielką Bitwą, w której zastępy Valinoru złamały potęgę Thangorodrimu i władzę Morgotha. Większość Noldorów wróciła potem na daleki Zachód i osiadła w Eressei, na widnokręgu Valinoru, a wielu Sindarów odpłynęło też za Morze. Druga Era skończyła się pierwszym upadkiem Sauro-na, sługi Morgotha, i odebraniem mu Jedynego Pierścienia. Trzecia Era dobiegła kresu po rozegraniu Wojny o Pierścień, lecz za j początek Czwartej Ery uznano dzień, w którym Elrond odpłynął z Przystani, wtedy bowiem zaczęło się panowanie ludzi i zmierzch wszelkich innych istot obdarzonych mową i żyjących dotąd w Śródziemni.

W Czwartej Erze wszystkie poprzednie nazywano Dawnymi Dniami, lecz ściślej ta nazwa odnosi się do czasów poprzedzających wygnanie Morgotha. Opowieści z tamtych Dawnych Dni nie są zawarte w naszej księdze.

Druga Era

Były to dla ludzi z Śródziemia złe czasy, ale dla Numenoru dni chwały. O zdarzeniach w Śródziemni mamy z tej epoki nieliczne tylko i krótkie wzmianki, a daty są przeważnie niepewne. W początkach Drugiej Ery żyło jeszcze w Śródziemni wiele elfów Wysokiego Rodu. Większość z nich mieszkała w Lindonie, na zachód od Ered Luin, lecz zanim wybudowano Barad-Dur, wielu Sindarów przeniosło się dalej na wschód, a niektórzy z nich założyli królestwa w odległych lasach. Poddanymi ich były w większości elfy leśne. Jednym z takich władców był Thranduil, król północnej części Wielkiego Zielonego Lasu. W Lindonie, na północ od Rzeki Księżycowej, osiedlił się Gil-galad, ostatni spadkobierca królów Noldorów na wygnaniu. Uznawano go za Najwyższego Króla elfów na Zachodzie. W Lindonie, na południe od Rzeki Księżycowej, mieszkał przez pewien czas Keleborn, krewniak Thingola; jego żoną była Galadriela, najślawniejsza z kobiet elfów, siostra Finroda Felagunda, Przyjaciela Ludzi, ongi króla Norgothrundu, który zginął ratując życie Berena, syna Barahira.

Później część Noldorów zawędrowała do Eregionu, na zachód od Gór Mglistych, w pobliżu Zachodniej Bramy Morii. Znęciła ich tam wieść o odkryciu w Morii żył mithrilu. Noldorowie, biegli w rzemiosłach i sztukach, na ogół mniej nieżyczliwie odnosili się do krasnoludów niż Sindarowie, lecz wyjątkowa przyjaźń rozwinęła się między plemieniem Durina a kowalami-elfami z Eregionu. Władcą Eregionu i największym jego mistrzem rzemiosł był Kelebrimbor; był on potomkiem Feanora.

Rok 1 Budowa Szarej Przystani i założenie królestwa Lindonu.

32 Edainowie docierają do Numenoru.

ok. 40 Wielu krasnoludów, opuszczając stare siedziby w Ered Luin, przenosi się do Morii, dokąd ściągają coraz liczniej ich współplemieńcy.

442 Śmierć Elrosa Tar-Minyatura.

ok. 500 Sauron zaczyna znów działać w Śródziemni.

548 Silmarien rodzi się w Numenorze.

600 Pierwsze okręty Numenorejczyków pojawiają się u wybrzeży.

750 Noldorowie zakładają Eregion.

ok. 1000 Sauron, zaniepokojony rosnącą potęgą Numenorejczyków, obiera Mordor za swą siedzibę i warownię. Zaczyna budowę Barad-Duru.

1075 Tar-Ankalime zostaje pierwszą rządzącą królową Numenoru.

1200 Sauron próbuje zjednać sobie Eldarów. Gil-galad nie chce z nim rokować, ale kowale z Eregionu dają się zwieść jego obłudnymi słowami. Numenorejczycy zaczynają budować sobie stałe przystanie.

ok. 1500 Elfy-kowale pouczeni przez Saurona osiągają mistrzostwo w swym rzemiośle. Zaczynają wykuwać Pierścienie Władzy.

ok. 1590 Trzy Pierścienie gotowe w Eregionie.

ok. 1600 Sauron we wnętrzu góry Orodruiny wykuwa Jedyny Pierścień. Kończy budowę Barad-Duru. Kelebrimbor odgaduje plany Saurona.

1693 Zaczyna się wojna między elfami a Sauronem. Trzy Pierścienie znajdują się w ukryciu.

1695 Wojska Saurona napadają na Eriador. Gil-galad wysyła Elronda do Eregionu.

1697 Spustoszenie Eregionu. Śmierć Kelebrimbora. Zamknięcie bram Morii. Elrond wycofuje się wraz z niedobitkami Noldorów i zakłada siedzibę w Imladris.

1699 Sauron opanowuje Eriador.

1700 Tar-Minastir wysyła silną flotę z Numenoru do Lindonu. Porażka Saurona.

1701 Wypędzenie Saurona z Eriadoru. Kraje zachodnie mogą cieszyć się przez czas jakiś spokojem.

ok. 1800 Od tego mniej więcej czasu Numenorejczycy zaczynają utrwalać swoje panowanie nad wybrzeżami. Sauron rozszerza swoją władzę na wschód. Cień pada na Numenor.

2251 Tar-Atanamir obejmuje tron. Początki buntu i rozdziału wśród Numenorejczyków. Mniej więcej w tym czasie Nazgule, czyli Upiory Pierścieni, pojawiają się po raz pierwszy.

2280 Umbar staje się potężną twierdzą Numenoru.

2350 Budowa Pelargiru, który staje się głównym portem Wiernych Numenorejczyków.

2899 Ar-Adunakhor obejmuje tron.

3175 Skrucha Tar-Palantira. Wojna domowa w Numenorze.

3255 Ar-Farazon Złoty przejmuje berło,

3261 Ar-Farazon odpływa z Numenoru i ląduje w Umbarze.

3262 Sauron wzięty do niewoli do Numenoru; 3262–3310 Sauron zyskuje wpływ na króla i deprawuje Numenorejczyków.

3310 Ar-Farazon rozpoczyna wielkie zbrojenia.

3319 Ar-Farazon napada na Valinor. Upadek Numenoru. Elendil z synami uchodzi.

3320 Założenie królestw na Wygnaniu: Arnoru i Gondoru. Rozdział kryształów jasnowidzenia między dwa królestwa (t. II, str. 260–261). Sauron wraca do Mordoru.

3429 Sauron napada na Gondor, zdobywa Minas Ithil, pali Białe Drzewo. Isildur ucieka w dół Anduiny i udaje się na północ, do Elendila. Anarion broni Minas Anoru i Osgiliathu.

3430 Zawiazuje się Ostatnie Przymierze

3431 Gil-galad i Elendil ruszają na wschód, do Imladris.

3434 Wojska Przymierza przekraczają Góry Mgliste. Bitwa na Polach Dagorladu i klęska Saurona. Zaczyna się oblężenie Barad-Duru.

3440 Śmierć Anariona.

3441 Sauron pokonany przez Elendila i Gil-galada, którzy giną. Isildur zabiera Jedyny Pierścień. Sauron znika, a Upiory Pierścienia kryją się w ciemnościach. Koniec Drugiej Ery.

Trzecia Era

Był to okres zmierzchu Eldarów. Od dawna cieszyli się pokojem, rozporządzając Trzema Pierścieniami, podczas gdy Sauron spał, a Pierścień Jedyny był zagubiony; nie szukali jednak niczego nowego, żyjąc wspomnieniami przeszłości. Krasnoludowie ukryli się w głębokich podziemiach strzegąc swoich skarbów, lecz gdy złe siły zaczęły znów działać, a smoki znów się pojawiły jeden po drugim, gdy rozgrabiono starożytne, krasnoludzkie skarbce, plemię rozproszyło się i podjęło żywot tułaczy. Moria przez długi czas pozostała bezpieczna, lecz ubywało z niej ludu, aż wreszcie ogromne jej hale opustoszały i zapanowały w nich ciemności. Numenorejczycy, odkąd mieszały się z ludźmi mniej szlachetnej krwi, tracili stopniowo przywilej mądrości i długiego życia. W jakiś tysiąc lat potem, kiedy pierwszy cień padł na Wielki Zielony Las, pojawili się w Śródziemni czarodzieje, czyli Istari. Później opowiadano, że przybyli zza Morza przysłani po to, aby się przeciwstawili potędze Saurona i zjednoczyli tych wszystkich, którzy chcieli Sauronowi stawić opór; zabroniono im jednak walczyć tą samą co Sauron bronią i zdobywać władzę nad elfami lub ludźmi przemocą i postrachem.

Zjawili się więc pod postacią ludzką, jakkolwiek nigdy nie byli młodzi, a starzeli się bardzo powoli; znali wiele sztuk, umysły zarówno jak ręce mieli wyćwiczone. Mało komu zwierzali swe prawdziwe imiona, przyjmując te, które im w Śródziemni nadawano. Dwaj najdoslejniejsi z tego bractwa (które podobno

liczyło pięciu członków) nazwani zostali przez Eldarów Kurunirem, „Mistrzem Rzemiosł”, i Mithrandirem, „Szarym Pielgrzymem”, a przez ludzi z północy — Sarumanem i Gandalfem. Kurunir często zapuszczał się na wschód, ale osiadł w końcu w Isengardzie. Mithrandir zaprzyjaźnił się najserdeczniej z Eldarami, wędrował przeważnie po krajach zachodnich i nie obrał sobie nigdy stałej siedziby.

W ciągu całej Trzeciej Ery nikt nie wiedział, gdzie przechowywane są Trzy Pierścienie — prócz tych, którzy je posiadali. W końcu wszakże okazało się, że początkowo były w rękach trojga najdosłojniejszych Eldarów: Gil-galada, Galadrieli i Kir dana. Gil-galad oddał swój Pierścień Elrondowi, Kirdan - - Mithrandirowi. Kirdan bowiem dalej i głębiej sięgał wzrokiem niż ktokolwiek z mieszkańców Śródziemia i on to witał Mithrandira w Szarej Przystani, wiedząc, skąd przybył i dokąd kiedyś powróci. — Weź ten Pierścień, Mistrzu — powiedział — bo zadanie będziesz miał bardzo trudne do spełnienia; on cię podtrzyma, gdy znużysz się brzemieniem. Jest to Pierścień Ognia, z jego pomocą będziesz mógł rozpalać na nowo serca na tym ziębnącym świecie. Co do mnie, to serce moje związane jest z Morzem, zostanę na wybrzeżu, póki nie odpłynie ostatni okręt. Będę tutaj na ciebie czekał.

Rok 2 Isildur sadi młode Białe Drzewo w Minas Anor. Oddaje Królestwo Południowe Meneldilowi. Klęska na Polach Gladden, Isildur ginie wraz z trzema swymi starszymi synami.

3 Ohtar przynosi szczątki miecza Narsila do Imladris.

10 Valandil zostaje królem Arnoru.

109 Elrond zaślubia Kelebrianę, córkę Keleborna.

130 Narodziny Elladana i Elrohira, synów Elronda.

241 Narodziny Arweny Undomiel.

420 Król Ostoher odbudowuje Minas Anor.

490 Pierwsza napaść Easterlingów.

500 Romendakil I zwycięża Easterlingów.

541 Romendakil ginie w boju.

830 Falastur rozpoczyna dynastię Królów-Żeglarzy w Gondorze.

861 Śmierć Earendura i podział Arnoru.

933 Król Earnil I zdobywa Umbar, który staje się twierdzą Gondoru.

936 Earnil ginie na Morzu.

1015 Król Kiryandil ginie podczas oblężenia Umbaru.

1050 Hyarmendakil podbija Harad. Gondor osiąga szczyt potęgi. Mniej więcej w tym czasie cień ogarnia Zielony Las, który Ludzie zaczynają nazywać Mroczną Puszczą. Po raz pierwszy w kronikach pojawia się wzmianka o periannathach — niziołkach, gdyż Harfootowie przybywają do Eriadoru.

ok. 1100 Mędrcy (Istari-czarodzieje oraz najwięksi z Eldarów) odkrywają, że w Dol Guldur złe siły zbudowały sobie twierdzę; przypuszcza się, że osiadł w niej jeden z Nazgulów.

1149 Początek panowania Atanatara Alkarina.

ok. 1150 Fallohidzi przybywają do Eriadoru. Stoorowie przez przełęcz Czerwonego Rogu dostają się do Klina i do Dunlandu.

ok. 1300 Znów mnożą się w Śródziemni złe stwory. Orkowie z Gór Mglistych napastują krasnoludów. Ponownie ukazują się Nazgule. Wódz ich przybywa na północ, do Angmaru. Periannathowie przenoszą się dalej na zachód. Wielu z nich osiedla się w Bree.

1356 Król Argeleb I ginie w wojnie z królestwem Rhudaur. W tym czasie Stoorowie opuszczają Klin i część ich wraca do Dzikiego Kraju.

1409 Czarnoksiężnik, król Angmaru, napada na Arnor. Śmierć króla Arvelega I. Obrona Fornostu i Tyrn Gorthadu. Zburzenie wieży Amon Sul.

1432 Śmierć króla Gondoru, Valakara; początek Waśni Rodzinnej i wojny domowej.

1437 Spalenie Osgiliathu i strata palantiru. Eldakar ucieka do Rhovanionu, syn jego Ornendil ginie zamordowany.

1447 Powrót Eldakara i wypędzenie samozwańca Kastamira. Bitwa u Brodu na Erui. Oblężenie Pelargiru.

1448 Buntownicy uciekają i zajmują Umbar.

1540 Król Aldamir ginie na wojnie z Haradem i Korsarzami z Umbaru.

- 1551 Hyarmendakil II zwycięża ludzi z Haradu.
- 1601 Periannathowie, emigrujący z Breoy otrzymują ziemię za Baranduiną od króla Argeleba II.
- ok. 1630 Przyłączając się do nich Stoorowie przybywają z Dunlandu.
- 1634 Korsarze łupią Pelargil i zabijają króla Minardila.
- 1636 Wielki mór w Gondorze. Śmierć króla Telemnara i jego dzieci. Białe Drzewo usycha w Minas Anor. Mór szerzy się na pomoc i zachód; wiele okolic Eriadoru pustoszeje. Periannathowie utrzymują się za Baranduiną mimo ciężkich strat.
- 1640 Król Tarondor przenosi siedzibę królewską do Minas Anor i zasadza nowe Białe Drzewo. Osgiliath zaczyna rozsypywać się w gruzy. Straże nie czuwają już na granicach Mordoru.
- 1810 Król Telumehtar Umbardakil odbija Umbar i wypędza Korsarzy.
- 1851 Początek najazdów Woźników na Gondor.
- 1856 Gondor traci ziemie na wschodzie, Narmakil II ginie na polu bitwy.
- 1899 Król Kalimehtar zwycięża Woźników na polach Dagorladu.
- 1900 Kalimehtar buduje Białą Wieżę w Minas Anor.
- 1940 Gondor i Arnor wznawiają łączność i zawierają sojusz. Aryedui zaślubia córkę Ondohera z Gondoru, Firię.
- 1944 Ondohier ginie w bitwie. Earnil wypiera nieprzyjaciół z południowej części Ithilien. Zwycięża w bitwie o obóz i wypędza Woźników na Martwe Bagna. Arvedui zgłasza swe prawa do korony Gondoru.
- 1945 Koronacja Earnila II.
- 1974 Koniec Królestwa Północnego. Czarnoksiężnik napada na Arthedain i zdobywa Fornost.
- 1975 Arvedui tonie w Zatoce Forochel. Giną palantiry z Annuminas i Amon Sul. Earnur prowadzi flotę do Lindonu. Kieska Czarnoksiężnika pod Pomostem; ścigany aż do Wrzosowisk Etten, opuszcza Północ.

1976 Aranarth zostaje wodzem Dunedainów. Spuściznę Arnoru bierze na przechowanie Elrond.

1977 Frumgar prowadzi Eotheodów na Północ.

1979 Wybór Bukki z Marish na pierwszego thana Shire'u.

1980 Czarnoksiężnik przybywa do Mordom i tam gromadzi Nazgulów. W Morii pojawia się Balrog i zabija Durina VI.

1981 Ginie Nain I. Krasnoludowie uciekają z Morii. Wielu leśnych elfów z Lorien uchodzi na południe. Giną Amroth i Nimrodel.

1999 Thrain I przybywa z Ereboru i zakłada krasnoludzkie królestwo pod Samotną Górą.

2000 Nazgule z Mordoru atakują i oblegają Minas Ithil.

2002 Upadek Minas Ithil, wieży przezwanej później Minas Morgul. Nieprzyjaciół zdobywa palantir.

2043 Earnur zostaje królem Gondoru. Czarnoksiężnik znieważa go i wyzywa do walki.

2050 Powtórne wyzwanie. Earnur rusza pod Minas Ithil i znika bez wieści. Mardil obejmuje rządy jako Namiestnik.

2060 Wzrost potęgi Dol Gulduru. Mędrcy obawiają się, że to Sauron wraca w nowej postaci.

2063 Gandalf udaje się do Dol Gulduru. Sauron wycofuje się i kryje dalej na wschodzie. Początek Niespokojnego Pokoju. Nazgule przyczajeni w Minas Morgul nie dają znaków życia.

2210 Thorin I opuszcza Erebor wędrując na północ ku Szarym Górcom, gdzie skupiają się teraz najliczniej resztki Durinowego plemienia.

2340 Isumbras I zostaje trzynastym thanem, pierwszy na tym urzędzie przedstawiciel rodu Tuków. Oldbuckowie zajmują Buckland.

2460 Koniec Niespokojnego Pokoju. Sauron ze wzmożonymi siłami wraca do Dol Gulduru.

2463 Utworzenie Białej Rady. W tym mniej więcej czasie Deagol, ze szczepu Stoorów, znajduje Jedyny Pierścień i ginie zamordowany przez Smeagola.

2470 Smeagol-Gollum kryje się w Górach Mglistych.

2475 Ponowna napaść na Gondor. Ostateczne zburzenie Osgiliathu i kamiennego mostu.

ok. 2480 Orkowie zaczynają budować tajemne twierdze w Górach Mglistych, żeby zagrozić przejściu do Eriadoru. Sauron zaczyna zaludniać Morię potworami, które są na jego służbie.

2509 Orkowie z zasadzki napadają na Przełęcz Czerwonego Rogu Kelebriana, która tamtędy jechała do Lorien, porywają ją i ranią zatrutą bronią.

2510 Kelebriana odpływa za Morze. Orkowie i Easterlingowie napadają na Kalenardhon. Eorl Młody zwycięża nad Kelebrantem. Rohirrimowie osiedlają się w Kalenardhonie.

2545 Śmierć Eorla w bitwie na Płaskowyżu.

2569 Brego, syn Eorla, kończy budowę Złotego Dworu.

2570 Baldor, syn Brega, przekracza Zakazane Wrota i ginie. W tym czasie na dalekiej północy pojawiają się znów smoki i zaczynają nękać krasnoludów.

2589 Smok zabija Daina I.

2590 Thrór wraca do Ereboru. Brat jego, Grór, osiada w Żelaznych Wzgórzach.

ok. 2670 Tobold zakłada w Południowej Czwartce pierwszą plantację fajkowego ziela.

2683 Isengrim II zostaje dziesiątym thanem i rozpoczyna budowę Wielkich Smajalów.

2698 Ekthelion I odbudowuje Białą Wieżę w Minas Tirith.

2740 Orkowie wznawiają napaści na Eriador.

2747 Bandobras Tuk gromi bandę orków w Północnej Czwartce.

2758 Rohan, napadnięty jednocześnie od zachodu i wschodu, dostaje się w ręce nieprzyjaciół. Gondor walczy z Korsarzami. Hełm 485

2931 Narodziny Aragorna, syna Arathorna II.

2933 Śmierć Arathorna II. Gilraena przenosi się z synem do Imladris. Elrond zastępuje mu ojca i nadaje mu imię Estel (Nadzieja); prawda o pochodzeniu Aragorna trzymana jest w tajemnicy.

2939 Saruman odkrywa, że śludzy Saurona przeszukują Anduinę w okolicy Pól Gladden, a więc, że Sauron wie o losie Isildura. Saruman, zaniepokojony, nie dzieli się jednak tymi wiadomościami z Białą Radą.

2941 Thorin Dębowa Tarcza i Gandalf odwiedzają Bilba w Shire. Bilbo spotyka Golluma i znajduje Pierścień. Zebranie Białej Rady. Saruman zgadza się na zaatakowanie Dol Gulduru, teraz bowiem pragnie przeszkodzić Sauronowi w dalszych poszukiwaniach na dnie Anduiny. Sauron ustaliwszy swe plany opuszcza Dol Guldur. Bitwa Pięciu Armii w Dolinie Dali. Śmierć Thorina II. Bard z Esgarothu zabija smoka Smauga. Dain z Żelaznych Wzgórz zostaje Królem pod Górą (Dain II).

2942 Bilbo wraca do Shire'u z Pierścieniem. Sauron potajemnie wraca do Mordoru.

2944 Bard odbudowuje Dal i zostaje królem. Gollum opuszcza Góry i udaje się na poszukiwanie „złodzieja”, który zabrał Pierścień.

2948 Narodziny Theodena, syna Thengla, króla Rohanu.

2949 Gandalf i Balin odwiedzają Bilba w Shire.

2950 Narodziny Finduilas, córki Adrahila, księcia Dol Amrothu.

2951 Sauron występuje jawnie i gromadzi siły w Mordorze. Zaczyna odbudowę Barad-Duru. Gollum wędruje do Mordoru. Sauron wysyła Nazgule, żeby zajęły znowu Dol Guldur. Elrond wyjawia Estelowi jego prawdziwe imię i dziedzictwo, oddaje mu szczątki Narsila. Arwena po powrocie z Lorien spotyka Aragorna w lesie Imladris. Aragorn rusza na pustkowia.

2953 Ostatnie posiedzenie Białej Rady. Debata o Pierścieniach. Saruman kłamliwie zapewnia, że Jedyne Pierścienie spłynęły Anduiną do Morza. Saruman wycofuje się do Isengardu, obejmuje go na własność i umacnia. Zazdrosny o Gandalfa i bojąc się go, szpieguje jego posunięcia; zauważa, że Gandalf interesuje się Shire'em. Wkrótce nasyła swoich szpiegów do Bree i do Południowej Czwartki.

2954 Góra Przeznaczenia znów wybucha ogniem. Ostatni mieszkańcy Ithilien uchodzą za Anduinę.

2956 Spotkanie Aragorna z Gandalfem i początek ich przyjaźni.

2957–80 Aragorn podejmuje swe wielkie podróże i wędrówki. W przebraniu służy Thenglowi w Rohanie i Ekthelionowi II w Gondorze.

2968 Narodziny Froda.

2976 Denethor pojmuje za żonę Finduilas z Dol Amrothu.

2977 Bain, syn Barda, zostaje królem Dali.

2978 Narodziny Boromira, syna Denethora II.

2980 Aragorn odwiedza Lorien i spotyka tu Arwenę Undomiel; ofiarowuje jej pierścień Barahira: na wzgórzu Kerin Amroth Aragorn i Arwena wymieniają przyrzeczenie wierności. Mniej więcej w tym czasie Gollum dociera do granic Mordoru i spotyka Szelobę. Theoden zostaje królem Rohanu.

2983 Narodziny Faramira, syna Denethora. Narodziny Sama.

2984 Śmierć Ektheliona II. Denethor II zostaje Namiestnikiem Gondoru.

2988 Finduilas umiera młodo.

2989 Balin opuszcza Erebor udając się do Morii.

2991 Narodziny Homera, syna Eomunda, w Rohanie.

2994 Balin ginie. Rozgromienie krasnoludów w Morii.

2995 Narodziny siostry Eomera, Eowiny.

ok. 3000 Cień Mordoru rozszerza się; Saruman odważa się użyć palantiru Orthanku i zostaje usidlony przez Saurona, który rozporządza palantirem z Minas Ithil. Saruman zdradza Białą Radę. Staje się szpiegiem Saurona, donosi mu, że Strażnicy czuwają szczególnie nad Shire'em.

3001 Pożegnalne przyjęcie u Bilba. Gandalf nabiera podejrzeń, że Pierścień Bilba jest poszukiwanym Jedynym Pierścieniem. Podwojenie czujności wokół Shire'u. Gandalf szuka wieści o Gollumie i wzywa na pomoc Aragorna.

3002 Bilbo odwiedza Elronda i na zawsze osiada w Rivendell.

3004 Gandalf odwiedza Froda w Shire i odtąd powtarza często swe wizyty przez cztery następne lata.

3007 Brand, syn Baina, zostaje królem Dali. Śmierć Gilraeny.

3008 Jesienią Gandalf po raz ostatni odwiedza Froda.

3009 Gandalf i Aragorn wznowiają poszukiwania Golluma i w ciągu ośmiu lat tropią go w dolinach Anduiny, w Mrocznej Puszczy, w Rhovanionie, na pograniczu Morderu. W tym samym czasie Gollum ośmiela się zapuścić do Mordoru i wpada w ręce Saurona. Elrond posyła po Arwenę, która wraca do Imladris; góry i kraje położone na wschód od gór stają się obszarem zagrożonym.

3017 Wypuszczenie Goli urna z Mordoru. Aragorn spotyka Golluma na Martwych Bagnach i odprowadza do Mrocznej Puszczy, powierzając pieczy Thranduila. Gandalf odwiedza Minas Tirith i odczytuje stare dokumenty Isildura.

Wielkie Lata

3018

Kwiecień

(12) Gandalf przybywa do Hobbitonu.

Czerwiec

(20) Sauron napada na Osgiliath. Mniej więcej jednocześnie orkowie napastują Thranduila i Gollum ucieka.

Lipiec

(4) Boromir wyrusza z Minas Tirith.

(10) Gandalf uwięziony w Orthanku.

Sierpień

Gollum znika bez śladu. Prawdopodobnie, ścigany zarówno przez elfów, jak przez sługi Saurona, schronił się w Morii, lecz chociaż w końcu odkrył drogę do zachodniej Bramy, nie mógł wyjść.

Wrzesień

(18) Uwolnienie Gandalf a z Orthanku. Czarni Jeźdźcy przeprawiają się przez bród na Isenie.

(19) Gandalf jako żebrak przybywa do Edoras, gdzie odmawiają mu wstępu.

(20) Gandalf dostaje się do Edoras. Theoden każe mu opuścić swój dom, ale pozwala mu wybrać ze swej stadniny konia.

(21) Gandalf spotyka Gryfa, lecz koń nie pozwala mu zbliżyć się do siebie. Gandalf idzie za nim w głąb stepu.

(22) Czarni Jeźdźcy przybywają wieczorem do Brodu Sarn i wypłaszają Strażników, Gandalf odnajduje Gryfa w stepie.

(23) Czterej Czarni Jeźdźcy o świcie przekraczają granice Shire'u. Inni ściągają Strażników uciekających na wschód, po czym wracają, by strzec Zielonego Gościńca. Czarny Jeździec zjawia się w Hobbitonie. Frodo opuszcza Bag End. Gandalf oswoiwszy Gryfa wyjeżdża na nim z Rohanu.

(24) Gandalf przeprawia się przez Isenc.

(26) Stary Las. Frodo gości u Bombadila.

(27) Gandalf przeprawia się przez Szarą Wodę. Druga noc u Bombadila.

(28) Upiory Kurhanów więżą hobbitów. Gandalf dociera do Brodu Sarn.

(29) Frodo wieczorem przybywa do Bree. Gandalf odwiedza starego Dziadunia Gamgee.

(30) Nocny napad na Ustroń i na gospodę w Bree. Frodo opuszcza Bree. Gandalf wstępuje do Ustroni po drodze do Bree, gdzie przybywa wieczorem.

Październik

(1) Gandalf opuszcza Bree.

(3) Napaść rw Gandalf a na Wichrowym Czubie.

(6) Obóz pod Wichrowym Czubem przeżywa nocną napaść. Frodo ranny.

(9) Glorfindel wyrusza z Rivendell.

(11) Glorfindel wypłasza jeźdźców z mostu na Mitheithel (Szara Woda).

(13) Frodo przejeżdża przez most.

(18) Glorfindel spotyka o zmroku Froda. Gandalf przybywa do Rivendell.

(20) Przeprawa przez Bród Bruinen.

(24) Frodo odzyskuje przytomność. Przybycie Boromira do Rivendell.

(25) Narada u Elronda.

Grudzień

(25) Drużyna Pierścienia wyrusza o zmroku z Rivendell.

3019

Styczeń

(8) Drużyna przybywa do Hollinu.

(11, 12) Śnieżycy pod Karadhrasem.

(13) Przed świtem napad wilków. O zmroku Drużyna dociera do bram Morii. Gollum zaczyna tropić powiernika Pierścienia.

(14) Noc w sali Dwudziestej Pierwszej. 493 (15) Walka na moście Khazad-dum. Gandalf spada w przepaść. Późną nocą Drużyna dochodzi nad strumień Nimrodel.

(17) Wieczorem Drużyna przybywa do Karaś Galadhon.

(23) Gandalf w ślad za Balrogiem wspina się na szczyt Zirak-zigil.

(25) Gandalf strąca z góry Balroga i omdlewa. Ciało jego zostaje na szczycie.

Luty

(14) Zwierciadło Galadrieli. Gandalf wraca do życia, leży w dziwnym śnie na szczycie.

(16) Pożegnanie z Lorien. Gollum ukryty na zachodnim brzegu śledzi odjazd Wędrowców.

(17) Gwaihir przenosi Gandalf a do Lorien.

(23) W pobliżu Sarn Gebir orkowie nocą atakują łodzie Drużyny.

(25) Drużyna przepływa przez Argonath i biwakuje w Parth Galen. Pierwsza bitwa u brodu na Isenie, śmierć Theodreda, syna Theodena z Rohanu.

(26) Rozbicie Drużyny. Śmierć Boromira; głos jego rogu dochodzi do Minas Tirith. Meriadok i Peregrin dostają się do niewoli. Frodo i Sam docierają do wschodniej części Eryn Muil. Aragorn wieczorem rusza w pogoń za orkami. Eomer otrzymuje wiadomość o bandzie orków, która wtargnęła od wzgórz Eryn Muil do Rohanu.

(27) Aragorn o świcie staje na zachodniej krawędzi Płaskowyżu. O pomocy Eomer wbrew rozkazom Theodena rusza ze Wschodniej Bruzdy przeciw orkom.

(28) Eomer zagradza orkom drogę tuż pod lasem Fangorna.

(29) Meriadok i Peregrin uciekają z niewoli i spotykają Drzewca. Rohirrimowie o wschodzie słońca staczają bitwę i zadają klęskę orkom. Frodo schodzi z grani Emyrn Muil i spotyka Golluma. Faramir zauważa na rzece łódź niosącą zwłoki Boromira.

(30) Początek wiecu entów. Eomer wraca do Edoras i spotyka Aragorna.

Marzec

(1) Frodo rozpoczyna o świcie marsz przez Martwe Bagna. Wiec entów trwa. Aragorn spotyka Gandalfa Białego i razem udają się do Edoras. Faramir rusza z Minas Tirith na wyprawę do Ithilien.

(2) Frodo dociera do końca bagien. Gandalf w Edoras uzdrawia Theodena. Rohirrimowie ruszają na zachód przeciw Sarumanowi. Druga bitwa u brodu na Iseinie. Porażka Erkenbranda. Po południu rozwiązuje się wiec entów. Nocny marsz do Isengardu.

(3) Theoden wycofuje się do Hełmowego Jaru. Początek bitwy o Rogaty Gród. Entowie dopełniają zniszczenia Isengardu.

(4) Theoden i Gandalf wyruszają z Hełmowego Jaru w kierunku Isengardu. Frodo znajduje się wśród wysypisk żużla na skraju Pustaci Morannonu.

(5) W południe Theoden przybywa do Isengardu. Rokowania z Sarumanem pod Wieżą Orthanku. Skrzydlaty Nazgul przelatuje nad obozem w Dol Baran. Gandalf z Peregrinem wyruszają do Minas Tirith. Frodo kryje się przed oczyma wartowników Morannonu i o zmroku rusza w dalszą drogę.

(6) Przed świtem Dunedainowie odnajdują w stepie Aragorna. Theoden rusza z Rogatego Grodu do Harrowdale, Aragorn wkrótce po nim.

(7) Żołnierze Faramira spotykają Froda i prowadzą go do Henneth Annun. Aragorn przybywa wieczorem do Dunharrow.

(8) Aragorn o świcie wstępuje na Ścieżkę Umarłych, w południe staje na szczycie Erech. Frodo opuszcza Henneth Annun.

(9) Gandalf przybywa do Minas Tirith. Faramir opuszcza Henneth Annun. Aragorn z Erechu dociera do Kalembel. Frodo o zmroku znajduje się na drodze

do Morgulu. Theoden przybywa do Dunharrow. Z Morgulu zaczynają napływać nad świat ciemności.

(10) Dzień bez świtu. Przegląd wojsk Rohanu. Rohirrimowie ruszają z Harrowdale. Gandalf ratuje Faramira na przedpolach grodu, Aragorn przeprawia się przez rzekę Ringlo. Armia z Morannonu wkracza do Anorien, zdobywając po drodze Kair Andros. Frodo mija Rozdroże i obserwuje wymarsz wojsk z Morgulu.

(11) Gollum odwiedza Szelobę, lecz patrząc na uspiętego Froda niemal żałuje swojej zdrady. Denethor wysyła Faramira do Osgiliathu. Aragorn dociera do Linhiru i wkracza do Lebennin. Napaść z pomocy na wschodnie prowincje Rohanu. Pierwszy atak na Lorien.

(12) Gollum zwabia Froda do kryjówki Szeloby. Faramir cofa się ku fortom na grobli. Theoden biwakuje pod Minrimmonem. Aragorn wypiera nieprzyjaciół w kierunku Pelargiru. Entowie rozbijają napastników grożących Rohanowi.

(13) Frodo wpada w ręce orków z Wieży na Kirith Ungol. Nieprzyjaciół zajmuje Pelennor. Faramir odnosi ranę. Aragorn przybywa do Pelargiru i zdobywa flotę. Theoden obozuje w lesie Druadan.

(14) Sam odnajduje Froda w Wieży. Oblężenie Minas Tirith. Rohirrimowie, za przewodnictwem Dzikich Ludzi, docierają do Szarego Lasu.

(15) Po północy Czarnoksiężnik burzy Bramę grodu. Denethor a stępuje na stos. O pierwszych kurach dobiega głos rogów Rohanu. Bitwa na polach Pelennoru. Śmierć Theodena. Frodo i Sam uciekają z wieży orków i rozpoczynają wędrówkę na północ wzdłuż grzbietu Morgai. Bitwa pod drzewami w Mrocznej Puszczy. Thranduil odpiera napaść z Dol Gulduru. Drugi atak na Lorien.

(16) Narada wodzów. Frodo ze szczytu Morgai obserwuje obóz i w oddali Górę Przeznaczenia.

(17) Bitwa w Dali. Śmierć króla Branda i króla Daina Żelaznej Stopy. Krasnoludowie i ludzie chronią się w Ereborze, gdzie przetrzymują oblężenie. Szagrat przynosi do Barad-Duru płaszcz, kolczugę i miecz Froda.

(18) Armie Gondoru i Rohanu wyruszają z Minas Tirith. Frodo zbliża się do Żelaznej Paszczy i na drodze z Durthangu do Udunu wpada w ręce orków.

(19) Armia wkracza w dolinę Morgulu. Frodo i Sam uciekają orkom i zaczynają wędrówkę wzdłuż gościńca do Barad-Duru.

(22) Okropny wieczór, Frodo i Sam skręcają z drogi na południe, ku Górze Przeznaczenia. Trzeci atak na Lorien.

(23) Armia opuszcza Ithilien. Aragorn zwalnia małodusznych. Frodo i Sam porzucają broń i sprzęt.

(24) Frodo i Sam podejmują ostatni marsz od stóp Góry Przeznaczenia. Armia obozuje na Pustaci Morannonu.

(25) Armia otoczona na kopcach żużla. Frodo i Sam osiągają Sammath Naur. Gollum wyrywa Frodowi Pierścień i spada w Szczeliny Zagłady. Upadek Barad-Duru i koniec Saurona.

Po upadku Czarnej Wieży i zniknięciu Saurona cień rozwiął się i wszyscy jego przeciwnicy odetchnęli swobodnie, lecz strach padł na jego sługi i sojuszników. Z Dol Guldur trzykrotnie atakowano Lorien, lecz elfy broniły się mężnie, a ponadto czarodziejska moc tej krainy zbyt była potężna, by ją mogły zwyciężyć inne siły, chyba że Sauron we własnej osobie wziąłby udział w walce. Piękne drzewa na skraju lasu ucierpiały srodze, napaść wszakże odparto, a gdy cień przeminął, Keleborn poprowadził zastęp elfów z Lorien, przeprowił się na łodziach przez Anduinę i zdobył Dol Guldur. Galadriela zaklęciem zburzyła mury twierdzy i zamknęła ziejące szyby. Las został oczyszczony.

Na pomocy także szerzyła się wojna i działały złe siły. Napadły one na królestwo Thranduila, pod drzewami rozegrała się wielka bitwa, las został w wielu miejscach zniszczony mieczem i ogniem, w końcu jednak Thranduil zwyciężył. W dzień Nowego Roku (według kalendarza elfów) Keleborn i Thranduil spotkali się pośrodku puszczy i nadali jej nową nazwę Eryn Lasgalen, to znaczy Puszcza Zielonych Liści. Thranduil zajął północną jej część aż pod góry wyrastające z lasu, a Keleborn włączył do swego królestwa część południową jako wschodnią prowincję Lorien; środkowy wszakże rozległy obszar, dzielący dwa państwa elfów, oddano we władanie plemieniu Beorna i Leśnym Ludziom. Lecz w kilka lat po odpłynięciu Galadrieli Keleborn poczuł się znudzony życiem w swym królestwie, udał się do Imladris i zamieszkał tam z synami Elronda. Elfy leśne spokojnie mieszkają w Zielonym Lesie, w Lorien natomiast wiodło smutne życie niewielu już tylko z jego dotychczasowych mieszkańców i w Karaś Galadon nie stało światła ni pieśni.

Kiedy potężne armie oblegały Minas Tirith, inne wojska, złożone z sojuszników Saurona od dawna zagrażających państwu króla Branda, przekroczyły rzekę Karnen i zepchnęły obrońców w Dolinę Dali. Brandowi przyszli na pomoc krasnoludowie z Ereboru i u stóp Samotnej Góry stoczono wielką bitwę. Trwała ona trzy dni; obaj królowie — Brand i Dain Żelazna Stopa — polegli. Easterlingowie

tryumfowali, nie mogli jednak zdobyć Bramy Ereboru, a krasnoludowie i ludzie, którzy się za nią schronili, przetrwali oblężenie.

Kiedy nadeszła wieść o zwycięstwie królów na południu, panika ogarnęła północne armie Saurona; oblężeni dokonali wypadu za Bramę i rozbili nieprzyjacielskie zastępy, które zdziesiątkowane uciekły, by nigdy odtąd nie napastować już Dali. Królem tego kraju został Bard II, syn Branda, a Pod Górą objął panowanie Thorin III Kamienny Hełm, syn Daina. Obaj władcy wysłali posłów na koronację króla Elessara. Królestwa ich przetrwały długie wieki, a zawsze żyły w przyjaźni z Gondorem, należały do koronnych krajów króla zachodu i pozostawały pod jego opieką.

Najważniejsze daty okresu od upadku Barad-Duru do końca Trzeciej Ery²⁴

3019

Według Kalendarza Shire'u 1419

27 marca. Bard II i Thorin III Kamienny Hełm wypędzają z Dali nieprzyjaciół.
28. Keleborn przekracza Anduinę, rozpoczyna się burzenie Dol Gulduru.

6 kwietnia. Spotkanie Keleborna z Thranduilem. 8. Powiernicy Pierścienia odbierają hołd na polach Kormallen.

1 maja. Koronacja króla Elessara. Elrond i Arwena wyruszają z Rivendell. 8. Eomer i Eowina wyjeżdżają do Rohanu z synami Elronda. 20. Elrond i Arwena przybywają do Lorien. 27. Świta Arweny opuszcza Lorien.

14 czerwca. Synowie Elronda spotykają się z eskortą i udają się z nią do Edoras. 16. Wyruszają do Gondoru. 25. Król Elessar znajduje pęd Białego Drzewa.

1 lipca. Arwena przybywa do grodu. Połowa lata. Gody Elessara i Arweny.

18 lipca. Eomer powraca do Minas Tirith. 19. Wyrusza orszak pogrzebowy króla Theodena.

7 sierpnia. Orszak przybywa do Edoras. 10. Pogrzeb króla Theodena. 14. Goście opuszczają dwór króla Eomera. 18. Przybywają do Helmowego Jaru. 22. Przybywają do Isengardu i o zachodzie słońca rozstają się z królem Elessarem. 28. Spotykają Sarumana; Saruman zwraca się w kierunku Shire'u.

²⁴ Miesiące i dni podane są według Kalendarza Shire'u.

6 września. Popas w górach opodal Morii. 13. Rozstanie z Kelebornem i Galadriellą, reszta Wędrowców zmierza do Rivendell. 21. Przybycie do Rivendell. 22. Sto dwudzieste dziewiąte urodziny Bilba. Saruman zjawia się w Shire.

5 października. Gandalf i hobbitci opuszczają Rivendell. 6. Przeprowadzają się przez Bród Bruinen; nawrót bólu w ranie Froda. 28. Wieczorem przybywają do Bree. 30. Wyjeżdżają z Bree i po ciemku docierają do mostu na Brandywinie.

1 listopada. Szeryfowie zatrzymują ich w Żabiej Łące. 2. Przybywają Nad Wodę i zrywają ludność Shire'u do powstania. 3. Bitwa Nad Wodą i unicestwienie Sarumana. Koniec Wojny o Pierścień.

3020

Według Kalendarza Shire'u 1420: Rok Obfitości.

13 marca. Choroba Froda (w rocznicę wsączenia jadu przez Szelobę).

6 kwietnia. Na Urodzinowej Łące zakwita mallorn.

1 maja. Wesele Sama i Róży.

Połowa lata. Frodo zrzuca się godności burmistrza, którą obejmuje z powrotem Will Whitfoot.

22 września. Sto trzydzieste urodziny Bilba. 6 października. Ponowna choroba Froda.

3021

Według Kalendarza Shire'u 1421: Ostatni Rok Trzeciej Ery.

13 marca. Nowy nawrót choroby Froda. 25. Narodziny Elanor Pięknej²⁵, córki Sama. Według kalendarza Gondoru tego dnia zaczęła się Czwarta Era.

21 września. Frodo z Samem wyjeżdżają z Hobbitonu. 22. W Leśnym Zakątku spotykają się powiernicy Pierścienia, by razem ruszyć na Ostatnią Wyprawę. 29. Przybywają do Szarej Przystani. Frodo i Bilbo odpływają za Morze wraz z Trzema Pierścieniami. Koniec Trzeciej Ery.

6 października. Powrót Sama do Bag End.

Późniejsze wypadki dotyczące Członków Drużyny Pierścienia

²⁵ Elanor, córka Sama, wyglądała podobno bardziej na córkę elfa niż hobbita. Miała złote włosy, co było w Shire rzadkością, ale dwie następne córki Sama również miały włosy złote, jak wiele dzieci urodzonych w tym okresie.

Rok według Kalendarza Shire'u.

1422 Z początkiem tego roku zaczęła się według Kalendarza Shire'u Czwarta Era, lecz lata liczono po dawnemu.

1427 Will Whitfoot składa urząd. Hobbici wybierają na burmistrza Sama Gamgee. Peregrin zaślubia Perełkę z Long Cleeve. Król Elessar ogłasza prawo, mocą którego Dużym Ludziom wzbroniony jest wstęp do Shire'u, wolnego kraju pod opieką Północnego Królestwa.

1430 Narodziny Faramira, syna Peregrina.

1431 Narodziny Złotogłówki, córki Sama.

1432 Meriadok, zwany Wspaniałym, zostaje zarządcą Bucklandu. Otrzymuje hojne dary od króla Homera i Eowiny z Ithilien.

1434 Peregrin zostaje Tukiem i thanem. Król Elessar mianuje thana, zarządcę i doradców koronnych Królestwa .Północy. Sam Gamgee ponownie w wyborach zdobywa godność burmistrza.

1436 Król Elessar w podróży na północ zatrzymuje się nad Jeziorem Evendim. Spotyka przyjaciół pośrodku mostu na Brandywinie. Odznacza Sama Gwiazdą Dunedainów: Elanor zostaje dworą w świącie królowej Arweny.

1441 Sam Gamgee po raz trzeci otrzymuje urząd burmistrza.

1442 Sam z żoną i córką Elanor gości przez rok w Gondorze. Zastępuje go na urzędzie młody Tolman Cotton.

1448 Sam zostaje burmistrzem po raz czwarty.

1451 Elanor Piękna wychodzi za mąż za Fastreda z Greenholmu.

1452 Król rozszerza granice Shire'u włączając do niego Marchię Zachodnią (od Dalekich Wzgórz po Wzgórze Wieżowe — Emyrn Beraid). Wielu hobbitów tam się przeniosło.

1454 Narodziny Elfstana, syna Fastreda i Elanor.

1455 Sam po raz piąty zostaje burmistrzem. Na jego prośbę than mianuje Fastreda, męża Elanor, Opiekunem Zachodniej Marchii (nowo zasiedlonego okręgu); Fastred i Elanor zamieszkują pod Górą Wieżową, gdzie żyć będzie potem wiele pokoleń ich potomstwa.

1462 Sam po raz szósty zostaje burmistrzem.

1463 Faramir Tuk poślubia Złotogłówkę, córkę Sama.

1469 Sam zostaje burmistrzem po raz siódmy i ostatni; w roku 1476 składając urząd liczy sobie lat dziewięćdziesiąt sześć.

1482 W połowie lata śmierć Róży, żony Sama. 22 września Sam opuszcza Bag End. Odwiedza w Wieżowych Górach córkę Elanor i powierza jej Czerwoną Księgę, która odtąd przechowywana jest w rodzie Fairbairnsów. Istnieje też w tym rodzie tradycja, pochodząca od Elanor, że Sam podążył za góry do Szarej Przystani, by odpłynąć za Morze, jako ostatni z powierników Pierścienia.

1484 Wiosną przybył z Rohanu do Bucklandu goniec z wieścią, że król Eomer pragnie zobaczyć raz jeszcze swego honorowego Podczaszego. Meriadok był już stary (102 lata), lecz zawsze krzepki. Po naradzie ze swym przyjacielem thanem obaj przekazali synom n:ienie oraz urzędy i przeprawili się przez Bród Sarn. Nigdy więcej nie widziano ich w Shire. Doszły jednak słuchy, że Meriadok przebywał w Edoras aż do jesieni, kiedy to zmarł król Eomer. Wówczas Meriadok i Peregrin udali się do Gondoru i tam spędzili resztę lat, jakie im do życia zostały, a gdy zmarli, pochowano ich w grobowcach Rath Dinen wśród najznakomitszych mężów Gondoru.

1541 Tego roku²⁶ opuścił Śródziemie król Elessar. Podobno Meriadok i Peregrin spoczęli na wieczny sen po obu stronach króla w jego grobowcu. Wtedy to Legolas zbudował w Ithilien szary okręt i popłynął z biegiem Anduiny ku Morzu. Z nim, jak wieść głosi, pożeglował krasnolud Gimli. I tak, gdy okręt zniknął z widnokręgu, zamknęła się w dziejach Śródziemia karta Drużyny Pierścienia.

²⁶ Rok 120 Czwartej Ery, według rachuby Gondoru.

W przekładzie polskim pominięto dodatki o kalendarzach, alfabetach i pismach, ponieważ szczegółowe rozważania filologiczne, nawiązujące do języka angielskiego, wydają się niemożliwe do przeniesienia na język polski i byłyby dla czytelnika mało zrozumiałe.

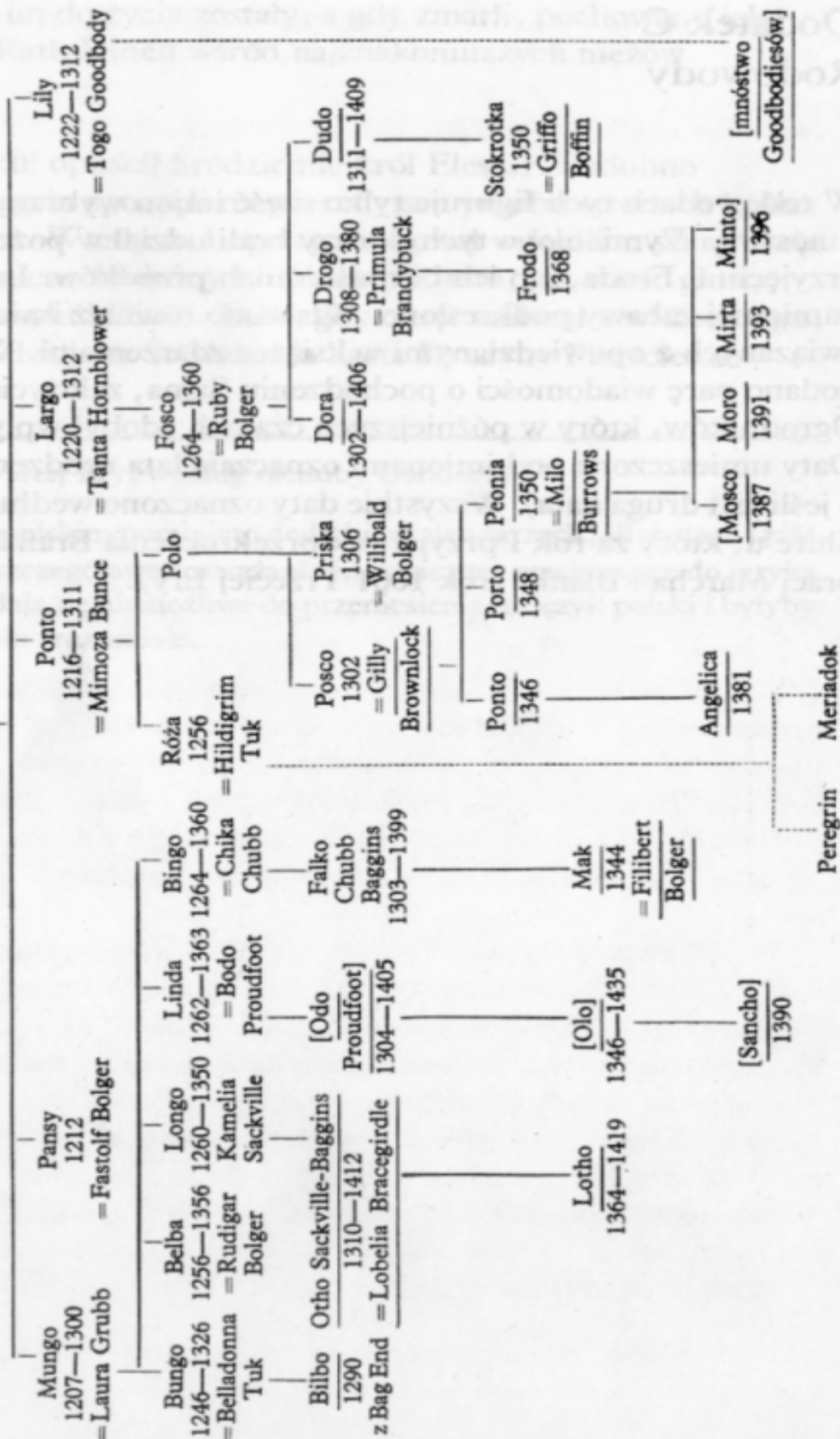
Dodatek C

Rodowody

W rodowodach tych figuruje tylko część imion wybranych spośród mnóstwa. Wymieniono tych, którzy brali udział w pożegnalnym przyjęciu u Froda, lub ich bezpośrednich przodków. Imiona gości pamiętnej zabawy podkreślono. Włączono również imiona osób związanych z opowiedzianymi w książce zdarzeniami. Wreszcie podano parę wiadomości o pochodzeniu Sama, założyciela rodu Ogrodników, który w późniejszych czasach zdobył wpływy i rozgłos. Daty umieszczone pod imionami oznaczają lata urodzenia (i śmierci — jeśli jest druga data). Wszystkie daty oznaczono według Kalendarza Shire'u, który za rok I przyjął rok przekroczenia Brandywiny przez braci Marcha i Blanka (rok 1601 Trzeciej Ery).

BAGGINSOWIE Z HOBBITONU

Balbo Baggins
1167
= Berylla Boffin



BRANDYBUCKOWIE Z BUCKLANDU

Gorhendad Oldbuck z Marish ok. 740 zaczął budować Brandy Hall i zmienił rodowe nazwisko na Brandybuck

Gormadok
„Mieszkaniec Podziemi”
1134—1236
= Malva Headstrong

Madok „Sztynny Kark”
1175—1277
= Hanna Goldworthy

Marmadok „Władczy”
1217—1310
= Adaldrida Bolger

Sadok 1179

dwaj synowie

Salvia
1226
= Gundabald Bolger

Marrok
(liczne potomstwo)

Gorbadok „Szeroki Pas”
1260—1363
= Mirabella Tuk

dwie córki

Orgulas
1268

Rorimak „Złoty Ojciec”
(Stary Rory)
1302—1408
= Menegilda Goold

Amaranth
1304—1398

Saradas
1308—1407

Dodinas

Asfodel

1313—1412

= Rufus Burrows

Dinodas

Primula
1320—1380

= Drogo
Baggins

Gorbulas
1308

Saradok
„Rozrzutny”
1340—1432
= Esmeralda
Tuk

Merimak
1342—1430

Berilak
1380

Seredik
1348

= Hilda
Bracegirdle

Meriadok
„Wspaniały”
1382

Doderik
1389

Ilberik
1391

Kelandina
1394

[Milo Burrows
1347 = Peonia
Baggins]

[Frodo]
Baggins

Marmadas
1343

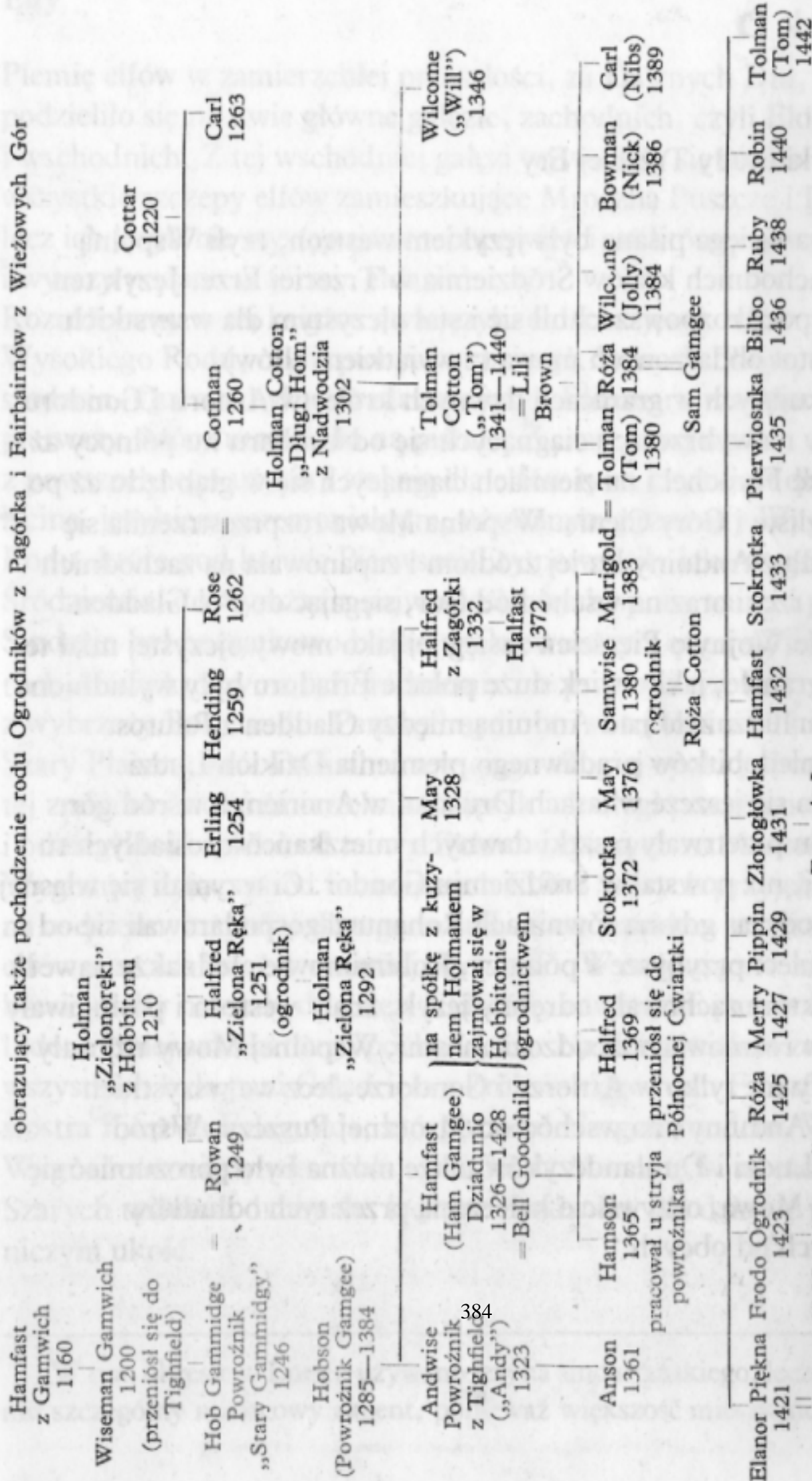
Merimas
1381

Mentha
1383

Melilot
1385

RODOWÓD SAMA GAMGEE

obrazujący także pochodzenie rodu Ogrodników z Pagórka i Fairbairnów z Wieżowych Gór



Przenieśli się do Zachodniej Marchii, kraju wówczas zagospodarowanego (a otrzymanego w darze od króla Elessara), Między Wzgórzami Dalekimi a Wieżowymi. Od nich wywodzą się Fairbairnowie z Wież, Opiekunowie Marchii Zachodniej, którzy odziedziczyli Czerwona Księgę i przepisali ją dodając późniejsze wiadomości oraz wyjaśnienia.

Dodatek D

1. Języki i ludy Trzeciej Ery

Czerwona Księga pisana była językiem westron, czyli Wspólną Mową zachodnich krajów Śródziemia w Trzeciej Erze. Język ten w owej epoce rozposzechnił się i stał ojczystym dla wszystkich niemal istot obdarzonych mową (z wyjątkiem elfów), zamieszkujących w granicach dawnych królestw Arnoru i Gondoru, to znaczy na wybrzeżach ciągnących się od Umbaru ku północy aż po Zatokę Forochel i na ziemiach ciągnących się w głąb lądu aż po Góry Mgliste i Góry Cienia. Wspólna Mowa rozprzestrzeniła się dalej wzdłuż Anduiny ku jej źródłom i zapanowała na zachodnich brzegach rzeki oraz na wschód od Gór, sięgając do Pół Gladden. W okresie Wojny o Pierścień zasięg jej jako mowy ojczystej miał te właśnie granice, jakkolwiek duże połacie Eriadoru były wyludnione i niewielu ludzi żyło nad Anduiną między Gladden a Rauros. Garstka niedobitków pradawnego plemienia Dzikich Ludzi gnieździła się jeszcze w lasach Druadan w Anorien, a wśród gór Dunlandu przetrwały resztki dawnych mieszkańców, osiadłych tu wcześniej, niż powstał w Śródziemni Gondor. Ci trzymali się własnej mowy, podczas gdy na równinach Rohanu zagospodarowali się od pięciu stuleci przybysze z północy, Rohirrimowie. Jednakże nawet te ludy, które zachowały odrębny język, znały westron i posługiwały się nim w rozmowach z cudzoziemcami; Wspólnej Mowy używały nawet elfy nie tylko w Amorze i Gondorze, lecz we wszystkich dolinach Anduiny i na wschód od Mrocznej Puszczy. Wśród Dzikich Ludzi i Dunlandczyków także można było porozumieć się Wspólną Mową, oczywiście kaleczoną przez tych odludków stroniących od obcych.

Elfy

Plemię elfów w zamierzchłej przeszłości, za Dawnych Dni, podzieliło się na dwie główne gałęzie, zachodnich, czyli Eldarów, i wschodnich. Z tej wschodniej gałęzi wywodziły się niemal wszystkie szczepy elfów zamieszkujące Mroczną Puszczę i Lorien, lecz ich język nie występuje w tej opowieści, w której nazwy,

imiona i wyrazy podano w formie eldarin²⁷.

Rozróżniamy w tej książce dwa języki eldarin: język elfów Wysokiego Rodu, czyli quenya, oraz język Szarych Elfów, czyli sindarin. Quenya był to pradawny język Eldamaru zza Morza, pierwszy, który utrwalono na piśmie. Z czasem wyszedł z powszechnego użycia i stał się dla elfów tym, czym jest dla nas łacina, językiem ceremonialnym, używanym przez elfy Wysokiego Rodu, które pod koniec Pierwszej Ery powróciły jako wygnańcy do Śródziemia, do wyrażania najwznioślejszych spraw nauki i poezji. Sindarin był początkowo blisko spokrewniony z quenya, jako język tych elfów, którzy na ląd Śródziemia nie przybyli zza Morza, lecz z wybrzeży Beleriandu. Panował nad nimi w tej krainie Thingol Szary Płaszcz, król Doriathu, a w ciągu długiej epoki półmroku na tej zmiennej ziemi śmiertelników język ich uległ przemianom i odbiegł dość daleko od mowy Eldarów żyjących za Morzem. Wygnańcy żyjąc wśród liczniejszych Elfów Szarych przyjęli sindarin na codzienny użytek i dlatego to stał się on językiem wszystkich elfów oraz ich książąt w naszej opowieści. Występujące w niej bowiem elfy należały do gałęzi Eldarów, nawet jeśli panowały nad ludem mniej szlachetnego pochodzenia. Najdostojniejsza ze wszystkich była pani Galadriela z królewskiego rodu Finarfina, siostra Finroda Felagunda, który władał Nargothrondem. W sercach Wygnańców nigdy nie cichła tęsknota za Morzem; w sercach Elfów Szarych tęsknota drzemała, lecz raz zbudzona, nie dała się już niczym ukoić.

Ludzie

Westron był mową rodzaju ludzkiego, chociaż wzbogacił ją i złagodził wpływ elfów. Był to pierwotnie język tych, którzy u Eldarów nazywali się Atani lub Edainowie, „Ojcowie ludzi”, wywodzący się z Trzech Rodów Przyjaciół Elfów, które przybyły w Pierwszej Erze do Beleriandu i pomogły Eldarom w Wojnie o Wielkie Klejnoty przeciw Władcy Ciemności z północy. Po obaleniu Władcy Ciemności, gdy znaczna część Beleriandu leżała w ruinie lub zalana była przez Morze, Przyjaciołom Elfów udzielono w nagrodę za zasługi tego przywileju, że mogli podobnie iak Eldarowie odpływać na zachód za Morze. Ponieważ jednak wzbroniony był im wstęp do Królestwa Nieśmiertelnych, dostali we władanie osobną wielką wyspę, położoną na zachodniej granicy krainy Śmiertelników. Wyspa nazywała

²⁷ W tym okresie w Lorien używano języka sindariańskiego, lecz nadawano mu szczególny miejscowy akcent, ponieważ większość mieszkańców wywodziła się ze szczepu Leśnych Elfów. Ten akcent oraz niedostateczna znajomość języka sindarin wprowadzały w błąd Froda (jak zaznacza pewien gondoryjski komentator w Księdze Thana). Wszystkie cytaty z mowy elfów w tomie I, rozdz. 6, 7, 8, są w rzeczywistości wzięte z języka sindanańskiego, podobnie jak większość nazw geograficznych lub imion własnych. Lecz Lorien, Karaś, Galadhon, Amroth, Nimrodel prawdopodobnie pochodzą z języka Elfów Leśnych i zostały tylko przystosowane do języka sindarin.

się Numenor (Westernesse). Większość Przyjaciół Elfów osiedlała się więc od-
tąd w Numenorze, gdzie powstało wspaniałe, potężne królestwo, rozwinęła się
sztuka żeglarska i zbudowano mnóstwo okrętów. Ludzie ci byli piękni z oblicza
i postawy, a żyli trzykroć dłużej niż mieszkańcy Śródziemia. Zwali się Numeno-
rejczykami, a w języku elfów Dunedainami i uważano ich za królów wśród ludzi.
Spośród wszystkich plemion ludzkich jedynie Dunedainowie znali język elfów
i mówili nim, ponieważ ich praojcowie nauczyli się języka sindarin i przekazywa-
li tę umiejętność z pokolenia na pokolenie potomstwu, jako część skarbu wiedzy,
niewiele w tej mowie z biegiem wieków zmieniając. Uczeń wśród Dunedainów
znali również język elfów Wysokiego Rodu, quenya, i cenili go ponad wszystkie
inne; z tego też języka czerpali nazwy dla sławnych i czczonych miejscowości
oraz imiona dla ludzi królewskiego dostojęstwa i wielkiej sławy²⁸.

Ojczystą wszakże mową pozostał dla większości Numenorejczyków język ich
przodków, adunaic, i do niego powracali królowie i wodzowie w późniejszych
dniach chwały, porzucając język elfów, któremu wierni zostali tylko nieliczni, naj-
ściślej związani starą przyjaźnią z Eldarami. W okresie potęgi Numenorejczycy
utrzymywali wiele twierdz i przystani na zachodnich wybrzeżach Śródziemia dla
obrony swej floty; do głównych obronnych portów zaliczał się Pelargir w pobliżu
ujścia Anduiny. Mieszkańcy tutejsi mówili językiem adunajskim przeplatając go
mnóstwem wyrazów z języków pośledniejszych plemion i tak powstała Wspól-
na Mowa, która stąd rozprzestrzeniła się wzdłuż wybrzeży na wszystkie kraje
mające jakieś stosunki z Westernesse. Po upadku Numenoru Elendil sprowadził
garstkę ocalonych Przyjaciół Elfów z powrotem na północo-zachodnie wybrzeże
Śródziemia. Mieszkało tam już sporo ludzi czystej lub zmieszanej krwi nume-
norejskiej, lecz mało kto z nich pamiętał język elfów. Od początku Dunedainów
było więc znacznie mniej niż pośledniejszych plemion, wśród których żyli i któ-
rymi zarządzili, jako władcy obdarzeni długim życiem, wielką potęgą i mądrością.
Używali Wspólnej Mowy w stosunkach z innymi plemionami i poddanymi swo-
ich rozległych królestw, lecz rozwinęli ten język i wzbogacili go wielu wyrazami
z języków elfów.

W epoce królów numenorejskich ten uszlachetniony język westron rozpo-
wszechnił się szeroko, nawet między nieprzyjaciółmi, a sami Dunedainowie po-
sługiwali się nim coraz częściej, tak że w latach.

Wojny o Pierścień tylko mała częśćka ludów Gondoru znała język elfów,
a jeszcze mniejsza używała go w codziennej praktyce, takich ludzi znalazłoby się
tylko w Minas Tirith i w najbliższym sąsiedztwie grodu oraz w krajach lennych

²⁸ Z języka quenya pochodziły nazwy i imiona: Numenor (pełne brzmienie Numenore), Elen-
dil, Isildur, Anarion, Gondor, Elessar. Większość imion Dunedainów pochodzi z jeż. sindarin,
np. Aragorn, Denethor, Gilraen. Często tworzone je na pamiątkę elfów lub ludzi wymienianych
w starych pieśniach i legendach z Pierwszej Ery, np. Beren, Hurin. Zdarzają się też nieliczne formy
mieszane, jak Boromir.

książąt Dol Amrothu. Mimo to imiona własne i nazwy w Gondorze przeważnie miały formę i znaczenie zaczerpnięte z mowy elfów. Źródłosłów kilku nazw zatarł się z biegiem czasu w pamięci; pochodziły one niewątpliwie z pradawnej epoki, gdy okręty Numenorejczyków jeszcze nie wypłynęły na Morze; do takich nazw należały: Umbar, Arnach, Erech, Eilenach, Rimmon i Forlong. Większość ludzi z krajów pomocnych i zachodnich pochodziła od Edainów z Pierwszej Ery lub od ich bliskich pobratymców. Języki ich były więc spokrewnione z językiem adunajskim i niektóre zachowały podobieństwo do Wspólnej Mowy. Do tej rodziny zaliczały się języki plemion zamieszkujących doliny w górnym biegu Anduiny, Beoringów i Leśnych Ludzi z zachodniej części Mrocznej Puszczy, dalej zaś na północy i wschodzie — ludzi znad Długiego Jeziora i z Dali. Plemię, które w Gondorze znano pod mianem Rohirrimów, Mistrzów Koni, przybyło z krainy położonej między Gladden a Karrock. Zachowując mowę przodków Rohirrimowie nadali niemal wszystkim miejscowościom w nowym swoim kraju nowe nazwy; sami nazywali siebie Eorlingami albo ludźmi z Marchii. Przywódcy ich jednak biegle władali Wspólną Mową i poprawnie wymawiali słowa na wzór swych sprzymierzeńców z Gondoru; język ten bowiem, który się w Gondorze narodził, tam też przetrwał w najczystszym starym stylu i najpiękniejszym brzmieniu.

Zupełnie obcy był język Dzikich Ludzi z lasu Druadan. Obcy czy też bardzo daleko spokrewniony był również język Dunlandczyków, nielicznego plemienia wywodzącego się od dawnych mieszkańców dolin w Górach Białych. Ich bliskimi krewnikami byli Umarli z Dunharrow. Za Lat Ciemności jednak przodkowie Dunlandczyków przeważnie wywedrowali do południowych dolin Gór Mglistych; stamtąd zaś ku pomocy na pustkowia aż po Kurhany. Od nich pochodzili ludzie z Bree, lecz ci przed wiekami dostali się w obręb Północnego Królestwa Arnoru i przyjęli Wspólną Mowę. Tylko w Dunlandzie ludzie tej rasy zachowali swój dawny język i dawne obyczaje. Lud ten żył w odosobnieniu, nieprzyjaźnie odnosił się do Dunedainów i nienawidził Rohirrimów. Nie ma w tej książce przykładów ich języka prócz nazwy Forgoilów, którą Dunlandczycy nadali Rohirrimom (podobno znaczyło to „Słomiane Łby”). Dunland, Dunlandczycy — to nazwy, którymi określili ów kraj i jego mieszkańców Rohirrimowie od słowa *dunn*, czyli ciemny, bo plemię to miało włosy ciemne i smagłą cerę; nie ma wszakże to słowo nic wspólnego z wyrazem *Dun*, który w mowie Szarych Elfów znaczył „zachód”.

Hobbici

W czasach, których Dotyczy nasza opowieść, Wspólna Mowa zadomowiła się wśród hobbitów z Shire’u i z Bree zapewne już od tysiąca lat. Posługiwano się nią swobodnie i beztrąsko, jakkolwiek bardziej wykształceni hobbici rozporządzali również wyrażeniami i formami poprawniejszymi i umieli ich w razie potrzeby

używać.

Nie zachowały się żadne ślady języka wyłącznie hobbitom właściwego. Jak się zdaje, od najdawniejszych czasów mówili językami ludzi, z którymi sąsiedowali lub wśród których żyli. Po osiedleniu się w Eriadorze szybko przyjęli Wspólną Mowę, w okresie kolonizowania Bree wielu z nich już nawet nie pamiętało swego pierwotnego języka. Musiał on być podobny do ludzkiego języka mieszkańców dolin górnej Anduiny, pokrewny zatem językowi Rohirrimów, chociaż Stoorowie przed przybyciem do północnej części Shire’u mówili zapewne językiem któregoś z plemion dunlandzkich²⁹.

Za czasów Froda mało już było śladów pierwotnego języka w nazwach miejscowych lub imionach, podobnych na ogół do imion i nazw spotykanych w Dali i w Rohanie. Na uwagę zasługują tylko nazwy dni, miesiący i pór roku oraz takie pojedyncze wyrazy, używane nadal powszechnie, jak „mathom” i „smajale”; najwięcej starych form zachowało się w nazwach geograficznych na obszarze Shire’u i Bree. Imiona hobbitów również miały charakterystyczne brzmienie i wiele z nich pochodziło z odległej przeszłości. Hobbitami nazywali mieszkańcy Shire’u wszystkich swoich współplemieńców. Ludzie mówili na nich „niziołki”, elfy zaś — perianth. Źródłowo nazwy hobbit zapomniano, zdaje się jednak, że pierwotnie tak nazywali Harfootów Fallohidzi i Stoorowie i że jest to przekrecona forma wyrazu zachowanego w poprawnej postaci w języku-Rohirrimów: holbytla — „budowniczy nor ziemnych”.

Inne plemiona

Entowie.

Najstarszym plemieniem, które przetrwało do Trzeciej Ery, byli Onodrimowie, czyli Enydzii. Entowie — to nazwa tego plemienia w języku Rohanu. Entowie w zamierzchłej przeszłości zetknęli się z Eldarami i właśnie im zawdzięczali jeśli nie język, to w każdym razie chęć władania jakąś mową. Stworzyli sobie język niepodobny do wszystkich innych, powolny, górnolotny, pełen zlepków słów i powtórzeń, doprawdy wymagający głębokiego oddechu; ukształtowany z różnorodnych odcieni samogłosek, akcentów, długości, język tak zawiły, że nawet uczeni Eldarowie nie próbowali go przedstawić w piśmie. Entowie używali swego języka tylko między sobą, nie potrzebowali go jednak otaczać tajemnicą, bo nikt prócz nich nie mógł się i tak tej niezwyklej mowy nauczyć. Entowie byli wszakże zdolni do języków, uczyli się ich szybko, a tego, co raz zapamiętali, nigdy nie zapominali. Bardziej niż inne lubili mowę Eldarów, a w szczególności

²⁹ Stoorowie z Klina, którzy powrócili do Dzikich Krajów, znali już Wspólną Mowę, lecz imiona takie, jak Smeagol i Deagol pochodzą z języków ludzi zamieszkujących w okolicach Gladden.

starożytny język elfów Wysokiego Rodu. Toteż dziwne słowa i nazwy, które hobbiti słyszeli z ust Drzewca lub innych entów, są wyrazami czy też fragmentami wyrazów z języka elfów, posklejanymi z sobą na modłę entów³⁰. Niektóre z tych wyrazów należą do języka quenya, na przykład: Taurelilomea — tumbalemorna Tumbaletaurea Lomeanor, co mniej więcej znaczy: „Wielolesistycienisty głębokodolinnoczarny głębokodolinnoleśny mrocznykraj”. Drzewiec w ten sposób dawał do zrozumienia, że „czarny cień leżj w głębokich dolinach lasu”. Niektóre nazwy pochodzą z języka sindarin, na przykład Fangorn — broda drzewa, albo: Fimbrethil — smukła brzoza.

Orkowie i Czarna Mowa.

Inne plemiona nazywały to nikczemne plemię orkami, a pochodzi ta nazwa z języka Rohanu. W języku sindarin słowo to brzmiało „orch”. Z nią wiąże się zapewne nazwa „uruk”, chociaż odnosiła się ona w Czarnej Mowie zazwyczaj jedynie do szczepu roślących wojowników-orków, wyhodowanego podówczas w Mordorze i Isengardzie. Dla mniejszych szczepów była w użyciu — zwłaszcza wśród Uruk-hai — nazwa „snaga”, co znaczy: niewolnik. Orków pierwotnie wyhodował za Dawnych Dni Władca Ciemności na pomocy. Plemię to podobno nigdy nie miało własnej mowy, lecz chwytalo wyrazy z innych języków i przekręcało je wedle swych upodobań; powstała w ten sposób grubiańska gwara, nie wystarczająca nawet na ich prymitywne potrzeby, bogata tylko w klątwy i wyzwiska. Stwory te, nienawidzące nawet własnego gatunku, wkrótce rozwinęły tyle barbarzyńskich dialektów, ile było zgrupowań i ośrodków ich rasy; toteż nawet między sobą różne szczepy nie mogły się porozumiewać językiem orków. Dlatego w Trzeciej Erze orkowie używali w stosunkach między sobą języka westron; wiele grup starszych, na przykład orkowie, którzy przetrwali na pomocy i w Górach Mglistych, od dawna zresztą uważało westron za swoją mowę ojczystą, jakkolwiek tak ją przetworzyli, że brzmiała nie piękniej od rdzennego orkowego szwargotu. W tym żargonie „tark” — człowiek z Gondoru, był zniekształconą formą słowa „tarki!”, które wywodziło się z języka quenya i używane było w mowie westron na oznaczenie człowieka pochodzenia numenorejskiego.

Czarną Mowę podobno wymyślił w Latach Ciemności Sauron, pragnąc narzucić ten język wszystkim swoim sługom, co mu się zresztą nie udało. Z tej jednak mowy przyjęły się i upowszechniły wśród orków w Trzeciej Erze niektóre wyrazy, jak „ghash” — ogień, lecz język sam w swej pierwotnej postaci po pierwszym upadku Saurona poszedł w zapomnienie i zachowały go jedynie Nazgule. Gdy Sauron powstał na nowo, ten język zapanował znów w Barad-Dur i między dowódcami sił Mordoru. Napis na Pierścieniu jest przykładem pierwotnej Czarnej

³⁰ Z wyjątkiem przypadku, gdy hobbici próbowali zapisać pomruki i wołania entów: a-lalla-lalla-rumba-kamanda-lindor-burume; nie jest to język elfów, lecz zapis (prawdopodobnie bardzo niedokładny) brzmienia właściwej mowy entów.

Mowy, ale przekleństwa orków przytoczone w tomie II na stronie 57 to zniekształcona jej postać, używana przez żołdaków Czarnej Wieży, których dowódcą był Grisznak. „Szarku” w tej mowie znaczy: staruszek.

Trolle.

Nazwa „troll” jest odpowiednikiem wyrazu „torog” z języka sindarin. Trolle w zamierzchłej epoce półmroku Dawnych Dni były stworami tępymi i niezdarnymi i podobnie jak zwierzęta nie znały mowy. Sauron, chcąc posłużyć się nimi do swoich celów, postarał się ich okrzesać o tyle, ile na to pozwalała wrodzona tępota tych osiłków, i wzbogacił ich ubogą inteligencję przewrotnością. Trolle więc nauczyły się trochę języka orków, a w krajach zachodnich Trolle Kamienne posługiwały się zniekształconą Wspólną Mową. Pod koniec wszakże Trzeciej Ery pojawiła się w południowej części Mrocznej Puszczy i w górach na pograniczu Mordoru nowa, nie znana przedtem odmiana trolli. Nazywano ich w Czarnej Mowie Olog-hai. Niewątpliwie wyhodował ten szczep Sauron, nie wiadomo jednak, z jakiego plemienia. Niektórzy historycy sądzą, że byli to po prostu olbrzymi orkowie, lecz wydaje się to nieprawdopodobne, bo z postaci i umysłowości różnili się bardzo od najroślejszych nawet orków, znacznie przewyższając ich wzrostem i siłą. Musiały to być trolle, których Władca Ciemności natchnął swoją złą wolą; nikczemna rasa, krzepka, zręczna, dzika i chytra, a twardsza niż kamienie. W przeciwieństwie do pierwotnych trolli z okresu Półmroku, znosili dobrze światło słoneczne, dopóki wola Saurona ich podtrzymywała. Mówili mało i nie znali innego języka prócz Czarnej Mowy Barad-Duru.

Krasnoludowie.

Krasnoludowie to rasa odrębna. O dziwnych jej początkach i o przyczynach, dla których stali się jednocześnie tak bardzo podobni i tak bardzo niepodobni do ludzi, mówi księga „Silmarillion”; późniejsze elfy ze Śródziemia nie znały jej jednak, a późniejsze krążące wśród ludzi legendy są pełne błędów i zapożyczeń z historii innych plemion.

Krasnoludowie są na ogół hartowni, zawzięci, skryci, pracowici, nie zapominają krzywd (ani dobrodziejstw); kochają kamienie, klejnoty i rzeczy zrobione ręką biegłego rzemieślnika bardziej niż to, co żyje własnym życiem. Nie są wszakże z natury źli i cokolwiek by ludzie bajali, bardzo niewielu krasnoludów dobrowolnie poszło na służbę Sił Ciemności. Ludzie jednak z dawna zazdrościli krasnoludom skarbów i pięknych wyrobów, które z ich rak wychodziły, dlatego powstała między dwiema rasami nieufność. W Trzeciej Erze wszakże przyjaźń często łączyła ludzi z krasnoludami; zgodnie ze swą naturą krasnoludowie, po zniszczeniu pierwotnych siedzib zmuszeni wędrować, pracować i handlować w różnych krajach, zaczęli używać języków ludzi, wśród których przebywali. Lecz w tajemnicy — której w przeciwieństwie do elfów nie zdradzali nawet przyjaciółom — po-

służyli się własnym dziwnym językiem, prawie nie zmieniającym się w ciągu wieków; stał się on bowiem językiem uczonych raczej niż mową dzieciństwa, a był pielęgnowany i strzeżony jak bezcenna spuścizna przeszłości. Nikt chyba z obcoplemieńców go nie znał. W naszej opowieści występuje tylko w nazwach geograficznych, które Gimli zwierzył towarzyszom wędrówki, oraz w okrzyku bojowym, który wydał podczas oblężenia Rogatego Grodu. Ten okrzyk przynajmniej nie wymagał zatajania i słyszano go na wielu polach bitew od zarania świata: „Baruk Khazad! Khazad aimenu!” — „Topory Krasnoludów! Krasnoludy biją!” Imię Gimlego, podobnie jak imiona jego pobratymców, wywodzi się z języka ludzi północy. Własnych, prawdziwych imion, używanych tylko w gronie krasnoludzkim, nigdy nie ujawniano przedstawicielom innych plemion. Nie pisali ich krasnoludowie nawet na grobowcach.

2. Zasady przekładu

Przedstawiając treść Czerwonej Księgi dzisiejszym czytelnikom, starano się wyrazić ją w miarę możliwości językiem naszych czasów. Tylko cytaty z języków innych niż Wspólna Mowa pozostawiono w oryginale; co prawda są to przeważnie imiona osób lub nazwy geograficzne.

Wspólną Mowę, język hobbitów i spisanej przez nich opowieści, przełożono oczywiście na współczesną angielszczyznę. Zatarły się przy tym odcienie języka westron, nieco odmiennego w różnych krajach. Próbowano te odcienie z lekka zaznaczyć, lecz różnice między wymową oraz idiomami Shire’u a językiem westron w ustach elfów i szlachetnie urodzonych ludzi Gondoru były o wiele większe, niż to można z naszej książki wywnioskować. Hobbici w rzeczywistości używali najczęściej wiejskiego dialektu, podczas gdy w Gondorze i Rohanie zachowały się formy starsze, panował styl bardziej uroczysty i zwięźlejszy.

Między innymi okazała się niemożliwa do uwypuklenia w przekładzie pewna znamienna różnica, polegająca na tym, że westron w zasadzie odróżniał formy oficjalne i poufale w drugiej osobie czy to liczby pojedynczej, czy też mnogiej: hobbici natomiast do wszystkich zwracali się jednakowo. Formy oficjalne zachowały się tylko między rówieśnikami w Zachodniej Ćwiartce, ale miały tam znaczenie raczej pieszczotliwego zdrobnienia. Tym się tłumaczą przede wszystkim uwagi ludzi z Gondoru, że hobbici mówią trochę dziwnie. Peregrin Tuk na przykład od pierwszego dnia pobytu w Minas Tirith zwracał się w formie poufalej do osób wszelkiej rangi, z Władcą włącznie. Mogło to bawić sędziwego namiestnika Denethora, ale dziwiło jego podwładnych. Niewątpliwie też ten właśnie zwyczaj Peregrina przyczynił się do rozpowszechnienia pogłoski o jego rzekomo księżęcym stanowisku w ojczyźnie. Czytelnik może zauważyć, że hobbici, na przykład Frodo, oraz takie postacie, jak Gandalf czy Aragorn, nie zawsze mówią jedna-

kim stylem. Nie jest to przypadek. Wykształceni i zdolniejsi hobbitzi mieli pewne pojęcie o „języku książkowym”, jak go w Shire nazywano; bystro podchwytывali i zapamiętywali styl osób, z którymi się stykali. W każdym razie było rzeczą naturalną, że osoby wiele po świecie podróżujące przejmowały sposób mówienia tych, wśród których się znalazły, zwłaszcza gdy tak jak Aragorn usiłowali ukryć swoje pochodzenie i zamiary. Jednakże wszyscy nieprzyjaciele Nieprzyjaciela szanowali podówczas spuściznę przeszłości, w języku podobnie jak w innych dziedzinach, i sprawiało im satysfakcję pielęgnowanie mowy w granicach swej wiedzy. Eldarowie szczególnie mieli dar słowa i opanowali wiele rozmaitych stylów, jakkolwiek przeważnie trzymali się zwyczajów własnej mowy, bardziej jeszcze starożytnej niż mowa Gondoru. Krasnoludowie również byli obrotni w języku i łatwo przystosowywali się pod tym względem do otoczenia, chociaż wymowę mieli nieco chropawą i gardłową. Natomiast orkowie i trolle mówili byle jak, nie znając miłości do słów jak i do innych rzeczy, toteż język ich był jeszcze bardziej nikczemny i plugawy, niż to w książce uwidoczniło. Nie sądzę, by ktokolwiek żałował, iż autor nie oddał w tym przypadku całej prawdy, jakkolwiek nietrudno by mu było znaleźć współczesne wzory. Podobną mowę słyszy się nie raz w ustach ludzi orkowej natury, ponurą, mało urozmaiconą, ziejącą nienawiścią i wzdargą, od tak dawna już oddaloną od źródeł dobra, że nie zostało jej nic nawet z przekonującej mocy słów i przemawia tylko do uszu tych, którym brutalność wydaje się jedyną siłą.

Taki sposób tłumaczenia jest przyjęty, a nawet nieuchronny, gdy chodzi o historię z odległej przeszłości. Rzadko tłumacz pozwala sobie na więcej, ja jednak na tym nie poprzestałem.

Przetłumaczyłem również imiona własne z języka westron stosownie do ich znaczenia. Angielskie imiona i tytuły użyte w tej książce są odpowiednikami powszechnie wówczas we Wspólnej Mowie używanych imion; obok nich występują imiona wzięte z innych języków (przeważnie z języka elfów).

Nazwy w języku westron były na ogół tłumaczeniem nazw starszych, na przykład Srebrna Igła, Nieprzyjaciół, Czarna Wieża. Niektóre nabrały innego niż pierwotnie znaczenia, jak Góra Przeznaczenia, która nazywała się przedtem Orodruiną, to jest Górą Ognia; Mroczna Puszcza zamiast Taur e-Ndaedelos, czyli „Las Wielkiego Strachu”. Niekiedy pozostały nazwy dawne, z języka elfów, ale zniekształcone, jak Brandywina — z Baranduin. Być może wymaga to pewnego usprawiedliwienia. Wydawało mi się, że dziś wszystkie te nazwy w swoim pierwotnym brzmieniu zaciemniłyby istotne cechy epoki, te, które dostrzegali hobbitzi (bo ich punkt widzenia starałem się przede wszystkim zachować), a więc kontrast między językiem zwykłym dla nich i swoim jak angielski dla Anglików a żywymi zabytkami znacznie starszej i bardziej czcigodnej mowy. Nazwy po prostu podane w transkrypcji byłyby dla współczesnego „czytelnika jednako obce, na przykład w języku elfów Imladris, a we Wspólnej Mowie Karningul; dałem więc

temu miejscu zwykłą angielską nazwę Rivendell. Jeśli ktoś nazywał je Imladris, brzmiało to wtedy tak, jak dla dzisiejszego Anglika brzmi Camelot użyte zamiast Winchester, z tą tylko różnicą, że w Trzeciej Erze w nikim ta dwoistość nazwy nie mogła budzić wątpliwości, dopóki w Rivendell mieszkał sławny władca, znacznie starszy niż byłby król Artur, gdyby po dziś dzień przebywał w Winchester. Nazwy Shire'u (Suza) oraz innych miejscowości w kraju hobbitów zostały więc zanglicyzowane; nie nastęczało to większych trudności, składały się bowiem na ogół z podobnych elementów jak najpospolitsze nazwy angielskie, a więc takich cząstek jak „hill” czy „ton” (z „town”). Niektóre wszakże wywodziły się, jak już zaznaczyłem, ze starych hobbitkich wyrazów, zaniechanych w potocznej mowie, i te wyraziłem przez angielskie odpowiedniki: wick, bottle, michel (wielki). Co do imion własnych odnoszących się do osób, to miały one w Shire i w Bree dość szczególny charakter, a przede wszystkim ustalił się w krajach hobbitkich zwyczaj, w owej epoce wyjątkowy, że już od paru stuleci przekazywano w dziedzictwie z pokolenia na pokolenie nazwiska. Większość ich miała w po tocznej mowie wyraźne znaczenie i pochodziła niewątpliwie od dawnych przezwisk, często żartobliwych, albo od miejsca zamieszkania czy wreszcie (zwłaszcza w Bree) od nazw roślin i drzew. Nazwiska tego typu łatwo było przetłumaczyć na angielski, pozostało jednak parę starszych, o niezrozumiałym już wówczas znaczeniu, jak Tuk lub Boffin, i te podałem w oryginalnym brzmieniu, dostosowując tylko pisownię do angielskiej ortografii: Took i Bopha³¹.

Imiona hobbitkie starałem się oddać jak najwierniej zgodnie z tą samą zasadą. Dziewczęta nazywano w Shire zwykle nazwami kwiatów lub drogich kamieni. Chłopcom dawano imiona bez specjalnego znaczenia, zresztą zdarzało się to również kobietom. Tego typu imionami były: Bilbo, Bungo, Polo, Loto, Tan ta, Nina itp. Nieuchronnie trafiają się pewne przypadkowe podobieństwa do imion znanych lub używanych dzisiaj, jak Otho, Odo, Drogo, Dora, Kora; zachowałem je, często jednak zmieniając zakończenie, bo u hobbitów końcówka „a” charakteryzowała rodzaj męski, „e” żeński.

W niektórych starych rodzinach, zwłaszcza pochodzących od Fallohidów, jak Tukowie lub Bolgerowie, były w zwyczaju imiona szumnie brzmiące. Zapożyczano je, jak się zdaje, przeważnie z dawnych legend obu plemion: ludzkiego i hobbitkiego, a niektóre, dla hobbitów z Trzeciej Ery nic już nie znaczące, przypominały imiona spotykane wśród Dużych Ludzi osiadłych w Dolinie Anduiny, w Dali czy też w Marchii. Zastąpiłem je przez stare imiona, najczęściej czerpane z legend Franków i Gotów, używane po dziś dzień u nas albo przynajmniej znane z historii i literatury. W ten sposób zachowałem bądź co bądź śmieszny nie raz kontrast między imieniem a przezwiskiem; hobbitci sami zdawali sobie z tej śmieszności sprawę doskonale. Do zasobu imion klasycznych sięgałem rzadko,

³¹ Tłumacz polski przywrócił im pisownię hobbitką.

ponieważ najbliższym odpowiednikiem tego, czym dla nas jest greka i łacina, były dla hobbitów języki elfów, ale imion i nazw nie mieli zwyczaju z nich czerpać. Nieliczni zresztą znali „język królów”, jak go określano. Nazwy geograficzne w Bucklandzie różnią się od nazw w innych częściach Shire’u. Ludność z Marish oraz z kolonii na drugim brzegu Brandywiny podobno w ogóle wyróżniała się wśród hobbitów. Wiele osobliwych, starych nazw odziedziczyła ta kraina niewątpliwie z dawnego języka południowych Stoorów. Zostawiłem je bez zmiany, bo chociaż brzmią dziwnie, tak samo dziwiły w Trzeciej Erze. Miały własny charakter, który niejasno wyczuwano, mniej więcej tak, jak my wyczuwamy obcość słów celtyckich.

Ponieważ zachowane ślady starszego języka Stoorów i pierwotnych mieszkańców Bree stanowią pewną analogię do zachowania w Anglii elementów celtyckich, naśladowałem je niekiedy w moim przekładzie. Nazwy Bree, Combe (Coomb), Archet, Chetwood wzorowałem na reliktach brytyjskiego nazewnictwa dobierając wyrazy stosownie do znaczenia: bree-hill (wzgórze), chet-wood (las). Z imion osób jedno tylko utworzyłem tą metodą: Meriadoka ochrzciłem tak, nie inaczej, bo w oryginale nosi imię Kali, co w języku westron znaczyło wesoły, żwawy, chociaż był to w rzeczywistości skrót bucklandzkiego, nic nam dziś nie mówiącego imienia Kalimak.

Nie używałem w tej adaptacji imion hebrajskich lub z pokrewnych źródeł, nie ma bowiem u hobbitów żadnego odpowiednika dla tego elementu naszej mowy. Jednozgłoskowe imiona, jak Sam, Tom, Tim, Mat, były pospolitymi skrótami hobbickich imion Tomba, Tolha, Matta i tym podobnych. Ale Sam i jego ojciec Ham nazywają się w oryginale Bań i Ran, co jest skrótem od pierwotnych przezwisk Banazir i Ranugad, które znaczyły „Półmędrak” i „Domator”, lecz z czasem, gdy stare słowa wyszły z potocznego użycia, zachowały się jako tradycyjne imiona w pewnych rodzinach. Aby ten ich charakter oddać, wybrałem imiona Samwise i Hamfast, zmodernizowane staroangielskie „samwis” i „hamfoest”, o możliwie zbliżonym do hobbickich imion znaczeniu.

Skoro podjąłem próbę unowocześnienia i przybliżenia języka oraz imion hobbitów, okazały się potrzebne dalsze transpozycje. Języki Dużych Ludzi, spokrewnione z westronem, powinny być, jak mi się zdawało, również oddane przez formy związane w podobny sposób z angielskim. Dlatego język ludzi z Rohanu upodobałem do starej angielszczyzny; był przecież spokrewniony (dalej) ze Wspólną Mową i zarazem (bardzo blisko) z pierwotną postacią języka hobbitów z pomocy, a w porównaniu z westronem — archaiczny. W Czerwonej Księdze spotyka się wzmianki, że hobbitci rozumieli z mowy Rohirrimów wiele słów i że wydawała im się podobna do ich własnego języka; nie miało więc sensu podawać nazw i wyrazów z Rohanu w całkowicie obcym brzmieniu. W wielu przypadkach unowocześniłem formy i pisownię geograficznych nazw w tym kraju, na przykład Dunharrow, ale nie przestrzegałem ścisłej konsekwencji, naśladowując w tym hobbi-

tów. Oni też w podobny sposób zmieniali zasłyszane nazwy, jeśli w nich poznawali jakieś swojskie części lub jeśli przypominały im nazwy z Shire'u; inne nazwy zostawili jednak bez zmiany, na przykład Edoras — co znaczy: dziedzińce³².

W ten sposób mogłem też bez trudu zrekonstruować pewne szczególne lokalne wyrazy hobbitkie pochodzące z pomocy. Nadałem im takie formy, jakie mogłyby przybrać zaginione wyrazy angielskie, gdyby przetrwały do naszych czasów. Na przykład „mathom” utworzyłem ze staroangielskiego „mathm”, co stanowi analogię hobbitkiej przemiany wyrazu „kast” na „kastu”. Podobnie „śmiał” (lub: smile) — jama — wydaje się formą prawdopodobną, pochodną od „smygel”, i oddaje w hobbitkim języku przemianę „tran” — „trahan”. Smeagol i Deagol to odpowiedniki imion Trahald (kopiący jamy, wdrażający się w ziemię) i Nnhdd (skryty) w językach północy.

Język plemion z dalej jeszcze na północ wysuniętych krajów, z Dali, reprezentują w naszej książce tylko imiona krasnoludów pochodzących z tamtych stron; przyswoiwszy sobie mowę ludzi, wśród których żyli, z niej zaczerpnęli imiona „jawne”. Zarówno w tej książce, jak w historii pt. „Hobbit” tworzyłem od rzeczownika „dwarf” (krasnolud) liczbę mnogą „dwarves”, jakkolwiek słowniki podają prawidłową formę „dwarfs”. Powinna by ona mieć postać „dwarrows” (lub dwerrows), gdyby liczba pojedyncza i liczba mnoga poszły każda własną drogą poprzez wieki, podobnie jak stało się to i rzeczownikami „mań” — l.m. men; „goose” — l.mn. geese. Ale rzadziej mówimy o krasnoludach niż o ludziach lub gęsiach; pamięć większości ludzi nie zdołała więc zachować specjalnej formy liczby mnogiej dla plemienia tak dziś odtraconego w świat legendy ludowej, gdzie przetrwał bodaj nikły cień prawdy, czy też w świat niedorzecznych bajek, w którym z krasnoludów zrobiono po prostu postacie komiczne. W Trzeciej Erze coś niecoś z prawdziwego charakteru dawnej sławy tego ludu przeblyskiwało jeszcze, chociaż już wówczas przyćmionym trochę blaskiem. Byli to potomkowie Naugrimów z Dawnych Dni i w sercach ich płonął jeszcze stary ogień kowala Aulego, tliła się też zadawniona niechęć do elfów. Słyszeli też jeszcze wtedy jako niedościgli mistrzowie w obróbce kamieni.

To chciałem zaznaczyć pozwalając sobie na odstępstwo od utartej formy gramatycznej³³; sądziłem, że w ten sposób odetnę się od fałszywych wyobrażeń, jakie o krasnoludach dają niedorzeczne bajki z późniejszej epoki. Może bardziej prawidłowa byłaby forma „dwarrows”, lecz tej użyłem jedynie w złożeniu „Dwar-

³² Ten zabieg lingwistyczny nie powinien jednak sugerować jakiegoś głębszego podobieństwa między Rohirrimami a dawnymi Anglikami w dziedzinie kultury, sztuki, sposobów wojowania itp. Podobieństw o ogranicza się do ogólnych cech, wynikłych z sytuacji: mamy tu lud prostszy, bardziej prymitywny, żyjący w kontakcie z kulturą wyższą i starszą, zamieszkujący tereny ongiś przez nią zajmowane.

³³ Tłumacz polski pozwolił sobie również na użycie formy „krasnoludowie” w podobnej intencji.

rowdelf”, nazwie Morii, która we Wspólnej Mowie brzmiała Phurunargian a znaczyła „Kopalnia krasnoludów”; było to wszakże słowo już wtedy archaiczne. Nazwę „Moria” dały temu miejscu elfy, które odnosiły się do niego nieżyczliwie, bo Eldarowie, jakkolwiek w potrzebie — na przykład podczas zażartych wojen z Siłami Ciemności — zakładali podziemne fortece, dobrowolnie nigdy nie przebywali w podziemiach. Kochali zieleni ziemi i światła przystani; Moria w ich języku znaczyło „Czarna Otchłań”. Sami krasnoludowie wyjątkowo nie zatajali nazwy, którą to miejsce ochrzcili: Khazad-dum — „Dwór Khazadów”, bo swoją rasę nazywali „Khazadami”, starym imieniem, które Aule nadał im w zamierzchłej przeszłości, u kolebki rodzaju krasnoludzkiego.

Elfy w oryginale noszą miano Quendi, „mówiący”, bo tak siebie określali elfy Wysokiego Rodu; Eldarowie — to nazwa Trzech Pokrewnych Rodów, które szukały Królestwa Nieśmiertelnych i dotarły do niego w zaraniu dziejów świata (z wyjątkiem Sindarów). Nie rozporządzałem lepszą nazwą niż to stare, znane słowo, w pierwotnym znaczeniu naprawdę stosowne dla istot, których pamięć przechowali ludzie, czy też dla wyobrażeń, jakie o nich ludzie niegdyś mieli. Niestety słowo to z biegiem czasu skarłało i dziś kojarzy się raczej z fantastycznymi duszkami, ładnymi i głupiutkimi, tak niepodobnymi do prawdziwych Quendich jak motyl do sokoła; nie należy jednak z tego porównania wnosić, że Quendi kiedykolwiek posiadali cielesne skrzydła; tak jak i ludzie elfy nie miały nigdy skrzydeł. Quendi byli rasą wspaniałą i piękną, najstarszymi dziećmi świata, między nimi zaś królowali Eldarowie, którzy już dawno odeszli, Wielcy Wędrowcy, Plemię Gwiazdy. Smukli, jasnej cery, oczy mieli szare, lecz włosy ciemne z wyjątkiem złotowłosego rodu Finroda; głosy ich brzmiały melodią, o jakiej głos żadnego śmiertelnika dziś nie może dać wyobrażenia. Było to plemię męzne, lecz historia tych elfów, które wróciły do Śródziemia i tu żyły na wygnaniu, była bolesna; a chociaż w odległej przeszłości drogi ich skrzyżowały się z drogami naszych praojców, los ich był inny niż los człowieka. Czas ich przeminął dawno, elfy mieszkają poza obrębem świata i nigdy nie powrócą.

Wyjaśnienie nazw: hobbit, Gamgee, Brandywina.

Hobbit — to wyraz wymyślony przez autora. W języku westron, jeśli w ogóle znajdują się wzmianki o tym plemieniu, określano je nazwą „banakul”, czyli „niziołek”. Mieszkańcy Shire’u i Bree nazywali własną rasę „kudukami”, lecz nazwą tą nie posługiwano się w żadnym innym kraju. Meriadok zanotował jednak, że król Rohanu użył słowa „kuddukan” — mieszkaniec nor. Ponieważ, jak już mówiłem, stary język hobbitów był blisko spokrewniony z językiem Rohirrimów, wydaje się prawdopodobne, że „kuduk” był skróconą formą „kud-dukan”. Przetłumaczyłem tę nazwę jako „holbytla” i utworzyłem skróconą jej formę „hobbit”

— bo tak przekształciłby się zapewne ten wyraz, gdyby był istniał w naszym starym języku.

Gamgee. Wedle tradycji rodzinnej, zapisanej w Czerwonej Księdze, nazwisko Galbasi — lub w formie skróconej Galpsi — pochodzi od nazwy wsi Galabas; powszechnie uważano, że ta nazwa pochodzi od słowa „galab” — zwierzyna, a stary przyrostek „bas” jest mniej więcej odpowiednikiem angielskiego „wick”, „wich”. Dlatego stosowne wydało mi się brzmienie nazwiska Gamwich (wymawianego jak angielskie Gammidge). Redukując jednak Gammidge do Gamgee, żeby stworzyć odpowiednik Galpsi, nie zamierzałem robić aluzji do powiązań Samewise’a z rodziną Cottonów, chociaż byłby to żart w duchu hobbitkim — gdyby znajdował usprawiedliwienie filologiczne.

Cotton, w oryginale Hlothran, było dość pospolitą w Shire nazwą wsi, złożoną z „hloth” — dwuizbowe mieszkanie lub nora — i „ran(u)” — grupka takich mieszkań na zboczu góry. Jako przezwisko „Hlothran” było zapewne zniekształceniem wyrazu „hlothram(a)” — zagrodnik. Dziadek farmera Cottona nosił nazwisko Hlothram, w moim przekładzie zmienione na Cotman.

Brandywina. Hobbitka nazwa tej rzeki była zniekształceniem nazwy brzmiącej w języku elfów Baranduin (z akcentem na and), złożonej z „baran” — złoto-brunatny — i „duin” — wielka rzeka. Starszą formą hobbitką była „Bzanda-nin” — graniczna woda, lecz ze względu na ciemną barwę wody nazywano rzekę żartobliwie „Bralda-him” — mocne piwo. Trzeba wszakże zaznaczyć, że kiedy Oldbuckowie (Zaragamba) zmieniali nazwisko na Brandybuck (Brandagamba), pierwsza część nazwy znaczyła: pogranicze. Bardzo zuchwały musiałby być hobbit., który by zaryzykował nazwanie Dziedzica Bucklandu „Braldagambą”.